Hampton Sides

KREW I BURZA

HISTORIA Z DZIKIEGO ZACHODU

7 października 1846 roku stu dragonów generała Kearny'ego prowadzonych przez Kita Carsona opuściło wybrzeże Rio Grande i ruszyło na zachód. Po dotarciu do rzeki Gila Amerykanie weszli w jej kręte kaniony. Poruszali się teraz w terenie coraz bardziej jałowym i wypalonym przez słońce. W listopadzie opuścili ziemie Apaczów i wkroczyli na terytoria nieznanych sobie plemion – Zjadaczy Wilków, Brudasów, Indian z Klubu, Mieszkańców Lasów Sosnowych, Rozedrganych, Albinosów i Głupców. Przynajmniej takie nazwy indiańskich plemion Amerykanie przejęli od hiszpańskojęzycznych tłumaczy.

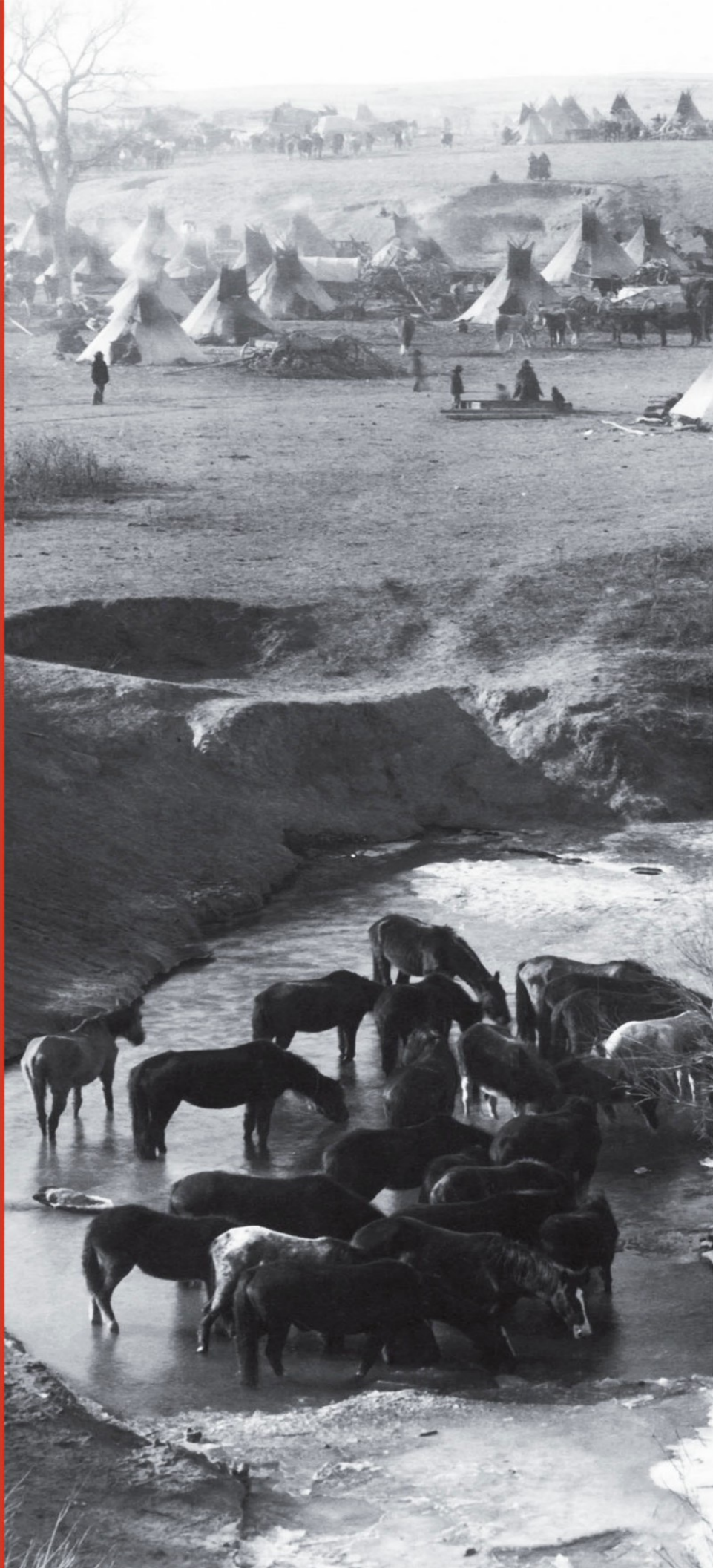

SERIA AMERYKAŃSKA

Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*
Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*
Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero*
Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*
Johnny Cash *Cash. Autobiografia*
Allen Ginsberg *Listy*
Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*
William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*
Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia.*
Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary
Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*
S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów*
David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*
Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu*
Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*
Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*
Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z wężami w południowych Appalachach*
Rick Bragg *Jerry'ego Lee Lewisa opowieść o własnym życiu*
Scott Carney *Śmierć na Diamentowej Górze.*
Amerykańska droga do oświecenia

HAMPTON SIDES

KREW I BURZA

Historia z Dzikiego Zachodu

Przełożył Tomasz Ulanowski

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2016

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Blood and Thunder: An Epic of the American West*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Buyenlarge / Getty Images

Copyright © 2006 by Hampton Sides
All Rights Reserved

This translation published by arrangement with Doubleday, an imprint of The Knopf Doubleday Publishing Group, division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2016
Copyright © for the Polish translation by Tomasz Ulanowski, 2016
Copyright © for the maps by David Cain

Redakcja Małgorzata Pasicka / m&m manufaktura
Indeks Magdalena Kędzierska-Zaporowska / d2d.pl
Korekta Magdalena Kędzierska-Zaporowska / d2d.pl,
Katarzyna Rojek / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Sandra Trela / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-366-7

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Wołowiec 2016
Wydanie I

Annie

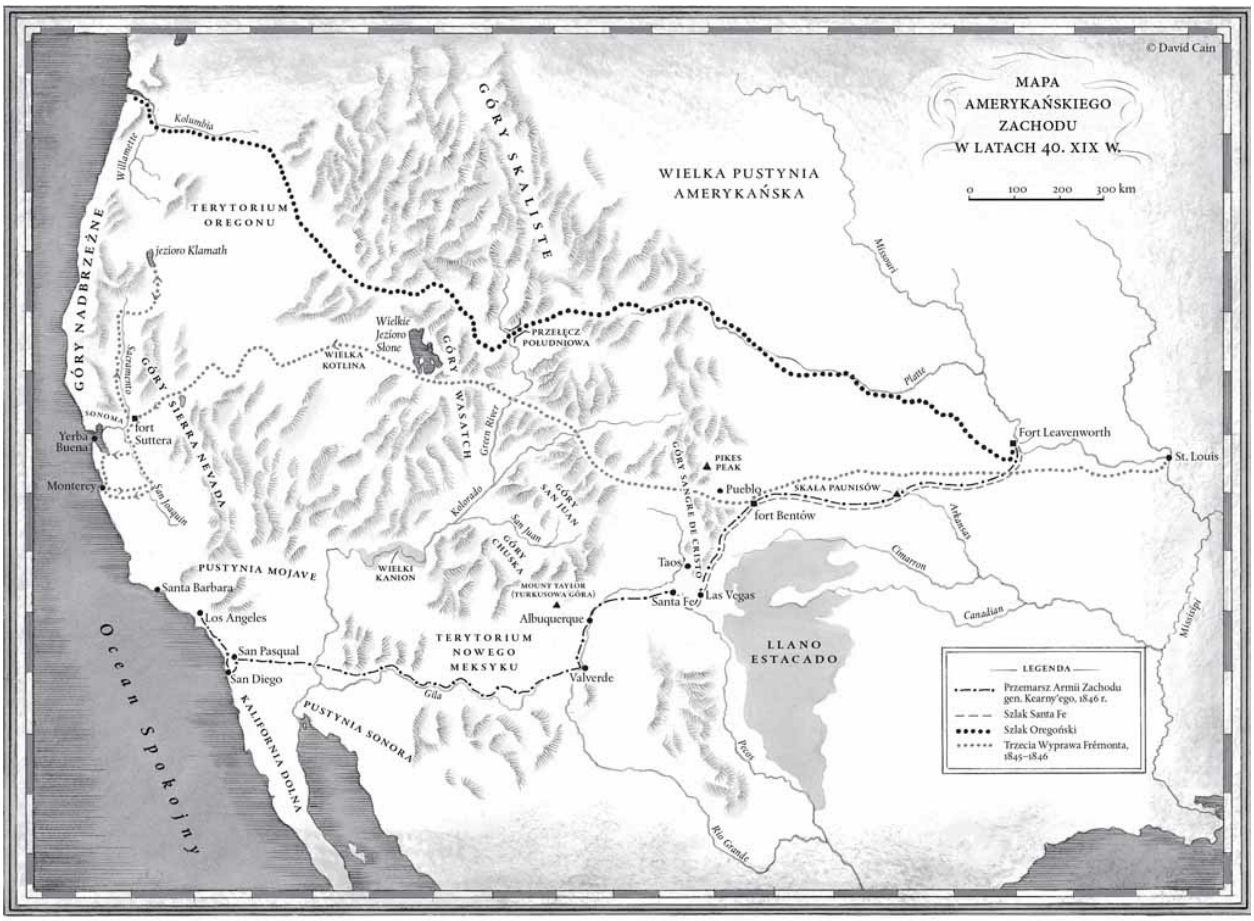
© David Cain
MAPA AMERYKAŃSKIEGO ZACHODU W LATACH 40. XIX W.
0 100 200 300 km
WIELKA PUSTYNIA AMERYKAŃSKA
TERYTORIUM OREGONU
GÓRY SKALISTE
GÓRY NADBRZEŻNE
GÓRY SIERRA NEVADA
PUSTYNIA MOJAVE
PUSTYNIA SONORA
KALIFORNIA DOLNA
TERYTORIUM NOWEGO MEKSYKU
LLANO ESTACADO
WIELKA KOTLINA
WIELKI KANION
GÓRY WASATCH
GÓRY SAN JUAN
GÓRY CHUSKA
GÓRY SANGRE DE CRISTO
PRZEŁĘCZ POŁUDNIOWA
SKAŁA PAUNISÓW
PIKES PEAK
MOUNT TAYLOR (TURKUSOWA GÓRA)
Ocean Spokojny
Columbia
Willamette
Sacramento
San Joaquin
Green River
Colorado
San Juan
Missouri
Platte
Arkansas
Cimarron
Canadian
Missisipi
Gila
Pecos
Rio Grande
Jezioro Klamath
Wielkie Jezioro Słone
SONOMA
Yerba Buena
Fort Suttera
Monterey
Santa Barbara
Los Angeles
San Pasqual
San Diego
Pueblo
fort Bentów
Taos
Santa Fe
Las Vegas
Albuquerque
Valverde
Fort Leavenworth
St. Louis
LEGENDA
Przemarsz Armii Zachodu gen. Kearny'ego, 1846 r.
Szlak Santa Fe
Szlak Oregoński
Trzecia Wyprawa Frémonta, 1845–1846

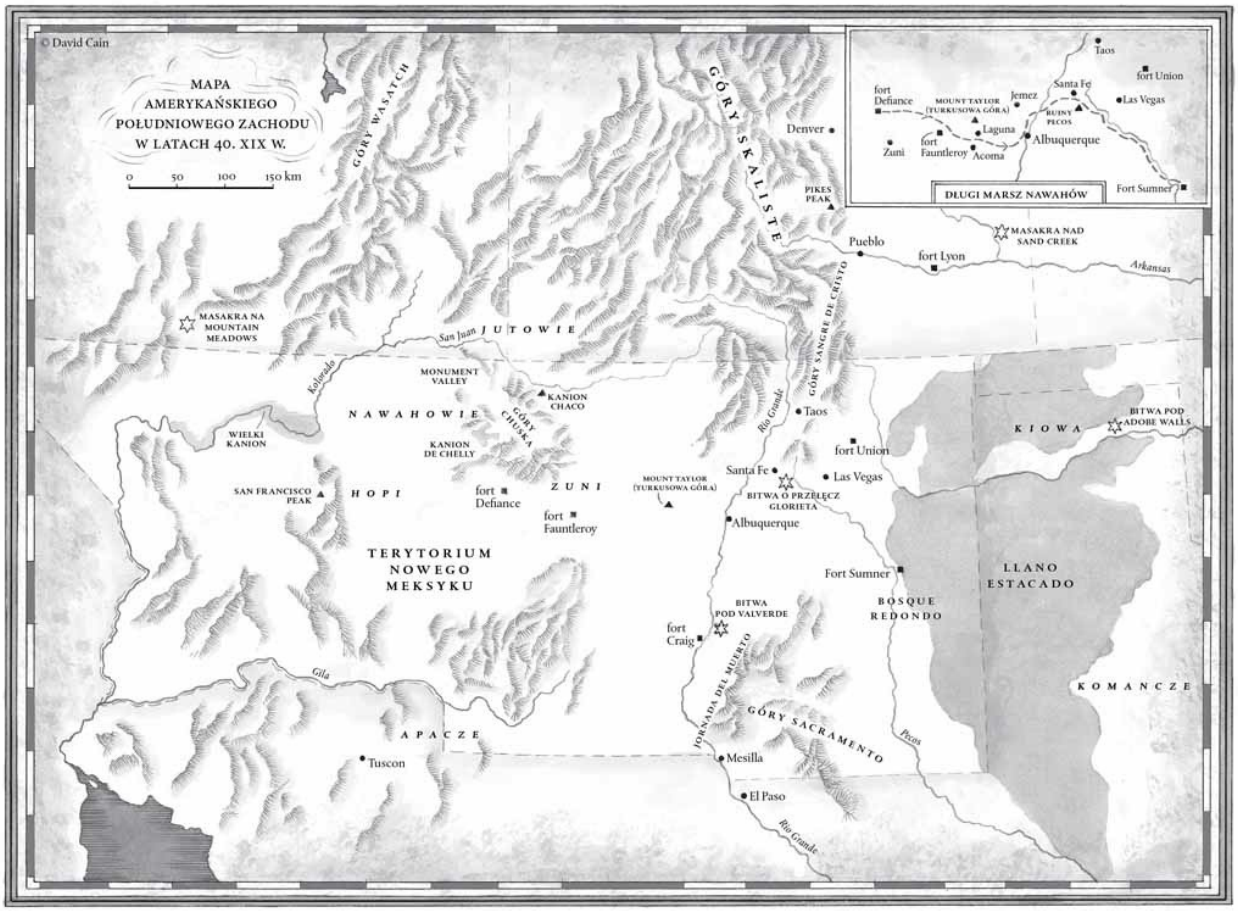
© David Cain
MAPA AMERYKAŃSKIEGO POŁUDNIOWEGO ZACHODU W LATACH 40. XIX W.
0 50 100 150 km
GÓRY WASATCH
GÓRY SKALISTE
Denver
PIKES PEAK
Pueblo
fort Lyon
Arkansas
MASAKRA NAD SAND CREEK
MASAKRA NA MOUNTAIN MEADOWS
San Juan
JUTOWIE
Kolorado
MONUMENT VALLEY
KANION CHACO
NAWAHOWIE
GÓRY CHUSKA
WIELKI KANION
KANION DE CHELLY
SAN FRANCISCO PEAK
HOPI
fort Defiance
ZUNI
fort Fauntleroy
TERYTORIUM NOWEGO MEKSYKU
MOUNT TAYLOR (TURKUSOWA GÓRA)
Rio Grande
GÓRY SANGRE DE CRISTO
Taos
Santa Fe
Las Vegas
fort Union
BITWA O PRZEŁĘCZ GLORIETA
Albuquerque
KIOWA
BITWA POD ADOBE WALLS
Fort Sumner
LLANO ESTACADO
BOSQUE REDONDO
BITWA POD VALVERDE
fort Craig
JORNADA DEL MUERTO
KOMANCZE
Gila
APACZE
GÓRY SACRAMENTO
Pecos
Tuscon
Mesilla
El Paso
Rio Grande
fort Defiance
MOUNT TAYLOR (TURKUSOWA GÓRA)
Jemez
Santa Fe
Las Vegas
fort Union
RUINY PECOS
Laguna
Albuquerque
Zuni
fort Fauntleroy
Acoma
DŁUGI MARSZ NAWAHÓW
Fort Sumner

Gnam za zapachem deszczu,
Przyciąga mnie ciemność burzy,
Gnam za błyskawicami,
Szukam miejsc, w które biją.

pieśń Indian Nawaho

Prolog

Tętent koni

Pewnego ranka w połowie sierpnia 1846 roku, tuż przed brzaskiem, kiedy było jeszcze w miarę chłodno, mieszkańcy nowomeksykańskiej osady Las Vegas wiercili się niespokojnie we śnie. Nadchodzili *Americanos*. W odległym Waszyngtonie, z powodów które dla zamieszkujących Las Vegas nie były jasne, prezydent Stanów Zjednoczonych wypowiedział wojnę Meksykowi. Zwiadowcy donosili, że najeźdźcza armia *gringos* znajduje się ledwie o kilka dni od osady i uparcie maszeruje na zachód. Miejscowi drżeli ze strachu. Ksiądz ich ostrzegał[1]. Amerykanie zakażą wiary rzymskokatolickiej, żołnierze będą gwałcić kobiety, a potem rozgrzanym do czerwoności żelazem wypalą im na policzkach litery *U.S.* Wieśniacy zastanawiali się nawet, czy nie byłoby lepiej, gdyby sami spalili swój kościół, żeby najeźdźcy nie mogli go zbezcześcić, zamieniając w stajnię albo koszary.

Las Vegas – czyli po hiszpańsku równiny – było bezładnym skupiskiem domków z suszonej cegły otoczonym przez szeleszczące pola kukurydzy, które nawadniała sieć mulistych kanałów irygacyjnych czerpiących wodę z rzeki Gallinas. Osada leżała u stóp Sangre de Cristo – gór „krwi Chrystusa” – których dumne szczyty stanowią południową granicę Gór Skalistych i wyrastają aż na cztery tysiące metrów ponad poziom morza. Była zarazem położona na wschodnich rubieżach hiszpańskiego terytorium. Można powiedzieć, że Las Vegas stanowiło przyczółek cywilizacji na tym dzikim lądzie. Żeby do niego dojechać wierzchem z Santa Fe, stolicy kolonii, trzeba było spędzić w siodle trzy dni. Jedyną drogą łączącą osadę ze światem zewnętrznym był Szlak Santa Fe biegnący tuż za jej granicami – to nim zresztą maszerowali teraz amerykańscy żołnierze. Gdybyś, Czytelniku, spojrzał na wschód, zobaczyłbyś ciągnące się aż po horyzont morze prerii. Dalej były już płaskowyż Llano Estacado i Teksas, jeszcze dalej pastwiska

bizonów, a za nimi, gdybyś potrafił magicznie przenieść się w czasie i przestrzeni – ziemie zajęte przez amerykańskich *diablos*.

Myśliwi z Las Vegas, na których mówiono *ciboleros*, wyruszali na prerię, żeby polować na antylopy i bizony. Bywało też, że wyprawiali się aż do Santa Fe. Musieli gdzieś robić zakupy, a czasem rozmawiać z władzami wojskowymi albo kościelnymi. Zazwyczaj jednak siedzieli w domu, a ich jedyną rozrywką było wyjście do świątyni. Biedowali, ale byli pełni wiary – jak prawdziwi pionierzy, którzy bez wahania podejmują zmagania z przyrodą, ale godzą się z tym, nad czym nie mogą zapanować. Choć Las Vegas było dość młodą osadą, założoną po nadaniu gruntów ledwie pokolenie wcześniej, to większość z rodzin mieszkających na pograniczu stanowili potomkowie hiszpańskich kolonizatorów, którzy dotarli do Nowego Meksyku już w 1598 roku.

Jego mieszkańcy, szczególnie osiadli w takich miejscach jak Las Vegas, wiedli marne życie ludzi średniowiecza i trzymali się kurczowo swoich katolickich zwyczajów, skostniali w izolacji od świata. Płoty chroniły ich przed kojotami, a mury z błota przed ludźmi. Uprawiali paprykę i kukurydzę, fasolę i kabaczki, a także hodowali owce, tak samo jak ich przodkowie żyjący w cieniu tych prastarych gór.

Sierpień w tej części Nowego Meksyku jest zawsze przyjemny – z chłodnymi nocami i złotymi porankami. W ciągu dnia jest jednak gorąco i sucho. Nadciągające z zachodu burze urozmaicały mieszkańcom Las Vegas leniwe popołudnia. Dzięki deszczom monsunowym ogródki w osadzie pękały od owoców, a bujna trawa stanowiła świetną karmę dla stad pasących się u stóp zielonych wzgórz. Las Vegas wyglądało jak zawsze o tej ulubionej przez jego mieszkańców porze roku. Przeczuwali oni jednak, że wraz z przybyciem Amerykanów ich życie zmieni się dramatycznie.

12 sierpnia w senną ciszę poranka wdarł się tętent koni[2]. Zanim mieszkańcy Las Vegas zorientowali się, że nie wróży to nic dobrego, było za późno. Najeźdźcy przedarli się przez pola i rogatki osady. Ludzie byli zaskoczeni. Intruzami nie okazali się tak niespokojnie wyczekiwani przez nich Amerykanie. Las Vegas atakował wróg równie niebezpieczny, choć dużo lepiej znany – Indianie Nawaho.

Pomalowani w barwy wojenne jeźdźcy przybyli od strony gór[3]. Już w Las Vegas wydali ze swoich gardeł przeciągły okrzyk, który ledwo przebudzonym mieszkańcom przypominał pohukiwanie sowy.

– Ahuuuuuuuuuuu, ahuuuuuuuuuuu!

Wojownicy Nawahów dosiadali koni na oklep albo siedzieli w siodłach z owczej skóry. Powodowali swoimi wierzchowcami, używając wodzy ze splecionego w warkocz końskiego włosia. W rękach dzierżyli maczugi i tarcze sklejone z warstw jeleniej skóry, zdjętej z byczych bioder – w tym miejscu jest ona najgrubsza. Na podeszwach mokasynów mieli wymalowane węże – wierzyli, że to pozwoli im podkradać się do ofiar cicho i przebiegle. Stalowe groty strzał wojownicy maczali we krwi grzechotnika i miąższu owoców opuncji zmieszanym z węglem drzewnym pochodzącym z drzewa rozerwanego przez piorun. Wielu z nich nosiło na głowach dziwne, ciasno dopasowane hełmy wykonane ze skóry zdjętej z głowy pumy.

Zanim którykolwiek z zaatakowanych mieszkańców osady zdążył podnieść muszkiet, Nawahowie porwali setki, a może i tysiące kóz oraz owiec, zagonili konie, zabili jednego nastoletniego pasterza, a drugiego porwali.

Zniknęli równie szybko, jak się pojawili. W bladym świetle poranka gonili zagarnięte stada wąskimi ścieżkami, które łączyły się z szerszymi szlakami, a w końcu z zakurzonymi arteriami, gdzie trawa została doszczętnie wytarta przez kopyta przepędzanych zwierząt[4]. Tymi ówczesnymi złodziejskimi autostradami Nawahowie uwozili zrabowaną zdobycz na daleki Zachód, do swojej ojczyzny.

KSIĘGA PIERWSZA

Ludzie przyszłości

Moja igła długo się waha […] i w końcu pokazuje gdzieś między zachodem a południowym zachodem. Tam czeka na mnie przyszłość i z tamtej strony ziemia wydaje się niewyczerpana i bogata[1].

Henry David Thoreau

1

Skok w bok

W ciągu dwóch dekad, podczas których przemierzał krainy Zachodu, Christopher Carson żył pełnią życia. Kiedy miał ledwie trzydzieści sześć lat, wydawało się, że zrobił już wszystko to, co było do zrobienia na zachodnich pustkowiach – był wszędzie i poznał wszystkich. Jako traper łowiący zwierzęta futerkowe, przewodnik i eksplorator przebył tysiące kilometrów w Górach Skalistych, a także w leżącej za nimi Wielkiej Kotlinie i dalej w górach Sierra Nevada, Wind River, Teton i na górskim wybrzeżu Oregonu. Jako myśliwy przemierzył wzdłuż i wszerz Wielkie Równiny, podążając za wielkimi stadami bizonów. Dotarł do brzegów Oceanu Spokojnego, zawędrował w głąb Meksyku, a także eksplorował daleki Północny Zachód, który był wtedy we władaniu Brytyjczyków. Przeszedł kilka pustyń – Sonorę, Chihuahua oraz Mojave. Zajrzał do Wielkiego Kanionu, stanął na wymarłych brzegach Wielkiego Jeziora Słonego. Nigdy nie widział ani rzeki Hudson, ani Potomaku, ale odnalazł wszystkie ważne rzeki Zachodu – Kolorado, Platte, Sacramento, San Joaquin, Kolumbię, Green River, Arkansas, Gilę, Missouri, Powder, Bighorn, Snake, Salmon, Yellowstone i Rio Grande.

Wydaje się, jakby Carson był obecny u zarania dziejów. Był świadkiem narodzin amerykańskiego Dzikiego Zachodu, jego brutalności i żywotności. W swoich ciągłych podróżach poznał wszystkie najważniejsze plemiona indiańskie i wszystkich znaczących ludzi – a przynajmniej się o nich otarł. Zachód uformował go w stopniu danym tylko nielicznym białym.

Na pierwszy rzut oka Kit Carson nie robił wielkiego wrażenia, ale to były tylko pozory stanowiące część jego uroku. Nikczemna postura i dość prostacki sposób bycia zdawały się nie przystawać do ogromu przestrzeni, jaką przemierzył. Liczył sobie niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, a proste brązowe włosy opadały mu na ramiona. Jego kwadratowe szczęki były zwykle mocno zaciśnięte, a szaroniebieskie oczy świdrowały

rozmówców. Kąciki ust lekko mu opadały, co sprawiało, że ciągle wyglądał na lekko zniesmaczonego otaczającym go światem. Skóra między jego brwiami przypominała przeoraną ziemię, jakby zastygła w bruzdę od ciągłego mrużenia oczu. Czoło miał wysokie i zmarszczone, a włosy zaczesane gładko do tyłu. Przy lewym uchu miał bliznę, drugą na prawym barku – obie pozostawione przez kule. Wydaje się też, że długoletnie siedzenie w siodle pokrzywiło mu nogi. Chodził jak kaczka, niezgrabnie, tak jakby nie czuł się dość pewnie, stąpając po ziemi. Lekko i pewnie czuł się za to w siodle.

Carson miał też dziwne przyzwyczajenia i przesądy[5]. Nigdy nie strzelał drugi raz do zwierzęcia, które starał się upolować, jeśli za pierwszym razem chybił – to by przyniosło, jak sądził, pecha. Nigdy nie zaczynał też niczego w piątek. Ubierał się schludnie i skrupulatnie oprawiał wszystkie zabite przez siebie zwierzęta. Wierzył w omeny. Kiedy miał złe przeczucia co do czegoś albo kogoś, poddawał się swoim instynktom. Trudne życie na szlaku nauczyło go ciągłej ostrożności. Był wyczulony na zagrożenia. Pewien dziennikarz, który towarzyszył Carsonowi podczas konnej wyprawy, z ciekawością obserwował jego wieczorne rytuały.

„Siodło, którego zawsze używał jako poduszki, służyło mu też za osłonę głowy. Na nim zostawiał odbezpieczone pistolety. A swój ulubiony karabin trzymał pod kocem, ułożony wzdłuż ciała, gotowy do natychmiastowego użycia. Nigdy też nie siadał i nie kładł się w pełnym świetle padającym od ogniska”[6].

Podczas podróży, jak zauważył dziennikarz, Carson „prawie się nie odzywał”, a jego oczy „cały czas przeczesywały okolicę, jakby w poczuciu ciążącej na nim odpowiedzialności”.

A kiedy już się odezwał, mówił z nosową intonacją rodem z głębokiego Missouri – używając słów takich jak *thar* i *har*, *ain’t* i *yonder*, *thataway* i *crick* oraz *I reckon so*[2]. Wydawało się oczywiste, że ten skończony człowiek Zachodu pochodził z Missouri, stanu matki i miejsca narodzin pogranicza rozciągającego się za rzeką Missisipi.

Na Zachodzie Carson nauczył się mówić biegle po hiszpańsku i francusku, umiał też dogadać się w językach Nawahów, Jutów, Komanczów, Czejenów,

Arapaho, Wron, Czarnych Stóp, Szoszonów, Pajutów, a także innych plemion. Znał też indiański język migowy. Potrafił więc porozumieć się właściwie z każdym plemieniem Zachodu. Mimo tej biegłości językowej, Kit Carson był analfabetą.

Był człowiekiem gór, należał więc do bractwa znanego z zamiłowania do zabawy i braku strachu przed Bogiem. Carson odstawał jednak od tego towarzystwa, był „czysty niczym biały kieł", jak ujął to jeden z jego koleżków. Lubił pograć w pokera i często ćmił fajeczkę, ale pił oszczędnie i nie uganiał się za panienkami. Ożenił się z latynoską dziewczyną z Taos, Josefą Jaramillo. Delikatna, o oliwkowej skórze i młodsza od Kita o osiemnaście lat Josefa „była piękna wyniosłą, łamiącą serca urodą", jak opisał ją pewien zadurzony w niej dziennikarz z Ohio[7]. „Mrugnięcie jej oka wystarczało, by mężczyzna zaryzykował życie, otrzymując w nagrodę tylko jej uśmiech". Kiedy wychodziła za Carsona, była odrobinę wyższą od niego piętnastolatką. Miała też ciemną skórę i błyszczące oczy, a jeden z jej krewnych określił ją jako „dobrze zbudowaną i w każdym calu pełną gracji". Cristóbal, jak mówiła o mężu Josefa, był jej bez reszty oddany i żeby zadowolić jej rodzinę, przeszedł na katolicyzm.

Szczególnie jako mężczyzna żonaty Carson nie był skłonny do przechwałek typowych dla człowieka gór. „W zachowaniu Kita nie było nic z maniery połykacza ognia – napisał jeden z jego apologetów. – Wręcz przeciwnie: zachowywał się całkowicie bezpretensjonalnie".

– A więc to pan jest tym słynnym Kitem Carsonem, który pogonił kota tylu Indianom – powiedział kiedyś Carsonowi pewien oficer[8].

– Tak, ale zazwyczaj to oni poganiali kota mnie – odpowiedział Kit.

Miał specyficzne i niedoceniane poczucie humoru. Kiedy żartował, zwykle ironicznie się uśmiechał, a oczy łobuzersko mu błyskały. Kiedy coś go ubawiło, wybuchał „krótkim, ostrym i szczekliwym śmiechem"[9]. Mówił cicho, używając krótkich, przemyślanych zdań, w sposób – według jednego z przekazów – „mocny, powolny oraz konkretny, z wykorzystaniem minimalnej liczby słów".

– Klął tylko wtedy, kiedy to było konieczne – opowiadał o Carsonie jeden z jego przyjaciół.

O tak, Christopher Carson był uroczym człowiekiem. Prawie każdy to przyznawał. Był lojalny, uczciwy i miły. Wielokrotnie zachowywał się odważnie i elegancko. Wielokrotnie ratował innym życie, nie żądając za to ani uznania, ani zapłaty. Był ujmującym dobrym samarytaninem – bohaterem, można by rzec.

Był także urodzonym mordercą. Trudno pogodzić jego urocze usposobienie z dziką przemocą, której nadużywał. Carson był brutalny nawet jak na owe czasy i świat, w którym żył (ówczesny Zachód był tak dziki, że nie obowiązywało na nim pojęcie bezprawia – żadnego prawa tam bowiem nie było). Jego gwałtowny temperament ujawniał się bez ostrzeżenia. Jeśli ktoś Carsonowi podpadł, ten robił wszystko, żeby go dopaść. Oddawał się wendecie z taką pasją, jakby była ona dla niego najwyższą świętością. Był skoncentrowany na pościgu niczym pies gończy, niczym członek dzikiego plemienia – a jego szczepem było słynące z radosnego chowania urazy plemię szkocko-irlandzkie.

Kiedy czasem proszono go, żeby opisał swoje przygody – co czynił nader niechętnie – opowiadał o nich zimnym, pozbawionym emocji głosem, zachowując język zawodowego zabójcy. Swoje potyczki lubił nazywać „ładnymi".

– To była najładniejsza walka, jaką kiedykolwiek widziałem – mówił[10].

Pościg za wrogami nazywał „sportem"[11]. Po tym, jak wziął udział w prewencyjnym napadzie – który wielu nazwało masakrą – na indiańską wioskę położoną nad rzeką Sacramento w Kalifornii, opowiadał, że była to „perfekcyjna rzeź"[12].

Makabryczna ekwilibrystyka słowna tamtych czasów sprawiała, że nikt nie nazywał go „zabójcą Indian". O Carsonie mówiono, że „walczył z Indianami". Choć może nie było to wtedy zajęcie szlachetne, to z pewnością cieszyło się szacunkiem. Trzeba jednak podkreślić, że Kitowi obca była nienawiść do Indian, w każdym razie na pewno nie odczuwał do nich jakiejś abstrakcyjnej rasowej niechęci. Nie był Custerem, Sheridanem ani Andrew Jacksonem[3]. To prawda, zabijał Indian, ale także przyjaźnił się z nimi, kochał ich, wyprawiał im pogrzeby, a nawet się z nimi żenił. Więcej życia przeżył po indiańsku niż na sposób białego człowieka. Większość jego

indiańskich ofiar padła w walkach, które Carson uważał za uczciwe, a przynajmniej w takich, w których równie dobrze mógł zginąć on sam. To prawdziwy cud, że wyszedł z nich wszystkich żywy. Sam nie potrafił zliczyć sytuacji, kiedy śmierć prawie go dopadła.

Carson rzadko bywał bezpośrednio cytowany, więc trudno dziś powiedzieć, co naprawdę sądził o Indianach, o przemocy, której się oddawali on i jemu podobni, czy o czymkolwiek innym. Jego autobiografia, którą podyktował w połowie lat pięćdziesiątych XIX stulecia (i którą pewien „głuchy" pisarz, nazywany delikatnie „dupkiem", zamienił w biografię), to zbiór suchych faktów, który nie jest zbyt pomocny w zrozumieniu, kim naprawdę był Kit Carson. Podobno potrafił opowiadać świetne historie przy ognisku, ale jego książka starannie unika pogłębionych opinii. Jego niechęć do perorowania jest z jednej strony odświeżająca – w końcu żył w złotych czasach wygadanych chwalipiętów – ale z drugiej strony jego powściągliwość na temat tych kilku wielkich wydarzeń w jego życiu jest niezwykła. Był i ciągle jest czymś w rodzaju sfinksa amerykańskiego Zachodu – widział wiele, wiedział swoje, ale trzymał język za zębami.

Christopher Houston Carson urodził się w drewnianej chacie w hrabstwie Madison w stanie Kentucky w wigilię Bożego Narodzenia 1809 roku – tego samego, w którym (również w Kentucky) urodził się Abraham Lincoln. Rok później rodzina Carsonów spakowała manatki i ruszyła na zachód, na pogranicze w Missouri. Mały Chris, na którego rodzice mówili Kit, siedział w siodle w ramionach matki. Carsonowie wybrali sobie kawałek ziemi w pobliżu rzeki Missouri, który wykroili z połaci nabytej przez synów Daniela Boone'a[4] od Hiszpanów jeszcze przed słynnym zakupem Luizjany[5]. Cały ten region nosił piętno ich nazwiska – mówiono nań Boone's Lick[6], bo w okolicy znajdowały się pokłady soli, które przyciągały zwierzęta i które rodzina Boone'ów z sukcesem eksploatowała. Boone'owie i Carsonowie szybko się zaprzyjaźnili – pracowali razem, spędzali razem wolny czas, a także zawierali ze sobą małżeństwa.

Niebieskooki Kit był cichym i upartym dzieckiem, na którym można było polegać. Mimo delikatnej budowy ciała – prawdopodobnie dlatego że urodził

się dwa miesiące przed czasem – był twardy, silny i miał duże zręczne dłonie. Jego pierwszą zabawką była drewniana strzelba wystrugana przez jednego z braci. Ojciec Kita Lindsey Carson, doceniając jego intelekt, marzył, że chłopak zostanie w przyszłości prawnikiem.

Sam Lindsey był farmerem pochodzącym z prezbiteriańskiej rodziny o szkocko-irlandzkich korzeniach. Większość młodości spędził w Karolinie Północnej. Podczas wojny o niepodległość walczył pod generałem Wade'em Hamptonem. Miał bardzo liczne potomstwo – pięcioro dzieci z pierwszą żoną i dziesięcioro z drugą, matką Kita Rebeccą Robinson. Z tej piętnastki Kit był dzieckiem jedenastym.

Booneslick, choć słabo zagospodarowane, było już jednak zasiedlone. Wśród zamieszkających je plemion indiańskich byli między innymi Winebagowie, Potawatomi i Kikapowie. Indianie ci żyli w dolinie rzeki Missouri od pokoleń i często odnosili się wrogo oraz agresywnie wobec bladych twarzy. Dlatego dla własnego bezpieczeństwa osadnicy mieszkali razem, stłoczeni w drewnianych chatach pobudowanych w pobliżu fortów, a mężczyznom wychodzącym w pole towarzyszyli uzbrojeni wartownicy patrolujący granicę lasu. Każdy zdrowy mężczyzna w Booneslick należał do lokalnej milicji. Większość domków została wyposażona w otwory strzelnicze – osadnicy mogli zabarykadować się w środku i bronić się przed atakiem Indian. Kit i jego rodzeństwo dorastali w ciągłym poczuciu zagrożenia porwaniem.

– Kiedy szliśmy do szkoły albo gdziekolwiek indziej daleko od domu – wspominała siostra Kita, Mary Carson Rubey[13] – zabieraliśmy ze sobą skrawki czerwonego materiału. W razie porwania przez Indian mieliśmy rzucać je za siebie, żeby pościg mógł nas wytropić.

Według Mary jej brat Kit, nawet jeszcze jako mały chłopiec, był godnym zaufania nocnym wartownikiem.

– Myśmy spokojnie spali, bo na każdy hałas poza domem Kit natychmiast podnosił głowę i czujnie nastawiał ucha. Zawsze czułam się stuprocentowo bezpiecznie, kiedy on stał na warcie.

Pewnego razu, kiedy Kit miał cztery lata, Lindsey Carson wraz z kilkoma innymi mężczyznami wybrał się obmierzać działkę i został napadnięty przez

Indian z plemion Sauków i Lisów. Ojciec Kita omal nie zginął. Odłupana wystrzałem kolba strzelby urwała mu dwa palce lewej dłoni. Jeden z mężczyzn, William McLane, poległ w walce. Według obrazowego opisu tego starcia Indianie wycięli z jego ciała serce i je zjedli.

Choć tego typu incydentów było sporo, to jednak wiele plemion mieszkających w okolicy – zapewne z powodów pragmatycznych – żyło w przyjaźni z białymi osadnikami. Mały Kit Carson bawił się z indiańskimi dziećmi. Saukowie i Lisy często odwiedzali osady w Booneslick, żeby pohandlować. Już jako dziecko Carson pojął jedną z najważniejszych nauk życia na pograniczu – nie było po prostu „Indian", ale plemiona, które różniły się od siebie zasadniczo, a czasem były wrogo do siebie nastawione. Dlatego z każdą grupą Indian należało postępować inaczej.

Zanim osadnicy – jak Boone'owie czy Carsonowie – dotarli w okolice rzeki Missouri, porastała je, tak jak zresztą sporą część Ameryki Północnej, gęsta puszcza. Żeby wykarczować ziemię pod uprawy, pionierzy czasem zakładali drzewom „opaski" – usuwali korę naokoło pnia, a drzewo samo umierało. Ale najszybszym sposobem wykarczowania lasu było podpalenie go. Pewnego pięknego dnia 1818 roku Lindsey Carson wypalał las niedaleko swojego domu. Nagle z jednego z płonących drzew ułamał się gruby konar. Gałąź spadła i zabiła ojca Kita na miejscu.

Kit miał wtedy ledwie osiem lat. W jednej chwili jego życie dramatycznie się zmieniło. Choć część dzieci Lindseya Carsona już dorosła i wyprowadziła się z domu, samotnej Rebekce Carson została jeszcze cała dziesiątka do wykarmienia i wychowania. Carsonowie zaczęli żyć w upiornej nędzy. Kit przestał chodzić do szkoły, musiał poświęcić się pracy w polu, obowiązkom domowym i polowaniom, żeby zapewnić rodzinie mięso. Sam później opisał swoją ówczesną sytuację tak: „Złapałem za strzelbę i wyrzuciłem elementarz – tak to było"[14].

Przez jakiś czas Kit pracował u sąsiadów. Ale w 1822 roku jego matka ponownie wyszła za mąż. Oporny chłopak, jakim był Kit, szybko zbuntował się przeciwko ojczymowi. Kiedy miał czternaście lat, matka i ojczym oddali go na naukę zawodu u Davida Workmana, znanego w okolicy rymarza, który

mieszkał w małej osadzie Franklin w Missouri. Chłopak nienawidził żmudnej pracy w zamkniętym pomieszczeniu. Przez prawie dwa lata siadał codziennie na zydelku, reperował uprzęże i za pomocą narzędzi rymarskich formował kawałki skóry. Franklin ulokowano na wschodnim krańcu nowo otwartego Szlaku Santa Fe, więc zakład Workmana często odwiedzali traperzy i handlarze, wypełniając go podniecającymi opowieściami z dalekiego Dzikiego Zachodu. Umorusani podróżnicy w cuchnących piżmem skórzanych ubraniach i futrach musieli mocno imponować Kitowi. Możemy sobie wyobrazić, jak zaczęły się kręcić tryby jego wyobraźni. Siedział nieszczęśliwy w tym swoim „więzieniu", otoczony przez nożyce, szydła i przebijaki, trawiony przez niezwykłe opowieści zasłyszane od dzikich ludzi Zachodu, i w końcu zaczął marzyć o Santa Fe. Te dwa słowa nie oznaczały dla niego konkretnego miejsca, ale nowe życie, otwarte przestrzenie i możliwość zobaczenia świata.

Szlak Santa Fe został otwarty ledwie dwa lata wcześniej. Młodym mieszkańcom Missouri, jeśli tylko mieli błysk ambicji i ochotę na włóczęgę, rozkwitający na prerii handel jawił się jako zajęcie pełne przygód. Na Zachodzie rodziły się nowe fortuny. Przez pokolenia Hiszpania nie godziła się na handel pomiędzy USA a Santa Fe, a amerykańscy podróżnicy schwytani w Nowym Meksyku byli rutynowo zatrzymywani i traktowani jak niebezpieczni szpiedzy. Ale kiedy w 1821 roku Meksyk wywalczył sobie niepodległość, amerykańskie towary i cła, którymi można je było obłożyć, stały się tam pożądane. Blokada została zniesiona, a mieszkańcy USA nagle stali się pożądanymi gośćmi. Długi szlak pomiędzy Santa Fe a zachodnimi siedliskami Amerykanów zaroił się od podróżnych. Szybko ukuto nowe określenie dla tych, którzy wyruszali w daleką drogę do Santa Fe – określenie niosące w sobie zapach nieznanego. O podróżnikach, którzy opuszczali znany świat Missouri, mówiło się, że „skoczyli w bok".

Oczarowany historiami, które słyszał w zakładzie rymarskim, i „ciekaw nowych krain"[15], Kit postanowił zerwać kontrakt czeladniczy. Choć uważał swojego pracodawcę za „dobrego człowieka", od samej pracy się dusił.

– Ta robota mi nie odpowiadała – opowiadał beznamiętnie. – Więc postanowiłem ją rzucić[16].

Carson rozumiał, że gdyby został u Workmana, „musiałby spędzić życie na pracy, którą gardził”.

W sierpniu 1826 roku, w wieku szesnastu lat, Carson potajemnie zaciągnął się do pomocy przy wielkiej wyprawie handlowej, która ruszała do Santa Fe.

– To co ty właściwie potrafisz robić? – zapytał przywódca karawany, kiedy Kit ubiegał się o pracę[17].

– Nic – odpowiedział Carson. – Ale potrafię dobrze strzelać.

Kit został więc chłopcem stajennym. Była to najniższa możliwa funkcja w karawanowej hierarchii. Jako chłopiec stajenny miał dbać o *caballada*, czyli stado zapasowych koni, mułów oraz wołów, które zawsze zabierano ze sobą w daleką podróż, żeby zastąpiły te, które osłabły albo padły. To była zwykła kowbojska robota – zaganianie, karmienie i dyscyplinowanie zwierząt – ale Kit ją uwielbiał. Cieszył się, że każdego dnia mógł siedzieć w siodle, zamiast je naprawiać.

A więc Kit wykonał „skok w bok”. Kiedy jechał już na Zachód, jego porzucony pryncypał z Franklin zamieścił ogłoszenie w „Missouri-Intelligencer” – miejscowej gazecie. Mistrz rymarski David Workman oznajmiał światu, że jego czeladnik uciekł. To wtedy, po raz pierwszy w historii, nazwisko Kita Carsona ukazało się w druku.

> Ogłasza się wszem i wobec, że CHRISTOPHER CARSON – chłopiec w wieku około szesnastu lat, niski jak na swój wiek, ale solidnej budowy, o jasnych włosach – uciekł od swojego mistrza, z którym od pierwszego albo około pierwszego września zeszłego roku wiązał go kontrakt zobowiązujący do nauki rzemiosła rymarskiego. Prawdopodobnie udał się do północnych rejonów stanu. Informuje się wszystkich, że chłopcu temu nie wolno – pod groźbą przewidzianej prawem kary – udzielać gościny, pomocy ani jakiejkolwiek asysty. Ktokolwiek przyprowadzi chłopaka z powrotem, otrzyma nagrodę w wysokości jednego centa[18].

Prawo zobowiązywało Workmana do zgłoszenia nieobecności wychowanka. Niemniej między słowami jego anonsu można wyczytać, że nie był zbyt gorliwy w poszukiwaniach Kita. Być może nawet pomógł mu w ucieczce. Powyższe ogłoszenie ukazało się w druku aż miesiąc po tym, jak Carson zniknął. Czekając tak długo i podając fałszywą wskazówkę dotyczącą rzekomego kierunku ucieczki, no i oferując tak marną nagrodę, Workman

najwyraźniej pochwalał decyzję Kita o wyjeździe na Zachód. Być może życzył mu nawet „szerokiej drogi”.

W autobiografii Carson wspomina tylko jedno zdarzenie ze swojej pierwszej wyprawy przez prerię. Pewnego dnia, kiedy karawana podróżowała wzdłuż wielkiego zakrętu rzeki Arkansas w dzisiejszym stanie Kansas, jeden z jej członków, niejaki Andrew Broadus, miał wypadek. Ponieważ konwój zaprzęgów wjechał już na obszar zamieszkiwany przez bizony, podróżnicy musieli zwracać uwagę na watahy wilków polujące na migrujące stada. Kiedy Broadus zobaczył wilka, chcąc chronić zwierzęta w karawanie, sięgnął po strzelbę. Ta jednak wystrzeliła za wcześnie i kula zraniła go w prawe ramię.

W ciągu kilku dni w ranę wdało się zakażenie, a potem gangrena. W karawanie nie było żadnego lekarza, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że tylko amputacja może ocalić życie Broadusowi. On sam cierpiał bardzo, krzyczał żałośnie z każdym podskokiem swojego powozu. Ale ciągle uparcie nie zgadzał się na nieuchronny zabieg. Mijały cenne dni, a zakażenie nieodwołalnie zdobywało nowe terytoria jego ręki.

W końcu członkowie wyprawy mieli dość krzyków Broadusa. Przytrzymali go, a jeden z nich przeciął chorą skórę brzytwą. Inny zabrał się za piłowanie kości ramienia, a jeszcze inny przypalał otwarte naczynia krwionośne za pomocą rygla wyjętego z powozu i rozgrzanego do czerwoności w ognisku. Broadus wił się z bólu, a Kit przyglądał się całej scenie jak zaczarowany, z szeroko otwartymi oczami. Próbował też pomóc, jak mógł. Według jednego z mało wiarygodnych opisów zgłosił się nawet na ochotnika do wykonania pierwszego cięcia. Jedno jest pewne. Męka, którą oglądał, uzmysłowiła szesnastoletniemu chłopakowi, że ludzie na prerii potrafią wymyślić całą serię drastycznych, acz pomysłowych środków zaradczych, jeśli sytuacja ich do tego zmusi.

Zabieg dobiegł końca i Broadus przestał krzyczeć. Mężczyźni zakleili mu ranę prowizorycznym opatrunkiem zrobionym ze smaru, który ściągnęli z osi jednego z powozów. Biorąc pod uwagę okropne warunki higieniczne podczas podróży, większość jej uczestników nie dawała operowanemu wielkich szans. A jednak jego rana szybko się zagoiła. Jak wspominał Carson, kiedy

karawana wjechała do Nowego Meksyku, Andrew Broadus był „w wyśmienitej formie”[19].

Kit Carson był zafascynowany życiem na szlaku. Z kolei samo miasto Santa Fe nie przypadło mu do gustu. Karawana wtoczyła się z jękiem do dawnej stolicy [hiszpańskiej kolonii] i wywołała zamieszanie wśród jej znudzonych mieszkańców. Ale Kit nie zagrzał tam miejsca. W autobiografii wyjątkowo rzadko wspomina to miasto. Tak szybko, jak mógł, wyruszył do Taos, górskiej osady zbudowanej z białej suszonej cegły, jakieś sto dziesięć kilometrów na północ od Santa Fe. Tamtejszy niewyszukany sposób życia bardziej przypadł mu do gustu. Taos stało się jego domem na całe życie – nawet gdy w nim nie mieszkał, żywił do niego sentyment.

Rozłożona na krzaczastej równinie u stóp oszałamiającego pasma poszarpanych gór Sangre de Cristo wioska Don Fernando de Taos była zagraconą osadą hiszpańską liczącą sobie kilka tysięcy dusz, wybudowaną obok prastarego miasta Indian Pueblo. Ci ostatni od wieków żyli w błotnej cytadeli złożonej z domów o płaskich dachach, ustawionych jeden na drugim na wysokość sześciu pięter. Miasto wzięło swoją nazwę od grubych wierzb, które ciasno porastały brzegi strumienia płynącego przez pueblo – *taos* w języku Tiwa oznacza „ludzi (spod) czerwonych wierzb”. Kilka kilometrów na zachód od osady rzeka Rio Grande wyżłobiła w ziemi głęboki wąwóz, w którym zimna woda pieniła się, płynąc dwieście metrów pod krawędzią kanionu.

Taos było w ówczesnym czasie stolicą handlu futrami na Południowym Zachodzie. Niezależni traperzy i ludzie gór związani z różnymi firmami – Kompanią Zatoki Hudsona, Amerykańską Kompanią Futrzarską czy Kompanią Futrzarską z Gór Skalistych – zjeżdżali do niego na zimę. Spędzali tam czas, reperując sidła i wydając zarobione latem pieniądze na szaleńcze imprezy – tańce, hazard, miłość i gorzałkę. Ich ulubioną trucizną był lokalny samogon o ładnej nazwie „Błyskawica z Taos”. Ta pszeniczna wódka stała się pewnego rodzaju walutą używaną w handlu przez traperów, Meksykanów i Indian. Traperzy tworzyli wyróżniający się tłumek w tej oddalonej od świata, prowincjonalnej osadzie. Miejscowi nie cierpieli tych nieokrzesanych

obcokrajowców, ale jednocześnie zazdrościli im ich dalekich wędrówek i łatwości, z jaką podrywali *squaw*. Traperski styl życia daleko odbiegał od surowych norm moralnych zalecanych przez lokalnych katolickich *padres.*

Niezwykłe bractwo ludzi gór przyciągało Kita jak magnes. Oczarowało go ich poczucie wolności, fachowość i powiew obcego powietrza, który ze sobą wnosili. Przyrzekł sobie, że zostanie jednym z nich – jeśli tylko go zaakceptują. Następną zimę spędził u trapera i eksploratora Matthew Kinkeada, który był starym znajomym jego ojca jeszcze z Missouri. To ów doświadczony człowiek pogranicza nauczył Carsona, jak przeżyć w górach. Zimowe i śnieżne miesiące spędzane przy ognisku w zadymionej przez płonące sosnowe szczapy chacie Kinkeada sprzyjały nauce hiszpańskiego i dialektów indiańskich. Kit dowiedział się też, jak samemu uszyć skórzane ubranie i jak ze skóry bizona wypełnionej łupinami po kukurydzy złożyć wygodne posłanie. Z kolei podczas pierwszego polowania na bizony nauczył się suszyć paski mięsa, a potem mielić je na pemikan. Poznał też ceniony przez Indian smak ciepłej jeszcze bizoniej wątroby – pociętej na plasterki od razu po wyjęciu ze świeżo zabitego zwierzęcia i skropionej żółcią wyciśniętą z woreczka żółciowego[20].

W 1828 roku, tuż po wzięciu udziału w wyprawie konwoju powozów do El Paso i innych robotach na Szlaku Santa Fe, Kit zaciągnął się jako kucharz do pracy u trapera Ewinga Younga. Otworzył on właśnie sklep w Taos, w którym oferował wyposażenie wypraw traperskich. Osiemnastoletni Kit okazał się dobrym kucharzem. Choć z drugiej strony brudni wędrowcy, przyzwyczajeni do tak dziwacznych dań podróżnej kuchni jak mięso pumy, psa, muła, niedźwiedzia czy surowe jaja – byli dość niewybredni. Ich kulinarne motto brzmiało „mięso to mięso”[21]. Mówiło się zresztą, że traperska dieta opływała w smalec i słoninę, stąd po ludziach gór „deszcz spływał jak po wydrze i byli oni wytrzymali na zimno jak niedźwiedzie polarne”[22].

Wiosną 1828 roku Kit mówił już tak dobrze po hiszpańsku, że najął się do pracy jako tłumacz w karawanie kupieckiej jadącej do Chihuahua. Trasa podróży biegła przez przeszło półtora tysiąca kilometrów Camino Real [Szlaku Królewskiego]. Starożytne miasto, słynące z ozdobnej katedry,

pięknego kamiennego akweduktu i kolonialnej architektury, zostało wzniesione dzięki fortunom brutalnie wyrwanym z lokalnych kopalni srebra. Chihuahua była najbardziej ekscytującym miastem, jakie Carson kiedykolwiek odwiedził. We wszystkich swoich wędrówkach nie zapuścił się też dalej na południe.

Po tej podróży Kit zaczął pracować jako woźnica w kopalniach miedzi w pobliżu miejscowości Santa Rita w południowo-zachodniej części Nowego Meksyku. Wiosną 1829 roku Ewing Young zaproponował mu udział w dalekiej wyprawie około czterdziestu traperów z Taos na ziemie Apaczów – dotąd jeszcze przez białych nieodwiedzane – do zlewni rzeki Gila. Tak spełniło się marzenie Carsona – choć był jeszcze żółtodziobem, mógł wyruszyć w swoją pierwszą prawdziwą traperską podróż. Traperką będzie się zajmował przez następnych kilkanaście lat.

Niezwykle trudno było w ten sposób zarobić na życie, ale Carsona to nie zniechęcało. Rejestr traperów, który na zlecenie Kongresu USA powstał w 1831 roku, tak opisywał ludzi gór:

> Ich życie jest pełne ryzyka i niedostatku […] prowadzących do przedwczesnego wyczerpania organizmu i niepełnosprawności. Niewielu z zaangażowanych w tę profesję dożywa wieku dojrzałego. Wykonują wyniszczającą pracę, żyją ubogo, a Indianie słyną z nagłych i gwałtownych wybuchów gniewu, podczas których nie oszczędzają ani przyjaciół, ani wrogów[23].

Choć Carson nie mógł o tym wiedzieć, na Wschodzie o traperach snuto pasjonujące historie. Stali się oni archetypem romantycznego dzikiego życia na wolności, o którym opowiadali tak znani pisarze jak Washington Irving i James Fenimore Cooper. Handel futrami wyniósł ku sławie wielu z traperów – choćby Jima Bridgera i Jedediaha Smitha. Niemniej dzięki dziwnym zbiegom okoliczności sława Kita Carsona miała przyćmić ich wszystkich.

Pierwsza wyprawa w góry, na której Carson zarobił, była szczególnie ambitna i ryzykowna. Oprócz zwykłych niebezpieczeństw – niedźwiedzi grizli, Indian, wyziębienia organizmu, a także głodu i pragnienia – jej uczestnikom groziły też sankcje ze strony meksykańskich władz – wyprawa

była bowiem nielegalna. Większość traperów ruszało na północ, by szukać szczęścia w dzikich i bezludnych rejonach Gór Skalistych. Young zaplanował jednak wyprawę na zazdrośnie strzeżone, choć mocno nieszczelne granice Meksyku. Rząd w Santa Fe bardzo rzadko udzielał obcokrajowcom zezwoleń traperskich, więc aby zmylić władze, Ewing poprowadził swoją drużynę na północ, w góry, a potem zatoczył koło i podążył na południowy zachód przez kraj należący do Nawahów i Zuni, by dopiero stamtąd udać się w stronę rzeki Gila. Jej zlewisko było rzadko odwiedzane przez traperów. Ekipa Younga natrafiła więc na bogate zasoby bobra i innych zwierząt.

To od Younga i międzynarodowego towarzystwa biorącego udział w tej eskapadzie Carson zaczął przejmować tajniki zawodu trapera. Nauczył się czytać teren, w którym się znajdował, i przeszukiwać płynące nim strumyki. Dowiedział się, jak wyglądają rzeczne brzegi oczyszczone przez bobry z drzew, a także jak stawiać pułapki i za pomocą kastoreum, gęstej żółtej wydzieliny z gruczołów płciowych bobra, oznaczać je nęcącym śladem zapachowym. Nauczył się również wyprawiać i pakować futra oraz ukrywać je w ziemi tak, aby się nie zniszczyły lub nie zostały skradzione. Doświadczeni traperzy pokazali mu także, co zrobić, jeśli żadne zwierzę nie wpadnie w sidła – jak zniszczyć bobrowe tamy i dopaść zwierzęta w ich ciemnych, wilgotnych żeremiach.

Nowi towarzysze Carsona przekonali go też, że można delektować się bobrzym ogonem gotowanym tak długo, by osiągał niezwykłą delikatność – było to w końcu pokazowe danie trapera. Kit nauczył się również posługiwać popularnym wśród traperów karabinem Hawkena i słynnym traperskim nożem Green River do skórowania. Zaczął też chwytać dziwny język, którym posługiwali się ludzie gór – mieszaninę francuskiego, hiszpańskiego, angielskiego i dialektów indiańskich ubarwioną wyrażeniami wymyślonymi na poczekaniu. *Wagh!* było ich ulubionym przerywnikiem. Na futra i skóry [ang. *pelts*] mówili *plews*. Nie zwracali sobie głowy żadnymi zbędnymi „fafarałami” [*fofurraws* – wyrafinowanym ubiorem, zbytkiem], ale za to mścili się na zdeklarowanych wrogach. A kiedy jeden z nich zginął, mówili, że „stracili włosy” (skalp). Zadawali dziwaczne pytania w stylu: „Którędy

płynie twój patyk?” (co wybierasz?) i raz do roku spotykali się na ogromnych imprezach na wolnym powietrzu, które nazywali *rendezvous*. Tańczyli na nich fandango i bez końca rżnęli w trzy karty, jukera albo grali w dziecięce gry w palce. Siedzieli też przy ogniskach do późna w nocy, ćmiąc gliniane fajeczki, i konkurowali na opowieści o swoich dalekich wyprawach na Zachód[24]. Opowiadali o górskiej dolinie w Wyoming, która była tak wielka, że echo potrzebowało aż ośmiu godzin, żeby odbić się od jej ścian i powrócić do krzyczącego człowieka. Dlatego wędrowiec mógł wieczorem wrzasnąć: „Pobudka!”, ułożyć się spokojnie do snu, a rano obudzić się, słysząc swój własny głos.

To od tych traperów Carson zaczął się uczyć postępowania z Indianami Dzikiego Zachodu. Dowiedział się, jak przejrzeć zasadzkę, kiedy walczyć, a kiedy wspomóc się blefem, kiedy brać nogi za pas, a kiedy negocjować. Wątpliwe, by jakakolwiek inna grupa dziewiętnastowiecznych Amerykanów miała szersze i bliższe kontakty z pierwszymi mieszkańcami kontynentu amerykańskiego. Ludzie gór żyli z Indianami, walczyli u ich boku i przeciwko nim, kochali ich, żenili się z nimi, grzebali ich, uprawiali z nimi hazard, a także palili fajki. Nauczyli się ubierać jak Indianie, nosili indiańskie fryzury i jedli to co oni. Przybierali indiańskie imiona. Zostawali ojcami dzieci z mieszanych związków. Mieszkali w tipi, ciągnęli włóki[7], prowadzili indiański handel wymienny i wykorzystywali tubylcze ziołolecznictwo. Wielu z nich było pół-Indianami – przez krew albo ducha.

Tak traperów Dzikiego Zachodu opisywał Washington Irving:

> Z czystej próżności albo ambicji odrzucają wszystko, co nosi stempel cywilizacji, i przejmują maniery, gesty, a nawet chód Indian. Nie można sprawić traperowi większego komplementu niż przekonać go, że przez pomyłkę wzięło się go za indiańskiego zucha[25].

Traperzy na własnej skórze poznali zaciekłą waleczność rdzennych Amerykanów. Niektóre plemiona – Czarne Stopy czy Komancze – wręcz z niej słynęli. Ludzie gór wiedzieli jednak, że walczyli oni inaczej niż wojujący po europejsku biali. Indian trudno było wciągnąć w otwartą walkę, ich styl opierał się na rajdach, ataku z zaskoczenia i odskoku, uderzaniu

z ukrycia i znikaniu. Traperzy porównywali ich do wilków – jeśli zaczniesz uciekać, na pewno pobiegną za tobą; a jeśli zaczniesz je gonić, uciekną[26].

Traperzy mordowali Indian w niezliczonych potyczkach na śmierć i życie. Niektórzy zaznaczali nawet na kolbach swoich strzelb każdego zabitego przez siebie tubylca. Prawdziwa rzeź była jednak mniej spektakularna. Przedstawiciele zachodniej cywilizacji korytami rzek i górskimi przełęczami wdzierający się w głąb Ameryki sprowadzili do krainy Indian ospę i tyfus. Przynieśli im broń palną, whisky i choroby weneryczne. Zaczarowali tubylców pieniędzmi i błyszczącą stalą. A dmuchając im w twarze cuchnącym od alkoholu oddechem, szeptali przerażające wieści o czarnych chmurach zbierających się na Wschodzie – o sile, która uparcie parła przez kontynent, zdobywając kolejne ziemie i łamiąc karki opornych.

Tej wiosny Carson i cała partia Ewinga Younga pracowała u brzegów rzek spływających do Gili, posuwając się w głąb krainy, która jeszcze nie widniała na mapie. Pewnego dnia ich obozowisko nad rzeką Salt odwiedzili Apacze. Ponieważ ich zamiary wydawały się wrogie, większość ludzi Younga schowała się pod siodłami, jukami i kocami, zachęcając „gości” do uderzenia na rzekomo łatwy cel. Jak wspomina Carson, „okoliczne wzgórza szybko zaroiły się od Indian”[27]. Kiedy Apacze zaatakowali, traperzy poderwali się na nogi i podnieśli strzelby. Także Carson wycelował i strzelił. Zabił tego dnia swojego pierwszego Indianina, pakując mu kulę – jak to opisał jeden z jego biografów – „prosto w sutek, w który celował, i prosto w bijące pod nim serce”[28].

Carson nie wspomina o tym w swojej autobiografii, ale według jednego ze świadków wyciągnął z pochwy nóż, złapał martwego Apacza za włosy i oskalpował go. To był zresztą znany zwyczaj ludzi gór.

Carson miał wtedy dziewiętnaście lat.

2

Kraina światła

Mieszkańcy Nowego Meksyku żyli w stanie ciągłego napięcia w związku z napadami Nawahów. Osadnicy musieli być wiecznie czujni, ciągle nasłuchiwali i wpatrywali się w krzaki porastające okolicę, szukając podejrzanego ruchu. Każdy znał jakąś rodzinę, z której porwano dziecko albo kobietę. Pastwiska rozciągające się u stóp gór ozdabiały kopczyki udekorowane krzyżami lub kwiatami. Upamiętniały pasterzy, którzy padli w starciu z Indianami. Już w młodości mieszkańcy Nowego Meksyku uczyli się nienawiści i strachu wobec słowa „Nawaho".

Także inne plemiona napadały na nowomeksykańskie osady. Na północy atakowali Jutowie, na wschodzie Indianie Kiowa i Komancze, a na południu Apacze. Ale Nawaho byli najsilniejsi, najbogatsi i najbardziej elastyczni ze wszystkich wrogich plemion. W tej prastarej krainie od dawna pełnili funkcję bicza bożego. To z powodu uporczywych najazdów Nawahów pierwsza stolica hiszpańskiej kolonii w Nowym Meksyku, osada nad rzeką Rio Grande nazywana San Gabriel, została w 1610 roku porzucona. Przeniesiono ją w bezpieczniejsze rejony dzisiejszego Santa Fe. Słowo *Nawaho* – w języku Indian Pueblo oznaczające „ludzi z wielkich pól uprawnych"[29] – pojawiło się w hiszpańskich dokumentach w 1626 roku (sami Nawahowie mówili o sobie *Diné*, czyli po prostu „ludzie"). Na początku XVII wieku pewien hiszpański zakonnik raportował o Indianach „Nabahu, bardzo wojowniczym ludzie […], który okupuje nasze granice i nas otacza"[30].

W 1659 roku ojciec Juan Ramirez nazywał Nawahów „bezbożnikami zabijającymi chrześcijan i biorącymi ludzi żywcem, żeby ich potem poddawać okrutnym mękom"[31]. Pół wieku później hiszpański gubernator Nowego Meksyku Francisco Cuervo y Valdez potępiał Nawahów za „ich zbrodnie, śmiałość i zuchwałe grabieże dokonywane w tym królestwie"[32].

Przez pewien czas Hiszpanie próbowali nawrócić Diné na chrześcijaństwo. Według jednego z doniesień czasem nawet dosłownie przykuwali ich do kościelnych ławek. Ale Indianie nie tolerowali hiszpańskich misjonarzy. W 1672 roku grupa Nawahów wywlekła pewnego księdza z kościoła, zerwała z niego ubranie, a potem u stóp krzyża stojącego na zewnątrz rozbiła mu głowę kościelnym dzwonem. W połowie XVIII wieku Hiszpanie dali sobie wreszcie spokój z szerzeniem swojej wiary wśród *indios barbaros*[33]. W 1750 roku pewien ksiądz smętnie zanotował, że Nawahowie „nie mogą przyjąć chrześcijaństwa albo osiąść w jednym miejscu, bo są jak te jelenie”[34].

Przez stulecia Hiszpanie organizowali więc odwetowe ataki, zapuszczając się w głąb kraju należącego do Diné. Próbowali odzyskać porwane zwierzęta gospodarskie i wziąć niewolników, ale ich ekspedycje wojskowe nie powstrzymały indiańskich najazdów. Ojczyzna Nawahów przypominała labirynt i była tak rozległa, że wszelkie łupy nie były warte wysiłku wkładanego w organizację wypraw. Podbicie tej krainy wydawało się równie beznadziejnie nieprawdopodobne jak nawrócenie jej mieszkańców na chrześcijaństwo. Kraina ta, jak w latach trzydziestych XVII wieku napisał pewien hiszpański kronikarz, „jest rozleglejsza od wszystkich innych […]. Przemierzając ją na zachód, nie da się dojechać do jej krańców”[35].

Nawahowie mieszkali daleko, a jednak często pojawiali się w pobliżu – tak jakby ogromne odległości, które musieli pokonać w pustynnym terenie, nie były dla nich przeszkodą; tak jakby nie ograniczała ich geografia. To głównie ciągła groźba ataków ze strony Nawahów czyniła Nowy Meksyk krajem biednym i anemicznym, który nie był gotowy na odparcie nadchodzącej inwazji Amerykanów. Gubernator generał Manuel Armijo wyraził to najlepiej w swoim liście do przełożonych, który w 1846 roku wysłał do Mexico City. Jak napisał, „wojna przeciwko Nawahom powoli trawi nasz Departament, sprowadzając nań oczywistą nędzę”[36].

To w sumie dziwne, że Diné tak mocno zagrażali nowomeksykańskim osadom, bo w całej Ameryce Północnej nie mieli oni reputacji wojowników szczególnie walecznych czy skutecznych. Rzadko wdawali się w duże bitwy i nie powstały u nich towarzystwa wojskowe typowe wśród plemion

Wielkich Równin. Za wszelką cenę unikali też zabijania – głęboko w ich kulturę wpisany były strach przed śmiercią, która wydawała się im odpychająca. Nie lubili ani trupów, ani pogrzebów, a wszelka myśl o śmiertelności była im niemiła. Kiedy w domostwie Nawahów – owalnej, pozbawionej okien i przykrytej kopulastym dachem chacie z błota i patyków, zwanej hoganem – ktoś umarł, ciało było usuwane przez otwór specjalnie w tym celu wycięty w północnej ścianie. Potem chatę równano z ziemią. Skalania domu przez śmierć nie dało się bowiem zmyć. Jej obecność prowadziła do czarnej magii, zwabiała niechciane duchy i złe moce, w efekcie naruszając chwiejną równowagę sił rządzących światem.

Nawahowie nie znali jednak konceptu diabła występującego w mitologii judeochrześcijańskiej[37]. W ich pojęciu nie było jednego złego ducha, który prowadziłby walkę z dobrem. Wystarczały im duchy zmarłych, które potrafiły być złośliwe, dokuczliwe i niewyobrażalnie przerażające – a do tego wszechobecne. Potrafiły nawet nawiedzić człowieka w snach.

Nawahowie wierzyli też w istnienie czarownic, które nazywali „chodzącymi w skórach” i o których powiadano, że kryją się pod skórami wilków i rozkopują groby[38]. Widywano je nocą, jak łażą na czterech kończynach. Miały blade, białe twarze oraz błyszczące czerwienią oczy i recytowały święte pieśni wspak, wzywając w ten sposób złe siły. Bezcześciły groby, okradając je z biżuterii. Ze zmielonych ciał umarłych robiły truciznę nazywaną „trupim pyłem”. Kiedy dmuchnęły nim komuś w twarz, dusza takiej osoby zaczynała chorować. Wykorzystywały nawet skrawki paznokci czy włosy zmarłych, żeby wyczyniać swoje diabelstwa.

Lud tak wrażliwy na śmierć nie potrafił wychować wielkich wojowników. Poza tym struktura społeczna była u Nawahów nawet luźniejsza niż u innych indiańskich plemion. Nie mieli przywódców politycznych, stolicy ani głównego placu, na którym się zbierali. Byli lojalni wobec około sześćdziesięciu klanów i niezliczonych lokalnych grupek. Te cechy nie predestynowały Nawahów do wymyślania szeroko zakrojonych strategii militarnych.

Z drugiej strony byli oni niezrównanymi mistrzami najazdu. Walka w stylu partyzanckim wydawała się im odpowiadać. Zaskakiwali jak wiatr, stali się

ekspertami od ataków wierzchem i złodziejskiego fachu, a ich bronią były błyskawiczne napady i ucieczki. Bandyckie rajdy zwykle przeprowadzali ambitni niedojrzali mężczyźni, głodni przygody i bogactwa. Żywiołowi młodzi wojownicy często wyruszali na wojenny szlak wbrew woli swoich ojców, wujów i innych starszych mężczyzn, którzy już swoje bogactwa zdobyli i żyli na tyle długo, żeby wiedzieć, że każda akcja zbrojna ma swoje niekoniecznie pozytywne konsekwencje.

Młodzież na wojennej ścieżce nie zawracała sobie głowy takimi myślami. Wojownicy przygotowywali się do walki, przez całe dnie siedząc w łaźni parowej i oczyszczając ciała oraz dusze. Śpiewali pieśni skierowane do Zabójcy Potworów, wielkiego boga wojny, w którego wierzyli: „Nasi wrogowie zginą! Kojoty, wrony i wilki rozwloką ich ciała na wszystkie strony świata!”.

Gromadzili też kamienne maczugi i ozdabiali swoje tarcze orlimi piórami. Tatuowali ciała. Czynili się niewidzialnymi dla wroga, obsypując pyłkiem kukurydzy swoje tarcze. Potem nakładali skórzane zbroje i wyruszali konno na wschód, w stronę hiszpańskich rancz.

Niepewni wyniku rajdu wojownicy Nawahów czasem sięgali po błogosławieństwo „trzęsących ręką”. Odwiedzali też „patrzących w gwiazdy”, którzy zasięgali dla nich rady w niebiosach, rozcierając pod powiekami miksturę, w skład której wchodziła między innymi zbierana z trudem wydzielina z oczu orła[39]. Żonom wojowników nie pozwalano opuszczać chat aż do szczęśliwego powrotu mężów z wojennej ścieżki – jak wierzono, kobieta, która podczas zagranicznej wyprawy swojego wojownika oddaliłaby się od domu, sprowadziłaby na niego nieszczęście. Jeśli drogę wojowników przeciął kojot, wracali do domu[40]. Jeśli nadepnęli na tropy niedźwiedzia albo zobaczyli węża zrzucającego skórę, jeśli przez pomyłkę jedli podczas zaćmienia bądź na swoją zgubę zauważyli, że jeden z nich założył na siebie koc tak, że jego pasy się krzyżowały – ekspedycja mogła zakończyć się marnie.

A gdy wszystko przebiegło zgodnie z planem i wojownicy dotarli bezpiecznie do celu, przyczajali się aż do świtu. Tuż przed wschodem słońca wychodzili z ukrycia i wydawali z siebie mrożący krew w żyłach okrzyk.

W ciągu kilkuminutowego ataku zagarniali konie, bydło, porywali kobiety i dzieci, a także wszystko to, co zdołali odnaleźć i zabrać w chmurze kurzu, którą wzbijali w niebo swą szarżą.

Czasem powodem wyprawy było odbicie brańca porwanego przez Meksykanów. Wyzwolenie niewolnika było dla Nawahów zawsze powodem do radości. Choć zdarzało się, że odbity Indianin, często sprzedany w niewolę jako dziecko i wychowany w kulturze hiszpańskiej, bywał przerażony wolnością zwracaną mu przez szarżujących jeźdźców. Wyzwalani niewolnicy bali się powrotu do plemiennego życia, które ledwie pamiętali.

Wojownicy wyprawiali się jednak głównie po owce i kozy. Nawahowie, co było rzadkością wśród Indian amerykańskiego Zachodu, byli ludem głównie pasterskim. Utrzymywali się z wypasu i strzyżenia owiec, pili kozie mleko i byli mistrzami w przędzeniu wełny. Wiedli powolny i czujny styl życia, który antropologowie nazywają transhumancją[41] – byli metodycznymi półkoczownikami i w zależności od pory roku przepędzali swoje stada w poszukiwaniu pastwisk na tereny położone wyżej albo niżej nad poziomem morza. Taki prastary styl życia prowadziło zresztą wiele ludów na całym świecie, ale w Ameryce Północnej właściwie go nie znano. Pasterskie zwyczaje Nawahów zbliżały ich do starożytnych Greków, Żydów i Arabów, a oddalały od współczesnych im innych plemion indiańskich.

Ich słynne wełniane koce należały do najlepszych na świecie. Zdobiły je śmiałe, geometryczne rysunki zrobione czerwoną i czarną nicią. Nawahskie koce były też tak gęsto tkane, że – jak niosła wieść – można w nich było trzymać wodę. Na Szlaku Santa Fe koc, który wyszedł spod ręki Nawahów, był wart dziesięciu bizonich skór[42].

Cały świat Diné obracał się wokół owiec. Rozmawiali ze swoimi stadami, karmili je z ręki pyłkiem kwiatów, a w zimowe noce śpiewali im kojące pieśni, które miały ochronić je przed chłodem.

– Owca jest twoją matką – mówili Nawahowie dzieciom. – Owca to życie.

Większość narzędzi i innych przedmiotów codziennego użytku wytwarzali ze skór, z kości oraz ścięgien owiec i kóz. Spali na owczych skórach. Podróżne sakwy szyli z wełnianych koców połączonych łodygami juki. Swoje zwierzęta zjadali prawie w całości – lubili ich płuca i wątroby, głowy

i serca. Smakowała im nawet krew, którą gotowali i mieszali z miazgą kukurydzianą, przygotowując cienki, różowy kleik. Przysmakiem, którym Nawahowie uwielbiali się zajadać, były owcze jelita owinięte ciasno wokół kawałków słoniny i przypieczone bezpośrednio na węglach ogniska.

Kiedy w XVI wieku Hiszpanie zaczęli zasiedlać Amerykę, Nawahowie odkryli, że twarde i zwinne owce rasy churra, które konkwistadorzy przywieźli ze sobą, świetnie nadawały się do wypasu w skalistym terenie[43]. Przystosowane do życia w trudnym środowisku na wyżynach Półwyspu Iberyjskiego i poruszające się na szczudłowatych nogach owieczki jadły prawie wszystko, a duże odległości i ostre wzniesienia nie były im straszne. Miały też gęstą i szorstką wełnę, która nie zawierała za dużo wosku – włosie porastające inne rasy owiec były zwykle aż tłuste od lanoliny – więc nie trzeba jej było prać przed przędzeniem.

Konie, także przywiezione przez Hiszpanów, odmieniły życie Nawahów na zawsze. Dzięki nim zyskali szybkość i mobilność, które uczyniły z nich złodziei owiec pełną gębą. Wreszcie mogli bezkarnie okradać praktycznie bezbronne stada wypasane w długiej dolinie rzeki Rio Grande. Dzięki koniom rozwój ich pasterskiej kultury nabrał właściwej prędkości. W niecałe stulecie po przybyciu Hiszpanów owca stała się lokalną walutą Nawahów, oznaką ich statusu społeczno-ekonomicznego. Żywiła ich i ubierała, dawała im siłę i stała się najważniejszym obiektem w ich półkoczowniczym życiu – formą bogactwa na czterech nogach.

Ale Diné nie wiedli prostego życia rabusiów stad. Uprawiali pola i sady, prowadzili ożywiony handel, wypracowali skomplikowane rytuały i tworzyli epickie historie oraz pieśni charakteryzujące się złożoną tonalnością. Wydaje się, że zajmowali się wszystkim – końmi i innymi zwierzętami hodowlanymi, uprawą roli, polowaniem, zbieractwem i tkactwem. Zdarzało się nawet, że wyruszali na prerię, żeby zapolować na bizony, zupełnie jak Indianie Wielkich Równin. Byli pragmatykami o jasnym spojrzeniu na świat, a jednocześnie bujającymi w obłokach mistykami. Nie wiedli osiadłego trybu życia jak Indianie Pueblo, ale nie byli też czystymi nomadami jak Jutowie. Ich geniusz polegał na umiejętności zachowania równowagi pomiędzy tymi dwiema skrajnościami. Wymykali się jednoznacznej definicji: półnomadzi,

ale przywiązani do swej ziemi; przenosili się z miejsca na miejsce zależnie od pory roku, wykorzystując surowe pustynne środowisko[44].

Nawahowie, tak jak spokrewnieni z nimi językowo Apacze, należą do rodziny atapaskańskiej i przywędrowali na Południowy Zachód szlakami wiodącymi przez Góry Skaliste, wyruszywszy z pogranicza Kanady i Alaski. Wyobraźnia podpowiada, że być może po prostu zebrali się na opuszczonej przez Boga łasze śniegu pod szalejącą na niebie zorzą polarną i uradzili, że dosyć tego zimna! W rzeczywistości ich exodus do krain południowych nie był chyba jednak żadnym zaplanowanym ruchem. Była to raczej powolna i stopniowa wędrówka, podczas której wielokrotnie zawracali i poruszali się raczej chaotycznie.

Atapaskowie zaczęli zasiedlać Południowy Zachód około 1300 roku. Nawahowie przybyli w jednej z późniejszych fal migracji. Oddzielili się od Apaczów i z pierwotnej zbieracko-łowieckiej społeczności ewoluowali w chyba najbardziej prężny i zróżnicowany ze wszystkich ludów zamieszkujących nowe tereny. W ciągu ledwie kilku stuleci wypracowali – czerpiąc to, co najlepsze ze wszystkich kultur, z którymi się zetknęli – styl życia, który uczynił z nich odrębną wspólnotę.

Ich mit o stworzeniu świata, który nazywają „Pojawieniem się”[45] i który do dziś sobie opowiadają, to, jak sądzą antropologowie, alegoria długiej wędrówki z Kanady[46]. „Pojawienie się”, opowiadane w wieczornych pieśniach i rytuałach odprawianych podczas zimowych miesięcy, ukazuje unikalne cechy kultury Nawahów – wczesną historię ich nieustannej ucieczki, kiedy byli wiecznymi outsiderami i wygnańcami z licznych krajów, których zmuszono do licznych wędrówek przez obce i ciemne lądy, aż dotarli do „Krainy światła”, jak nazywali swój obecny dom. Ilustruje także tendencję Nawahów do postrzegania samych siebie jako narodu wybranego Południowego Zachodu, przekonanego o swoich wyjątkowych relacjach z bogami i wierzącego w potęgę rytuałów. „Pojawienie się” opowiada też o plemieniu, które chętnie podchwytuje cudze idee i miesza się z innymi ludami. Mimo więc że plemienna duma Nawahów graniczyła z arogancją, to arogancję tę łagodziły niezwykła otwartość na obce tradycje i naturalna

łatwość wprowadzania do swojej społeczności innych sposobów życia, a nawet innej krwi.

W tym sensie Nawahowie byli najbardziej amerykańskimi ze wszystkich amerykańskich Indian. Byli imigrantami, mistrzami improwizacji i mieszańcami. Byli ruchliwi, niespokojni, zajmowali rozległe tereny, gdzie mogli żyć z dala od siebie, ale zarazem w granicach tej samej, wspólnej krainy. Spijali esencje innych kultur, wybierając z nich to, co im się podobało, i adaptując do swojego własnego stylu życia.

Ponadto nigdy nie kończyli tego, co zaczynali. Ukończonej roboty nie znosili wręcz organicznie – nieważne, czy chodziło o kosz czy koc, o pieśń czy opowieść. Ich wyroby nigdy nie mogły wyglądać zbyt doskonale, zbyt kompletnie: ostateczne zakończenie odbierało przedmiotom ducha ich twórcy i wysysało życie ze sztuki. Dlatego wytwory Nawahów pełne były niedoróbek i niedoskonałości, celowych błędów, dzięki którym rzeczy żyły. Dusili się na samą myśl o tym, że mogliby osiągać spełnienie. W przenośni i dosłownie zawsze zostawiali sobie wyjście awaryjne.

Nawet dzisiaj koce tkane przez Nawahów są lekko niedoskonałe, dzięki czemu oddychają i żyją. Taką celową „wadą” może być na przykład kolorowy pasek biegnący od środka koca aż do jego brzegu i czasem zakończony nieporządnie zwisającą pojedynczą nitką. Nawahowie trafnie nazywają go – i inne niedoskonałości wplecione w swoje wyroby – „ujściem dla ducha”[47].

Nawet podczas swoich słynnych rajdów nie dopełniali rozpoczętej roboty. Żeby mieć co rabować następnym razem, z napadanych przez siebie hiszpańskich osad porywali tylko część stad. Zawsze zostawiali kilka sztuk owiec i baranów, dzięki czemu byli pewni, że kiedy przyjadą rok później, będzie na nich czekać kolejne stadko[48].

3

Armia Zachodu

Ochotnicy ściągnęli z miasteczek i wiosek, z miejsc takich jak Independence, Liberty i Excelsior Springs, a także z wielu bezimiennych siedlisk rozsianych po dolinie rzeki Missouri. Zgłosiło się przeszło tysiąc sześciuset mężczyzn, synów farmerów i synów kaznodziejów, czeladników z zielonych wzgórz i zapadłych dziur. Patriotycznie pobudzeni opuścili swoje młyny i warsztaty kowalskie, a także swoje młode żony. Prezydent Polk[8] wzywał z Waszyngtonu ochotników na wojnę z Meksykiem, a kiedy wici dotarły do mężczyzn zamieszkujących tereny Missouri, i oni odpowiedzieli na wezwanie. Każdy chwycił za taką broń, jaką miał pod ręką, dosiadł konia i pognał do Fort Leavenworth, pogranicznej twierdzy we wschodnim Kansas, która była wówczas najdalszym posterunkiem amerykańskich sił lądowych.

Tam w maju 1846 roku podzielono ich na pułki i zakwaterowano w obozie rozłożonym na trawie nad brzegami rzeki Missouri. Pogwizdujące parowce mieliły jej mętne wody, tu i ówdzie wysadzając pasażerów. Co rano do obozowiska przyjeżdżali amerykańscy dragoni – wsadzeni na koń żołnierze piechoty będący prekursorami późniejszych kawalerzystów – którzy prowadzili wśród ochotników ćwiczenia mające uczynić z nich żołnierzy. Szkolili ich w wojowaniu zwartą formacją, w walce na szable i bagnety, uczyli ich maszerować i szarżować oraz celnie strzelać.

Dragonami dowodził Stephen Watts Kearny, twardy mężczyzna o królewskim wyglądzie, wtedy pułkownik, a wkrótce generał, który na zachodnich równinach stanie się legendą. Jego żołnierze porządnie wzięli się do musztrowania rekrutów, choć zadanie z pozoru wydawało się beznadziejne. „Stanowią oni dość dobry, surowy materiał na żołnierzy – zanotował nieco rozpaczliwie jeden z poruczników – ale fakt, jest to materiał bardzo surowy”[49]. A jednak w ciągu kilku tygodni tę zbieraninę udało się

przekształcić w prawie porządne wojsko, które odtąd zaczęto nazywać Armią Zachodu.

W czerwcu, w przeddzień wymarszu, setki krewnych zgromadziły się na przedpolach Fort Leavenworth. Rodziny machały ochotnikom na pożegnanie, nie wiedząc, czy kiedyś jeszcze zobaczą swoich synów, braci i mężów. Panie z Missouri ze łzami przekazały wyruszającym w drogę wojskom amerykańskie sztandary, które miały poprowadzić je do zwycięstwa. Każdy z nich został mozolnie wydziergany ręcznie.

– Wolałybyśmy, żebyście padli w honorowym boju – powiedziała niejaka pani Cunningham z hrabstwa Clay, wręczając żołnierzom jeden ze sztandarów – niżbyście mieli powrócić zhańbieni tchórzostwem[50].

Jeden po drugim dowódcy poszczególnych kompanii podchodzili, żeby odebrać swoje proporce i poprzysiąc, że ich podwładni spełnią swój obowiązek.

– Raczej śmierć niż hańba – zadeklarował jeden z nich. – Miłość do kraju jest jak miłość do Boga[51].

Następnego ranka Armia Zachodu ruszyła w drogę. Kolumny ludzi i zwierząt rozciągnęły się na kilka kilometrów, wzbijając w górę chmury pyłu w marszu po nierównym trakcie. Jedni jechali konno, drudzy szli pieszo, a wszyscy razem zajmowali szeroki pas prerii. Woły zaprzęgnięto do wozów, na które załadowano amunicję, zapasy soli i wojskowe suchary. Z Fort Leavenworth wyruszyło też prawie piętnaście tysięcy sztuk bydła. Z wojskiem ciągnęły również juczne muły obładowane elementami górskich haubic i innych dział. Słońce świeciło w plecy mieszkańców Missouri, którzy maszerowali pod sztandarami głoszącymi, że *E pluribus unum*[9].

Osie skrzeczały pod podskakującymi na wozach beczkami melasy, bekonu i mąki. Woźnice strzelali batami, poganiając zaprzęgi wołów.

– Dalej, dalej, nie zostawać w tyle! – krzyczeli.

Szlak cuchnął spienionym zwierzęcym potem oraz świeżym nawozem i moczem – kwaśnym zapachem odchodzącej armii. Na dalekim przodzie kolumny od czasu do czasu słychać było wystrzał z pistoletu. To jeźdźcy z przedniej straży oczyszczali drogę z grzechotników, których było na prerii pełno.

Armia Kearny’ego podążała tą samą pełną kolein drogą, którą dwadzieścia lat wcześniej wyruszył Kit Carson – Szlakiem Santa Fe. Dwumiesięczna podróż miała być mozolna i bolesna, ale przynajmniej przebiegała pewnym traktem. Tym wijącym się przez prerię szlakiem podążali dotąd kupcy. Teraz zyskał on znaczenie wojskowe, a armia, która nim maszerowała, była wystarczająco potężna, żeby podbić ogromne połacie Zachodu.

Krótko za Fort Leavenworth skończyły się ostatnie pola kukurydzy i wioski będące przyczółkami amerykańskiej cywilizacji. Przed żołnierzami stanął otworem potężny kraj. Przez następne tysiąc dwieście kilometrów mieli oni nie ujrzeć żadnych domów i osad. Weszli na pustkowie często oznaczane na ówczesnych mapach jako Wielka Pustynia Amerykańska. Była to głusza na zachodnich krańcach USA, o której sądzono, że nie będzie z niej żadnego pożytku. Można było najwyżej wygnać do niej Indian – wśród plemion od dawna zasiedlających prerię pojawili się na przykład Czirokezi, przegnani ze Wschodu przez białych. Wielkich Równin nie uważano wtedy za pełnoprawną część Stanów Zjednoczonych. Były to dzikie tereny, oficjalnie nazywane Wiecznym Pograniczem Indiańskim.

Kiedy morze traw otoczyło mężczyzn z Missouri, dopadły ich samotność i poczucie wyobcowania – w końcu zostawiali za sobą całe dotychczasowe życie. Na Wschodnim Wybrzeżu większe miasta powoli łączono liniami telegraficznymi. Na prerii natomiast nie było żadnych przewodów, pociągów, ani nawet dyliżansów przewożących pocztę ekspresową. Żołnierze nie mieli więc możliwości napisania do domu.

Kiedy któryś z nich chorował i umierał, co zdarzało się dość często podczas długiego marszu do Nowego Meksyku, chowano go w płytkim grobie wykopanym w lessowej glebie przy drodze. Ciało zawijano najpierw w koc, a potem w amerykańską flagę[52]. Protokół pogranicza przewidywał też – choć trudno powiedzieć, skąd się wziął ten zwyczaj – że na grobie stawiano siodło zmarłego, a jego buty wkładano w strzemiona, z których zwisały do góry obcasami. Po honorowym salucie z trzech karabinów żołnierze przykrywali grób kamieniami, żeby ochronić go przed wilkami. Musieli jednak uważać, żeby kurhan nie był zbyt wysoki, bo takie

przyciągały uwagę żyjących na prerii Indian, którzy czasem lubili cudze groby sprofanować.

Armia Zachodu maszerowała Szlakiem Santa Fe, a świat wokół niej stawał się pięknie surowy. Wśród łąk skakały koniki polne. Drzewa rosły coraz rzadziej, aż w ogóle przestały się pojawiać, a żołnierzy wchłonęły porastające prerię ogromne trawy i inne zielska – kwiaty wyglądające jak słoneczniki albo chryzantemy, a także kolorowo kwitnące zioła. Na brzegach wijących się strumyków wyrastały czasem krzaczaste wierzby. Zwykle jednak preria rozlewała się aż po horyzont niczym falujący ocean.

John T. Hughes, młody ochotnik z miejscowości Liberty w Missouri, w cywilu nauczyciel szkolny, był poruszony widokiem Armii Zachodu maszerującej po prerii. Jak zanotował, „bezkresne równiny, na których falowała zieleń, zdawały się łączyć z niebiosami na dalekim horyzoncie. Jak wzrok sięgał, przez pofałdowany teren ciągnęły kolumny kawalerii, nad nimi wesoło powiewały sztandary, a obok nich jechały powozy”[53].

Szybko jednak Hughes wyzbył się romantycznych złudzeń. Po tygodniu podróży – jak pisał – marsz stał się „powolny i żmudny”. […] Muły i inne zwierzęta, nieprzyzwyczajone do takiego wysiłku, stały się oporne i uparte. Trawa rosła wysoko i gęsto, a ziemia była w wielu miejscach tak miękka, że obładowane wozy zapadały się w niej aż po osie”.

Stephen Watts Kearny zdawał się urodzonym dowódcą Armii Zachodu. Choć służbista, był jednocześnie dość ostrożnym pragmatykiem. Kiedy wyruszali, miał pięćdziesiąt dwa lata i pozostawał w stopniu pułkownika – dopiero na szlaku do Nowego Meksyku dotarła do niego wiadomość o promocji na generała brygady. Był też jednym z najlepszych i najbardziej inteligentnych oficerów służących w amerykańskich siłach lądowych. Na Wielkich Równinach spędził trzy męczące dekady swojego życia. Eksplorował i ochraniał porośnięte prerią pustkowia Terytorium Luizjany, które w 1803 roku prezydent USA Thomas Jefferson kupił od Napoleona.

Kearny doskonale znał trudy podróżowania po prerii, jej zmienną pogodę i surowy klimat, żyjące tam dzikie zwierzęta oraz przytłaczające podróżnika poczucie osamotnienia. W siodle albo statkiem przemierzył tysiące

kilometrów Dzikiego Zachodu. Pływał po rzekach Missouri, Yellowstone, Arkansas i Red River. Po drodze budował forty, wypełniał białe plamy na mapach, podpisywał traktaty i szkolił wojska. Służył pod dowódcami, którzy zyskali sławę na pograniczu – pułkownikami Henry'm Dodge'em i Henry'm Leavenworthem[10]. Ożenił się z Mary Radford, pasierbicą słynnego eksploratora Williama Clarka[11].

Choć pochodził ze Wschodu i miał patrycjuszowskie podniebienie (uwielbiał wyborne wina), Kearny zakochał się w twardym życiu na pograniczu. Delektował się mięsem niedźwiedzia, borsuka i jelenia. Wyprawy przekraczające tysiąc kilometrów były dla niego pestką. W 1845 roku, tuż przed wymarszem Armii Zachodu, poprowadził niesłychanie żwawą ekspedycję z Fort Leavenworth do Przełęczy Południowej w Górach Skalistych[12] i z powrotem. Przeszło trzy i pół tysiąca kilometrów pokonał w ledwie dziewięćdziesiąt dziewięć dni, nie ponosząc przy tym żadnych strat w ludziach. Nie sprawiało mu też kłopotu spędzenie mroźnej zimy na jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi posterunku znajdującym się na końcu znanego świata. Z przyjemnością wspominał zimę 1840 roku w Fort Leavenworth. Opowiadał, jak atrament zamarzł mu w piórze podczas pisania listu[54]. Termometr pokazywał 23 stopnie [30,5°C] poniżej zera.

Wielokrotnie palił fajkę z Indianami. Nauczył się ich języków i rozumiał ich ubarwiony metaforami sposób mówienia. Kiedyś przypochlebił się jednemu z wodzów Dakotów, komplementując jego „sławę wzbijającą się w niebo niczym orzeł"[55]. Podczas narady z Indianami Oglala[13] delektował się miejscowymi przysmakami – gotowaną psiną i zabarwioną krwią wodą rzeczną nalewaną z bizoniego żwacza.

Kearny dostrzegał, z jasnością rzadką wśród żołnierzy pogranicza z jego pokolenia, że alkohol wyniszcza Indian Ameryki Północnej. Wszędzie na prerii, gdzie spotykał się z plemionami Wielkich Równin, „woda ognista" była jednym z głównych punktów jego przemówień.

– Macie wielu wrogów, ale ona jest najgroźniejszym z nich – mówił kiedyś podczas narady ze Siuksami. – Otwórzcie uszy i wsłuchajcie się w moje

słowa. Jeśli dostaniecie ją w swoje ręce, wylejcie ją na ziemię. Gleba może ją pić bez szkody, ale wy nie[56].

Kearny zdobył ogromne doświadczenie w kontaktach z Indianami Wielkich Równin. Co rzadkie w brutalnej historii Dzikiego Zachodu, jego spotkania z nimi zwykle przebiegały bezproblemowo. Wśród plemion był znany jako Shonga Kahega Mahetonga, czyli Siedzący W Siodle Wódz Długich Noży. Dogadywał się z Wronami, Czarnymi Stopami, Czipewejami, Mandanami, Paunisami, Winebagami, Potawatomami, Saukami i Lisami, a także z dziesiątkami innych plemion i szczepów indiańskich. Prawie zawsze obywał się bez przemocy. Czasem walczył przeciwko Indianom Wielkich Równin, ale zazwyczaj próbował rozsądzać spory pomiędzy nimi. Oni sami rozstrzygali je za pomocą wojen. A toczyli je zarówno ze swoimi tradycyjnymi przeciwnikami z prerii, jak i z nowo przybyłymi Czirokezami i Czikasawami oraz innymi „cywilizowanymi plemionami", które Amerykanie wygnali ze Wschodu w latach trzydziestych XIX stulecia i które miały od tamtej pory żyć na ogromnym i słabo zdefiniowanym Wiecznym Pograniczu Indiańskim.

Tragiczna amerykańska polityka wypychania za pomocą aktów prawnych plemion leśnych Indian na zachód i „przeszczepiania" ich specyficznej kultury na obcą im prerię otworzyła na Wielkich Równinach prawdziwą puszkę Pandory. Pojawiły się nowe konflikty i napięcia, które Kearny, będący wówczas młodym jeszcze oficerem, próbował zrozumieć i, na ile to było możliwe, rozwiązać. Jak zwięźle zanotował jeden z historyków, Kearny i jemu podobni z armii patrolującej pogranicze dostali niewdzięczne zadanie „narzucenia *Pax Americana* całemu sztucznie stworzonemu przez rząd i źle ze sobą żyjącemu indiańskiemu ludowi"[57].

Kearny był jednak urodzonym dyplomatą i charakteryzował się świętą cierpliwością. Stąd nadawał się do tego zadania jak nikt. Podczas kariery wojskowej odznaczył się uporem, dyskrecją i tolerancją. We wszystkich jego uczynkach „brakowało awanturnictwa", jak napisał jego biograf Dwight Clarke[58]. Prawdopodobnie głównie dzięki temu inwazja na Nowy Meksyk, której przewodził w 1846 roku, nie skończyła się tragicznie.

Ten niewysoki mężczyzna z orlim nosem i puklami siwiejących włosów opadających z szerokiego czoła wpatrywał się czujnie w swoich ludzi – i spoglądał w przyszłość – spod ciężkich, mięsistych powiek. Wojskowy dziennik zapisywał prostymi zdaniami pełnymi precyzji i pozbawionymi ozdobników. Jeden z historyków wojskowości nazwał kiedyś Kearny'ego „człowiekiem ścisłej dyscypliny – o poprawnych manierach i żelaznej woli"[59]. Jego rozkazy padały, jak wspominał jeden z jego podkomendnych, „jak grom z jasnego nieba"[60]. Ulysses S. Grant[14], który jako młody porucznik służył pod Kearny'ym we wczesnych latach czterdziestych XIX wieku, uważał go za „jednego z najznakomitszych oficerów swoich czasów"[61], człowieka, który potrafił utrzymać dyscyplinę „porządną, ale pozbawioną dokuczliwości". Kearny lubował się w wydawaniu proklamacji, które jego oficerowie odczytywali żołnierzom niczym niemal kazania. „Armia – grzmiał w jednym z nich – staje się najgorszym motłochem, jeśli tylko nie jest odpowiednio dowodzona i kiełznana. Żołnierze zostali powołani do wykonywania ważnych zadań ku chwale ojczyzny, ale owe zadania mogą zostać wykonane tylko przy zachowaniu twardej dyscypliny"[62].

Jego sesje szkoleniowe przeszły do legendy. Podczas musztry w koszarach Jefferson Barracks koło St. Louis koń Kearny'ego potknął się i przewrócił, przygniatając jeźdźca. Ale Kearny, zupełnie tym niezrażony, wydawał komendy spod brzucha wierzchowca. Jako autorytet potrafił jednak być nieznośnie surowy. Kiedyś napisał list do swojego syna Charlesa, namawiając go, żeby przyłożył się do nauki. „Jeśli nie będziesz się uczył i nie zdobędziesz zawodu, dzięki któremu będziesz mógł się utrzymać – ostrzegał – umrzesz z głodu"[63].

Wydaje się, że łagodniejsze uczucia Kearny żywił do koni. Przede wszystkim był bowiem koniarzem. Hołubił swoje wierzchowce i zawsze dbał o to, żeby były nienagannie wyszczotkowane i wyczesane. Uwielbiał je hodować i ścigać się na nich. Wstrętem napawał go szorstki sposób obchodzenia się ze zwierzętami, który praktykowano w ówczesnych siłach zbrojnych USA.

Kearny był też dowódcą amerykańskich dragonów, którzy stacjonowali w Fort Leavenworth. Była to elitarna jednostka stworzona w 1833 roku do patrolowania zachodniego pogranicza. Formację wzorowano na zasłużonych jednostkach dragonów francuskich, których uzbrojenie stanowiły między innymi krótkie muszkiety, zwane dragonami. Kearny osobiście wybrał sobie żołnierzy i zbudował jednostkę mającą zostać zalążkiem prawdziwej Kawalerii USA. To z tego powodu późniejsi historycy nazwą go „ojcem amerykańskiej kawalerii".

Nie ma nic dziwnego w tym, że szkolenie, które Kearny narzucił swojemu wojsku, w dużej mierze dotyczyło obchodzenia się z końmi. W pierwszym regulaminie Dragonów USA, napisanym przez samego Kearny'ego, zaleca się, by każdy żołnierz „był bardzo ostrożny i unikał straszenia albo niepokojenia swojego konia"[64]. Kearny, który sam mówił łagodnie, zalecał też dragonom, by przemawiali do swoich wierzchowców niskim, spokojnym głosem, niemal szeptem.

Pogranicze bardzo różniło się od rejonu USA, w którym Stephen Kearny się wychował. Pochodził z zamożnej rodziny mieszkającej w stanie New Jersey. Jego ojciec z powodzeniem handlował w Newark winem. Matka wywodziła się z manhattańskiej arystokracji, czyli tak zwanych Knickerbockerów. Jej ojciec John Watts był jednym z założycieli Nowojorskiej Biblioteki Publicznej i pierwszym prezesem zarządu Szpitala Nowojorskiego. Kearny przez dwa lata studiował na Uniwersytecie Columbia kulturę klasyczną, ale w 1810 roku pośpiesznie zaciągnął się do wojska, żeby walczyć w zbliżającej się wojnie ze Zjednoczonym Królestwem Wielkiej Brytanii i Irlandii. Ten pośpiech – Kearny nie zdążył ukończyć studiów – można tłumaczyć chęcią zamazania hańby ojca, który jako brytyjski lojalista został uwięziony podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, a potem musiał przez jakiś czas żyć na wygnaniu. Młody Kearny za wszelką cenę chciał udowodnić swój patriotyzm i przeciwstawić się znienawidzonym rojalistom.

W jednej ze wczesnych potyczek wojny brytyjsko-amerykańskiej 1812 roku – w bitwie rozgrywającej się na wzgórzach Queenston na brzegu rzeki Niagara – porucznik Kearny wykazał się odwagą, wspinając się po prawie

pionowym klifie i zdobywając pozycję brytyjskich żołnierzy. W tej porywającej, choć niefortunnie zakończonej bitwie (wojskami amerykańskimi dowodził generał dywizji Van Rensselaer) Kearny walczył u boku Winfielda Scotta, który później już jako generał i dowódca miał zasłynąć podczas wojny z Meksykiem. Lata później generał Scott wspominał, jak młody Kearny „wdrapał się na szczyt" wzgórz Queenston i „wypchnął nieprzyjaciela z pozycji", rozpraszając szeregi Brytyjczyków i sprzymierzonych z nimi Indian z plemienia Mohawków. Była to, jak twierdził Scott, „jedna z najwspanialszych potyczek tej wojny"[65]. A jednak następnego dnia Scott, Kearny i dziewięciuset innych Amerykanów zostało wziętych do niewoli przez wojska brytyjskie. Jeńców wojennych pognano do starej francuskiej cytadeli w Québecu, w której mieli przesiedzieć cztery miesiące.

Z tego okresu pochodzi pewna barwna historyjka dotycząca Kearny'ego. Więzionym w Cytadeli amerykańskim oficerom czasem pozwalano zjeść kolację z oficerami brytyjskimi. Pewnego wieczoru jeden z temperamentnych Anglików wzniósł toast za prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Za pana Madisona[15], żywego lub martwego! – krzyknął, wznosząc kielich.

– Za księcia Walii, trzeźwego lub pijanego – zuchwale odkrzyknął porucznik Kearny[66].

Kantyna zapełniła się wrzaskami, prawie doszło do bójki. Brytyjski oficer, który wzniósł obraźliwy toast, został jednak wyprowadzony z sali i wsadzony do aresztu.

Po zakończeniu wojny brytyjsko-amerykańskiej Kearny, prawdopodobnie wbrew życzeniu rodziców, postanowił zostać w wojsku. Kolejne stopnie wojskowe zaniosły go na Zachód, gdzie służył na coraz bardziej oddalonych od cywilizacji posterunkach, najpierw w okolicy Wielkich Jezior, a potem na wybrzeżu rzeki Missouri. Oprócz krótkiego okresu spędzonego w Nowym Jorku już nigdy nie miał służyć na Wschodzie.

4

Śpiewająca Trawa

Latem 1835 roku Kit Carson wziął udział w dorocznym traperskim *rendezvous*, które zorganizowano na wielkiej łące położonej w zakolu leniwie płynącej Green River w południowo-zachodniej części dzisiejszego stanu Wyoming. W słynnych zgromadzeniach ludzi gór uczestniczyli zawsze Indianie, którzy przyjeżdżali, żeby pohandlować, pouprawiać hazard i popić. Te imprezy trwały nawet miesiąc i bywało, że w ich trakcie traperzy żenili się z indiańskimi *squaw*.

Tego lata Carson miał już dwadzieścia pięć lat. Poprzedniej zimy, podczas ostrego starcia z wojownikami Czarnych Stóp, odniósł prawie śmiertelną ranę w ramię. Ciągle obolały i prawdopodobnie pod wpływem bliskiego spotkania ze śmiercią, zapragnął założyć rodzinę. Czy też może, jak mawiali ludzie gór, przyszedł czas, „coby się skobiecił".

Jedną z ładniejszych kobiet uczestniczących w *rendezvous* była młoda Indianka z plemienia Arapaho, na którą wołano Śpiewająca Trawa (Waa-ni-beh – nawet dźwięk tego imienia przypominał świst wiatru kołyszącego wysokimi trawami porastającymi prerię). Piękna Śpiewająca Trawa wpadła Kitowi w oko. Pech sprawił, że równie zauroczony był nią niejaki Joseph Chouinard. Ten kanadyjski traper pochodzenia francuskiego, znany jako Osiłek z Gór[67], był potężnie zbudowanym buńczucznym zawadiaką, który potrafił znakomicie strzelać. Pewien angielski poszukiwacz przygód opisał Chouinarda jako „głupkowato wyglądającego mężczyznę". Sam Carson widział w swoim rywalu „potężnego Francuza, jednego z tych apodyktycznych facetów, bardzo silnego"[68].

Krąży wiele wersji opowieści o ich pojedynku. Jest to chyba najczęściej przywoływany w literaturze dotyczącej ludzi gór epizod. Wydaje się, że wszystko zaczęło się pewnej nocy w obozie Arapahów, kiedy to Śpiewająca Trawa wybrała Carsona, a odrzuciła zaloty Chouinarda i innych

pretendentów, którzy chcieli zostać jej partnerami w tradycyjnym i ceremonialnym „tańcu zupy”. Upokorzony Francuz obraził Indiankę, a potem, według jednej z relacji, usiłował ją zgwałcić. Cokolwiek wtedy się wydarzyło, Carson i Chouinard rywalizowali o względy kobiety, co niewątpliwie rozpaliło ich emocje.

– Poszło o *squaw* – wspominał potem jeden ze znajomych Carsona z Taos. – A Francuz jakby się najadł szaleju[69].

To był punkt kulminacyjny całego zgromadzenia i Chouinard wpadł w trwający kilka dni alkoholowy cug. Nawiedzony przez, jak to nazwał Carson, „alkoholowego demona” nie odpuszczał nikomu, kto mu się postawił. Był zresztą znany z takich wyskoków, więc wszyscy starali się go ignorować – co jednak tylko go rozjuszało. Wyraźnie szukając zaczepki, Chouinard wtoczył się w końcu do obozu, w którym mieszkał Carson, i zaczął obrażać przebywających w nim Amerykanów.

– Płaczliwe uczniaki! Zaraz wezmę pstryczek i was pstryknę.

Kit miał go już dosyć.

– Nie tolerowałem takiej gadki u nikogo – wspominał później. – Więc powiedziałem mu, że jestem najpaskudniejszym Amerykaninem w obozie[70].

Jak wspominał jeden ze świadków tego wydarzenia, Carsonowi błąkał się wtedy na ustach „dziwny uśmieszek, tak jakby właśnie opowiedział jakiś świetny dowcip”[71].

– Albo natychmiast się uspokoisz, albo wyrwę ci flaki! – rzucił Kit.

Carson i Chouinard poszli po broń, a na placu głównym obozu zgromadził się tłum traperów i Indian. Nagle obaj konkurenci wgalopowali pomiędzy ludzi, wymachując bronią. Zahamowali ostro tak blisko siebie, że zetknęły się łby ich wierzchowców. Padło kilka cierpkich słów. Unieśli ręce, wycelowali i jednocześnie wypalili.

– Wszyscy obecni mówili, że słyszeli tylko jeden wystrzał – opowiadał potem Carson[72].

Kit miał prawdziwe szczęście, nie tylko wtedy zresztą – koń Chouinarda szarpnął się w chwili, kiedy Francuz pociągnął za spust. Rozpalony proch osmalił lewy policzek, oko i włosy Carsona, a kula tylko drasnęła go pod lewym uchem, zostawiając bliznę na resztę życia.

Z kolei Chouinard był poważnie ranny. Ołowiana kula z jednostrzałowego pistoletu Kita przebiła prawą dłoń Francuza, odrywając mu kciuk. Carson sięgnął po drugi pistolet, żeby dokończyć dzieła, ale Chouinard uniósł okaleczoną kończynę i błagał o życie. W podyktowanej przez siebie autobiografii Carson – ku frustracji czytelnika – pozostawia całą sprawę otwartą, pisząc tylko, że po tym wydarzeniu „nie było już problemów z osiłkowatym Francuzem”[73]. Według niektórych wersji tej historii Chouinard umarł później z powodu odniesionej w pojedynku rany – może w wyniku gangreny. Inne wersje utrzymują, że Carson dobił rywala drugą kulą.

Ów pojedynek stał się jednym z najgłośniejszych wydarzeń w życiu Carsona i rozsławił go wśród ludzi gór. Choć Kit miał gwałtowny temperament, to zwykle mocno kalkulował ryzyko i był na tyle mądry, że potrafił wycofać się z bójki w oczywisty sposób podkręconej alkoholem. Być może zachowanie Carsona tamtego dnia da się wytłumaczyć jego młodym wiekiem albo chęcią popisania się przed bractwem starszych od niego traperów, albo rycerskim pragnieniem pomszczenia obelg, które Chouinard kierował pod adresem Śpiewającej Trawy. Cokolwiek to było, cała sprawa zupełnie do Carsona nie pasowała. Wygrał pojedynek bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom. Jak podsumował pewien dziennikarz, bójka z Chouinardem była „jedyną osobistą utarczką w życiu Kita Carsona”[74]. On sam na pewno jej nie żałował.

– Był nawet z siebie bardzo zadowolony – podsumował po latach jego przyjaciel[75].

*

Ta satysfakcja w dużej mierze wzięła się zapewne z romansu, który rozkwitł po pojedynku. Teraz Carson mógł pomyśleć na poważnie o Śpiewającej Trawie. Poprosił jej ojca, Biegającego Wokół, o rękę Indianki, oferując w zamian trzy muły i nową strzelbę. Ślub, który prawdopodobnie odbył się w kolejnym roku, przebiegał według tradycji Arapahów. Ceremonię zorganizowano w rodzinnym tipi. Kiedy Biegający Wokół nakrył młodą parę

kocem i udzielił jej błogosławieństwa, Kit Carson i Śpiewająca Trawa zostali mężem i żoną. Potem było wesele, po którym krewni Śpiewającej Trawy wznieśli dla nowożeńców nowe tipi.

Jeśli Carson przestrzegał rytuałów Arapahów, pierwszej nocy nie skonsumował małżeństwa. Zgodnie z tradycją nowożeńcy spali razem, ale młoda żona przez kilka tygodni nosiła coś w rodzaju pasa cnoty – linę ciasno owiniętą wokół pasa i podbrzusza[76]. Małżeństwo konsumowano dopiero wtedy, kiedy minął okres próbny.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że było to małżeństwo udane. Choć nie znamy żadnych szczegółów ich wspólnego życia, bo Carson nawet nie wspomniał o Śpiewającej Trawie w swoich memuarach, można z dużą pewnością powiedzieć, że ich związek nie był luźny i niezobowiązujący. Śpiewająca Trawa była prawdziwą żoną Kita Carsona. Oboje żyli w zgodzie ze zwyczajami Arapahów i mieli błogosławieństwo plemienia. Śpiewająca Trawa była też pierwszą miłością Carsona.

Jej indiańscy krewni żyjący już w latach dwudziestych XX wieku opowiadali pisarzowi Stanleyowi Vestalowi, który spędził wśród nich wiele miesięcy, że Śpiewająca Trawa cieszyła się poważaniem plemienia. Była „dobrą dziewczyną, dobrą gospodynią, na którą miło było popatrzeć”[77]. Carson nauczył się mówić w dziwnym i dźwięcznym języku Arapahów, należącym do rodziny algonkińskiej. Jego „rozciągnięte samogłoski, miękkie spółgłoski, płynne i gładkie dwugłoski”, jak pisał Vestal, czyniły go tak uroczym, że „Indianie należący do innych plemion uwielbiali śpiewać pieśni Arapahów, choć nie rozumieli z nich ani słowa”[78]. Arapahowie słynęli także z wymyślnych ozdób wyrabianych z koralików. Pod zręcznymi dłońmi Śpiewającej Trawy skórzane ubrania Carsona – leginsy, bluzy i mokasyny – a także jego skórzane sakwy podróżne i kapciuch zyskały lśniące zdobienia.

Śpiewająca Trawa wędrowała z Carsonem, dokąd mogła. Przez dwa sezony Kit wystawiał sidła, polując na zwierzęta futerkowe dla Kompanii Zatoki Hudsona. Potem zaciągnął się do ekipy innego trapera Jima Bridgera i pracował w górnym biegu rzeki Yellowstone, a także wzdłuż rzek Powder i Bighorn. Przez te wszystkie lata przewędrował terytorium dzisiejszych stanów Kolorado, Utah, Wyoming, Idaho i Montana. Dzięki traperstwu, jak

sam wspominał, „przeżył najlepsze lata życia”[79]. Żył wolnym życiem ludzi, którzy, jak opisywał historyk David Lavender, „wędrowali niczym duchy od strumienia do strumienia” i którym „nie deptało po piętach szefostwo z St. Louis, a żadni księgowi nie wpychali swoich powykrzywianych palców w ich księgi przychodów i rozchodów”[80]. Carson bardzo cieszył się wszystkimi latami spędzonymi „w górach, daleko od miejsc zamieszkanych przez ludzi cywilizowanych, kiedy za jedzenie wystarczało to, co upolowałem własną strzelbą”[81].

Śpiewająca Trawa pomagała w trudach tego wędrownego życia, urozmaicając mu też zimne noce.

– Była mi dobrą żoną – wyznał kiedyś swojemu znajomemu[82].

Zawsze czekała na niego z gorącą wodą, kiedy wracał z obchodu sideł, a nogi miał do cna przemoczone.

– Nie zdarzyło się, żebym po powrocie z polowania nie dostał w domu ciepłej wody, w której mogłem zanurzyć nogi.

Pierwsze dziecko, córeczka, urodziło im się w 1837 roku. Carson dał jej na imię Adaline – po ukochanej bratanicy, którą zostawił w Missouri. Jej indiańskie imię, jakiekolwiek było, nie przetrwało próby czasu, choć według niektórych doniesień Kit mówił na swoją córkę Kwiat Prerii. Życie rodzinne Carsonów może i kwitło, ale czasy były wtedy chude. Gospodarka USA znajdowała się w recesji – po kryzysie finansowym znanym jako Panika roku 1837 rynek produktów z Zachodu był, łagodnie rzecz ujmując, niestabilny.

W tym samym roku wybuchła epidemia ospy, która z St. Louis (ponoć zaczęło się od zakażonych koców) rozprzestrzeniła się na północ i zachód. Zanim epidemia minęła, starła z powierzchni Ziemi całe plemiona. Straciła w niej życie jedna dziesiąta Indian żyjących w dorzeczu Missouri. Carson prawie współczuł swoim dawnym wrogom z plemienia Czarnych Stóp, które zostało szczególnie przetrzebione przez ospę. Jego wczesny biograf obrazowo opisał niezwykłą ciszę panującą w spustoszonej przez epidemię wiosce Czarnych Stóp, na którą natknęli się ludzie gór: „Z żadnego tipi nie unosił się dym. Pomiędzy nimi biegały wilki – tłuste i bezczelne. Ciała Indian zwisały z gałęzi drzew. Wzdłuż urwiska przysiadły brązowe myszołowy, objedzone ludzkim mięsem i pijane od trupich jadów”[83].

W tym samym czasie handel bobrzymi futrami stracił impet. Częściowo było to spowodowane przez kryzys finansowy, a częściowo przez pstrego konia, na którym od zawsze jeździła moda. Patrycjusze zamieszkujący miasta na Wschodzie, a także w Europie, nagle zmienili upodobania – zamiast cylindrów pokrywanych futrem bobra zaczęli nosić te pokrywane jedwabiem. Choć, prawdę mówiąc, w rzekach Zachodu nie zostało już wiele bobrów. Kompanie handlujące futrem skutecznie doprowadziły ich populację na krawędź zagłady.

Kiedy rynek zaczął maleć, podobny los spotkał letnie zgromadzenia traperów. Ludzie gór, tak znakomici w swoim fachu, sami przyczynili się do jego upadku, rabunkowo eksploatując źródło własnego sukcesu. Tak jak większość traperów Carson raczej nie zdawał sobie sprawy z tego, że zawinił. „Bobrów było coraz mniej” – to wszystko, co na ten temat napisał w swoich wspominkach. I dodał: „Konieczne stało się spróbowanie czegoś innego”[84].

W 1839 roku Śpiewająca Trawa urodziła drugie dziecko – córeczkę, której imię się nie zachowało. Jeszcze w połogu żonę Carsona dopadła gorączka. Kobieta leżała na skórach bizonich, a szamani próbowali ją ratować ziołami i uderzaniem w bęben w rytm jej serca. Wszystko na darmo. Choroba, prawdopodobnie gorączka połogowa, szybko zabrała Śpiewającą Trawę. Rozpaczający Carson zdał sobie sprawę, że będzie musiał sam odchować dwie córki. Krewni jego żony opłakiwali ją na swój indiański sposób pełen samobiczowania się – rwali włosy z głowy, zadawali sobie rany, być może nawet odejmowali sobie palce[85]. Zastanawiali się, czemu Carson nie zawodzi tak jak oni. Według jednego z biografów „Kit musiał im tłumaczyć, że płacze w głębi serca, na modłę bladych twarzy”[86].

Nie wiadomo, gdzie i jak Śpiewająca Trawa została pochowana. Jeśli jednak żałobnicy dotrzymali tradycji Arapahów, jej ciało, razem z kilkoma jej ulubionymi przedmiotami, zostało ułożone na platformie przymocowanej wysoko na drzewie. Następnie je spalono, a zwęglone szczątki zostawiono ptakom.

Latem 1840 roku Carson zdołał wziąć udział w *rendezvous* nad Green River. Było to ostatnie w historii zgromadzenie ludzi gór. Traperski fach

dogorywał i na posępnym spotkaniu w roku 1840 wszyscy przybyli zdawali się o tym wiedzieć. Jak lamentował jeden z uczestników, „czasy były trudne. Bobrów nie było. Wszystko straciło blask”[87].

Upadek traperstwa zagnał Carsona do fortu Bentów, pulsującej życiem handlowej placówki ulokowanej nad rzeką Arkansas w dzisiejszym południowo-wschodnim Kolorado. Zbudowany w 1833 roku fort był ważnym przyczółkiem dla amerykańskich traperów, handlarzy, włóczęgów i wszystkich poszukiwaczy przygód zjeżdżających na Zachód. Przez swoje blisko metrowe mury z suszonej cegły przypominał starożytną algierską twierdzę. Stał w strategicznym punkcie na równinie na północnym brzegu Arkansas, która wtedy wyznaczała granicę z Meksykiem. Właściciel fortu Charles Bent i jego brat William byli sprytnymi biznesmenami, synami prawnika z St. Louis, który kiedyś dokonywał pomiarów Terytorium Luizjany.

Bracia Bent chcieli zatrudnić Carsona na stałe jako myśliwego. Kit miał też w forcie wielu znajomych, którzy mogli pomóc mu w wychowaniu dziewczynek. Jako myśliwy Carson przemierzał szerokie równiny Południa, polując na antylopy i bizony. Wartościowe były nie tylko ich skóry, ale i mięso, w które zaopatrywały się setki ludzi mieszkających w forcie Bentów albo pracujących w jego okolicy.

W 1841 roku Carson ożenił się po raz drugi. Jego wybranką była Indianka z plemienia Czejenów o imieniu Rozpoznająca Drogę (którego znaczenie gubi się w przekładzie). Była piękną, choć kłótliwą kobietą, świetnie znaną w okolicy fortu właśnie z powodu swojej niezależności. Małżeństwo Carsona z Rozpoznającą Drogę było równie fatalne, jak udane było to ze Śpiewającą Trawą. Jego nowa żona nie chciała pomagać w wychowywaniu dwóch dziewczynek półkrwi Arapaho. Związek trwał ledwie kilka miesięcy. W końcu Rozpoznająca Drogę wyrzuciła Carsona i wszystkie jego rzeczy ze swojego tipi (potem brała za mężów i porzucała kolejnych mężczyzn – zarówno Indian, jak i białych)[88].

Z kolei Carson nawiązał luźną znajomość z Latynoską o kiepskiej reputacji, niejaką Antonią Luną[89]. Potem jednak, w 1842 roku, zakochał się w Josefie Jaramillo, pięknej nastolatce z prominentnej rodziny mieszkającej

w Taos. Szybko doszło do zaręczyn. Prawdopodobnie w tym samym roku Carson zdecydował, że jego starszej córce Adaline, która miała już cztery latka i zbliżała się do wieku szkolnego, będzie lepiej u jego krewnych w Missouri, gdzie mogła zdobyć porządne wykształcenie. Dlatego w kwietniu 1842 roku zaciągnął się do dowodzonej przez Charlesa Benta karawany kupieckiej, która wyruszyła Szlakiem Santa Fe na wschód. Zabrał ze sobą Adaline, a młodszą córeczkę zostawił pod opieką rodziny Bentów w Taos. Nigdy więcej jej nie zobaczył. Wkrótce po jego wyjeździe mała wpadła do kadzi z łojem gotującym się na mydło i śmiertelnie się poparzyła.

Karawana zatrzymała się w Westport, miasteczku kupieckim nad rzeką Missouri (dzisiaj jest to część Kansas City). Carson obawiał się, jak ludzie na Wschodzie będą patrzyli na jego metyską córkę. Chciał, żeby była ładna i czysta, a zdał sobie sprawę z tego, że w skórzanym ubranku wyglądała dość prymitywnie, a jej maniery pozostawiały wiele do życzenia. Dlatego kupił jej nowe stroje i zapłacił krawcowi, żeby je ładnie dopasował. Małą Adaline zapamiętała dobrze Susannah Yoacham, córka właściciela miejscowej tawerny.

– Carson przywiózł tę małą, żeby dać jej wykształcenie – opowiadała. – Przyjechała do nas ubrana w skóry, a wyjechała przyodziana w najlepsze stroje, jakie wtedy dało się kupić na pograniczu. Była niewychowana. Wyrwała mojej matce całą winorośl. Kiedy znaleźliśmy dziewczynę, przeżuwała korzenie[90].

Carson wrócił do Franklin. Okazało się, że miasto zostało zniszczone przez powódź i odbudowane na wyżej położonych terenach, a jego starzy mieszkańcy rozproszyli się po okolicy. Odnalazł swojego najmłodszego brata, Lindseya, i dowiedział się od niego, że ich matka, Rebecca Carson Martin, umarła rok wcześniej. „Minęło szesnaście lat, odkąd porzuciłem cywilizację” – wspominał w swoich pamiętnikach. Wiedział, że niektórzy członkowie klanu Carsonów nigdy nie zrozumieją, dlaczego wiódł cudaczne życie w górach, i nie zaakceptują jego małżeństwa z Indianką. Kuzyn Kita, Thomas Kelly Carson, uważał go za czarną owcę w rodzinie, „dzikiego nieokrzesańca, który ze wszystkich kobiet na świecie wybrał akurat indiańską *squaw* i spłodził z nią małego mieszańca”[91].

Ku uldze Carsona jednak większość jego bliskich mieszkających w okolicy Franklin powitała Adaline z otwartymi ramionami. Zostawił ją rodzinie, która prowadziła farmę niedaleko porządnej wiejskiej szkoły. A potem pożegnał córkę – nie chciał się z nią rozstawać, ale zostawiał ją w dobrych rękach, u krewnych.

5

Turkusowa Góra

Przez całe swe długie życie Narbona, powszechnie szanowany członek starszyzny Nawahów, doświadczał wojen. Diné pozostawali w ustawicznych konfliktach – a to z Hiszpanami, a to z Jutami albo Komanczami czy różnymi odłamami Indian Pueblo. Czasem walczyli jednocześnie z nimi wszystkimi. Choć były okresy, kiedy lud Narbony cieszył się pokojem, to jednak życie szacownego starca – od czasów, kiedy był chłopcem – a także innych Nawahów przebiegało w rytmie ataków i odwetów, które nasilały się i słabły zależnie od pory roku.

Latem 1846 roku Narbona zbliżał się do osiemdziesiątki. W tak sędziwym wieku ledwie zauważał zmiany zachodzące na świecie, nie mówiąc już o reagowaniu na nie. Wiedział jednak, że jego lud należy do tych, które potrafią przetrwać. Starożytna kultura Nawahów od mitycznego zarania ich dziejów dawała sobie radę z rozlicznymi wojnami, suszami i niedoborami. Teraz jednak ze wschodu nieubłaganie zbliżał się nowy wróg, którego potęgę trudno było sobie nawet wyobrazić.

Narbona urodził się w 1766 roku w klanie Ludu Ziemi Czerwonego Promienia, do którego należała jego matka[92]. To wśród jej krewnych spędził pierwsze lata życia. Mieszkali oni i wypasali swoje zwierzęta w dolinie Chuska położonej w północno-zachodnich rejonach dzisiejszego Nowego Meksyku. Ich ziemie rozciągały się od gór Chuska aż do rzeki Chaco.

Narbona nie nosił wtedy jeszcze tego imienia – nadali mu je Hiszpanie wiele lat później. Jego indiańskie imię pochłonęła historia. Kolejnym pokoleniom Diné, którzy nie chcąc niepokoić duchów, z nieufnością podchodzili do imion zmarłych, odpowiadało chyba to, że imię największego patriarchy ich rodu pozostawało skryte za mgłą. Nawet kiedy jeszcze żył, inni Nawahowie nie zwracali się do niego, używając jego pierwszego imienia. Uważali taką bezpośredniość za brak taktu.

Kiedy był dzieckiem w nosidle, Narbona prawdopodobnie w ogóle nie miał imienia. Nawahowie postrzegali wczesny okres niemowlęcy jako przedłużenie ciąży. Nie nadawali więc imion swoim pociechom, zanim nie nabrały one jakichś charakterystycznych cech. Na swoje podrosłe trochę dzieci wołali więc na przykład Włochata Twarz, Szczupła Dziewczyna, Bez Szyi czy Mały Człowiek, Który Robi To, Co Mu Się Mówi. Choć u Nawahów rodzice nie uznawali wielu sztywnych reguł dotyczących nadawania imion, to powszechnie uważano, że kluczowym momentem, w którym maluch zdawał egzamin człowieczeństwa, był jego pierwszy „spontaniczny śmiech". Pierwszy wybuch śmiechu stawał się okazją do licznych uroczystości, podczas których wielu rodziców organizowało ceremonie nadawania imion. Prawdopodobnie podczas takiej właśnie uroczystości Narbona otrzymał swoje oryginalne „imię wojenne", jakiekolwiek ono było.

Przywiązany do pleców matki, jak wszystkie niemowlaki Nawahów, mały (jeszcze nie) Narbona oglądał świat z podskakującego nosidła, z braku pieluch wyłożonego wiórami cedrowej kory[93]. Być może, żeby zapewnić chłopcu pomyślność, ale i ochronę przed ewentualnym upadkiem, jego nosidło ozdobiono ogonem wiewiórki[94] – która była przecież zwinnym zwierzątkiem zawsze szczęśliwie lądującym na czterech łapkach. Pierwsze pięć lat życia Narbona spędził głównie w towarzystwie kobiet – ciotek, sióstr, kuzynek i babć. Wychowywany przez żeńskie zastępy nauczył się śpiewnej mowy Nawahów, ozdobionej wymyślną modulacją i delikatnymi zwartymi spółgłoskami krtaniowymi, pobrzmiewającej echami Syberii. Nauczył się też poczucia humoru, z którego Diné słynęli – znani z wilczego apetytu na złośliwości i żarty, znajdujący radość w każdej dziwacznej czy absurdalnej sytuacji.

Swojego pierwszego konia Narbona otrzymał, kiedy ukończył ledwie sześć lat[95]. Również wtedy, podobnie jak większość chłopców z jego plemienia, wyrwał się spod matczynych skrzydeł i zaczął coraz więcej czasu spędzać z mężczyznami, którzy przygotowywali go do polowania i wojowania. Wstawał jeszcze przed świtem i choćby na zewnątrz panował siarczysty mróz, przebiegał wiele kilometrów, mając na sobie tylko skórzaną opaskę

i wypchane piaskiem mokasyny (co miało wzmocnić mu stopy). By zwiększyć pojemność płuc, biegał z ustami pełnymi wody, oddychając tylko przez nos. Wskakiwał do lodowatych strumieni i tarzał się w śniegu, wrzeszcząc jak opętany, by wyrobić sobie głos prawdziwego wojownika. Potem, kiedy poranne słońce ukazywało się na horyzoncie, co sił w nogach wracał do chaty, pokryty warstewką lodu, która pękała z każdym jego ruchem[96].

Uprawiał zapasy razem z innymi chłopcami i konkurował z nimi w skoku w dal, rzucie kamieniem i strzelaniu z łuku. Do wyboru mieli cały zestaw tradycyjnych gier i zabaw – bierki, sznurki i buta[97]. Mały Narbona nauczył się także polować na króliki i inne niewielkie zwierzęta. Codziennie jeździł konno, doskonaląc jedną z najważniejszych umiejętności, którymi szczycili się Nawahowie. Co chwila organizowano wyścigi, często obstawiając, kto wygra. Nawahowie po dziś dzień chwalą się swoją jazdą konną (pewien dziennikarz zauważył niedawno, że „spadnięcie z konia to dla Nawahów jeden z powodów do najgorszego wstydu”[98]).

Kiedy skończył dwanaście lat, Narbona otrzymał swój pierwszy łuk. Jego łęczysko zostało zakrzywione za pomocą zewnętrznej warstwy zwierzęcych ścięgien, a długość dokładnie odpowiadała wysokości chłopca[99]. Narbona zaczął więc wyruszać na pierwsze poważne polowania. Jego świata nie wyznaczały miasta, wsie czy drogi, ale tysiące naturalnych punktów orientacyjnych porozrzucanych w okolicy – niewielkich dziwactw rzeźby terenu, którym nadawano tak barwne nazwy jak Wydrążony Brzeg, Jezioro Wśród Ramion, Białe z Trzciną, Schodzące Osiki czy Dwie Czerwone Skały Skierowane w Tę Samą Stronę. Taka była geografia jego dzieciństwa. Takie były miejsca, w których codziennie polował i wypasał zwierzęta. Choć mógł też wędrować po bardziej rozległych terenach – potężnych czerwonych wzgórzach, głębokich wąwozach, morenach i rzekach zastygłej lawy. Dinétah, jak Nawahowie nazywali swoje ziemie, było pobrużdżoną krainą nabitą monumentalnymi formacjami skalnymi przywodzącymi na myśl zwierzęta albo mityczne potwory.

Kraina Nawahów porusza nawet współczesnych geologów, którzy zwykle są ludźmi pełnymi rezerwy. Jej niezwykłym formacjom geologicznym

ponadawali nazwy kojarzące się im z zagładą – Dorzecze Paradoksów, Spiętrzenie Oporu czy Wielka Niezgoda[100]. Geologiczne mapy krainy Nawahów są poznaczone złowrogimi „wybrzuszeniami”, „stożkami wulkanicznymi” i „nieładem strukturalnym”. Niedaleko domu Narbony wyrastały olbrzymie „lasy” skamieniałych drzew. Nawahowie wierzyli, że spetryfikowane pnie i konary to kości Yeitso, strasznej bestii zabitej przez Zabójcę Potworów, której truchło zgniło na równinie, a jej krew zamieniła się w potoki lawy[101]. Dinétah znaczyły też głębokie kaniony, w których ścianach zastygły szczątki organizmów morskich – koralowców, mszywiołów czy trylobitów – żyjących w oceanie trzysta milionów lat wcześniej.

Spoglądając z obozowiska Narbony na północ, za równiną Chuska można było często wypatrzyć Tse’ Bit’ A’i, czyli Uskrzydloną Skałę. To gardło prastarego wulkanu przez tysiące lat uległo takiej erozji, że został z niego zapierający dech w piersiach monolit skalny przypominający nieco gruzłowaty grzbiet potężnego dinozaura. W latach sześćdziesiątych XIX stulecia amerykańscy eksploratorzy – którym ta dziwna formacja skalna przypominała żaglowiec – ukuli dla niej imię, które przetrwało do czasów dzisiejszych: Shiprock[16].

Najbardziej jednak rzucającym się w oczy punktem orientacyjnym w kraju Narbony był wygasły wulkan, górujący nad porośniętą bylicami wyżyną leżącą na południe od wioski. Nawahowie mówili na ten imponujący samotny szczyt Tsoodzil – Turkusowa Góra. Znaczyła ona południowo-wschodni kraniec Dinétah, wyrastając na blisko trzy i pół tysiąca metrów nad poziom morza. Jej zbocza porastały sosny żółte i osiki. Zimą łysy szczyt Turkusowej Góry pokrywała śnieżna czapa, a latem zielenił się on łąkami. Z kolei jej szerokie ramiona obrosły sosny i jałowce ustępujące w końcu potężnym rzekom lawy zastygłym w czarny bazalt.

Kiedy dorastał, Narbona na pewno spoglądał na południe i patrzył na ten niesamowity szczyt, mocno osadzony na ziemi, a zarazem przypominający błękitnawy miraż. Tak jak wszystkie dzieci Nawahów od małego słyszał, że Turkusowa Góra jest jednym z czterech świętych szczytów, dzięki którym Dinétah trzyma się ziemi. Każda z czterech stron świata miała swoją świętą górę zamieszkaną przez innych bogów. Wszystkie zajmowały ważne miejsce

w nawahijskim micie o stworzeniu. Stojąc w dowolnym punkcie krainy Nawahów, wędrowiec zawsze widział co najmniej jedną ze świętych gór. Z wyjątkiem działań wojennych albo rajdów Nawahom nie wolno było zapuszczać się poza granice wyznaczane przez te majestatyczne szczyty – za złamanie tabu groziły choroby lub śmierć. Żeby odgonić od siebie pecha, a przyciągnąć szczęście, wielu Nawahów trzymało też w swoich hoganach modlitewne tobołki – wsypywali do nich glebę zebraną ze wszystkich czterech gór.

Świat, w którym Narbona dorastał, cechowały staranna symetria i równowaga. Wielką moc miała cyfra cztery. Istniały cztery święte kolory, cztery święte rośliny i cztery święte kamienie szlachetne. Po ceremonii uzdrawiającej pacjent nie powinien przez cztery dni ani z nikim rozmawiać, ani uprawiać seksu. Ważne były cztery strony świata. Hogan budowano zawsze tak, żeby wejście znajdowało się od wschodu. Każdy kierunek miał swoją wartość i barwę. Na przykład północ była czarna – wierzono, że tam mieszkają Śmierć i moce nadprzyrodzone. Dlatego Nawahowie nigdy nie spali z głowami zwróconymi na północ. Ich malunki naskalne i słynne koce, oprócz żywych kolorów i pomysłowości, cechowały też ścisłe zasady symetrii – grafiki były zwykle podzielone na cztery równe części reprezentujące cztery strony świata.

Podział tego uporządkowanego świata schodził jeszcze głębiej i był zdefiniowany przez płeć. Obiekty, punkty orientacyjne, a nawet żywioły były albo „męskie”, albo „żeńskie”. Żeński deszcz był łagodny, taki kapuśniaczek. Z kolei deszcz męski był czarną burzową nawałnicą. Istniały hogany męskie i żeńskie – każdy wznoszono z odrobinę innego budulca i wykorzystywano w odrobinę innych celach. W dolnym biegu Rio Grande – mulista, spokojna i cicha – była kobieca. Z kolei potykająca się na głazach rzeka San Juan, spieniona i wartka, była zdecydowanie męska[102].

Rzeka San Juan tradycyjnie wyznaczała granicę pomiędzy terytoriami Nawahów i Jutów. Ci drudzy byli walecznym plemieniem zbieracko-łowieckim i wędrowali po górach położonych na zachód od męskiego „San Juana”. W chłopięcych latach Narbony Jutowie prawdopodobnie byli

najgroźniejszymi wrogami Nawahów[103]. Oba plemiona toczyły ze sobą nieustającą wojnę.

Hiszpańscy gubernatorzy w Santa Fe szybko przekonali się, że zamiast walczyć z Indianami, lepiej napuszczać ich na siebie. Cieszyli się więc z wojny pomiędzy Jutami a Diné. A ponieważ zapewniali tych pierwszych o swojej neutralności, Jutowie podsycili konflikt. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XVIII wieku najeżdżali na obozowiska Nawahów, wykradając dzieci, które potem trafiały na rynek niewolników w Taos, gdzie sprzedawano je Hiszpanom.

Dla młodego Narbony i jego rodziny były to czasy ciągłego rozlewu krwi i niepokojów. U Nawahów słowo „wróg” odnosiło się właściwie tylko do Jutów. Narbona dorastał otoczony opowieściami o ich zbrodniach i nie mógł się doczekać wzięcia udziału w atakach odwetowych prowadzonych przez ojca i innych wojowników. Ponoć w wieku kilkunastu lat o głowę przerastał większość rówieśników i zapowiadał się na zdolnego wojownika. Kiedy miał szesnaście lat, uczestniczył w pierwszym rajdzie[104]. Dał sobie radę znakomicie. Wracając do domu, niewątpliwie wziął udział – jak większość uczestników wypadu – w skomplikowanym rytuale oczyszczającym zwanym Nda – Drogą Wroga. Miał on uwolnić wojowników od złych duchów czy obcych wpływów, które czyhały na nich poza ziemiami Nawahów.

Potem Narbona zaczął wyprawiać się coraz dalej. Uderzał nie tylko na obozowiska Jutów znajdujące się za rzeką San Juan, ale i na prawie bezbronne osady Indian Pueblo, a w końcu sięgnął nawet po zdobycze największe – hiszpańskie rancza rozlokowane na wybrzeżu Rio Grande. Rajdy młodych nawahijskich wojowników na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych były tak udane, że latynoscy wieśniacy musieli zacząć sprowadzać z Chihuahua nowe konie – ich hodowla nie nadążała z rozrodem, tak była trzebiona przez Nawahów[105].

Dwudziestokilkuletniemu Narbonie rodzice zaaranżowali małżeństwo z dziewczyną z klanu Tzith-ah-ni[106]. Miała na imię Bikay-djohl. Jak było w zwyczaju, Narbona przeniósł się do wioski swojej młodej żony i odtąd żył wśród jej krewnych na zboczach gór Tunicha – trochę na północ od miejsca, w którym sam się wychował. Razem z Bikay-djohl postawili niedaleko chaty

jej rodziców własny hogan. Prawdopodobnie to w nim odbyła się też ceremonia ślubna. W środku zgromadziła się cała rodzina, a szaman odmówił modlitwy i pobłogosławił młodych. Kiedy wychodził, zapewne poradził im – a jego otwartość prawdopodobnie zawstydziłaby większość żyjących wtedy na Wschodzie amerykańskich nowożeńców – żeby bez zbędnej zwłoki wzięli się do spłodzenia owoców swojego związku[107]. Na koniec zaś zalecił im, żeby nie wychodzili z hoganu przez najbliższe cztery noce i cztery dni.

Potem młodzi zajęli się normalnym życiem. Prawdopodobnie mieszkali w otoczeniu hoganów teściowej i jej krewnych. Narbona nie miał wyboru i musiał odnaleźć się w nowym miejscu oraz dostosować do lokalnych układów i układzików. Nie mógł po prostu zabrać młodej żony i wrócić do rodzinnej osady.

Nawahowie wymyślili system łączenia się w pary, który maksymalnie zabezpieczał ich przed kazirodztwem – nie wolno im było zawierać małżeństw ani we własnym klanie, ani nawet we własnej wiosce. Małe chaty i skomplikowane układy rodzinne, w których żyli ci półkoczownicy, sprawiały, że kazirodztwo mogło stać się prawdziwym problemem. Lata później pewien antropolog badający kulturę Nawahów napisał, że ich kameralne i odizolowane społeczności miały jednak tendencję do „emocjonalnego chowu wsobnego”[108].

Narbona musiał więc przestrzegać starych i dziwnych z naszego punktu widzenia zasad. Nie wolno mu było patrzeć na teściową, a ona nie mogła spoglądać na niego[109]. Miało to pomagać w zachowaniu spokoju w domu i zapobiegać napięciom na tle seksualnym. Wiele nawahijskich kobiet nosiło nawet dzwoneczki, dzięki czemu zięć mógł zawczasu odwrócić głowę, żeby przypadkowo nie natknąć się na głębokie spojrzenie teściowej. Było to bardzo mocne tabu, szczególnie jeśli mężczyzna spojrzał matce swojej żony prosto w oczy. Nawet gdy zdarzyło się to przypadkiem, wiele rodzin zamawiało usługi uzdrowiciela. Przeprowadzał on skomplikowany – i drogi – rytuał mający odwrócić wszelkie zło mogące wyniknąć ze złamania tabu.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych XVIII wieku Narbona wziął sobie drugą żonę. Przeprowadził już wiele udanych rajdów na hiszpańskie osiedla i dał się poznać jako wielki wódz wojenny. Podczas jednego z wypadów

pojmał młodą kobietę z plemienia Zuni[110]. Branka została jedną z jego żon i według wszelkich relacji była szczęśliwą i lojalną członkinią rodziny.

Narbona okazał się także zręcznym politykiem i dyplomatą. Nawahowie byli pod wrażeniem jego, jak mawiali, „gładkiej gadki”[111]. Wielu młodych wojowników z gór Chuska, a nawet z okolic Turkusowej Góry garnęło się pod jego dowództwo i chciało uczestniczyć w prowadzonych przez niego najazdach. Po jakimś czasie Narbona dorobił się tak imponującej grupy wyznawców, że tworzyli oni prawdziwą armię.

Głównym celem najazdów była niewielka ufortyfikowana wioska, którą Hiszpanie założyli w 1800 roku i nazwali Cebolleta. Nawahowie uważali jej istnienie za śmiertelny afront, bo zbudowano ją na zboczach świętej Turkusowej Góry, na terenach, które kontrolowali od wieków. Grupa hiszpańskich osadników upodobała sobie to miejsce, bo w okolicy rosła doskonała trawa. Przekonali więc gubernatora w Santa Fe do wystawienia im grantu zezwalającego na budowę osady. Nawahowie atakowali ją bez przerwy. Konflikt eskalował, a Narbona wyrósł wówczas na najważniejszego wodza wojennego Diné.

W 1804 roku zebrał tysiąc wojowników i otoczył hiszpańską wioskę. Oblężenie trwało tygodniami i w jego trakcie wielokrotnie dochodziło do brutalnej walki wręcz. W hiszpańskich archiwach zachowały się obrazowe opisy bitwy. Mieszkańcy Cebollety przekazali na przykład opowieść o babci Antonii Romero, która zabiła jednego z Nawahów, rozbijając mu głowę przy użyciu *metate* – kamienia młyńskiego o rozmiarach kowadła, którego używano do wyrobu mąki kukurydzianej[112]. W innej opowieści występuje nieustraszony obrońca wioski Domingo Baca, którego indiański wojownik wypatroszył lancą. Niezrażony tym Baca miał przytrzymać wypływające jelita poduszką i bandażami, chwycić muszkiet i wrócić do walki. Kiedy w nocy oderwał od brzucha „opatrunek”, jego przyjaciele, jak pisze historyk Marc Simmons, „byli przerażeni i szybko uczynili znak krzyża, myśląc, że mają do czynienia z żywym trupem. Ale Baca wepchnął swe wnętrzności na właściwe miejsce, zażądał igły oraz nici ze zwierzęcych ścięgien i sam zaszył sobie ranę. Ten prymitywny zabieg udał się znakomicie – mężczyzna przeżył i wrócił do walki”[113].

Tysiąc wojowników Narbony prawie starł z powierzchni ziemi znienawidzoną osadę. Z pomocą przyszedł Cebollecie hiszpański gubernator, który wysłał jej posiłki złożone z zaprawionych w boju żołnierzy z Sonory. Hiszpanie przeprowadzili wiele kontrataków na terytoria Nawahów, ale tylko niewiele z nich naprawdę dotknęło poruszających się jak duchy Diné.

6

Kim jest James K. Polk?

Misja, którą postawiono przed Kearnym i jego Armią Zachodu, nie miała precedensu w historii USA. Po raz pierwszy amerykańska armia wyruszyła z inwazją na suwerenne terytorium obcego narodu, które po wygranej walce zamierzała okupować. Był to zuchwały najazd, podczas którego miano przyłączyć do USA potężne tereny. Prezydent James Knox Polk rozkazał wojskom Kearny'ego przemaszerować półtora tysiąca kilometrów w głąb obcego terytorium i podbić ziemie, których powierzchnia równała się prawie połowie powierzchni ówczesnych Stanów Zjednoczonych. Po dotarciu do Santa Fe i zdobyciu Nowego Meksyku Kearny miał ruszyć dalej na zachód i zająć tereny dziś należące do Arizony oraz częściowo do Kolorado, Utah i Nevady. Potem miał zdobyć klejnot najwspanialszy, czyli Kalifornię, i zatknąć flagę USA na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Całe to olbrzymie terytorium miało zostać podbite podczas jednej kampanii.

Wojna z Meksykiem była skomplikowaną operacją podszytą wzajemnymi żalami – uzasadnionymi i wyimaginowanymi – które sięgały wielu lat wstecz[114]. Najświeższym *casus belli* był spór o Teksas. Pół roku przed wymarszem Armii Zachodu, pod koniec 1845 roku, Stany Zjednoczone oficjalnie zaanektowały Republikę Samotnej Gwiazdy[17], która dekadę wcześniej wydarła niepodległość od Meksyku, ponosząc krwawe ofiary w bitwach o Alamo, San Jacinto i podczas masakry w Goliad. Meksyk nigdy jednak nie uznał niepodległości Teksasu i na pewno nie zamierzał godzić się na wchłonięcie go przez USA.

Prezydent Polk wyprawił do Mexico City emisariusza, Johna Slidella, który miał zaoferować wynoszące dziesięć milionów dolarów odszkodowanie za Teksas i dogadać wspólną granicę wzdłuż rzeki Rio Grande. Podczas rozmów Polk wysłał Slidellowi dodatkowe instrukcje dotyczące kolejnych dwudziestu milionów dolarów za sprzedaż Kalifornii i Nowego Meksyku.

Obie oferty zostały jednak odrzucone. Kiedy Polk zorientował się, że nie poszerzy obszaru Stanów Zjednoczonych ani za pomocą dyplomacji, ani pieniędzy, postanowił sprowokować wojnę. Na sporne teksaskie terytorium pomiędzy rzekami Nueces i Rio Grande wysłał żołnierzy dowodzonych przez generała Zachary'ego Taylora. Była to mało subtelna metoda dolania oliwy do ognia stosunków amerykańsko-meksykańskich. W kwietniu 1846 roku Meksykanie ostrzelali wojska Taylora, a USA zyskały pretekst do wypowiedzenia wojny.

– Amerykańska krew została przelana na amerykańskiej ziemi – drżał z oburzenia Polk.

Prezydent zapomniał oczywiście dodać, że generał Taylor zrobił wszystko, żeby sprowokować atak na swoje wojska, no i – taki drobiazg – nie znajdował się wtedy wcale na terytorium amerykańskim (przynajmniej jeszcze nie amerykańskim). Prezydent USA oskarżał Meksyk, że „obraził nasz naród": teraz będzie musiał zostać ukarany za swój zdradziecki atak – zostanie pobity i uwolniony od ciężaru ziem, którymi nie był w stanie rządzić.

Prawda była jednak taka, że Polk pragnął więcej ziemi. Żaden inny prezydent USA nie był tak szczery w swoich zamiarach zagrabienia cudzego terytorium. To był ciekawy moment w historii zasiedlania Ameryki Północnej. Europejskie mocarstwa, choć szybko traciły swoje kolonie w Nowym Świecie, ciągle roiły sobie, że uda im się sięgnąć po ostatnie niezajęte rejony dzikiego kontynentu. Wielka Brytania ostrzyła sobie zęby na Terytorium Oregonu, a rosyjscy traperzy i handlarze futrami wydr morskich rozciągali wpływy z Alaski aż po wybrzeże północnej Kalifornii. Nawet osłabłe Francja i Hiszpania intrygowały w Ameryce Północnej.

W tej skomplikowanej rozgrywce Polk stawiał sprawę jasno. Uważał, że Stany Zjednoczone powinny agresywnie zawalczyć o swoje interesy, bo w przeciwnym razie ryzykują utratę potencjalnego nowego terytorium. Prezydent szczególnie upatrzył sobie kalifornijskie porty, ale trudno mu było zrezygnować z myśli o okazyjnym sięgnięciu po ziemie leżące pomiędzy USA a Oceanem Spokojnym. Prawie od chwili, w której objął urząd w 1845 roku, planował wplątać Stany Zjednoczone w dwie równoległe

wojny – jedną z Meksykiem o Teksas i Kalifornię, a drugą z Wielką Brytanią o Oregon. Tylko w ten sposób mógł zdobyć ziemie, których tak bardzo pragnął.

Jedenasty prezydent Stanów Zjednoczonych był chytrym mizantropem o długich siwych włosach zaczesanych do tyłu znad masywnego czoła. Zwykle mocno zaciskał szczęki i miał na twarzy wyraz ponurej zawziętości. Lubił nosić długi czarny płaszcz, dość zaniedbany i niemodny, którego kieszenie wypychał różnymi pismami. Trudno było go przeniknąć. Usta trzymał zamknięte na kłódkę, a szare, twarde oczy przypominające szlachetne kamienie nie zdradzały jego myśli.

Być może źródeł posępnej natury Polka należy szukać w bolesnej chorobie, na którą zapadł jeszcze jako nastolatek dorastający w Columbii w stanie Tennessee. Kiedy skończył siedemnasty rok życia, po latach boleści, które wyryły ślad na jego chłopięcej twarzy, lekarze zdiagnozowali u niego kamicę moczową. Konnym ambulansem przewieziono go do słynnego w Kentucky chirurga doktora Ephraima McDowella, u którego przyszły prezydent poddał się zabiegowi uważanemu wtedy za szalenie nowoczesny[115]. Za znieczulenie musiała wystarczyć pacjentowi brandy. Nagiego Jamesa przywiązano do stołu operacyjnego i uniesiono mu wysoko nogi. McDowell – za pomocą urządzenia przypominającego ostrą jak brzytwa łyżkę do butów i wyglądającego jak średniowieczne narzędzie tortur – przeciął prostatę pacjenta i dostał się do jego pęcherza. Kamienie zostały usunięte, ale po operacji Polk prawdopodobnie stał się impotentem. Jego biograf John Seigenthaler uważał jednak, że Polk „został prawdziwym mężczyzną na stole operacyjnym doktora McDowella. To tam po raz pierwszy ujawniły się jego odwaga, charakter i żelazna wola, których w przyszłości, kiedy został prezydentem, mieli zasmakować Wigowie[18], korona brytyjska i armia Meksyku”[116].

Polk zdobył urząd po jednym z najbardziej zaciętych pojedynków o Biały Dom. Kandydaci do końca szli łeb w łeb, więc po jego zwycięstwie pojawiły się głosy o możliwych oszustwach wyborczych. Kiedy opadł kurz po kampanii 1844 roku, ludzie zaczęli zachodzić w głowę, jak ten niepozorny

i surowy polityk bez polotu mógł pokonać takiego giganta jak kandydat Wigów Henry Clay. Jako przewodniczący Izby Reprezentantów Polk był nieporadnym i bezbarwnym mistrzem jednoznaczności. John Quincy Adams[19] twierdził, że „nie ma w nim ani polotu, ani znajomości literatury, ani gracji w działaniu, ani elegancji języka, ani filozofii czy patosu, ani daru błyskotliwej riposty”[117]. Uważany za pierwszego „czarnego konia” w historii prezydenckich wyścigów Polk potrzebował aż dziewięciu głosowań, żeby podczas konwencji Partii Demokratycznej w Baltimore dostać jej nominację na kandydata. Wieść o tejże nominacji przesłano do Waszyngtonu nowiutką linią telegraficzną i tak oto błyskotliwy wynalazek Samuela Morse’a po raz pierwszy został wykorzystany w służbie publicznej.

Clay, pewien swojej pozycji wśród Amerykanów, beztrosko nie docenił determinacji konkurenta. Zlekceważył też początek jego kampanii, wyśmiewając go hasłem „Kim jest James K. Polk?”. W ostateczności zwyciężył jednak Polk – wybrany z przewagą ledwie czterdziestu tysięcy głosów. W wieku czterdziestu dziewięciu lat został najmłodszym prezydentem w dotychczasowej historii USA.

Jego prezydenturę goniły terminy. Jeszcze jako kandydat obiecał, że nie będzie ubiegał się o drugą kadencję, i zamierzał tej obietnicy dotrzymać. Miał więc tylko cztery lata na realizację swoich planów. Potem – z tarczą czy na tarczy – miał zejść ze sceny. Dlatego wszystkie ruchy jego administracji były gęste, intensywne i wykonywane w biegu. Co zadziwiające, Polk zrealizował prawie wszystkie zamierzenia. Mimo swojej nieznośnej osobowości był chyba najbardziej efektywnym prezydentem w historii Stanów Zjednoczonych – i chyba najmniej skorumpowanym. Krytyków potrafił wymanewrować. Ustanowił niezależny od banków skarbiec, w którym rząd trzymał pieniądze federalne. Nie bał się konfrontacji z Brytyjczykami, pobił Meksyk. Zdobył dla USA Dziki Zachód – jedną trzecią Ameryki Północnej. Odchodząc z urzędu, zostawił Stany Zjednoczone większe o dwieście jedenaście milionów hektarów.

Wszystko to zrobił w ledwie cztery lata. Potem, wyczerpany i ciężko chory, wrócił do domu w Tennessee. Cierpiał, jak sam określił swoje

problemy, na „rozstrój wnętrzności”. Umarł w ciągu trzech miesięcy po zakończeniu pierwszej i jedynej kadencji.

Kim zatem był James K. Polk? Dziwnym, zabieganym, pozbawionym radości i dzieciństwa człowiekiem, którym kierowała idea ekspansji terytorialnej. Politycznym masochistą, który zagryzł zęby i zniósł bóle porodowe narodu. Lud wybrał go, żeby w krótkim czasie dokonał śmiałych czynów. Wydawało się, że z nicości powstał i w nicość się obrócił.

Być może w celu uwznioślenia nagiej żądzy ziemi, jaką przejawiał ich prezydent, Amerykanie wpadli w idealistyczny szał. Z prawie religijnym fanatyzmem wierzyli, że ich republikańska forma rządów i gwarantowane konstytucją wolności powinny zostać rozciągnięte na spowite mrokiem tereny niewolone przez Meksyk. Feudalne zwyczaje panujące w tym kraju i katolickie przesądy nie mogły przecież stanąć na drodze Postępowi. Innymi słowy, Meksyk powinien zostać podbity dla własnego dobra.

Z drugiej strony nić łącząca Meksyk z jego północnymi słabo zaludnionymi regionami była cieniutka. Młody kraj, który ledwo co, bo w 1821 roku, wywalczył niepodległość od Hiszpanii, był biedny, kiepsko zorganizowany, niestabilny politycznie i beznadziejnie skorumpowany. Miał też słabą armię i zdemoralizowanych obywateli. Odległy Nowy Meksyk, oddalony od stolicy i dość obojętnych na jego losy władz kraju aż o blisko trzy tysiące kilometrów, był łatwym do zerwania owocem. Co więcej, Szlak Santa Fe otworzył oczy i portfele wielu jego mieszkańców – wymiana handlowa ze Stanami Zjednoczonymi kwitła w najlepsze. Ludzie przekonywali się o lepszej jakości wielu amerykańskich towarów – butów, tekstyliów, sztućców, narzędzi, broni. Otwarcie trasy łączącej kraj z USA wyraźnie poprawiło ich życie. Chcąc nie chcąc, północny Meksyk już znalazł się w orbicie wpływów Stanów Zjednoczonych.

Bez względu na to, czy była moralnie właściwa, czy nie, Amerykanie uważali ekspansję terytorialną swojego kraju za nieuchronną. Ich zdaniem nie było sensu zawracać kijem rzeki. USA, wraz ze swoimi ideałami i instytucjami, parły naprzód, na zachód, ku nowemu. Kraj nie zamierzał się zatrzymywać. Zapach zdobyczy wisiał w powietrzu, rozchodził się po kraju

jak dzisiaj przeboje rockowe. Ochotnicy, którzy wyruszyli z Missouri, maszerowali opętani narodowym zawrotem głowy. John Hughes pisał z entuzjazmem, że każdy żołnierz Armii Zachodu „uważał się za obywatela modelowej republiki”[118]. A ponieważ charakteryzował się „wysokim morale i poczuciem wyższości nad Meksykanami”, wyruszał z romantyczną misją – na zachód w stronę Pacyfiku i na południe do komnat Montezumy[20]!

Kilka lat wcześniej młody nowojorski dziennikarz John O’Sullivan wymyślił frazę, która świetnie podsumowała zapędy Stanów Zjednoczonych. W gazecie „New York Morning News” przekonywał, że USA nie miały innego wyboru; musiały z pełnym przekonaniem i nieubłaganie ruszyć na zachód i zasiedlić Amerykę Północną od morza do morza, ponieważ „cały ten kontynent powierzony nam przez Opatrzność powinien zostać zajęty przez swobodnie rozwijające się i mnożące miliony” obywateli USA. Żeby rozpowszechnić „wielkie doświadczenie wolności”, amerykańska republika musiała wchłonąć nowe ziemie. Takie było, jak twierdził O’Sullivan, jej Boskie Przeznaczenie [*Manifest Destiny*].

Młodzież studiująca na uczelniach w całym kraju wręcz odurzała się poglądem, jakoby Ameryka była wyjątkowa. Studenci zaczęli manifestować swój patriotyzm, angażując się w nową, modną organizację nazwaną Ruchem Młodej Ameryki[119]. Jednym z jej haseł była nieuchronna ekspansja kraju na zachód. Nawet literacka elita USA kupiła ideę Boskiego Przeznaczenia. Herman Melville zadeklarował, że „trudno uznać, iż Amerykę ogranicza na zachodzie cokolwiek innego niż ocean obmywający brzegi Azji”[120]. Walt Whitman uważał, że Meksyk powinien dostać „porządną lekcję”[121], a Waszyngton zbyt długo „zamykał uszy na bezczelną fanfaronadę [meksykańskiego] rządu”. Nadszedł czas, by „Demokracja okazała swe męskie serce oraz swą siłę lwa i rozerwała powrozy, którymi niektórzy chcą ją spętać”. Podobnie jak Polk, Whitman pożądał Nowego Meksyku i Kalifornii, pytając, „jak długo jeszcze będziemy musieli czekać, zanim dwie nowe gwiazdy pokażą się na naszym pięknym niebie?”.

W tym samym czasie wielu ostrzegało, że wojna z Meksykiem to ogromny błąd. Wrogowie Polka z Partii Wigów sprzeciwiali się jej z wielu powodów – niektóre z nich były autentyczne, a niektóre cynicznie polityczne. Inni

ostrzegali przed rasowymi i religijnymi konsekwencjami wchłonięcia terenów zamieszkanych przez Latynosów i katolików. Jeszcze inni zastanawiali się, czy nowe stany zdobyte podczas wojny miały dopuszczać niewolnictwo, czy nie. Sprzeciw wobec wojny zgłaszała mieszkająca w stanie Massachusetts grupa abolicjonistów określająca się jako Wigowie z Sumieniem, której przewodził Charles Francis Adams, syn Johna Quincy'ego Adamsa. Lamentowali oni nie tylko nad „niegodziwością wynikającą z agresji, ale także niegodziwością jej celu – czyli rozpowszechnienia niewolnictwa"[122]. Jednym z najgłośniejszych i najbardziej elokwentnych przeciwników wojny był wielki eseista transcendentalizmu[21] Ralph Waldo Emerson. „Stany Zjednoczone podbiją Meksyk – przewidywał – ale ich zwycięstwo będzie przypominać sukces człowieka, który połknął arszenik. Meksyk nas zatruje"[123].

Byli też tacy krytycy wojny, którym nie podobały się ziemie będące przedmiotem walk. Po co nam, pytali, ta zapomniana przez Boga pustynia? Z wyjątkiem kwitnącego handlu z Santa Fe, Nowy Meksyk nie wydawał się łakomym kąskiem. Kearny'emu towarzyszyli mający wykształcenie przyrodnicze oficerowie z Korpusu Inżynierów Topograficznych. Jednym z nich był porucznik William Emory, który oprócz sporządzenia map terenu za pomocą nowoczesnych narzędzi geodezyjnych i astronomicznych miał odpowiedzieć na różne drobiazgowe pytania gospodarcze: czy w Nowym Meksyku są złoża węgla? A zasoby twardego drewna? Jakiej jakości są tamtejsze pastwiska? Jakie są możliwości rozwoju przemysłu, handlu i rolnictwa? A jeśli rolnictwa, to czy z wykorzystaniem niewolników, czy bez? Jakiej jakości jest gleba w dolinach rzecznych?

Co ciekawe, większość urzędników pracujących w Waszyngtonie poważnie powątpiewała, czy ta pustynna prowincja jest warta świeczki. Ekspansjoniści, do których należał prezydent Polk, wierzyli jednak, że główną wartością Nowego Meksyku jest to, że można przezeń dotrzeć do bardziej wartościowych terenów. Jak bowiem Stany Zjednoczone miały posiąść Kalifornię bez zagarnięcia całego dzielącego je od niej terytorium? Jaki sens miało zdobycie portów na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, dzięki którym można było nawiązać handel z Chinami i resztą Orientu bez zdobycia

lądu, który do nich prowadził? Boskie Przeznaczenie nie przyjmowało do wiadomości nieładnie wyglądających luk na mapie. Wszystko albo nic – takie było założenie i tylko w ten sposób, jak uważano, możliwy będzie wolny handel.

Magnaci i politycy na Wschodzie mamili się już marzeniem o budowie transkontynentalnej linii kolejowej, która połączyłaby Nowy Jork i Waszyngton z południową Kalifornią. Mogłaby ona nawet biec tą samą trasą, którą maszerowała Armia Zachodu – przez Missouri, Kansas i dalej na południe i południowy zachód Szlakiem Santa Fe. W swoich obszernych notatkach porucznik Emory, bystry absolwent akademii oficerskiej w West Point, oceniał trasę, którą pokonał, jako obiecującą. „Na drodze z Fort Leavenworth niewiele jest przeszkód dla budowy linii kolejowej – pisał – i jeśli wygląda ona tak aż do Pacyfiku, to powinna być jedną z tych poddanych pod rozwagę". Emory uważał, że nadejdzie dzień, kiedy „olbrzymie ilości towarów będą przewożone przez regiony, które mogą stać się bogatymi i ludnymi stanami Sonora, Durango i Kalifornia Południowa".

Terytorium Missouri od dawna było dla Amerykanów bramą, przez którą wielkie ekspedycje wyprawiały się na dzikie lądy; to tu można było zrobić zapasy i kupić wyposażenie; tu zaczynała się przygoda. To w Missouri płonęła gorączka pchająca ludzi na Zachód. To właśnie była przystań, z której wyruszało się w nieznane. Reprezentujący ten stan słynny senator Thomas Hart Benton był chyba jednym z największych apologetów podboju Dzikiego Zachodu. Roztaczał przed swoimi ziomkami nęcące wizje Stanów Zjednoczonych zajmujących cały kontynent, by skłonić ich do marszu w stronę Nowego Meksyku.

Sześćdziesięciopięcioletni Tom Benton, stryjeczny dziadek słynnego amerykańskiego malarza o tym samym nazwisku, był potężnym mężczyzną o równie potężnych wpływach. Jego imponujących rozmiarów siwą głowę zdobił równie imponujący nos. W senacie USA oraz w całym swoim życiu słynął z nieustępliwej bojowości. Uczestniczył w kilku pojedynkach. W jednym z nich poważnie zranił w ramię Andrew Jacksona – przyszły prezydent USA skończył pojedynek w kałuży krwi.

Benton był jednym z senackich lwów – a były to czasy, kiedy senat był pełen lwów. Jego sale rozpierały potężne ego Henry'ego Claya, Daniela Webstera i Johna C. Calhouna. Benton, który był ultrajastrzębiem, przewodniczył komisji spraw wojskowych. W senacie zasiadał od przeszło dwudziestu lat, odkąd Missouri zostało odrębnym stanem po przyjęciu w 1820 roku Kompromisu Missouri[22]. Swój sukces zawdzięczał głównie własnej pracy i samokształceniu – gruźlicę, na którą cierpiał w latach chłopięcych, miał zwalczyć zimnymi prysznicami i ćwiczeniami na świeżym powietrzu. Jak pisała jego córka Jessie, dzięki chorobie znalazł „w sobie samym sprzymierzeńca, na którym mógł zawsze polegać – silną wolę".

Z powodu wypadku, który wiązał się zresztą z narodową tragedią, Benton nie słyszał na jedno ucho. Trzy lata wcześniej, w lutym 1844 roku, wszedł na pokład okrętu USS Princeton, który zabrał waszyngtońskich dygnitarzy w niedzielny rejs po rzece Potomak. Okrętem dowodził Robert Stockton, efekciarski komodor marynarki wojennej USA, który potem odegrał ważną rolę w podboju Kalifornii. W pewnym momencie Stockton polecił swoim artylerzystom wystrzelić salwę honorową z nowego działa zamontowanego na pokładzie. Coś poszło nie tak i działo wybuchło, rażąc odłamkami i falą uderzeniową znajdujący się w pobliżu tłum polityków i wojskowych. Wielu dygnitarzy zginęło od odłamków – między innymi sekretarz stanu Abel - Upshur i sekretarz marynarki wojennej Thomas Gilmer. Benton miał ogromne szczęście. Tuż przed wybuchem przesunął się trochę, żeby stanąć w miejscu, z którego mógł lepiej widzieć artylerzystów. Fala uderzeniowa zniszczyła mu jednak bębenek w jednym uchu i tak poważnie nadwyrężyła jego zdrowie, że dochodził do siebie przez kilka miesięcy.

Spokój odnajdywał w książkach. Był zagorzałym bibliofilem, który ponoć posiadał najlepszą bibliotekę na terytoriach leżących na zachód od Missisipi. Całkiem możliwe, że w gabinecie na drugim piętrze swojego waszyngtońskiego mieszkania miał też najlepszą bibliotekę na wschód od Missisipi. Był szczególnie dumny z rzadkich wydań dzieł Plutarcha i Herodota, a także opasłych tomów *British State Trials* [„Brytyjskich Zbrodni Stanu"][23], które nieznośnie uwielbiał cytować. W Waszyngtonie i okolicach uważano go za chodzącą encyklopedię. Daniel Webster[24] mówił,

że Benton „zna więcej faktów politycznych niż ktokolwiek inny, więcej nawet niż John Quincy Adams”[124].

Benton słynął też z niepowtarzalnych przemówień, które miały paraliżować działania senatu. Potrafił wygłaszać je cięgiem przez dwanaście godzin i nasycać zawiłymi wywodami ubranymi w górnolotne słowa. Jeden z jego biografów napisał, że Benton „za pomocą zebranych przez siebie faktów dosłownie wgniatał swoich słuchaczy w ziemię”. Zresztą wzniosłymi aluzjami do greckiej czy rzymskiej literatury ubarwiał nie tylko swoje oficjalne wystąpienia, ale także zwykłe rozmowy. Teddy Roosevelt[25], inny biograf Bentona, uważał, że senator, choć był „erudytą”, to jednocześnie był „śmiertelnie skażony tanim pseudoklasycyzmem”. Roosevelt nie szczędził zresztą Bentonowi cierpkich słów. Według niego słynny senator, cieszący się „wspaniałą fizys”, dosłownie „rósł podczas swych gniewnych przemówień”, a także „uwielbiał nadmuchane oracje”, podczas których „toczył pianę z ust”. Charakteryzował się też „agresywnym patriotyzmem” oraz „zdolnością do ciężkiej pracy”, ale „niestety, brakowało mu poczucia humoru”[125].

Na długo przed wybuchem wojny z Meksykiem Benton zadbał o to, żeby amerykańscy osadnicy rozpoczęli marsz ku wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Jeszcze w latach dwudziestych XIX wieku, kiedy po raz pierwszy został senatorem, zaproponował projekt ustawy o robotach publicznych, dzięki którym powstałaby droga handlowa z prawdziwego zdarzenia łącząca Missouri z Nowym Meksykiem – to ją nazwano później Szlakiem Santa Fe. To także Benton orędował za otwarciem Szlaku Oregońskiego[26], którym tysiące emigrantów podróżowały każdego roku, by zasiedlić żyzną dolinę Willamette w Oregonie. Rozumiał też konieczność organizowania ekspedycji topograficznych, które zbadałyby i naniosły na mapy ziemie Dzikiego Zachodu. Dzięki swoim rozległym znajomościom postarał się o to, żeby najważniejsze misje odkrywcze powierzano jego zięciowi Johnowi C. Frémontowi. Tom Benton, bardziej niż ktokolwiek inny w Waszyngtonie – nawet prezydent Polk – był twarzą i głosem idei Boskiego Przeznaczenia.

Dotarł jednak do niej dość krętą drogą, co czyniło go jednym z najciekawszych senatorów ówczesnych czasów. Był z urodzenia południowcem, reprezentował stan, w którym praktykowano niewolnictwo,

i sam posiadał niewolników. Ale nie zgadzał się ze swoimi ziomkami, którzy w Waszyngtonie propagowali podbój Zachodu głównie po to, żeby rozszerzyć instytucję niewolnictwa na Teksas, Kalifornię i inne rejony Ameryki. Jego zdaniem mogło to naruszyć chwiejną narodową równowagę pomiędzy stanami niewolniczymi i wolnymi. To zadziwiające, ale niewolnictwo nie było powodem, dla którego Benton wspierał ekspansję na pograniczu. Uważał tę „osobliwą instytucję" [*Peculiar Institution*] za „nieuleczalne zło", które stanom zachodnim przyniosłoby tylko niekończące się kłopoty[126].

– Z natury jestem południowcem – zadeklarował kiedyś. – Ale nie przyłożę ręki do rozszerzenia niewolnictwa na tereny, na których nigdy ono nie istniało[127].

Tom Benton wspierał ekspansję USA na Zachód z zupełnie innych powodów. Przede wszystkim był unionistą, wielkim patriotą, który nie miał cierpliwości do ludzi takich jak John C. Calhoun ciągle mówiących o unieważnianiu[27] i secesji. Benton wierzył w święte prawa wynikające z potęgi Stanów Zjednoczonych, w amerykańskie ideały, a także – może przede wszystkim – w amerykański handel. Był zagorzałym zwolennikiem niskich taryf celnych i wolnego handlu. Szczególnie interesowały go kraje Orientu. Nie mógł się doczekać obfitych dostaw azjatyckich towarów, które kiedyś miały popłynąć do amerykańskich portów w San Francisco i cieśninie Puget. Bez zakłopotania mówił o „amerykańskim imperium". Po przestudiowaniu licznych lektur ukuł teorię, że wszystkie imperia w historii ludzkości mogły osiągnąć prawdziwą wielkość tylko dzięki bezpośredniemu handlowi z Azją. Nalegał, żeby Stany Zjednoczone zrobiły wszystko, co w ich mocy, aby przetrzeć szlak do Oceanu Spokojnego. Uważał, że tylko w ten sposób możliwe będzie otwarcie „amerykańskiej drogi do Indii". Całe jego długie, ambitne i wojownicze życie zawodowe było podporządkowane temu celowi. Roosevelt uważał ów cel za „hobby" Bentona. Na pewno był to lejtmotyw jego kariery, cel, który starał się wbić do głów swoich słuchaczy.

Według Bentona najpoważniejszą przeszkodą stojącą na drodze do otwarcia handlu z Dalekim Wschodem była Wielka Brytania. Senator, który walczył w wojnie 1812 roku, nienawidził Brytyjczyków w sposób

szczególny. Denerwowało go, że ciągle węszyli i intrygowali w Kalifornii, próbując wepchnąć do niej swoich kolonistów. Londyn, posiadający potężną marynarkę wojenną, mógł na tysiąc sposobów blokować cele geopolityczne USA. Dlatego Benton uważał, że prezydent Polk powinien postawić na zdecydowaną konfrontację z Wielką Brytanią. Choć Polk dogadał się z Brytyjczykami, żeby oprzeć północną granicę Oregonu o równoleżnik leżący na czterdziestym dziewiątym stopniu szerokości geograficznej północnej, Brytyjczycy ciągle byli podejrzanie zainteresowani wspaniałymi kalifornijskimi portami. Benton uważał, że Ameryka powinna śmiało sięgnąć po to, co słusznie jej się należy, zanim weźmie to sobie Wielka Brytania.

Z powodów praktycznych na drodze do tego celu stał Meksyk. Na szczęście Armia Zachodu dowodzona przez Stephena Kearny’ego miała usunąć tę irytującą przeszkodę.

7

Dzikość życia

Kit Carson słynął z tego, że był człowiekiem czynu, a nie słów, a do sytuacji dostosowywał się z wrodzoną łatwością. Prawie wszyscy, którzy go znali, zauważali tę jego cechę. Lekarz wojskowy, podróżujący kiedyś z Carsonem, odnotował jego „przenikliwość i bystrość" oraz „bezzwłoczność w działaniu". Kiedy Kit opowiadał historyjki ze swojego życia, jego ulubioną frazą było „no i tak zrobiłem". Te słowa wypowiadał z taką łatwością, jakby po prostu stwierdzał oczywisty fakt. Stanley Vestal, jeden z jego wczesnych biografów, zauważył, że Carson ciągle używał sformułowania „postanowiłem ich zaatakować, no i tak zrobiłem", często zamykając je w jednym zdaniu[128]. „Dla Kita – pisał Vestal – podjęcie decyzji i jej wdrożenie były dwoma krokami jednego procesu".

Mimo że w gorącej chwili próby Carson potrafił być niezwykle pewny siebie, cechowały go też poważne wątpliwości i słabości. Głęboko wstydził się swojego analfabetyzmu i próbował go ukryć za wszelką cenę. A nie potrafił nawet się podpisać. Dokumenty długo poświadczał zwykłym „X-em", aż w końcu nauczył się pisać „C. Carson". Czasem wychodził na jaw jego kompleks niższości – manifestujący się instynktownym szacunkiem dla kulturowo wyrafinowanych mężczyzn ze Wschodu, obdarzonych większym intelektem i lepiej ustosunkowanych niż Carson. Ulegając czarowi takich ludzi, Kit wydawał się zadowolony ze statusu wiernego pomocnika, a nawet, można by powiedzieć, pomagiera. Kiedy ludzie, których uważał za lepszych od siebie, wydawali mu rozkaz, on go po prostu wykonywał – bez zadawania pytań i szczęśliwy, że może pomóc.

Jednym z takich ludzi był John C. Frémont. Niezwykle inteligentny, choć o wątpliwej moralności, Frémont był też uderzająco przystojny. Miał w rysach coś, co przywodziło na myśl jastrzębia, do tego czarną brodę i szalone spojrzenie proroka. W tajemniczych oczach czaiła się wola

zdobywcy, który widział siebie kroczącego po ścieżce chwały wiodącej do o wiele większej fortuny niż ta, jaką zdawały się zapowiadać jego przyrodzone zdolności. Inaczej niż pozostali topografowie służący w wojsku Frémont nie ukończył West Point. Tak naprawdę nie ukończył nawet studiów. Z uniwersytetu w Karolinie Południowej wyrzucono go za „notoryczne zaniedbania”[129]. Poza tym był bękartem – synem francuskiego wędrownego artysty. Urodził się w Savannah, a wychował w Charleston. Był w dużej mierze samoukiem, który pasjonował się botaniką, cieszył się reputacją uwodziciela i miał nieznośną skłonność do melodramatyzowania.

Frémont miał też istotną zaletę. Był mężem Jessie Benton Frémont, ukochanej córki senatora Toma Bentona. Dzięki ciągłemu wsparciu teścia zdobył imponujący zestaw zleceń na eksplorację wielkich pustkowi Dzikiego Zachodu.

Jego pierwszym zadaniem – latem 1842 roku – było naniesienie na mapę i opisanie fragmentu Szlaku Oregońskiego biegnącego aż do Przełęczy Południowej leżącej w dzisiejszym stanie Wyoming. Szlak Oregoński był nową drogą dla powozów, która w Kansas odbijała od Szlaku Santa Fe i pięła się na północny zachód, przez Góry Skaliste do Oregonu (będącego wtedy terytorium oficjalnie okupowanym zarówno przez Wielką Brytanię, jak i Stany Zjednoczone). Amerykańskie wyprawy osadnicze, skuszone doniesieniami o żyznej glebie zalegającej w dolinie Willamette, coraz bardziej tłoczyły się na tej krętej i nierównej drodze.

Była to trasa niepewna, poznaczona niebezpiecznymi odnogami, które mogły wywieść na manowce, a do tego słabo poznana i niedokładnie naniesiona na mapy – i to zarówno jeśli idzie o informacje dotyczące źródeł wody, jak i dotyczące plemion indiańskich. Prawdę mówiąc, Szlak Oregoński nie budził grozy tylko u ludzi o nerwach ze stali.

Dlatego decydenci pragnący przesunąć granice Stanów Zjednoczonych na zachód postanowili coś z tym fantem zrobić. Senator Benton i inni, którzy chcieli zachęcić Amerykanów do wyruszenia na nowe terytoria, zdawali sobie sprawę, że tym, czego osadnicy najbardziej potrzebowali, były porządna mapa i przewodnik – coś w stylu podręcznika użytkownika – które poprowadziłyby ich jak po sznurku do ziemi obiecanej.

Zadanie stworzenia tego wszystkiego przypadło pierwszej wyprawie Frémonta.

Przygotowując się do podróży w St. Louis, Frémont poznał Kita Carsona. Spotkali się na parowcu pływającym po Missisipi. Carson miał wtedy trzydzieści dwa lata i po wielu latach traperki w Górach Skalistych odwiedzał w Missouri rodzinę.

Frémont szybko polubił swojego dziwnego, drobnego rozmówcę. „Miał szerokie ramiona i solidną pierś – pisał Frémont o Carsonie – oraz jasne i spokojne niebieskie oczy”[130]. Szczególnie zaimponowały mu skromność i łagodność Carsona. Powiedział mu, że szuka przewodnika, która poprowadzi go do Przełęczy Południowej.

– Spędziłem w górach trochę czasu – odpowiedział Carson. – Mogę zaprowadzić was wszędzie, gdzie będziecie chcieli[131].

Frémont rozpytał o Carsona innych ludzi gór, którzy akurat bawili w Missouri. Usłyszał tylko pochwały. Carson dostał więc pracę.

Pierwsza Wyprawa Frémonta, jak ją nazwano, opuściła Missouri w czerwcu 1842 roku. Brało w niej udział dwadzieścia pięć osób, które zabrały ze sobą między innymi nowinkę ówczesnych czasów – dmuchane gumowe pontony. Ekspedycja trwała pięć miesięcy i zakończyła się sukcesem. Pogoda była świetna, a wszyscy podróżnicy wrócili do domu cali i zdrowi. Podczas wyprawy obyło się też bez kłopotów z Indianami. Choć fałszywe plotki o nieuchronnych atakach z ich strony, do jakich miało dojść wzdłuż rzeki Platte Północnej, skłoniły Carsona do podyktowania testamentu.

Carson zdał egzamin na piątkę. Okazało się, że potrafi utrzymać wyprawę na kursie i z dala od kłopotów. Z kolei Frémont wykazał się dzielnością i pomysłowością. Był człowiekiem, który w razie potrzeby za pomocą zwierzęcego rogu i kleju z kopyta bizona potrafił naprawić zepsuty barometr[132].

Wyprawa zgodnie z planem dotarła do Przełęczy Południowej. Podczas drogi powrotnej Frémont zrobił nieprzemyślany i zawadiacki wypad do pasma górskiego Wind River, zupełnie w swoim stylu. Zatknął wtedy amerykańską flagę na ośnieżonym szczycie, o którym błędnie sądził, że był najwyższym szczytem Gór Skalistych.

Wydawało się, że szczęście uśmiechnęło się do Frémonta. Jesienią, po powrocie do Waszyngtonu zabrał się szybko do pisania oczekiwanego przez senatora Bentona przewodnika, zapełniając go mapami i rysunkami przyrody. Kongres USA błyskawicznie wydał tę książkę, nadawszy jej niewdzięczny tytuł *A Report on an Exploration of the Country Lying between the Missouri River and the Rocky Mountains on the Line of the Kansas and Great Platte Rivers* [„Raport z eksploracji kraju leżącego pomiędzy rzeką Missouri a Górami Skalistymi, wzdłuż rzek Kansas oraz Platte”].

Raport napełnił Amerykanów dumą narodową i szybko został przedrukowany przez gazety w całym kraju. Ludzie podchwycili barwne opisy życia na szlaku, które wyszły spod pióra Frémonta, a także historie o bizonach, niedźwiedziach grizli i dziwnych zwyczajach Indian. Droga do Oregonu, zdawał się przekonywać Frémont, nie była wcale tak zatrważająca, jak uważano. A preria nie była wcale nienadającą się do zamieszkania pustynią, ale kwietnym kobiercem.

Frémont stał się prawdziwym celebrytą, czempionem ekspansji terytorialnej, zdobywcą noszącym nie miecz, ale kompas i teodolit. „Poruszył moją wyobraźnię – pisał poeta Henry Wadsworth Longfellow – Cóż za dzikość życia, jaka świeżość istnienia! Choć także, ach, ogromne niewygody”[133].

Opowieść Frémonta o wyprawie odniosła skutek, jakiego oczekiwał senator Benton. Pchnęła na zachód falę krytych wozów wypełnionych pełnymi nadziei emigrantami. Wielu z nich jechało w nieznane po pokrytym koleinami szlaku, trzymając w ręku wydany przez Kongres przewodnik. Pierwsza Wyprawa Frémonta odniosła tak wielki sukces, że następnego lata zlecono mu organizację kolejnej ekspedycji. Tym razem miał opisać i nanieść na mapę drugą część Szlaku Oregońskiego, od Przełęczy Południowej do rzeki Kolumbia. Czekała go więc podróż o wiele dłuższa i bardziej ambitna.

I znowu Frémont zatrudnił Carsona jako przewodnika.

8

Władcza ręka Opatrzności

Armia Kearny’ego uparcie maszerowała na zachód. Niezauważalnie pięła się coraz wyżej. W coraz rzadszym i suchszym powietrzu żołnierze nie potrafili ocenić odległości. Czasem dawali się oszukać iluzjom optycznym – słynnym fałszywym oczkom wodnym. W swoim dzienniku szeregowiec Jacob Robinson ze zdumieniem opisywał pierwszy miraż, który zobaczył.

> Nic nie jest takie, jakim się wydaje – pisał. – Jakąś milę od nas lśniło krystaliczne jezioro, ozdobione wieloma wyspami. Było tak realnie zarysowane, że nikomu się nie śniło, że mogło nie być prawdziwe. Choć wiedzieliśmy o pojawiających się iluzjach, wielu z nas było przekonanych, że jezioro istniało naprawdę. Niektórzy nawet o to się założyli i, oczywiście, przegrali[134].

Widłorogi skubały krótką trawkę, by nagle, wyczuwając niebezpieczeństwo, zerwać się i pomknąć jak strzała. Ciekawskie pieski preriowe wychylały głowy ze swoich ukrytych korytarzy i nerwowo pogwizdywały. Ich jamki często zajmowały też grzechotniki, grzebały w nich także sowy – drapieżniki, które nieproszone wprowadzały się do domów swoich ofiar. Czasem, jak pisał Robinson, „ziemia była tak podziurawiona i rozgrzebana, że wydawała głuchy, pusty odgłos, jak most, kiedy po nim przejechać”[135].

Przez prawie cały czerwiec 1846 roku Kearny utrzymywał ostre tempo – średnio trzydzieści trzy kilometry dziennie, czasem przekraczał czterdzieści osiem. Generał objeżdżał konno kolumny swych wojsk, motywując tych, którzy zostawali w tyle, i udzielając żółtodziobom porad dotyczących obchodzenia się z końmi. Ochotnicy spoglądali na niego z mieszaniną urazy i podziwu. „Nic nie przewyższy wiary, jaką pokłada w nim każdy z nas – napisał jeden z nich. – Jest on jednakże zwolennikiem szybkiego tempa marszu i ciągle nas w nim utrzymuje”[136]. „Ma reputację jednego

z największych podróżników, jacy kiedykolwiek przemierzali równiny", zauważył inny żołnierz.

Kearny nie był jednak po prostu fanem prędkości. Rozumiał, że prowadził wyścig z czasem o furaż. W drugiej połowie lipca równiny wysychały i brązowiały, brakowało na nich trawy, która mogła wykarmić konie, muły i woły. Kearny chciał też zapolować na bizony. Liczył na to, że przez część wyprawy wykarmi swoich ludzi mięsem tych zwierząt. Gdyby opóźnił marsz armii, mógłby nie trafić na bizony, których stada w połowie lata migrowały na północ, szukając bardziej soczystej trawy. Kearny wiedział o prerii wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo musi liczyć się z czasem.

Na początku lipca zwierzęta były wyczerpane. Także ludzie mieli coraz mniej jedzenia, więc Kearny musiał ograniczyć im racje żywnościowe o połowę. Żołnierze zaczęli zbierać dzikie jagody, śliwki i wiśnie z drzew owocujących na brzegach krętych strumieni. Grupy myśliwych odłączały się od maszerujących kolumn, żeby zapolować na antylopy i jelenie. 4 lipca Armia Zachodu zrobiła krótki popas, żeby uczcić rocznicę narodzin swojego kraju. „Rano łyknęliśmy sobie whisky z okazji święta – zapisał Robinson w swoim dzienniku – ale potem musieliśmy podjąć marsz, bo nasze zapasy jedzenia były na wyczerpaniu"[137].

Żołnierze zabijali nudę, opowiadając sobie historyjki i wymieniając plotki. Wędrowały one przez kolumny marszowe niczym przez głuchy telefon, ewoluując wraz z kolejnymi powtórzeniami. Kearny wydawał się żołnierzom mocno wycofany. „To człowiek, który zachowuje wiele dla siebie", napisał jeden z ochotników[138]. Mało który z nich w pełni rozumiał, o co chodzi w ich misji i dokąd dokładnie maszerują. Wiedzieli jedynie, że idą na zachód. Żołnierze wymieniali się pogardliwymi uwagami na temat Santa Anny[28] i Watykanu. Śpiewali patriotyczne pieśni – ich ulubioną była *Yankee Doodle* – zagłuszając pochrząkiwania zwierząt.

Za kolumnami wojska ciągnęły kruki – podobnie jak na morzu za statkami podążają mewy. Często lądowały na napiętym płótnie przykrywającym wozy i krakaniem domagały się jedzenia. Żołnierzy śledziły też kojoty i wilki. Całe

watahy sadziły przez trawę, utrzymując się tuż poza zasięgiem karabinów i czekając, aż któryś koń padnie ze zmęczenia.

Armii Zachodu towarzyszyła wewnętrzna armia pomocników i handlarzy, zakontraktowanych do obsługi wojska – kołodziejów, markietanów, praczek, kucharek, ludzi opiekujących się zwierzętami, kowali, woźniców, bednarzy, myśliwych, tragarzy, koniuszych, rzeźników. Wielu z nich miało ogromne doświadczenie w podróżowaniu Szlakiem Santa Fe. Przed przejściami przez rzeki na czoło pochodu wyruszały zastępy inżynierów, którzy badali piaszczyste dna i trzęsawiska, szukając najlepszego miejsca do przeprawy. Brali oni ze sobą łopaty i motyki, żeby trochę wyrównać grunt w miejscu, w którym ciężkie wozy miały przekroczyć rzekę. Jeśli ich osie były wykonane ze zbyt młodego drewna, często nie dawały rady.

8 lipca kolumna, w której maszerował szeregowiec Robinson, dotarła do słynnego punktu orientacyjnego na Szlaku Santa Fe – skalnej formacji, którą nazywano Pawnee Rock, czyli Skałą Paunisów. Była ona pomazana i poryta nazwiskami licznych podróżników, którzy przez ostatnie dekady jeździli Szlakiem Santa Fe. Niektóre z bardziej dopracowanych rysunków wykonano atramentem ze zwierzęcego tłuszczu zmieszanego ze smołą. Robinson wdrapał się na skałę – pewnie po to, żeby namazać na niej i swoje nazwisko – i spojrzał na zachód, gdzie zobaczył, jak to ujął, „jeden z najwspanialszych widoków, jakie kiedykolwiek ujrzał”.

W złotym świetle popołudnia ciemniało potężne stado bizonów, liczące co najmniej ćwierć miliona zwierząt. „Zajmowały każdy akr ziemi – pisał Robinson – a na horyzoncie preria wydawała się jedną czarną masą, w której nie było skrawka wolnej trawy”[139].

W tamtych czasach po Wielkich Równinach wędrowało blisko pięćdziesiąt milionów bizonów. Ta góra mięsa przemierzała na kopytach prerię, jak zwykle o tej porze roku przenosząc się z północy na południe, a w poszukiwaniu wody wędrując na zachód i wschód. Bizony zostawiały na prerii tak potężne tropy, że nie można ich było przegapić. Robinson wraz z grupą żołnierzy podjechał do zwierząt. Były łatwym łupem, zanim wyczuły zagrożenie. Należące do stada sztuki mogły padać jedna po drugiej, podczas gdy ich ociężali towarzysze ciągle spokojnie skubali trawę. Ekipa, w której

był Robinson, zabiła ich ze czterdzieści. Zwierzęta natychmiast oprawiono i przygotowano z nich obiad.

Susan Magoffin, dziarska osiemnastolatka z Kentucky, podążała z Armią Zachodu razem ze swoim świeżo poślubionym mężem, który był doświadczonym handlarzem, wielokrotnie podróżującym Szlakiem Santa Fe. W dzienniku, który stał się klasyczną pozycją literatury o Dzikim Zachodzie, Magoffin uchwyciła spektakl polowania na bizony.

> Mężczyźni wyjechali o świcie – pisała – a teraz do obozu wracają muły załadowane myśliwskimi trofeami. Wspaniałe tłuste mięso cieszy nasze oczy, susząc się na rozciągniętych linach. Ależ zupę ugotowaliśmy na żeberkach wyciętych z grzbietu bizona. W najlepszych hotelach Nowego Jorku i Filadelfii nie jadłam równie dobrej. Najsłodszego masła i najdelikatniejszego oleju, które kiedykolwiek jadłam, nie da się porównać do szpiku bizonich kości udowych. To miejsce, w którym łatwo się żyje i łatwo tyje[140].

Grupa Robinsona rozbiła obóz pod plątaniną topoli porastających brzegi czarnej rzeczki pełnej karpi. Ustawili swoje wozy w pierścień i powiązali ich koła konopnymi sznurami. Taka palisada miała ich chronić przed ewentualnym atakiem Paunisów, ale także służyła za zagrodę, w której zwierzęta były bezpieczne. Dno rzeczki zaścielało brązowo-czarne włosie zostawione przez bizony, które latem zrzucały sierść, ocierając się o nierówne pnie topoli.

Zbliżał się zmierzch, więc kucharze rozpalili ogień, korzystając z „preriowego paliwa” – wyschniętych placków bizonich odchodów. Robinson i jego towarzysze grillowali steki i rozlewali gorzką kawę – „czarną zupę”, jak czasem mówiono na ulubiony napitek pogranicza[141]. Mężczyźni losowali, komu przypadną tłuste żeberka, wycięte z bizonich grzbietów i uchodzące za najsmaczniejszy kąsek. Węgiel z rozżarzonych bizonich placków, który palił się jak torf, nadawał mięsu lekkiej goryczy, ale dla wygłodzonych żołnierzy było to niebo w gębie.

Po posiłku rozwinęli derki i wyciągnęli się pod wspaniałym, iskrzącym się gwiazdami niebem. Dyszel pierwszego w kolumnie wozu skierowali ku Gwieździe Polarnej, żeby rano nie mieć problemów z orientacją w terenie. Wyczerpani szybko zasnęli, wsłuchani w ryki bizona na rykowisku i skowyt

wilków, których „długi i smętny zaśpiew – jak go określił jeden z żołnierzy – czyni noc na prerii doskonale potworną”[142].

W ostatnim tygodniu lipca 1846 roku, pokonując coraz bardziej pustą i dziką krainę, Armia Zachodu natknęła się na rozlaną szeroko rzekę Arkansas i przez wiele dni maszerowała wzdłuż jej porosłych topolami brzegów. Pewnego dnia na horyzoncie niczym zjawa ukazały się ośnieżone górskie szczyty. Na północnym zachodzie żołnierze mogli dojrzeć potężny, porowaty i połyskujący w słońcu Pikes Peak. Z kolei na południowym zachodzie piętrzyły się stożkowate bliźniacze szczyty zwane Spanish Peaks, na które miejscowe plemiona mówiły Wah-to-Yah – „Piersi świata”.

W Missouri nie było gór, prawdziwych gór jak te, więc żołnierze byli oszołomieni. Jeden z nich zapisał w swoim pamiętniku, że „poszarpane szczyty wznoszą się do niebios i otaczają nas ze wszystkich stron, […] są tak potężne, że nie da się tego opisać”.

Na początku sierpnia wojska Kearny’ego rozciągnęły się na setkach kilometrów Szlaku Santa Fe, prąc naprzód w dziesiątkach osobnych zastępów. Przed wtargnięciem do Nowego Meksyku Kearny postanowił zatrzymać się i zgrupować swoje siły na linii rzeki Arkansas w forcie Bentów – glinianej cytadeli, w której we wczesnych latach czterdziestych XIX stulecia Kit Carson pracował przez chwilę jako myśliwy.

Najwyższa wieża fortu była wyposażona w lunetę, dzięki której można było śledzić ruch na szlaku i mieć oko na wrogich Indian. Na dachu trzymały też straż dwa żywe, zamknięte w klatce bieliki amerykańskie. Indianie preriowi pochodzący z plemion przyjaznych białym często rozstawiali swoje tipi niedaleko osady, a w forcie handlowali, uprawiali hazard i pili. Fort Bentów był jak głośna i rojna agora, której mieszkańcy mieli co prawda surowe maniery, ale ogólnie rzecz biorąc, jeśli nie byli zbyt pijani, zachowywali się przyjaźnie. W osadzie był istny labirynt magazynów wypełnionych bobrzymi futrami, bizonimi skórami i beczkami Błyskawicy z Taos, mocnej whisky z Nowego Meksyku.

Ten przyczółek amerykańskiej cywilizacji oferował wszelkiego rodzaju wyuzdane przyjemności i wygody – wśród nich pawie, które przechadzały się

po osadzie, francuskiego krawca, białe obrusy w jadalni, lód wykorzystywany w ulubionym miętowym napitku spożywanym w forcie, który miejscowi nazywali „gradobiciem”, no i najbardziej luksusowe dziwactwo, jakie można sobie było wyobrazić, czyli stół bilardowy.

Dragoni Kearny’ego rozbili obóz po północnej stronie Arkansas, a legiony ochotników z Missouri rozstawiły namioty na łące rozciągającej się na południe od rzeki. Wyczerpane konie i muły zostały puszczone na pastwisko – spętane albo luzem. Tam coś je spłoszyło – według jednego ze świadków była to po prostu spadająca z drzewa gałąź – i stado w popłochu ruszyło na oślep przed siebie.

W jednej chwili spętane dotąd konie urwały się z postronków i popędziły za tymi, które puszczono wolno – wbijając się w ich stado od flanki i wzmagając jeszcze ogólną panikę. Kilometry prerii zostały pokryte śladami kopyt i kłębami kurzu. Generał Kearny był wściekły na ochotników za to, że część koni puścili na pastwisko luzem. Na Szlaku Santa Fe popłoch wśród zwierząt uważano za katastrofę pierwszej klasy, o skutkach znacznie groźniejszych niż spotkanie z Indianami. W szaleńczej galopadzie wiele koni pobiegło tak daleko, że więcej ich już nie widziano. Missourczycy spędzili cały dzień na uganianiu się za rozproszonymi po prerii zwierzętami. Niektóre z nich dogonili aż przeszło osiemdziesiąt kilometrów od fortu. Osiemdziesięciu koni nie udało się złapać.

Wśród podróżników, którzy znaleźli schronienie w forcie, była Susan Magoffin, młoda „dziennikarka” z Kentucky. Na szlaku zachorowała i podczas postoju bezskutecznie próbowała trochę wypocząć. Niestety, fort Bentów niezbyt do tego się nadawał. „Panuje tu największy możliwy hałas – pisała Magoffin w swoim dzienniku. – Podkuwanie koni, rżenie i ryk mułów, krzyki i kłótnie ludzi – wszystko to mnie męczy”[143]. Nie mając pojęcia, co jej dolega, Susan brała „pigułki Sappingtona na gorączkę i zimnicę”, popularny lek zawierający chininę, którym na pograniczu leczono wszystko. Miała nadzieję, że jej stan się polepszy, wciąż jednak narzekała na „dziwne zawroty głowy, ból pleców i bioder. Ciągle muszę leżeć, a kiedy wstaję, muszę ręką zakrywać sobie oczy”[144].

Jej stan stale się pogarszał. Ponieważ była podróżniczką dobrze ustosunkowaną, poszukano dla niej lekarza. Mąż Susan, Samuel, pracował na Szlaku Santa Fe od piętnastu lat i świetnie znał się z braćmi Bent. Z kolei jej szwagier, James Magoffin, który również był weteranem szlaku, biegle mówił po hiszpańsku, a w Santa Fe był stałym bywalcem.

Prawdę mówiąc, kilka dni wcześniej generał Kearny wezwał do siebie Jamesa Magoffina i zlecił mu tajną misję. Magoffin został jego sekretnym posłańcem do Santa Fe, gdzie miał spotkać się ze świetnie sobie znanym nowomeksykańskim gubernatorem Manuelem Armijo. Kearny liczył, że uda się namówić Armijo do oddania Nowego Meksyku bez jednego wystrzału. Choć nie znamy szczegółów misji Magoffina, uważa się, że miał osłodzić gubernatorowi kapitulację łapówką. Chora Susan, leżąca w swoim pokoju w forcie Bentów, oczywiście nie miała o tej misji pojęcia.

Podczas postoju Armii Zachodu dwie inne warte wzmianki kobiety również znalazły schronienie w forcie. Były to siostry ze znanej w Taos rodziny Jaramillo – Ignacia i młoda żona Kita Carsona Josefa. Ignacia była małżonką Charlesa Benta, który kiedy nie przebywał na szlaku albo nie załatwiał interesów w forcie, mieszkał w Taos. Bojąc się, że amerykańska inwazja narazi jego żonę na ryzyko, ściągnął ją i jej siostrę do fortu. Miały w nim pozostać, aż Amerykanie zajmą Nowy Meksyk, a głowy jego latynoskich mieszkańców ostygną.

Szlakiem nadchodziło coraz więcej żołnierzy, a choroba Susan Magoffin postępowała. Zaczęła „bardzo cierpieć i zwijać się z bólu”[145]. Około północy 31 lipca przybył w końcu lekarz, Francuz z pochodzenia, i dał jej zastrzyk morfiny. Susan opadła w ramiona męża, by potem, jak to ujęła, „zapaść w jakiś rodzaj letargu”[146].

Tej samej nocy poroniła. Francuski lekarz ocenił, że było to spowodowane trudami długiej podróży. Sama Magoffin nawet nie wiedziała, że była w ciąży. Kilka dni później poczuła się na tyle dobrze, że mogła wrócić do pisania dziennika. „Dane było mi poznać tajemnice nowego świata – zanotowała. – Za kilka miesięcy miałam zostać szczęśliwą matką i uradować serce ojca mojego dziecka, ale wmieszała się władcza ręka Opatrzności i pozbawiła nas, śmiertelników, okruchu nadziei”. Susan bała się, że po

utracie dziecka nie dojdzie do siebie, że umrze w swojej izbie z powodu jakiejś infekcji i że nigdy nie zobaczy już „jasnej, radosnej Ameryki”.

Tej samej nocy, kiedy straciła ciążę, jej mąż wyjawił jej, że w pokoju poniżej czejeńska kobieta, prawdopodobnie *squaw* jednego z handlarzy mieszkających w forcie, urodziła zdrowe dziecko. Pół godziny po porodzie Czejenka zgodnie z prastarą tradycją swojego plemienia poszła nad Arkansas i w wodach rzeki obmyła siebie i swoje nowo narodzone dziecko.

Magoffin zdrowiała i nasłuchiwała, jak armia Kearny’ego przygotowywała się do wymarszu, który miał nastąpić w niedzielę rano. „Mimo szabatu – pisała – ciążyła na nich konieczność. Wszyscy pracowali, ciągle słyszałam uderzenia kowalskiego młota. Często i głośno grała trąbka. W pochwach dzwoniły szable, rozlegając się echem. Co rusz dało się słyszeć wojskowe komendy”[147].

Magoffin, prawdopodobnie na silnych lekach, leżała w ciemnym pokoju i rozmyślała nad ponurą misją Kearny’ego.

> Choć nie wolno mi wstawać z łóżka, mogę swobodnie medytować nad głupotą i pokrętną naturą człowieka! Z istoty stworzonej do celów szlachetnych zmienił się w bestię, wyrusza na wojnę z innym człowiekiem i zachowuje się jak durny brutal. Zamiast dawać dobry przykład, pożąda bogactwa, honoru i sławy, rujnując sobie przy okazji duszę i tracąc nadzieję na koronę na tamtym świecie[148].

W końcu na rozkaz Kearny’ego Armia Zachodu opuściła fort. Ciągnęła ze sobą półtora tysiąca wozów i blisko dwadzieścia tysięcy zwierząt. Jej długie kolumny przekraczały rzekę Arkansas, naruszając granicę z Meksykiem. Równinnym płaskowyżem maszerowały na Santa Fe.

9

Odkrywca

Druga Wyprawa Frémonta, podjęta w 1843 roku, okazała się jeszcze bardziej udana niż pierwsza. W drodze do Oregonu ekspedycja na dłużej zatrzymała się nad Wielkim Jeziorem Słonym. Po zbadaniu jego hydrologii Frémont doszedł do słusznego wniosku, że dopływające do jeziora rzeki i strumyki nie miały połączenia z oceanem. W tamtych czasach nawet w dziełach naukowych pokutował dziwny mit, według którego na dnie Wielkiego Jeziora Słonego istnieje potężny wir, który siecią podziemnych rzek łączy je z Pacyfikiem[149].

Frémont jednak powoli zdawał sobie sprawę, że kraina położona między górami Wasatch w Utah a kalifornijskim pasmem Sierra Nevada nie ma połączenia z oceanem. Nazwał ten bezodpływowy pustynny płaskowyż Wielką Kotliną i było to jedno z jego najważniejszych dokonań w dziedzinie geografii Ameryki Północnej[150]. Wymyślona przezeń nazwa przetrwała zresztą do dziś.

Późnym latem 1843 roku wyprawa dotarła do Oregonu. Frémont naniósł na mapę zlewnię rzeki Kolumbia i zaznaczył na niej wspaniałe wulkany Mount Rainier, Mount Saint Helens oraz Mount Hood. Niecierpliwy badacz zboczył z zaplanowanej trasy wyprawy, przekroczył granicę z Meksykiem i wszedł na terytorium znane jako Alta California.

Wydaje się, że Frémont nie przejmował się tym, że jego nielegalne wtargnięcie na obce terytorium mogło skończyć się nie tylko aresztem dla całej grupy, ale i konfliktem dyplomatycznym, za który Waszyngton będzie musiał przepraszać. Zupełnie się zapomniał, bo polował na mit, dla którego granice państw nie istniały. Wiele ówczesnych map zakładało, że Wielkie Jeziora i Ocean Spokojny łączy potężna droga wodna. Legendarną rzekę nazywano Buenaventurą[151]. Wszyscy byli pewni, że spływa ona do Pacyfiku – choć nikt nigdy jej nie widział.

Frémont liczył, że jeśli uda mu się potwierdzić istnienie mitycznej rzeki bądź mu zaprzeczyć, przejdzie do historii kartografii. W końcu rozwiązałby jedną z największych zagadek geograficznych ówczesnej Ameryki Północnej.

Kiedy jednak dotarł do Kalifornii, dopadł go pech. Najpierw wyprawa weszła w śniegi gór Sierra Nevada i tylko dzięki szczęściu – oraz Kitowi Carsonowi – uniknęła ponurego losu, jaki spotkał Grupę Donnerów[29] kilka lat później. Gdy w końcu odkrywcy zeszli z gór – z odmrożeniami, wycieńczeni i odżywiając się psim mięsem – byli, jak wspominał Carson, „w kondycji tak marnej, że w marniejszej znaleźć się nie sposób". Jeden z uczestników wyprawy był „obłąkany […] i zdziczał z głodu", a wychudłe muły zjadały „sobie nawzajem ogony i skubały skórę, z której uszyte były juki niesione przez nie na grzbietach"[152].

Nakarmiona przez amerykańskich osadników grupa Frémonta pomaszerowała na południe, przeszła wzdłuż całą Dolinę Kalifornijską i skręciła na wschód w stronę pustyni Mojave. Po drodze jeden z członków wyprawy zginął wskutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią, a inny z ręki Indian. O ekspedycji dowiedziały się też w końcu władze meksykańskie i zagroziły, że wyślą za nią wojsko.

Frémont opuścił więc Kalifornię i wkroczył do Nevady, mijając po drodze oazę znaną jako Las Vegas. Na pustyni Carson ścigał indiańskich złodziei koni i uczył wszystkich, jak czerpać wodę z kaktusów. Wyprawa powoli zmierzała na wschód i Frémont musiał przyznać, że nie udało mu się znaleźć Buenaventury – co tak czy inaczej było ważnym odkryciem. Podobnie jak wir na dnie Wielkiego Jeziora Słonego, Buenaventura była tylko mitem, którego miejsce znajdowało się w koszu. 2 lipca ekspedycja Frémonta dotarła do fortu Bentów. Dwa dni później jako goście honorowi jej uczestnicy wzięli udział w uroczystościach z okazji Święta Niepodległości.

W sierpniu 1844 roku Frémont wrócił do Waszyngtonu. Powitano go jak ducha, miał bowiem wrócić rok wcześniej i mówiono, że zginął. Kilka miesięcy po powrocie zdał pisemną relację z podróży. Została tak dobrze przyjęta, że drukarnia Kongresu USA wydała opis pierwszej i drugiej wyprawy w jednym tomie, drukując ich aż dziesięć tysięcy egzemplarzy. Gazety znowu przedrukowywały fragmenty relacji i nazywały Frémonta

amerykańskim Magellanem. Jego nazwisko zaczęło pojawiać się na giełdzie kandydatów na prezydenta USA.

Bo w sumie czemu nie? W końcu za jego sprawą ruszyła jedna z największych migracji w historii ludzkości. Następnego lata Szlak Oregoński zaroił się od tysięcy pionierów ciągnących wozami na zachód. Wśród emigrantów było wielu mormonów. Po przeczytaniu błyskotliwych opisów okolic Wielkiego Jeziora Słonego przywódca mormonów Brigham Young postanowił przenieść wszystkich wiernych z Nauvoo w Illinois do Utah.

Wojskowi przełożeni Frémonta przymknęli zaś oko na to, że łamiąc rozkazy, wkroczył do Kalifornii, i promowali go na kapitana. Z kolei prasa nadała mu przydomek zaczerpnięty z opowieści Jamesa Fenimore'a Coopera. Po powrocie z drugiej wyprawy John C. Frémont stał się Odkrywcą.

Sławę zyskał nie tylko Frémont, ale także przewodnik obu jego wypraw. Dzięki relacjom z ekspedycji w 1845 roku brzmiące jak wystrzał z bicza nazwisko Kita Carsona pobudzało wyobraźnię Amerykanów. Frémont odmalował Carsona jako eksploratora o prawie mitycznych zdolnościach, mającego niezwykłego nosa na szlaku. Carson w każdej przygodzie wykazywał się męstwem, nigdy nie postępował pochopnie i zawsze zachowywał spokój umysłu. Miał też, co nie mniej ważne, szczęście po swojej stronie. Jedna za drugą do Carsona uśmiechały się kolejne gwiazdy. W jakąkolwiek kabałę wpakowywał wyprawę Frémont, Carson zawsze znajdował z niej wyjście.

Kit nie był człowiekiem jednej lub dwóch umiejętności. Miał cały wachlarz talentów. Był świetnym myśliwym, wybornym jeźdźcem i wyborowym strzelcem. Przebiegle negocjował. Wiedział, które miejsca nadawały się na obozowisko – potrafił też rozwinąć i zwinąć obóz w kilka minut, wyruszając na szlak z prędkością błyskawicy („Kit na nikogo nie czekał – narzekał na niego pewien żółtodziób – biada nowicjuszom”[153]). Wiedział, jak radzić sobie z zapaleniem końskich kopyt. Potrafił oprawić zabitą zwierzynę i był świetnym kucharzem. Jeśli zaszła potrzeba, dawał sobie radę jako rusznikarz, kowal, koniuszy, wędkarz, zbieracz, kołodziej,

wspinacz i całkiem porządny wioślarz. Jako tropiciel nie miał sobie równych. Doskonale odczytywał znaki, które dawały mu rzeki, wiedział, gdzie znaleźć pastwiska dla zwierząt, a także jak działać w razie spotkania z grizlim. Wodę odnajdywał w najsuchszych parowach i wiedział, co zrobić, żeby nadawała się do picia. Znał też drobne sztuczki na oszukanie pragnienia – spijał sok z owoców kaktusa albo nacinał uszy muła i pił jego krew[154]. Miał oko pejzażysty, czujnie nadstawiał uszu i wnikliwie oceniał ludzi oraz sytuacje. Wiedział, jak dawać znaki dymne. Znał wszystkie supły i węzły. Potrafił wyprawiać skóry za pomocą kleistej emulsji wyrabianej z mózgu zabitych zwierząt[155]. Kiedy było trzeba, zakopywał te skóry oraz zapasy jedzenia tak umiejętnie, że się nie psuły i były nie do odnalezienia dla potencjalnego złodzieja. Potrafił ujeżdżać mustangi. Wiedział, które gatunki drewna dobrze się palą i jak je rozłupać bez siekiery.

Wszystkie te umiejętności, choć trudne w ocenie, niewątpliwie były na szlaku bardzo przydatne. Jeśli posiadający je człowiek był jednocześnie krystalicznie uczciwy, radosny, sypał żartami jak z rękawa i świetnie znał drogę, po której prowadził ludzi, stawał się dla wyprawy bezcenny.

„Odkrywca”, przydomek Frémonta, był grubą przesadą. To w końcu Carson zwykle „odkrywał” właściwą drogę – często wcale niewydeptaną wcześniej przez traperów, Indian czy hiszpańskich eksploratorów. Natty Bumppo, główny bohater *Pięcioksięgu przygód Sokolego Oka* autorstwa Jamesa Fenimore’a Coopera, również zwany Odkrywcą, nosił skórzane ubrania, żył wśród Indian i przestrzegał ich zwyczajów. To Carson, a nie Frémont, żył jak bohater Coopera.

Wydaje się, że Frémont rozumiał, iż Carson na różne sposoby go uzupełniał. Sam był impulsywnym, nieobliczalnym wizjonerem, czasem pełnym buty. Z kolei Kit był ostrożny, pragmatyczny, stały w uczuciach i zawsze skromny. Choć Frémont reprezentował na szlaku kulturę wysoką, to niepiśmienny Carson dysponował równie ważną wiedzą praktyczną, którą na dodatek zdobywało się o wiele trudniej. Dla Frémonta Kit był człowiekiem działającym „bez zwłoki, zdolnym do poświęceń i szczerym”.

Cechowały go też „wielka odwaga, umiejętność błyskawicznej i pełnej oceny sytuacji oraz szybkiego rozważenia szans i ryzyka porażki”[156].

W jednym miejscu swojej opowieści Frémont szczerze przyznał: „Kit, dosiadający na oklep pięknego konia i przemierzający prerię z gołą głową, stanowił jeden z najwspanialszych obrazów jeźdźca, jakie kiedykolwiek widziałem”[157].

Drugi raport Frémonta zawierał pewien szczególny fragment, w którym autor oddał hołd Carsonowi i stworzył jego wizerunek, który już na zawsze pozostał w głowach Amerykanów. Oczywiście chodziło o jedno ze spotkań z Indianami. Gdzieś na Starym Szlaku Hiszpańskim, w głębi pustyni Mojave, wyprawa natknęła się na zdesperowanego Meksykanina, który nazywał się Andreas Fuentes. Towarzyszył mu jedenastoletni chłopiec. Obaj zostali napadnięci przez Indian z niezidentyfikowanego plemienia. Napastnicy zagarnęli im trzydzieści koni i zabili czworo towarzyszy podróży – dwóch mężczyzn i dwie kobiety, które przed śmiercią były dodatkowo torturowane. Poturbowane ciała ofiar zostały na szlaku.

Kiedy Carson i inny traper Alex Godey usłyszeli tę historię, zlitowali się nad Fuentesem i zaoferowali pomoc. Przez dwa dni ścigali konno tych „amerykańskich Arabów” – jak nazwał ich Frémont – podążając za tropami zostawionymi przez ich konie. W końcu dogonili rabusiów i z impetem wpadli do ich obozowiska. Indianie zdążyli już zjeść kilka zagarniętych zwierząt. Uchylając się przed strzałami, Carson i Godey zastrzelili dwóch Indian, a kiedy reszta rozbiegła się po prerii, schwytali konie. Przed odjazdem Godey zeskoczył z wierzchowca, żeby zdjąć skalpy z obu zabitych. Według Frémonta, kiedy traper naciął nożem skórę na głowie drugiego Indianina, wojownik „zerwał się na nogi i z twarzą zalaną krwią wydał okropny skowyt”[158]. Zdołał też posłać Godeyowi strzałę, która przeszyła mu kołnierz koszuli.

Godey poderwał karabin i „szybko zakończył cierpienia krwawego dzikusa”[159].

Następnego dnia zdumiony Frémont usłyszał tętent koni. Carson i Godey wracali z tabunem Fuentesa. Godey trzymał karabin jak tyczkę – zwisały z niego dwa świeże indiańskie skalpy. Fuentes aż się popłakał z wdzięczności. Frémont był zachwycony. Jego zdaniem to, czego dokonali Carson i Godey, było apoteozą rycerskości. Jak napisał:

> Dwóch mężczyzn przez dzień i noc ścigało po dzikiej pustyni grupę Indian o niewiadomej sile, aż dopadli ich na przełęczy w nieznanych górach. Tam zaatakowali ich z marszu i pokonali, nie zatrzymując się nawet po to, żeby policzyć wroga. I po co to wszystko? Żeby ukarać pustynnych rabusiów i pomścić krzywdę dokonaną na Meksykanach, których nawet nie znali[160].

Kto by czegoś takiego dokonał? Takie pytanie retoryczne zadał Frémont w swoim raporcie. „Kit Carson, Amerykanin, urodzony w hrabstwie Booneslick w Missouri […] od chłopięcia żyjący na Dzikim Zachodzie”[161].

I tak w 1845 roku ukształtował się *image* Kita Carsona. Ludzie zaczęli postrzegać go jako bohatera i człowieka czynu, który ze szlachetnych pobudek ratował bliźnich. Został prawym mścicielem, białym rycerzem Dzikiego Zachodu. Co prawda jego brutalność mogła mieć zupełnie niechwalebne podteksty, ale to nie przyszło nikomu do głowy. Podobnie nikt nie zastanawiał się nad tym, że zarówno grupa Fuentesa, jak i Frémonta bezprawnie wtargnęły na terytorium Indian. Ważne było to, że Frémont mógł liczyć na swojego tropiciela, który, gdy było trzeba, przywracał porządek. Co więcej, mogli na niego liczyć Amerykanie. To dzięki tej opowieści w raporcie Frémonta z jego drugiej wyprawy narodziła się legenda Kita Carsona. Teraz przez resztę życia będzie musiał starać się sprostać tej legendzie, a także oczekiwaniom, które rozpaliła.

Carson oczywiście nie potrafił przeczytać wszystkich laurek, które wystawił mu Frémont. Wątpliwe zresztą, czy w ogóle o nich wiedział. Ale na pewno żywił do Frémonta głęboką wdzięczność. Obaj przewędrowali razem wiele tysięcy kilometrów i wyszli cało z wielu tarapatów. Mimo swoich dziwactw i wielokrotnych błędów w ocenie sytuacji Frémont okazał się śmiałym i twardym eksploratorem. No i nie był nudny. Wiele razy wykazywał się geniuszem (choć zwykle sam bywał pierwszym, który to przyznawał). Nikt też nie mógł kwestionować jego umiejętności topograficznych. Na swój własny kapryśny i wyniosły sposób przejawiał także pewne talenty w dowodzeniu.

Tak czy inaczej zdawało się, że Carson szczerze polubił swojego szefa i czuł się wobec niego zobowiązany. Frémont dał mu nową szansę w życiu – obietnicę kariery, która miała wypełnić pustkę po wymierającej profesji

traperskiej. No i płacił nieprzyzwoitą kwotę stu dolarów miesięcznie. Carson był typem człowieka, który jeśli raz się zaprzyjaźnił, to pozostawał wierny jak pies. Była to być może jaśniejsza strona jego szkocko-irlandzkiej natury. Nie opuszczał przyjaciół zupełnie tak samo, jak nie odpuszczał wrogom. Lata później wychwalał Frémonta w swoich dyktowanych wspomnieniach: „Nie da się opisać trudów, przez jakie musieliśmy przejść, nie potrafię też oddać Frémontowi należytego hołdu. Nigdy nie zapomnę, jak dobrze mnie traktował, kiedy byłem jego pracownikiem, i jak radośnie znosił cierpienia razem ze swoimi ludźmi”[162].

Carson stał murem za Frémontem przez resztę życia. Kiedy latem 1845 roku Odkrywca wyruszał w kolejną podróż po Dzikim Zachodzie – która miała być jego najdalszą i najbardziej ambitną odyseją – oczywiście zabrał ze sobą Kita Carsona.

10

Kiedy ziemia choruje163

W 1818 roku, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, Narbona poprowadził kolejną kampanię wojenną przeciwko Hiszpanom. Tym razem skończyła się ona większym sukcesem niż wcześniejszy najazd na Cebolletę. Narbona planował ją zaszyty w należącej do Nawahów fortecy zwanej Yoo Tsoh, Piękną Górą, w której zgromadził setki wojowników. Kiedy on myślał, oni szykowali strzały, tarcze i czynili inne wojenne przygotowania. Sytuacja sprzyjała Diné. Większość hiszpańskich żołnierzy opuściła region i pomaszerowała w głąb Meksyku, żeby zdusić rebelię, która tam wybuchła. Kiedy Nawahowie Narbony byli gotowi, wskoczyli na konie, zjechali w doliny i zaczęli rabować hiszpańskie rancza. Zabijali każdego, kto stawił im opór.

Kampania 1818 roku przygotowana przez Narbonę okazała się udana nie tylko w sensie ilości zrabowanych dóbr. W kolejnym roku Hiszpanie zaproponowali traktat pokojowy, który po raz pierwszy uznawał granice plemienne i wiele innych pretensji zgłaszanych przez Nawahów. Hiszpanie żądali w zamian, by Indianie skończyli z rajdami na ich osady. Nalegali też, żeby Diné przeszli na katolicyzm, rozpoczęli osiadłe życie w wioskach zbudowanych przy kościołach i stali się rolnikami jak Indianie Pueblo – którzy w przyszłości będą bohaterami kolejnych starć Nawahów z Hiszpanami, Meksykanami i w końcu Amerykanami. Narbona mógł przystać na żądanie zakończenia napadów, ale świetnie rozumiał, że jego lud nigdy nie zgodzi się na kolejne punkty „porozumienia”. Dla Nawahów byłoby to kulturowe samobójstwo.

Tamtego roku Narbona miał jednak większe zmartwienia niż Hiszpanie. Południowy Zachód ogarnęła potworna susza. Dolina Chuska, która nawet w dobrych latach była obszarem półpustynnym, zmieniła się w pustynię. Trawa wyschła, a nad ziemią unosiła się chmura kurzu. Na okolicznych

płaskowyżach pojawił się też gatunek kornika, który pustoszył sosny. Z powodu suszy drzewa produkowały za mało żywicy, żeby przed nim się obronić. Owce i inne zwierzęta Nawahów zaczęły głodować.

W końcu sytuacja stała się tak poważna, że Diné musieli opuścić dolinę Chuska. Zebrali rzeczy, zwinęli tobołki z ziarnem i popędzili stada na zachód. Przez kilka miesięcy Narbona i jego lud wędrowali, szukając miejsca nadającego się na pastwiska. Ale Nawahowie wszędzie wtedy głodowali. Wydawało się, że modlitwy Diné straciły swoją moc.

Nawahowie zawsze powtarzali, że „kiedy ziemia choruje, chorują i ludzie”[164]. Teraz jednak wydawało się im, że ludzie sami zawinili. Indianie zaczęli przyglądać się bacznie swoim towarzyszom niedoli, rozmyślając, który z nich oszalał i obraził bogów, naruszając delikatną równowagę świata. Narbona musiał być do głębi zasmucony i upokorzony, kiedy widział swój potężny jeszcze niedawno lud, który naraz stał się ludem zdesperowanych uchodźców. Nawahowie popędzali swoje marne stada i korzystali z pomocy coraz dalszych kręgów przyjaciół i krewnych, aż w końcu opuścili znane sobie ziemie i wkroczyli w dziką krainę czerwonych skał, która dzisiaj leży w północnej Arizonie.

Susza stawała się coraz bardziej dotkliwa, więc Narbona musiał kontynuować marsz w poszukiwaniu nowego miejsca do życia. Owce tak wychudły, że, jak mówiono, „ich kości zaczęły przypominać uchwyty, za które można je podnieść”. Indianie zbliżali się do zachodnich krańców krainy Nawahów – na południowym zachodzie mogli już zobaczyć górę, którą nazywali Światło Zawsze Oświetla Jej Szczyt. Była to jedna z ich czterech świętych gór, ta, która, wystrzeliwując na wysokość blisko czterech tysięcy metrów nad poziomem morza, trzymała przy ziemi południowo-zachodni róg ich krainy (dzisiaj nazywa się San Francisco, a u jej stóp wyrosło Flagstaff w Arizonie). Dla Narbony ten szczyt był znakiem granicznym. Wiedział, że gdyby poprowadził swój lud dalej na zachód, rozgniewałby bogów.

Tu i ówdzie Nawahowie natykali się na tlące się życie, niewielkie ludzkie wspólnoty uczepione wątłej rzeczki albo podziemnego źródła. Jedno z takich miejsc znaleźli w dobrze nawodnionej dolinie leżącej poniżej osad Indian Hopi, które obsiadły płaskowyż Black Mesa. Narbona wspiął się tam, żeby

uzyskać zgodę Hopi na przeczekanie suszy na ich ziemi. To nieschrystianizowane jeszcze plemię uprawiających rolę Indian Pueblo było pradawnymi wrogami ludu Diné. Nawahów, którzy lubili walnąć przeciwnika kamiennym toporkiem po głowie, nazywali *tasavuh* – „rozbijaczami głów”[165].

Hopi mieli więc powody, by sceptycznie potraktować prośbę Narbony o zgodę na tymczasowe zamieszkanie na ich ziemiach. Ale z jakichś powodów zgodzili się i Nawahowie znaleźli wreszcie wytchnienie. Niewątpliwie pomogły umiejętności dyplomatyczne Narbony. Tylko on mógł zapewnić swojemu ludowi schronienie wśród zapiekłych wrogów. Na pewno jednak osłodził Indianom Hopi ich decyzję, przekupując owcami, kozami i innymi podarkami, a także obiecując więcej prezentów, kiedy susza ustąpi. Być może posłużył się też groźbą – Hopi zapewne obawiali się, że grupę Narbony wzmocnią inni Nawahowie.

(Indianie Hopi byli co prawda wspaniałymi artystami i natchnionymi metafizykami słynącymi ze skomplikowanych tańców i pięknych figurek *kachina*. Niestety, byli też słabymi wojownikami. Nawyk ucieczki z pola walki był w nich tak głęboko zakorzeniony, że Nawahowie nazywali ich „króliczkami”).

Jakiejkolwiek perswazji użył Narbona, jego lud żył wśród Indian Hopi – przeszło sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód od ukochanych wzgórz Tunicha – przez sporą część lat dwudziestych XIX stulecia. Na wygnaniu Nawahowie zaprzyjaźnili się z Hopi. Przejęli od nich ich skomplikowane pieśni i tańce. A trójka dzieci Narbony wyszła nawet za „odwiecznych wrogów”.

W końcu lat dwudziestych Narbonę doszły wieści, że w górach Tunicha zaległ śnieg. Susza się skończyła. Szczęśliwi Nawahowie zebrali dobytek i powędrowali z powrotem do doliny Chuska.

Nowy Meksyk doświadczył jednej poważnej zmiany, kiedy Narbona i jego lud żyli na wygnaniu – końca hiszpańskich rządów. W 1821 roku Meksyk wywalczył niepodległość i teraz zarządzały nim świeżo upieczone władze rezydujące w Mexico City i niemające nic wspólnego z królewską stolicą

w Madrycie. Większość Nawahów jednak nawet nie zauważyła tej zmiany. Nie widzieli żadnej różnicy pomiędzy meksykańskimi Nowomeksykanami i hiszpańskimi Nowomeksykanami. Dla nich jedni i drudzy byli po prostu wrogami.

Zresztą kiedy Narbona ze swoją grupą przebywali na wygnaniu u Indian Hopi, wrogość pomiędzy latynoskimi osadnikami a wschodnimi Nawahami, którzy zostali na swoich ziemiach, jeszcze się wzmogła. Podczas suszy zwykle pojawia się więcej przemocy, a susza z lat dwudziestych była szczególnie męcząca. Pod nieobecność Narbony Latynosi porwali około dwustu pięćdziesięciu kobiet i dzieci Diné. Prawdopodobnie wszystkie zostały sprzedane w niewolę[166].

Nawahowie oczywiście przeprowadzali rajdy odwetowe, kiedy tylko mogli. W marcu 1822 roku zmęczenie wojną skłoniło ich jednak do rokowań pokojowych. W odpowiedzi na zaproszenie Meksykanów szesnastu nawahijskich emisariuszy pojechało na rozmowy z nowymi władzami w Santa Fe[167]. Niektórzy przywódcy Indian rozumieli, że czas im sprzyja. Ledwie miesiąc wcześniej w Santa Fe odbyły się uroczystości z okazji uniezależnienia się Meksyku od korony hiszpańskiej. W pałacu gubernatorskim rozlokowały się nowe władze, była to więc najlepsza chwila, żeby rozpocząć rozmowy o pokoju.

Indiańscy emisariusze jechali na nie pełni nadziei. Kiedy jednak przybyli do osady Jemez, wpadli w pułapkę, którą zastawił na nich tamtejszy dowódca sił meksykańskich. Thomas James, amerykański handlarz mieszkający wtedy w Santa Fe, tak opisywał tę sytuację:

> Dowódca zaprosił ich do fortu, wypalił z nimi fajkę i zachowywał się przyjaźnie. Wszyscy usiedli w kręgu, u boku każdego Indianina dwóch Hiszpanów. Na dany sygnał, Hiszpanie pochwycili swoich indiańskich sąsiadów, a pozostali gospodarze rzucili się na pojmanych, zadając każdemu cios nożem w serce. Pewien Hiszpan, który brał udział w tej rzezi, pokazał mi swój nóż. Twierdził, że zabił nim ośmiu Nawahów. Ich ciała przerzucono przez mury fortu i przykryto cienką warstwą ziemi.
>
> Kilka dni później pięciu Indian z tego samego plemienia pojawiło się na brzegu rzeki za miastem i zaczęło wypytywać o swoich ziomków. Hiszpanie odpowiedzieli, że pojechali oni do Santa Fe. Zaprosili też całą piątkę do osady, zapewniając ich

o swoich dobrych intencjach. Indianie przekroczyli rzekę i zostali zamordowani w ten sam sposób co ich poprzednicy.

Potem na przeciwległym brzegu rzeki pojawiło się kolejnych trzech Indian. Rozpytywali o swoich wodzów. Serdecznie ich powitano i pod pozorem gościnności zaproszono do miasteczka. Tam zostali zamordowani z zimną krwią.

Kilka dni później pojawiło się dwóch następnych Indian. Nie dali się jednak przekonać do przekroczenia rzeki i kilku hiszpańskich jeźdźców ruszyło za nimi w pogoń. Ostrożni Indianie rzucili się do ucieczki i odtąd emisariusze przestali przybywać.

W sumie podstępnie zamordowano więc dwudziestu czterech nawahijskich przywódców, w tym wielu szacownych członków starszyzny. Kiedy wiadomość o tej trzyetapowej masakrze rozeszła się wśród Diné, ruszyły przygotowania do wielkiej wojny. Jeśli Nawahowie łudzili się nadzieją, że nowy rząd Meksyku potraktuje ich inaczej niż korona hiszpańska, to ta nadzieja legła w gruzach. Wiosną 1822 roku Indianie rozpoczęli bezprecedensową kampanię ataków odwetowych, podczas której dopuścili się rzezi niezliczonych meksykańskich osadników mieszkających w Valverde, Las Huertas i w wielu innych osadach rozsianych wzdłuż Rio Grande.

Zabijali każdego, niezależnie od wieku i stanu. Palili też i niszczyli wszystko, czego nie zdołali porwać ze sobą. A brali owce, bydło i konie – pisał w tonie apokaliptycznym Thomas James. – Przybyli z południa, kierując się prosto na Santa Fe, tratując wszystko, co stało im na drodze, i zostawiając za sobą spaloną ziemię. Pod Santa Fe przeprawili się przez Rio Grande i ruszyli na północ, gdzie zrównali z ziemią okolice miasteczka Taos. A potem, zabierając wszystkie łupy, zniknęli.

11

Wcale nie Alamo

Frémont często nazywał swoje wyprawy czysto „naukowymi”. Trudno jednak przyznać mu rację. Prawie wszystkimi jego poczynaniami na Zachodzie kierowały ukryte motywy. Na pewno głównym celem tych ekspedycji było przyspieszenie amerykańskiego osadnictwa, zasianie ziarna pod ekspansję Stanów Zjednoczonych i ugruntowanie ich hegemonii na półkuli zachodniej. Frémont realizował wizję senatora Thomasa Bentona jak na dobrego zięcia przystało.

Jego trzecia wyprawa, na którą wyruszył w 1845 roku, była jednak jawnie polityczna i najmniej naukowa z nich wszystkich. Wydaje się, że Frémont wierzył, iż nadchodzi jego szczęśliwy czas i że ta podróż pozwoli mu uciec z zatęchłego biura, w którym był zwykłym kartografem, oraz predestynuje go do czynów większych – godnych wielkiego zdobywcy. Zanim opuścił Waszyngton, spotkał się z Jamesem Polkiem. Podczas rozmowy upewnił się, że prezydent chciał, by meksykańska prowincja Alta California stała się częścią USA. Polk był gotów ją kupić, gdyby Meksyk zgodził się na jego cenę, ale nie widział też przeciwskazań, żeby rozpętać o nią wojnę.

Kalifornia była wtedy dość luźno związana ze stolicą Meksyku. Niedawno wstrząsnęły nią liczne rewolucje i kontrrewolucje. Jej latynoscy mieszkańcy, dumni i słynący z niezależności, zasiedlili całe wybrzeże Oceanu Spokojnego, grupując się w okolicach hiszpańskich misji katolickich. W tym samym czasie inne rejony Kalifornii były powoli, ale uparcie amerykanizowane. Przez lata coraz więcej Amerykanów pokonywało pasmo gór Sierra Nevada i osiedlało się w żyznej dolinie Sacramento. Także amerykańscy wielorybnicy od pokoleń korzystali ze świetnego portu w Monterey. Richard Henry Dana, w swojej niezwykle popularnej książce *Two Years Before the Mast*[30] opublikowanej w 1840 roku, zaczarował

Amerykanów pięknem Kalifornii i wzmógł ich pożądanie wobec bogatych portów na wybrzeżu Pacyfiku.

W 1842 roku amerykański komodor Thomas Catesby Jones, kierując się doniesieniami o rzekomym wybuchu wojny z Meksykiem, wpłynął do portu w Monterey, zajął go i wywiesił w nim flagę USA. Zaraz musiał oczywiście przepraszać za swój najazd i uciekać z podkulonym ogonem. Tak czy inaczej swoim żałosnym wyskokiem pokazał, że Monterey można zdobyć, nie napotykając żadnego oporu. Przywódcy w Waszyngtonie zrozumieli, jak łatwym owocem do zerwania była Kalifornia.

Prezydent Polk uważał, że Opatrzność wskazuje Amerykanom ich przeznaczenie. To tylko kwestia czasu – Kalifornia, jak wcześniej Teksas, musi wpaść w amerykańskie ręce. Czemu zatem nie sięgnąć po nią już teraz?

1 czerwca 1845 roku w takiej nabrzmiałej atmosferze międzynarodowej John Frémont i jego pięćdziesięciu pięciu ochotników opuszczało St. Louis. Trzecia wyprawa zmierzała na Zachód. Według przełożonych Frémonta z wojskowego Korpusu Topograficznego jego misja była dość ograniczona. Miał spenetrować i nanieść na mapę wschodnie zbocza południowej części Gór Skalistych w górnym dorzeczu Arkansas i powrócić do St. Louis pod koniec roku[168].

Wydaje się jednak, że Frémont miał też rozkazy tajne, albo przynajmniej luźne sugestie od wyższych władz (nie wiadomo dokładnie od kogo – Bentona, Polka, a może przełożonych z sił lądowych lub dowództwa marynarki wojennej?). Nie miał zamiaru marnować czasu, dokonując żmudnych pomiarów w Górach Skalistych. Kiedy późnym latem 1845 roku dotarł do rzeki Arkansas, porzucił prace topograficzne. Opatrzność pokierowała nim w inną stronę. Frémont odbił w kierunku Kalifornii.

Po drodze wyprawa natrafiła na wszystkie przeciwności losu, jakie atakowały Frémonta podczas wcześniejszych podróży transkontynentalnych. Na Wielkiej Pustyni Słonej uparł się, żeby przejść przez odrażający *malpaís*[31], z którego, jak zapewniali miejscowi Indianie, żaden człowiek nie wyszedł jeszcze żywy. Jego grupa padłaby po drodze z pragnienia, gdyby nie Carson. Kit po raz kolejny ocalił wyprawę Frémonta – tym razem popędził jakieś sto kilometrów naprzód, kierując się w stronę odległego szczytu.

Znalazł tam źródło wody i trawę dla koni. A potem, tak jak się umówił z Frémontem, rozpalił ogromne ognisko, dzięki któremu wyprawa mogła do niego trafić.

Wczesną zimą 1846 roku Frémont przekroczył góry Sierra Nevada i zjechał do doliny Sacramento. Nawiązał tam kontakt z amerykańskimi osadnikami. Wypytał ich o politykę i próbował wzniecić w nich patriotycznego ducha, który w przyszłości miał się przydać. Po cichu zbierał sprzymierzeńców wśród tych twardych ekspatów. Zapewniał ich, że jeśli wybuchnie oczekiwana wojna z Meksykiem, to jego grupa – która w końcu była oficjalnym i dość dobrze uzbrojonym pododdziałem sił lądowych Stanów Zjednoczonych – zapewni osadnikom ochronę. Kapitan Frémont był przecież jedynym amerykańskim oficerem w promieniu przeszło trzech tysięcy kilometrów od Kalifornii. Gdyby wybuchła wojna, w naturalny sposób stałby się miejscowym amerykańskim dowódcą.

Z doliny Sacramento Frémont po cichu przedostał się do Yerba Buena, jak wtedy mówiono na niewielką osadę, która później stała się San Francisco. Wypytywał o sprawy miejscowych Amerykanów. Został tam na tyle długo, żeby wymyślić nazwę dla malowniczego wylotu wielkiej zatoki, nad którą leżało miasteczko – nazwał go Golden Gate, złotą bramą[169]. Potem poprowadził swoich ludzi na południe i rozłożył się z obozem niedaleko Monterey, które było stolicą prowincji.

Oczywiście meksykańskie władze zauważyły, że na ich terytorium grasuje nieproszona i wojownicza grupa złożona z blisko sześćdziesięciu uzbrojonych amerykańskich „eksploratorów”. 5 marca generał Jose Castro, *comandante* w Monterey, zażądał, by Frémont i jego ludzie natychmiast opuścili Kalifornię.

Frémont zareagował teatralnie[170]. Przeniósł się na Gavilan Peak, niewielki szczyt położony w Górach Nadbrzeżnych na północny wschód od Monterey, i założył tam prowizoryczny fort. Przygotowując się do obrony w stylu Alamo[32], nakazał swoim ludziom wzniesienie wysokiego masztu, na który wciągnięto flagę USA. Tym samym bezczelnie i być może z wyrachowaniem wypowiedział Meksykanom wojnę, w której wszyscy jego podwładni mogli

stracić życie. W końcu generał Castro nie miałby problemu z posłaniem przeciwko nim tysięcy żołnierzy. Frémont napisał też list do amerykańskiego konsula w Monterey, w którym melodramatycznie i niezbyt szczerze tłumaczył się ze swojego zachowania. „W żaden sposób nie uczyniliśmy krzywdy ani ludowi, ani władzom tego kraju. Ale jeśli zostaniemy zaatakowani i będziemy musieli, to każdy z nas jest gotowy zginąć za naszą Flagę".

Z kolei generał Castro wydał pełną pasji odezwę do swoich ludzi, w której wezwał ich do wycięcia wrzodu amerykańskiej inwazji[171]. Zaczął też planować uderzenie na Frémonta i pod Gavilan Peak rozpoczęły się przygotowania do bitwy. W ciągu dwóch następnych dni Frémont poszedł jednak po rozum do głowy i uświadomił sobie, że nie ma szans na wygranie tego starcia. Jedyne, co go czeka, jeśli podejmie walkę z Meksykanami, to pewna śmierć i –wątpliwy – status męczennika. Być może odrobinę oleju wlał mu do głowy Kit Carson. 9 marca maszt, na którym powiewała amerykańska flaga, się przewrócił. Frémont dla wygody uznał to za zły omen. Jak wspominał: „Uważałem, że wytrzymałem tak długo, jak było trzeba. Wykorzystując więc okazję, powiedziałem ludziom, że to znak, iż czas przenieść obóz"[172].

I tak upadła krótkotrwała reduta na Gavilan Peak, przechodząc do historii wcale nie jak Alamo. Frémont i jego ludzie wymknęli się i doliną Sacramento ruszyli na bezpieczną północ. W kwietniu wyprawa dotarła do Oregonu i zatrzymała się na południowym brzegu jeziora Klamath. Przez chwilę Frémont zajął się badaniami terenowymi, łypiąc jednak ciągle okiem w stronę Kalifornii. Wydaje się, że grał na czas, trzymając się na tyle blisko celu, żeby móc uderzyć nań przy najbliższej okazji.

A ta w końcu się nadarzyła. Z lasu wyszedł nieznajomy, który przedstawił się Frémontowi jako porucznik Archibald Gillespie. Twierdził, że przywiózł tajne rozkazy z Waszyngtonu. Gillespie był oficerem piechoty morskiej USA. Pochodził z New Jersey, miał świdrujący wzrok i choć wyglądał mizernie, był wybuchowy i arogancki.

Podróż, którą podjął, żeby znaleźć obozującą w dziczy grupę Frémonta, przeszła do historii jako jedna z największych samotnych misji kurierskich[173]. W październiku poprzedniego roku opuścił Waszyngton, spotkawszy się wcześniej z prezydentem Polkiem i innymi członkami rządu, w tym z sekretarzem marynarki wojennej George'em Bancroftem. W Nowym Jorku wsiadł na parowiec, który zabrał go do Veracruz w Meksyku. Na pokładzie statku nauczył się na pamięć treści depesz zawierających wrażliwe dane, a oryginały zniszczył. Z Veracruz skierował się w głąb kraju i przedostał się do Mexico City, po drodze myląc tropy ewentualnych ciekawskich. Odnotowywał też wszystkie polityczne wydarzenia i nastawienie Meksykanów wobec ewentualnej wojny.

W grudniu Gillespie dotarł do Mazatlán, miejscowości położonej na zachodnim wybrzeżu Meksyku, i zamustrował się na amerykańskim statku wielorybniczym zmierzającym na Hawaje, które wtedy nazywano Wyspami Sandwichowymi. W Honolulu wykonał w tył zwrot i na pokładzie amerykańskiego okrętu wojennego pożeglował na wschód w stronę Kalifornii. W kwietniu przybił do Monterey i zszedł na ląd, udając kupca. Po spotkaniu z amerykańskim konsulem Thomasem Oliverem Larkinem, unikając rozgłosu, powędrował w stronę rzeki Sacramento. Potem ruszył wzdłuż niej na północ, aż w końcu złapał trop Frémonta.

Wydaje się, że Gillespie był prawdziwym tajnym agentem w służbie prezydenta Polka. Nie zwykłym posłańcem, ale raczej kimś, komu bardzo ufano i pozwolono na podejmowanie własnych decyzji, kiedy już dotrze do celu. Nie wiadomo dokładnie, jaka była treść powierzonych mu depesz ani jak Gillespie ją zapamiętał. Ani on, ani Frémont nigdy jasno tego nie powiedzieli. To, czego i kiedy dowiedział się Frémont oraz jakie informacje zignorował, pozostaje jedną z niewiadomych amerykańskiej historii.

Wiadomo jednak, że Polk i inni decydenci w Waszyngtonie martwili się, iż Kalifornia wymknie im się z rąk. Żądali więc, by Frémont czym prędzej zawrócił i wspomógł amerykańskie wysiłki zmierzające do zdobycia tego terytorium. Przecież ręce po Kalifornię wyciągali też Brytyjczycy!

Ta ostatnia obawa nie była zupełne bezpodstawna. Zainteresowanie Anglii Kalifornią datuje się już na rok 1579, kiedy sir Francis Drake zszedł ze

swojego statku na brzeg gdzieś na północ od dzisiejszego San Francisco i zadeklarował, że Nova Albion, jak nazwał to terytorium, należy do korony brytyjskiej. W 1846 roku Brytyjczycy byli już zasiedziali w Oregonie. Ich statki grasowały u brzegów Kalifornii, a władze w Mexico City oferowały Wielkiej Brytanii sprzedaż Kalifornii w zamian za pożyczkę wojenną. Co więcej, irlandzki ksiądz Eugene McNamara uzyskał od Meksykanów zgodę na dziwny plan (w końcu nigdy niezrealizowany) sprowadzenia z Irlandii, pozostającej pod angielskim panowaniem, katolickich imigrantów, którzy założyliby w południowej Kalifornii utopijną kolonię. Zarówno oficjalnie, jak i nieoficjalnie, Wielka Brytania niewątpliwie była wtedy zainteresowana Kalifornią. Pytanie, czy była gotowa rzucić wyzwanie Stanom Zjednoczonym.

Frémont spędził całą noc, rozmawiając z Gillespiem i czytając przy migotliwym blasku ogniska te z depesz, które zachowały się na papierze. Wojna z Meksykiem w końcu wybuchła, a wielka Armia Zachodu przygotowywała się do wymarszu. Gillespie jednak o tym nie wiedział i nie mógł wiedzieć. Tak powolna była natura ówczesnych środków komunikacji. Do Kalifornii wieści o wojnie dotarły dopiero miesiąc później.

Być może z powodu własnej arogancji i przeszkód na drodze ku budowie imperium rzucanymi przez Meksykanów i Brytyjczyków Amerykanie zupełnie zapominali o innych mieszkańcach interesującego ich regionu – o Indianach. Sam Frémont był tak podekscytowany czekającymi go zadaniami, że zapomniał wystawić straż na noc.

Przed zaśnięciem zdążył jeszcze podjąć decyzję dotyczącą losów swojej wyprawy. Jak później napisał: „Informacje, które przywiózł Gillespie, zwolniły mnie z obowiązków eksploratora. Jedynym obowiązkiem, który na mnie ciążył, był ten, któremu podlegałem jako oficer amerykańskich sił lądowych zdający sobie sprawę z tego, że […] podbój Kalifornii jest głównym celem mojego Prezydenta”. Frémont całkowicie popierał „ludzi, którzy rozumieli przyszłość naszego kraju, którzy zarządzali jego przeznaczeniem i którzy uważali brzegi Kalifornii za naturalną granicę naszej narodowej domeny”[174].

12

Wszystko naprawimy

14 sierpnia 1846 roku, dwa dni po najeździe Nawahów na Las Vegas, generał Kearny wmaszerował ze swoją Armią Zachodu na główny plac miasteczka. Zszedł z rumaka bojowego i zażądał, by miejscowy burmistrz, czyli *alcalde*, dołączył do niego i wysłuchał odezwy do tłumu składającego się z kilkuset przestraszonych mieszkańców.

To była pierwsza miejscowość, do której wkroczyła jego armia, i Kearny chciał nadać temu wydarzeniu odpowiednio uroczysty ton. Mieszkańcy Las Vegas byli zafascynowani Amerykanami, ale jednocześnie się ich obawiali[175]. Kobiety kryły się w zacienionych narożnikach plazy, naciągając na głowy szale i *rebozos*[33], czasem nerwowo paląc papierosy skręcone z łupin kukurydzy. Mężczyźni, ubrani w jaskrawe poncza i sombrera, tłoczyli się na środku placu.

Susan Magoffin, która dotarła do Las Vegas kilka dni później, opisała jego mieszkańców jako „dziko wyglądających obcych", którzy „ciągle się gapili" i „roili się wokół mnie jak pszczoły […] a niektóre dzieci latały zupełnie nago"[176].

Rozszczekały się też miejscowe psy, rozchrumkały świnie w oborach. Ale ludzie milczeli. Chcieli usłyszeć, co miał do powiedzenia amerykański generał.

Kearny i alkad wdrapali się po chwiejnej drabinie na jeden z płaskich dachów pokrywających domy z suszonej gliny otaczające plazę. Stamtąd Kearny, ubrany w niebieski flanelowy płaszcz ozdobiony złotymi guzikami i epoletami oraz uzbrojony w szablę, spojrzał na mieszkańców Las Vegas. Z burmistrzem niepewnie stojącym u jego boku zaczął przemawiać, przedstawiając wolę Stanów Zjednoczonych. Nie owijał przy tym w bawełnę.

– Przybyłem do was z rozkazu mojego rządu, aby objąć wasz kraj w posiadanie – przez tłumacza poinformował zebranych równym

i spokojnym głosem[177]. Wskazał na setki amerykańskich żołnierzy, którzy właśnie maszerowali przez miasteczko, kierując się na będące stolicą prowincji Santa Fe.

– Oto moja armia. Przed wami ledwie jej niewielka część.

Potem jednak generał dodał:

– Przybywamy do was jako przyjaciele, a nie jako wrogowie; jako obrońcy, a nie zdobywcy. Niniejszym wyzwalam was z jakichkolwiek zobowiązań wobec rządu Meksyku.

W tłumie wybuchła „wielka wrzawa", jak opowiadał pewien porucznik. Zapanował tumult. Ludzie krzyczeli. Jedni wiwatowali, a inni sapali ze zniecierpliwienia. Kearny przeczekał wrzawę i mówił dalej.

– Rząd Meksyku – zapewnił – nigdy nie zapewniał wam ochrony. Z gór schodzą Nawahowie i, kiedy tylko zechcą, porywają wam owce, a nawet kobiety.

Mieszkańcy Las Vegas spojrzeli po sobie z nagłym zainteresowaniem.

– *Si, si*, to prawda – zaczęli kiwać głowami.

Kearny zrozumiał, że trafił w czuły punkt. Powiedziano mu wcześniej o ostatnim ataku Nawahów na miasteczko. Zrozumiał, że podbija lud, który już jest wyczerpany barbarzyńską wojną toczoną na pograniczu – wojną, którą Stany Zjednoczone, na dobre i na złe, właśnie odziedziczyły.

– Mój rząd – generał mówił z całkowitym przekonaniem – wszystko to naprawi. Ochroni zarówno was samych, jak i wasz dobytek. Wasi wrogowie staną się naszymi wrogami. Damy sobie radę z Indianami.

Miejscowi byli jednak sceptyczni wobec tych wszystkich obietnic. Choć to prawda, że meksykańska armia nigdy nie potrafiła ich ochronić przed zagrożeniem ze strony Nawahów. Nie chciała im nawet dać broni, by mieli jak się bronić. Kiedy przychodziło do walki z Indianami, mieszkańcy Las Vegas mogli im przeciwstawić tylko lance, łuki i strzały oraz kilka antycznych muszkietów z XVIII wieku. Równie nieudolni w powstrzymywaniu indiańskich najazdów byli Hiszpanie. Tak jakby Nawahowie byli drapieżnikami występującymi w tym surowym świecie, częścią naturalnego porządku w upadającym imperium hiszpańskim, rozmemłanym niczym błędny rycerz Cervantesa.

Wieśniacy z Las Vegas zaczęli się zastanawiać, kim są ci ambitni zdobywcy, którzy wkroczyli pomiędzy nich i mieli czelność uważać się za przyjaciół. Cóż to za armia, której wydaje się, że może z łatwością połknąć nie tylko ich, ale także ich zaprzysięgłych wrogów? Nawet jeśli ten mężczyzna w eleganckim niebieskim mundurze mówi szczerze, dlaczego wydaje mu się, że rzeczywiście potrafił odwrócić bieg historii i „wszystko naprawić”?

Kearny nie przestawał mówić.

– Moje wojska nie zabiorą wam bez zapłaty ani jednej papryki i ani jednej cebuli – obiecywał. – Będę chronił was, wasz dobytek i waszą religię. Niektórzy księża mówili wam, że zhańbimy wasze kobiety i wypalimy im na policzkach piętna, podobnie jak wy znaczycie swoje muły. To wszystko nieprawda.

Potem generał zmusił alkada do złożenia przysięgi na wierność Stanom Zjednoczonym. Chciał, żeby stało się to na dachu, tak żeby zobaczyli to wszyscy mieszkańcy Las Vegas.

– Spójrz mi w twarz – zażądał Kearny, a tłum patrzył w osłupieniu[178].

Twarz alkada nie wyrażała niczego. Z ociąganiem, ale jednak zrobił to, czego od niego żądano. Krótka przysięga kończyła się słowami, które dla zagorzałego katolika stojącego przed tłumem współwyznawców i wpatrującym się w niego księdzem musiały mieć doniosłe znaczenie. Po tym, jak przysiągł wierność Stanom Zjednoczonym, burmistrz powtórzył: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”.

Kearny ruszył ze swoją armią na zachód, w stronę Santa Fe, od którego dzieliło go jeszcze blisko sto dziesięć kilometrów. Na razie podbój Nowego Meksyku przebiegał bez przeszkód. Ale zwiadowcy donosili, że gubernator terytorium planował powstrzymać najeźdźców w kanionie znajdującym się przeszło dwadzieścia kilometrów pod miastem. Jeśli generał Kearny miał prawdziwe informacje, gubernator Armijo dysponował trzema tysiącami ludzi, którzy już okopali się w kanionie i byli gotowi stawić czoła amerykańskim najeźdźcom.

13

Przełęcz Narbony

Po wielkiej suszy z lat dwudziestych XIX stulecia Narbona powrócił z wygnania u Indian Hopi i dowiedział się o masakrze nawahijskich wodzów w Jemez. Pod jego nieobecność niewiele się zmieniło. Dawna wojna nie wygasła. Narbona, który miał wtedy już sześćdziesiąt trzy lata, rozumiał, że Nawahowie nie skorzystają na tym niekończącym się konflikcie. Wielki stary wojownik wymyślił więc nową taktykę – zaczął mówić o pokoju. W 1829 roku został zaproszony na rozmowy do Santa Fe. Obawiając się jednak pułapki podobnej do tej, którą Meksykanie zastawili na jego poprzedników w Jemez, Narbona domagał się od meksykańskiego gubernatora zgody na towarzystwo eskorty wojowników.

Choć był wobec Meksykanów podejrzliwy, uważał rozmowy za warte ryzyka. Spotkanie w Santa Fe, do którego w końcu doszło, nie skończyło się niczym znaczącym dla Nawahów, ale dzięki niemu Narbona zyskał miano przywódcy dążącego do pokoju. Udało mu się też uchronić swoją wioskę przed dalszymi meksykańskimi atakami. Do Santa Fe odbył potem jeszcze dwie podróże – w latach 1832 i 1833 – i na jakiś czas wzajemna nawahijsko-meksykańska wrogość przygasła.

W lutym 1835 roku Narbona dowiedział się, że Meksykanie przygotowują wielką kampanię wojenną przeciwko wschodnim Nawahom. Narbona i jego lud przez lata dotrzymywali pokoju i powstrzymywali się przed atakami. Teraz jednak wyglądało na to, że meksykańska inwazja na krainę Nawahów skończy się pełnowymiarową wojną. Zwiadowcy donosili, że 8 lutego ugrupowanie złożone z tysiąca meksykańskich żołnierzy i uzbrojonych cywilów wyruszyło z Santa Fe. Wśród najeźdźców była też spora grupa Indian Pueblo.

Narbona błyskawicznie zebrał dwustu pięćdziesięciu najlepszych wojowników i pognał w stronę niewielkiej szczerby w zębiskach gór Chuska,

na którą Nawahowie mówili Beesh Lichii'I Bigiizh – Przełęcz Miedziana. Wiedział, że aby wedrzeć się do krainy Nawahów, Meksykanie będą musieli pokonać tę skalistą wyrwę leżącą na wysokości blisko dwóch i pół tysiąca metrów nad poziomem morza. A kiedy będą ją pokonywać, wśród wysokich sosen porastających górujące nad nią skały będą na nich czekać Nawahowie.

Następnego ranka na dnie płaskiej doliny rozciągającej się na wschodzie pojawiła się chmura kurzu. Wkrótce wyłonili się z niej meksykańscy żołnierze. Poszarpana i długa kolumna jeźdźców jechała wzdłuż zamarzniętej Rio Chaco. W porannym słońcu błyskały srebrne guziki na mundurach. Narbona miał sporo czasu na przygotowania. W mroźny i wietrzny lutowy dzień armia najeźdźców zmierzała wprost w zasadzkę. Tak jak przypuszczał wielki wódz, kierowała się w stronę Przełęczy Miedzianej.

Długą kolumną Meksykanów dowodził kapitan Blas de Hinojos, *comandante general* terytorium Nowego Meksyku. Była to największa z wypraw wojennych, jakie Meksyk czy Hiszpania kiedykolwiek zorganizowały przeciwko Nawahom. Dlatego żołnierze byli przesadnie pewni siebie. Tak naprawdę jednak Hinojos dowodził zbieraniną niezdyscyplinowanych młodzików, prawie że pospolitym ruszeniem. Przez przełęcz maszerowali niefrasobliwie, jakby byli na pikniku. Śpiewali piosenki, co rusz wybuchali śmiechem i nie zachowywali żadnego wojskowego porządku. Amerykański handlarz Josiah Gregg wspominał, że Meksykanie byli „zupełnie nieświadomi przyjęcia, jakie ich czekało, dokazywali w rozproszonych grupkach, wdając się w sztubackie zabawy”[179].

Ukryci za wielkimi szarymi skałami sterczącymi nad przełęczą Indianie czekali na rozkaz ataku. Narbona nakazał im, by zachowywali absolutną ciszę i oczekiwali, aż Meksykanie znajdą się dokładnie pod nimi, w najwęższym punkcie przełęczy, gdzie będą musieli rozciągnąć się w długą, wąską kolumnę marszową. Narbona porównywał wrogą armię do pnia drzewa. Jak powiedział Nawahom, kiedy nadejdzie właściwy moment, potną meksykański pień na kawałeczki, tak jak rąbie się drewno na opał[180]. Młodsi i mniej doświadczeni wojownicy kilkakrotnie rwali się do ataku. Ale Narbona potrafił ich uspokoić. Czekał. W kanionie wielu meksykańskich

żołnierzy musiało zejść z koni, by ich zmęczone zwierzęta dały sobie radę na dość stromej ścieżce.

Kiedy nadszedł właściwy moment, Narbona dał znak, a Nawahowie wybuchnęli swoją zwyczajną wrzawą wojenną i zawołaniami przypominającymi pohukiwanie sowy. Na Meksykanów posypały się strzały. Ci Indianie, którzy mieli strzelby, zaczęli ostrzeliwać spanikowane szeregi najeźdźców. Pozostali spychali z góry głazy. Konie pierwsze wpadły w panikę i zaczęły uciekać, tratując ludzi. Jak pisze Gregg, Meksykanie „zamarli w osłupieniu. Niektórzy pospadali z koni, inni bezładnie strzelali z muszkietów. Wszystkich ogarnęła potworna panika”[181].

Zginęły dziesiątki, być może setki Meksykanów. Pewien historyk wojen meksykańsko-nawahijskich napisał, że Meksykanie „schwytani w pułapkę w ślepej uliczce kanionu, padali jak jelenie”[182]. Jednym z wielu żołnierzy, którzy tego dnia stracili życie, był dowódca wyprawy kapitan Hinojos. Według Nawahów otoczony przez wojowników Hinojos rzucił się w przepaść[183]. Wolał zginąć, niż wpaść w ręce Indian.

Meksykanie zostali rozgromieni. Nie ma żadnego oficjalnego spisu ofiar, ale według wszystkich doniesień ich ekspedycja skończyła się rzezią.

– Zabiliśmy wielu z nich – wspominał wiele lat po bitwie stary wojownik Nawaho, który tamtego dnia walczył na przełęczy[184].

Od tej pory Przełęcz Miedziana zyskała nową nazwę. Choć Nawahowie rzadko nadawali miejscom nazwy upamiętniające ludzi, byli tak dumni ze zwycięstwa nad znienawidzonymi Meksykanami, że tym razem zrobili wyjątek. Niezwykłe miejsce, które zapisało się w ich historii, nazwali Przełęczą Narbony.

14

Pierwotna cisza

Pewnej nocy w obozowisku wyprawy Frémonta na południowym brzegu jeziora Klamath zaniepokojony czymś Kit Carson podniósł głowę. Miał wrażenie, że coś usłyszał, jakiś dźwięk, który wydawał się nie na miejscu. Po przebyciu poprzedniego dnia osiemdziesięciu kilometrów powinien być skrajnie zmęczony i obojętny na jakiekolwiek odgłosy, ale na szlaku zawsze spał lekko. Doświadczenie nauczyło go ostrożności, więc nerwy miał zwykle napięte jak postronki.

Szybko rozejrzał się po obozie. Odnalazł Frémonta, który siedział z boku i przy swoim ognisku czytał listy. Dojrzał pozostałych uczestników wyprawy wyciągniętych na posłaniach po dwóch lub trzech. Było ich w sumie czternastu i Carson doliczył się wszystkich. Chrapali i ciężko oddychali – umorusani i zarośnięci podróżnicy czujący się w dziczy jak w domu. Był wśród nich francuski traper Basil Lajeunesse. Byli Indianie z plemienia Delaware, tropiciele najwyższej klasy, których najęto jeszcze w Kansas. Byli Lucien Bonaparte Maxwell, Alex Godey i Dick Owens, ludzie gór, których Carson znał od lat. Był też ten nowy, porywczy oficer piechoty morskiej Archibald Gillespie, który przywiózł Frémontowi listy. Były one tak zajmujące, że dowódca zapomniał o bożym świecie.

Nocą 9 maja 1846 roku ta niewielka grupa wędrowców obozowała w dziczy południowego Oregonu. Frémont nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, że natknął się na jedno z największych słodkowodnych jezior na zachód od Missisipi. Miało ono blisko pięćdziesiąt kilometrów długości i było pełne łososi. Jego wody były tak nasycone składnikami odżywczymi pochodzenia wulkanicznego, że bagniste brzegi porosła gęstwa glonów nadających płyciźnie dziwny, zielonkawo-niebieski poblask.

Jezioro Klamath byłoby ukoronowaniem kariery każdego wykształconego geografa odkrywcy. Przez cały poprzedni tydzień Frémont i jego

topografowie nanosili na mapę za pomocą *camera lucida*[34] zarys jego brzegów. Zbierali też próbki roślin, prowadzili obserwacje astronomiczne, odczytywali wskazania barometru i innych instrumentów pomiarowych, a w południe mierzyli sekstantem pozycje słońca. Okolice jeziora Klamath były – pisał z ekscytacją Frémont – „dzikie i niezbadane, a pierwotna cisza wzbudzała naszą ciekawość”[185].

Grupa znajdowała się jednak na niebezpiecznym terenie i Carson zdawał sobie z tego sprawę. Pokolenie wcześniej przez ten rejon przeprawiała się piętnastoosobowa wyprawa Jedediaha Smitha. Z ataku Indian tylko Smith i dwóch innych podróżników uszli z nietkniętym skalpem.

Teraz, marznąc, Carson zaniepokoił się, że Frémont nie wystawił nocnej warty, co prawie zawsze robił. Kit rozglądał się naokoło i wpatrywał w mroczny las, ale nie widział niczego niepokojącego. Ogień trzaskał i syczał. Dym unosił się spokojnie. Niedaleko szemrał strumień, wiatr śpiewał wśród sosen, a fale obijały się o brzeg jeziora. Piętrzące się na zachodzie Góry Kaskadowe pokrywał wiosenny śnieg. Ich surowe szczyty lśniły w świetle księżyca.

„Nie wyczułem żadnego niebezpieczeństwa”, wspominał potem Carson[186]. Owinął się ciasno kocem i ponownie zapadł w sen.

Późno w nocy Carsona obudził charakterystyczny dźwięk – ciężkiego, głuchego uderzenia. Wydawało się, że pochodził z miejsca, w który spał Lajeunesse.

– Co jest, Basil? – warknął Carson, podnosząc się na łokciu.

Francuz nie odpowiedział.

Carson chwycił pistolet i skoczył na nogi. Pobiegł do przyjaciela. Mało było widać, ale w rzucającym cienie świetle ogniska Kit zobaczył coś dziwnie połyskującego. Głowa śpiącego Francuza została rozłupana na pół. Wypływał z niej jasny mózg, a owłosiony skalp tonął w rosnącej kałuży krwi.

– Indianie! – wrzasnął Carson i wypalił w ciemność z pistoletu. Obóz otoczyło kilka tuzinów wojowników, którzy kryjąc się w mroku, słali w jego środek strzały.

Wszyscy zerwali się z posłań. Wszyscy, z wyjątkiem Francuza i Denny'ego, jednego z Delawarów. Carson dopiero teraz dostrzegł, że i Denny oberwał we śnie. Był naszpikowany strzałami. Kit słyszał, jak rzęził, zanim umarł.

Inny z Delawarów, niejaki Crane, złapał karabin i wycelował. Wtedy zdał sobie sprawę z tego, że go nie nabił. Chwycił go więc za lufę i zamachnął się na atakujących niczym maczugą. Ognisko świetnie go jednak oświetlało, był łatwym celem. Padł, kiedy w jego piersi zatopiło się pięć strzał.

Pomalowany w barwy wojenne Indianin, który – zdaniem Carsona – musiał być przywódcą napastników, odważnie wskoczył do obozowiska i przez kilka długich minut walczył wręcz z ludźmi Frémonta. W końcu został trafiony kulami wystrzelonymi przez Carsona, Owensa i kilku innych. Upadł. Na nadgarstku miał zawieszony stalowy toporek, którym prawdopodobnie rozłupał czaszkę Lajeunesse'a.

Kiedy napastnicy zobaczyli, że ich najodważniejszy wojownik padł w boju, wycofali się poza obozowisko. Przez jakiś czas ponawiali szarże, próbując odzyskać ciało zabitego przywódcy. Frémont uparł się jednak, żeby do tego nie dopuścić. Carson i inni powiesili koce na gałęziach drzew. Miały służyć za tarcze, które osłabiłyby deszcz indiańskich strzał. Dały sobie radę zaskakująco dobrze. W końcu Indianie odpuścili i zniknęli na dobre.

Przez resztę nocy Carson i pozostali uczestnicy wyprawy nie zmrużyli oka, wpatrując się w otaczającą obozowisko ciemność. Czekali na kolejny atak i broń trzymali w pogotowiu. Po kilku trudnych godzinach nadszedł świt i las przestał być mrocznym widmem. Wydawało się, że nigdzie w pobliżu nie ma już wrogich Indian. Jezioro świeciło jak turkusowy duch. Trzech martwych towarzyszy Carsona leżało na ziemi. Ktoś przykrył ich kocem.

Carson poszedł obejrzeć ciało nieustraszonego indiańskiego wojownika, który zabił Lajeunesse'a. Indianin nosił ozdobiony piórami hełm bojowy, a jego skóra była pomalowana w zawiłe wzory. W kołczanie miał jeszcze czterdzieści strzał. Wszystkie były piękne i starannie wykonane, ich groty umoczono w truciźnie.

Był Klamatem, Carson nie miał co do tego wątpliwości. Należał do ludu znad jeziora, z którym Kit już się zetknął. Uważał Klamatów za „wredną,

podłą, zdradziecką rasę”[187]. Zabity wojownik należał do grupy, którą kilka dni wcześniej członkowie wyprawy obdarowali tytoniem, mięsem i nożami.

Carson zbadał toporek przywiązany rzemieniem do nadgarstka Indianina. Brytyjska robota. Kit zauważył też, że groty niektórych strzał były wykonane z ostrych skrawków żelaza, które Indianie mogli dostać tylko w położonej niedaleko, nad rzeką Umpqua, bazie Kompanii Zatoki Hudsona[188]. Może, zastanawiał się Carson, to Brytyjczycy namówili Klamatów do tego napadu? W połowie lat dwudziestych XIX stulecia Kompania próbowała wyłapać wszystkie bobry żyjące nad Snake i innymi rzekami w głębi kontynentu. Celem było stworzenie „futrzarskiej pustyni”, która miała zniechęcić Amerykanów do wdzierania się do cennego dorzecza Kolumbii. Żaden koncern zdolny do prowadzenia tak bezwzględnej polityki nie zawahałby się przed nasłaniem Indian na amerykańską ekipę badawczą.

W nocy trudno było policzyć, ilu wojowników brało udział w ataku. Po dokładnym obejrzeniu obozowiska i zbadaniu wszystkich tropów Carson uznał jednak, że musiało ich być ze dwudziestu.

Nachylił się nad podziurawionym kulami ciałem przywódcy Klamatów. Kit, który zrobił karierę, walcząc z Indianami, był pod wrażeniem tego człowieka.

– To był najodważniejszy Indianin, jakiego kiedykolwiek spotkałem – mówił później. – Gdyby jego ludzie byli tak dzielni jak on, wszyscy byśmy zginęli[189].

Carson zdjął toporek z nadgarstka zabitego i trzymał go w dłoni, oceniając, jak jest wyważony. Ciała Lajeunesse’a, Denny’ego i Crane’a leżały wciąż tam, gdzie je pozostawiono. Przykryte kocami pagórki rysowały się coraz ostrzej w świetle poranka.

– Wszyscy byli odważnymi, dobrymi ludźmi – wspominał Carson[190].

Byli jego przyjaciółmi i jako przewodnik grupy Carson czuł się odpowiedzialny za ich śmierć. Szczególnie blisko był związany z Lajeunesse’em, z którym przebył tysiące kilometrów podczas różnych wypraw Frémonta.

Nastroje w obozie były minorowe, wspomniał potem Frémont[191]. Członkowie ekspedycji rozumieli jednak, że mogło być o wiele gorzej. Mogli

zginąć wszyscy. Ocaleli Delawarowie oddawali się już rytuałom żałobnym. Pomalowali ciała czarną farbą, zawodzili i samobiczowali się.

– Chory – powiedział jeden z nich. Miał na imię Sagundai. – Bardzo chory[192].

Carson, którego chyba dotknął ich smutek, robił się coraz bardziej wściekły. Gwałtownie uniósł stalowy toporek i rozłupał nim czaszkę padłego Klamata.

To mu jednak nie wystarczyło. Większość dorosłego życia spędził wśród Indian, więc nasiąkł ich zwyczajami wojennymi i skłonnością do szaleńczego smutku. On także opłakiwał zmarłych i chciał ukarać ducha zabitego wojownika tą samą bronią, którą on zabił Lajeunesse'a. Miał nadzieję, że towarzysze tego Klamata będą pod wrażeniem jego zbezczeszczonych zwłok, gdy je znajdą.

Nie przestawał rąbać toporkiem twarzy zabitego, aż została z niej miazga; aż, jak napisał potem Frémont, „rozniósł ją w drobny mak"[193].

15

Na ołtarzu ojczyzny [194]

W zniewalającym sierpniowym upale mieszkańcy Nowego Meksyku czekali na wojska generała Kearny’ego. Na wezwanie gubernatora odpowiedziało przeszło trzy tysiące mężczyzn. Przybyli z wielu wiosek, rancz i pół kukurydzy, bogaci i biedni, chłopcy na osiołkach, chłopi w wytartych sombrerach i starcy trzęsący się na zmęczonych artretyzmem nogach.

– Zmiażdżymy tych *gringos*, zatrzymamy niewiernych! – skandowali, niosąc antyczne muszkiety, lance, miecze, łuki, strzały i pałki.

Czekali dwadzieścia cztery kilometry pod Santa Fe, ukryci w wąskim wąwozie, który nazywano Kanionem Apaczów. Przez lata Apacze wykorzystywali go do organizowania zasadzek na konwoje powozów.

Przez kanion prowadziła droga, którą od wschodu można było się dostać do Santa Fe. Było to miejsce wyschnięte i pełne grzechotników, świetnie nadające się do obrony. Przechodząc przez gardziel wąwozu, Szlak Santa Fe robił się tak ciasny, że wozy musiały się ustawiać na nim gęsiego. Skaliste zbocza, pokryte głazami i drzewami, stanowiły idealną kryjówkę dla obrońców, którzy mogli stamtąd razić najeźdźców śmiertelnym ogniem. Zgodnie z przewidywaniami – i obawami – Amerykanów, Meksykanie organizowali linię obrony właśnie w Kanionie Apaczów.

Po tygodniach niezdecydowania i wysłuchiwania sprzecznych pogłosek o liczebności i dokładnych zamiarach zbliżających się Amerykanów obrońcy Nowego Meksyku musieli się spieszyć. Z Santa Fe przyciągnęli kilka starych dział i ustawili je w strategicznych miejscach pod ścianami wąwozu. Zgromadzili zapasy amunicji. Ścięli też drzewa, żeby zapewnić sobie osłonę przed atakującymi, i zaczęli się okopywać.

Tak naprawdę stanowili jednak tylko cień armii, byli słabo wyszkoleni i beznadziejnie uzbrojeni. Nad wrogiem mieli przewagę właściwie tylko w jednym: (w większości) kochali swój kraj i byli wystarczająco

zdesperowani, żeby go bronić. Pozostawali bowiem przekonani, że celem Amerykanów jest zniszczenie ich prastarych zwyczajów, pohańbienie ich kobiet, a nawet starcie ich wierzeń z powierzchni ziemi.

Santa Fe było istnym pandemonium. Wielu przedstawicieli kleru katolickiego spakowało się i uciekło z miasta. Urzędnicy proponowali zburzenie miejskich kościołów, bo tylko w ten sposób można było ochronić je przez zbezczeszczeniem przez Amerykanów, którzy z pewnością zechcą urządzić w nich koszary. Bogatsze rodziny zabrały, co mogły, i uciekły do krewnych mieszkających na południu kraju. Pozostali wysłali kobiety wysoko w góry, złapali za broń i poszli do Kanionu Apaczów.

W szeregach obrońców, którzy przez wiele dni gorączkowo umacniali wąwóz, wybuchały jednak konflikty. Nikt nie wiedział do końca, kto dowodzi. Pojawiały się też różne, sprzeczne koncepcje obrony. W końcu, po długim i trudnym do wytłumaczenia ociąganiu się, do obozu przyjechał gubernator Nowego Meksyku. Towarzyszył mu pododdział złożony z setki miejscowych żołnierzy i członkowie lokalnego parlamentu. Jego obecność dodała pewności obrońcom zgormadzonym w Kanionie Apaczów.

Gubernator Nowego Meksyku Don Manuel Armijo był mistrzem dworskich intryg. Tracił i odzyskiwał władzę w Santa Fe przez wiele lat. Dzięki swojej przebiegłości udało mu się wyrwać ze skromnej chłopskiej rodziny gospodarującej pod Albuquerque. Cieszył się reputacją bezwstydnego łapówkarza. Nie krył się z tym, że pierwsze pieniądze zarobił, uprowadzając kilka tysięcy owiec pewnemu bogaczowi, któremu potem je odsprzedał. Kiedy otwarto Szlak Santa Fe, załatwił sobie posadę poborcy cła. Ściągając (często do swojej własnej kieszeni) potworne opłaty od amerykańskich handlarzy, dorobił się fortuny. Każdy wóz, który wjechał do Santa Fe, niezależnie od wiezionego przezeń towaru obkładał cłem w wysokości pięciuset dolarów. Dzięki temu zarabiał ponoć aż sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie.

Armijo był nie tylko bogatym gubernatorem, ale i zawołanym hazardzistą, hodowcą koni wyścigowych i autorem kwiecistych, acz mocno zawiłych przemówień, które zawsze nieco zbijały słuchaczy z tropu. W interesach był bezwzględny i nie miał żadnych oporów przed okradaniem własnego narodu.

– Bóg włada w niebie – lubił powtarzać. – Ale na ziemi rządzi Armijo.

Pewien porucznik sił lądowych, który badał później jego interesy, doszedł do wniosku, że „zarówno w czasie wojny, jak i pokoju Armijo lubił pozbawić wolności lub majątku każdego, kto mu podpadł”.

Tytułowano go generałem, choć nie było do tego podstaw. Armijo nie odbył nawet najkrótszego przeszkolenia wojskowego. Lubił jednak ubierać się w pyszne mundury, przepasane jaskrawymi szarfami i upstrzone piórami, oraz przypinać sobie błyszczącą szablę. Dla swoich gości był niezwykle uprzejmy i łaskawy. W Pałacu Gubernatorów bawił ich do późnej nocy, hojnie karmiąc importowanymi przysmakami i pojąc brandy z El Paso.

Choć był żonaty, utrzymywał kilka kochanek. Miał okrągłą, jowialną twarz, która nie była pozbawiona uroku. Był jednak potwornie, operetkowo wręcz otyły. Wyglądał jak „góra tłuszczu”, jak zauważył pewien angielski pisarz, który przejeżdżał przez Nowy Meksyk[195].

Przede wszystkim jednak Armijo należał do tych, którzy wiedzieli, jak przetrwać za każdą cenę. Choć przywdziewał maskę człowieka nieustraszonego, to kiedy zapędzano go w kozi róg, potrafił zachowywać się niezwykle tchórzliwie.

– Mądrzej jest udawać odważnego, niż rzeczywiście nim być – mawiał[196].

*

Na początku lata Armijo otrzymał pierwszą wiadomość o tym, że w stronę Santa Fe zmierza amerykańskie wojsko. „Generał” zareagował na nią dziwnie. Najpierw zamknął się w swoich komnatach i nie poczynił żadnych kroków obronnych. Potem zebrał swoich najważniejszych urzędników i wezwał ich do poniesienia „wielkich ofiar na ołtarzu ojczyzny”, jednocześnie dając im jednak do zrozumienia, że wszelki opór nie ma sensu. W pewnym momencie zapytał nawet swoich zaskoczonych ministrów, „czy powinienem bronić Nowego Meksyku […], czy nie”[197].

Wkrótce potem w tajemnicy przyjął posłańca od generała Kearny’ego. Wydał na jego cześć wystawny obiad i cierpliwie wysłuchał tego, co Amerykanin miał do powiedzenia. Posłańcem był James Magoffin, szwagier

Susan Magoffin, która wtedy ciągle w forcie Bentów kurowała się po poronieniu. Wydaje się, że sam prezydent Polk udzielił bystremu handlarzowi właściwych pełnomocnictw do dobicia targu z Armijo. Do fortu Bentów Magoffin przyjechał prosto z Waszyngtonu, gdzie w absolutnej dyskrecji wydano mu rozkazy.

Z fortu wyruszył na początku sierpnia. Towarzyszyła mu mała eskorta złożona z dragonów. James Magoffin był człowiekiem jowialnym, ale wcale nie prostym. Do Santa Fe podróżował tak, jak lubił – w dyliżansie, popalając opium i popijając czerwone wino. Bardzo możliwe, że za zamkniętymi drzwiami Pałacu Gubernatorów zaproponował Armijo sporą sumkę za poddanie miasta. Nie wiadomo, czy gubernator przyjął łapówkę, a szczegóły ich rozmowy nigdy nie zostały ujawnione. Ale biorąc pod uwagę fakt, że Armijo słynął ze sprzedajności i w obliczu amerykańskiej inwazji zachowywał się nad wyraz dziwacznie, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że został przekupiony.

Gubernator jeszcze gościł Magoffina, kiedy zaczął już zwijać swoje liczne interesy i opróżniać kościelne szkatuły. Potem przez szybkich gońców wysłał do Kearny'ego serię listów. Ich dziwna treść oscylowała pomiędzy kapitulacją a chłodnym oporem. „Zawiadomił mnie Pan, że zamierza wziąć w posiadanie kraj, którym rządzę – pisał w jednym z listów. – Lud mojego kraju wystąpił *en masse* w mojej obronie. Jeśli podbije Pan ten kraj, stanie się tak tylko dlatego, że zwycięży Pan w bitwie. Proponuję, żeby powstrzymał Pan swój marsz. […] Spotkajmy się na równinach i rozpocznijmy negocjacje".

Armijo desperacko próbował grać na zwłokę. Był na tyle przebiegły, że potrafił dobrze ukryć swoje prawdziwe intencje. Tak naprawdę nic konkretnego w swoich listach do Kearny'ego nie napisał – był zresztą półanalfabetą. Trudno jednak ukryć, że jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Jego administracja zbankrutowała. Jego armia była żartem. Gdyby się bronił i przegrał, Amerykanie na pewno by go powiesili. Jedyną, choć nikłą nadzieję, mogły mu przynieść wojskowe posiłki z odległego Chihuahua. Te jednak nie nadeszły, więc w połowie sierpnia Armijo

znajdował się w bardzo kiepskim położeniu. „Został zmuszony – jak określił to jeden z historyków – do skakania z kwiatka na kwiatek”[198].

Inni przywódcy Nowego Meksyku jednogłośnie naciskali na gubernatora Armijo, by stanął do boju w obronie ojczyzny i, jeśli trzeba, walczył do ostatniego człowieka. Głównym przedstawicielem tej partii jastrzębi był pułkownik Diego Archuleta, wpływowy polityk i odważny żołnierz, prawa ręka gubernatora. Jego temperament i osobowość sprawiały, że był kimś w rodzaju alter ego Armijo. Nieważne dla niego było to, czy wojnę można wygrać. Podjęcie walki to po prostu sprawa honoru. Archuleta był zdumiony, że Armijo w ogóle rozważał oddanie pola najeźdźcom. Jego zdaniem mieszkańcy Nowego Meksyku musieli Amerykanów odeprzeć niezależnie od kosztów. Albo przynajmniej zginąć za ojczyznę.

To dzięki Archulecie ochotnicy obsadzili Kanion Apaczów. Pułkownik był dobrej myśli co do szans na obronę w tym miejscu. Zdawał sobie sprawę z tego, że wojska amerykańskie rozciągnięte są na wielu kilometrach trudnego terytorium należącego *de facto* do Komanczów, a komunikacja pomiędzy żołnierzami jest mocno ograniczona – nie mówiąc już o trudach w zaopatrzeniu w żywność, amunicję i inne artykuły pierwszej potrzeby. Ludzie Kearny’ego musieli umierać z gorąca, głodu, chorób, ich morale na pewno było niskie, a ich zwierzęta zmordowane. Po przemaszerowaniu półtora tysiąca kilometrów od domu ich wola walki na pewno się chwiała, osłabiana jeszcze przez palące słońce Wielkich Równin. Poza tym siły Nowego Meksyku przeszło dwukrotnie przewyższały liczebnością wojska Kearny’ego. Gdyby ochotnicy zdążyli porządnie się okopać, Kanion Apaczów stałby się fortecą nie do zdobycia.

Znaczna większość pełnych wiary obrońców wąwozu nie miała pojęcia o rozterkach i zakulisowych negocjacjach swojego gubernatora. Byli przekonani, że Armijo to zagorzały obrońca prowincji. W każdym razie taką maskę przywdziewał, występując publicznie. 8 sierpnia wydał wojenną proklamację, która pozornie brzmiała jak sygnał do boju. „Rodacy, patrioci – grzmiał Armijo – nadszedł moment, w którym ojczyzna musi zażądać od swoich synów bezdennej ofiary, dzięki której sama będzie mogła przetrwać”[199]. Poprosił mieszkańców Nowego Meksyku, by wykazali się

„najwyższym oddaniem”. Zapewnił ich, że „sam gubernator jest gotowy oddać życie i majątek w obronie ukochanego kraju”[200]. Niemniej każdy, kto uważnie przeczytał wezwanie do broni wygłoszone przez gubernatora, mógł dostrzec w nim delikatne dwuznaczności. W jednym miejscu Armijo wzywał lud, by „sięgnął po zwycięstwo […], jeśli okaże się ono możliwe, gdyż od nikogo nie można wymagać, żeby dokonał niemożliwego”. Poinformował też obywateli prowincji, że, niestety, za obronę kraju będą musieli zapłacić z własnej kieszeni. A potem praktycznie zostawił im samym decyzję w tej sprawie: „Wasz gubernator zależy od Waszego wsparcia finansowego, od Waszej decyzji i od Waszych przekonań”.

16 sierpnia, kiery Armijo wjeżdżał do Kanionu Apaczów, miał na sobie jeden ze swoich najbardziej fikuśnych mundurów i dosiadał wyścigowego czempiona, który ledwo dyszał pod ciężarem jeźdźca. Obejrzał umocnienia budowane przez obrońców i wydawał się z nich zadowolony. Wygłosił też kilka krzepiących słów o nadchodzącej bitwie. Armijo był zresztą dobrym aktorem i wiedział, jak porwać tłum. Ale nawet kiedy grzmiał i zachłystywał się swoimi słowami, poruszając swoją „górą tłuszczu” w pięknym zdobionym srebrem siodle i nieustannie dziobiąc boki swojego wierzchowca potężnymi krążkami ostróg, wydawał się zatroskany. Jego spojrzenie błądziło w zbierających się nad nim czarnych chmurach.

16

Perfekcyjna rzeź

Rano, po nocy, podczas której Klamatowie zaatakowali obozowisko, Frémont podjął decyzję: wróci do Kalifornii, tak jak zresztą zawsze chciał. Jego wyprawa badawcza przekształci się w wojskową, a on sam połączy swoją, jak sądził, jasną przyszłość z narodem, który wkrótce będzie władał całym kontynentem.

Zanim jednak mógł zawrócić na południe, Frémont musiał zająć się jedną palącą i mniej chwalebną sprawą. Musiał pomścić trzech padłych towarzyszy broni. Zaprzysiągł sobie, że Klamatowie zapłacą straszliwą cenę za ich śmierć. Chodziło o to, żeby uhonorować Lajeunesse'a i dwóch Delawarów. A także o pryncypia – żadna wyprawa badawcza – także w przyszłości – nie powinna być zmuszona do mierzenia się z niesprowokowaną agresją. „W tamtej chwili – pisał Frémont – odłożyłem na bok wszystkie inne sprawy. Byłem zdeterminowany, żeby przed odjazdem wyrównać rachunki z tymi ludźmi”[201].

Frémont postanowił okrążyć jezioro Klamath zgodnie z ruchem wskazówek zegara i tak dotrzeć do jego północnych brzegów, gdzie obozowała większość członków jego ekspedycji. Przedzierając się przez porośnięte lasem wybrzeże, zamierzał też poszukać indiańskich wiosek i wziąć na nich odwet za napad. Carson nie miał z tym planem żadnych problemów. Ciągle był wściekły po utracie starego kompana Lajeunesse'a.

– Indianie bez żadnego powodu wydali nam wojnę – opowiadał później. – Uważałem, że powinni być za to ukarani najszybciej, jak się da[202].

Rankiem 10 maja 1846 roku Carson i inni owinęli kocami ciała Lajeunesse'a, Denny'ego oraz Crane'a i zwiesili je z grzbietów mułów. Kit chciał pochować je w jakimś dogodnym miejscu koło głównego obozu wyprawy. Jego mieszkańcy mieli łopaty, którymi można było wykopać porządne groby. Kiedy jednak grupa zaczęła przedzierać się przez gęsty las,

zesztywniałe już ciała obijały się o pnie drzew i „siniaczyły się”, jak wspominał Carson. Uczestnicy upiornej wyprawy zdali sobie sprawę, że nie doniosą zabitych towarzyszy do głównego obozu. Wykopali więc nożami płytki grób i pochowali ich razem. Przykryli też grób pniakami i gałęziami, żeby nie można go było znaleźć. Frémont skorzystał z uprawnień odkrywcy i nadał przepływającemu w pobliżu strumieniowi nazwę Denny Creek – która zachowała się po dziś dzień.

Potem grupa wznowiła marsz na północ. W pewnym momencie Delawarowie zauważyli kryjących się w gęstwinie Klamatów. Ruszyli za nimi w pościg. Szybko rozległy się wystrzały z ich długich strzelb. Wkrótce wrócili, niosąc ze sobą dwa krwawe skalpy.

– Bardzo chory wcześniej – powiedział jeden z nich. – Teraz lepiej.

Cały czas poruszali się wzdłuż brzegu jeziora. Frémont kazał Carsonowi i dziesięciu innym ludziom ruszyć naprzód i rozejrzeć się za osadą Klamatów, która, jak sądził, musiała być blisko. Po kilkunastu kilometrach czujka Carsona natknęła się na wioskę. Mężczyźni podczołgali się bliżej i z sitowia zaczęli ją obserwować. Była to duża rybacka osada, na którą mówiono Dokdokwas. Wybudowano ją niedaleko mokradeł, przez które rzeka Williamson wpływała do jeziora Klamath. W wiosce stało przeszło pięćdziesiąt budynków i buzowało w niej życie – ujadały psy, kobiety wyplatały maty z trzciny zebranej na brzegach jeziora, a mężczyźni sunęli po jego powierzchni w swoich dłubankach. W dymie z ognisk wędziły się płaty łososia i ryb czukuczanowatych.

Nagle w wiosce zapanowało dziwne podniecenie i Carson zrozumiał, że został zauważony. Dał rozkaz do natychmiastowego ataku i choć Indianie mocno przewyższali ich liczebnie, jedenastu napastników przedarło się przez płyciznę i wpadło do przypominającej obecnie gniazdo os wioski. Carson i jego ludzie wyszli z tego ataku bez szwanku. Większość klamackich wojowników była na łowach, a tych niewielu, którzy zostali w wiosce, miało tylko łuki i strzały. W ciągu kilku minut zginęło dwudziestu jeden Indian. Przerażeni mieszkańcy wioski rozproszyli się po okolicznych wzgórzach. Tam wielu z nich dopadli Delawarowie, którzy nie dawali pardonu. Kilku

chłopców uciekło z rzezi wpław, kryjąc się pod powierzchnią jeziora i oddychając przez puste w środku trzcinowe patyki.

Była to, jak powiedziałby Carson, „perfekcyjna rzeź” – prawdziwa amerykańska masakra.

– Będą nas teraz długo wspominać – opowiadał Kit. – Dostali to, na co zasłużyli.

Choć Carson upierał się, że jego ludzie „nie ruszali” kobiet i dzieci, jeden z nich później sam napisał, że natknął się na ciało co najmniej jednej „indiańskiej staruszki”. Klamatowie twierdzili, że podczas ataku na Dokdokwas zginęło wiele kobiet i dzieci.

Carson nakazał starcie wioski z powierzchni ziemi.

– Życzyłem im jak najgorzej – usprawiedliwiał się później. – Dlatego rozkazałem podpalić chaty.

Amerykanie i Delawarowie rozbiegli się po wiosce i podłożyli ogień pod budynki – ziemianki zbudowane z mułu i drewna połączonego kruchą i suchą trzciną, która bardzo łatwo poddała się płomieniom. Wkrótce pożar objął całą osadę. Carson uznał to za „piękny widok”[203].

Zbliżający się do wioski Frémont zobaczył z daleka dym i pognał naprzód. Kiedy wgalopował do płonącej wioski, był rozczarowany, że „przybył zbyt późno, żeby wziąć udział w zawodach”. Mimo to wydawał się mocno usatysfakcjonowany.

– Jak długo Klamatowie będą żyli na wybrzeżu jeziora – mówił Frémont – tak długo będą sobie opowiadać o tym, co tu się zdarzyło.

I miał rację. Historię masakry w Dokdokwas dokumentująca pierwsze spotkanie Klamatów z Amerykanami przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie i wciąż służy Indianom jako memento. Klamatowie nigdy zresztą nie odbudowali wioski – która wtedy była ich największą osadą rybacką. Dzisiaj po Dokdokwas i jej tragicznym końcu nie ma już śladu – dziewiczy, zdawałoby się, brzeg, gdzie kiedyś stała wioska, porasta trzcina. Według historyka Davida Robertsa, który w swoim dziele *A Newer World* [„Nowszy świat”] bardzo wnikliwie opisuje przyjaźń Frémonta z Carsonem, tragedię w Dokdokwas spotęgowało to, że – jak zgadza się większość uczonych – zaślepieni żądzą zemsty Frémont i Carson prawdopodobnie wzięli odwet nie

na tych Indianach, co trzeba[204]. Wszystko wskazuje bowiem na to, że banda, która zabiła Lajeunesse'a i dwóch Delawarów, pochodziła z sąsiedniego plemienia Modoków – innego ludu żyjącego nad jeziorem na pograniczu Oregonu i Kalifornii. Klamatowie i Modokowie byli kulturowo spokrewnieni i… nieustannie ze sobą walczyli.

Tego samego dnia, po pacyfikacji wioski przez Carsona i jego ludzi, część wojowników wróciła do Dokdokwas. Jeden z Klamatów wyśledził Carsona w lesie i przymierzał się do posłania mu strzały. Kit zauważył go i chciał wypalić z pistoletu, ale ten akurat się zaciął. Życie uratował mu Frémont, który zawrócił swojego nieustraszonego szarego rumaka bojowego o imieniu Sacramento i stratował nieszczęsnego Indianina. Wystrzelona przez niego strzała chybiła. Sagundai, wódz Delawarów towarzyszących Amerykanom, dopadł rannego Klamata i dobił go pałką. Od tej chwili Carson uważał, że zawdzięcza Frémontowi życie.

– Najprawdopodobniej gdyby nie najechał na tego Indianina, dostałbym strzałę – opowiadał później. – Zawdzięczam tej dwójce życie – ocalili je kapitan i jego Sacramento[205].

Okrążając jezioro Klamath, Frémont i jego ludzie beznamiętnie zabijali wszystkich Indian, na których się natknęli, aż stracili zapał do zemsty. Nawet Frémont miał już dość. „Dotrzymałem złożonej samemu sobie obietnicy i porządnie ukarałem tych ludzi za ich zdradę – napisał w swoich pamiętnikach. – Wreszcie mogłem zająć się zadaniem, którego wykonanie ci ludzie opóźnili".

Wyprawa Frémonta skierowała się na południe. Opuściła królestwo Klamatów i wkroczyła do Kalifornii. Kiedy Amerykanie schodzili z gór Sierra Nevada do doliny Sacramento, byli prawie nieustannie ścigani przez Indian z różnych plemion – Yahuskinów, Modoków i Shasta – których wojownicy byli niewątpliwie wzburzeni wieściami docierającymi znad jeziora Klamath.

Carsonowi ciągle włosy na głowie stawały dęba, miał nieustające wrażenie, że wyprawa jest obserwowana i zaraz zostanie zaatakowana. W pewnym momencie zaproponował nawet objazd głębokiego parowu, w którym, jak słusznie podejrzewał, Indianie przygotowali zasadzkę.

Niektórzy z tych Indian podążyli jednak za grupą Frémonta i Carson postanowił wreszcie stawić im czoła. Nagle jeden ze śledzących wyprawę wojowników wyszedł zza głazu. „Wylazł z kryjówki i zaczął nas obrzucać strzałami – opowiadał Carson w swojej autobiografii. – Zszedłem z konia i wypaliłem w kierunku Indianina. Mój strzał odniósł skutek”.

Kit był pod wrażeniem wojownika, którego właśnie zastrzelił, i nie życzył mu źle. „Był z niego dzielny Indianin, który zasługiwał na lepszy los, ale wkroczył na złą ścieżkę”[206].

Carson zabrał należące do wojownika „wspaniały łuk i piękny kołczan pełen strzał” i dał je w prezencie porucznikowi Gillespiemu. Prezydencki kurier był bardziej zaprawiony w podróżach morskich i przedzieranie się przez pełen Indian las wraz z wyprawą Frémonta wyraźnie go wykańczało. Był też pod wrażeniem obeznanego ze szlakiem Carsona, który miał do takiego życia serce i potrzebne umiejętności.

– Na Boga, co za trudną robotę tu wykonujecie! – zwierzył się Frémontowi. – Opowiem im o tym w Waszyngtonie.

Ale Frémont był już myślami gdzie indziej.

– Nieprędko zobaczymy Waszyngton – odpowiedział[207].

17

Ogień Montezumy

Zbliżała się połowa sierpnia, a wojskom generała Stephena Wattsa Kearny’ego brakowało ledwie kilku dni marszu do Santa Fe. Mijając po drodze miasteczka Tecolote oraz San Miguel i maszerując zakolami rzeki Pecos, Kearny nasłuchał się tylu plotek o działaniach gubernatora Armijo, że postanowił je wszystkie zlekceważyć. Choć w Kanionie Apaczów Amerykanie mogli znaleźć się między młotem a kowadłem, Kearny nie zwalniał marszu. Jego armia pokonywała średnio ponad trzydzieści kilometrów dziennie – szaleńcze tempo dla wojska, które przeszło już tysiąc trzysta kilometrów. Dwie trzecie koni padło po drodze, co dla Kearny’ego, zapalonego koniarza, było trudne do zniesienia. Większość jego jeźdźców zamieniła się w piechurów i dołączyła do ochotników z Missouri, którzy maszerowali pieszo aż od Fort Leavenworth.

Spaleni słońcem żołnierze właściwie głodowali. Od fortu Bentów dostawali jedną trzecią normalnej racji żywnościowej. Narzekali też na nieznośny upał. „Nasze karabiny są tak rozgrzane, że trudno ich dotykać – pisał szeregowiec Jacob Robinson – a piasek parzy w stopy. Potworny Siroco wieje jak z rozgrzanego pieca, paląc nas nawet przez ubrania. Ludzie narzekają i mówią, że woleliby być gdziekolwiek, byle nie na tej pustyni”. Inny żołnierz notował, że ziemia była tak spękana od upału i suszy, że „wyglądała, jakby żaden deszczyk nie odświeżył jej od czasu biblijnego potopu”.

Co gorsza, woda, którą żołnierze odnajdywali na szlaku, prawie nie nadawała się do picia. Marcellus Edwards, żołnierz z kompanii ochotniczej, opisywał zatęchły staw, w którym jego towarzysze kąpali się pewnego sierpniowego poranka. Woda „była tak podła, że aby wziąć każdy mdlący łyk, trzeba było najpierw zamknąć oczy i zatkać nos. Było jej też bardzo mało, ale mimo to niektórzy przeprowadzili przez staw swoje konie, które

szybko zmąciły wodę z powodu mułu zalegającego na dnie. Aromatu nadawało jej także rozkładające się już truchło węża, które w niej znaleźliśmy”[208].

Kearny lekceważył tego typu narzekania i bez przerwy parł naprzód. Doskonale rozumiał, że jego przewaga maleje i że czas pracuje na korzyść obrońców. Ciągle otrzymywał dziwne listy od Armijo, listy, które w zawiłych i eleganckich zdaniach mówiły wszystko i nic. Idący z Armią Zachodu porucznik John Hughes opisał jeden z tych listów jako „bardzo grzecznie napisany, ale tak dwuznaczny w treści, że trudno było dociec, czy gubernator chciał spotkać się z generałem Kearnym na naradzie czy w bitwie”.

Kearny, oczywiście, niepokoił się tym, co czeka na niego w Kanionie Apaczów. Handlarze znający Szlak Santa Fe i podróżujący z jego armią ostrzegali go przed tym wąskim gardłem, odkąd opuścił fort Bentów. Mówili, że to właśnie tam Meksykanie najprawdopodobniej zorganizują obronę miasta. Generał wysłał naprzód zwiadowców i maszerował najszybciej, jak mógł.

Inną zaletą dziarskiego tempa, jak sądził Kearny, było to, że trzymało ono jego żołnierzy z dala od kłopotów. Szybki marsz pozwalał im zachować koncentrację i nadawał im poczucie celu. Dzięki temu nie imały się ich głupie myśli. Bo przecież tak potężna armia ochotników żółtodziobów rozlana na przeszło stu kilometrach szlaku miała mnóstwo okazji do łamania wojskowego drylu. Wojna wybuchła już w innych prowincjach północnego Meksyku i ochotnicy, którymi dowodził generał Zachary Taylor, zdążyli zdobyć reputację – jak określił to pewien historyk – „seksualnych terrorystów”. Z kolei Armia Zachodu nie miała czasu ani na gwałt, ani na rabunek.

Surowy generał, który co rusz objeżdżał szyki swoich wojsk, starał się zaszczepić w nich prawość. John Hughes uważał Kearny’ego za „mądrego oficera, świetnie nadającego się do dowodzenia weteranami”[209]. Uważał jednak, że generał naiwnie oczekuje dochowania standardów „twardej oszczędności”, znamionującej doświadczonych dragonów, przez tłum ochotników z Missouri. A ci, jak sądził Hughes, „są przyzwyczajeni do

wolności i strzelania z powodów emocjonalnych, pryncypialnych i honorowych”, więc „wyszkolenie wojskowe” miało na nich niewielki wpływ. Te młode byczki szanowały Kearny’ego i bały się go, ale niezbyt dbały o dyscyplinę, którą próbował im narzucić. Choć kary nakładane przez generała potrafiły być bolesne, a nawet syzyfowe. Jeden z pamiętnikarzy zapisujących życie Armii Zachodu wspominał, jak pięciu żołnierzy, którzy popełnili jakieś drobne wykroczenia, zostało „postawionych za niesubordynację przed sądem wojskowym”. Każdego z nich sąd skazał na noszenie dwudziestokilogramowego worka z piaskiem. Przez tydzień.

Po długiej drodze przez wypalony kontynent większość Missourczyków aż paliła się do walki. Jeden z nich wspominał, że jego towarzysze byli „pełni wigoru, gotowi do bitwy i dyszeli żądzą nagrody za honorowe zwycięstwo”. Pogłoski o prawdopodobnej bitwie w Kanionie Apaczów rozeszły się w szeregach armii i zapanowało widoczne podniecenie. Żołnierze przyspieszyli tempo marszu i zaczęli śpiewać wojenne piosenki.

> Radość wielka, dzikość serca,
> Donów bić, bić!
> Tłusty Armijo, pęka mu brzuchijo,
> W Santa Fe będziemy pić![210]

W przeciwieństwie do swoich gorącogłowych ochotników generał Kearny zamierzał do końca unikać bitwy. W zasadzie wolał w ogóle nie postrzegać mieszkańców Nowego Meksyku jako wrogów. Liczył na to, że zdobędzie prowincję bez jednego wystrzału. Pragnął, jak mówił, „bezkrwawego podboju”. Rozumiał, że jeśli Stany Zjednoczone mają okupować Nowy Meksyk i w końcu włączyć go w swoje granice, musi przeciągnąć na swoją stronę jego mieszkańców.

Dlatego w każdej osadzie, przez którą przechodził, spotykał się z lokalnymi władzami i wygłaszał mowę podobną do tej z Las Vegas. Obiecywał, że jego żołnierze nikogo nie skrzywdzą. Tłumaczył, że Stany Zjednoczone nie są wrogo nastawione do katolicyzmu. Gwarantował ochronę przed dzikimi plemionami. Zapewniał, że meksykańskie kobiety są bezpieczne, a Amerykanie nie zamierzają wypalać nikomu piętna. Korzystając z pomocy tłumaczy, Kearny napisał nawet po hiszpańsku

proklamację zawierającą wszystkie te obietnice i posłał naprzód gońców, którzy rozwieszali ją na rynkach meksykańskich miasteczek. Żołnierze Kearny'ego złapali też kilku zwiadowców wysłanych przez gubernatora Armijo. Zamiast jednak potraktować ich jak jeńców wojennych, generał postanowił dać wyraz swojej dobrej woli i okazał im łaskę, puszczając wolno. Miał nadzieję, że wrócą do Santa Fe i opowiedzą o szlachetnych Amerykanach. Cynicznie uważał też, że puszczeni wolno zwiadowcy w swoich relacjach wyolbrzymią potęgę amerykańskich wojsk. Kearny wiedział przecież z własnego doświadczenia, że siły wroga często rosną wraz z każdą kolejną opowieścią.

Nocą 17 sierpnia Kearny rozbił obóz tuż obok ruin starożytnego puebla Pecos – w porośniętej trawą dolinie, którą płynęła rzeka Pecos wydobywająca się z górskiej rozpadliny. Zanim osada legła w gruzach, ludzie zamieszkiwali ją przez pięćset lat. Jeszcze niedługo przedtem była jednym z największych skupisk Indian Pueblo. Był czas, że liczyła aż trzy tysiące mieszkańców. Z Pecos wiązała się legenda dotycząca „ognia Montezumy". Zamieszkujący osadę Indianie wierzyli, że są spokrewnieni z wielkim azteckim wodzem i że pewnego dnia – dawno, dawno temu – Montezuma nakazał im rozniecenie wiecznych płomieni w ukrytej pod ziemią sali. Ogień nie mógł zgasnąć pod żadnym pozorem aż do przybycia ze wschodu ludzi, którzy mieli wyzwolić Indian od tyranii hiszpańskich rządów.

I tak przez setki lat, cierpiąc pod uciskiem konkwistadorów i misjonarzy, mieszkańcy Pecos potajemnie podtrzymywali ogień w *kiva* – owalnym pomieszczeniu o przeznaczeniu ceremonialnym, które było wybudowane pod ziemią i posiadało w dachu otwór na ulatujący dym. Wieki mijały, a Indianie niczym druidzi podtrzymywali rytualne płomienie, które stały się symbolem oczekiwania na zapowiedzianych przez proroctwo wyzwolicieli. Ognia pilnowano aż do 1838 roku, kiedy różne choroby, niewątpliwie przyniesione przez ludzi jeżdżących koło osady Szlakiem Santa Fe, zdziesiątkowały populację Pecos. Niedobitki zostały wyniszczone przez najazdy Komanczów. Uciekając przed zagładą, ostatnich siedemnastu Indian z Pecos opuściło wielkie kiedyś pueblo i przeniosło się sto kilometrów na zachód,

w bezpieczne wówczas góry Jemez. Tam dołączyli do krewniaczego plemienia, które posługiwało się tym samym językiem. Legendarny ogień w Pecos wygasł. Choć mówiło się, że oddana grupka uchodźców przeniosła go do swojego nowego domu w górach i tam pielęgnowała tradycję.

Żołnierze Kearny'ego byli pod wrażeniem ruin osady. Podobała im się też związana z nimi legenda – szczególnie jej fragment mówiący o ludziach ze Wschodu, którzy mieli wyzwolić ciemiężonych Indian. Pecos było osadą pełną życia, kiedy pierwszy ze zdobywców tych ziem, Francisco Vásquez de Coronado, przemaszerował nimi w 1540 roku i zagarnął je dla Królestwa Hiszpanii. Konkwistadorzy byli pewni, że gdzieś w pobliżu istnieje siedem miast zbudowanych ze szczerego złota, które tylko czekają, żeby rozłożyć je na części, przetopić na sztaby i wysłać do spragnionej bogactwa stolicy imperium. Złotych miast nigdy jednak nie znaleziono i Hiszpanie zwrócili swoją uwagę na dużo bardziej prozaiczne bogactwa – Indian Pueblo, których można było zakuć w kajdany i zamienić w niewolników.

Amerykanie mieli własne poglądy na temat bogactw Nowego Meksyku. Nawet jeśli nie było w nim cennych metali, to przynajmniej można było pokryć go siecią dróg dla powozów. Połączyłyby one wschodnie miasta USA z Kalifornią, która była następnym celem Kearny'ego. Być może Amerykanie nie byli aż tak obsesyjnie przywiązani do złota jak Coronado, ale na pewno byli zdeterminowani, żeby zrobić na Nowym Meksyku innego rodzaju złoty interes.

Mimo wyczerpania wielu żołnierzy Kearny'ego wdrapało się na powalone mury Pecos, żeby wchłonąć dawkę wielkiej historii i zastanowić się nad swoim w niej udziałem. Szeregowiec Frank Edwards z Illinois, jeden z żołnierzy, którzy robili zapiski podczas marszu Armii Zachodu, dowiedział się, że Pecos zostało wybudowane przez władczą rasę białych olbrzymów, którzy mieli po pięć metrów wzrostu. Ta myśl nie wydała się Edwardsowi zupełnie bez sensu. „Kości, które wygrzebaliśmy z podłogi kościoła, są rzeczywiście ogromnych rozmiarów – pisał. – Kość udowa, którą widziałem, nie mogła należeć do człowieka mającego mniej niż trzy metry wzrostu".

Kiedy Edwards podziwiał potężną kość, jego uwiązany na zewnątrz muł zerwał się z postronka i wpadł w środek kościelnych ruin. „Najwidoczniej tak

jak ja nie mógł się doczekać, żeby zaspokoić ciekawość”, żartował Edwards. Muł wspiął się do miejsca, w którym kiedyś stał ołtarz. „Powoli się odwrócił i dał upust swoim bogobojnym uczuciom długim *iiiiihaaaa!*”.

18

Czyńcie swoją powinność, Carson

Letnie słońce wypaliło uginającą się na wietrze trawę na poplątanych wzgórzach. Kit Carson przedzierał się przez dębowe chaszcze, zjeżdżając na swoim wierzchowcu do małej wioski Sonoma w Kalifornii. Razem z Frémontem prowadzili rozwydrzoną kolumnę stu sześćdziesięciu ochotników, których w większości zebrali wśród amerykańskich osadników w dolinie Sacramento. Stanowili oni, jak wspominał jeden ze świadków tych wydarzeń, „spalony słońcem i najgorzej umundurowany oraz najbardziej groteskowy pododdział, jaki kiedykolwiek widziano”[211].

Krowy machały ogonami na pastwiskach, a wioskowe psy obszczekiwały obcych. Bite drogi Sonomy były pełne pijanych Amerykanów, którzy świętowali swój nowo nabyty status zdobywców. Ich pijackie okrzyki „Wolność!” przerażały miejscowych, którzy nawet nie wiedzieli, że toczy się jakaś wojna. Zresztą żadnej wojny nie chcieli.

Był 25 czerwca 1846 roku i Carson starał się zorientować, co tu się, u diabła, dzieje. Półtora tygodnia wcześniej, 14 czerwca, dobrze uzbrojona grupka Amerykanów o gorących głowach, powołując się na w większości wymyślone krzywdy, powstała przeciwko meksykańskim władzom i zajęła tę osadę zbudowaną z suszonej cegły i leżącą niedaleko północnych płycizn zatoki San Francisco. Samozwańczy rewolucjoniści, którzy sami siebie nazwali *Osos* – niedźwiedziami – uwięzili czołowych mieszkańców Sonomy. Oczyścili też skromny miejscowy arsenał i ukradli wszystkie konie, które udało im się znaleźć. A potem ogłosili narodziny niezależnego państwa – Republiki Niedźwiedziej Flagi.

Osos przeprowadzali swoją rewolucję z odpowiednim melodramatyzmem, zupełnie jakby organizowali zachodnią odmianę „Herbatki bostońskiej”. Swój ruch nazwali „wzniosłym i świętym”.

– Po dziś dzień w świecie nie objawiła się wyższa cywilizacja – orzekł jeden z przywódców rewolty, niejaki doktor Semple[212].

Tak naprawdę jednak ich przewrót był dość operetkowy, napędzany przez chęci, które trudno nazwać wzniosłymi. Osos tylko odrobinę różnili się od zwykłego motłochu, właściwie nie byli zorganizowani i nie mieli sprecyzowanych celów. Jeden z ludzi Frémonta uznał, że większość rebeliantów „nie kierowała się niczym więcej niż chęcią plądrowania i nie miała krzty honoru".

Wykorzystując Sonomę jako bazę wypadową, Niedźwiedzie planowały uderzyć na południe i zdobyć Monterey, Santa Barbarę, Los Angeles i resztę Kalifornii. Na razie jednak rewolucjoniści zadowolili się opanowaniem Sonomy i cieszyli się z symbolu swojego buntu – nad miejską plazą łopotała na wietrze flaga, lekko nieforemny sztandar uszyty z damskiej bielizny i straszący wizerunkiem niedźwiedzia grizli (czy też raczej „czegoś, co zwali niedźwiedziem", jak ujął to jeden z historyków rewolty[213]). Postać zwierza namalowano sokiem jagodowym (dość nieprawdopodobne wydaje się, że to do tego sztandaru nawiązuje dzisiejsza flaga Kalifornii).

John Frémont odegrał w tym powstaniu rolę drugoplanową, ale jednak ważną. To jego obecność w Kalifornii stała się katalizatorem rewolty. Odkąd wyprowadził swoją wyprawę z dziczy Oregonu i wrócił do doliny rzeki Sacramento, robił, co mógł, żeby podburzyć mieszkających w niej Amerykanów. W swoim obozie ciągle przyjmował gości i mocno zachęcał ich do buntu. Jednocześnie podkreślał, że nie będzie mógł się zaangażować w konflikt, dopóki osadnicy nie sprowokują kalifornijskich władz do jakiegoś wyraźnego *casus belli*. Nie chciał też oddelegować do roboty rewolucyjnej żadnego ze swoich podkomendnych.

Działania i plany Frémonta wywoływały w osadnikach dysonans poznawczy. Niespecjalnie potrafili kapitana rozgryźć. Ten zaś obawiał się konsekwencji własnego udziału w ewentualnym powstaniu, martwiąc się jednocześnie skutkami nienadążania za rozwojem wypadków. Przez przeszło miesiąc ociągał się, lawirował i dumał w swoim namiocie, wysyłając amerykańskim osadnikom sprzeczne sygnały. Czekał na odpowiedni moment, żeby wkroczyć do akcji.

Ten moment w końcu nastąpił. Frémont dowiedział się, że rezydujący w Monterey generał Jose Castro odpowiedział na Rewoltę Niedźwiedziej Flagi, wydając (zrozumiałe) ultimatum, w którym zażądał, by obywatele USA „albo opuścili kraj, albo zostali z niego wyrzuceni". Co więcej, Castro wysłał też na północ kapitana Joaquina de la Torre, który miał wyprzeć powstańców z Sonomy. Frémont dostał więc w końcu to, czego chciał. Jako oficer sił zbrojnych USA nie miał pozwolenia na zaatakowanie Kalifornii. Miał jednak prawo bronić obywateli amerykańskich przed atakiem ze strony Kalifornijczyków. Szybko zebrał więc pododdział złożony z uczestników swojej wyprawy oraz blisko setki ochotników i pognał do Sonomy, żeby odeprzeć ofensywę kapitana de la Torre.

„Armia" Frémonta była dziwaczną międzynarodową zbieraniną ubranych w skóry twardzieli i zwykłych krzykaczy. Jeden ze świadków wyróżnił wśród nich „Amerykanów, Francuzów, Anglików, Szwajcarów, Polaków, Rosjan, Chilijczyków, Niemców, Greków, Austriaków i Paunisów. Jeśli Meksykanom uda się pobić ten tłum, równie dobrze mogą dołożyć całemu światu. Bo [razem z siłami Frémonta – przyp. tłum.] Castro pokona wszystkie narody i języki świata".

Kiedy tamtego pięknego czerwcowego dnia Frémont i Carson wjechali do Sonomy, Osos poradzili już sobie z kapitanem de la Torre. Wydawało się, że sytuacja została opanowana. Frémont postanowił jednak poświęcić się sprawie Niedźwiedziej Flagi i usilnie chciał pożenić ją z celami Stanów Zjednoczonych. Bał się, że bez jego pomocy armię osadników czeka „pewna śmierć" w paszczy meksykańsko-kalifornijskiej bestii. Jego własna wyprawa reprezentowała „siły lądowe i flagę Stanów Zjednoczonych". Dlatego Frémont uważał, że jego „działania mają charakter narodowy i Meksyk musi się z nimi liczyć"[214].

Wydaje się też, że Frémont dość szybko przeszedł przemianę osobowości. Porzucił wszelkie pozory bycia eksploratorem i zaczął podpisywać swoje depesze jako „Dowódca Sił Stanów Zjednoczonych w Kalifornii". Nosił filcowy kapelusz i dość krzykliwy ubiór, otaczał się ochroną złożoną z Delawarów i wiązał schludne zielone wstążki na ogonie i szyi swojego konia. Zorganizował bojowników w jednostkę, którą nazwał Batalionem

Kalifornijskim. Oszukując też trochę czas, namówił powstańców, żeby przesunęli oficjalny „początek” swojej rewolty do momentu, w którym on do niej się przyłączył. Dzięki temu jego przywództwo „rozpoczynało się od początku”, jak to później określił. Frémont uznał się więc za „Oso Numer 1” i zaczął wysuwać władcze, a nawet bezwzględne żądania. Jednemu ze swoich podkomendnych powiedział, żeby „zakuwał w kajdany i wsadzał pod klucz każdego, kto sprzeciwi się rozkazom, i strzelał do każdego, kto będzie stanowił zagrożenie dla życia”. Kiedy były sojusznik, urodzony w Szwajcarii handlarz i właściciel rancza Johann Sutter zakwestionował przywództwo Frémonta, ten odwarknął, że „jeśli nie podoba ci się to, co robię, to możesz przyłączyć się do Meksykanów”.

Joaquin de la Torre i jego niewielki pododdział liczący stu żołnierzy wycofał się na odległość ledwie kilku kilometrów od Sonomy. Kiedy Frémont o tym się dowiedział, pogonił za nim razem ze swoim Batalionem Kalifornijskim. Ścigał kapitana aż do misji świętego Rafaela niedaleko brzegów zatoki San Francisco. De la Torre wyrwał się pościgowi za pomocą podstępu. Napisał fałszywy meldunek o planowanym oskrzydleniu Frémonta i ponownym ataku na Sonomę. Wysłał go kurierem i dopilnował, by został przejęty przez Amerykanów. Dzięki temu zyskał czas, by wymknąć się z zatoki San Francisco na pokładzie szkunera i rozpłynąć się we mgle pokrywającej Ocean Spokojny.

Potem Frémont dowiedział się o tragedii, która spotkała dwójkę powstańców spod Niedźwiedziej Flagi. Kilka dni wcześniej niejacy Fowler i Cowie udali się z tajemną misją do położonej na północ od Sonomy niewielkiej placówki nadmorskiej, na którą mówiono Bodega. Mieli zabezpieczyć tam proch na potrzeby powstania. Zostali jednak schwytani przez grupę meksykańskich partyzantów i brutalnie zlinczowani. Meksykanie przywiązali obu Amerykanów do drzew i pocięli ich nożami, a ich kończyny porozrywali linami.

Była to oburzająca zbrodnia i największy przelew krwi od rozpoczęcia rewolucji, która dotąd przebiegała dość łagodnie. Teraz jednak powstańcy zaczęli domagać się zemsty. Pragnęli jej także Frémont i Carson.

W niedzielę 28 czerwca kapitan zauważył niewielką łódź przemierzającą wody zatoki i nakazał Carsonowi jej przechwycenie. Łódka dobiła do brzegu niedaleko San Quentin. Wyszło z niej trzech mężczyzn. Byli to dwudziestodwuletni bliźniacy Ramon i Francisco de Haro oraz ich starszy już wuj Jose de los Berreyesa. Wszyscy byli ważnymi osobistościami; bracia – synami meksykańskiego burmistrza Sonomy.

Nie jest do końca jasne, co stało się później. Różne relacje kładą nacisk na różne niuanse. Wygląda jednak na to, że Carson zatrzymał całą trójkę i zażądał oddania poczty, którą Meksykanie mogli przewozić. Zatrzymani byli zdenerwowani i nie chcieli współpracować, upierając się, że nie mają żadnych przesyłek. Choć było oczywiste, że żaden z nich nie jest żołnierzem, Carson był podejrzliwy.

– Kapitanie, czy mam wziąć tych mężczyzn w niewolę? – krzyknął do Frémonta.

Frémont tylko machnął ręką.

– Nie – odkrzyknął. – Nie potrzebuję jeńców[215].

– Czyńcie swoją powinność – nakazał zagadkowo kapitan.

Carson nie był pewien, co jego dowódca miał na myśli. Zawahał się przez chwilę i odbył „szybkie konsultacje” z ludźmi, którzy razem z nim przechwycili pasażerów łodzi. Wszyscy doszli do wniosku, że Frémont chciał, żeby cała trójka zapłaciła za śmierć Fowlera i Cowiego. Kapitan nie miał jednak ochoty wykonywać wyroku osobiście – później zresztą wypierał się swojego w udziału w zajściu – wolał, żeby zajął się tym jego wierny Carson.

– Czyńcie swoją powinność, Carson! – krzyknął.

To wystarczyło. Kit bez zbędnego wahania odwrócił się i z zimną krwią zastrzelił bliźniaków de Haro i ich wuja (według niektórych relacji strzelał nie tylko on).

Frémont wydawał się zadowolony z egzekucji, dzięki której rachunki zostały wyrównane.

– Dobrze – podsumował, kiedy usłyszał wystrzały.

Według jednego ze świadków Carson przeszukał zabitych i jego podejrzenia się potwierdziły: przy jednym z nich znalazł pocztę.

Ani Carson, ani Frémont nie wspominają w swoich memuarach o tej „drobnej” zbrodni. Pozostaje ona jednym z najsłabiej zrozumiałych epizodów z życia Carsona. Nie można po prostu wytłumaczyć jego postępowania pełnym ignorancji rasizmem czy szowinizmem, które kierowały wieloma żołnierzami biorącymi udział w walkach podczas wojny z Meksykiem. Carson miał za żonę Latynoskę, był katolikiem, mówił po hiszpańsku i przez dwadzieścia lat dobrze funkcjonował w szerokim kręgu meksykańskich znajomych. Ludzie, którzy kochali Kita, mieli kłopot z jego udziałem w tym wydarzeniu. Lata później W. M. Boggs, jeden z bliskich przyjaciół Carsona, określił je jako „zbrodnię z zimną krwią”[216].

To morderstwo, podobnie jak rzeź klamackiej wioski, ujawniło ciemną stronę charakteru Carsona, która da o sobie znać podczas jego kolejnych przygód. Było to coś w rodzaju symbiozy władzy i działania. Frémont chciał, żeby Carson wykonał za niego brudną robotę, a Kit najwyraźniej chciał, żeby Frémont powiedział mu, co ma robić. Dzisiejsza psychiatria zapewne uznałaby ich obu za współuzależnionych. Razem byli śmiertelnie groźni, o wiele groźniejsi niż osobno. Nie chcąc rozczarować przełożonego, Carson nie potrafił nie wykonać rozkazu, z którym się nie zgadzał. Był dobrym żołnierzem, więc wykonywał rozkazy. W takich sytuacjach pociągał za spust bez zwracania uwagi na sumienie.

Dwa tygodnie później Batalion Kalifornijski Frémonta dotarł do Monterey, stolicy prowincji. Okręty floty Pacyfiku marynarki wojennej USA już zresztą wpłynęły do tego wspaniałego portu i – bez przelewu krwi – go zdobyły. W zatoce kotwiczyły dwa amerykańskie transportowce, trzy fregaty i trzy slupy – każdy z tych okrętów miał po czterdzieści cztery działa. Amerykańska flaga dumnie powiewała nad nabrzeżem Monterey.

Nowym komodorem floty Oceanu Spokojnego był Robert Field Stockton, egzaltowany oficer dowodzący okrętem, na pokładzie którego senator Tom Benton prawie stracił życie. Stockton był bogatym biznesmenem z New Jersey, który dostał się na Princeton w wieku ledwie trzynastu lat. Teraz miał już lat pięćdziesiąt jeden i był przystojnym mężczyzną o zimnych, rozumnych oczach i zaciętym obliczu. Kręcone włosy spadały mu na twarz,

przechodząc w kędzierzawe bokobrody. Opłynął prawie cały świat, od Morza Śródziemnego po przylądek Horn, a kiedy stacjonował w Afryce, pomógł w negocjacjach traktatu, dzięki któremu powołano do życia Liberię. Kiedy raz na jakiś czas schodził na ląd, wdawał się rozmaite przedsięwzięcia – kanały, nieruchomości, architekturę morską i politykę (później został senatorem reprezentującym stan New Jersey, a jego skłonność do długich i zawiłych przemówień zyskała mu przydomek Nadęty Bob). Odkąd przybył do Monterey i objął dowództwo nad flotą Pacyfiku, nosił głowę przesadnie wysoko. „Moje słowo jest dziś prawem tego lądu – napisał do prezydenta Polka. – Moja osoba znaczy więcej niż król”[217].

Bardzo możliwe, że komodor Stockton miał nawet większe ambicje niż Frémont. Kiedy przeczytał w meksykańskiej gazecie, że wojna pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem oficjalnie wybuchła, niecierpliwił się i naciskał, żeby jak najszybciej zakończyć działania w Kalifornii. Chciał dokonać desantu na Acapulco i stamtąd pomaszerować do Mexico City – wydaje się, że był to jego własny pomysł, którego nawet nie skonsultował z Waszyngtonem. Wiecznie niespokojny, gotowy naginać reguły i przekonany o własnej nieśmiertelności Stockton był ulepiony z tej samej gliny co Frémont. Nic więc dziwnego, że obaj mężczyźni szybko się polubili i zostali sprzymierzeńcami.

Stockton zaproponował Frémontowi połączenie sił oraz szybkie zdobycie Los Angeles i pozostałych rejonów Kalifornii. Komodor wysłał też wstrętną deklarację wojny do generała Jose Castro, która była równie pełna namiętności, co nieprawdy. Stockton twierdził, że otrzymywał „codzienne raporty z interioru o grabieżach, przelewie krwi i morderstwach” (co było oczywistym kłamstwem, jako że tylko Amerykanie Cowie i Fowler zostali zabici przez Meksykanów, a Carson „godnie” ich pomścił). Generał Castro, jak utrzymywał Stockton, „pogwałcił wszelkie zasady prawa międzynarodowego i narodowej gościnności, ścigając […] z niegodnymi zamiarami kapitana Frémonta, który przybył tu tylko po to, aby jego ludzie odzyskali siły po pełnej niebezpieczeństw wyprawie badawczej i przeprawie przez góry”. W odwecie za tę „nieustającą wrogość i oburzające zachowanie – pisał dalej Stockton – wojsko dostało rozkaz zajęcia Monterey

oraz San Francisco i okupacji aż do otrzymania zadośćuczynienia od rządu Meksyku”.

Stockton szybko przeorganizował wojsko Frémonta i nazwał je Morskim Batalionem Strzelców Konnych. Dalej improwizując, komodor promował Frémonta na stopień majora, a Gillespiego na kapitana. Carson został porucznikiem. Choć na początku większość uczestników wyprawy wydawała się zadowolona z wcielenia do marynarki wojennej USA, ludzie szybko zaczęli narzekać na restrykcje i zasady wprowadzone przez Stocktona. Frémont tak wspominał tę sytuację w swoich pamiętnikach: „Po wolnym życiu na nieskończonej prerii i w górach, gdzie musieli poddawać się tylko swojej woli, tym ludziom pogranicza bardzo trudno było wyrzec się swojego przyzwyczajenia do niezależności”.

W końcu lipca komodor nakazał Frémontowi przygotowanie się do pierwszej misji. Świeżo upieczony major miał popłynąć do San Diego, a stamtąd uderzyć na Los Angeles i zdobyć południową Kalifornię. Stockton uważał, że zadanie to powinno być wykonane bez zwłoki – obawiał się knowań Brytyjczyków. Dowodów na te knowania nie trzeba było daleko szukać. Tuż obok amerykańskich okrętów zakotwiczonych w Monterey stała jednostka brytyjska – Collingwood, imponujący okręt uzbrojony w osiemdziesiąt dział.

Zarówno dla Frémonta, jak i Stocktona obecność brytyjskiego statku w porcie w Monterey była wystarczającym dowodem na to, że Brytyjczycy zamierzali sięgnąć po Kalifornię i że amerykańska anglofobia miała poważne podstawy. Jak wspominał Frémont, on i jego ludzie „patrzyli na Collingwooda oczami ścigającego się zawodnika”, który przekroczył linię mety ledwie o włos przed głównym rywalem. Prawda jednak była taka, że choć Brytyjczycy byli żywo zainteresowani Kalifornią, Collingwood wpłynął do Monterey jedynie w celach wywiadowczych i po to, by zabezpieczyć brytyjskie interesy handlowe. Dowódca okrętu admirał sir George Seymour wymieniał uprzejmości z oficerami amerykańskiej floty Oceanu Spokojnego i nie okazywał żadnej wrogości.

Z kolei brytyjskich marynarzy intrygowała dowodzona przez Frémonta pstra armia ludzi gór. Brytyjczycy gapili się na traperów, jakby brali ich za

jakąś elitarną formację – podobną do francuskiej Legii Cudzoziemskiej czy japońskich samurajów. Jeden z oficerów stacjonujących na pokładzie Collingwooda uważał Carsona i jego towarzyszy za „ciekawą ekipę […], która przez lata żyła w dziczy, dając sobie radę bez pomocy z zewnątrz". Byli ubrani w „długie i luźne jelenie skóry", a wielu z nich miało twarze „ciemniejsze niż Indianie". Jak dalej opowiadał Anglik, „jeden czy dwóch z nich cieszą się na prerii wielkim szacunkiem. Kit Carson jest tam znany tak świetnie jak książę Wellington w Europie"[218].

Amerykanie i Brytyjczycy wymieniali się historyjkami i uprawiali hazard. Carson ustawiał monety w odległości stu pięćdziesięciu kroków i strzelał do nich, zakładając się z brytyjskimi marynarzami o to, czy trafi. Jak napisał Edwin Sabin, jeden z jego wczesnych biografów, Carsonowi pomagały „długa lufa pistoletu i sokoli wzrok, które powoli opróżniały kieszenie Brytyjczyków".

25 lipca batalion dowodzony przez Frémonta wmaszerował na pokład amerykańskiego slupa Cyane i popłynął do San Diego. Zabawnie musiało się patrzeć na świeżo upieczonych „marynarzy". Wielu z nich po raz pierwszy w życiu ujrzało ocean, nie mówiąc już o żeglowaniu po nim.

Sam Carson był niewątpliwie typowym szczurem lądowym. Choć oczekiwał wyprawy z niecierpliwością, to szybko zorientował się, że życie na morzu było nie dla niego. Kiedy Cyane unosił się na falach Oceanu Spokojnego, a cyple rejonu Big Sur znikały na horyzoncie, Kit zapadł na chorobę morską. Czterodniowy rejs do San Diego był dla niego prawdziwym morskim piekłem. Jak zwierzył się przyjacielowi, nigdy więcej nie zamierzał wsiąść na statek oceaniczny – no przynajmniej „tak długo, jak długo muły będą miały grzbiety".

– Wolałbym jechać na niedźwiedziu grizli niż płynąć tym statkiem – dodał[219].

Nie był zresztą jedyny. Pokłady Cyane'a zapełniły się wymiotującymi trupiobladymi traperami. Marynarz-kapelan wielebny Walter Colton uznał za zabawne, że ci „dzicy ludzie", pod których „ciężkimi krokami ziemia wydawała się drżeć", byli tak bezradni na morzu. Pisał: „Leżą na pokładzie,

zrezygnowani, zupełnie jak poddający się światu kwakrzy. Dwie albo trzy sprytne niewiasty mogłyby wyrzucić ich wszystkich do morza”.

29 lipca Frémont i jego ludzie wpłynęli do portu w San Diego, w którym nie napotkali żadnego oporu. Żołnierze piechoty morskiej zeszli na brzeg, nad miastem załopotała flaga USA. Przez następny tydzień najważniejsi mieszkańcy zabawiali Frémonta, a Carson wyruszył w teren na poszukiwanie koni, których żołnierze potrzebowali do ataku na pueblo Los Angeles. W oczekiwaniu na komodora Stocktona, który również miał przypłynąć na południe, Frémont cieszył się południowokalifornijskim latem. „Dni były jasne i gorące”, „niebo czyste i zupełnie bezchmurne, a noce chłodne i wspaniale pogodne”.

Komodor Stockton wypłynął z zatoki Monterey 1 sierpnia na pokładzie okrętu Congress (w tym samym tygodniu, w którym Armia Zachodu generała Kearny’ego docierała do fortu Bentów). Razem z nim płynęło trzystu sześćdziesięciu marynarzy. Okręt rzucił kotwicę niedaleko Santa Barbary. Marynarze „zdobyli” ją i wywiesili flagę Stanów Zjednoczonych. Kiedy Stockton dopływał w pobliże Los Angeles, generał Castro wysłał oficjalny list do gubernatora Pio Pico, w którym pisał, że jego zdaniem pueblo jest nie do obrony. „Uczyniłem wszystko co w mojej mocy, poniosłem każde możliwe wyrzeczenia, by przygotować obronę Departamentu przed inwazją sił USA z lądu i morza. Dzisiaj jednak muszę z bólem zawiadomić Jego Ekscelencję, że nie jestem w stanie zrobić ani jednego, ani drugiego”.

13 sierpnia Frémont i Stockton połączyli siły i nie napotkawszy oporu, wkroczyli do Los Angeles. „Nasze wejście – cieszył się Frémont – wyglądało bardziej jak parada miejscowej gwardii niż jak wzięcie w posiadanie wrogiej miejscowości”[220]. Amerykanie z zadowoleniem przyjęli, że Castro rozpuścił swoją armię i przez góry San Bernardino uciekł na południe do Sonory. Z kolei gubernator Pico dał nogę do Kalifornii Dolnej. Amerykanie byli trochę rozczarowani, że nie mają z kim walczyć i że wszyscy meksykańscy żołnierze, jak to określił Carson, „udali się do tej części kraju, w której mieli nadzieję nie spotkać żadnego Amerykanina”[221].

Cztery dni później Stockton zadeklarował, że Kalifornia należy do Stanów Zjednoczonych, i ogłosił siebie zarówno jej gubernatorem, jak i głównodowodzącym jej sił zbrojnych. Wydawało mu się, że podbój dobiegł końca, nie wiedział jednak, że tuż obok po cichu zaczął się organizować ruch oporu. Komodor napisał też pełen przechwałek list do prezydenta Polka, w którym opowiadał: „Pogoniłem meksykańską armię przez blisko pięćset kilometrów wybrzeża i zepchnąłem ją na blisko pięćdziesiąt kilometrów w głąb jej własnego kraju, gdzie ją rozgromiłem, zabezpieczając Terytorium dla Stanów Zjednoczonych. Skończyłem wojnę, przywróciłem pokój oraz ład i zorganizowałem cywilny rząd".

Stockton chciał jak najszybciej opuścić Kalifornię i pognać na południe, żeby zorganizować inwazję na zachodnie wybrzeże Meksyku właściwego. Wyjeżdżając, miał mianować Frémonta gubernatorem Kalifornii.

Obaj nie mogli się doczekać, aż pochwalą się sukcesem w samym Waszyngtonie, gdzie zamierzali podzielić się swoimi wersjami wydarzeń z prezydentem Polkiem. Frémont zaproponował, że wspólnie ze Stocktonem napiszą depesze, które następnie złożą w godne ręce samego Kita Carsona.

Frémont uważał, że Carson „niechybnie zadba o bezpieczeństwo i szybkie dostarczenie tych ważnych dokumentów", a to wspaniałe zadanie będzie dla niego „nagrodą za odwagę i cenną służbę". Podczas podróży miał zahaczyć o Nowy Meksyk i spotkać się z żoną Josefą. „Powierzona mu honorowa służba będzie nie tylko dowodem wielkiego zaufania do niego", pisał Frémont, ale Carson będzie też mógł „poprowadzić swoich własnych ludzi i mieć otwarte konto na potrzebne wydatki, a kiedy dojedzie na miejsce, spotkają go nowe przyjemności i honory".

Kit oczywiście podjął się zadania i zaprzysiągł, że wykona je w sześćdziesiąt dni. Jak zwykle miał podróżować na grzbiecie muła – bo to właśnie krnąbrne muły, a nie konie, „zdobywały" Dziki Zachód. Ta bezpłodna krzyżówka klaczy i osła była silniejsza, bardziej wytrzymała, pewniej stąpała w trudnym terenie i nie była tak płochliwa jak koń. Muły potrafiły też unieść większy ładunek i zjeść przy tym mniej paszy albo żywić się paszą gorszej jakości. Choć były powolniejsze od koni i wyglądały, jakby

były stworzone przez „kucharek sześć”, to w istocie lepiej znosiły upały i inne trudne warunki pogodowe.

Ludzie tacy jak Carson, którzy ciągle przebywali wśród mułów, kierowali się związanymi z nimi przesądami. Niektórzy upierali się, że zwierzęta te potrafiły wyczuć wodę z blisko dziesięciu kilometrów. Wiedziały też, kiedy nadchodziła burza gradowa. Czuły krew. Były również jasnowidzami – literatura dotycząca ludzi gór pełna jest historii o mułach, które uratowały swoich jeźdźców, przeczuwając atak Indian i dając znak o swoich obawach jakimś niespojonym tikiem. Opowieści o wielkich wyczynach Kita Carsona przedstawiają go zwykle pędzącego na szlachetnym i rączym rumaku, ale należy je potraktować z jeździeckim przymrużeniem oka. Przemierzając Amerykę, Carson siedział na grzbiecie muła.

Rankiem 5 września Stockton i Frémont wypchali sakwy Carsona pocztą. Kit, przewodnik, który nagle został kurierem, dosiadł muła i ruszył ku wschodzącemu słońcu. Razem z nim pojechało piętnastu ludzi, w tym sześciu Delawarów.

19

Oczy jak sztylety

Kiedy armię Kearny’ego dzielił od Santa Fe ledwie dzień drogi, gubernator Armijo zaczął odgrywać w Kanionie Apaczów przedstawienie. Mijała godzina za godziną, a on miotając się coraz bardziej, zachowywał się po wielkopańsku. Na stromych zboczach kanionu zgromadził członków lokalnego parlamentu i usadził ich w chłodnym cieniu jałowca. Zamiast jednak podtrzymać ich na duchu, zasypał ich pytaniami.

– Powiedzcie, co mam uczynić – poprosił niczym Piłat.

Posłowie spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Mam walczyć czy pertraktować z wrogiem? – Armijo starał się sformułować swoje pytanie w sposób możliwie delikatny.

– Pańskie pytanie jest niewłaściwe – odrzekł rozsądnie jeden z posłów. – Przybyliśmy tu jako żołnierze, a nie prawodawcy – wyjaśnił. – Chcemy spełnić swój obowiązek i wykonywać rozkazy.

Nie takiej odpowiedzi Armijo oczekiwał. Zesztywniał i zaczął gorączkowo kiwać głową, mrucząc pod nosem.

– Oczywiście, żołnierzami.

Potem odszedł.

Z tym samym pytaniem zwrócił się do oficerów dowodzących zebraną milicją. I znowu ich odpowiedź go rozczarowała.

– Jesteśmy tu po to, żeby walczyć – oznajmił jeden z nich. – I to właśnie powinniśmy zrobić. To nasze jedyne pragnienie.

Armijo skinął głową, chwaląc mężczyznę za jego patriotyczną postawę. Potem zaczął chodzić w kółko, sapać i chrząkać. Nagle obrócił się na pięcie i z teatralnie udawanym oburzeniem na twarzy spojrzał na oficerów.

– Gdybym miał regularne wojsko, to oczywiście bym walczył – zapewnił ich. – Ale mam tu tylko ochotników.

Machnął pogardliwie ręką w kierunku pracujących w kanionie chłopów i peonów, którzy ciągle mozolnie stawiali fortyfikacje. Właśnie ścinali drzewa, które miały stanowić prymitywne zasieki.

– Tylko na nich popatrzcie – krzyknął gubernator. – Sami tchórze! Nie zhańbię się, idąc w bój z ludźmi, którzy nie znają wojskowej dyscypliny!

Potem ku zdziwieniu wszystkich Armijo oficjalnie zwolnił ze służby obrońców Kanionu Apaczów. Wszystkich. Kiedy to uczynił, jego twarz wykrzywiła się w złości, tak jakby to oni jego zawiedli. Padł, jak powiadał, ofiarą sytuacji. Zrobił wszystko co w jego mocy i nic więcej uczynić już nie mógł. Pewien kapitan milicji poprzysiągł mu śmierć za dezercję i zdradę ojczyzny, ale skończyło się tylko na słowach.

Przez kilka następnych godzin wąwóz wypełnił się zgiełkiem i kurzem. Ludzie gnali we wszystkie strony. Trzy tysiące ochotników – osłupiałych, ale którym w większości kamień spadł z serca – powskakiwało na muły albo osły i pognało do domów, zająć się swoimi rodzinami.

Armijo natomiast usiadł i podyktował swój ostatni list do generała Kearny’ego. Zapomniany przez historię sekretarz gubernatora przelał na papier cały dzban emocji swojego pryncypała. „Moje serce ściska żal, bo moje ręce przekażą obcemu narodowi kraj, w którym po raz pierwszy ujrzałem słońce”, dyktował gubernator. Zasugerował też, że to jeszcze nie koniec i że on, Armijo, osobiście w odpowiednim czasie powróci, żeby zemścić się na Amerykanach za ich najazd. „Nie podaję Jego Ekscelencji na tacy prowincji Nowego Meksyku – zapewniał. – Wykonuję tylko tymczasowy odwrót w oczekiwaniu na dalsze rozkazy od mojego rządu”.

Skończywszy list, gubernator powierzył go kurierowi, postawił na nogi swoją osobistą straż złożoną z setki żołnierzy i pognał do Santa Fe. Kiedy przybył do Pałacu Gubernatorów, załadował na wozy wszystkie pieniądze i tyle złotej zastawy, ile się zmieściło, i dosiadł konia. Według jednej z relacji gubernatora próbował zatrzymać rozzłoszczony tłum. Armijo wsadził ręce do wypchanych kieszeni i cisnął w ludzi kilka garści złotych i srebrnych monet. Mieszkańcy Santa Fe rzucili się, żeby je pozbierać. Armijo zaś spiął konia i pognał w stronę Chihuahua. W Santa Fe już go więcej nie widziano.

W tym samym czasie spore siły wojskowe pod komendą pułkownika Ugarte pędziły w górę Rio Bravo, żeby przyjść z pomocą gubernatorowi Armijo.

Zaskakujące, że zastępca gubernatora Diego Archuleta nie przejął dowodzenia. James Magoffin, tajny wysłannik prezydenta Polka, spotkał się także z nim. Najwyraźniej zaproponował Archulecie jakiś układ. Na pewno powiedział mu wprost, że Kearny ma zamiar zająć tylko wschodnią część Nowego Meksyku – do brzegów Rio Grande. Szczegóły spotkania obu mężczyzn są irytujące słabo znane. Wydaje się jednak, że Magoffin obiecał Archulecie, iż jeśli ten nie zorganizuje oporu, to zdoła utrzymać cały zachodni Nowy Meksyk – wąski pas lądu, obejmujący jednakowoż dzisiejszą Arizonę i fragmenty stanów Utah, Nevada i Kolorado. Nie wiadomo, czy Archuleta przyjął ofertę. Ale podobnie jak Armijo, także i ten dumny przecież żołnierz odmówił obrony ojczyzny, co było w jego przypadku bardzo dziwne. Wyjechał na swoje ranczo, położone w dolnym biegu Rio Grande niedaleko Albuquerque, i tak uniknął starcia z Amerykanami.

Mieszkańcy Santa Fe byli w szoku, kiedy okazało się, że przywódcy ich opuścili. Niewierni Amerykanie nadchodzili i nikt nie mógł na to nic poradzić. Kobiety płakały na ulicach. Wszyscy chowali kosztowności i jeśli mogli, odsyłali z miasta dzieci. Barykadowali też domy, jakby przygotowywali się na nadejście tornada. Jeden z mieszkańców Santa Fe, upokorzony tchórzliwym zachowaniem gubernatora, zanotował z odrazą: „Pan Armijo nie zrobił absolutnie nic. Wszystko stracone, z honorem włącznie”.

*

W obozowisku nad rzeką Pecos niedaleko wspaniałych ruin indiańskiego puebla dał się nagle słyszeć tętent koni. Żołnierze Kearny’ego odskoczyli od ognisk, żeby przyjrzeć się galopującemu jeźdźcowi, który wymachiwał rękami i pędził wprost do generała. „Wielki facet dosiadający muła gnał na nas i wyciągając rękę w stronę generała, pozdrowił jego i armię”, wspominał porucznik William Emory. Jeźdźcem był *alcalde* pobliskiej latynoskiej

wioski Pecos. Przywiózł ważne wieści. „Powiedział, śmiejąc się do rozpuku: »Armijo i jego wojska poszli do diabła! Kanion jest pusty!«”.

Kearny nie do końca uwierzył w tę wiadomość. Potraktował ją jak plotkę, jakich docierało do niego wiele. Jeszcze przed świtem 18 sierpnia Armia Zachodu zerwała się do wymarszu i wyruszyła w stronę Kanionu Apaczów. Wiadomości, które przynosili zwiadowcy, były zachęcające. Najwyraźniej alkad mówił prawdę. Kearny był jednak ostrożny: uwierzy w swoje szczęście dopiero, kiedy ujrzy je na własne oczy.

Amerykańskie wojska doszły do wąwozu około południa. Żołnierze ucieszyli się, kiedy okazało się, że kanion rzeczywiście jest opuszczony. Ogniska rozpalone przez Meksykanów ciągle się tliły. Umocnienia zostały ukończone w połowie, a sposób powalenia drzew przez obrońców wskazywał na nerwy i niekompetencję. Meksykanie opuszczali kanion w takim pośpiechu, że zostawili na pastwę Amerykanów wszystkie swoje działa. Kearny nie marnował czasu na przeczesywanie imponującego wąwozu, ale było dla niego jasne, że obrońcy mogli zgotować tam jego żołnierzom piekło.

Według porucznika Emory’ego choć poczynione przez gubernatora Armijo przygotowania do obrony były „bardzo głupie”, to Kanion Apaczów był „bramą, która w rękach zdolnego sapera i stu wprawnych ludzi byłaby nie do przejścia”[222]. Gdyby Armijo „miał jakiekolwiek kwalifikacje do bycia generałem – pisał dalej Emory – mógłby na nas ściągnąć niewyobrażalne kłopoty”[223].

Podobnie uważał ochotnik George Gibson, prawnik z Missouri, który skrupulatnie prowadził dziennik wyprawy. Jego zdaniem Kanion Apaczów był miejscem, które cechowała tak „potężna naturalna siła, [że] kilku ludzi mogło zatrzymać w nim całą armię, gdyż działo ulokowane u jego wejścia mogło sprawić, że cała droga stanie w ogniu, a strome zbocza kanionu były niemożliwe do sforsowania nawet przez piechotę”.

Pewien historyk poszedł potem jeszcze dalej, sugerując – może odrobinę melodramatycznie – że gdyby Kanion Apaczów był broniony przez zdolnego generała, „stałby się drugimi Termopilami”.

Nic już nie stało na drodze Kearny’ego do Santa Fe. Generał podwoił tempo marszu, chcąc wejść do miasta jeszcze przed zmierzchem. Miejsce

porannego obozu Armii Zachodu dzieliło od stolicy Nowego Meksyku blisko pięćdziesiąt kilometrów. Żołnierze byli jednak podekscytowani myślą o rychłym ujrzeniu tego mitycznego miasta. „Pomaszerowaliśmy dziarsko naprzód – zapisał ochotnik George Gibson – wszyscy nie mogliśmy się bowiem doczekać, żeby zobaczyć miejsce, o którym tak wiele słyszeliśmy”[224].

Szlak skręcał w prawo, okrążając zielone granie i pokonując wzgórza porośnięte bylicami, cylindropuntiami i purpurowymi astrami. Trwała już pora monsunowa i nierówny szlak był świeżo zroszony letnim deszczem. Choć na drodze zostało trochę kałuż, wszyscy cieszyli się z deszczu. Powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze, ostrzejsze i mniej zapylone. Nad głowami żołnierzy ciągle przetaczały się grzmoty, a burzowe chmury roniły krople deszczu, które jednak wyparowywały, zanim dotknęły ziemi. Burza odchodziła na wschód.

Armię Zachodu otaczały góry, ogrom gór, wszystkimi odcieniami niebieskości wybijały się ponad wypaloną żółć równin. Były to szczyty o różnym wyglądzie i pochodzeniu – niektóre wulkaniczne, inne gwałtownie wypiętrzone przez uskoki tektoniczne, samotne twardzielce, a także szczyty złączone z łańcuchem Gór Skalistych. Wszystkie nosiły hiszpańskie nazwy, nadane jeszcze zanim Pielgrzymi wpłynęli do późniejszej zatoki Plymouth[35] – Sandias, Manzanos, Ortiz, Jemez, Los Cerrillos, Sangre de Cristo, San Mateos, Atalaya. Niektóre z tych szczytów zdawały się tak bliskie, że można po nie sięgnąć jak po dojrzałe owoce. Inne, oddalone o kilkaset kilometrów: przezroczyste niebieskie duchy Zachodu wypatrywały przybyszów, wychylając się z zamglonej krainy Nawahów.

Kearny chciał wkroczyć to Santa Fe „z przytupem”, dlatego musiał często przystawać i czekać, aż dogoni go jego własna artyleria. Ostatni etap marszu wykończył przemęczone zwierzęta ciągnące działa. „Konie prawie padły – zanotował William Emory – a w ciągu dnia w zaprzęgach zmieniał się muł za mułem i żadnego nie oszczędzono”[225].

Kiedy Kearny pokonywał ostatnie kilometry dzielące go od Santa Fe, popołudniowe słońce przedzierało się pod chmurami, podświetlając ich gruzłowate brzuchy oranżami i czerwieniami. Spora wysokość nad

poziomem morza czyniła powietrze dziwnie przejrzystym. Odkąd Armia Zachodu wkroczyła na prerię, żołnierze cały czas szli pod górę. Przed Santa Fe znajdowali się już na wysokości przeszło dwóch tysięcy metrów. Wielu ochotników pochodzących z równin Missouri sapało i dyszało. Niektórym puszczała się krew z nosa, bolały ich głowy albo drapało w gardle. Blisko trzydzieści kilometrów na zachód od wojsk Kearny'ego błotnistym nurtem płynęła Rio Grande. Maszerujący żołnierze czuli jej obecność, choć zasłaniały ją pagórki i grzbiety. To tej rzece kłaniała się cała okolica. Rio Grande wydawała rozkazy niesłychanej plątaninie krajobrazów.

Doszli do miejsca, gdzie bylice ustąpiły polom kukurydzy i pastwiskom dla owiec. Potem zaczęły się domy, aż w końcu amerykańskie wojska weszły do serca stolicy Nowego Meksyku – Królewskiego Miasta Świętej Wiary Świętego Franciszka z Asyżu. Choć cieszyło się sławną nazwą i bogatą historią – założono je w 1609 roku – Santa Fe nie było miastem, które mogłoby na kimkolwiek zrobić wrażenie. Liczba jego mieszkańców osiągała w porywach siedem tysięcy. „Nasze pierwsze spotkanie z tym miastem było dość zniechęcające – kurz, świnie i gołe bachory", pisał Frank Edwards[226]. George Gibson zanotował lekceważąco, że miasto było „dziadowskie" i „bez gustu". „Nijak nie mogło nam wynagrodzić długiej podróży"[227]. Na w większości wyludnionych ulicach walały się sterty śmieci, w których grzebały kozy. Niskie gliniane budynki, pokryte płaskimi dachami i porozrzucane bez ładu i składu, nadawały Santa Fe wygląd „dużej cegielni", jak zauważył jeden z żołnierzy[228].

Podwładni Kearny'ego powyciągali chorągwie oraz sztandary i rozwinęli je na drzewcach. Maszerowali z nimi przez wąskie błotniste ulice witani przez ujadające psy. Przekroczyli rzekę Santa Fe, płytką, ale buro wzburzoną po ostatnich deszczach. Żołnierze nie byli pewni, czy nie napotkają oporu. Przyjmowali więc wojownicze pozy i robili zacięte miny. Obnażyli też „szable, a ich oczy były jak sztylety"[229], pisał pewien porucznik. Za bramami i okienkami, w których funkcję szyb pełniła naciągnięta i natłuszczona skóra, mieszkańcy Santa Fe oddawali się żałobie. Kilku zuchwałych młodych mężczyzn opierało się o ściany, ćmiąc papierosy skręcone z kukurydzianych łupin. Po niebie przetaczały się grzmoty.

Po sześćdziesięciu dniach marszu dowodzona przez generała Kearny'ego Armia Zachodu zbliżyła się do kresu swej wędrówki. Santa Fe od zawsze było dla Amerykanów geograficzną i kulturową „ostatnią stacją". Tu był koniec Szlaku Santa Fe, kres Camino Real, północny kraniec pustyni, zachodnia granica prerii i południowa granica Gór Skalistych. To tu kończyła się hiszpańska korona, a zaczynały dzikie pola. Ubodzy mieszkańcy tego odległego zakątka, których rodziny mieszkały tam dłużej niż jakikolwiek bostończyk czy obywatel Wirginii był związany z Ameryką, nie mogli uwierzyć w to, co spotkało ich prastare miasto. Porucznik Elliott, ochotnik z Missouri, ciągle napotykał „nieuprzejme spojrzenia i przybite twarze wyrażające ostrożność, a może nawet przerażenie". Elliott bardziej niż inni żołnierze-kronikarze współczuł mieszkańcom Santa Fe i rozumiał ich położenie. „Dziwne uczucia musiały nimi targać – napisał – kiedy armia najeźdźców wdzierała się im do domu. Przyszłość stała się mglista i niepewna. Nowi włodarze byli im zupełnie obcy – inaczej się zachowywali, mieli inne zwyczaje, mówili innym językiem – byli też, wedle przekonań lokalnych, wrogami jedynej prawdziwej wiary".

Około piątej po południu generał Kearny wprowadził swoje wojska na plazę. Zaraz za nim jechali jego dragoni, elegancko umundurowani i bezceremonialnie aroganccy. Każdy z trzech konnych oddziałów dosiadał wierzchowców innej maści. Pierwszy jechał na koniach karych, drugi na siwych, a trzeci na gniadych (taki „kolorowy" podział dragonów był oczywiście kompletnie niepotrzebny, ale cieszył pedantyczne serce Kearny'ego). Potem na plac wkroczyła piechota, czy raczej ta jej część, która już dotarła do Santa Fe – setki żołnierzy ciągle maszerowały przez przedmieścia. Kearny zrobił jedno okrążenie wokół plazy i zatrzymał się przed Pałacem Gubernatorów, starym budynkiem zbudowanym z suszonej cegły, którego front zdobiła długa, zapadająca się weranda. Tymczasowy gubernator, skruszony i ugodowo nastawiony Juan Bautista y Vigil Alarid, wyszedł w towarzystwie innych dygnitarzy. Nad wejściem do pałacu widniała inskrypcja, która mogła być osobistym mottem Manuela Armijo: *VITA FUGIT SICUT UMBRA*[230]. Życie przemija niczym cień.

Amerykański generał zsiadł z konia i uniósł dłoń, wzywając do zachowania ciszy.

– Ja, Stephen W. Kearny, generał sił lądowych Stanów Zjednoczonych, wziąłem w posiadanie prowincję Nowego Meksyku – ogłosił. – W imieniu rządu Stanów Zjednoczonych niniejszym nakazuję mieszkańcom zdanie broni i kapitulację. Armijo was opuścił. Teraz ja jestem waszym gubernatorem i do mnie należy zapewnienie wam bezpieczeństwa[231].

Juan Bautista Vigil y Alarid odpowiedział na to bez słowa protestu.

– Przysięgam posłuszeństwo Północnej Republice i należny szacunek jej prawom oraz władzom – zadeklarował[232]. – Nikt na tym świecie nie może powstrzymać potęgi tego, który jest mocniejszy. Potęga Republiki Meksyku legła w gruzach.

Potem jednak dodał.

– A jednak republika była naszą matką. Jakie dziecko nie zapłacze na mogile swych rodziców?

Z tłumu wyszedł starszy mężczyzna. Miał białe włosy i wodniste oczy – prawdopodobnie zamglone zaćmą. Staruszek objął generała Kearny'ego i długo trząsł się ze wzruszenia. Ustępujący gubernator chciał go przegonić.

– Nie, niech zostanie – zareagował Kearny. – Bóg wie, jakie trudy ten człowiek musiał znieść[233].

Juan Bautista Vigil y Alarid podał kieliszki z brandy generałowi Kearny'emu i jego oficerom. Wszyscy sztywno wznieśli toast za bezkrwawy podbój. Brandy pochodziło z El Paso. Było odrobinę za ostre i żywiczne, ale gładko spływało w przełykach. „Byliśmy zbyt spragnieni, żeby docenić jego aromat – wspominał porucznik Emory. – Przełknęlibyśmy cokolwiek płynnego i chłodnego"[234].

Trębacze zagrali tryumfalnie, kiedy flaga USA sunęła w górę masztu ustawionego na dachu pałacu. Z odległego wzgórza artylerzyści oddali salwę honorową z trzynastu dział. Młodzi mężczyźni z Armii Zachodu – jak echo – wydali z siebie zwycięski okrzyk bojowy. Po raz pierwszy w historii wojska Stanów Zjednoczonych zajęły stolicę obcego kraju.

W ciszy, która zapadła po dudniących wystrzałach armatnich, mieszkanki Santa Fe odpowiedziały płaczem i zawodzeniem na tryumfalny krzyk

amerykańskich żołnierzy. Ich zachowanie zaskoczyło i przeraziło ochotników z Missouri. „Ich długo powstrzymywane emocje wybuchły z całą siłą – wspominał porucznik Elliott – i żałosne zawodzenie popłynęło w świat z głębi ponurych budynków”[235].

20

Ludzie o uszach do kostek

Narbona martwił się nadejściem Amerykanów. Przez całe późne lato i wczesną jesień 1846 roku przywódca Nawahów słuchał opowieści o tych nowych konkwistadorach. Niepokojące informacje przynosili posłańcy z innych plemion. Wynikało z nich, że Amerykanie dysponują miotaczami pocisków, a także mają magiczne pudełeczka, które łapią światło i pozwalają patrzyć na duże odległości. Pokonali Meksykanów bez walki, a teraz budują nową potężną fortecę na wzgórzu nad Santa Fe. Leki tych ludzi musiały być mocne. Narbona nie rozumiał jednak, czego szukają w tych stronach, po co zapuścili się tak strasznie daleko od domu – który został gdzieś na wschodzie, za równinami, gdzie pasły się bizony. Czemu muszą zostawić swój ślad na ziemiach tak obcych ich przodkom?

Dla Narbony Stany Zjednoczone Ameryki były czymś bardziej abstrakcyjnym od największej abstrakcji. Nie miał pojęcia o istnieniu Waszyngtonu, o Jamesie K. Polku czy o Boskim Przeznaczeniu. Ledwie uświadamiał sobie istnienie bladych twarzy. Nie potrafił sobie w ogóle wyobrazić, że gdzieś na świecie żyje lud, który wygląda i zachowuje się tak bardzo inaczej, który mówi tak dziwacznie i w tak inny sposób oddaje cześć swoim bogom oraz organizuje swoje społeczeństwo. Że istnieje lud inny od Hiszpanów, a nawet od Meksykanów, właściwie niepodobny do wszystkich ludów, z którymi Narbona kiedykolwiek się zetknął. Nawahowie nazwali Amerykanów *bilagaana*, które to słowo wzięło się zapewne z niepoprawnie wypowiadanego meksykańskiego *Americano*.

Niedaleko strumieni i rzek wojownicy napotykali już dziwnych ludzi o białej skórze i zarośniętych twarzach – traperów, zwykle Francuzów, którzy zapędzali się na pogranicze krainy Nawahów. Plemiona żyjące na Południowym Zachodzie od dawna przekazywały sobie legendy i proroctwa o zdobywcach, którzy nadejdą ze wschodu. Kilka spotkań z bladymi

twarzami zaowocowało niesamowitymi historiami, które zaczęły krążyć wśród Nawahów. Jedna z nich opowiadała o olbrzymach, którzy mieli długaśne uszy sięgające aż do kostek.

„Nadejdzie pewien lud – głosiła znana opowieść (udokumentowana później w klasycznej pozycji antropologicznej zatytułowanej *Navajo Texts*)[236]. – Przyjdą stamtąd, gdzie wschodzi słońce. Ich uszy są tak długie, że opadają im aż do kostek. Wieczorem ci ludzie rozniecają ogniska na własnych kolanach, przykrywają się swoimi uszami i kładą się do snu".

Pojawiały się też szalone wariacje innych historii. Niektórzy Nawahowie uważali, że biali ludzie nie mają odbytów, przez co nie mogą normalnie jeść – i muszą wdychać parę unoszącą się znad gotującej się strawy. Inni wierzyli, że biali mają dziwną narośl na czołach, coś prawie jak róg, oraz że potrafią rozniecić ogień, pocierając tyłek cienkim patykiem[237]. „Nasz kraj – żalił się ktoś w *Navajo Texts* – zostanie nam odebrany przez takich właśnie ludzi"[238].

Choć Narbona był prawdopodobnie najbardziej poważaną osobistością wśród Nawahów, nie był de facto wodzem wszystkich Diné. Nawahowie nie mieli zresztą żadnych oficjalnie uznawanych przywódców. Ich pojęcie porządku społecznego było zbyt płynne i chaotyczne, a także zbyt uparcie demokratyczne, by pozwolili jednemu człowiekowi dojść do tak wielkiej władzy. Każdy problem rozważali niezwykle długo. Rzadko tak naprawdę zresztą stawiali czoła problemom bezpośrednio. Najczęściej obchodzili je dookoła, tocząc dyskusje, jakby wirowali w tańcu, aż gdy w końcu docierali do meritum sprawy, udawało im się osiągnąć coś w rodzaju konsensusu.

Wypowiedzieć się miał prawo każdy. Kobiety Nawahów cieszyły się władzą zupełnie nieznaną w innych plemionach. Najważniejsze bóstwa w panteonie Nawahów były żeńskie – w tym życzliwa matriarchini zwana Zmienną Kobietą, a także stara pustelniczka Kobieta Pająk, która między innymi nauczyła ludzi tkactwa. Nawahowie byli ludem zarówno matrylinearnym, jak i matrylokalnym – pochodzenie śledziło się u nich po kądzieli, a kiedy dziewczyna wychodziła za mąż, to młody małżonek przenosił się do jej rodziny. Kobiety miały prawo własności i zwykle to one rządziły w zaciszu domowym. Dzieci również mogły mieć rzeczy na

własność (nawet swoje zwierzęta), często też konsultowano z nimi decyzje dotyczące różnych codziennych drobiazgów. Nawet niewolnicy – kobiety i dzieci porwane podczas najazdów – mogły zyskać obywatelstwo i pełne prawa rodzonych Nawahów.

W społeczności, która pozostawała tak uparcie egalitarna, niemożnością był wybór jednej osoby na wodza – nawet pojedynczego klanu, a tym bardziej całego plemienia liczącego sobie dwanaście tysięcy ludzi, którzy w rozproszonych grupach zamieszkiwali terytorium o powierzchni dziesiątek tysięcy kilometrów kwadratowych. Jeśli jednak któryś z Nawahów zasłużył na status tego jednego Wodza, to był nim niewątpliwie Narbona. Ten wysoki i smukły mężczyzna o ostro rzeźbionej twarzy i z grzywą długich siwych włosów zawsze robił wrażenie na swoich współplemieńcach. Ubierał się w skóry ozdobione koralikami, a także srebrem i turkusami. Narbona był uważany za wielkiego wojownika. Był też głową świetnie znanej i doskonale prosperującej rodziny, której członkowie żyli razem, mieszkając w chatach oddalonych od siebie o jedno krzyknięcie[239]. Takie wielopokoleniowe rodziny były u Nawahów podstawową komórką społeczną. Narbona i jego grupa zajmowali szerokie terytorium rozciągające się na wschodnich stokach gór Tunicha.

Diné byli plemieniem słynącym z szacunku do osób starszych. Prawdopodobnie więc czcili Narbonę choćby przez wzgląd na jego długowieczność. Narbona przeżył wiele księżyców, przetrwał wiele wojen i głodów, a także czasy wielkiego dostatku. Na własne oczy oglądał Hiszpanów, a potem Meksykanów. Teraz przyszło mu się zmagać z Amerykanami.

Narbona był też jednym z najbogatszych ludzi w krainie Nawahów, a prawdopodobnie był tam człowiekiem najzamożniejszym. Jak mówiono, samych owiec miał tysiące. Miał też dziesiątki koni i stada bydła. A także trzy żony i wielu niewolników. Bogowie pobłogosławili go wnukami, prawnukami, a także zięciami oraz synowymi tak licznymi, że trudnymi do zliczenia. Jego pola leżące w dolinie Chuska pyszniły się kukurydzą i dyniami, a także ociekającymi słodyczą melonami. Kamienie wyjmowane z wilgotnego gorąca nawahijskiej łaźni parowej ceremonialnie układano

pomiędzy roślinami, dzięki czemu niegroźne były im przymrozki. Narbona, jak mówiono, był człowiekiem wielu pieśni, oddawał się wszystkim obrzędom i rytuałom, okazując szacunek *jhozho* – świętej równowadze życia. Dlatego właśnie był tak bogaty.

Narbona był też hojny. Wiedziano, że brał na wychowanie cudze dzieci osierocone podczas długich wojen z Jutami i Meksykanami.

Jego wioska była miejscem głośnym i pełnym życia. Jej mieszkańcy modlili się, śpiewali i urządzali wyścigi konne. Ich luźno porozstawiane hogany zapełniały trawiaste górskie zbocza, a z otworów dachowych chat wesoło unosił się dym. Otwory drzwiowe wyglądały na wschód, witając każdy dzień. Zasłaniały je maty utkane z powiewających na wietrze jutowych włókien. Cienkie paski baraniny i dziczyzny suszyły się porozwieszane na okolicznych krzakach i drzewach. Kobiety pracowały przy krosnach, tkając jaskrawe koce, które rosły z każdą nitką zgręplowanej kolorowej wełny i z każdym klekocącym przesunięciem czółenka tkackiego. Krewni Narbony świetnie dawali sobie radę w życiu, wykorzystując właściwie wszystkie zasoby, jakie znajdowały się pod ręką. Z włókien agawy produkowali nici. Z własnych włosów tkali sidła, w które łapali ptactwo. Z łodygi i korzenia juki wyrabiali mydło. Z wierzbowych albo sumakowych witek, mięty i bylicy zbieranych u podnóża gór szamani przygotowywali akcesoria potrzebne do ceremonii uzdrawiających.

Nastoletni chłopcy przepędzali przez górskie przełęcze stada beczących owiec churro i kóz angorskich (których łby zdobiły wielkie zakręcone rogi) i gromadzili je w zadaszonych gałęziami zagrodach. Właściciele rozpoznawali swoje zwierzęta dzięki skomplikowanym wzorom wyciętym w płatkach owczych i kozich uszu. W tym samym czasie starsi mężczyźni wyprawiali się po sól albo polowali na mulaki czarnoogonowe i wapiti, które pasły się pod rzucającymi cień sosnami.

Narbona cieszył się długim i bujnym życiem, ale teraz bał się, że los jego rodziny zawisł na włosku. Generał Kearny słał ku niemu kurierów i groził otwartą wojną, jeśli Nawahowie nie zgodzą się na traktat pokojowy. Zaproponował nawet wysłanie swojego przedstawiciela, który na miejscu

wynegocjowałby warunki i zaoszczędził tym samym trudów podróży sędziwemu Narbonie. Bo choć nie mógł on wypowiadać się w imieniu całego plemienia, to prawdopodobnie cieszył się siłą perswazji, której nie miał żaden inny Nawaho.

Nadchodziła zima, podczas której Diné tradycyjnie spotykali się na przeróżnych uroczystościach, opowiadali sobie różne historie i radzili, rozwiązując problemy. Zima była czasem rozmów – okresem pomiędzy pierwszymi przymrozkami a pierwszymi burzami, kiedy kukurydzę już zebrano i zmagazynowano w spichlerzach, kiedy węże zapadły już w letarg, a *yeis*, bogowie, zaczynali nasłuchiwać[240]. Był to czas rysunków na piasku, nocnych śpiewów i ceremonii z udziałem „trzęsących ręką". Nawahowie zgromadzeni wokół ognisk, w hoganach i w łaźniach parowych na pewno będą rozmawiać o Amerykanach i pytać Narbonę o zdanie. Jak powinni odpowiedzieć na poważne żądania tych nowych najeźdźców?

Narbona nie miał pojęcia, ale wiedział jedno – chciał na własne oczy zobaczyć długouchych ludzi. Dlatego pewnego jesiennego dnia, prawdopodobnie pod koniec września, razem z kilkoma zaufanymi towarzyszami wybrał się w podróż na wschód. Przez lata wielokrotnie odwiedzał Santa Fe, gdzie na plazie spotykał się z hiszpańskimi oraz meksykańskimi władzami i toczył rozmowy o pokoju. Świetnie znał wiele dróg prowadzących do miasta. Tym razem wyruszył jednak okrężną trasą wiodącą ukrytymi myśliwskimi ścieżkami, przeprawił się przez Rio Grande i dotarł do gór Sangre de Cristo, które piętrzyły się na północ od Santa Fe.

Stamtąd jego „wycieczka" zeszła w pobliże miasta. Nawahowie zachowywali się bardzo ostrożnie, konie spętali i zostawili w bezpiecznym miejscu. Wiedzieli, że jeśli zostaną schwytani, to prawdopodobnie zginą. Ukryli się pomiędzy sosnami i zaczęli przypatrywać się złowróżbnemu fortowi, którego budowę nakazał generał Kearny.

21

Kompletna ruina

Wieczorem 24 września 1846 roku w mieście zabiły dzwony. Rozbrzmiewały szaleńczo, jak zawsze, kiedy działo się coś ważnego. Biły we wszystkich sześciu kościołach, napełniając ulice doprowadzającym do szału metalicznym łomotem. Mieszkańcy Santa Fe kochali swoje dzwony i wykorzystywali je do ogłaszania różnych nowin – ślubów, wezwań na msze, a nawet rozpoczęcia wyścigów i *fandangos*[241]. Ich dźwięk nie był jednak zbyt miły dla ucha, bo większość dzwonów była stara i popękana – niektóre z nich odlano wieki wcześniej w Kastylii, a potem galeonami przewieziono przez ocean i wozami przeciągnięto na północ tysiącami kilometrów wertepów, drogą Camino Real, która zaczynała się jeszcze w Meksyku i długo była jedynym połączeniem pomiędzy Santa Fe a resztą cywilizowanego świata. Podczas trudnej podróży dzwony, obryzgane słoną wodą, wpadały do błotnistych strumyków i były dziobane przez kule. Oglądały wszystkie rewolty i rzezie, które przytrafiały się mieszkańcom tych ziem. Przez stulecia pilnowały wiary, pełniąc służbę w ekstremalnym pustynnym klimacie. Choć były już zmatowiałe i gdzieniegdzie pokryły się patyną, mieszkańcy Santa Fe jednak byli z nich dumni. Przypominały im bowiem o czasach, w których Królestwo Hiszpanii było największym mocarstwem świata.

Powietrze zrobiło się chłodne i ostre. Niedawna nawałnica przykurzyła wyższe partie gór pierwszym śniegiem. Wieczór był rześki, więc dzwony biły wyjątkowo głośno. Po jednej stronie miasta odbywał się wielki pogrzeb – zmarł starszy człowiek, który najwyraźniej był spokrewniony z połową mieszkańców Santa Fe. Z kolei po drugiej stronie, w Pałacu Gubernatorów stojącym przy plazie, oficjalny bal wydawali amerykańscy kupcy. Miał on być pożegnalną imprezą na cześć generała Kearny’ego i jego

dragonów. Rano wyruszali oni do Kalifornii, gdzie mieli kontynuować podbój Meksyku.

Feta, którą wydano Kearny'emu, była największym wydarzeniem roku. Długą i wąską salę balową wypełniło przeszło pięćset osób – Meksykanie i Amerykanie – którzy włożyli na siebie swoje najlepsze stroje. Wszyscy pili aguardiente oraz brandy z El Paso i przy akompaniamencie skrzypka oraz gitarzysty wygrywających słodko-gorzkie melodie tańczyli dawne lokalne tańce. Sala balowa Pałacu Gubernatorów była miejscem, w którym celebrowano różne uroczystości, ale była też dość skromna – jej sufit przeciekał, a otynkowane ściany pokrywały liszaje. Za podłogę służyło zwykłe klepisko. Drzwi wykonano z wyprawionej skóry bizona, którą pomalowano w sęki i słoje, żeby przypominała drewno. Na jednej ze ścian widniał mural wykonany niedługo wcześniej przez lokalnego artystę – przedstawiał generała Kearny'ego rozwijającego konstytucję przed wdzięcznym meksykańskim chłopem. *Libertad*[36] – krzyczał konstytucyjny zwój. Tuż obok widniały krzyż i pług, a także działo przystrojone amerykańskimi flagami. W całej sali porozwieszano amerykańskie sztandary wojskowe, które wiele miesięcy wcześniej uszyły kobiety z Missouri.

Śmietanka miejscowej socjety przyszła pożegnać zdobywcę. Byli urzędnicy rządowi, przedstawiciele najważniejszych rodzin, księża, amerykańscy kupcy, oficerowie. Na balu była też Susan Magoffin. W swoim pamiętniku opisała go, nie oszczędzając nam żadnego zabawnego szczegółu. Tego wieczoru miała na sobie chiński szal z czerwonej krepy i tańczyła z kilkoma amerykańskimi oficerami. Jak zanotowała, „panie przywdziały jedwabie, satyny i bawełny, a do tego pokaźną biżuterię – duże naszyjniki, pierścienie. Ich bufiaste suknie miały wielkie mankiety i wysokie talie. Wszystkie tańczyły i kopciły cygarety"[242]. Susan była lekko zdumiona widokiem „czarnookiej señory" z zamożnej hiszpańskiej rodziny, która przyprowadziła na bal „człowieka podnóżek" – indiańskiego niewolnika, który klęczał przed swoją panią, by ta mogła pomiędzy tańcami wykorzystać go „w charakterze mebla"[243].

Magoffin była też zszokowana zuchwałością miejscowych dam, manifestującą się między innymi ich głębokimi dekoltami. „Pokazują się

publicznie z gołymi ramionami i szyjami, eksponując biust", narzekała i żałowała, że nie przykryła „twarzy welonem, który zakryłby rumieniec". Większość kobiet miała na policzkach jaskrawy róż makijażu, który „świecił jak tłuszcz". Z kolei inne były „wypacykowane upiorną pastą z mąki – co miało je uczynić niewinnymi i pięknymi"[244]. Z kolei meksykańscy mężczyźni „stali ze skrzyżowanymi ramionami i popatrywali z takim zdumieniem, jakby sami nie byli ludźmi"[245].

Magoffin zwróciła uwagę na pewną rudowłosą piękność, która dużo tańczyła i swobodnie się zachowywała. Nazywała się Gertrudes Barcelo, ale wszyscy mówili na nią Madame La Tules. Pochodziła z Taos i od dawna prowadziła w Santa Fe popularną tawernę. Mieszczące się w niej kasyno i burdel cieszyły się sporym zainteresowaniem odwiedzających miasto mieszkańców Missouri. Krążyły plotki, że jednym z wielu kochanków Barcelo był niegdyś sam gubernator Armijo. Madame La Tules była wspaniałą gospodynią i sprytną kobietą interesu. Główną rozrywką w jej tawernie była gra w pięć kart – której sekretów, jak mówiono, można było się nauczyć wyłącznie poprzez przegraną. Przez stoły do gry należące do Barcelo przechodziły ogromne ilości gotówki. Madame udzielała więc czasem żołnierzom pożyczek na zwariowany procent. Magoffin przypatrywała się, jak Barcelo porusza się po sali balowej. Oceniła ją jako „stateczną" kobietę posiadającą „szósty zmysł i fascynujące maniery, dzięki którym potrafiła oczarować chwiejnych i niedoświadczonych młodzieńców, doprowadzając ich do kompletnej ruiny"[246].

Także amerykańscy żołnierze byli pod wrażeniem kobiet tańczących na balu. Opisywali je jednak zupełnie inaczej niż Susan Magoffin. Ich pamiętniki są pełne lubieżnych komplementów. Hughes zwrócił uwagę na „lśniące, błyszczące oczy, które przyciągają uwagę, wyglądając zza fałdów *rebozos*"[247]. Kapitan Philip St. George Cooke uznał, że panie z Santa Fe mają „niezwykle drobne dłonie i stopy"[248]. Jak zauważył, „nigdzie indziej niewinność nie znaczy tak mało". Z kolei szeregowiec Edwards zanotował: „Te kobiety chodzą w najbardziej zuchwały sposób, jaki widziałem. Każdym krokiem pokazują, że są swobodne i pełne gracji, a ich ciała suną zgrabnie niczym wahadło. Wydają się nie wiedzieć, na czym polega skromność,

i bardzo je raduje uwaga, jaką obdarzają je obcy”[249]. George Gibson: „Ogólnie można powiedzieć, że mają o wiele lepsze figury niż kobiety w Stanach”[250].

Wino lalo się szerokim strumieniem, a bal przeciągnął się do późna w nocy. Maleńka sala była rozgrzana do czerwoności, a goście musieli przedzierać się przez chmury dymu tytoniowego. Meksykanie i Amerykanie tańczyli, zatopieni w „wirujących halkach”[251]. Susan Magoffin taksowała ich spojrzeniem, wyobrażając sobie przyszłych sędziów, bankierów, inżynierów, biznesmenów i nadchodzącą amerykanizację tych pradawnych ziem. W rogu sali stał świeżo mianowany gubernator Nowego Meksyku tęgi i solidny Charles Bent, stary znajomy Kita Carsona. Bent był Missourczykiem o potężnym karku, miał ciemne włosy i grubo zarysowane brwi. Był „twardy jak dębowy sęk”, uważał jego biograf David Lavender, był też „człowiekiem niespożytej energii”[252]. To Charles Bent jako pierwszy wypróbował na Szlaku Santa Fe zaprzęgi złożone z wołów. Wcześniej wozy były ciągnięte przez konie albo muły. Woły były co prawda powolniejsze, ale za to silniejsze. Dzięki temu, jak pisał Lavender, „Dziki Zachód zaczęły przemierzać potężne karawany towarowe”[253].

Generał Kearny długo i starannie rozważał kandydaturę Benta. Mimo to jego decyzja wzbudzała kontrowersje. Bent miał trudny charakter, nie dawał się lubić, a wielu Latynosów wręcz go nie znosiło, wytykając mu – czasem słusznie, a czasem nie – arogancję. Nowy gubernator był po prostu twardym biznesmenem, a jego zmysł do interesów często brano za zwykłą chciwość. Bent robił zaś interesy od St. Louis po Taos i posiadał licznych niewolników – zarówno indiańskich, jak i afrykańskich. Był też jednak spostrzegawczy i praktyczny. Poza tym kochał Nowy Meksyk i rozumiał jego specyficzne problemy. Dawno już wyrobił sobie mocną pozycję na Południowym Zachodzie.

Susan Magoffin świetnie go znała i niewątpliwie rozmawiała z nim na balu. Jego zbudowany z błota fort na brzegu rzeki Arkansas, w którym Magoffin poroniła i pochowała swoje dziecko, już mocno wpłynął na styl życia mieszkańców Nowego Meksyku. Handlarze tacy jak Bent należeli do

pierwszej fali amerykańskiej inwazji. Dlatego objęcie przez niego tak ważnego stanowiska politycznego było czymś zupełnie naturalnym. Bent był, jak napisał pewien historyk, „potężnym człowiekiem, którego wola stanowiła prawo na prerii, który rozumiał Indian i Meksykanów jak mało kto, którego wpływy rozciągały się na setki kilometrów […] i który trzymał w garści wiele plemion”[254].

W tłumie gości balowych krążył również pułkownik Alexander Doniphan, prawnik samouk, który po wymarszu Kearny’ego następnego ranka miał go zastąpić na stanowisku dowódcy amerykańskich wojsk w Nowym Meksyku. Magoffin lubiła Doniphana i przyjęła jego zaproszenie do tańca. Pułkownik miał czterdzieści lat, grube kości i ze swoimi stu osiemdziesięcioma ośmioma centymetrami wzrostu mocno górował nad Susan. Był przystojny, miał jasnoorzechowe oczy i grzywę ciemnych włosów. Nie zdobył żadnego wojskowego wykształcenia. W Missouri cieszył się jednak reputacją niepokonanego adwokata – takiego, którego prosiło się o pomoc, jeśli znalazło się w prawdziwych opałach. Bronił kiedyś mormońskiego proroka Josepha Smitha. Na polecenie Kearny’ego Doniphan całkiem sprawnie napisał dość postępową konstytucję nowego amerykańskiego terytorium. Miał słabość do cytowania klasyków, ale był przy tym bezpretensjonalny i łatwy w obejściu. Ochotnicy z Missouri go uwielbiali i wybrali na swojego dowódcę. Doniphan potrafił być też szorstki, co czasem się przydawało. Jak napisał jeden z jego podwładnych, „pułkownik ma zwyczaj przetykania swoich wypowiedzi mocnymi sformułowaniami, które wiele osób pochodzących ze Wschodu mogłoby uznać za przekleństwa”[255].

Doniphan wirował z Magoffin po zatłoczonej sali. Tańczyli *cuna*, czyli „kołyskę” – coś w rodzaju walca pogranicza. Oboje mocno obejmowali się nawzajem w talii i odchylali się „dobrze do tyłu”, jak ujęła to Magoffin, naśladując chybotanie się kołyski. Dla niektórych Amerykanów obecnych na balu kołyszące ruchy obejmujących się tancerzy były mocno seksualne. „Taka familiarność – uznał jeden z nich – naruszałaby zasady dobrego wychowania obowiązujące w naszym kraju. Ale mieszkańcy Nowego Meksyku niczego nie cenią bardziej od umiejętności zgrabnego przejścia wszystkich zakrętów tego walca”[256].

Magoffin zwróciła również uwagę na kapitana Henry'ego Turnera, który w Armii Zachodu pełnił funkcję adiutanta (i prowadził jeden z lepszych dzienników podróży). Następnego dnia Turner miał wyjechać do Kalifornii razem z generałem Kearnym jako jego zastępca. Był miłym, bystrym i pobożnym człowiekiem, bardzo oddanym swojej żonie Julii, którą zostawił w St. Louis. Ukończył West Point, a taktyki walk kawaleryjskich uczył się w słynnej akademii wojskowej w Saumur we Francji. Choć był kuzynem Roberta E. Lee[37], a podczas wojny secesyjnej sympatyzował z konfederatami, był też bliskim przyjacielem generała Unii Williama Tecumseha Shermana. Magoffin uważała Turnera za „dobrze poinformowanego dżentelmena i bardzo grzecznego człowieka"[257]. Do tego Turner świetnie opowiadał historie i „robił, co mógł, żeby wczuć się w swoje ciekawe narracje".

Największą uwagę Magoffin zwracała jednak na głównego gościa balu – generała Stephena Wattsa Kearny'ego, który był wtedy jeszcze zarówno gubernatorem, jak i głównodowodzącym wojsk w Nowym Meksyku. Generał cieszył się z ostatniej nocy spędzonej w mieście. Włożył najlepszy błękitny mundur z epoletami, na nogach miał wypolerowane buty, a przy pasie błyszczącą szablę. Siwe włosy zaczesał do tyłu, a czoło błyszczało mu od wilgoci wypełniającej salę balową. Przez ostatnie pięć tygodni Kearny stał się dla Susan kimś w rodzaju ojca. I to jej pamiętnikowi zawdzięczamy najlepsze opowieści o zwycięskim generale. Kearny zabierał ją na konne wycieczki po mieście, towarzyszył jej podczas mszy i łagodnie wypominał jej grzeszki, które popełniała. Pół żartem, pół serio proponował jej, żeby pojechała z nim do Kalifornii. Magoffin wyjątkowo polubiła pięćdziesięciodwuletniego generała. Uważała go za „szczerego i prostodusznego, grzecznego podczas rozmowy. Porusza się ze swobodą i oddaje do mojej dyspozycji, kiedy tylko sobie tego zażyczę. Najważniejszy generał Stanów Zjednoczonych na moich usługach! Traktuje mnie po ojcowsku, jak nikt inny"[258].

Prawdę powiedziawszy, nie tylko generał Kearny i pułkownik Doniphan nadskakiwali Magoffin. Robili to niemal wszyscy oficerowie Armii Zachodu. Susan była jedyną Amerykanką w podbitym mieście i prawdopodobnie

pierwszą, która przebyła cały Szlak Santa Fe. Nic więc dziwnego, że był na nią popyt – reprezentowała w końcu Amerykanki w obcym mieście pełnym młodych, nabuzowanych mężczyzn. Magoffin miała piękne długie i szatynowe włosy, ciemne, błyszczące oczy i była delikatnej budowy. Była inteligentna i świetnie wychowana, dobra i wiecznie pogodna. Jeden z historyków uznał ją za „piękniejsze oblicze okupacji”[259]. Dom, który razem z mężem Samuelem urządzili niedaleko plazy, szybko stał się miejscem, w którym się bywało. Choć była szczęśliwą mężatką, oddaną niedawno poślubionemu Samuelowi Magoffinowi, wieczorami do ich domu bezustannie pukali goście – w gorącej wodzie kąpani młodzi mężczyźni, którzy chcieli pobyć w jej towarzystwie i przypomnieć sobie głos, zachowanie i zapach amerykańskiej kobiety. Niektórzy odwiedzali ją podekscytowani i pijani, inni szukali u niej chrześcijańskich cnót, a jeszcze inni przychodzili z rozpalonymi sercami i głowami. Jeden z Missourczyków łomotał do jej drzwi, sądząc, że stoi przed burdelem Madame La Tules. Kiedy jednak okazało się, że to dom cnotliwej młodej kobiety z Kentucky, odszedł jak niepyszny.

Susan była zaskoczona nieokrzesaniem mężczyzn Zachodu. „Cóż za nieustający zgiełk powodują ci żołnierze. Od świtu do późnej nocy dmą w trąbki, pokrzykują jak Indianie albo po prostu wydają dzikie dźwięki, które drażnią moje delikatne nerwy”[260]. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, jakie wrażenie wywiera na wszystkich w Santa Fe. Uwielbiała zresztą to miasto, w którym była jedyną Amerykanką wśród tysiąca sześciuset Amerykanów. Miała ledwie osiemnaście lat i w swoim pamiętniku spisywała zakręty historii. „Jestem pierwszą amerykańską damą, która podróżuje pod flagą USA – napisała. – Przyjechałam do tego miasta w roku, który moi rodacy zapamiętają na zawsze”.

Podczas pożegnalnego balu generał Kearny miał bodaj pierwszą okazję, odkąd wmaszerował do Santa Fe pięć tygodni wcześniej, żeby publicznie okazać radość. Od pierwszego popołudnia w stolicy Nowego Meksyku był – podobnie jak jego ludzie – nieustannie zajęty. Był zresztą skrupulatnym człowiekiem o bezkompromisowej etyce pracy, której się trzymał, działając

z cichą furią. Nie pozwalał sobie na żadne odstępstwa od zaplanowanych spotkań, oficjalnych bankietów, traktatów, ceremonii, umówionych gości i wizyt na budowach. Był doskonałym zdobywcą – stanowczym, ale wspaniałomyślnym – i miejscowi chyba go polubili. Świetnie rozumiał, że każdy podbój potrzebuje dobrego PR-u, i starał się na wszelkie sposoby okazać swą dobrą wolę. Dlatego podczas kościelnych procesji nosił gromnicę, choć, jak później przyznał się Susan Magoffin, „czuł się z tym jak głupiec". Zaprzyjaźnił się z księżmi i bywał na mszach. Obniżył podatki. Zapraszał delegacje okolicznych plemion, aby odwiedziły go w Santa Fe i wypaliły z nim fajkę pokoju. Odbył podróż w dół Rio Grande i odwiedził puebla oraz bogate hacjendy. Podczas kolacji i różnych uroczystości jego ulubionym toastem było „Za Stany Zjednoczone i Meksyk, które teraz są jednym, i niech nikt nie waży się nawet myśleć o ich rozdzieleniu"[261]. Kearny był dyskretny i zachowywał się dyplomatycznie. Jak zanotował pewien kronikarz, „starał się nie obrazić żadnego boga".

Od samego początku generał dał też mieszkańcom do zrozumienia, że w amerykańskim Santa Fe sprawy będą załatwiane inaczej niż do tej pory. Demokracja wymagała swobodnego przepływu informacji, a ten zależał od słowa drukowanego. Kearny znalazł więc w Taos starą maszynę drukarską i kazał ją przetransportować do Santa Fe. Drukowano na niej po hiszpańsku ulotki i proklamacje, a w końcu angielskojęzyczną gazetę. W Pałacu Gubernatorów generał urzędował o stałych porach. Pootwierał też stare, zatęchłe pokoje i usunął z nich ślady poprzedniego reżimu okrutnego gubernatora Armijo. W jednym z pokojów natknął się na kilkadziesiąt ludzkich uszu przybitych do ściany – prawdopodobnie należały do wrogów Manuela Armijo. Generał nakazał oczyścić pokój, a uszy pochować w ziemi.

Kearny, który był z natury egalitarystą, chciał, żeby nowy rząd działał przejrzyście i bez fanfar. Dobrym przykładem tego zdroworozsądkowego podejścia był sposób, w jaki skończył z kilkudziesięcioletnim zwyczajem wykorzystywania „ostemplowanego papieru". Pewnego dnia alkad wytłumaczył generałowi, że żaden „dokument nie ma mocy prawnej, jeśli nie został napisany na papierze ostemplowanym urzędową pieczęcią z godłem"[262]. Wszystkie oficjalne dokumenty, na przykład akty ślubu czy

zgonu, ale nawet rachunki, musiały być wystawiane na papierze urzędowym. Burmistrz pokazał generałowi jeden arkusz i wyjaśnił, że kosztuje osiem dolarów – tyle płaci się za samą kartkę papieru, nie licząc innych opłat zależnych od sprawy.

– To bardzo skromna kwota – uważał alkad. – A dzięki niej otrzymuje się stuprocentowo legalny dokument.

Generał Kearny wpatrywał się w burmistrza z irytacją i niedowierzaniem. Jego zdaniem osiem dolarów było skandalicznie wysoką ceną, szczególnie w tak ubogiej społeczności. Co więcej, było to zwykłe wyłudzenie, które nie miało żadnej podstawy prawnej. Kearny uznał takie prowadzenie spraw urzędowych za niedopuszczalne. Dlatego napisał krótkie rozporządzenie: „Niniejszym zakazuję wykorzystywania przez rząd Nowego Meksyku »ostemplowanego papieru«. Decyzją gubernatora".

Wszędzie, gdzie się pojawiał, Kearny nawoływał do darowania win i budowania wspólnoty.

– Niczyja własność nie zostanie zarekwirowana – głosił nowy gubernator. – Złe uczynki zostaną przebaczone.

Nawet Manuel Armijo miał prawo wrócić do Santa Fe. A gdyby to zrobił, Kearny zapewniłby mu bezpieczeństwo. Generał odwiedził zresztą w Albuquerque Trinidad Gabaldon, żonę byłego gubernatora. Uznał ją za „kobietę przystojną i raczej pogodną". Jeden z jego podwładnych opisał ją bardziej szczegółowo: „To urodziwa dama około czterdziestki, która kiedyś musiała być piękna". Pani Armijo dała rozmówcy do zrozumienia, że jej mąż raczej nie wróci do Nowego Meksyku. Potwierdzili to zresztą prawie wszyscy jego krewni i znajomi.

– Gubernator poszedł do piekła – mówili.

Konstytucja Nowego Meksyku, którą na polecenie generała napisał pułkownik Doniphan, była modelowo sprawiedliwa i bardzo postępowa. Kodeks Kearny'ego, jak zaczęto ją nazywać, był oparty na Magna Carcie oraz Karcie Praw Stanów Zjednoczonych. Napisano go tak dobrze, że po dziś dzień pozostaje fundamentem prawnym Nowego Meksyku. Trudno powiedzieć, czy mieszkańcy nowego amerykańskiego terytorium doceniali działania Kearny'ego. Hiszpańskojęzyczne zapiski z tego okresu są dość

oględne i pełne luk. Wydaje się jednak jasne, że choć miejscowym mogły podobać się nowe akty prawne i zapewnienia Kearny'ego, to byli sceptyczni wobec obcych władz, pełni narodowej dumy i ciągle liczyli na powrót ich ojczyzny w granice Meksyku. Nastrój panujący wśród mieszkańców Nowego Meksyku najlepiej oddał szeregowiec Gibson: „Ludzie są tu grzeczni i chętni do współpracy, bo nie są w stanie oprzeć się naszej sile. Ale daleko im do witania nas z otwartymi ramionami"[263].

Mimo naskórka dobrej woli i dyplomacji główny cel Kearny'ego był stricte wojskowy. Generał chciał ugruntować amerykańską wiktorię i zmiażdżyć resztki oporu. Wojna przeniosła się już w głąb Meksyku, a Kearny miał mgliste pojęcie o tym, jak radzą sobie amerykańskie wojska. Ciągle przychodziły alarmujące plotki o niekorzystnym rozwoju sytuacji na południu. Generał miał więc powody do obaw, że meksykańskie wojska z Chihuahua albo Durango spróbują odbić Santa Fe.

Dlatego kilka dni po przybyciu do miasta nakazał budowę potężnej fortecy. Ulokowano ją na pobliskim wzgórzu i na cześć sekretarza wojny Williama Marcy'ego nazwano fortem Marcy. Górujący nad miastem bastion miał zygzakowaty plan i przypominał trochę nieforemną gwiazdę. W jego centrum miał bezpiecznie spocząć pod ziemią arsenał mogący pomieścić wiele ton amunicji. Na murach fortu osadzono działa, a same ściany poprzecinano otworami strzelniczymi i krenelażami. Był on tak rozległy, że mógł pomieścić tysiąc żołnierzy. Pewnego dnia Kearny zabrał Susan Magoffin na konną przejażdżkę na plac budowy. Setki murarzy stawiały potężne ściany fortu. „Będzie on panem i władcą równin rozciągających się poniżej – cieszyła się Susan. – Jego artyleria będzie mogła rozniesć w pył każdy dom w mieście"[264].

Rozkazy, które otrzymał Kearny, nakazywały mu pozostanie w Nowym Meksyku tak długo, jak będzie to potrzebne. Miał zdusić w zarodku każdą próbę buntu przeciwko nowej władzy, a potem ruszyć do Kalifornii. Generał był pewien, że udało mu się wykonać pierwszą część rozkazu. „Tutaj bez zmian, na polu walki nie została żadna siła zbrojna", meldował w połowie września. Musiał jednak zdawać sobie sprawę z tego, że jego zapewnienia

były poniekąd puste. Prawdziwa wojna w Nowym Meksyku nie toczyła się bowiem pomiędzy Amerykanami a Meksykanami, ale raczej pomiędzy koczowniczymi plemionami Indian i „resztą świata". Kearny wdepnął w konflikt, który trwał już całe stulecie, i obecność Amerykanów wcale go nie wygasiła.

Charyzmatyczny generał z typowym dla siebie optymizmem i zmysłem próbował rozsupłać węzeł gordyjski konfliktu z Indianami. Szybko jednak musiał zdać sobie sprawę z tego, że problem jest zbyt skomplikowany, wielowymiarowy i długotrwały, żeby jego armia zdołała go „rozwiązać" podczas tak krótkiego pobytu. Ludzie doświadczeni w walkach z Indianami rozumieli, że konflikt z południowozachodnimi plemionami może łatwo eskalować w kosztowną, długą i brudną wojnę – taką, jaką rząd USA toczył niedługo przedtem z zamieszkującymi Florydę Seminolami. Tym razem jednak, zamiast walczyć z mocnym przeciwnikiem na mokradłach Everglades, amerykańscy żołnierze musieliby stawić mu czoła w równie niedostępnych pustynnych górach. „Boję się kolejnej wojny o Florydę, jeśli Indianie będą przeciągać sprawę", pisał kapitan William McKissack, pomocnik kwatermistrza w Santa Fe.

Mimo to Kearny pozostawał optymistą. Zażądał, żeby przedstawiciele „dzikich plemion" – Jutów, Apaczów, Komanczów, a przede wszystkim Nawahów – przybyli na naradę. A jeśli nie „zaprzestaną rabunku i popełniania zbrodni", groził generał, to zostaną przeciw nim wysłane wojska, które „zetrą ich z powierzchni ziemi"[265].

Te twarde słowa nie zrobiły wrażenia na większości Nawahów – nawet jeśli mieli okazję zapoznać się z przesłaniem Kearny'ego. Jak zanotowała Susan Magoffin, podczas jej krótkiego pobytu w Santa Fe Nawahowie napadli na przedmieścia stolicy „i uprowadzili około dwudziestu rodzin"[266]. Prawdopodobnie zdała sobie sprawę z tego, że sama może zostać porwana, i dlatego była dość zaniepokojona tym wydarzeniem. Jak napisała, „ulice były pogrążone w żałobie i lamentach po przyjaciołach, których być może nigdy już nie ujrzymy na tym świecie".

Kearny zażądał, żeby Nawahowie oddali wszystkich uprowadzonych. Susan Magoffin optymistycznie sądziła, że groźba generała odniesie

zamierzony skutek, bo „Nawahowie uważali go prawie za nadczłowieka, który tak cicho i gładko przejął pałac wielkiego Armijo – tego, którego oni sami się lękali”[267].

22

Nowi Ludzie

Narbona klęczał na skale wznoszącej się nad Santa Fe, oglądając prace ziemne i umocnienia, które Amerykanie pospiesznie stawiali. Obserwował maszerujących żołnierzy, ich ćwiczenia strzeleckie i musztrę. Patrzył na ich błyszczące karabiny i szable, na olśniewające mundury dragonów. Nad Pałacem Gubernatorów powiewała nieznana mu flaga, usiana gwiazdami i poprzecinana pasami bieli oraz czerwieni. Widział przedstawicieli innych plemion, którzy ściągali do miasta, żeby pokłonić się wielkiemu generałowi Kearny'emu. Pod Santa Fe zaległy legiony amerykańskich zdobywców zakwaterowanych w dymiących miasteczkach namiotowych, które rozstawiono na pastwiskach i polach kukurydzy należących do Meksykanów.

Narbona nie pojmował logiki tych nowych najeźdźców. Jak mogli najpierw wojować z Meksykanami, a chwilę potem ogłosić się ich przyjaciółmi i przysiąc, że zrobią porządek z ich wrogami? Dlaczego tak chętnie przejmowali cudzą wojnę? Jakie kapryśne duchy kierowały tymi ludźmi?

Usłyszał wybuchy, przerażający huk amerykańskich armat – haubic górskich i innych dział, z których żołnierze strzelali po to, żeby nie wyjść z wprawy, no i na postrach. Niebiosa drżały, a ziemia się trzęsła, kiedy palono z armat. Ich lufy błyskały ogniem i kipiały dymem. Robiły przy tym potworny hałas.

Podobno wielu rdzennych Amerykanów przesadnie, irracjonalnie wręcz, bało się artylerii. Według pewnego historyka Dzikiego Zachodu Indianie często wyrażali przekonanie, że wielkie działa „potrafiły przestrzelić ziemię i dokonać spustoszeń po drugiej stronie gór”[268]. Nie wiemy, czy Narbona podzielał ten strach. Niewątpliwie jednak haubice zrobiły na nim wrażenie.

Narbona zdał sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z zupełnie innym wrogiem niż dotychczas. Pogłoski nie kłamały – amerykańskie wojska

rzeczywiście miały miotacze ognistych pocisków. Wódz Nawahów nie widział sensu w walce z tymi ludźmi, nie mógł na niej nic ugrać. Postanowił wracać do domu i przekonać swoich współplemieńców do zawarcia pokoju z Amerykanami.

Koło fortuny obróciło się i nadeszła nowa era. Nowy Meksyk należał teraz do zupełnie innej rasy. Narbona z emfatyczną prostotą nazwał ją Nowymi Ludźmi[269].

Był zaniepokojony. Był zarazem pod wielkim wrażeniem tego wszystkiego, co zobaczył. Jeśli jego starzy wrogowie zostali tak błyskawicznie rozgromieni, to co czekało teraz Nawahów?

KSIĘGA DRUGA

Złamany kraj

Orzeł leci daleko i wysoko, dalej niż jakiekolwiek inne stworzenie. Wszystko, co istnieje, jest ze sobą związane dzięki temu, że ptak obejmuje to swoim doskonałym wzrokiem.

N. Scott Momaday, *House Made of Dawn*

23

Ponury metronom

Rankiem 25 sierpnia – dzień po balu – w Santa Fe znowu zabiły dzwony. Tym razem żegnały generała Kearny’ego i jego dragonów wyruszających w drogę do Kalifornii. Generał zgromadził trzystu swoich najlepszych żołnierzy w forcie Marcy. W samo południe Kearny uniósł dłoń, zasalutował i kolumna pomaszerowała na południowy zachód w stronę Rio Grande. Przewodnikiem amerykańskich wojsk był doświadczony człowiek gór Tom Fitzpatrick, stary znajomy Kita Carsona. Większość ochotników z Missouri została w Santa Fe pod dowództwem pułkownika Doniphana. Mieli pilnować spraw do czasu przybycia posiłków z Fort Leavenworth, a potem ruszyć w stronę Chihuahua i innych miast na Południu. Ochotnicy, którzy polubili swojego generała, machali mu na pożegnanie, nie kryjąc wzruszenia. „Przykro nam było rozstawać się z generałem Kearnym – wspominał jeden z nich. – Wszyscy życzyli mu dobrze, zapracował sobie na to”[270].

Dragoni cieszyli się, że w końcu ruszają w drogę, choć niektórzy z nich niewątpliwie mieli kaca po balu ubiegłej nocy. Brakowało im boju, na który liczyli w Nowym Meksyku. Zamiast walczyć, nudzili się w obozie i dbali o swoje umęczone wierzchowce, by wróciły do formy, ale sami z powodu kiepskiej diety chorowali na szkorbut. Wypili też sporo Błyskawicy z Taos i niezliczoną ilość razy przegrali w pięć kart w lokalu Madame La Tules. Gdyby mieli spędzić więcej czasu w Santa Fe, niewątpliwie doprowadziliby się do kompletnej ruiny. Liczyli na to, że w Kalifornii będą mieli więcej okazji do zdobycia chwały na polu walki.

Prawdę mówiąc, żadnemu z nich Santa Fe nie przypadło szczególnie do gustu. Żołnierskie pamiętniki pełne są ponurych opisów tego miasta. Zdaniem amerykańskich wojaków była to brudna, cuchnąca, pełna pijaków i przesądów dziura, w której prym wiedli drapiący się zakonnicy codziennie noszący te same łachy. Santa Fe obfitowało w kozy, kurczaki i pokręcone

następstwa doktryny katolickiej. Rządziły nim duchowe i medyczne chciejstwo. Siekiery, młoty i piły były tam żałosne, jabłka parchate, okna nie miały szyb, domy mebli, a drzwi z braku zawiasów wisiały na paskach skóry i drewnianych kołkach. Cukier robiło się z kukurydzy, alkohol z kaktusa, a instrumenty muzyczne wykorzystywano zarówno na potańcówkach, jak i podczas mszy. W Santa Fe żyła też upośledzona umysłowo żebraczka, która grzebała w śmieciach i wysysała stare skórki melona. Ciągle męczono osły. Wozy nie miały prawdziwych osi i kół, ale raczej ich nieudolne erzace wycięte z pokręconych topolowych pni. Według jednego z żołnierzy miasteczko wydawało się egzotycznie prymitywne, jakby jego mieszkańcy nie zdołali w pełni opanować koncepcji koła.

Żołnierzom szczególnie doskwierało jedzenie, te wszystkie ostre gulasze pełne koźlego tłuszczu, które na talerzach wyglądały jak glut. Mieli dosyć wszędobylskiego pyłu i buzdyganków, których leżące na ziemi kolczaste owoce boleśnie raniły stopy. No i męczyły ich wszy. Porucznik Emory meldował o „powszechnej obecności pasożytów nękających ciała wszystkich mieszkańców […]. Nie jest niczym niezwykłym widok ludzi, którzy nagle przerywają to, co robili, i zaczynają się iskać, a w ich palcach głośno strzyka pancerzyk, ogłaszając malutką śmierć. Potem jak gdyby nigdy nic znowu zachwalają sprzedawane przez siebie owoce czy sery”[271].

Santa Fe rzeczywiście było brudnym i ubogim miejscem, ale jednak coś w sobie miało. Coś, za czym żołnierze Kearny’ego zaczęli tęsknić, kiedy znaleźli się na pustyni. Pradawne miasto miało do zaoferowania dziwaczną mieszaninę kultur i ducha historii. Na ulicach uprawiano hazard, a place rozbrzmiewały gwarem rozmów w różnych indiańskich językach. Krajobraz wokół miasta robił wielkie wrażenie – na wzgórzach tańczyło słońce, góry były dosłownie wszędzie, kusząc przyjezdnych pozorem nieograniczonych możliwości. Miejscowy klimat był naprawdę niezwykły, szczególnie we wrześniu. Żołnierze piali nad nim z zachwytu w swoich zapiskach: „[…] wyjątkowo łagodny, zrównoważony i zdrowy […] z zachodami słońca godnymi włoskiego nieba”[272], „Pogoda jest ciągle wspaniała, lepszej nie można by sobie wymarzyć”[273], „Powietrze jest wspaniałe, zdrowe i krystalicznie czyste”[274].

Dzięki temu Kearny i jego ludzie mogli dojrzeć Turkusową Górę (u podnóża której mieszkała rodzina Narbony), jeden ze świętych szczytów Nawahów oddalony o sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Santa Fe. Meksykanie nazywali go San Mateo. Ale mimo porządnego chrześcijańskiego imienia góra była geologiczną redutą, kłującym w oczy dowodem na to, że tak naprawdę przez trzy wieki nie udało im się w całości podbić ziem, które uważali za swoje. Nawahowie wypasali na jej zboczach owce zrabowane Meksykanom. Przemierzali je na zrabowanych im koniach. Mieszkali u podnóża góry często w towarzystwie kobiet i dzieci, które porwali z nowomeksykańskich wiosek. Szczyt San Mateo był na tyle blisko, że świetnie go było widać, ale zbyt daleko, żeby można się było bezpiecznie wyprawić w jego pobliże bez organizowania wielkiej ekspedycji, która na pewno zostałaby przez Indian zauważona. Zanim taka ekspedycja dotarłaby w okolice Turkusowej Góry, Nawahowie zdążyliby przepędzić zrabowane konie i owce oraz porwane kobiety i dzieci w głąb swojej przepastnej krainy.

Kearny nie miał tak naprawdę pojęcia, co począć z Nawahami. Zostawił więc tę sprawę w rękach nowego gubernatora Charlesa Benta. Ten zresztą też nie wiedział, co zrobić – poza budową fortów przy granicy indiańskich ziem, skąd można by mieć na Nawahów oko. Krótko po objęciu urzędu Bent wysłał do Waszyngtonu długi list, w którym poddał dogłębnej analizie „problem indiański” w Nowym Meksyku. Lud Diné uznał za wroga publicznego numer jeden.

> Nawahowie są plemieniem bardzo przedsiębiorczym, inteligentnym i wojowniczym – pisał – liczącym co najmniej czternaście tysięcy dusz. Są jedynym plemieniem Indian na kontynencie, którzy zetknąwszy się z białymi ludźmi, rosną w siłę. Mówi się, że ich konie i owce mają przewagę nad tymi hodowanymi przez Meksykanów. Spora część ich stad została pozyskana podczas łupieskich wypraw do tutejszych osad. Ich kraj składa się z wysokich gór stołowych, trudnych w podejściu, które zapewniają im ochronę przed wrogami. Ludzie nieobyci w tym terenie będą mieli kłopoty ze znalezieniem w nim wody, co także chroni Nawahów przed inwazją. W ich obozach przebywa wiele kobiet, dzieci i mężczyzn – porwanych z osad rozsianych po Terytorium – mających u Indian status niewolników[275].

Oczywiście także Meksykanie potrafili zajść za skórę Nawahom. I oni kradli Indianom owce oraz konie, a także porywali kobiety i dzieci. Choć

teoretycznie rzecz biorąc, niewolnictwo było nielegalne, każda majętna rodzina zamieszkująca prowincję miała przynajmniej jednego albo dwoje indiańskich *craidos* – służących. Najbardziej w cenie były młode nawahijskie kobiety, częściowo dlatego że uważano je za mistrzynie tkackie.

W Taos i innych miastach działały targi niewolników, na których indiańskich służących można było kupić za marne grosze. Jeńców często sprzedawano na plazach w niedzielne popołudnia, zaraz po mszy. Plemiona wrogie Nawahom szybko pojęły ich wysoką wartość rynkową. Dzieci Diné były więc cennym łupem, który można było sprzedać na aukcji. Istniała też instytucja zwana „nowomeksykańskim wieczorem kawaleryjskim”[276] – pan młody i jego kumple o gorących głowach wyprawiali się na terytorium Nawahów, gdzie porywali ludzi, których potem wręczali pannie młodej w prezencie, tak jak my wręczamy pralki czy ekspresy do kawy. Zawodowi łowcy niewolników byli pełnoprawnymi uczestnikami codziennego handlu.

Pewien zdegustowany podróżnik, który zajechał do Santa Fe, zapamiętał ich tak:

> Często widywałem małe indiańskie dzieci, takie w wieku sześciu lat, prowadzane na uwięzi jak zwierzęta, które ich meksykański właściciel prawdopodobnie ukradł matce nie dalej niż tydzień wcześniej, a teraz oferował na sprzedaż za cenę od czterdziestu do stu dwudziestu dolarów.

Jak wspominał Lewis Kennon, amerykański lekarz dobrze znający życie w Nowym Meksyku: „Nie znam rodziny, która potrafi zebrać sto pięćdziesiąt dolarów i która nie kupi za to nawahijskiego niewolnika. Wiele rodzin posiada czterech albo pięciu. Tutejszy handel nimi przypomina handel świniami czy owcami”.

Szacuje się, że z sześciu tysięcy mieszkańców ówczesnego Santa Fe co najmniej pięciuset było indiańskimi niewolnikami albo peonami. Meksykańskie rodziny zazwyczaj po katolicku chrzciły swoich indiańskich służących i często traktowały ich dobrze, jak dalekich krewnych. Niektórym nawet przywracano wolność. Amando Chaves, syn słynnego w Nowym Meksyku łowcy niewolników, tak to zapamiętał: „Pierwszą rzeczą, jaką się robiło po powrocie z łowów na niewolników, było zabranie dzieci do księdza i nadanie im imion. Przyjmowały one nazwiska swoich właścicieli

i dorastając, uważały ich za swoich rodziców”[277]. System ten wyglądał więc trochę inaczej niż jego rolniczy odpowiednik na amerykańskim Południu, ale niewątpliwie był niewolniczy.

Mówiło się, że Meksykanie lepiej znali się na uprowadzaniu ludzi, a Nawahowie na rabunku zwierząt gospodarskich. Tak czy inaczej najazdy i odwety były częścią życia, którego powolny rytm przerywany napadami agresji był odmierzany na tych ziemiach przez jakiś ponury metronom. Odmierzany zresztą po obu stronach konfliktu, podsycanego głównie przez agresywnych młodych mężczyzn lubujących się w przemocy. Bo przemoc zabijała nudę, pozwalała się sprawdzić i wykazać odwagą oraz zdecydowaniem, a także doskonaliła umiejętności wojowników. Ani Nawahowie, ani ich meksykańscy wrogowie nie znali konceptu wojny totalnej, bezwarunkowej kapitulacji czy traktatów, które obowiązywałyby dłużej niż jedno lato. To wszystko były europejskie wymysły. Strony tego odwiecznego konfliktu nie zawracały sobie głowy ani wypowiadaniem wojny, ani zawieszaniem broni. Ciągła przemoc o umiarkowanym natężeniu była w tych okolicach obecna od zawsze. Nieustannie majaczyła na horyzoncie niczym szczyt San Mateo. Była jedynym stylem życia, jaki znano.

Nawahowie od razu dowiedzieli się o wymarszu Kearny’ego z Santa Fe. Uznali to za oznakę słabości. „Amerykanie już porzucają Nowy Meksyk”, myśleli sobie. Ci Nowi Ludzie nie zamierzali spełniać swoich gróźb. Wielkiemu generałowi Kearny’emu brakowało sił.

Rozzuchwaleni Nawahowie zaczęli najeżdżać osady rozsiane wzdłuż Rio Grande. Często robili to pod samym nosem Kearny’ego, który spędził ostatni tydzień września, maszerując na południe. W rejonie pomiędzy Albuquerque a Polvaderą Indianie zabili ośmiu osadników i porwali tysiące koni, owiec i krów. Nawahijscy jeźdźcy byli tak bezczelni, że niedaleko miasteczka Algodones porwali kilka sztuk bydła ze stada, które prowadzili dragoni Kearny’ego.

Generał był wściekły, kiedy o tym się dowiedział. Rozumiał, że Nawahowie testują jego możliwości. Musiał dojść do wniosku, że Indianie

skradli mu *show* akurat w chwili, gdy schodził ze sceny – zupełnie jak w teatrze, gdzie czasem czarny charakter robi większe wrażenie niż bohater pozytywny. Uderzyło go, że Nawahowie byli jedynym plemieniem w Nowym Meksyku, które nie wysłało emisariuszy do Santa Fe na spotkanie z nowym gubernatorem. Generał wstydził się też, że nie potrafił wywiązać się z własnej obietnicy – bo przecież zobowiązał się, że będzie chronił obywateli Nowego Meksyku przed ich odwiecznymi wrogami. Jego dragoni jednak nie mogli teraz gonić Nawahów. Kearny nie miał na to czasu, musiał maszerować do Kalifornii. Wydał więc odezwę, w której odnotowywał „zbrodnie dzień w dzień popełniane przez Nawahów" i „upoważniał" ludzi mieszkających wzdłuż Rio Grande do sformowania „swoich własnych grup bojowych, które weszłyby do krainy […] Nawahów, żeby odzyskać zrabowane mienie, dokonać odwetu i zyskać zadośćuczynienie za liczne obelgi". Kearny jasno dał jednak do zrozumienia, że nie zezwala na wojnę totalną: „Starcy, kobiety i dzieci Nawahów – ostrzegał – nie mogą doznać żadnej krzywdy".

Generał wysłał też list do pułkownika Alexandra Doniphana w Santa Fe, w którym nakazał mu jak najszybsze zorganizowanie najazdu na terytorium Nawahów. Doniphan miał odbić jeńców i uprowadzone zwierzęta gospodarskie oraz uczynić wszystko, co uzna za stosowne, żeby „doprowadzić do pokoju i wymusić na Indianach lepsze zachowanie".

6 października Kearny i jego trzystu dragonów mieli za sobą już dwieście trzydzieści kilometrów. Przez jedenaście dni po opuszczeniu Santa Fe maszerowali wzdłuż Rio Grande i cieszyli się babim latem. Dzień był chłodny i jasny. Topole i wierzby żółciły się w gąszczu porastającym brzegi rzeki. Na niebie krążyły stada żurawi kanadyjskich i gęsi – Rio Grande była jednym z głównych szlaków wędrownych ptactwa wodnego. Żołnierze rozbili obóz niedaleko osady Socorro, w miejscu zwanym Valverde, które kiedyś było liczącą się hiszpańską wioską, ale w wyniku najazdów Nawahów i Apaczy zostało porzucone. Kearny i jego ludzie obozowali więc wśród opuszczonych i zrujnowanych domków z suszonej cegły. Zakończyli właśnie pierwszy etap swojej tysiącsześćsetkilometrowej wyprawy do Kalifornii. Po

marszu prosto na południe teraz mieli zakręcić na zachód, dojść do rzeki Gila, a potem przekroczyć pustkowia dwóch pustyń – Sonory i Mojave.

Około południa na zachodnim horyzoncie pojawiła się brązowa chmurka. Potem dało się słyszeć tętent koni. Z pyłu wyłonili się jeźdźcy – dwunastu albo i więcej. Wyglądało na to, że kierują się prosto do obozowiska Kearny'ego. Dragoni podejrzewali przez chwilę, że mogą to być Nawahowie.

Kiedy jeźdźcy się zbliżyli, stało się jasne, że choć są wśród nich Indianie, to grupie przewodzą Amerykanie. W ruinach Valverde doszło do spotkania rodaków – w opuszczonej wiosce rozbrzmiewały teraz powitania i podrzucano kapelusze.

Niewysoki, żylasty mężczyzna ześlizgnął się z muła i zaczął się witać z dragonami. Tak jak i jego towarzysze był spalony słońcem, wyglądał dość marnie i był wyraźnie głodny. Opowiadał, że razem z kompanią pędził co sił z Kalifornii, wioząc ważne listy na Wschodnie Wybrzeże.

– Jak się nazywasz? – ktoś zapytał.

– Kit Carson. – Drobny mężczyzna uśmiechnął się pod wąsem i poprowadził swojego muła do obozu.

Kearny nigdy wcześniej nie spotkał Carsona, ale wiedział, kim jest. Czytał o Kicie w raportach z wypraw Frémonta. Carson, który w Taos, niedaleko rynku, miał niewielki dom, był najsłynniejszym z Amerykanów mieszkających wówczas w Nowym Meksyku. Przez ponad rok nie było go w domu, bo przebywał na wyprawach w Kalifornii i Oregonie. Ale wszędzie, gdzie zatrzymywał się generał Kearny, docierały doń opowieści o wyczynach tego słynnego przewodnika i trapera. Carson towarzyszył Armii Zachodu niczym duch – opowiadano o nim na Szlaku Santa Fe, w forcie Bentów, a także w sklepikach i magazynach w nowomeksykańskiej stolicy. Jego nazwisko ciągle przewijało się w rozmowach i zwykle towarzyszyły mu uśmiech i jakaś kolorowa historia z Dzikiego Zachodu.

Kearny i Carson się przywitali. Co za niesłychany przypadek! Jakie było prawdopodobieństwo, że tych dwóch ludzi podróżujących z przeciwnych stron kontynentu, spotka się gdzieś w jego sercu? Że ze wszystkich możliwych dróg wybiorą akurat takie, które się przetną?

Carson wydawał się zdziwiony na widok trzystu dragonów Stanów Zjednoczonych zmierzających w strony, które on właśnie opuścił. Kearny wyjaśnił mu, że Nowy Meksyk został zdobyty bez walki, że amerykańska flaga powiewa nad Pałacem Gubernatorów w Santa Fe i że on sam zmierza teraz do Kalifornii, kolejnego celu jego wojsk.

Kit próbował pojąć konsekwencje wieści, które właśnie usłyszał. Miejsce, które od dwudziestu lat nazywał domem, znajdowało się teraz w USA. Jego żona mieszkająca w Taos i wszyscy jej dumni latynoscy krewni byli teraz obywatelami Stanów Zjednoczonych. On sam rozmawiał z generałem, stojąc na amerykańskiej ziemi. Jego szwagier był gubernatorem Nowego Meksyku.

Carson wyglądał na wyczerpanego. Podczas długiej podróży jego ciało pokryła warstwa pyłu. Przez dwadzieścia sześć dni, odkąd opuścił Los Angeles, przejechał razem ze swoimi ludźmi blisko tysiąc trzysta kilometrów. Po drodze padło im trzydzieści pięć mułów. Przekroczyli najbardziej piekielne rejony Szlaku Gilii. A przed sobą mieli jeszcze trzy tysiące dwieście kilometrów. Jechali do Waszyngtonu, jak powiedział Kearny'emu Carson. Mieli oddać ważne listy samemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Generał Kearny wydawał się zbity z tropu. Carson tłumaczył mu, że został mianowany na wojenny stopień porucznika i od swoich dowódców w Kalifornii otrzymał rozkaz, by dotrzeć do Waszyngtonu w maksymalnie sześćdziesiąt dni i przekazać wieści o rozwoju wypadków na Zachodnim Wybrzeżu. Powiedział, że Kalifornia także jest w rękach Amerykanów. „W każdym porcie powiewa" flaga USA.

Kearny zareagował na te rewelacje dość dwuznacznie. Jako amerykański patriota cieszył się, że zdobyto nowe ziemie. Musiał jednak być trochę rozczarowany, że cała robota, którą sobie zaplanował, została wykonana za niego. Nowy Meksyk padł bez jednego wystrzału. A teraz nie potrzebowano go w Kalifornii. Nastrój w obozie po usłyszeniu tych wieści ładnie opisał podróżujący z Kearnym lekarz John S. Griffin: „Byliśmy wszyscy poruszeni, ale jednak także rozczarowani i pełni żalu. Większość z nas opuszczała Santa Fe z myślą o odrobinie zabawy z dobrymi ludźmi zamieszkującymi Kalifornię. Nasze nadzieje legły w gruzach"[278].

Z drugiej strony generał Kearny rozumiał oczywiście, że Kalifornia to ogromne terytorium i że meksykańscy tubylcy mogą w każdej chwili wywołać powstanie przeciwko nowej władzy. Co gorsza z odsieczą mogłyby im przyjść meksykańskie wojska. Ostrożny generał zastanawiał się, czy listy wiezione przez Carsona nie przedstawiają sytuacji nazbyt optymistycznie.

Kearny podjął decyzję. Obojętnie, czy walki się skończyły, czy nie, rozkazy, które otrzymał, były jasne. Miał dotrzeć do Kalifornii i ukonstytuować tam nowy rząd, podobnie jak zrobił to w Santa Fe. Generał bardzo jednak martwił się nieznaną mu i nienaniesioną na mapy pustynią, którą miał przebyć. Zastanawiał się, którą drogę wybrać i czy zwierzęta towarzyszące jego wojskom przetrzymają podróż. Carson właśnie przejechał przez te same wyschnięte ziemie, przez które mieli zaraz podróżować Kearny i jego dragoni. Musiał znać trasę, a także nastawienie lokalnych Indian. Wiedział, gdzie są wodopoje i gdzie rosną spłachetki trawy, na których mogą się paść konie i muły. Mógł powiedzieć Kearny'emu, gdzie można przejechać wozem i przetoczyć artylerię. Znał najdogodniejsze przeprawy przez strumienie i rzeki – szczególnie ważna była przeprawa przez Kolorado, która stanowiła największą przeszkodę na drodze do Kalifornii.

Mówiąc wprost, Kearny potrzebował Carsona. Generał dostrzegł w nim coś szczególnego, jakby otaczała go aura sukcesu, którego tak potrzebowała Armia Zachodu. Dlatego rozkazał Kitowi oddać listy. Ktoś inny zawiezie je do prezydenta Polka. Wielki Carson miał ważniejszą robotę do wykonania. Generał Kearny zażądał, żeby został jego przewodnikiem i razem z nim wrócił do Kalifornii.

Carson miał więc kłopot. Obiecał Frémontowi, że niezależnie od okoliczności popędzi z listami do Waszyngtonu. Nie będąc prawdziwym żołnierzem, nie zwracał uwagi na wojskową hierarchię – Frémont był ledwie kapitanem w Korpusie Topograficznym i jego rozkazy bladły przy życzeniach generała brygady, którym był Kearny. Kit, kierujący się honorem człowieka pogranicza, poczuł się też urażony. Jeszcze w Missouri ojciec powtarzał mu, że słowo ma wartość złota. A teraz jakiś obcy kazał mu oddać listy i nie dotrzymać słowa!

Carson przez chwilę bił się z myślami – co robił niezwykle rzadko. Poważnie rozważał nocną ucieczkę z obozu Kearny'go i kontynuowanie podróży do Waszyngtonu. Myślał o Josefie, której nie widział od prawie dwóch lat. Zamierzał sprawić jej niespodziankę i w drodze na wschód spędzić w domu jedną noc. Bał się, że gdyby podporządkował się Kearny'emu, mógłby nie zobaczyć jej przez kolejny rok. Chciał więc jechać dalej, do Taos i Waszyngtonu.

Najbardziej rozmyślał jednak o Frémoncie i komodorze Stocktonie.

– Przysięgałem im – opowiadał potem. – Nie mogłem ich rozczarować. Poza tym miałem większe zobowiązania wobec kapitana Frémonta niż wobec jakiegokolwiek innego człowieka.

Część jego ludzi przekonała go jednak, żeby nie próbował uciekać. Argumentowali, że nawet gdyby nie dopadli go dragoni Kearny'ego, to generał postawiłby go potem przed sądem wojskowym. Poza tym listy od Frémonta i Stocktona miał zabrać na Wschód świetnie znany Carsonowi Tom Fitzpatrick, któremu Kit ufał i który towarzyszył Frémontowi podczas kilku wypraw. Fitzpatrick był równie dobrym kurierem jak sam Carson.

Dlatego Kit zaczął mięknąć. Poza tym Kearny nie był człowiekiem, któremu łatwo się odmawiało, nawet jeśli było się upartym Kitem Carsonem. Generał miał żelazną wolę i, jak wspominano, przed jego stanowczym spojrzeniem i zimnymi niebieskimi oczami nie było ucieczki. Carson sam zaczął odczuwać ciężar stopnia generalskiego Kearny'ego.

– Przekonał mnie, że ma prawo mi rozkazywać – opowiadał Kit.

Kearny wspominał później, że choć na początku Carson „bardzo nie chciał zawrócić z drogi", to potem „był w pełni usatysfakcjonowany tym", że listy przejmie Fitzpatrick.

– Tak mi przynajmniej powiedział – opowiadał generał.

Carson uległ więc Kearny'emu. Oddał listy i zgodził się towarzyszyć generałowi w jego podróży do Kalifornii. Następnego ranka, 7 października 1846, roku Kearny wręczył pocztę Fitzpatrickowi, a dwie trzecie swoich dragonów odesłał do Santa Fe. Z opowieści Carsona wynikało, że sytuacja w Kalifornii była mniej więcej opanowana i nie potrzeba było tam tak wielu amerykańskich żołnierzy. Generał postanowił zabrać do Los Angeles tylko

setkę szabel. No i Carsona. Porucznik Abraham Johnston, jeden z podwładnych Kearny'ego, nie krył podziwu dla Kita. „Ponownie jechał na zachód[279] – pisał młody oficer – a już po ciężkiej podróży miał dotrzeć do ludzkich osad, już miał nadzieję zobaczyć się z rodziną. Tylko odważny człowiek potrafi zrezygnować z prywaty na rzecz dobra publicznego. Takim człowiekiem jest Carson! I chwała mu za to". Kapitan Philip St. George Cooke tak komplementował Carsona: „Jego czyn był przykładem rzadkiego poświęcenia".

Jak zauważył doktor John Griffin, dołączenie Carsona do wyprawy znacząco poprawiło morale dragonów. „Wyruszyliśmy – zapisał w pamiętniku – z radością w sercu i lekkimi bagażami kontynuowaliśmy nasz długi marsz. Każdy z nas czuł się pewnie pod opieką takiego przewodnika. Ze sposobu, w jaki Generał dzisiaj maszerował, wnoszę, że i on nabrał pewności siebie"[280].

Carson w swoim stylu zwięźle podsumował później decyzję, którą podjął tego dnia.

– Kearny rozkazał, żebym dołączył do niego jako przewodnik. Tak też zrobiłem[281].

24

Władcy gór

Nadchodzili *bilagaana*. Narbona nie wiedział, czy ich zamiary są pokojowe, czy wrogie. Zwiadowcy donieśli mu, że mała, dobrze uzbrojona grupa jeźdźców wjechała do krainy Nawahów i kieruje się na zachód. W ciągu niecałego tygodnia Amerykanie mieli dotrzeć do królestwa Narbony.

Była połowa października 1846 roku. Na pustynnej wyżynie zrobiło się chłodno, dni stawały się coraz krótsze. Żółto kwitnące dotąd krzewy zbrązowiały, osiki zaczęły gubić liście. Zdarzały się poranne przymrozki i szron. Wyżej w górach Chuska spadł pierwszy śnieg. Narbona nie czuł się dobrze. Być może jego siły nadwyrężyła ostatnia wyprawa do Santa Fe. Chłód źle wpływał na artretyczne stawy starca. Był obolały, nie mógł usiedzieć na koniu.

Nie był pewien, jak odpowiedzieć na wtargnięcie Amerykanów, ale wiedział, że nie zwiastuje ono niczego dobrego. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z tego, że młodzi wojownicy wyruszali w ostatnich tygodniach na rajdy – wieści o ich wyprawach nie mogły nie dosięgnąć uszu Narbony. Sezon łupieski był w tym roku udany i Nawahowie mieli z czego się cieszyć. Dzięki najazdom zagarnęli tak dużo owiec, że zima zapowiadała się syto i spokojnie. Zbliżała się pora zabaw, ceremonii i nocnych śpiewów. Mięsa powinno wystarczyć dla każdego.

Narbona był jednak zatroskany. Jak wielu członków plemiennej starszyzny rozumiał, że najazdy na nowomeksykańskie osady miały swoje konsekwencje. Nie przeszkadzało mu, że najodważniejsi z młodych wojowników napadali i rabowali znienawidzonych Meksykanów. Nawahijscy śmiałkowie robili to od zawsze. On sam wyruszał na łupieskie wyprawy, kiedy był jeszcze młody. Ale jeśli młodzi wojownicy ośmielili się okraść Amerykanów, Nawahowie mieli powody do obaw. Narbona chciał dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Myślał, że dobrze by było

przechwycić grupkę Amerykanów, zanim wjedzie ona dalej na tereny Diné. Niestety, zdrowie nie pozwalało mu na taką wyprawę. Musiał siedzieć w swoim hoganie i czekać, aż zwiadowcy dostarczą więcej informacji.

Narbona był zapewne zszokowany tym, że te dziwne blade twarze odważyły się wjechać w głąb Dinétah, jak Nawahowie nazywali swoje ziemie. W ciągu jego długiego życia rzadko się zdarzało, żeby obcy sobie na to pozwolili. Czasem Nawahów najeżdżały grupki Meksykanów albo Jutów, którzy chcieli się zemścić albo kogoś obrabować. Oni jednak zwykle ledwo zahaczali o krainę Nawahów i czmychali z niej tak szybko, jak mogli. Dinétah było tak przerażająco olbrzymie, że niewielu obcych ryzykowało wjazd na jego terytorium. Krajobraz krainy Nawahów był też przytłaczający dla niezaznajomionego z nim człowieka – wręcz zniechęcał do odwiedzin, grożąc połknięciem każdego, kto odważy się weń wkroczyć.

Jednak ci Amerykanie, kimkolwiek byli, najwyraźniej celowo i z rozmysłem wjechali do kraju Narbony. Na dodatek było ich ledwie trzydziestu. Stary Nawaho był pod wrażeniem: co za maleńka, krucha wyprawa! Biorący w niej udział Amerykanie musieli być niesamowicie odważni i nie przejmować się tym, że w każdej chwili mogły na nich napaść setki nawahijskich wojowników, którzy bez trudu starliby intruzów z powierzchni ziemi.

Granice wyznaczane przez cztery święte szczyty zostały naruszone. *Bilagaana* przekradli się w pobliżu Turkusowej Góry. Narbona mógł teraz tylko czekać.

Trzydziestoma amerykańskimi żołnierzami wędrującymi na zachód dowodził kapitan John Reid. Zadanie, które przed nim postawiono, wyglądało na szaleńcze. W połowie października grupka Reida porzuciła względne bezpieczeństwo, jakie zapewniał liczniejszy kontyngent ochotników z Missouri obozujący na wybrzeżu Rio Grande, i po przeszło stu dziesięciu kilometrach wjechała na ziemie Nawahów. Reid dostał rozkaz nawiązania kontaktu z jak największą liczbą Indian i przekonania ich wodzów, by za kilka tygodni spotkali się na rozmowach pokojowych z pułkownikiem Alexandrem Doniphanem. Byli więc emisariuszami i mieli poinformować

Indian o spotkaniu, którego zwołanie polecił Doniphanowi generał Kearny. Zadanie wydawało się proste, ale im głębiej Reid i jego żołnierze zapuszczali się w krainę Nawahów, tym bardziej zdawali sobie sprawę, jak szaleńczo jest ono niebezpieczne.

Missourczycy przypominali sobie, że jeszcze w okolicach Rio Grande przed Nawahami ostrzegali ich miejscowi. Jak opowiadał ochotnik John Hughes, napotykani przez nich Meksykanie byli „zdumieni zuchwałością zadania postawionego kapitanowi Reidowi". Uważali, że „wtargnięcie do krainy Nawahów z oddziałem mniejszym niż armia oznacza zgubę"[282].

Setki, a może i tysiące nawahijskich wojowników śledziły Amerykanów z okolicznych wzgórz. Z każdym krokiem Reid czuł wpatrujące się w niego oczy, widział Indian kryjących się w cieniu i na wysokich graniach. Z kamiennymi twarzami i nieodgadnionymi spojrzeniami Nawahowie wpuszczali Amerykanów w głąb swojego terytorium. Reid wiedział, że nie są zadowoleni z odwiedzin. Musieli być jednak niezwykle ciekawi tych zuchwałych obcych. Dla wielu Nawahów był to pierwszy kontakt z bladymi twarzami. Nigdy wcześniej żadnego Amerykanina nie widzieli, a już na pewno nie w swoim kraju.

15 października grupa Nawahów wyjechała naprzeciw pododdziałowi Reida. Przez tłumacza Indianie powiedzieli kapitanowi, że ma się spotkać ze starcem o imieniu Narbona, wielkim wodzem. Narbona był chory i nie mógł udać się w podróż. Jego obozowisko było jednak oddalone tylko o dzień drogi. Zachęcony tą wieścią Reid postanowił więc przenocować, a następnego dnia ruszyć na spotkanie z owym Narboną.

Do Missourczyków podjechała grupa trzydziestu wojowników przystrojonych w orle pióra i hełmy wykonane ze skóry ściągniętej z głowy pumy. Jacob Robinson, ochotnik, który prowadził porządny dziennik dokumentujący to pierwsze spotkanie amerykańskich żołnierzy z Nawahami, opisał Indian jako groźnie wyglądających wojowników, którzy jednak zdawali się mieć pokojowe intencje. Wszyscy „siedzieli na pięknych wierzchowcach – zanotował Robinson – i przysłano ich, żeby poprowadzili nas do serca swojego kraju. Wszystkie czynności wykonywali bardzo żwawo, wskakując na koń i spieszając się błyskawicznie"[283].

Razem z nimi przyjechało dziesięć nawahijskich kobiet „ubranych w niezwykłe indiańskie stroje i okrytych pięknie ozdobionymi kocami”[284]. Robinson ocenił Indianki jako bardzo urodziwe: miały drobne, delikatne stopy, długie kruczoczarne włosy, a ich ramiona zdobione były przez miedziane bransolety. Był też pod wrażeniem ich umiejętności jeździeckich. Jak napisał, wśród Nawahów „obie płcie jeżdżą konno równie znakomicie. […] Kobiety z tego plemienia zdają się mieć te same prawa co mężczyźni, same zajmują się swoimi sprawami i robią to, co im się podoba – siodłają swoje własne konie, a ich mężowie swoje”.

Rano Nawahowie poprowadzili Reida i jego ludzi w głąb terytorium należącego do Diné. Po drodze do procesji przyłączało się coraz więcej Indian. Pod koniec dnia gospodarze poinformowali Reida, że od obozu Narbony dzieli ich jeszcze jeden dzień drogi. Kapitan podejrzewał podstęp, ale zachęcony gościnnością Nawahów postanowił zaryzykować i jechać dalej. Jego żołnierzy otaczało już kilkuset Indian.

Po trzecim dniu podróży nawahijscy przewodnicy oświadczyli, że do celu podróży zostało jeszcze sporo drogi. Reid coraz bardziej obawiał się pułapki, ale zdawał sobie sprawę, że już za późno na odwrót – był zdany na łaskę i niełaskę Nawahów. Jak wspominał, była to „najbardziej krytyczna sytuacja, w jakiej kiedykolwiek się znalazłem – z ledwie trzydziestką ludzi byliśmy otoczeni przez najdzikszych i słynących z przebiegłości mieszkańców kontynentu”.

Kiedy po południu 18 października ochotnicy Reida rozbijali obóz, dostrzegli, że otaczają ich już tysiące Nawahów. Z przerażeniem zdali sobie też sprawę, że zniknęły ich konie. Nawahowie oświadczyli, że zabrali je na łąkę oddaloną o kilka kilometrów od obozu, i obiecali, że w razie potrzeby je przyprowadzą. Amerykanie byli więc nie tylko otoczeni, ale nie mieli właściwie żadnej szansy na ucieczkę. Czuli się jak jeńcy i prawdopodobnie nimi byli. Cała ta sytuacja była, jak to ujął Reid, „wysoce niebezpieczna”. Kapitan bardzo żałował, że „tak bardzo zaufał […] tym notorycznym złodziejom koni”. Razem ze swoimi ludźmi siedział ponuro, a słońce chyliło się ku zachodowi. Żołnierze starali się, żeby na ich twarzach nie było widać strachu. „Gdybyśmy okazali choć cień nieufności – wspominał ochotnik John

Hughes – dumni Indianie mogliby poczuć się urażeni. Bezpieczniej więc było zaryzykować wpadnięcie w pułapkę, niż wykazać się ostrożnością, która mogłaby zostać uznana za prowokację”[285].

Ku powszechnemu zdziwieniu do obozu wjechał Narbona. Starzec był w fatalnej formie. Wyraźnie cierpiał z powodu przeszywającego bólu i ledwo trzymał się na koniu. Okazało się, że jego obozowisko znajduje się kilka kilometrów dalej. Duma jednak nakazała mu przywitać gości konno, nie czekał więc, aż Reid przyjedzie do niego.

Siwe długie włosy spadały Narbonie na ramiona. Jego wysokie, szczupłe ciało spowijały pięknie wyprawione i przyozdobione skóry. Kiedy Narbona był młodszy, zdawał się olbrzymem – miał blisko dwa metry wzrostu. Teraz był już przygarbiony i skrzywiony. Mimo to kapitan Reid widział, że starzec „cieszył się olbrzymim szacunkiem wśród swoich współplemieńców”[286], choć był już „chodzącym szkieletem zupełnie wykręconym przez reumatyzm”. Reid był jednocześnie zafascynowany i zbrzydzony widokiem szponiastych paznokci u rąk Narbony. Ocenił ich długość na blisko pięć centymetrów. Jego zdaniem były tak ostre, że mogły służyć jako „biała broń”.

Ktoś pomógł staremu wodzowi zsiąść z konia. Reid i Narbona zasiedli do rozmowy przez latynoskiego tłumacza (Narbona mówił po hiszpańsku). Mówili o ostatnich rabunkach w okolicach Rio Grande. Kapitan polubił swojego rozmówcę mimo jego dziwacznego manikiuru. Jego zdaniem stary Nawaho był „łagodnym, przyjaznym człowiekiem”. Narbona przyznał z kolei, że był pod wrażeniem błyskawicznego zwycięstwa Amerykanów w Santa Fe. Oświadczył, że chętnie spotka się z pułkownikiem Doniphanem. Narada miała się odbyć miesiąc później w miejscu zwanym Bear Springs, które Nawahowie świetnie znali. Według Reida Narbona był tak słaby, że śmierć zaglądała mu w oczy. Dlatego przed odejściem chciał zostawić po sobie dobrze wynegocjowany traktat pokojowy.

„Był prawdziwym wojownikiem – wspominał kapitan – ale przed śmiercią chciał zapewnić swojemu ludowi pokój ze wszystkimi starymi wrogami, a także z nami – Nowymi Ludźmi, jak nas nazywał”.

W rozmowie brało udział kilku innych przywódców Nawahów. Wszyscy zgadzali się z Narboną – nadszedł czas, żeby zawrzeć pokój. Jak odnotował Robinson, jeden z Nawahów wystąpił z szeregu i zadeklarował, że chce pokazać kapitanowi Reidowi coś wyjątkowego. Jak twierdził, był to traktat, który jego przodkowie podpisali z Amerykanami dawno temu. „Siedemset zim temu", powiedział z powagą, po czym wyciągnął duży zwój skór, który „zaczął rozwijać, zdejmując warstwę za warstwą"[287]. W końcu, wspominał Robinson, Indianin „dotarł do koca, który też rozwinął". W środku leżał cenny i świetnie zachowany dokument. „Z chrząknięciem" wódz wręczył ów kawałek papieru tłumaczowi. Rzekomy jednak „traktat" okazał się po prostu pożółkłym rachunkiem otrzymanym od amerykańskiego handlarza – starym dowodem sprzedaży.

Żołnierze Reida wybuchnęli śmiechem. A potem nastąpiła dziwna cisza, którą przerwał tłumacz próbujący wyjaśnić nieporozumienie. Nie było do końca jasne, czy ktoś zrobił owemu nawahijskiemu wodzowi brzydki kawał, czy też on sam próbował sobie zażartować – a jeśli to drugie, to jaki był cel tego żartu. Najwyraźniej obie strony się nie zrozumiały. Jak pisał Robinson, „kiedy wódz dowiedział się, że jego traktat nie ma z nami nic wspólnego, schował go jako bezwartościowy".

Według ustnej relacji ze spotkania zachowanej wśród Nawahów potem przemówiła kobieta. Była to jedna z trzech żon Narbony i jedyna kobieta obecna na naradzie. Mówiła w języku Diné, więc ani tłumacz, ani Reid i jego ludzie jej nie rozumieli.

Żona Narbony rozejrzała się po obozie i wyraziła swoje zdziwienie. Zobaczyła bowiem bardzo nielicznych Amerykanów – odrobinę więcej niż dwudziestu pięciu – i kilka tysięcy Nawahów. Jak uważała, tych *bilagaana* można pokonać bez najmniejszego trudu.

– Dlaczego nasi mężczyźni tchórzą? – pytała piskliwie. – Dlaczego nie napadną na tych nieproszonych gości i nie wyrżną ich w pień[288]?

Narbona zaczął się kłócić z żoną. Możemy sobie tylko wyobrazić, jakie ta scena zrobiła wrażenie na Reidzie i jego ludziach. Odwracali głowy, przypatrując się toczącej sprzeczkę parze, nie zdając sobie sprawy z tego, że na szali leży ich życie.

W końcu rozzłoszczony Narbona kazał żonie siedzieć cicho. Bo co ona wie? Nie była w Santa Fe i nie widziała wojsk białych ludzi. Ci mężczyźni to ledwie posłańcy, za nimi stoją tysiące innych. Przybyli zza równin, na których pasą się bizony, i podbili Santa Fe bez jednego wystrzału! Sprowokowani na pewno starliby Diné z powierzchni ziemi.

– Nie – upierał się Narbona. – Nie możemy skrzywdzić tych *bilagaana*. Musimy ich ugościć.

Kiedy Reid i Narbona skończyli obrady, Nawahów ogarnął nastrój do zabawy. W obozie zagrała muzyka. Wojownicy oparli łuki o pnie topól i zaczęli tańczyć.

Przyjaźni i zaciekawieni Nawahowie podchodzili do Amerykanów. Oglądali ich ubrania i sprzęt, proponowali kupno ich klamer, guzików, pasków, medalionów i książek. Jak wspominał Robinson, „ich przywódcy próbowali nas przed nimi obronić, ale niemożnością było utrzymanie Indian z dala od naszego obozu. Kwitł nieustanny handel pomiędzy naszymi a Indianami – cynowy kubek za jelenią skórę, odrobina tytoniu za nóż rzeźnicki”.

Ochotnicy z Missouri przehandlowali w końcu większość swoich ubrań. Według Robinsona „sami byliśmy teraz właściwie ubrani w stylu indiańskim”. Reid zauważył, że „Nawahowie byli w siódmym niebie, kiedy zobaczyli, że nasi ludzie wkładają ich ubrania”. Posiedzenie zamieniło się w „przyjemne spotkanie”.

Indian fascynowało wszystko, co było wykonane z metalu – szczególnie broń. „Bardzo chcieli dotknąć naszej broni – pisał Robinson – i ze zdumieniem patrzyli na działanie rewolweru. Jeden z naszych miał zegarek, który przyciągnął sporo uwagi. Przykładali go sobie do uszu i odskakiwali jakby od węża”.

Późnym popołudniem Nawahowie uderzyli w bębny. Rozpalili też sosnowe ogniska. Po okolicy rozszedł się aromat pieczonej baraniny. Wydawało się, że Amerykanie i Indianie szybko się zaprzyjaźnili. Żołnierze Reida byli zafascynowani językiem Diné – z jego wymyślną modulacją i gardłowymi załamaniami. Mimo że musieli korzystać z pomocy tłumacza,

zaczęli pojmować specyficzne poczucie humoru Nawahów, ich radość z licznych żarcików i drobnych złośliwości, ich upodobanie do absurdu i sprośności. Nawahowie oddawali się zabawie w całym obozie – skakali w dal, rzucali kamieniami, organizowali zawody w strzelaniu z łuku, rzucali kośćmi. Wyglądało to tak, jakby specjalnie dla swoich amerykańskich gości zorganizowali fiestę na wolnym powietrzu.

Amerykanie pojęli, że ci pełni życia i ducha ludzie, kiedy czują się bezpiecznie, są szczęśliwi, otwarci i dumni. W owym czasie byli zresztą u szczytu potęgi, mając za sobą wyjątkowo udany sezon łupieski. John Hughes uznał imprezę wydaną przez Nawahów za „prawdziwie romantyczną. Wyobraźcie sobie pięciuset tancerzy pląsających radośnie w dzikich górach do muzyki granej na kołatkach i tamburynach. I grupę trzydziestu uzbrojonych po zęby Amerykanów, którzy mieszają się z tym tłumem!”[289].

Jacob Robinson czuł się wśród Nawahów jak w domu i prawie zapomniał o tym, że razem z towarzyszami broni wszedł na jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów w głąb obcego terytorium – i że nigdzie w okolicy nie ma ich wierzchowców. Nieważne – Amerykanie byli prawie odurzeni gościnnością Nawahów. Porzucili wszelką rozwagę. Razem z Indianami ogryzali jagnięce kości, bawili się bronią, tańczyli i śpiewali, a nawet wymieniali się ubraniami. Dziewicze spotkanie Amerykanów z Diné obróciło się w miłość od pierwszego wejrzenia.

Później Robinson wspominał tę niezwykłą noc z niedowierzaniem.

> Zdumiewające – pisał – jak szybko obdarzyliśmy się pełnym zaufaniem. Byliśmy na pustyni, otoczeni przez tłum Indian z dzikiego i potężnego ludu, których przyjaźń była wątpliwa; którzy mogli zrobić z nami, co tylko chcieli, i którzy mogli okazać się zdrajcami. [A jednak] zaczęliśmy z nimi tańczyć […], a oni wydawali się bardzo zadowoleni z faktu, że przybyliśmy do ich kraju[290].

Robinson był pod ogromnym wrażeniem Nawahów. Uznał ich za „najbardziej oświecone plemię dzikich Indian”, jakie kiedykolwiek spotkał w Ameryce. „Są słusznej postury – opowiadał – i mają jaśniejszą cerę niż Indianie, których dotąd widywałem. Opływają w wełnę oraz skóry i można ich uznać za bogatych”. Robinsona fascynowały wspaniale utkane koce

Nawahów, na które „patrzyli oni z dumą, jak na coś, co ich wyróżniało i symbolizowało ich wyższość”.

Obserwując Nawahów krzątających się wokół swej trzody i troszczących się o swoje wyroby z wełny, kapitan Reid nie mógł się powstrzymać przed porównaniem ich do koczowniczych pasterzy ze stepów Mongolii. Ta analogia przyszła zresztą do głowy wielu Amerykanom, którzy próbowali zastosować kryteria Starego Świata do zrozumienia życia tych obcych ludzi tak mocno związanych ze swoimi zwierzętami. „To lud typowo pasterski – uznał Reid – a jego zwyczaje są bardzo podobne do zwyczajów Tatarów”[291]. Jak zauważył kapitan, Nawahowie byli przede wszystkim wyśmienitymi jeźdźcami. „Ci władcy gór – pisał Reid – właściwie żyją na koniach. Przykładają ogromną wagę do hodowli swoich wierzchowców. Są one dla nich prawie tak samo ważne jak dla Arabów”.

W pewnej chwili podczas nawahijsko-amerykańskiej imprezy spod krzaczka wyskoczył królik. Grupa konnych Nawahów natychmiast za nim popędziła. Zaraz przyłączyły się do nich dziesiątki innych jeźdźców. Według Robinsona „równina szybko zapełniła się konnymi wojownikami wystrojonym w świszczące na wietrze pióra i unoszącymi w górę ramiona, jakby szykowali się do bitwy. Gnali we wszystkie strony i w pewnym momencie ze środka tłumu jeźdźców rozległ się krótki okrzyk pełen tryumfu. Dopadli swoją ofiarę”.

Ostatnia noc w krainie Nawahów musiała sprawić przyjemność ochotnikom z Missouri. Ryzykując życiem, zakosztowali obcej kultury i bez żadnych kłopotów wypełnili zleconą im misję. Okazało się też, że ich konie były bezpieczne i nakarmione, a o świcie przygotowano je do drogi. Rankiem Amerykanie odjechali. Narbona zapewnił im eskortę, która szczęśliwie odprowadziła gości do granic krainy Nawahów.

Wydawało się, że szczęście sprzyjało naiwnym i dobrodusznym. Dzięki niemu ochotnicy dowodzeni przez Reida nie stracili życia. Ci młodzi wiejscy chłopcy uwierzyli, że mogą wszystko. Nie zagrażało im nawet prastare koło fortuny, które kręciło przemocą na tych ziemiach.

25

Droga do piekła

7 października 1846 roku stu dragonów generała Kearny’ego prowadzonych przez Kita Carsona opuściło wybrzeże Rio Grande i ruszyło na zachód. Po dotarciu do rzeki Gila Amerykanie weszli w jej kręte kaniony. Poruszali się teraz w terenie coraz bardziej jałowym i wypalonym przez słońce. W listopadzie opuścili ziemie Apaczów i wkroczyli na terytoria nieznanych sobie plemion – Zjadaczy Wilków, Brudasów, Indian z Klubu, Mieszkańców Lasów Sosnowych, Rozedrganych, Albinosów i Głupców. Przynajmniej takie nazwy indiańskich plemion Amerykanie przejęli od hiszpańskojęzycznych tłumaczy. Ci Indianie nigdy wcześniej nie spotkali Amerykanów i rzadko natykali się na Latynosów. Wielu z nich było niewątpliwie przerażonych z powodu dziwnych wojowników wdzierających się na ich ziemie. Jak pisał porucznik William Emory, Rozedrgani zawdzięczali swoje imię „emocjom, które okazywali podczas spotkań z białymi ludźmi”. Ich drżący wódz mówił „w języku przypominającym bardziej warknięcia mastifa niż jakąkolwiek ludzką mowę”[292].

Carson i Kearny większość drogi przejechali ramię w ramię – przewodnik przyodziany w zatłuszczone skórzane ubranie i dumny generał cały w błękitach. Obaj pochodzili z Missouri i mieli tam wspólnych znajomych. Kiedy Carsonowi dopisywał humor, wysilał się na rozmowę. Przez większość czasu po prostu jednak ponuro milczał. Nie doskwierała mu monotonia ciężkiej podróży, którą zmuszony był odbyć tą samą zniszczoną przez słońce drogą, którą dopiero co jechał w stronę przeciwną. Nie chodziło też tylko o to, że tęsknił za Josefą. Ani o niesmak, który ciągle czuł w związku z tym, że musiał oddać powierzone mu przez Frémonta listy. Te zmartwienia zostawił za sobą jeszcze w okolicach Rio Grande.

Carson był zły głównie z tego powodu, że pozbawiono go możliwości odbycia podróży przez całą Amerykę. Jego liczne i pełne przygód wyprawy

nie zaprowadziły go nigdy na Wschodnie Wybrzeże. Cieszył się, że zobaczy stolicę swojego kraju. Nie miał oczywiście złudzeń, że należy do zamkniętego świata książek, eleganckich ubrań i salonowych manier. Chciał jednak poznać tych wszystkich ludzi z wyższych sfer, dzięki którym wziął udział w wyprawach i stał się sławny – nie tylko prezydenta Polka, ale także senatora Thomasa Harta Bentona, jego córkę Jessie Benton Frémont oraz sekretarza wojny Williama Marcy'ego i oficerów służących w Korpusie Topograficznym.

Carson, który przypadkowo stał się agentem Boskiego Przeznaczenia, chciał poznać ludzi stojących za tą ideą.

Ambitny Kit chciał też pokonać kontynent w sześćdziesiąt dni[293]. W tamtych czasach wydawało się to równie nieosiągalne jak odnalezienie Świętego Graala. Ale obiecał to przecież Frémontowi – od brzegu do brzegu w sześćdziesiąt dni! Szanse na osiągnięcie tego na poły mitycznego celu były oczywiście marne. W 1846 roku najszybszym środkiem transportu pomiędzy Zachodnim Wybrzeżem a Wschodnim był statek. Można było odbyć nim podróż wokół Ziemi Ognistej albo dopłynąć do Panamy, tam przeprawić się przez wąski pas lądu łączący obie Ameryki i wsiąść na kolejny statek.

Carson chciał jednak udowodnić swoją wartość i przetrzeć szlak lądowy łączący oba brzegi Ameryki Północnej. Jak zresztą szacował, był na dobrej drodze do tego, żeby zmieścić się w dwóch miesiącach. Z Los Angeles dotarł ze swoimi ludźmi do Nowego Meksyku w dwadzieścia sześć dni. Dalsza droga miała być już łatwiejsza. Uczęszczanym Szlakiem Santa Fe pojechałby na północny-wschód aż do rzeki Missouri, gdzie złapałby jakiś parowiec do St. Louis. Stamtąd dojechałby do Waszyngtonu koleją i powozami, korzystając z porządnie utwardzonych dróg.

Teraz jednak znowu jechał na zachód, telepiąc się dzikim szlakiem, u boku generała w średnim wieku, który chciał podbić ziemie już podbite. Carsonowi zupełnie ta sytuacja nie odpowiadała.

Tak naprawdę jednak Carson się mylił. Kalifornia wcale nie była jeszcze zdobyta. Kiedy ją opuścił, wioząc tryumfalne listy Frémonta, terytorium

wstrząsnęło powstanie. Amerykanie zostali wyparci z Los Angeles, a także z Santa Barbara i właściwie z każdej osady nadmorskiej położonej na południe od Monterey. Meksykanie, oburzeni z powodu restrykcyjnych praw narzuconych im przez komodora Roberta Stocktona – w tym godziny policyjnej i aresztów bez wyroku sądu – postanowili wyprzeć najeźdźców ze swojego kraju. Jak napisał pewien historyk, rewolta „zakwitła jak pożar rozprzestrzeniający się w koronach górskich drzew”[294]. Wśród Latynosów krążył taki oto manifest:

> My, wszyscy mieszkańcy departamentu Kalifornia, jako członkowie wielkiego narodu meksykańskiego ogłaszamy, że naszym życzeniem jest i zawsze była przynależność do Meksyku. Dlatego uznajemy prawa narzucone nam przez siły najeźdźcze Stanów Zjednoczonych za niebyłe i nieważne. Ponieważ wszyscy Amerykanie są wrogami Meksyku, przysięgamy, iż nie spoczniemy, dopóki ich nie przegnamy z meksykańskiej ziemi.

Powstanie prawie osiągnęło swoje cele. Dumni Kalifornijczycy znowu byli górą. Amerykanie trzymali się jeszcze tylko w San Diego. W tamtejszym porcie zakotwiczyło kilka okrętów z floty komodora Stocktona. Ale Meksykanie właściwie nie pozwalali amerykańskim żołnierzom i marynarzom zejść z nich na ląd.

Generał Kearny wraz ze swoim pewnym siebie przewodnikiem oraz żałośnie małym i wymizerowanym pododdziałem szedł prosto w pułapkę.

*

Na początku listopada Kearny i jego dragoni wjechali w krajobraz „spękany i pokryty wysypką”. Nie mieszkał tam żaden człowiek i wydawało się, że w miejscu tym żyją wyłącznie tarantule, skorpiony i jaszczurki. Ziemia była gąbczasta i nasiąknięta solanką. Jak wspominał Emory, gdziekolwiek żołnierze najechali, tam „rozkwitały sole ziemi, sprawiając, że była jakby pokryta szronem”. „Dzięki temu tropy zostawiane przez konie nie zacierały się i długo można je było śledzić po białych ścieżkach”. Amerykanie mijali jadłoszyny i krzewy kreozotu, a także kaktusy, na które mówiono *ocotillo*, i parkinsonie. Wędrowali po piaskowych wydmach. Podziwiali dziwną urodę agawy amerykańskiej i drzew Jozuego. Po raz pierwszy natknęli się też na

kaktusy saguaro – olbrzymy pustyni Sonora mające potężne i nabrzmiałe pnie oraz rozgałęzienia przypominające ludzkie ramiona. Porucznik Emory uznał ów krajobraz – poznaczony „fantastycznie nieregularnymi górami" i „tajemniczo wyglądającymi miejscami" – za „aż nazbyt piękny"[295].

Dla kapitana Henry'ego Turnera marsz przez pustynię „był dziwnym doświadczeniem […]. Czuję się, jakbym śnił, dzień po dniu otoczony przez taką dzikość, w której poza słońcem, księżycem i gwiazdami nie odnajduję niczego znajomego. Lepiej by było, gdyby ta kraina została wymazana z tego świata. To największa dzicz na Ziemi. Wypełniają mnie tu smutne myśli o rodzinie, do której mam tak daleko i od której każdy kolejny dzień jeszcze mnie oddala"[296].

Mniej łaskawy był w swoich wrażeniach generał Kearny. „Jestem zdziwiony – napisał – kiedy patrzę na takie połacie ziemi, która nigdy nie przyda się ani człowiekowi, ani zwierzynie"[297].

Niemniej dzięki przemarszowi dragonów Kearny'ego ta bezużyteczna ziemia stała się częścią Stanów Zjednoczonych. Stu żołnierzy narzekających podczas drogi przez pustynię nie wyglądało na najeźdźców. A jednak nimi byli – byli długim i delikatnym pędem, który wykiełkował w Waszyngtonie i odbił na zachód. Rozkazy od prezydenta Polka dawały Kearny'emu szerokie pełnomocnictwa do przejęcia ziem, które wówczas nazywano Górną Kalifornią – rozległego terytorium obejmującego nie tylko dzisiejszą Kalifornię, ale także część obecnych stanów Nevada, Utah i Arizona. Rzadko się zdarzało, żeby tak duży obszar zagarnięto po prostu za sprawą przemarszu niewielkiej grupy ludzi.

W imieniu Stanów Zjednoczonych Kearny brał więc w posiadanie ziemię, po której wędrował. Choć, prawdę mówiąc, wątpił, żeby była ona coś warta. Hiszpanie, którzy długo przedtem zajęli potężne kawałki kalifornijskiego wybrzeża, nie mieli pomysłu na wykorzystanie piekielnego interioru tej krainy. Oczywiście ich eksploratorzy wielokrotnie go przemierzali i wydeptali tam swoje ścieżki – choćby w celu utrzymania kontaktów pomiędzy Kalifornią a osadami rozsypanymi nad Rio Grande w Nowym Meksyku. Jednak większość tej krainy spowijał nimb czegoś nieznanego, jakby nie do końca istniejącego. Nie było tam żadnych hiszpańskich wiosek

i katolickich misji ani nawet posterunków wojskowych. Na pustkowia dzisiejszej zachodniej Arizony i wschodniej Kalifornii rzadko zapuszczały się nawet koczownicze plemiona indiańskie.

Marsz przez pustynię – rozpaloną za dnia i lodowatą w nocy – wykańczał dragonów Kearny'ego i zabijał ich konie oraz muły. Zwierzęta padały właściwie co godzinę – jednego dnia zdechło ich dwanaście – a skóra tych silniejszych była pokryta strupami i otarciami. Przez większość drogi miały do jedzenia tylko gałązki jadłoszynu. Żołnierze przemaszerowali setki kilometrów pieszo, żeby oszczędzać swoje wierzchowce. Ludzi i zwierzęta smagały ostre liście juki, raniły ich kolce opuncji oraz kulistych kaktusów.

Kearny coraz częściej natykał się na szczątki mułów Carsona, które padły podczas jego podróży na wschód. W końcu generałowi padł z wyczerpania jego wspaniały gniadosz, ukochany koń, na którym opuścił Fort Leavenworth. Elegancki jeździec musiał więc przełknąć upokorzenie i przesiąść się na muła.

Teren był tak trudny, jak zapowiadał to Carson. Jeszcze nad Rio Grande ostrzegał generała, że każda wyprawa Szlakiem Gilii opuszczała jego surowe kaniony wymęczona i zagłodzona. Mówił, że droga będzie tak trudna, iż nie ma sensu zabierać wozów. Szlak jest dla nich za wyboisty, ich osie szybko by popękały. Dotarcie do Kalifornii trasą przejezdną dla wozów zajęłoby, jak oceniał Carson, co najmniej cztery miesiące.

Generał Kearny wziął sobie do serca rady swojego nowego przewodnika. Odesłał do Santa Fe wozy, za to zabrał ze sobą więcej mułów. Teraz, kiedy prowadził swoich wynędzniałych żołnierzy przez skaliste przesmyki, cieszył się, że ciągną tylko dwie haubice. Najbardziej wyczerpujący fragment szlaku, poznaczony ostrymi wzniesieniami i bazaltowymi urwiskami, które kosztowały życie piętnaście mułów, żołnierze nazwali „drogą do piekła" [Devil's Turnpike]. Porucznik Emory z ponurą elegancją opisał tę upiorną przełęcz:

> Metaliczny szczęk ostróg, tępy odgłos kopyt, wysokie czarne szczyty, głębokie ciemne parowy i kaktusy jakby nie z tego świata wyglądające spośród skał niczym jakieś diabelskie uszy – wszystko to sprawiało, że mieliśmy wrażenie stąpania nad

przepaścią świata. Czasem któryś muł wyzionął ducha i zostawał na drodze niczym płacone temu miejscu myto[298].

Dragoni zaczęli sarkać na trudy podróży. W swoim pamiętniku narzekał na nie między innymi kapitan Turner:

Jak mało ci, którzy siedzą w wygodnych fotelach w Waszyngtonie, wiedzą o trudach, jakie tu znosimy. Nawet nasi przyjaciele nie potrafią sobie wyobrazić prób, którym jesteśmy poddawani – brodzimy w strumieniach, wdrapujemy się na skały, przedzieramy się przez doliny wypełnione piachem, w którym nasze zwierzęta zapadają się po kolana. Jemy mizernie, śpimy na skale i ziemi, okrywając się mokrymi kocami. […] Co to za życie? Nie ma w nim żadnego uroku. Wypełnia je praca, praca od rana do nocy. Mam już tego dość. Niechby już to się skończyło. […] Taki jest żołnierski los, ale mam go już potąd[299].

Jednym z delikatnych problemów rozpatrywanych w zaciszu gabinetów, gdy dragoni przedzierali się na zachód, było to, czy ta kraina – jeśli Waszyngton kiedyś nada jej pełne prawa – będzie stanem niewolniczym. Porucznik Emory wyśmiał te rozważania w swoim dzienniku: „Nikt, kto kiedykolwiek postawił stopę w tym miejscu, nie wpadłby na pomysł, żeby z myślą o zarobku przywieźć tu swoich niewolników. Zyski z ich pracy nie pokryłyby nawet kosztów transportu”[300]. Zdaniem Henry’ego Turnera ludźmi, którzy mogliby chcieć zamieszkać w tej krainie, byli jedynie gruźlicy i inni chorzy zachęceni jej suchym i czystym powietrzem. „Tutaj inwalidzi, którzy w innych miejscach świata umierają, mogliby żyć – pisał Turner[301]. – Choć jest to kraj tak zakazany, że nikt chyba nie chciałby przedłużać sobie życia, skazując się na zamieszkanie w nim”.

Przełożeni Emory ’ego z Korpusu Topograficznego zastanawiali się, czy Szlak Gilii nadaje się dla wozów i czy dałoby się wzdłuż niego wybudować transkontynentalną linię kolejową. Emory odrzucił te pomysły z równą stanowczością, z jaką wypowiedział się na temat niewolnictwa. Uważał, że niemożnością jest choćby wyobrażenie sobie tego, żeby dało się poprowadzić porządną trasę kolejową przez to skaliste pustkowie. Jego zdaniem drogę, jeśli rzeczywiście miała powstać, powinno się poprowadzić dalej na południe, być może przez meksykańską twierdzę Tuscon.

Kiedy dragoni generała Kearny’ego wydostali się wreszcie z piekielnej pułapki rzeki Gila, natknęli się na bajeczną oazę. Wkroczyli do obfitujących w wodę ziem Indian Pima i Maricopa. Pimowie byli wspaniałymi rolnikami. Długo wcześniej pobudowali na swoim terytorium system tam i kanałów irygacyjnych, dzięki którym z sukcesem uprawiali między innymi kukurydzę, fasolę, dynię, tytoń i bawełnę. Zorientowany w sprawach technicznych porucznik Emory był pod wielkim wrażeniem „piękna, uporządkowania i ulokowania” kanałów. Podobnie jak większość żołnierzy Kearny’ego ujęli go też sami Indianie. Byli „szczerzy, godni zaufania, pokojowi i przedsiębiorczy”, uważał Emory. No i „zamieszkiwali żyzną dolinę”. Wymęczeni dragoni chcieli kupić od Pimów żywność. Ci jednak odmówili przyjęcia zapłaty.

– Chleb jest do jedzenia, a nie na sprzedaż, bierzcie, ile chcecie – upierali się, mówiąc po hiszpańsku.

Żołnierze zostali zaproszeni na ucztę.

Kiedy już się najedli, dragoni zapalili z Pimami fajkę, a potem śmiali się i handlowali do późnej nocy. Choć Indianie porozumiewali się z nimi głównie za pomocą chrząknięć i języka migowego, Amerykanie doceniali gościnność, z jaką ich podjęto. Henry Turner uważał Pimów za „dobry, łagodny lud i do tego zdaje się bardziej przedsiębiorczy od reszty Indian”[302]. Podziwiał też ich „miłą, przyjazną mimikę”. „Nie widziałem nigdy bardziej życzliwego oblicza niźli twarz ich starego wodza”.

Emory miał podobne odczucia. „Był to bardzo rzadki widok – pisał, nie kryjąc uznania dla Pimów. – Los rzucił nas w ramiona narodu, który często nazywa się »dzikimi Indianami«, ale który kulturą agrarną przewyższa wiele narodów chrześcijańskich, niewiele ustępując im rzemiosłem i niebywale góruje nad nimi szczerością i cnotą”[303].

Wyposażony w liczne przyrządy miernicze porucznik Emory cieszył się szczególnym zainteresowaniem Pimów. Ciekawiły ich jego teleskopy, sekstansy, barometry, karbowane metalowe rurki i wypełnione rtęcią flaszki. Wieczorem Emory chciał podziwiać, jak wspominał, „dwa zakrycia księżyców Jowisza”. Narzekał jednak w swoim dzienniku, że „po wiosce rozeszły się wieści o moich planach dotyczących gwiazd i w moim obozie

ciągle tłoczyli się ludzie”. Pimów szczególnie szokowały okulary, które porucznik miał na nosie. Nigdy czegoś takiego nie widzieli i zdawali się wierzyć, że dzięki dwóm szkiełkom na oczach można obedrzeć z ubrania człowieka, na którego się patrzy, i zobaczyć, jak wygląda nago. Odwracali więc głowy, zawstydzeni i obnażeni w towarzystwie obcej im osoby. „Było z tym sporo zabawy – pisał Emory. – Kiedy się do nich zbliżałem, kulili się i chowali za plecami towarzyszy. W końcu włożyłem swoje okulary na nos pewnej starszej kobiety. Kiedy zorientowała się, do czego służą, wyjaśniła ich przeznaczenie pozostałym”.

Ubawieni, najedzeni i podleczeni dragoni niechętnie opuszczali ziemie Pimów. Znowu ruszyli na zachód, w stronę Kalifornii. 23 listopada dotarli w okolice ujścia Gilii do potężnej rzeki Kolorado. Tego dnia porucznik Emory dokonał niepokojącego odkrycia. Robił właśnie pomiary zbiegu obu rzek, klekocząc jak zwykle swoim ekwipunkiem, kiedy natknął się na samotnego meksykańskiego jeźdźca.

– Dokąd jedziesz? – zapytał przez tłumacza.

– Poluję na konie – odpowiedział zdenerwowany Meksykanin.

Kiedy jeździec go minął, Emory nabrał podejrzeń. Zauważył, że Meksykanin ma ze sobą sporo wody i inne zapasy. Wyglądał, jakby wybierał się w długą drogę.

– Może pojedziesz ze mną do obozu? – Emory ni to zaproponował, ni rozkazał.

– Za chwilę – niechętnie odpowiedział Meksykanin. – Muszę coś najpierw zrobić – dodał, próbując się wymknąć.

Tego było za wiele. Jak później wspominał Emory, „niepokój Meksykanina zwiększył moją niechęć do ustąpienia mu”[304]. Porucznik i jego ludzie zatrzymali jeźdźca i zabrali go ze sobą do obozu. Kearny kazał go przeszukać. W jego torbie znaleziono pocztę. Wszystkie listy były napisane po hiszpańsku.

Generał wezwał tłumaczy i ci natychmiast zabrali się do przepisywania listów po angielsku. Szybko okazało się, że jeździec jest kurierem wiozącym pocztę z Kalifornii do generała Josego Castro stacjonującego w Sonorze. Im

głębiej tłumacze wgryzali się w odebrane listy, tym bardziej niepokojąca stawała się ich treść. Wyglądało na to, że w Kalifornii wybuchła kontrrewolucja. „We wszystkich listach podkreślano, że »wstrętne anglo-jankeskie jarzmo zostało zrzucone«”, pisał Emory , a Meksykanie „cieszyli się, że ich trójkolorowa flaga znowu zawisła w Kalifornii”. Przesłuchanie kuriera okazało się bezowocne, bo grał swoją rolę „tak wprawnie – jak uważał Emory, że – wydobycie z niego prawdy nie leżało w naszej mocy”.

Listy zostały napisane kilka tygodni wcześniej. Nawet jeśli uznać, że przepełniała je fanfaronada, to jedno było jasne – Amerykanie zostali wypchnięci z wybrzeża Kalifornii. Kearny w pełni rozumiał, w jakich znalazł się opałach. Miał ledwie setkę żołnierzy, a ich wierzchowce były w pożałowania godnym stanie. Pluł sobie w brodę, że odesłał dwie trzecie dragonów do Santa Fe. Choć jego pododdział tak naprawdę nie nadawał się do walki, jedyne, co mu pozostało, to szybki marsz na zachód ku wrogim wojskom. Mógł albo walczyć w Kalifornii, albo sczeznąć na pustyni.

Także Carson był mocno zaniepokojony wiadomościami o obrocie spraw w Kalifornii. Musiał być zszokowany, kiedy dowiedział się, że jego cenne listy były funta kłaków warte. Jednocześnie martwił się o przyjaciół, których zostawił w ogarniętej powstaniem prowincji. Szczególnie niepokoił go los Frémonta. W Kalifornii jednak znowu wrzała wojna, a wykuwanie historii przynajmniej nie było nudne. Carson znał Kalifornię Południową, mówił po hiszpańsku, poznał Stocktona i innych tamtejszych graczy. Rozumiał, że teraz Kearny bardziej niż do tej pory potrzebuje jego pomocy. W końcu zaczął się angażować w wyprawę generała i ucieszył się, że wraca na Zachodnie Wybrzeże.

25 listopada Kearny i jego żołnierze przeprawili się przez Kolorado. Mężczyźni parli na zachód. Byli podekscytowani i zaniepokojeni tym, że na pewno przyjdzie im walczyć z wrogiem. Odkąd dragoni opuścili Fort Leavenworth, szykowali się do bitwy i martwili się, jak ujął to pewien pisarz, że „ich szable pokryją się rdzą, a muszkiety kurzem”[305]. Wreszcie mogli liczyć na to, że ich nadzieje się spełnią.

Ale ciągle mieli przed sobą kilkaset kilometrów pustkowia. Nadal wędrowali po pustyni, która wydawała się jeszcze bardziej wymarła niż Szlak

Gilii. „Jałowy kraju – narzekał kapitan Turner – kiedy wreszcie cię pożegnam? Żadna siła na tym świecie nie zmusiłaby mnie teraz do powrotu”[306]. Żołnierze słyszeli wiele o bujnym pięknie Kalifornii. Teraz jednak byli gotowi uwierzyć, że wszystkie te opowieści to zwykłe bajki. „Ciągle czekamy na obiecane wspaniałe kalifornijskie widoki – pisał Emory. – Na razie otacza nas jałowe pustkowie”.

Amerykanie przeszli już przez wędrujące wydmy doliny Imperial i minęli południowe krańce gór Sierra Nevada, których odległe szczyty pokrywał świeży śnieg. Nocą wszyscy marzli. Kończyło im się jedzenie. Ich śladem szły wilki. Muły ciągle padały.

Dragoni wyglądali jak siedem nieszczęść. Jeden z oficerów, niejaki kapitan Johnston, podczas postoju przeprowadził inspekcję swoich ludzi i był wstrząśnięty tym, co zobaczył. „Żal na nich patrzeć – zanotował w pamiętniku. – Mundury w strzępach, niektórym brakuje butów”[307]. Johnston uważał jednak, że jego dragoni dadzą sobie radę, kiedy przyjdzie do bitwy: „Kiedy nadejdzie czas, będą gotowi”.

Osiemdziesiąt kilometrów przed San Diego, maszerując przez pylistą, porośniętą chaparralem okolicę, Amerykanie spotkali Anglika, który przedstawił im się jako Edward Stokes. Miał w Kalifornii ranczo i mieszkał w niej od wielu lat. Choć pozostawał neutralny [wobec konfliktu amerykańsko-meksykańskiego – przyp. tłum.], zgodził się dostarczyć list pozostającemu w San Diego Stocktonowi. Kearny powiadamiał w nim komodora o swoim marszu. „Przybywam z rozkazu prezydenta Stanów Zjednoczonych – napisał generał. – Wyjechaliśmy z Santa Fe 25 września po zajęciu Nowego Meksyku i włączeniu go do Stanów Zjednoczonych”. List Kearny’ego emanował spokojem. Generał ani słowem nie wspomniał w nim, że jego armia głoduje, a muły są ledwo żywe. Prosił tylko o informacje. „Czy mógłby pan wysłać do nas kogoś, kto poinformowałby nas, jak mają się sprawy w Kalifornii? Pragnąłbym, żeby zrobił to pan jak najszybciej. Strach, że ten list wpadnie w ręce Meksykanów, powstrzymuje mnie przed napisaniem czegoś więcej”.

Stokes schował list i popędził do San Diego.

Trzy dni później, rankiem 5 grudnia, około czterdziestu kilometrów na wschód od San Diego, zdumieni dragoni dostrzegli w oddali amerykańską flagę. Wystawała ponad chmurę pyłu wzbijaną przez zbliżający się pododdział piechoty morskiej USA. Najwyraźniej Anglikowi udało się dostarczyć list Kearny'ego komodorowi Stocktonowi. To musieli być posłańcy, o których prosił generał. Trzydziestu dziewięciu żołnierzy piechoty morskiej dowodzonych przez wojennego kapitana Archibalda Gillespiego – kuriera, który odbył iście epicką podróż, żeby odnaleźć w Kalifornii Frémonta – prześliznęło się przez meksykańskie oblężenie San Diego i pędziło na ratunek Kearny'emu.

Oczywiście generał wolałby, żeby było ich więcej niż trzydziestu dziewięciu, ale nie miał prawa narzekać. Poza tym posłańcy mieli dość świeże wierzchowce, małą haubicę strzelającą czterofuntowymi pociskami i zapasy jedzenia. Dragoni i żołnierze piechoty morskiej uściskali się serdecznie – jak rodacy spotykający się na końcu świata. Kearny'emu od razu poprawił się humor.

Kapitan Gillespie zameldował się generałowi i potwierdził wszystko to, o czym ten dowiedział się z przechwyconej meksykańskiej poczty. Amerykanie rzeczywiście zostali wyparci z prawie każdej miejscowości na wybrzeżu Kalifornii – wyjątkiem było San Diego. Gillespie powiedział też Kearny'emu, że kilkuset kalifornijskich jeźdźców rozbiło obóz w niedalekiej indiańskiej wiosce San Pasqual. Meksykańskimi bojownikami dowodził kapitan Andres Pico, jeden z przywódców kontrrewolucji i brat byłego gubernatora Kalifornii. Ich obóz znajdował się pomiędzy obozami Kearny'ego i Stocktona, na drodze do San Diego. Jeśli więc generał zamierzał połączyć siły z komodorem, to nie mogło się obyć bez bitwy z Pico.

– Może załatwimy go tu i teraz? – zaproponował Gillespie.

Jego zdaniem szybki „najazd na obozowisko Meksykanów" powinien skończyć się zwycięstwem Amerykanów.

Kearny'emu podobał się ten zuchwały pomysł. Choć był ryzykowny i przez to sprzeczny z ostrożną naturą generała, Kearny uważał, że lepiej było zaskoczyć siły kapitana Pico atakiem przed świtem, niż przedłużać sprawę

i pozwolić, by Meksykanie poznali prawdę: że nawet wzmocnione przez żołnierzy Gillespiego siły Kearny'ego są słabiutkie, a żołnierze dosiadają marnych wierzchowców. Kearny rozumiał, że musi blefować. Zdecydowany atak pozwoliłby zakamuflować słabość. Generał miał w ten sposób szansę oszukać Meksykanów i „wmówić" im, że dysponuje większymi siłami niż w rzeczywistości. Jak tłumaczył Emory, „generał zdecydował, że trzeba nadrabiać agresją. Chciał zaatakować w nocy i pobić wroga, zanim się rozjaśni, i ten odkryje naszą słabość"[308].

Pomysł poparł Kit Carson. Po swoich wcześniejszych doświadczeniach w Kalifornii lekceważył Meksykanów. Sądził, że w pojedynkę są co prawda odważni, ale za to kiepsko zorganizowani i rzadko kiedy dobrze wyposażeni.

– Wystarczy na nich najechać, trochę powrzeszczeć i uciekną – powiedział.

Podobne zdanie miał o wojskowych umiejętnościach Meksykanów kapitan Gillespie (choć miesiąc wcześniej to właśnie meksykańscy powstańcy przegonili z Los Angeles jego i żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej). „Kalifornijczycy pochodzenia hiszpańskiego są przerażeni, kiedy widzą amerykańskie karabiny", napisał Gillespie w jednym ze swoich raportów.

Możliwe też, że Kearny, który po opuszczeniu Fort Leavenworth pokonał blisko trzy tysiące kilometrów (marsz jego armii pozostaje jednym z najdłuższych w historii amerykańskich sił zbrojnych), po prostu rwał się do walki. Niektórzy historycy tak właśnie uważają. Jednym z nich jest Stanley Vestal, którego zdaniem Kearnym kierowała chęć zyskania chwały – miał zazdrościć jej swoim kolegom, którzy walczyli na terytoriach meksykańskich na Południu. „Inni generałowie zabijali setki Meksykanów – pisał Vestal. – A on tylko maszerował i odczytywał proklamacje. Teraz jednak mógł pokazać Frémontowi, jak zdobywa się Kalifornię. Szarżą!"[309].

Jednak doświadczenie Kearny'ego w wojowaniu na równinach i jego wewnętrzny spokój zdają się przeczyć takiej ocenie. Jeśli nawet popełnił błąd, to nie dlatego że był zazdrosny albo żądny chwały. Za nocnym atakiem na Meksykanów przemawiała logika. Kearny chciał przede wszystkim zagarnąć przebywające na pastwisku konie przeciwnika. Zdawał sobie sprawę, że gdyby mu to się udało, bitwa skończyłaby się, zanim jeszcze by

się zaczęła. Jako doświadczony kawalerzysta był też przerażony kondycją wierzchowców swoich dragonów. Jeśli miał dotrzeć do San Diego i odbić resztę Kalifornii, musiał wymienić wynędzniałe i pokryte strupami muły na mocne konie. I teraz, jak uważał, nadarzała się ku temu doskonała okazja.

Carson świetnie rozumiał cel nocnego napadu. Później opisał go zresztą w naturalny dla siebie bezpośredni sposób: „Naszym celem było zagrabienie zwierząt należących do Kalifornijczyków”[310].

Dragoni i żołnierze piechoty morskiej obozowali kilkaset metrów od siebie w wąskiej dolinie położonej ledwie przeszło trzy kilometry od San Pasqual. W nocy siąpił deszcz, a dolinę wypełniła lodowata mgła. Kiedy żołnierze drżeli pod mokrymi kocami, Kearny postanowił wysłać mały podjazd do obozu zajmowanego przez Meksykanów i pod osłoną nocy rozpoznać ich siły. Rekonesans został pospiesznie zebrany z sześciu dragonów i meksykańskiego kolaboranta Rafaela Machado, dezertera od kalifornijskich powstańców.

Około dziesiątej wieczorem zwiadowcy wsiedli na muły i zniknęli we mgle. Szybko dotarli do pogrążonej we śnie osady. Dragoni wysłali spieszonego Machado, żeby wywabił z San Pasqual jakiegoś Indianina i rozpytał go o wojska meksykańskie. Ilu jest żołnierzy? Gdzie śpią? Gdzie pasą się ich konie? Machado wśliznął się do wioski i rzeczywiście natrafił na Indianina, który zgodził się pomóc Amerykanom („Indianie byli wrogo nastawieni do Kalifornijczyków – opowiadał później jeden z żołnierzy Kearny’ego – i chętnie ich zdradzali”[311].). Dragoni niepokoili się jednak, że Machado długo nie wraca. Nagle zaszczekał pies. Niecierpliwi Amerykanie pognali na mułach do wioski, żeby zorientować się w sytuacji. Pobrzękiwanie ich szabli zaalarmowało wartowników rozstawionych przez kapitana Pico.

Kalifornijczycy krzyknęli na alarm. Dragonom udało się znaleźć Machado i ukryć się we mgle. Jednak w zamieszaniu któryś z nich zgubił niebieską kurtkę oznaczoną literami „U.S.”. Znalazł ją jeden z Meksykanów. Kiedy pokazał ją dowódcy, ten szybko poderwał swoich ludzi. Powstańcy zrywali się ze snu, wybiegali z chat i pędzili do swoich wierzchowców.

– *Viva California!* – krzyczeli. – *Abajo Los Americanos*[38]!

Zwiad odbił się Amerykanom czkawką. W jednej chwili stracili przewagę wynikającą z zaskoczenia.

Krótko po północy dragoni wrócili do obozu i powiadomili Kearny'ego o tym, co się stało. Generał nie marnował czasu. Rozkazał natychmiastowy atak. Co prawda stracił przewagę, ale ciemna noc ciągle była po jego stronie. Pico nadal nie miał pojęcia, jak mała i żałosna jest „armia" Kearny'ego. Ale skoro świt meksykańscy zwiadowcy na pewno szybko wykryją słabość amerykańskich wojsk. Trzeba było uderzać bez zwłoki. Kearny nie chciał pozwolić, żeby jego sytuacja się pogorszyła.

Obóz Amerykanów wypełnił się krzykami. Było tak zimno i mokro, że trębacz nie był w stanie odegrać pobudki. Mokre koce zesztywniały od szronu, żołnierze byli przemarznięci i otępiali. Kiedy jednak zdali sobie sprawę z powagi sytuacji, zerwali się na nogi. Jak zapamiętał jeden z kronikarzy tej wyprawy: „Wszyscy byli podnieceni i rwali się do spotkania z wrogiem". W ciągu piętnastu minut dragoni pędzili na mułach w stronę San Pasqual. Szybko dogonili Gillespiego i jego piechotę morską. Trębaczowi udało się rozgrzać na tyle, że zagrał kilka taktów wojennej pieśni *Charge as Foragers*[39].

Kiedy żołnierze dotarli na szczyt wzgórza wznoszącego się nad wioską San Pasqual, w której teraz wrzało jak w ulu, Kearny zatrzymał swoich ludzi i do nich przemówił. Przyznał, że kraj wiele od nich wymaga. Nakazał im okrążyć osadę i wyłapać meksykańskie konie. Jeśli trzeba będzie zabijać, niech zabijają. Generał nie chciał jednak rzezi i nakazał swoim ludziom wzięcie jak najliczniejszych jeńców. Jeśli dojdzie do walki, będzie to prawdopodobnie walka wręcz. Karabinki nie mogły się przydać w tej mgle, Kearny kazał więc dragonom dobyć szabli.

– Pamiętajcie – pouczył ich generał. – Jedno cięcie jest o wiele bardziej efektywne niż kilka[312].

I tak tuż przed świtem 6 grudnia 1846 roku setka dragonów zjeżdżała w stronę oddalonego od nich o półtora kilometra San Pasqual. Jeźdźcy szybko uformowali długą dwójkową kolumnę. Carson, Kearny i Emory jechali w awangardzie. W szarym świetle poranka ostrożnie schodzili w dół zbocza.

26

Czerwone dzieci

Był chłodny i olśniewająco jasny poranek 21 listopada. W Bear Springs pułkownik Alexander Doniphan spotykał się czternastoma wodzami plemienia Nawaho. Był wśród nich i Narbona. Starzec wyglądał marnie. Był zbyt słaby, żeby zabrać głos. Na spotkanie dotarł na noszach.

Niedaleki płaskowyż z czerwonej skały tworzył naturalny mur. Łagodnym zboczem porośniętym sosnami i jałowcami spływał zimny strumień. Narbona doskonale znał Bear Springs. W końcu przez stulecia było to miejsce spotkań Diné.

Na okolicznych wzgórzach zgromadziło się pięciuset Nawahów i trzystu Amerykanów. Przyglądali się naradzie.

Pierwszy powstał i przemówił pułkownik Doniphan. Był potężnym i wysokim mężczyzną, obdarzonym silnym głosem. Był też doświadczonym i pewnym siebie prawnikiem, dzięki czemu w swoim rodzinnym Liberty w Missouri wyszedł zwycięsko z wielu procesów. Spotkanie z Nawahami traktował jak kolejne starcie na sali sądowej, które zamierzał wygrać.

– Stany Zjednoczone podbiły Nowy Meksyk i ich prawo obowiązuje teraz na całym jego terytorium – rozpoczął Doniphan[313]. – Mieszkający tu Meksykanie będą chronieni przed przemocą i najazdami, a ich prawa będą respektowane. Ale moja ojczyzna chciałyby także zawrzeć traktat pokojowy i nawiązać trwałą przyjaźń z wami, czerwonymi dziećmi tej ziemi, Nawahami. I was obejmie ta sama ochrona. Mam pełnomocnictwo do wynegocjowania trwałego pokoju pomiędzy wami, mieszkającymi tu Meksykanami i nami. Jeśli odmówicie podpisania traktatu – na warunkach honorowych dla obu stron – będę musiał wypowiedzieć wam wojnę. Stany Zjednoczone nie negocjują ponownie. Oferujemy wam gałązkę oliwną, ale jeśli ją odrzucicie, będziemy mieli dla was tylko proch, kule i stal.

Po Doniphanie powstał młody wódz Nawahów, znany pod hiszpańskim imieniem Zarcillos Largos. Był to elokwentny człowiek, którego John Hughes opisał jako „pełnego śmiałości i intelektu”[314]. Largos reprezentował młodszą część plemienia, która uważała, że jeśli Nawahowie zrezygnują ze swojego odwiecznego konfliktu z Latynosami zamieszkującymi Nowy Meksyk, okryją się hańbą.

– Amerykanie! – wyrzucił z siebie. – Przez lata wojowaliśmy z Meksykanami. Plądrowaliśmy ich wioski, zabiliśmy wielu z nich i wielu wzięliśmy do niewoli. Nie robiliśmy tego bez powodu. Także i wy wydaliście wojnę tym samym ludziom. Macie wielkie działa i wielu walecznych żołnierzy. Podbiliście Meksykanów. Udało wam się to, co my próbowaliśmy zrobić przez tyle lat. Zwracacie się teraz przeciwko nam, bo próbujemy zrobić to, co i wy zrobiliście. Nie rozumiemy, czemu mielibyście mieć do nas pretensję o to, że walczymy z Meksykanami na zachodzie, kiedy wy walczycie z nimi na wschodzie[315].

Pułkownik Doniphan znowu powstał. Musiał wytłumaczyć tym ludziom stanowisko swojego kraju. Było dla niego jasne, że Nawahowie nie pojmują, co Amerykanie rozumieją przez „poddanie się”.

– Amerykanie mają taki zwyczaj – zaczął pułkownik – że jeśli ludzie, z którymi toczą wojnę, się poddadzą, od tej chwili traktowani są jak przyjaciele. Nowy Meksyk został przyłączony do mojego kraju. Dlatego jeśli będziecie okradać jego mieszkańców, będziecie okradać i mój kraj. Jeśli ich zabijecie, to tak jakbyście zabili Amerykanów, bo mieszkańcy Nowego Meksyku stali się Amerykanami. Nie pozwolimy, żeby nadal działa im się krzywda.

Largosowi wyraźnie nie podobało się to, co usłyszał. Ale w końcu ustąpił.

– Jeśli Nowy Meksyk rzeczywiście znalazł się w waszym posiadaniu i wasz rząd zamierza go utrzymać, zakończymy nasze działania. Nie wypowiemy wojny mieszkańcom Nowego Meksyku. Nie mamy bowiem powodu do kłótni z wami i nie chcemy toczyć wojny z tak potężnym narodem. Niech pomiędzy nami zapanuje pokój.

Narbona, Largos i inni byli gotowi do zawarcia pokoju. Doniphan napisał już stosowny traktat składający się z pięciu akapitów. Zobowiązywał on

sygnatariuszy do „wiecznego pokoju, wzajemnego zaufania i przyjaźni”. Imiona czternastu nawahijskich wodzów spisano na dole. Ponieważ żaden z nich nie potrafił ani czytać, ani pisać w jakimkolwiek języku, Doniphan musiał wymyślić, jak mają podpisać porozumienie. Powiedział każdemu z wodzów, by palcem wskazującym dotknęli pióra trzymanego przez żołnierza, kiedy ten stawiał „X” przy ich imieniu.

Wątpliwe, by Nawahowie orientowali się do końca w tym, co podpisali. Wydaje się jednak, że mimo wszystko był to moment podniosły i pełen nadziei. Amerykanie i Nawahowie zawarli swój pierwszy traktat pokojowy i świat z tego powodu się nie skończył. Uznali się za przyjaciół – i chyba wierzyli w to, że nimi są.

Pułkownik Doniphan i jego świta zbierali się do drogi na południe, do Meksyku właściwego. Teraz kiedy mniej więcej zakończyli konflikt z Nawahami, mogli zająć się swoim następnym zadaniem – inwazją na meksykański stan Chihuahua i jego stolicę. Od wymarszu z Fort Leavenworth Missourczycy kierowali się naiwną wiarą w swoje możliwości, albo i bezczelnością. Bez wysiłku podbili ogromne terytorium i szybko poradzili sobie z rozwiązaniem problemów istniejących od wieków – tak jak teraz w krainie Nawahów. Do tego uważali, że wszyscy powinni im za to dziękować.

Z kolei Narbona i jego rodacy wyruszyli do domu. Zimą będą opowiadać swoje legendy, zbierać się na naradach i pocić w łaźniach parowych. Ich świat ciągle wydawał się syty i znajomy.

Zawarli pokój. Ale dla Nawahów niewiele się zmieniło. Na pewno młodsi wojownicy tak właśnie to postrzegali. 26 listopada, w niecały tydzień po podpisaniu traktatu pokojowego, banda Nawahów zabiła latynoskiego pasterza koło Socorro w Nowym Meksyku. Indianie uprowadzili siedemnaście mułów należących do rządu Stanów Zjednoczonych i przeszło osiemset owiec, które kupiono na prowiant dla amerykańskich wojsk. Dwóch kiepsko uzbrojonych ochotników z Missouri, szeregowcy Robert Spears i James Stewart, popędziło za Nawahami. Ciała Amerykanów – naszpikowane w sumie dwudziestoma dwoma strzałami – znaleziono później

dziesięć kilometrów na zachód od miejsca napadu. Ich głowy Indianie zmasakrowali kamieniami.

Spears i Stewart byli pierwszymi amerykańskimi żołnierzami zabitymi przez Nawahów[316].

27

Zimna stal

Bitwa pod San Pasqual[317] – którą uważa się dziś za najpoważniejsze starcie wojny meksykańskiej, jakie miało miejsce na terenach należących obecnie do USA – rozpoczęła się od pomyłki.

– Rysią! – zakomenderował przeszło kilometr przed wioską generał Kearny.

Dragoni zdążyli jednak rozciągnąć się w długą kolumnę, oficerowie byli rozproszeni, a na czoło wysunęli się jeźdźcy siedzący na wierzchowcach będących w lepszej formie. Jadący z przodu kapitan Abraham Johnston i inni dragoni źle generała zrozumieli.

– Szarżuj! – błędnie powtórzył za nim Johnston.

Fałszywa komenda potoczyła się błyskawicą przez całą kolumnę. Kapitan i inni dragoni poderwali swoje wierzchowce do galopu i zniknęli we mgle.

Kearny szybko zorientował się w sytuacji.

– Na Boga, nie o to mi chodziło! – krzyknął, ale było już za późno[318].

Jedna trzecia jego sił, głównie młodzi oficerowie dosiadający nielicznych dobrych koni, gnała już na oślep. Reszta wlokła się w tyle na steranych mułach. Luka pomiędzy dwoma grupami niebezpiecznie się powiększała. Miejsce w szpicy stracił sam Kearny i teraz zapalczywie poganiał swojego wierzchowca. Carson, który dosiadał niezłego konia, wyrwał do przodu i jechał tuż obok Johnstona. Obie haubice dragonów i czterofuntowe działo piechoty morskiej – wszystkie ciągnięte przez muły – zostały tak daleko w tyle, że stały się tymczasowo bezużyteczne.

Kapitan Andres Pico i jego Kalifornijczycy – wszyscy na znakomitych koniach – zebrali się w jarze niedaleko San Pasqual. Owinięci w poncza akurat naradzali się po cichu, kiedy wpadli na nich Johnston, Carson i reszta szpicy dragonów. Podwładni Pica szybko uformowali linię i wypalili

w stronę napastników. Kula wystrzelona z muszkietu trafiła Johnstona prosto w czoło. Kapitan zginął na miejscu i spadł z rozpędzonego konia.

Carson jechał tuż za nim. Jego koń potknął się i wyrzucił go z siodła. Choć Kit runął na ziemię, nie odniósł poważniejszych ran. Niestety złamał przy okazji karabin. Teraz gorączkowo starał się wydostać z matni – jak krab uciekał na czworakach spod kopyt wpadających do jaru wierzchowców.

– Prawie zadeptały mnie na śmierć – opowiadał potem. – W końcu jakoś udało mi się odpełznąć na bok[319].

Nadjeżdżali kolejni dragoni. Na widok Meksykanów sięgali po swoje karabinki, ale większość z nich była tak zamokła i skorodowana, podobnie jak naboje, że Amerykanie nie byli w stanie z nich wystrzelić. Tak jak przewidywał Kearny, musieli walczyć w bezpośrednim starciu. Dragoni dobywali więc szabli i wymachiwali nimi dziko, zbliżając się do wroga.

Kalifornijscy jeźdźcy zwinęli linię i upozorowali ucieczkę. Zawrócili i pognali na zachód, pędząc wzdłuż brzegu krętego płytkiego strumienia. Dowództwo nad Amerykanami objął po Johnstonie kapitan Ben Moore. Rozkazał dragonom gonić Meksykanów. Nie był to jednak dobry pomysł, bo pościg jeszcze bardziej rozciągnął amerykańskie siły. Na jego czele biegło ledwie kilka najmocniejszych wierzchowców, a reszta została daleko w tyle. Jeszcze dalej w tyle byli generał Kearny, porucznik Emory i reszta dragonów. Oznaczało to, że garstka Amerykanów, odcięta od głównego zgrupowania, musi sobie radzić sama.

W końcu *caballeros* kapitana Pico zorientowali się, że ściga ich ledwie grupka dragonów, że reszta sił przeciwnika jest niemiłosiernie rozciągnięta w polu i że Amerykanie dosiadają marnych wierzchowców. Kalifornijczycy wyczuli słabość i sami poczuli się silni. Ze zręcznością charakterystyczną dla wytrawnych jeźdźców zawrócili konie i popędzili prosto na Moore’a. Szarżowali z pochylonymi do przodu lancami – długimi na trzy metry i zakończonymi metalowymi grotami.

„Co się dzieje?”, musieli zastanawiać się dragoni. Wyglądało to jak atak rycerzy używających anachronicznych kopii z czasów don Kichota. Amerykanie parskali, patrząc na tę szarżę. To nie turniej, na Boga!

Ale Kalifornijczycy w kilka sekund fachowo otoczyli Moore’a i kilku innych dragonów – „zupełnie jak stado bydła”[320], jak opisał to pewien historyk. Moore desperacko zaszarżował na kapitana Pico. Wystrzelił z pistoletu, ale chybił, więc sięgnął po szablę. Pico, który był doskonałym szermierzem, sparował cios Moore’a i ciął go swoim ostrzem. Dwóch Kalifornijczyków przyszło swojemu dowódcy z pomocą i przekłuło Moore’a lancami. Kapitan spadł z konia. Mocno krwawił. Ciągle ściskał w dłoni szablę, ale podczas upadku jej ostrze złamało się tuż pod rękojeścią. Leżał więc bezbronny pod wierzbą. Jeden z Kalifornijczyków dobił go strzałem z pistoletu.

Do walki włączali się nowi dragoni. Zdali już sobie sprawę z tego, że z ich zawilgotniałych karabinków nie da się strzelać, więc wymachiwali nimi jak maczugami. Nie mogli się jednak równać ze świetnymi meksykańskimi jeźdźcami i ich rzekomo przestarzałą sztuką walki. Kalifornijczycy biegle władali lancami. Bez litości kłuli i cięli Amerykanów, pozostając poza zasięgiem ich szabli i maczug. Ostre groty lanc zostawiały w ciałach pchniętych nimi żołnierzy głębokie „otwory” – jak opisywał je potem amerykański lekarz. Prawie każdy z dragonów został wielokrotnie raniony.

Podwładni kapitana Pico równie biegle posługiwali się bronią zwaną *reata* – skórzanym lassem. Zarzucali je na niespodziewających się tego dragonów i ściągali ich z siodeł. Inni Meksykanie dokańczali dzieła lancami, przekłuwając bezbronnych i tarzających się po ziemi Amerykanów. Rzut *reata* był ponoć umiejętnością doprowadzoną w Kalifornii do perfekcji. W Meksyku mówiło się, że „Kalifornijczyk potrafi równie dobrze rzucić lassem za pomocą nogi jak pozostali Meksykanie, używając rąk”[321]. Pewien historyk Dzikiego Zachodu napisał zaś, że dla meksykańskich mieszkańców Kalifornii „siodło było domem, koń – drugim ja, a lanca i *reata* – gimnastyką”. Tamtego szarego poranka amerykańscy dragoni odkrywali brutalną prawdę stojącą za tymi aforyzmami.

Jednym z dragonów, którzy dołączyli do walki z opóźnieniem, był porucznik Tom Hammond, szwagier poległego kapitana Moore’a.

– Na Boga, ludzie, do mnie! – krzyczał, zastanawiając się, co się stało z dragonami.

Nagle dostrzegł skłute ciało Moore’a i ruszył w jego stronę. W tej samej chwili najechał na niego kalifornijski jeździec i wbił mu w bok lancę. Śmiertelnie raniony Hammond spadł z konia i zaległ koło ciała swojego szwagra. Zmarł kilka godzin później.

Carson zdołał wymknąć się z jaru, w którym spadł z konia. Karabinek i amunicję zabrał jakiemuś martwemu dragonowi – prawdopodobnie Johnstonowi. Złapał błąkającego się w okolicy konia i pognał w stronę bitwy. Kiedy dotarł do zakrętu doliny, w którym dragoni desperacko ścierali się z Kalifornijczykami, błyskawicznie pojął, że walka w siodle nie ma sensu. Meksykańscy jeźdźcy roznosili Amerykanów w strzępy. Wszyscy dragoni, którzy włączyli się do walki, byli albo poważnie ranni, albo zginęli. Ich szable nie mogły się równać z lancami, a ich wymęczone muły i konie wyraźnie ustępowały wspaniałym i zwinnym wierzchowcom dosiadanym przez Kalifornijczyków.

Kiedy Carson zdał sobie sprawę z bezsensu walki wręcz, w sposób bardzo dla siebie charakterystyczny zmienił taktykę. Po cichu zsiadł z konia na granicy pola bitwy i ukrył się za głazami. Tam sprawdził swoją broń i zapas amunicji. Okazało się, że nie zamokły. Potem starannie wycelował i jednego po drugim zaczął „zdejmować” meksykańskich jeźdźców, którzy pojawili się w jego zasięgu. Taki był właśnie Carson – zamiast wdawać się w romantyczną i konwencjonalną bitwę na broń białą, wolał bardziej pragmatyczny sposób zabijania, dzięki któremu mógł wykorzystać swoje atuty.

W końcu na pole bitwy przybyli na zdyszanych mułach generał Kearny i porucznik Emory. Kearny od razy włączył się do walki. Był zdumiony umiejętnościami Kalifornijczyków.

– To najlepsi jeźdźcy na świecie – opowiadał potem. – Właściwie każdy z nich mógłby występować w cyrku[322].

Kearny przedarł się przez tłum walczących, ścierając się z lansjerami, wykrzykując komendy i wykazując się swoimi szermierczymi umiejętnościami.

– Stary generał walczył jak lew, ale robił to z zimną krwią – relacjonował jeden z żołnierzy piechoty morskiej.

Ale i Kearny nie uciekł przed grotem lancy. Pojedynkował się z jakimś Kalifornijczykiem, kiedy inny dopadł go z tyłu, wbijając mu lancę głęboko w pośladek. Kolejny napastnik trafił generała w ramię. Kearny spadł z konia i pewnie by zginął, gdyby nie Emory. Porucznik rzucił się swojemu dowódcy na ratunek i odepchnął przeciwników szablą. Generał był ciężko ranny. Leżał na zimnej i mokrej ziemi, potężnie krwawiąc z licznych ran.

Następny wpadł na pole walki kapitan Archibald Gillespie.

– Do mnie, na Boga, do mnie! – krzyczał[323].

Jakiś Meksykanin uderzył go lancą w kark i zrzucił z konia. Drugi lansjer trafił go prosto w usta i wybił mu zęba. I w końcu trzeci trafił go pod mostkiem, przebijając płuco.

Gillespie zdołał jakoś wstać i dysząc, przedarł się do miejsca, gdzie upadł generał Kearny i gdzie dragoni zaczęli w końcu walczyć w sposób zorganizowany. Mieli już haubicę, z której raz albo dwa wystrzelili w stronę uciekającego, jak się wydawało, przeciwnika. Zanim jednak Kalifornijczycy się wycofali, zdołali odebrać dragonom drugą haubicę. Złapali ją na lassa i odciągnęli z pola bitwy.

Oczywiście Kalifornijczycy wcale nie uciekali. Wycofali się po prostu na pobliskie wzgórza, skąd podziwiali własne zwycięstwo i gdzie zastanawiali się, jak ponownie uderzyć. Kapitan Pico był bardzo zadowolony ze swoich ludzi. Później zameldował przełożonym, że bitwa pod San Pasqual została rozstrzygnięta *a pura arma blanca* – wyłącznie za pomocą zimnej stali[324]. Amerykanie mogli się pocieszać tylko jednym drobiazgiem – to oni utrzymali się na polu bitwy, co w niektórych podręcznikach, z których uczono w West Point, uznawano za zwycięstwo.

Korzystając z chwilowej przerwy w walce, doktor Griffin, lekarz polowy dragonów, próbował zatamować krwawienie z ran Kearny’ego.

– Najpierw proszę pomóc żołnierzom, których rany wymagają pilniejszego zaopatrzenia – zakomenderował generał. – Potem może pan wrócić do mnie[325].

Generał uniósł się na łokciu i rozejrzał po polu bitwy. Wszędzie ciała. W ciągu piętnastu minut bitwy poległo dwudziestu jeden Amerykanów.

Wielu innych było poważnie rannych. Dolina wyglądała potwornie. Zalegający w niej żołnierze jęczeli z bólu.

Kearny był bardzo blady. Krwotok nie ustępował. Kiedy doktor Griffin zajął się innymi żołnierzami, generał zemdlał.

Przez resztę dnia – 6 grudnia 1846 roku – żołnierze Kearny'ego prawie nie ruszali się z miejsca. Przygotowywali się, jak mogli, do obrony swojej reduty, którą umocnili artylerią. Zdawali sobie sprawę, że są oblężeni. Widzieli meksykańskich jeźdźców, którzy swobodnie przemieszczali się po okolicznych wzgórzach – poza zasięgiem amerykańskich kul – i planowali atak.

Doktor Griffin uwijał się wśród rannych, łatając ich rany i pocieszając umierających. Pracował, jak wspominał Emory, „wytrwale i umiejętnie". Udało mu się też ocalić od śmierci Kearny'ego. Generał stracił tak dużo krwi, że doktor obawiał się o jego życie. Ponieważ Kearny nie był w stanie dowodzić, przekazał swoje obowiązki kapitanowi Henry'emu Turnerowi.

Pilnym zadaniem było uprzątnięcie ciał zabitych. Turner obawiał się, że jeśli dragoni zaczęliby teraz grzebać poległych, to Kalifornijczycy albo miejscowi Indianie mogliby później zbezcześcić groby. Kapitan postanowił więc poczekać do zmroku, a potem pochować wszystkie ciała w jednym grobie. O świcie ci, którzy przetrwali pierwsze starcie z Kalifornijczykami, musieli spróbować przedrzeć się do San Diego. Nie mieli innego wyboru.

Mijały godziny. Dragoni – głodni, skrwawieni i świetnie widoczni na porośniętej krzakami równinie – przygotowywali się do kolejnej bitwy. Suszyli amunicję, czyścili broń, ostrzyli szable. Kalifornijczycy nie zdecydowali się jednak na atak.

Nadszedł zmierzch. Pod osłoną nocy dragoni po cichu wykopali spory dół pod wysoką wierzbą i pochowali poległych. W sumie około dwudziestu ciał, w tym – według jednej relacji – kilku jeźdźców przeciwnika. Emory wspominał, że w nocy zaczęły „wyć wilki, zwabione odorem" trupów. Nastrój był posępny. Po tylu kilometrach wspólnej drogi dragoni byli sobie bliscy jak rodzina. Jak pisał Emory, łączyła ich „wspólnota trudów". Wydawało się więc najwłaściwsze, by ci „dzielni ludzie spoczęli na

wieczność razem”[326]. Dragoni wprowadzili swoje wierzchowce na świeży grób, żeby ubić poruszoną ziemię. Potem przykryli go kamieniami.

Rankiem Kearny poczuł się na tyle silny, że odebrał dowodzenie kapitanowi Turnerowi. Wyglądał blado i mizernie, ale doktor Griffin jakoś doprowadził go do porządku. Generał zdołał nawet wsiąść na konia. Klął z bólu. Rozległa rana na pośladku nie tylko go zawstydzała, ale też porządnie piekła. Był jednak gotów do drogi. Jak wspominał potem Carson, „Kearny postanowił kontynuować marsz, a o konsekwencje martwić się później”[327].

Zdecydowano też, że ranni, którzy nie są w stanie jechać konno, zostaną przewiezieni na noszach. Korzystając z pomocy ludzi gór, dragoni sklecili prowizoryczne włóki – pomiędzy wierzbowymi gałęziami przywiązanymi do siodeł rozciągnęli bizonie skóry.

Na sygnał Kearny’ego Amerykanie ruszyli. Z przodu ciągnięto działa, a żołnierze jadący na lepszych wierzchowcach zabezpieczali flanki i tyły. W środku jechały objuczone muły i ranni, którzy w bólu podskakiwali na ciągniętych po ziemi włókach. Dla nich był to koszmar na jawie. Wielu zerwały się opatrunki i pootwierały rany. „Ambulanse trzęsły – pisał Emory – a cierpienia rannych nie dawały nam spokoju”[328].

Amerykanie posuwali się powoli naprzód, przedzierając się przez zakurzony i porosły krzakami teren. Szybko zauważyli, że Kalifornijczycy jadą za nimi i obserwują ich z okolicznych wzgórz, czekając na odpowiedni moment do ataku. Po kilku kilometrach powolnego marszu rozległy się pierwsze strzały. Strzelali Kalifornijczycy ukryci za głazami na niedalekim wzgórzu. Kearny od razu nakazał szarżę. Grupa dragonów dowodzonych przez porucznika Emory’ego starła przeciwnika i opanowała jego pozycję. Pięciu Kalifornijczyków zginęło albo odniosło rany. Jak wspominał Emory, „to dziwne, ale żaden z naszych nie poległ. […] Zdobyliśmy to wzgórze błyskawicznie. Kiedy dopadliśmy ich gniazda, Kalifornijczycy siedzieli już w siodłach i pierzchali”.

Kearny wjechał na porośnięte kaktusami wzgórze – które Carson nazwał zwykłą „kupą kamieni” – i rozejrzał się po okolicy. Zrozumiał, że jego ludzie są zbyt słabi, żeby jechać dalej. Ostrzegał go zresztą przed tym doktor Griffin. Jego zdaniem wielu rannych było w tak złym stanie, że nie powinni

się ruszać. Lekarz potrzebował też czasu, żeby zbadać i opatrzyć ich ponownie. San Diego było oddalone ledwie o niecałe pięćdziesiąt kilometrów, ale była to odległość nie do pokonania dla grupy inwalidów, w którą zamieniło się wojsko Kearny'ego. Jak oceniał Emory, „niemożnością było kontynuowanie z takim obciążeniem naszego marszu w otwartym terenie, mając wokół siebie dwa razy liczniejszego wroga, którego żołnierze dosiadali wyśmienitych wierzchowców".

Generał zdecydował więc, żeby rozbić obóz na zdobycznej „kupie kamieni". Ze wzgórza miał dobry widok na Kalifornijczyków i mógł skuteczniej bronić się przed nimi. Amerykanie zaczęli się okopywać i przygotowywać do oblężenia. Z głazów i kamieni pobudowali prowizoryczne umocnienia, które dzisiaj, sto pięćdziesiąt lat później, nadal tam są. O zmierzchu żołnierze zaszlachtowali kilka mułów i przygotowali kolację. Od tego dnia to smutne miejsce jest nazywane Mule Hill – Wzgórzem Muła.

Kearny rozumiał oczywiście, w jak tragicznym jest położeniu. Nie był w stanie przedrzeć się do San Diego, a jego ludziom zagrażał głód. Mogli też zginąć w walce. Kalifornijczycy byli dosłownie wszędzie. Było ich też coraz więcej, bo kapitan Pico wezwał posiłki. Wszyscy chcieli powalczyć ze znienawidzonymi Amerykanami, tym bardziej że teraz wydawali się oni łatwym celem. Jak zapisał Henry Turner, siły wroga były już „czterokrotnie liczniejsze niż nasze". Uważał, że Pico zaatakuje, „kiedy tylko zjedziemy na równinę"[329]. Turner bał się, że jeśli tak dalej pójdzie, „nikt z nas nie przeżyje, żeby opowiedzieć o tym, co tu się stało".

Kearny zastanawiał się, jak by tu poinformować Stocktona o zakończonej klęską bitwie pod San Pasqual i poprosić go o posiłki. Generał wiedział, że komodor jest wyniosłym oficerem marynarki wojennej USA, który gorąco wierzy w jej potęgę i nie ma dobrego zdania o amerykańskich siłach lądowych. Ale jednak jest patriotą. Gdyby wiedział, w jak desperackiej sytuacji znaleźli się dragoni, na pewno posłałby im odsiecz. Kearny postanowił o nią poprosić. Liczył, że Stockton nie będzie się kierował

małostkowymi niesnaskami pomiędzy komponentami amerykańskich sił zbrojnych i że marynarka przyjdzie z pomocą dragonom.

Tylko jak dostarczyć prośbę o pomoc do San Diego? Obóz Kearny'ego był otoczony. Kalifornijczycy wystawili trzy kordony wartowników. Co więcej, cała droga do San Diego była patrolowana przez Meksykanów. Według Emory'ego „wróg kontrolował wszystkie szlaki prowadzące do miasta". Komodor Stockton, choć świetnie uzbrojony, sam był zamknięty w oblężeniu i jego siły broniły się przed zepchnięciem do oceanu. „Wyprawa po pomoc była więc bardzo niebezpieczna", pisał Emory[330]. Ktoś jednak musiał spróbować przemknąć się przez meksykańskie linie i dotrzeć do Stocktona.

Tym kimś był, oczywiście, Carson. Przez całe swoje dorosłe życie podejmował się takich misji – szybkich, przeprowadzanych skromnymi siłami, ale krytycznie ważnych, w których nie było miejsca na najmniejszy błąd. Tu miał nie tylko iść na ratunek, lecz także podjąć się misji kurierskiej, a z jakiegoś powodu uwielbiał przewozić informacje. Nic dziwnego, że od razu zgłosił się na ochotnika. Po chwili wahania Kearny się zgodził. Carson miał wyjechać tej samej nocy – 8 grudnia – w towarzystwie dwudziestoczteroletniego porucznika marynarki wojennej Edwarda Beale'a i Chemuctaha, młodego zwiadowcy z plemienia Diegueño.

Andres Pico wiedział, że Carson znajduje się wśród żołnierzy Kearny'ego, i słyszał o jego wcześniejszych wyczynach w Kalifornii. Przewidział też, że to właśnie on spróbuje przebić się do San Diego. Nakazał więc swoim ludziom wzmożoną czujność.

– *Se escapara el lobo* – powiedział im[331].

Ucieknie wilk.

Kiedy zrobiło się ciemno, Carson i dwójka pozostałych ochotników zaczęli schodzić ze Wzgórza Muła, kryjąc się za głazami. Na zboczu było rumowisko, więc Amerykanie uznali, że w swoich butach na twardej podeszwie narobiliby za dużo hałasu – Chemuctah miał na sobie miękkie mokasyny. Carson i Beale zdjęli więc buty i wcisnęli je za paski. Kit kazał też wszystkim zostawić w obozie manierki – obawiał się, że i one narobią za dużo hałasu.

Carson i Beale przyciskali do siebie broń i boso, najciszej jak mogli, schodzili ze wzgórza, prześlizgując się pomiędzy krzakami. Wreszcie doszli do pierwszej linii meksykańskiego oblężenia. Przekradli się tuż pod nosami wartowników, tak blisko, że konie musiały ich wyczuć. Carson widział nawet groty lanc, które Kalifornijczycy trzymali, mierząc w rozgwieżdżone niebo. Kilka razy posłańcy bali się, że zostali zauważeni. Jeden z wartowników podjechał na koniu bardzo blisko miejsca, w którym kryli się pośród skał. Po chwili – choć wydawało się, że trwała całą wieczność – błysnął ogieniek i Meksykanin zakurzył cygaretę. Palił długo, jakby bawił się z uciekinierami w kotka i myszkę. Beale był pewien, że wartownik świetnie wie, że cała trójka ukrywa się tuż obok kopyt jego konia. Młody porucznik był tak przerażony, że Carson przysięgał potem, że „słyszał, jak biło mu serce". Ledwie wytrzymywał napięcie.

– Już po nas. Bierzmy go i w nogi – wyszeptał nagle Kitowi prosto w ucho.

Carson próbował go uspokajać.

– Bywałem już w gorszych opałach[332].

Wreszcie Kalifornijczyk skończył palić i odjechał.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Beale i Carson zorientowali się jednak, że podczas schodzenia ze wzgórza zgubili buty. Do diabła! Kit bał się jednak po nie wracać. Zresztą trudno byłoby je znaleźć po ciemku. Amerykanie musieli więc przedzierać się dalej boso. Szli ostrożnie, nadziewając się na kolce kaktusa i kamyki. Chemuctah, obuty w cienkie mokasyny, radził sobie tylko trochę lepiej.

Uciekinierzy trzymali się wądołów i wyschniętych strumieni, często czołgając się, żeby się skryć przed wzrokiem Kalifornijczyków. Kiedy wstawało słońce, zostawili daleko w tyle wojska kapitana Pico.

Wilk uciekł.

Po południu już tylko dwadzieścia kilometrów dzieliło ich od San Diego. Znowu natknęli się na Kalifornijczyków. Wszystkie szlaki prowadzące do miasta były przez nich zablokowane. Carson postanowił, że każdy z posłańców pójdzie inną drogą. Miał nadzieję, że dzięki temu przynajmniej

jednemu z nich uda się przedrzeć przez blokadę. Pożegnali się i ruszyli każdy w swoją stronę.

Carson wybrał drogę najdłuższą i poszedł naokoło, pokonując blisko trzydzieści kilometrów. Jak pisze jego biograf Edwin Sabin, Kit poszedł „okrężną drogą", żeby „być pewnym sukcesu".

Dwanaście godzin później, około trzeciej nad ranem Carson dotarł do położonego na brzegu oceanu obozu komodora Stocktona. Stopy miał tak opuchnięte i poranione, że nie mógł chodzić przez cały następny tydzień. Przez blisko trzydzieści godzin, kiedy był w drodze, nic nie jadł i nie pił.

Zdziwił się i ucieszył, kiedy okazało się, że i Beale, i Chemuctah, którzy poszli krótszymi trasami, dotarli do obozu kilka godzin wcześniej. Stockton wysłał już Kearny'emu odsiecz złożoną z blisko dwustu dobrze uzbrojonych żołnierzy. Jak powiedziano Carsonowi, Beale był tak „wyczerpany", że trzeba go było przenieść do kwatery. Po rozmowie ze Stocktonem przetransportowano go na pokład okrętu USS Congress i umieszczono w izbie chorych.

Porucznik marynarki leżał w łóżku aż przez miesiąc. Do pełnego zdrowia dochodził przez ponad rok. Jak pisał Stanley Vestal, Beale „był wykończony" i „na długie minuty tracił przytomność. Jego świat był wybrukowany kaktusami". Carson odwiedził go i „sądził, że nie przeżyje". Równie wyczerpany był Chemuctah. Według niektórych relacji krótko po ucieczce zmarł.

Bosa przygoda Carsona szybko przyniosła mu jeszcze większą sławę w całych Stanach Zjednoczonych i pochwały w samym Waszyngtonie. Według historyka Bernarda DeVoto „nocna ucieczka" Carsona do San Diego była jednym z „lepszych wyczynów tego mistrza gór"[333]. Kit Carson w niezwykły sposób wyszedł z cienia i zapisał się w historii USA. Być może Frémont nie przesadzał w swojej relacji: Carson rzeczywiście miał umiejętność znajdowania się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Kiedy tylko wyprawa, w której brał udział, znajdowała się w tarapatach – prawdziwych tarapatach – Kit ją ratował.

Po tym, jak przedarł się do San Diego, żołnierze Kearny'ego uznali go za superbohatera. Pewien młody sierżant tak opisywał go w liście do rodziców

mieszkających w Hartford w Connecticut: „Nie było jeszcze takiego człowieka jak Kit Carson. Wszystko, co o nim mówią, to prawda, ale niecała. Jest nieustraszony jak lew, skrada się cicho jak pantera, a silny jest jak wół. Uważam, że Carson potrafiłby w pojedynkę rzucić się na fort pełen Meksykanów i ich z niego wyprzeć”[334].

Kit nie był pod specjalnym wrażeniem swojego wyczynu. W swoich wspomnieniach wydarzeniom pod San Pasqual poświęcił ledwie kilka zdań. „W końcu wyrwaliśmy się z oblężenia, ale, niestety, zgubiliśmy po drodze buty. Musieliśmy iść boso przez kraj pełen kaktusów i kamieni. Do San Diego dotarliśmy następnej nocy”[335].

Kiedy Carson i spółka przebijali się do San Diego, Kearny z żołnierzami przez dwie doby utrzymywali Wzgórze Muła. Wycinali okoliczne krzaki szałwii i rozpalali ogniska. Dokopali się też do wody, choć była błotnista i miała cierpki posmak. Zjadali kolejne muły.

Reszta zwierząt wymagała ciągłej ochrony. Żołnierze sprowadzali je czasem niżej na pastwisko, żeby nie umarły z głodu. Musieli jednak bardzo uważać na meksykańskich jeźdźców, którzy chętnie porywali amerykańskie wierzchowce. Kalifornijczycy cały czas próbowali zmiękczyć i wykurzyć obrońców wzgórza. Pędzili na nich na przykład dzikie mustangi, chcąc wywołać popłoch wśród wojskowych wierzchowców. Kapitan Pico postanowił oblegać Amerykanów i wziąć ich głodem oraz ciągłym nękaniem. Wyglądało na to, że jego plan działa.

Niemniej mimo nerwów i kiepskiego jedzenia żołnierze dochodzili do siebie. Nabierali sił, a ich rany się goiły. Doktor Griffin zameldował Kearny’emu, że prawie wszyscy ranni mogą już usiedzieć w siodle i nie ma potrzeby przewożenia ich na niewygodnych noszach. U części z żołnierzy, których dosięgły meksykańskie lance, rozwinęły się jednak infekcje, a nawet gangrena.

Jednym z nich był francuski traper o nazwisku Robideaux. Stracił tak dużo krwi, że znajdował się na granicy życia i śmierci. Wszyscy właściwie spisali go już na straty. Biedak miał halucynacje. Wydawało mu się, że czuje zapach kawy, której Kearny i jego żołnierze nie pili już od miesięcy.

– Nie czujecie jej? – pytał wszystkich naokoło. – Kubek kawy ocaliłby mi życie!

Wszyscy wiedzieli, że ludzie gór – szczególnie ci francuskiego pochodzenia – są mocno uzależnieni od kawy. Porucznik Emory uważał więc, że biednemu Galowi po prostu ckni się za dużą czarną. „Sądziłem, że w swoich majakach przeniósł się do którejś z kawiarni w St. Louis albo Nowym Orleanie", wspominał Emory.

Szybko jednak okazało się, że Robideaux rzeczywiście wywęszył kawę. Gdzieś w obozie ktoś parzył ją nad ogniskiem. Emory odnalazł kawosza i przekonał go, żeby oddał swój kubek umierającemu Francuzowi. „Był to jeden z najlepszych uczynków w moim życiu, a także, jak sądzę, owego kucharza, który zgodził się oddać kubek cennego naparu umierającemu na naszych oczach towarzyszowi. Po kilku łykach kawy Robideaux znowu był pełen nadziei"[336]. Francuz szybko doszedł do siebie i przez resztę swych dni przysięgał, że zawdzięcza życie kawie.

Nocą 10 grudnia Kearny uznał, że nie ma wyboru i rankiem trzeba znowu podjąć próbę przedarcia się do San Diego. Przestał już liczyć na Carsona i Beale'a. Sądził, że nie udało im się dostać do Stocktona i nie należy spodziewać się odsieczy. Nakazał swoim ludziom podjęcie przygotowań do wymarszu o świcie. Polecił też, by zniszczyli i spalili wszystko, co nie jest im stuprocentowo niezbędne. Zrobił to z dwóch powodów – chciał odciążyć żołnierzy podczas ucieczki i nie chciał, żeby w ręce wroga wpadły jakieś łupy. Tej nocy wzgórze rozświetlało więcej ognisk niż zwykle – Amerykanie palili swoje rzeczy.

Kilka godzin po północy wartownicy usłyszeli przerażający odgłos zbliżających się wojsk.

– Kto idzie? – jeden z nich krzyknął w ciemność.

W mroku ukazało się około dwustu żołnierzy maszerujących w górę wzgórza w ciasnym szyku. Niektórzy z dragonów Kearny'ego się obudzili. Jak mówili, wydawało im się, że słyszą rozmowy po angielsku dochodzące z doliny.

– Kto idzie? – warknął znowu wartownik.

– Nie strzelać! – padła odpowiedź. – Jesteśmy Amerykanami!

Obrońcy wzgórza zaczęli krzyczeć z radości. A więc udało się! Stockton przysłał odsiecz. Stu dwudziestu marynarzy i osiemdziesięciu żołnierzy piechoty morskiej wkroczyło do amerykańskiego obozu. „Porządne chłopy – podsumował ich Emory – rozdawali naszym jedzenie i odzież". Kiedy wszyscy się cieszyli, przez obóz z wizgiem przeleciała kula wystrzelona z meksykańskiego muszkietu. Nikomu jednak nie zrobiła krzywdy. Jak zauważył biograf Kearny'ego Dwight Clarke, „był to strzał rozpaczy ze strony wroga rozczarowanego utratą ofiary"[337].

Rankiem okazało się, że Kalifornijczycy odjechali. Pico musiał być zaskoczony nagłym pojawieniem się odsieczy i zniechęcony tym, że połączone siły dragonów, marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej liczyły teraz przeszło trzystu ludzi. Oblężenie się załamało.

Amerykanie pomaszerowali w stronę San Diego i przez całą drogę nie napotkali oporu. Do miasta dotarli po południu 12 grudnia. Było zimno i padał deszcz. Dla Kearny'ego wojna prawie się skończyła, choć on sam jeszcze o tym nie wiedział. Miał co prawda przed sobą jeszcze kilka starć, zanim Amerykanie ostatecznie zdobyli Los Angeles – rekonkwista Kalifornii nie została jeszcze zakończona. Ale żadne z nich nie mogło się równać z potyczką pod San Pasqual.

Armia Zachodu doszła do krańca swojej wyprawy, na jej drodze stanął ocean. Za sobą miała przeszło trzy tysiące kilometrów. Wyruszyła z Fort Leavenworth w Kansas i dotarła na sam kraniec kontynentu. Wcześniejsza historia Ameryki nie znała takiego przemarszu.

Żołnierze Kearny'ego podeszli do pokrytego roślinnością klifu i spojrzeli w dół. Przez jakiś czas wpatrywali się w oblepiony wodorostami brzeg i w obce morze sięgające aż po horyzont. „I oto ukazał się nam Pacyfik – wspominał Emory – wywołując w nas dziwne, ale i przyjemne uczucia. Jeden z żołnierzy, który nigdy wcześniej nie widział oceanu, podniósł ramiona i zakrzyknął: »Panie! To jak potężna preria bez żadnego drzewa«"[338].

Generał Kearny musiał spoglądać na Ocean Spokojny z mieszanymi uczuciami. Napisał do swojej żony Mary: „Dbaj o siebie i ucałuj ode mnie moje kochane maluchy. Przed oczyma mamy ocean i słyszymy przewalające się w dole fale, jakby odgłos burzy"[339].

28

„El Crepusculo”

Miesiąc po tym jak generał Kearny dotarł wreszcie na wybrzeże Pacyfiku, gubernator Nowego Meksyku Charles Bent pomaszerował wyboistą, oblodzoną drogą na północ, w stronę Taos. Niebo było ołowiane. Muły z trudem wdrapywały się na strome wzgórza wznoszące się nad Santa Fe. Co jakiś czas zapadały się w zaspach śnieżnych wypełniających wyschnięte koryta strumieni. Powietrze było lodowate i zwierzęta prychały, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary. W ten ponury i wietrzny dzień gubernator i jego towarzysze wędrowali przez miasteczka leżące powyżej stolicy Nowego Meksyku. Mieszkańcy Santa Cruz de la Cañada, Chimayo i Trampas patrzyli na Amerykanów spode łba. Po swojej prawicy Bent widział trzy szczyty Truchas wyzierające z zimowej mgiełki przeszło półtora tysiąca metrów wyżej. Ich poszarpane granie szczerzyły się jak warczące psy.

Charles Bent był przebiegłym, upartym i przysadzistym człowiekiem o okrągłej twarzy. Miał czterdzieści siedem lat i przedwcześnie posiwiałe oraz przerzedzone włosy. A także handlowe oko do szczegółów. Do Taos zwykle pchały go interesy, ale tym razem jechał w sprawach prywatnych. Chciał zobaczyć się z żoną Ignacią i trójką dzieci. Gubernator rzadko odwiedzał swój potężny gliniany fort wybudowany na skraju prerii. Jego prawdziwym domem, podobnie jak jego przyjaciela i szwagra Kita Carsona, stało się Taos, miasto położone w górach i oddalone od Santa Fe o przeszło sto kilometrów. Ignacia rzadko przyjeżdżała do stolicy, odkąd Bent został gubernatorem. Nie miała na to czasu. Zarządzała sporym gospodarstwem. Ich wspólny dom z suszonej gliny stał przy głównym placu miasta, o rzut kamieniem od domostwa Carsonów. Był zawsze pełen krewnych. Z kuchni dobiegały zapachy mocno przyprawionych meksykańskich dań. Teraz, kiedy przyszła zima, gubernator chciał po prostu pobyć w domu.

Razem z nim podróżowało kilku oficjeli z Taos – szeryf Steve Lee, prokurator rejonowy James White Leal, a także miejscowy prefekt i wuj Ignacii Cornelio Vigil. Wszyscy bawili w Santa Fe w sprawach urzędowych i postanowili wracać do domu z gubernatorem. Zabrali się z nim również młodszy brat Ignacii Pablo Jaramillo oraz inny nastolatek – Narciso Beaubien, jasnooki syn sędziego federalnego wracający ze szkoły w St. Louis. Obaj chłopcy się przyjaźnili.

Był 14 stycznia 1847 roku. Stany Zjednoczone okupowały Santa Fe już od czterech miesięcy. Gubernator Bent wiedział jednak, że jego władza nad Nowym Meksykiem wisi na włosku. Żołnierze stacjonujący w wybudowanym niedawno forcie Marcy byli młodzi i niedoświadczeni. Z kolei ochotnicy z Missouri byli już tak znudzeni bezczynnością, że nie można było na nich liczyć. Kearny i Doniphan wyruszyli na dalsze podboje, a dowództwo amerykańskich wojsk objął wyposażony w imponujące bokobrody pułkownik Sterling Price. Ten uparty Missourczyk był prawnikiem oraz politykiem. Choć jako oficer nie był wcale niekompetentny, gorąco wierzył, że ma wszystko pod kontrolą. Tak naprawdę jednak Nowy Meksyk buzował od skrywanej nienawiści do Amerykanów. Bent świetnie ją wyczuwał – jakby powietrze tężało z każdym krokiem jego wierzchowca, z każdym fałszywym uśmiechem i krzywym spojrzeniem tubylca. Meksykanie nie podjęli walki z najeźdźcami, ale gardzili nimi tak mocno, jak tylko okupowany naród potrafi gardzić okupantem. Ich skrywane dotąd uczucia teraz dawały o sobie znać.

Opór napędzały rasowa niechęć, religijny zapał i żądza obrony kraju, który Latynosi ciągle kochali – nawet jeśli był to kraj władany przez skorumpowany i daleki rząd w Mexico City, kraj, który nigdy ich specjalnie nie kochał. Wzdłuż Rio Grande ogień oporu rozpalali ojczulkowie z misji katolickich. Ostrzegali, że *gringos* wytrzebią prawdziwą wiarę. Co więcej, Amerykanie chcieli też zakazać używania języka hiszpańskiego i organizacji tradycyjnych fiest. Albowiem ich celem było wykorzenienie pradawnego stylu życia Meksykanów. Księża powtarzali nieprawdę, choć rzeczywiście mieli powody do obaw. Kodeks Kearny’ego wniósł do ich życia tak radykalne pomysły jak rozdział Kościoła od państwa i procesy, w których

o winie rozstrzygali przysięgli, a *padres* nie mieli nic do gadania. Co mogło powstrzymać Amerykanów przed jeszcze większym świętokradztwem? Przecież ich bezbożne idee były zakorzenione w zimnym marmurowym gmachu laickiej republiki. Księża świetnie rozumieli, że Waszyngton chce zreformować purpurowy świat, w którym tak długo żyło im się tak dobrze. Reformy mogły zaś oznaczać tylko jedno – utratę przez nich władzy.

Co więcej, Amerykanie byli aroganccy. Meksykańskich mężczyzn nazywali, czasem prosto w twarz, brudasami. Jawnie zalecali się za to do latynoskich kobiet. Przywieźli też ze sobą choroby weneryczne. Hulali i wdawali się w bójki, obżerali się jak świnie i plugawili język hiszpański. Wydawało się, że idea rodziny i obowiązków wobec niej była im obca. Kręcili się w pobliżu jak bezdomne muchy i uwielbiali się narzucać. Amerykańskie obozowiska rozłożone na obrzeżach stolicy były siedliskiem rozpusty i brudu. Epidemia odry, która wybuchła, jak sądzono, w jednym z ich obozów, przetrzebiła społeczności Meksykanów i Indian. Zakażonych były tysiące, a setki – w większości dzieci – umarły. Prawie codziennie w Santa Fe chowano jakiegoś nieletniego[340]. Dziecięce trumny, przyozdobione kwiatami, były niesione ulicami stolicy przez inne dzieci. W kondukcie szli rozpaczający dorośli, popijając brandy i śpiewając pieśni pogrzebowe.

Co tydzień zdarzały się kolejne bezeceństwa. Im dłużej Amerykanie przebywali w Santa Fe, tym bardziej jego mieszkańcy mieli ich dość. I nie chodziło tylko o to, że *gringos* są okupantami. Chodziło także o tysiące drobnych krzywd, które ci okropni obcy o przerośniętym ego wyrządzali każdego dnia.

Gubernator Bent nie był więc bardzo zdziwiony, kiedy kilka tygodni wcześniej jego podwładni dopadli meksykańskich spiskowców, którzy chcieli wywołać powstanie. Prowodyrami byli Tomas Ortiz, Augustin Duran i dumny Diego Archuleta, który – odkąd generał Kearny obiecał mu gruszki na wierzbie, czyli władzę nad nowomeksykańskim terytorium na zachód od Rio Grande – pielęgnował w sobie zrozumiały żal do Amerykanów. Spiskowcy wzywali do powstania wszystkich Meksykanów. Tuż po Bożym Narodzeniu planowano wymordowanie każdego Amerykanina pozostającego

na terytorium Nowego Meksyku. Rebelia miała wybuchnąć o północy na sygnał kościelnych dzwonów. Gubernator Bent i pułkownik Price mieli zostać szybko zabici, artyleria znajdująca się na plazie zdobyta, a fort Marcy zaatakowany. Niewiele brakowało, a powstanie w Santa Fe rzeczywiście by wybuchło. O jego planach poinformowała władze ledwie kilka dni przed godziną zero lojalna wobec nich Madame La Tules, szczęśliwa właścicielka miejscowego saloonu. Amerykanie szybko aresztowali siedmiu czołowych spiskowców, ale trzem przywódcom powstania udało się zbiec na południe – jednemu w przebraniu służącej. Bent i Price ogłosili stan wojenny na terytorium całej prowincji. Podwoili liczebność patroli i rozmieścili działa nad miastem. Pułkownik optymistycznie donosił swoim przełożonym, że „wydaje się, iż rebelia została zdławiona".

Bent jednak nie był tego taki pewien. Niedługo przedtem wydał proklamację, w której wzywał mieszkańców Nowego Meksyku do „odwrócenia się od fałszywych doktryn, do zachowania spokoju i zajmowania się własnymi sprawami tak, by mogli cieszyć się błogosławieństwem pokoju". Był zadowolony, że „zdrada została na czas wykryta i zduszona w zarodku". Gubernator czuł się na tyle pewnie wśród Latynosów, że, jak wierzył, mógł bezpiecznie podróżować bez wojskowej ochrony (choć jego doradcy w Santa Fe uznali to za niezwykle ryzykowne). Od 1832 roku miał dom w Taos i znał tam praktycznie każdego – dzięki interesom i wżenieniu się w zamożną rodzinę Jaramillów. Przez lata Bent uchodził w miasteczku nie tylko za kupca, przedsiębiorcę i polityka, ale także za kogoś w rodzaju rodzinnego aptekarza. Choć nie uzyska formalnego wykształcenia medycznego, miał nosa do diagnostyki i leczenia wielu chorób. Jego sklepik rozprowadzał leki i zioła wśród biedoty z Taos – Latynosów i Indian – i zwykle robił to za darmo. Roztropnie czy nie – Bent nie obawiał się o swoje bezpieczeństwo.

Ale jako gubernator musiał też brać pod uwagę to, że Meksykanie żywią „trwałą antypatię" wobec Amerykanów. Wiedział, że Kościół rzymskokatolicki w Nowym Meksyku uważa amerykańskie rządy za odrażające i jest dość silny, żeby podburzać wiernych. W samym Taos mieszkał bardzo wpływowy *padre* Antonio Martinez, erudyta

o makiawelicznym usposobieniu, który – wśród wielu innych przedsięwzięć – prowadził hiszpańskojęzyczną gazetę „El Crepusculo de la Libertad” [„Świt Wolności”][341]. Była to pierwsza gazeta wydawana na zachód od rzeki Missisipi.

Ojciec dyrektor miał takie poważanie w kwestiach duchowych i był tak biegły w intrygach politycznych targających życiem północnego Nowego Meksyku, że nazywano go szarą eminencją Taos. Był też zaciekłym wrogiem Charlesa Benta. Ich wzajemna niechęć narodziła się wiele lat wcześniej. Prawdopodobnie była związana z tym, że kiedy Bent ożenił się z Ignacią i zamieszkał w Taos, to ani nie zrzekł się amerykańskiego obywatelstwa, ani nie nawrócił się na katolicyzm. Należny szacunek okazał choćby Kit Carson, który przyjął chrzest i dołączył do miejscowej katolickiej trzódki. Dlatego ślubu i błogosławieństwa udzielał jemu i Josefie sam *padre* Martinez. Z kolei Charles Bent zdawał się mieć w nosie katolickie konwenanse i nigdy nie próbował potwierdzić przed Bogiem swojego cywilnego ślubu z Ignacią. Dlatego Kościół nazywał jego dzieci „naturalnymi”, czyli inaczej mówiąc – nieślubnymi.

Ksiądz Martinez miał też inne pretensje do obecnego gubernatora. Przede wszystkim był podejrzliwy wobec różnych zakulisowych działań, które Bent i inni Amerykanie podejmowali, żeby – korzystając ze starych nadań ziemskich – przejąć wielkie i dzikie obszary Nowego Meksyku. Według Martineza te działania miały wątpliwe podstawy prawne. Jego zdaniem Bent był po prostu kolejnym amerykańskim cwaniakiem próbującym szybko zarobić bez należytego zainteresowania Nowym Meksykiem, jego mieszkańcami czy tradycjami (rzeczywiście gubernatorowi zdarzyło się kiedyś opisać w liście Meksykanów jako „głupich, upartych i próżnych ignorantów”). *Padre* od dawna uważał też będący współwłasnością nowego gubernatora fort Bentów i całą związaną z nim sieć handlową za niebezpiecznego konia trojańskiego. Bent był w końcu kupcem z Missouri, który z sukcesem handlował whisky, świecidełkami, a także skórami i futrami, często pozyskanymi nielegalnie na terytorium Meksyku. Dlatego reprezentował sobą całe zło amerykańskiej inwazji, która rozpoczęła się lata przed najazdem generała Kearny’ego na Nowy Meksyk. Co gorsza, ojciec

Martinez był też przekonany, że Bent sprzedawał broń Indianom, a ci wykorzystywali ją potem do napadów na latynoskie osady.

Bent z kolei uważał księdza za skorumpowanego tyrana, a do tego pijaka. W swoich notatkach (pełnych zresztą błędów ortograficznych) tak napisał kiedyś o *padre*: „Myślę, że najbardziej ze wrzystkich bogów jest on oddany Bahusowi".

Księża tacy jak Martinez nie byli zresztą jedyną wrogą grupą, na którą musiał uważać gubernator Nowego Meksyku. W południowych rejonach terytorium, w hacjendach rozsianych na wybrzeżu Rio Grande, mieszkało wielu posażnych i wpływowych właścicieli ziemskich. Świetnie im się powodziło, a swoje bogactwo zbudowali między innymi dzięki służbie indiańskich peonów i rzece, której leniwe wody wlewały się do kanałów irygacyjnych nawadniających pola. Ci nowomeksykańscy latyfundyści zasiedlający Rio Abajo („Dolną Rzekę") obawiali się, że Amerykanie wywrócą ich patrycjuszowski świat do góry nogami.

Problemów i spornych spraw było wiele, więc Bent miał prawo niepokoić się przyszłością amerykańskiego Terytorium Nowego Meksyku. Obawiał się kolejnej rewolty, która urosłaby niczym głowa Hydry. „Najważniejsi gracze – pisał gubernator do pułkownika Price'a w Boże Narodzenie – mogą nie chcieć wyjechać z kraju bez podjęcia ostatniej desperackiej bitwy".

Jeśli Bent miał siłę na jakiekolwiek refleksje podczas podróży do Taos, to niechybnie zastanawiał się, po co w ogóle przyjął niewdzięczne stanowisko gubernatora. Już cztery trudne miesiące tkwił w Pałacu Gubernatorów w Santa Fe, wdrażając się w sprawy nie w pełni jeszcze amerykańskiego terytorium, którego największym problemem było powszechne ubóstwo. Kochał Nowy Meksyk za jego surowe piękno i ogromne przestrzenie, ale zarządzanie tym odległym i zapomnianym światem to była zupełnie inna sprawa. Prowincja aż wrzała od niepokojów. A choć jej kultura była bogata i stara, żyło się w niej trudno. Prawie wszyscy mieszkańcy Nowego Meksyku byli bogobojnymi analfabetami, których religijne emocje pozostawały nazbyt rozpalone, by dało się nad nimi zapanować.

Na skutek swojej długotrwałej izolacji Nowy Meksyk zachował archaiczne tradycje, osobliwe dialekty hiszpańskiego i elementy katolicyzmu w wersji sięgającej najgorszych czasów Świętej Inkwizycji. W Nowym Meksyku żyły rodziny, w których celebrowano dziwne zwyczaje – wieszano tylko dziewięcioświeczkowe kandelabry, recytowano Biblię po hebrajsku i nie jadano wieprzowiny. Ich członków nazywano „kryptożydami”[342]. Byli oni rzeczywiście potomkami Żydów, którzy w XVII wieku zbiegli do Meksyku przed szalonym antysemityzmem Inkwizycji i udali się na wygnanie, zasiedlając najbardziej odległe i, jak sądzili, tolerancyjne rubieże imperium. Rodziny owe podtrzymywały tradycje swych przodków, często na poły w tajemnicy i często nie wiedząc po co.

W oddalonych od świata regionach na północy prowincji żyły z kolei społeczności biczowników, którzy nazywali siebie samych *penitentes*[343]. Ci pobożni mężowie urządzali posępne procesje, podczas których okładali się rózgami, biczując się do krwi. Niektórzy z nich dawali się nawet ukrzyżować, bo chcieli poczuć na swoich ciałach krzywdy, których doznał Jezus (jak wierzono, śmierć na krzyżu oznaczała pewną drogę do nieba). Mówiono, że chłosta i inne rytuały, którym oddawali się *penitentes*, przybrały na sile wraz z przybyciem Amerykanów. Biczownicy mieli bowiem obawiać się, że ich wiara jest zagrożona. A królestwo niebieskie było przecież na wyciągnięcie ręki.

Jeśli chodzi o rozrywki niereligijne, to mieszkańcy Nowego Meksyku nie mieli wielkiego wyboru. Oprócz wyścigów konnych, gry w karty i tańców głównym źródłem zabawy w tym śmiertelnie nudnym kraju były kury. Organizowano więc, a jakże, walki kogutów. Bardzo popularna była też krwawa zabawa zwana *el gallo*[344]. Koguta grzebano w ziemi aż po szyję – tak, żeby wystawała mu tylko głowa. Kolejni jeźdźcy najeżdżali potem na niego galopem, próbując wyciągnąć go z ziemi za grzebień jednym zręcznym szarpnięciem. Zabawa kończyła się finałową szaleńczą walką o koguta, jakby był on piłką, podczas której *caballeros* nieuchronnie rozszarpywali zwierzę na strzępy.

Urzędnicy zarządzający Nowym Meksykiem dawno już nauczyli się przechodzić do porządku dziennego nad nędzą jego mieszkańców. Podobnie

zrezygnowany czuł się gubernator Charles Bent. Tuż po otrzymaniu nominacji wysłał długi list do sekretarza stanu USA Jamesa Buchanana, w którym wylał swoje żale. Jak pisał, cała prowincja była „uboga i niedorozwinięta", a edukacja jej mieszkańców została „przestępczo zaniedbana". Ostrzegał, że „ciemni, przejawiający zupełną ignorancję ludzie staną się wkrótce obywatelami Stanów Zjednoczonych". Terytorium nie miało własnej poczty, podręczników prawa, ani nawet księgarni. Brakowało potrzebnych władzom tłumaczy. Jego system prawny był funta kłaków niewarty, a sądy były pełne niekompetentnych prawników. Jak w liście do domu podsumował ten problem jeden z poruczników sił lądowych USA, „wszyscy sędziowie sądu najwyższego Nowego Meksyku razem wzięci nie wiedzą tyle o prawie co jeden sędzia pokoju w St. Louis".

Wraz z nadejściem Amerykanów niewiele w tych sprawach się zmieniło. Santa Fe od zawsze było stolicą zaniedbaną, taką, do której wiadomości i wynalazki docierały na końcu. Za czasów imperium hiszpańskiego było zapomnianym krańcem świata. Teraz zostało ledwie posterunkiem wojskowym w poszerzających swe granice Stanach Zjednoczonych. Nawet prawdziwa wojna toczyła się dalej na południu, w porośniętym agawami Meksyku właściwym. Amerykanie parli ku jego stolicy. Na zachodzie, w Kalifornii, generał Kearny i jego dragoni spełniali najśmielsze pragnienia prezydenta Polka, który wymyślił sobie kraj od oceanu do oceanu i pożądał pacyficznych portów. A Santa Fe, jakby wierne swej przeklętej historii, pozostawało zapomniane. Amerykanom udało się je najechać, ale nie do końca je podbili. Rząd Charlesa Benta jakoś się trzymał, choć wszystkiego mu brakowało – pieniędzy, żołnierzy, wiedzy. Był obcym ciałem, które zagnieździło się w ciele narodu i ledwie wyczuwało jego tętno.

No i jeszcze ci Indianie. Stany Zjednoczone w żadnym razie nie wywiązywały się ze swojej obietnicy zapobiegnięcia atakom ze strony wrogich plemion. Ze wszystkich stron świata mieszkańcom Nowego Meksyku groziło niebezpieczeństwo. Na zachodzie najeżdżali ich Nawahowie, ośmieleni zniknięciem generała Kearny'ego i pułkownika Doniphana. Na południu nękali ich Apacze. Z kolei na północy siłę woli Ameryki testowali wojownicy Kiowa i Jutowie. Na wschodzie otwartą wojnę

wypowiedzieli Komancze, którzy nieustannie atakowali powozy sunące z Missouri Szlakiem Santa Fe. Komancze uważali, słusznie zresztą, że epidemie ospy i innych chorób, które wybuchały w ich obozowiskach, zostały przywleczone przez Amerykanów. Jak opowiadał pewien historyk, Komancze oskarżyli blade twarze „o złe powietrze, którym owiały one ich dzieci, i wyruszyli po zemstę”[345].

Jedynie Indianie Pueblo nie sprawiali nowej władzy problemów. Choć i oni mieli swoje sekrety, to uważano ich za łagodnych i ogólnie pokojowych. Żyli w piętrowych osadach zbudowanych z błota i porozrzucanych wzdłuż Rio Grande. Uprawiali rolę, uwielbiali kukurydzę, tańce i uroczystości, dla których budowali specjalne ceremonialne pomieszczenia zwane *kiva*. Pragnęli tylko jednego – żeby zostawiono ich w spokoju. Pomagało im też to, że byli chrześcijanami. Dzięki temu lepiej ich rozumiano, wydawali się mniej obcy. Oczywiście nigdy tak naprawdę nie porzucili swojej dawnej religii. Udało się im po prostu znaleźć sprytny sposób na splecenie starego z nowym. Stoicka kultura Indian Pueblo wydawała się niezwykle zrównoważona i prawie niewrażliwa na zmiany. W 1680 roku wywołali oni antyhiszpańskie krwawe powstanie, podczas którego wygnali z Nowego Meksyku swoich prześladowców. Kiedy jednak dwanaście lat później Hiszpanie wrócili, podporządkowali sobie Indian. Bent był zdania, że jeśli w ogóle może na kogoś liczyć, to właśnie na Indian Pueblo, którym Stany Zjednoczone przyniosły coś na kształt wyzwolenia. Według oficerów Armii Zachodu ze wszystkich plemion zamieszkujących puebla najbardziej przyjazne wobec Amerykanów było to z Taos. Jak pisał porucznik Emory, Indian z Taos „wyróżniała niezwykła serdeczność. Ten rejon kraju wydaje się najlepiej nastawiony do Stanów Zjednoczonych. […] To nasi nowi przyjaciele – na dziś i na zawsze”.

Charles Bent musiał więc być niezwykle zdziwiony i zaniepokojony, kiedy po czterech zimnych dniach ciężkiej podróży przez porośnięte szałwią wzgórza przyjechał do rodzinnego Taos i zastał tam wrogi tłum z puebla. Odurzeni whisky i pełni gniewu Indianie otoczyli gubernatora i zażądali,

żeby doprowadził do uwolnienia z miejscowego aresztu ich rodaków, których – jak przekonywali – niesłusznie oskarżono o kradzież.

Bent próbował im wytłumaczyć, że nie może nic zrobić.

– Prawo stoi ponad jakimkolwiek gubernatorem – mówił. – Sprawą w swoim czasie zajmie się sąd.

Przynajmniej do procesu zatrzymani mieli pozostać w areszcie.

Taka odpowiedź nie mogła zadowolić Indian. Bent przedzierał się przez tłum, napotykając złowrogie spojrzenia i wysłuchując krzyków.

W końcu dotarł do domu i mógł ogrzać się przy kominku w towarzystwie Ignacii. Jego dom był prostym budynkiem na planie kwadratu, typowym dla Nowego Meksyku, o nieco ponurym wnętrzu. Miał ściany blisko metrowej grubości. Osadzono w nich niewielkie, przypominające otwory strzelnicze okna, zasłonięte „szybami” z miki. Podłogę stanowiło zwykłe klepisko zwyczajowo zaimpregnowane krwią wołu i sosnowym popiołem. Również płaski dach był pokryty gliną – upakowaną w warstwę o grubości kilkudziesięciu centymetrów na szkielecie zbudowanym z sosnowych krokwi. Ściany pobielono tynkiem z lokalnej glinki zmieszanej z mlecznym roztworem roztartej pszenicy. Dzieci Bentów tak lubiły tę kredową miksturę, że ciągle zlizywały ją ze ścian.

Tę noc w domu Bentów spędzały też żona Kita Carsona Josefa oraz latynoska żona innego Amerykanina niejaka Rumalda Boggs. Dzieci cieszyły się, że tata przyjechał do domu, i ciągle się śmiały. Jedzenie gotowało się na ustawionym w narożniku piecu. Domownicy i goście mieli zaraz zasiąść do wspólnego posiłku.

Na zewnątrz jednak można było usłyszeć pierwsze pomruki zbierającej się burzy.

Następnego ranka, około szóstej, przed domem Bentów pojawił się tłum złożony z Indian z Taos i grupki Latynosów. Odurzeni alkoholem i złością ludzie, nucąc wojenne pieśni, zaczęli dobijać się do drzwi. Było jeszcze ciemno, tuż przed świtem. Gwiazdy świeciły na niebie jak cekiny[346].

Bent błyskawicznie się zbudził, narzucił na siebie ubranie i wyszedł na ganek.

– Czego chcecie? – zapytał, ciągle oszołomiony.

– Twojej głowy! – ktoś odpowiedział. – Nie będziesz tu więcej rządził!

Gubernator szybko się otrząsnął i postarał się przemówić zgromadzonym do rozumu.

– Co ja wam zrobiłem? – krzyczał. – Kiedy chorowaliście, zawsze próbowałem wam pomóc. Dostawaliście ode mnie lekarstwa. Nigdy nie brałem za nie pieniędzy.

Indianie odpowiedzieli na te słowa strzałami z łuków. Z ciemności w stronę Benta posypał się ich cały grad. Wydawało się jednak, że były to strzały raczej na postrach, że żaden z łuczników nie celował, by zabić. Zranić – jak najbardziej – żeby bolało. Gubernator skrył się w domu. Trzy strzały poharatały mu twarz – jedna z nich pod dziwnym kątem wbiła się w skórę na czole. Bent przeklinał z bólu. Po skroniach i policzkach płynęła mu krew. Zaryglował drzwi i pobiegł do Ignacii. Była ciągle w koszuli nocnej, a jej oczy rozszerzał strach. I ją lekko zraniła jedna ze strzał. Małżonkowie schowali się w głębi domu i zastanawiali się, co robić. Z głowy Benta ciągle dziwacznie zwisały strzały. Tłum walił w okna i krzyczał tak głośno, że domownicy ledwie słyszeli się nawzajem.

– Na pohybel Amerykanom! *Gringos* muszą umrzeć!

Ignacia podała Charlesowi broń, ale on pokręcił głową.

– Bez sensu, jest ich zbyt wielu. Jeśli zacznę do nich strzelać, zabiją nas wszystkich.

– To wskakuj na konia i uciekaj – Ignacia wskazała na konie stojące w zagrodzie na podwórku.

– Nie – odpowiedział Bent. – Gubernator nie może uciec i zostawić swojej rodziny na pastwę losu. Jeśli chcą mnie zabić, niech mnie zabijają.

Nad głowami usłyszeli odgłos kopania i darcia. Część tłumu wdarła się na dach i od góry próbowała dostać się do domu. W środku wszyscy zebrali się w jednym miejscu – córka Bentów Teresina, ich syn Alfredo, Josefa Carson, Rumalda Boggs i indiańska służąca z plemienia Nawaho, prawdopodobnie porwana jako dziecko. Domownicy tulili się do siebie, łkając i drżąc ze strachu.

Jedna z kobiet wpadła na pewien pomysł. Rezydencja Bentów była połączona z sąsiednim domem grubą ścianą z suszonej cegły. Wszyscy złapali za jakieś narzędzia – pogrzebacz, metalowe łyżki – i zaczęli przebijać się do sąsiadów. Drapali cegły i wyrywali je ze ściany, aż w końcu powstał nieduży otwór.

Pracowali w szaleńczym tempie. Gubernator próbował zaś grać na zwłokę. Zaproponował pieniądze tłumowi dobijającemu się do domu. Napastnicy tylko się roześmiali. Alfredo podszedł do ojca. W rękach miał strzelbę.

– Brońmy się, tato. – Spojrzał twardo.

– Nie, jest już za późno. Biegnij do kobiet i pomóż im kopać – odpowiedział synowi Charles Bent.

Gubernator dalej grał na zwłokę. Ciągle miał nadzieję, że uda mu się uspokoić tłum. Obiecał, że powoła komisję, która wysłucha wszystkich żalów Indian. Zaproponował nawet, że sam odda się w ich ręce, jeśli obiecają, że nic mu nie zrobią.

Nic z tego.

– Od ciebie zaczniemy! – krzyknął ktoś z tłumu. – A potem zabijemy wszystkich Amerykanów w Nowym Meksyku!

Przez drzwi przebiła się salwa pocisków wystrzelonych z muszkietów. Jeden rykoszetem trafił Benta w podbrzusze. Drugi skaleczył go w policzek.

Kobietom udało się już jednak przebić do sąsiedniego domu. Dziura w ścianie była na tyle szeroka, że mógł przecisnąć się przez nią dorosły. Pierwsi przeszli na czworakach Teresina i Alfredo. Potem Josefa i Rumalda. Szalejący na ulicy tłum był bliski wdarcia się do domu. Ignacia krzyknęła na męża, żeby uciekał.

– Oni chcą ciebie, a nie mnie!

Bent w końcu się zgodził. Zapomniał jednak o strzałach, które ciągle tkwiły w jego głowie. Kiedy spróbował przecisnąć się przez ciasną dziurę, zaczepił nimi o mur i zawył z bólu. Wściekły wstał, wyrwał je z głowy i cisnął nimi w ścianę. Potem skoczył z powrotem w dziurę, jedną ręką osłaniając krwawiącą głowę, a drugą torując sobie drogę i przeciskając swoje masywne ciało na drugą stronę.

Indianie wdarli się do domu Bentów. Przeczesywali pokoje, szukając domowników. Dopadli Ignacię i jeden z nich uniósł karabin do strzału. Odważna nawahijska niewolnica, która przeżyła z Bentami większość życia, własnym ciałem osłoniła swoją panią. Postrzelona padła na podłogę.

Jeden z napastników uderzył Ignacię kolbą w plecy i powalił ją na podłogę. Tłum ruszył dalej, zostawiając żonę Charlesa Benta w spokoju. W końcu Indianie odnaleźli dziurę w ścianie i zaczęli przeciskać się do sąsiedniego domu.

Po drugiej stronie muru gubernator Nowego Meksyku gorączkowo szukał po kieszeniach notatnika. Chciał spisać w nim swe ostatnie słowa, może testament. Stracił sporo krwi i był coraz słabszy. Rumalda Boggs wzięła go w ramiona, kiedy próbował pozbierać myśli. Bent zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że za chwilę zginie. Zanim zdążył cokolwiek napisać, Indianie z Taos Pueblo wdarli się do budynku. Część przeszła przez dziurę w ścianie, a reszta wpadła z góry, rozerwawszy dach.

Na oczach Teresiny, Alfreda, Rumaldy i Josefy tłum rzucił się na gubernatora. Główny inicjator zamieszek i wichrzyciel, Tomacito Romero z Taos Pueblo, złapał Benta za szelki i rzucił na podłogę. Indianie ostrzelali go z łuków i muszkietów. Dzieci błagały napastników o litość. Jak wspominała później Teresina, „nasze łzy nie zmiękczyły ich twardych serc”. Tomacito nachylił się nad ciągle żywym Charlesem i cięciwą łuku ze świstem zdjął mu skalp siwych włosów. „Skóra poddała się łatwo, jakby cięta nożem”, relacjonowała Rumalda[347].

Ryczący tłum obdarł gubernatora z ubrania i rąbał jego nagie ciało, aż ofiara przestała oddychać. Ktoś przyniósł deskę, ktoś inny mosiężne pinezki. Skalp Benta rozciągnięto i przybito do drewna. Napastnicy wybiegli z domu, unosząc wysoko swoje trofeum. W bladym świetle poranka ponieśli je błotnistymi ulicami Taos w stronę plazy.

Dzieci Benta i ich ciotka Josefa łkali skuleni na podłodze. Przeklęty los uczynił ich Amerykanami – z urodzenia lub przez powinowactwo – byli więc pewni, że teraz na nich kolej.

Zamieszki trwały przez dwa dni. Indianie z Taos i ich meksykańscy sojusznicy spełniali swą groźbę dotyczącą wybicia Amerykanów szarogęszących się w prowincji. Oczywistym celem byli wszyscy towarzysze Benta, którzy podróżowali z nim z Santa Fe. Prefekt Cornelio Vigil został porąbany na kawałki. Szeryf Stephen Lee zginął na dachu swojego domu. Tłum dopadł prokuratora rejonowego Jamesa Leala, odarł go z ubrania i godzinami torturował. Oślepionego, choć ciągle żywego, wrzucono w końcu do rowu, w którym pożarły go świnie.

Napastnicy wzięli się następnie za Narcisa Beaubiena i Pabla Jaramillo, nie przejmując się tym, że żaden z nich nie jest Amerykaninem. Obaj przyjaciele zagrzebali się w słomie w stajni niedaleko domu Bentów. Rebeliantom wydał ich jeden z indiańskich służących.

– Zabijcie młodych. Nigdy nie dorosną i nie będą nas nękać.

Indianie zabili chłopców lancami. Kłuli ich ciała tak długo, aż stały się nie do rozpoznania.

Tłum rozbiegł się po miasteczku. Otwarto więzienie i uwolniono dwóch Indian, po których aresztowaniu wybuchły zamieszki. Splądrowano sklep Benta. Wdarto się do domu Carsonów i wyniesiono wszystko, co było do wyniesienia. Gdyby Kit nocował w domu, zamiast wrócić do Kalifornii, prawie na pewno też zostałby zaatakowany i zginąłby.

Rewolta rozlała się po północnym Nowym Meksyku. Latynosi atakowali amerykańskie transporty i pastwiska, zabijając wszystkich napotkanych Amerykanów i porywając potężne stada zwierząt. Każdy amerykański handlarz, kupiec i traper znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Koło miasteczka Mora oddalonego o jakieś sześćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Taos z zimną krwią zamordowano ośmioro podróżujących Amerykanów. W maleńkim przysiółku Arroyo Hondo położonym na północ od Taos kilkuset Indian Pueblo otoczyło dom Simeona Turleya. Był to znany wszystkim Amerykanin, który prowadził destylarnię i produkował słynną Błyskawicę z Taos, zbożową gorzałkę, którą upijał się teraz tłum. W jego młynie było akurat dziewięciu amerykańskich traperów, w większości przyjaciół Benta i Carsona. Po długim oblężeniu Indianie zabili

prawie wszystkich – tylko dwóm Amerykanom udało się uciec pod osłoną nocy.

W sumie w pierwszych godzinach buntu zginęło siedemnaścioro Amerykanów. Rebeliantom było jednak ciągle mało. Zbieranina Indian i Meksykanów licząca około tysiąca ludzi ruszyła na Santa Fe, zbierając po drodze ochotników. Oszołomieni sukcesem powstańcy chcieli zdobyć fort Marcy, zająć Pałac Gubernatorów i zetrzeć z powierzchni ziemi każdy ślad amerykańskiej obecności w prowincji.

Zamieszki w Taos przekształciły się więc w pełnowymiarowe powstanie, które objęło całą północ [Nowego Meksyku]. Nie wybuchło ono do końca spontanicznie. Do wszczęcia rebelii prawie na pewno nawoływali niektórzy katoliccy księża mieszkający w okolicy Taos – jednym z podejrzanych był ojciec Antonio Martinez – a także prawdopodobnie przywódcy ruchu *penitente*. Rewolta niewiele różniła się od poprzedniej, z którą Bent i Price ledwie poradzili sobie w grudniu rok wcześniej tuż przed Bożym Narodzeniem. Plan powstańców z Taos nie był zbyt skomplikowany. Ich jedynym celem było pozbycie się Amerykanów. Niezadowolenie wśród mieszkańców Nowego Meksyku było jednak tak wielkie, że to wystarczyło.

Z jakiegoś powodu rebelianci oszczędzili kobiety i dzieci ocalałe z masakry u Bentów. Indianie ogołocili dom, z czego się tylko dało, i zabronili jego mieszkańcom – pod groźbą śmierci – wychodzić na zewnątrz. Jak wspominała później Teresina Bent, „zakazali przynoszenia nam jedzenia i zostawili nas samych z naszym wielkim smutkiem”[348]. Indianie wynieśli z domu wszystkie ubrania, więc Bentowie mieli na sobie tylko koszule nocne.

Kiedy rewolta ogarniała północ [Nowego Meksyku], Latynoski, które powychodziły za *gringos*, przygotowywały pasty z błota i przypraw oraz smarowały nimi buzie swoich dzieci półkrwi amerykańskiej. Dzięki temu ich skóra była ciemniejsza. Nie wiemy, czy również Ignacia Bent posunęła się do takich środków ostrożności. Niemniej zaraz po ataku na dom Bentów Josefa Carson przebrała się za indiańską niewolnicę i wymknęła się na zewnątrz. Ukryła się w domu przyjaciół, w którym udawała służącą, rozcierając kukurydzę na *metate* i wykonując różne inne prace domowe.

Z kolei Bentowie przez dwa dni płakali i głodowali w zimnym i zniszczonym domu. Nagie i oskalpowane ciało ojca leżało na podłodze w zastygłej kałuży krwi.

21 stycznia 1847 roku Sterling Price dowiedział się o tragicznych wydarzeniach na północy terytorium. Od razu poderwał wojsko, żeby zdławić rewoltę. Pułkownik postanowił nie czekać w Santa Fe na rebeliantów z Taos, tylko stawić im czoła w polu. Dzięki temu miał szansę zapobiec rozlaniu się powstania i wchłonięciu przezeń nowych ludzi. Była to śmiała decyzja. Price zostawiał bowiem stolicę bez obrony. Gdyby pojawili się jacyś nowi powstańcy i zaatakowali ją od innej strony, sprawy mogły przybrać bardzo zły obrót. Ale pułkownik uznał, że gra jest warta świeczki. Mroźnego poranka 23 stycznia opuścił fort Marcy. Pięć kompanii ochotników z Missouri ciągnęło ze sobą cztery haubice górskie. Amerykanom towarzyszyła kompania nowomeksykańskich ochotników dowodzona przez Cerana St. Vraina, legendarnego trapera pochodzenia francusko-kanadyjskiego, wspólnika biznesowego Charlesa Benta i współwłaściciela fortu Bentów.

St. Vrain był przysadzistym mężczyzną z St. Louis. Lubił życie, był smakoszem dobrej brandy, sprośnych historyjek i francuskich nieprzyzwoitości. Historyk David Lavender opisał go jako „wesołka o twarzy porośniętej lśniącą czarną brodą i o szeroko rozstawionych oczach, które chętnie błyskały humorem”[349]. Ochotnicy, których udało mu się zebrać, stanowili barwny tłumek złożony z noszących szelki amerykańskich kupców, zarośniętych ludzi gór i z zadziwiająco sporej grupy Meksykanów, którzy nagle doszli do wniosku, że warto wykazać się lojalnością wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki. Sam St. Vrain chciał po prostu się zemścić. Podobnie jak Kit Carson kierował się niepisanym kodeksem pogranicza, który zobowiązywał do lojalności i wendety. Ten doświadczony człowiek gór był więc zdecydowany „policzyć się” z tymi, którzy zamordowali jednego z jego towarzyszy.

Ochotnikiem w zebranej naprędce kompanii St. Vraina był też czarnoskóry niewolnik Charlesa Benta Dick Green. Gubernator zostawił go w Santa Fe.

Green, najwyraźniej poruszony wieściami o masakrze w Taos, chciał pomścić śmierć swojego pana.

Wojska Sterlinga Price'a, liczące blisko czterystu ludzi, maszerowały gorączkowo na północ. „Byliśmy jak spragnione zemsty tygrysy”[350], wspominał ten pośpiech jeden z traperów. Tempo marszu Amerykanów szybko ograniczył jednak śnieg. Wielu żołnierzy Price'a poodmrażało sobie stopy, idąc przez te same maleńkie osady, które tydzień wcześniej mijał w drodze do Taos gubernator Bent i jego kompania. Tym razem wieśniacy nie patrzyli wilkiem na Amerykanów. Starali się raczej nie pokazywać im na oczy. Było jasne, że żołnierze Price'a pragną krwi i niewiele trzeba, żeby ich sprowokować. Miejscowi kryli się więc przed Amerykanami, nie wychodząc ze swoich glinianych domków i podwórek otoczonych wysokimi murami.

O trzynastej trzydzieści 24 stycznia na przedpolu wioski Santa Cruz de la Cañada Amerykanie natknęli się na awangardę sił powstańczych. Żołnierze Price'a z wściekłością natarli na rebeliantów, walcząc o wzgórza, a potem o wiejskie domy. Tuż przed zmierzchem zmusili powstańców do rejterady. Amerykanie stracili w tej bitwie tylko ośmiu walczących. Przeciwnik – trzydziestu sześciu.

Dwa dni później Price znowu natrafił na opór. Tym razem powstańcy czekali w kanionie w pobliżu miejsca zwanego Embudo niedaleko Rio Grande. „Wróg zaczął się szybko wycofywać, posuwając się u podnóża gór”, meldował zadowolony pułkownik. W potyczce St. Vrain stracił tylko dwóch ludzi. Rebelianci naliczyli przeszło dwudziestu zabitych i sześćdziesięciu rannych.

Już tylko śnieżne pola pełne zasp stały na drodze wojsk Price'a. Zwiadowcy donosili pułkownikowi, że powstańcy ukryli się w Taos Pueblo. Tysiące rebeliantów zabarykadowało się za grubymi ścianami z suszonej cegły i przygotowywało się do ostatecznego starcia.

Taos Pueblo zostało założone około 1300 roku. Było jedną z najstarszych nieprzerwanie zamieszkanych osad w Ameryce Północnej[351]. Składało się z dwóch ogromnych kompleksów mieszkalnych odgrodzonych od siebie lodowatym strumieniem spływającym z potężnych gór Sangre de Cristo.

Rzeczka była źródłem wody pitnej dla mieszkańców puebla. Wypływała z pięknego górskiego jeziora, które pełniło ważną funkcję w mitologii plemienia. Na obu brzegach strumienia wznosiły się sześciopiętrowe budynki zwrócone do siebie frontami i cieszące oko wspaniałą symetrią. Domy, poustawiane jeden na drugim jak pudełka, były połączone drewnianymi drabinami. Gliniane dachy czas naznaczył urokliwymi nierównościami. Z głębokich *kiva*, w których palono sosnowe ogniska, wydobywał się dym. Mężczyźni zgromadzili się na naradę. Wokół krzątały się kobiety opatulone w jaskrawe koce i w butach z sarniej skóry. Doglądały ustawionych na zewnątrz pieców, które wyglądem przypominały ule. Kobiety wypiekały w nich miejscowy miękki okrągły chleb będący podstawą posiłków w Taos Pueblo. Na wschodzie zaśnieżone góry wznosiły się na wysokość blisko czterech tysięcy metrów – kamienne płyty i skalne odłamki piętrzyły się w artystycznym nieładzie. Ludzi chroniły wysoka drewniana palisada i grube mury. Taos Pueblo przypominało średniowieczną marokańską cytadelę opartą o góry Atlas.

Na północno-zachodnim krańcu osady stał potężny kościół pod wezwaniem świętego Hieronima. Jego bliźniacze dzwonnice miały po dziesięć metrów wysokości. Wznoszący się ku szaremu, zimowemu niebu budynek robił wielkie wrażenie. Był przytulony do starego cmentarza pełnego krzyży. Ściany kościoła miały blisko dwa metry grubości. Misja świętego Hieronima przypominała więc twierdzę. To w niej schroniło się najwięcej powstańców. Może Indianie z Taos sądzili, że Amerykanie nie odważą się zaatakować katolickiej świątyni? A nawet gdyby się odważyli, to powstrzymać ich miały niezliczone relikwie i święci strzegący westybulu i ścian kościoła. Jeśli jednak rebelianci mieli zginąć, to chcieli zginąć właśnie tu, bliżej Boga. Było to jedyne miejsce na świecie, w którym czuli się bezpiecznie. W ciemnym i pełnym przeciągów pomieszczeniu skąpanym w mdłym świetle zniczów powstańcy wybijali w murach otwory strzelnicze. Czekali.

W mroźny poranek 4 lutego pułkownik Price poprowadził swoich żołnierzy pod mury Taos Pueblo. Wioska zrobiła na nim ogromne wrażenie. Uważał, że jest „silnie chroniona i świetnie przygotowana do obrony”[352].

Z czysto wojskowego punktu widzenia stawiała przed nim wyzwanie, z jakim jeszcze nie musiał się zmagać. W obu kompleksach mieszkalnych wciągnięto drabiny. Jak pisał później pewien historyk, „ich mieszkańcy zalegli jak zwierzęta w swych norach, nasłuchując odgłosów korzystnej zmiany pogody”[353]. Price rozkazał kompanii St. Vraina otoczenie półkolem wschodnich krańców wioski. Ochotnicy mieli „przechwycić wszystkich tych, którzy postanowili czmychnąć w góry”. Potem pułkownik rozstawił artylerię wokół misji świętego Hieronima i ostrzeliwał ją przez dwie godziny. Ściany kościoła były jednak tak grube i jednocześnie tak miękkie, że pociski prawie ich nie naruszały – cegły z błota zdawały się połykać kule armatnie i rozpraszać siłę ich wybuchów.

Sfrustrowany tym Price nakazał przerwanie ognia. Kompania żołnierzy dowodzona przez kapitana J. H. K. Burgwina miała podejść kościół od zachodu i północy. Burgwin był jednym z najlepszych dragonów Kearny’ego, „najodważniejszym z żołnierzy, jacy kiedykolwiek walczyli na pograniczu”, jak opisywał go pewien traper. Przedzierając się przez nawałnicę kul, żołnierze Burgwina dopadli ścian świątyni i zaczęli rozbijać je toporami i siekierami. Byli jednak równie mało skuteczni jak artyleria. Kapitan postanowił więc wziąć twierdzę od frontu. Rozkazał swoim ludziom rozrąbanie potężnych drewnianych wrót, które strzegły kościoła.

Był to zuchwały pomysł i Burgwin szybko zań zapłacił. Biegnąc do drzwi świątyni, wystawił się na ogień ukrytych w niej Indian i padł ofiarą strzelca. Pozbawieni dowódcy żołnierze podwoili wysiłki. Wreszcie udało im się wyciąć w murze niewielki otwór. Podpalili zapałkami lonty granatów i wrzucili je do środka. Kolejni przystawili do ścian drabiny i z pochodniami ruszyli do góry, żeby podpalić dach.

O piętnastej dach płonął niczym smoła w piekle. Pułkownik Price podciągnął sześciofuntówkę – haubicę strzelającą sześciofuntowymi kartaczami – i ustawił ją w odległości blisko pięćdziesięciu metrów od kościoła. W stronę świątyni poleciało dziesięć pocisków. Kiedy opadł pył, okazało się, że jeden z kartaczy trafił w dziurę wykutą przez żołnierzy Burgwina i mocno ją powiększył. Otwór był na tyle duży, że prawie mógł zmieścić się w nim człowiek. Price natychmiast nakazał swoim artylerzystom

wstrzelać się w tę dziurę. Szybko zaczęła ona przypominać wejście do jaskini. Ostrzał spowodował prawdziwą rzeź wewnątrz świątyni. Kasetowe pociski zmasakrowały dziesiątki Indian stłoczonych w kościele. Znajdujący się na zewnątrz Amerykanie świetnie słyszeli ich krzyki i jęki. Jak wspominał jeden z uczestników oblężenia, „odgłosy wybuchających pocisków i zawodzenia rannych były trudne do zniesienia”[354].

Żołnierze Price’a ruszyli do szturmu przez wyłom w murze kościoła. Jednym z pierwszych, którzy wdarli się do środka, był Dick Green, czarnoskóry niewolnik Charlesa Benta. Wewnątrz świątyni było bardzo gorąco. Wypełniał ją gęsty i gryzący dym. Na podłodze jęczeli zwijający się z bólu ludzie. Większość z obrońców nie żyła, była ranna albo właśnie uciekała tylnymi drzwiami w stronę położonych na wschodzie gór. Ci, którzy odważyli się walczyć dalej, zostali zastrzeleni albo polegli w walce wręcz. Wśród nich był straceńczo odważny Indianin z plemienia Delawarów, który wżenił się w rodzinę z Taos. Jak wspominali Amerykanie, był z niego „świetny strzelec i zdesperowany przeciwnik”. Nie chciał się poddać, nawet kiedy poczerniałe krokwie w stropie kościoła zaczęły się załamywać, grożąc zawaleniem. Żołnierze zapędzili go do znajdującej się za ołtarzem zakrystii i wpakowali w niego trzydzieści kul.

Kościół zaczął przypominać kostnicę. Dym w środku był „tak gęsty, że nie dało się oddychać”, jak napisał pewien młody oficer artylerii. Żołnierze zatknęli na szczycie jednego z glinianych murów świątyni amerykańską flagę i z radością ogłosili zwycięstwo. Niemniej uciekający powstańcy na tyle długo jeszcze się bronili, że zdołali roznieść ją na strzępy.

W krzewach rosnących na wschód od puebla ukryli się ochotnicy Cerana St. Vraina. Z załadowanymi karabinami i odciągniętymi kurkami spokojnie czekali na powstańców uciekających w stronę gór. Wypalili salwą, kiedy pojawili się pierwsi z nich. Następnych zabili w walce wręcz. W sumie z ich rąk padło przeszło pięćdziesięciu Indian. Jak opisywał jeden z ochotników, rebelianci „uciekali we wszystkie strony. Żaden z nich nie prosił o litość, a i myśmy pardonu nie dawali”. St. Vrain cudem uszedł śmierci, kiedy

udający martwego Indianin rzucił się na niego z włócznią zakończoną stalowym grotem.

Jeden z uciekających z Taos Pueblo Indian próbował przehandlować życie swoich towarzyszy. Po wyjściu z ukrycia w krzakach szałwii, skulił się przed ochotnikami St. Vraina.

– *Bueno! Bueno!* Ja lubić *Americanos!* – przekonywał.

– Jeśli tak lubisz Amerykanów, to bierz miecz, wracaj do swoich i wszystkich ich pozabijaj – odpowiedział opryskliwie jeden z traperów.

Przerażony Indianin złapał broń i, tak jak mu kazano, zniknął w krzakach. Według relacji jednego z traperów wrócił po kilku minutach z ostrzem „unurzanym we krwi".

– Zabiłem ich – powiedział Indianin. Choć oczywiście krew na jego mieczu mogła pochodzić także z ciał powstańców, którzy padli wcześniej w boju z Amerykanami.

– No to teraz zginiesz za zabicie swoich własnych towarzyszy – powiedział z niesmakiem ten sam traper, który wcześniej wręczył mu miecz. Po czym uniósł karabin Hawkena i zastrzelił Indianina.

Bitwa o Taos Pueblo przeciągnęła się o kolejny dzień. Żołnierze pułkownika Price'a przeczesywali dom za domem, poszukując ukrywających się w nich powstańców. Na noc rozłożyli się z obozem w północnej części puebla, opuszczonej przez Indian. Wyprawili sobie tam ucztę, korzystając z zapasów jedzenia zostawionych przez uciekinierów. W pobliżu ciągle tlącego się kościoła pochowali poległego w boju kapitana Burgwina. Obok wykopali też wspólny grób dla trzydziestu innych towarzyszy broni. Oficerowie Price'a pojmali dziesiątki powstańców – Indian i Meksykanów. Wśród zatrzymanych był między innymi Tomacito Romero, ten sam, który żywcem oskalpował gubernatora Benta. Romero, tak jak reszta powstańców, których udało się schwytać, miał zostać postawiony przed sądem. W nocy jego celę odwiedził jednak – pod pretekstem przesłuchania – jeden z dragonów. Wyjął pistolet i strzelił prowodyrowi powstania prosto w głowę, zabijając go na miejscu.

Trzeciego dnia z południowego kompleksu mieszkaniowego wyszły zrozpaczone kobiety. Niosły białe flagi i święte relikwie, którymi chciały

okupić się Amerykanom. „Klęknęły przed pułkownikiem – opisywał jeden ze świadków – i błagały o darowanie życia swoim mężczyznom". Price przyjął kapitulację pod warunkiem, że Indianie wydadzą wszystkich przywódców powstania.

Bitwa zakończyła się totalną porażką Indian z Taos Pueblo. Zginęło ich blisko dwustu. Wielu więcej odniosło poważne rany. Dzień po skończeniu walk Lewis Garrard, młody pisarz z Cincinnati, który dotarł do Taos Pueblo razem z grupą traperów z fortu Bentów, oglądał spalone ruiny wioski. Z patosem opisał to, co z niej zostało.

> Minęło mnie kilku półprzytomnych Indian. Ponuro wpatrywali się w dal. Ich przywódcy zginęli, ich ziarno i bydło przepadło, z ich kościoła zostały ruiny. Kwiat narodu stracił życie albo groziła mu kara śmierci. Kierowani przesądami uwierzyli, że ich święty Kościół zapewni im bezpieczeństwo. Byli zdumieni, że w godzinie rozpaczy zostali opuszczeni. Nie mogli znieść, że *los diablos Americanos* zdeptali tryumfalnie ich świętą ziemię[355].

Kilka tygodni później pod bezlistną topolą zatrzymał się rządowy powóz. Dwa muły, które do niego zaprzęgnięto, stały spokojnie, nie przejmując się zimnem doskwierającym tego poranka. Nie zdawały sobie sprawy z tego, po co je tam przyprowadzono. Na burtach odkrytego powozu ustawiono długą deskę. Z poskręcanego topolowego konaru zwisało sześć sznurów zakończonych pętlami. Nasmarowano je mydłem, żeby gładko chodziły.

Na dachach Taos Pueblo zgromadzili się mieszkańcy. Każdy chciał zobaczyć pierwszą w historii osady publiczną egzekucję przez powieszenie. Pluton żołnierzy prowadził przez wioskę sześciu skazańców. Podczas procesu Indianie byli trzymani w zimnej, ciemnej i brudnej celi. Teraz przedstawiali więc sobą widok godny pożałowania. Lewis Garrard napisał, że wyglądali jak „ludzkie wraki […] nędznie odziani, stłamszeni, bylejacy, tłuści, brudni"[356]. Kiedy skazańcy doszli do szubienicy, kazano im wdrapać się na wóz. Na deskę musieli wejść ostrożnie, żeby jej nie przewrócić. Najpierw dwóch z nich stanęło na jej środku. Potem dwie pozostałe pary weszły na oba krańce deski. W końcu cała szóstka stanęła twarzą do woźnicy. Stali tak blisko siebie, że dotykali się ramionami. Szeryf założył im pętle na szyje.

– *Mi madre, mi padre*[40] – mruczał pod nosem jeden ze skazańców.

– *Carajo, los Americanos*[41]! – wycedził drugi przez zaciśnięte zęby[357].

Ich proces był błyskawiczny. Sądowi przewodniczył sędzia Carlos Beaubien, którego syn został zamordowany podczas powstania. Tłumaczem był Ceran St. Vrain. Na ławie przysięgłych zasiadali Amerykanie, którzy podczas rebelii stracili bliskich i zostali pozbawieni dóbr materialnych.

Przed sądem złożyły zeznania Ignacia Bent i Josefa Carson. Obie opisały, w jak makabrycznych okolicznościach został zamordowany gubernator Charles Bent. Wielu powstańców zostało jednak skazanych nie za morderstwa, ale za zdradę – co było prawniczym szachrajstwem, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Meksyk i Stany Zjednoczone ciągle znajdowały się w stanie wojny. Lewis Garrard, świadek procesu, był najpierw zdziwiony, a potem oburzony. „Podbicie kraju i oskarżenie powstańców o zdradę – pisał – było z pewnością przesadą. Czy ci biedacy mogli odczuwać lojalność wobec swojej nowej ojczyzny?”.

Niezależnie od oskarżenia, wszystkie wyroki brzmiały tak samo.

– *Muerto, muerto, muerto*[42] – powtarzał grobowym głosem sędzia Beaubien.

To prawda, że do makabrycznego zabójstwa gubernatora Benta podjudzili tłum Indianie Pueblo – prowodyrów było przynajmniej kilkudziesięciu. Niemniej powstanie, które objęło prawie całą prowincję, było zainspirowane – i z całą pewnością zaplanowane – przez kilku nowomeksykańskich przywódców i katolickich księży. Ich rola w jego wybuchu nigdy jednak nie wyszła na światło dzienne i nigdy nie została udowodniona. Ich nazwiska zaś na zawsze skryła tajemnica.

Cenę za powstanie zapłacili więc Indianie Pueblo. Nie wiemy dokładnie, co im obiecano za postawienie się Amerykanom, i czego sami oczekiwali w zamian. Indianie z Taos nigdy nie spisali swojej wersji tej historii. Nawet dziś, gdybyśmy odwiedzili wspaniałe pueblo i stojąc przed ruinami starego kościoła, zapytali, czy istnieje pisemna relacja powstania, zostalibyśmy łagodnie skarceni.

– Tutaj historie się opowiada – odpowiedzieliby Indianie.

Po co zajmować się starymi dziejami? O wydarzeniach z 1847 roku lepiej w ogóle nie mówić. No, może tylko w bezpiecznym półmroku zadymionych *kiva*.

Amerykański szeryf dał znak i woźnica krzyknął na muły. Skazańcy do ostatniej chwili starali się utrzymać na desce. Spadli z niej w tym samym momencie. Postronki, na których zawiśli, zacisnęły się na ich szyjach. Według relacji Garrarda ich ciała kołysały się w tę i we w tę, a kiedy zderzały się ze sobą, wstrząsał nimi dreszcz. „Ich mięśnie to napinały się, to rozluźniały, a ciała wiły się przeraźliwie”[358].

Dłonie dwóch wisielców przypadkowo się spotkały. Jak zauważył Garrard, palce umierających Indian splotły się w mocnym, braterskim uścisku, „który rozluźnił się dopiero w chwili, gdy ich mięśnie zwiotczyła śmierć”.

29

Amerykański Hermes

St. Louis, buzującą życiem stolicę pogranicza, zbudowano niedaleko ujścia Missouri do Missisipi. Pełne wilgoci miasto rozłożyło się na brzegach rzeki, której zaśmiecony, brązowy nurt pruły parowce. Na bitych i brukowanych ulicach, których granice wyznaczały rzędy akacji, tłoczyły się wozy i powozy. Miasto rozbudowywało się jednak głównie na zachód od nabrzeża, zajmując kolejne równe kwartały, tak jak zaplanowali to jego francuscy budowniczowie. Choć St. Louis leżało prawie na końcu świata, było zaskakująco kosmopolityczne. Żyło w nim piętnaście tysięcy mieszkańców, którzy stworzyli specyficzną kreolską kulturę. Jego tawerny rozbrzmiewały gardłowym hiszpańskim, śpiewnym francuskim i dźwięcznymi językami indiańskimi. Niedawno dołączyły do nich niemiecki i irlandzki. Do miasta zaczęli bowiem napływać nowi imigranci z Europy. Na Zachód gnali w poszukiwaniu pracy i ziemi pod uprawę.

Kiedy Carson był w St. Louis po raz ostatni, czyli w 1842 roku, było ono nędznym miasteczkiem położonym na krańcach Stanów Zjednoczonych, stolicą najbardziej wysuniętego na zachód stanu USA. Kiedy przybył do niego wiosną 1847 roku, nie mógł go rozpoznać. Choć jego mieszkańcy zdawali się o tym nie wiedzieć, pod względem geograficznym miasto leżało teraz w samym sercu kraju. W ciągu ledwie kilku miesięcy, za sprawą działań wojennych, w których sam Carson brał udział, zachodnie pogranicze rozszerzyło się o przeszło półtora tysiąca kilometrów. St. Louis, jeszcze niedawno leżące na marginesie mapy, nagle znalazło się w jej centrum.

Kit Carson, dzięki któremu mieszkańcy miasta mieli niedługo przedefiniować swoje miejsce na świecie, był wyczerpany dwumiesięczną podróżą z Kalifornii. Zbliżał się koniec maja, a od procesów i egzekucji w Taos minął miesiąc. Powstanie Indian i Meksykanów było ostatnim zrywem oporu przeciwko amerykańskiej inwazji. Carson przejeżdżał przez

St. Louis, wioząc depesze z Kalifornii. Był bliski wypełnienia misji kuriera transkontynentalnego, w czym jesienią poprzedniego roku przeszkodził mu generał Kearny. Meksykańska rebelia w Kalifornii została stłumiona, a Los Angeles znowu wpadło w ręce Amerykanów. Stary druh Carsona i ówczesny gubernator Kalifornii John C. Frémont wręczył mu plik listów i rozkazał dostarczyć go sekretarzowi stanu w Waszyngtonie. Kit wiózł więc na wschód informacje o przebiegu wojny. Po krótkim postoju w St. Louis miał kontynuować podróż na pokładzie parowca, a potem dotrzeć do celu pociągiem.

Carson uwielbiał takie zadania. Lubił dowodzić niewielką wyprawą i wozić informacje dla ludzi potężniejszych od siebie, strzegąc jak oka w głowie sekretów, które miały zapisać się w historii. Pędził przez Amerykę niczym posłaniec bogów Hermes. On, analfabeta, wiózł listy władców tego świata – ironia tej sytuacji prawdopodobnie nie uszła jego uwagi.

Żeby dostać się do St. Louis, wyruszył z Kalifornii na wschód Szlakiem Gilii. Poradził sobie z napadem Apaczów – „ich strzały świstały mi koło uszu jak stado gęsi frunących na południe”. Po drodze zatrzymał się w Taos i spotkał się z Josefą, której nie widział od dwudziestu miesięcy. To od niej dowiedział się o rewolcie i o strasznych wydarzeniach w domu Bentów. Nabrał też przekonania, że prawdziwym mózgiem powstania był *padre* Antonio Martinez, ksiądz, który udzielał ślubu jemu i Josefie. Choć Carsonowi nigdy nie udało się tego udowodnić, był o tym przekonany do końca życia.

W Taos spędził dziesięć dni. Potem ruszył do fortu Bentów i dalej Szlakiem Santa Fe przez Fort Leavenworth. Towarzyszem podróży był mu Ned Beale, młody porucznik marynarki wojennej, ten sam, z którym Carson przemaszerował boso przez pustynię z San Pasqual do San Diego. Nie wiemy dokładnie, w jakiej Beale był kondycji. Wiemy jednak na pewno, że ciągle nie wykurował się po pustynnym „maratonie”. Podczas podróży na wschód Carson musiał bowiem pomagać mu przy wsiadaniu i zsiadaniu z konia. Beale był mu zresztą dozgonnie wdzięczny za liczne uprzejmości. Lata po ich wspólnej wyprawie transkontynentalnej ciągle dziękował „Don Kitowi” za

to, że na rozpalonej słońcem pustyni ten napoił go z własnej manierki, „wlewając w moje spierzchnięte usta ostatnie krople wody”.

(Inna anegdota ze wspólnej podróży Beale’a i Carsona ładnie opisuje temperament Kita. Prawdopodobnie jeszcze w Kalifornii natknęli się na sierżanta sił lądowych USA wymachującego nożem przed twarzą chorego podwładnego. Carson wyjął pistolet.

– Sierżancie, rzućcie ten nóż albo, na rany Chrystusa, przestrzelę wam serce – ostrzegł zimnym głosem[359].

Ta historyjka może być przesadzona, ale potwierdzają ją inne doniesienia o tym, jak Carson reagował na osiłków zastraszających innych. Jako drobny człowiek o mocnym charakterze nie tolerował takich „drapieżców”. Kiedy tylko na nich się natknął, zawsze reagował gwałtownie).

Gdy Carson i Beale dotarli do St. Louis, jego mieszkańcy nie mieli pojęcia o bitwie pod San Pasqual i późniejszej rekonkwiście Kalifornii. Nie słyszeli nawet o szubienicach w Taos. Dlatego kiedy w mieście rozeszła się wiadomość, że zawitał do niego posłaniec ze świeżymi wieściami z frontu, wszyscy chcieli choć rzucić okiem na słynnego człowieka gór. W końcu był ich rodakiem, rodzonym Missourczykiem, który stał się narodową legendą.

Oczywiście mieszkańcom St. Louis nie wystarczył rzut oka na bohatera. Byli spragnieni wiadomości o wydarzeniach na Zachodzie. Prawie każdy mieszkaniec miasta miał krewnych w armii Kearny’ego albo wśród ochotników Doniphana. A wiarygodnych informacji o ich losach właściwie nie było. Można bez przesady powiedzieć, że pod koniec lat czterdziestych XIX wieku wiadomości rozchodziły się żałośnie wolno. Mieszkająca w St. Louis żona żołnierza była w sytuacji podobnej do tej, w jakiej znajdowała się żona wielorybnika z Bostonu. Po gorącym pożegnaniu swojego ukochanego, który wyruszał na ocean traw, pozostawały jej ciche noce i dnie, pełne zamartwiania się. Mijały tygodnie i miesiące, a potem nawet lata. Zamiast informacji docierały do niej plotki. O tym, że Santa Anna wysłał potężne siły, które miały odbić Nowy Meksyk. Że pułkownik Doniphan zginął z rąk Indian. I że żołnierze Kearny’ego wszyscy co do jednego pomarzli na śmierć w górach.

Aż do przyjazdu do St. Louis Carson nie zdawał sobie sprawy z tego, że stał się prawdziwym celebrytą. Teraz przekonał się też, co ten status oznacza, i zupełnie mu to nie odpowiadało. Ludzie zastępowali mu drogę na ulicy i tłoczyli się wokół niego w knajpach. Kit, jak sam mówił, czuł się jakby „oblężony". Przeszkadzała mu impertynencja tłumu, to, że obcy ludzie czegoś od niego chcą. Szybko nauczył się nieufności do dziennikarzy.

– Niektórzy z tych pismaków – mówił – wiedzą o mnie więcej niż ja sam.

W uliczkach i tawernach ludzie podchodzili do niego i klepali go po plecach, tak jakby go znali. Carson, który miał lekką klaustrofobię i nie cierpiał tłumu, szybko wyplątywał się z takich sytuacji i uciekał na otwartą przestrzeń.

– Wszędzie ci ludzie – narzekał, pokazując na puste ulice[360].

Człowiekiem najbardziej spragnionym wieści z frontu był senator Thomas Hart Benton, który akurat bawił w domu w St. Louis. Zresztą to do niego zaadresowana była część listów, które Carson wiózł w swojej kurierskiej torbie. Senator zaoferował Kitowi gościnę i uściskał go jak dawno niewidzianego bratanka. Oczywiście wiedział, z kim ma do czynienia, czytał przecież raporty Frémonta. Nigdy jednak nie poznał Carsona osobiście.

Z uwagi na swoje zajęcie i zacięcie Benton znał niemal wszystkich zdobywców Dzikiego Zachodu – traperów, handlarzy, podróżników, ekscentrycznych angielskich lordów, którzy wyruszali na prerię na safari, rządowych topografów i botaników, a także zabójców Indian. Wszyscy w końcu trafiali do St. Louis, a senator dbał o to, żeby się z nimi spotkać i porozmawiać. Choć nigdy sam nie wyprawił się na zachód od Missouri, sprawiał wrażenie, jakby było inaczej. Był znajomkiem prawie wszystkich ludzi pogranicza – przyrodnika i malarza Jamesa Audubona, braci Bent, pisarza Washingtona Irvinga, eksploratora Williama Clarka, malarza-podróżnika George'a Catlina oraz słynnych traperów Jima Bridgera i Jedediaha Smitha. Senator poznał też wszystkich najważniejszych żołnierzy Dzikiego Zachodu – Kearny'ego czy Leavenwortha i Dodge'a, a nawet młodego Roberta E. Lee, który służył w St. Louis w Korpusie Inżynieryjnym.

Posiadłość Bentona na obrzeżach miasta pełniła funkcję swego rodzaju obozu przejściowego. Była zachodnim oficjum amerykańskiego imperium. To tam nauka, handel i wywiad wojskowy działające na pograniczu spotykały się i dzieliły informacjami. Były to czasy szczęśliwych dyletantów i dżentelmenów-odkrywców, ludzi wielu umiejętności i zawodów. Żołnierz mógł być jednocześnie geologiem, kartografem, botanikiem, etnologiem, lingwistą, a nawet artystą. Amerykańska ignorancja dotycząca Dzikiego Zachodu była rozległa niczym preria, więc wszelka wiedza na jego temat, obojętnie w jaki sposób uzyskana, stanowiła cenną część powstającej układanki.

Ta układanka dopełniała się w domu Bentona. Eksploratorzy przynosili tam swoje poszarpane mapy, okazy flory, fauny i przyrody nieożywionej, artefakty indiańskiej kultury oraz zwoje nakreślonych węglem rysunków. Senator świetnie ich karmił i poił, a także przetrzymywał do później nocy na ganku, wysłuchując ich opowieści.

Carson nie był więc wyjątkiem. Choć bardzo się spieszył, żeby ruszyć w dalszą drogę do Waszyngtonu, nie miał wyboru. Spędził w domu Bentona kilka długich dni, podczas których senator poddał go drobiazgowemu przesłuchaniu dotyczącemu ostatnich wydarzeń w Oregonie, Kalifornii i Nowym Meksyku.

W domu była też obecna żona Bentona Elizabeth. Była to dystyngowana dama pochodząca ze starej rodziny plantatorów z Wirginii. Miała bladą i zwiotczałą twarz. Prawie się nie odzywała, a kiedy próbowała, mówiła z wysiłkiem. W 1842 roku doznała udaru, który uszkodził jej mózg. Od tego momentu leżała w łóżku i od czasu do czasu męczyły ją ataki padaczki. W rodzinie obwiniano o jej udar starego lekarza Bentonów, którego ulubioną terapią na każdy problem było upuszczanie krwi. (Przed udarem pani Benton upuszczano krew aż trzydzieści trzy razy[361]). Senator był bardzo oddany małżonce i z powodu jej choroby prawie nie pokazywał się publicznie. Przy jej łóżku miał biurko, przy którym przesiadywał nawet nocami, czytając i pisząc. Pomieszczenie rozświetlała lampa jego własnego pomysłu – cztery świece wykonane z oleju wielorybiego rzucające światło na biały ekran.

U Bentonów Carson wziął porządną, gorącą kąpiel. Kupił też sobie trochę ubrań, żeby dobrze wyglądać. Nie był przyzwyczajony do miasta, ale wiedział, że jego skórzane ciuchy i mokasyny niezbyt do niego pasują. Zdawał też sobie sprawę z tego, że w St. Louis tylko odgrywa próbę przed przedstawieniem, jakie czekało go w Waszyngtonie – szczególnie jeśli szło o ubranie i dobre maniery. Obawiał się stolicy, dygnitarzy, których miał w niej poznać, i zadęcia, które na pewno tam panuje. Benton starał się rozwiać jego obawy. Senator nalegał, żeby Carson zatrzymał się w Waszyngtonie w jego domu przy C Street, niedaleko Kapitolu. Zapewniał, że jego mieszkająca w Waszyngtonie córka Jessie przeprowadzi Carsona przez wszelkie towarzyskie rafy.

Carson cieszył się więc z tej nowej znajomości i dobrze czuł się podczas krótkiego pobytu w St. Louis. Choć prawie o tym nie wspomniał w swojej autobiografii. „Przyjąłem zaproszenie Bentona – przyznał – i byłem przez niego wspaniale goszczony".

Senator był z kolei pod wrażeniem swojego nowego gościa. Uważał go za jednego z najważniejszych cichych bohaterów wojny z Meksykiem. „Choć nie znalazł się w armii dzięki studiom w akademii wojskowej – pisał – był jednym z kowali militarnego sukcesu" na Zachodzie[362]. Bentonowi spodobała się u Carsona przede wszystkim jego umiejętność jasnej oceny sytuacji. Uważał, że Kit jest nie tylko człowiekiem szczerym, ale i potrafiącym skupić się na szczegółach. W kulturze słowa mówionego – a taka obowiązywała na amerykańskim pograniczu – przywiązywano szczególną uwagę do umiejętności zapamiętywania. Carson ją posiadał i to uderzało w nim Bentona najmocniej. Relacjom Carsona można było zaufać. Jak mówił Frémont, Carson nie potrafił ukryć prawdy. „Carson i Prawda to jedno". Benton miał takie same spostrzeżenia. „To człowiek – pisał senator – którego słowo ma wartość wszędzie, gdzie go znają"[363].

Benton z ogromną przyjemnością wysłuchał relacji Kita na temat sytuacji w Los Angeles i San Diego. Carson jasno dał do zrozumienia, że po kilku drobnych utarczkach i jednej poważnej bitwie, w których Meksykanie prawie roznieśli Amerykanów na lancach, Kalifornia ostatecznie wpadła

w amerykańskie ręce. Knowania Brytyjczyków, które spędzały sen z oczu senatora, zostały zażegnane.

W opowieści Carsona tkwił jednak pewien haczyk, który kłopotał Bentona. Dotyczył on bowiem jego zięcia. Najwyraźniej Frémont, po poddaniu się Los Angeles, wdał się w karczemną awanturę z generałem Kearnym. Wszystko wskazywało na to, że Odkrywca znalazł się pomiędzy młotem a kowadłem w zmaganiach wojsk lądowych z marynarką wojenną o to, kto będzie rządził w Kalifornii. Komodor Stockton upierał się, że rządzić miał on. Z kolei Kearny uważał, że nowsze rozkazy, które otrzymał od prezydenta Polka, pozbawiają Stocktona dowództwa. Żaden z nich nie chciał ustąpić. Jakby tego było mało, Stockton namaścił Frémonta na nowego gubernatora Kalifornii. A kiedy Kearny zakwestionował ten wybór, Frémont, który był ledwie kapitanem Korpusu Topograficznego, odmówił uznania zwierzchnictwa generała. Nowy gubernator bezczelnie stwierdził, że nie ustąpi, aż Stockton i Kearny – jak napisał w swoim pokrętnym liście do osłupiałego generała – „dogadają się między sobą w sprawie tego, który jest ważniejszy”.

Benton, który znał obu skłóconych wysokich oficerów, był pewien, że problem można rozwiązać – szczególnie kiedy przeczytał listy od Frémonta przywiezione przez Carsona. Zdawał sobie jednak sprawę z surowych zasad obowiązujących w siłach zbrojnych USA, a także z obecnej tam zwykłej ludzkiej zawiści. Z generałami nie warto było zaczynać, a na pewno nie powinno się zadzierać z takimi twardogłowymi jak Stephen Watts Kearny. Senator rozumiał, że sąd wojenny mógłby uznać postępek Frémonta za bunt.

*

Nacieszywszy się gościnnością Bentona, Carson musiał załatwić jeszcze jedną sprawę, zanim udał się w dalszą podróż do Waszyngtonu. Była to sprawa prywatna i ważna, o której nawet w natłoku historycznych wydarzeń nie mógł zapomnieć. Musiał odwiedzić swoją córkę[364].

Nie widział Adaline od pięciu lat. Dziewczynka miała już lat dziesięć i ledwie go pamiętała. Kiedy pojawił się na rodzinnej farmie niedaleko

miasteczka Fayette w Missouri, Adaline go nie poznała. To była krótka i chyba krępująca wizyta. Carson nie mógł zostać na dłużej. Chciał tylko sprawdzić, czy jego córka jest szczęśliwa, czy dobrze idzie jej w szkole i czy nie za mocno ciąży jej to, że jest półkrwi Indianką i dorasta bez ojca.

Adaline była już właściwie młodą kobietą. Przypominała matkę. Kit cieszył się, że jego córka czuje się dobrze i jest kochana przez jego rodzinę. Fakt, że potrafiła czytać, musiał go połechtać. Chodziła już do szkoły dłużej niż swego czasu on sam. Uznał jednak, że nadszedł czas, by przenieść ją z małej wiejskiej placówki, w której umieścił ją lata temu, do większej katolickiej szkoły z internatem znajdującej się w pobliżu. Wykształcenie córki wydawało się mu bardzo ważne. Jego własny analfabetyzm i brak wiedzy ogólnej – a także fakt, że z tego powodu był pozbawiony wielu możliwości – pozostawały dla niego nad wyraz upokarzające. Chciał więc oszczędzić swojej pierworodnej upokorzeń, które sam musiał znosić.

Ponieważ rodzina nie chciała przyjąć pieniędzy za opiekę nad Adaline, Kit obsypał swoich bliskich podarkami. Sprezentował im między innymi mahoniowy bujany fotel, porządny mebel, który miał przetrwać pokolenia. Dla Adaline był on stałym towarzyszem dzieciństwa, który przypominał o dobrym, ale nieobecnym w jej życiu ojcu. Wszyscy uznali, że ten podarunek szczególnie pasował do Kita. Podobnie jak on, fotel był sobą tylko wtedy, kiedy był w ruchu.

30

Zemsty dopełnienie

Jessie Benton Frémont czekała na Carsona na stacji kolejowej w Waszyngtonie. Był późny wieczór któregoś dnia pod koniec maja 1847 roku. Choć nigdy nie widziała Kita nawet na fotografii, bezbłędnie rozpoznała go, kiedy tylko wysiadł z wagonu. Jej mąż świetnie go opisał: nikły uśmiech, ogorzała twarz, koślawy chód, błysk szaroniebieskich oczu. W końcu do ilu mężczyzn bawiących w stolicy kraju mógł ten opis pasować? Jessie ciepło przywitała się z Carsonem i zaprowadziła go do bryczki.

Jessie Frémont, która miała wtedy dwadzieścia trzy lata, nie była klasyczną pięknością. Po ojcu odziedziczyła długi nos. Jej twarz była okrągła jak księżyc w pełni. Miała też mocną szyję i nieco spadziste ramiona. Było jednak w niej coś takiego, co przyciągało zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Była żywiołowa, krnąbrna, miała własne zdanie i zachowywała się oryginalnie. Do ludzi podchodziła z taką pewnością siebie, że od razu ich rozbrajała. Przyjaciółka opisała kiedyś jej osobowość jako „tyle samo świeżości co światła”[365]. Tak jak jej ojciec, Jessie była erudytką dzięki wielu przeczytanym książkom.

Zabrała Carsona do domu Bentonów przy C Street. Kit mieszkał w nim przez większość swojego trzytygodniowego pobytu w Waszyngtonie. Jessie oprowadzała go po mieście i wprowadziła do grona swoich znajomych. Zabierała go też na przyjęcia, podczas których czuł się nieco niezręcznie, będąc w centrum zainteresowania i próbując nieznanych sobie potraw. Waszyngton Carsona zadziwiał, pochlebiał mu i, przynajmniej na początku, odrobinę go intrygował.

Niemniej jednak, prawdę powiedziawszy, Kit uważał, że w Waszyngtonie nie ma wiele do roboty. Stolica Stanów Zjednoczonych była wówczas maleńką południową mieściną, w parne letnie miesiące zamykano tam sklepy. Pierre Charles L’Enfant zaplanował w niej szerokie aleje i ronda, ale

jego śmiały plan urbanistyczny dopiero nabierał realnych kształtów. Nierówne ulice były pełne błota i końskiego łajna. Błonia National Mall były zaledwie pastwiskiem dla krów położonym na bagnistym nabrzeżu Potomaku. Wielkich pomników, które dzisiaj zdobią amerykańską stolicę, jeszcze nie było. Budowa pomnika Waszyngtona miała się zacząć dopiero w kolejnym roku. Miesiąc przed przybyciem Carsona robotnicy zaczęli kopać fundamenty pod nowe muzeum – Instytut Smithsona.

Carson polubił Jessie Frémont. Był jej wdzięczny za to, że oprowadza go po mieście. Zauważył, że temperament odziedziczyła po ojcu. Z czwórki dzieci Toma Bentona Jessie była jego ulubienicą. Senator był jej bardzo oddany, a ona to oddanie odwzajemniała. Kiedy dorastała, ciągle trzymała się blisko ojca. A gdy Benton zapisał ją do prestiżowej szkoły z internatem w Georgetown, w proteście ścięła włosy – żeby wyglądać jak chłopiec, bo uważała, że ojciec wolałby, żeby była chłopcem. Senator ugiął się i Jessie, zamiast chodzić do szkoły „dla towarzystwa", zaczęła się uczyć u jego boku. Benton dał jej cały zestaw lektur, które miała przeczytać przy świecach w jego gabinecie. Zabierał ją także do Biblioteki Kongresu, gdzie, jak sama mówiła, „wypuszczał ją na pastwisko".

W wieku siedemnastu lat Jessie potajemnie wyszła za mąż za Johna C. Frémonta. Benton z początku ostro protestował. Szybko jednak został największym adwokatem i sponsorem Frémonta. Zupełnie jakby znalazł bratnią duszę, która miała zrealizować jego plany podboju Zachodu. Oto natrafił na zuchwałego młodego odkrywcę, który miał nie tylko odpowiednie wykształcenie, ale i chęć, aby urzeczywistnić jego marzenia. Wychodząc za Frémonta, Jessie związała swe życie z człowiekiem, którego ambicje w niezwykły sposób zbiegały się z ideami jej ojca.

Jessie całkowicie poświęciła się karierze męża. Dodawała mu blasku i zajmowała się jego sprawami w Waszyngtonie, kiedy on sam przebywał w dziczy, w której, jak to ujęła, „nie mogła go dosięgnąć nawet Sława". Pisała za niego listy. Uparcie lobbowała w jego imieniu. Złączyła swoje pragnienia i ambicje z jego celami w takim stopniu, że trudno je było odróżnić. Zwierzyła się mężowi, że jest jego „najwierniejszą wyznawczynią"[366]. Dagerotyp z jego obliczem powiesiła nad łóżkiem. „To

mój anioł stróż – napisała kiedyś Frémontowi – jakżebym mogła marnować czas, kiedy ta ukochana twarz spogląda na mnie tak szczerze". Wielu znajomych uważało jej oddanie za niezdrowe. Jej najbliższa przyjaciółka - Lizzie Lee oceniała, że Jessie „należy do męża ciałem i duszą, a on robi z nią, co chce, jakby dysponował swoją prawą ręką"[367].

Choć mało kto o tym wiedział, Jessie Frémont była współautorką wszystkich raportów z wypraw swego męża. Niektórzy uważali, że to ona je napisała – a przynajmniej ich najlepsze fragmenty. Carson nie był świadom, że sporą część sławy zawdzięcza właśnie jej lekkiemu pióru. Jessie budowała piękne zdania, potrafiła tak opisać wydarzenia, żeby zapadały w pamięć. No i miała dyscyplinę pracy przy biurku, której brakowało jej perypatetycznemu mężowi.

Niewątpliwie Jessie dorównywała intelektem Johnowi, a nawet pod pewnymi względami go przewyższała. W Waszyngtonie powtarzano dwuznaczny komplement, że Jessie jest „lepszą połową tej dwójki"[368].

W ciągu kilku dni Carson zajął się sprawami służbowymi, które przywiodły go do Waszyngtonu. Spotkał się z sekretarzem stanu Jamesem Buchananem oraz sekretarzem wojny Williamem Marcym i wręczył im listy od Frémonta. Żaden z tych polityków nie zrobił na nim wrażenia i nie zajął dużo miejsca w jego autobiografii.

Kit chciał tak naprawdę wracać do Josefy. Nie miał zamiaru siedzieć w Waszyngtonie zbyt długo. Nagle otrzymał jednak wezwanie od samego prezydenta Polka. Miał się stawić w Białym Domu. Prezydent jednak był zajęty i mógł go przyjąć dopiero 14 czerwca – za kilka tygodni.

Biedny Carson znalazł się więc w nędznym stanie zawieszenia. Czekało go jeszcze więcej spotkań towarzyskich z nieznajomymi mu ludźmi i kolejne wywiady dla prasy. Jedną z oficjalnych kolacji, w których musiał wziąć udział, wydał sekretarz wojny William Marcy. Zaproszonych było wielu dygnitarzy, w tym dwóch generałów. Zauważono, że podczas kolacji Carson „ledwie spróbował ryby i kury podanej w ciężkich sosach – ale za to – zjadł wszystkie warzywa i wydawało się, że zasmakował w lodach i cieście"[369]. Kit nie pił też świetnego francuskiego wina, które podano do kolacji. Po niej

jednak, kiedy panie udały się już do bawialni, zapalił cygaro. I dopiero wtedy, w męskim towarzystwie palącym tytoń i popijającym brandy, zaczął się rozluźniać i dzielić przygodami, które przeżył w Kalifornii.

W Waszyngtonie czuł się nieco jak w więzieniu. Czekając na spotkanie z prezydentem Polkiem, wyprowadził się na chwilę od Jessie Frémont, żeby spędzić trochę czasu z Nedem Beale'em, którego matka mieszkała w Waszyngtonie. Beale dorastał w stolicy i chodził do college'u w Georgetown. Był bon vivantem, którego męczyły dziwaczne tiki nerwowe[370]. Interesował się islamem, pisał wiersze utrzymywane w romantycznym stylu Keatsa i Shelleya i tak często się upijał, że wymyślił własny przepis na pokonanie kaca. Pochodził ze starej wojskowej rodziny związanej z marynarką wojenną. Znał wiele ważnych osobistości i postanowił z nimi wszystkimi zapoznać Carsona. Jessie łaskawie uważała Beale'a za „błyskotliwego i ekscentrycznego człowieka". Dowodem na obie te cechy był choćby niezwykły wojskowy eksperyment, któremu Beale przewodził w połowie XIX wieku. Na zlecenie wojsk lądowych USA sprawdzał, jak na pustyniach Dzikiego Zachodu radzą sobie wielbłądy. Pracując z wojskowymi dromaderami, jednocześnie uczył się arabskiego, żeby przemawiać do nich, jak mówił, „w ich własnym języku".

Pewnego dnia przed jakimś wyjątkowo eleganckim spotkaniem Beale zauważył, że Carson jest nie w sosie. Kiedy zapytał go, co się stało, Kit przyznał, że niepokoi się, co będzie, kiedy waszyngtońskie damy dowiedzą się o jego małżeństwie ze Śpiewającą Trawą. Wspomniał swoją zmarłą pierwszą żonę z plemienia Arapahów i zwierzył się Beale'owi, że bardzo ją kochał. Bał się jednak, że jego związek z Indianką stanie się przyczyną żartów, że ludzie będą obmawiać nie tylko jego, ale także jego zmarłą żonę. Nam jego obawy mogą się wydawać dziwne. Ale w tamtych czasach opinia publiczna nie miała najlepszego zdania o Indianach. W niektórych kręgach na Wschodzie potępiano też „krzyżowanie ras". Carson obawiał się więc, że jego dawny związek wywoła skandal. Że kiedy dowiedzą się o nim gazety, odbije się to na Bentonach, Frémontach, a także na rodzinie Beale'a.

Beale uważał, że Kit niepotrzebnie się martwi, i go uspokajał. Jego zdaniem nikt w Waszyngtonie nie odsądzałby go od czci i wiary za

małżeństwo z Indianką. Na pograniczu nie obowiązują konwenanse, a skrajnie egzotyczne życie Carsona czyni go jeszcze bardziej fascynującym i robi wrażenie na ludziach.

Beale miał oczywiście rację. Carson nie miał czego się obawiać. Nikt nie zrobił afery z tego, że „miał *squaw*". Wręcz przeciwnie – Kit stał się w Waszyngtonie celebrytą. Zapraszali go do siebie ambasadorzy obcych krajów. O jego towarzystwo zabiegali generałowie i politycy – a także damy. Uchodził za egzotycznego dziwaka, a jego nieobycie towarzyskie wydawało się pociągające. Był jak Tarzan wywieziony z dżungli i prowadzony w paradzie przez stolicę. Wielki artykuł o nim wydrukowała gazeta „Washington Union". W tekście nazwano go „jedną z tych szlachetnych postaci, które od czasu do czasu pojawiają się na naszym pograniczu". Kit Carson, jak pisała gazeta, był „równie skromny, jak odważny, nosił się jak Indianin i chodził prosto, mimo skrzywionych do środka stóp"[371]. Artykuł w „Washington Union", był pierwszym pełnowymiarowym tekstem o Carsonie, który ukazał się w amerykańskiej prasie. Powszechnie sądzono, że napisała go Jessie Frémont – a przynajmniej, że była jego ważną współautorką.

Carson doceniał to, jak go traktowano w stolicy, ale jednak znienawidził Waszyngton. Nie ufał większości polityków, których poznał, i nie lubił ich.

– Są jak książęta w tych swoich wielkich domach – zwierzył się Jessie. – Ale na Równinach to my jesteśmy książętami[372].

Waszyngton wydawał mu się ze wszech miar klaustrofobiczny. Jego pokój w domu Bentonów był tak duszny, a materac tak miękki, że Carson prosił, by pozwolono mu spać na werandzie, na wolnym powietrzu. Szokowało go to, jak wszystko w stolicy jest drogie. Fakt, że woźnice pobierali opłatę za coś tak podstawowego jak transport, uważał za oburzający. Tak na to narzekał, że w końcu Jessie dała mu do dyspozycji konia, żeby mógł sam jeździć po mieście.

Jessie zbliżyła się do Carsona przez te kilka tygodni. Uważała go za „idealnego Sasa, czystego i uczciwego" o „charakterze tak słodkim i jasnym jak zimowy poranek". Kit był jej zdaniem „spokojny, mądry i równie łagodny, jak silny". Miał też „dobre serce" i „niezwykle uroczą cierpliwość

łączącą radość z rozsądkiem […], prostotę zupełnie biblijną”. Z zadowoleniem odkryła, że lubi, kiedy mu czytano. W bibliotece Bentonów Carson natknął się na ilustrowane wydanie wierszy lorda Byrona, a w nim na grafikę do *Mazepy*. Ten romantyczny poemat został oparty na podobno prawdziwej historii opisanej przez Voltaire’a i dotyczącej młodego polskiego szlachcica Iwana Mazepy, który wdał się w romans z cudzą żoną. Kiedy mąż, któremu przyprawiono rogi, dowiedział się o miłostce żony i dopadł Mazepę, kazał zedrzeć zeń ubranie i nagiego przywiązać do grzbietu konia. A następnie pognał zwierzę w step. Mazepa miał w ten sposób przejechać setki kilometrów w głąb Ukrainy i prawie zginąć z głodu i wyczerpania. Przeżył jednak i długo pielęgnował w sobie żądzę zemsty.

Carson przyglądał się niesamowitej ilustracji przedstawiającej nagiego mężczyznę rozciągniętego na grzbiecie galopującego konia. Ten widok przypominał mu tortury, których na Dzikim Zachodzie dopuszczali się niektórzy Indianie.

– Zupełnie jak to, co wyrabiają Czarne Stopy – powiedział. – To prawdziwe diabły, wygląda to na ich robotę.

Przez chwilę udawał, że czyta poemat.

– Przeczytaj – poprosił. – Na pewno pójdzie ci to szybciej.

Jessie zaczęła więc czytać na głos *Mazepę*. Carson przechadzał się po pokoju i słuchał. Był, jak później wspominała córka Bentona, „mocno poruszony”. Sposób, w jaki Byron opisywał zemstę, musiał do niego przemówić.

> Zemsty dopełnienie,
> Nie trudne człowiekowi – gdy postanowienie
> Niezłomne, przyjdzie w pomoc stałej woli męża;
> Bo wytrwałość najsroższe zapory zwycięża,
> Byle w duszy mściciela chęć zemsty żywiona,
> Nie wietrzała w słów brzęku, aż będzie spełniona![43]

Te wersy szczególnie poruszyły Carsona. „Chęć zemsty żywiona”.

– A więc to tak! – krzyczał. – O to chodzi, on wie, jak to jest!

A potem opowiedział Jessie historię o tym, jak Indianie z plemienia Czarnych Stóp okradli go i jego towarzyszy z futer zebranych podczas całego

sezonu traperskiego. Dla ludzi gór taka kradzież była wypowiedzeniem wojny. Kiedy Carson o niej opowiadał, przeszył go dreszcz. Dawny gniew na nowo w nim zawrzał, tak jakby ktoś go dopiero co znieważył. Jessie po raz pierwszy go takim widziała.

– Lata minęły, zanim mogliśmy podziękować im za to, co zrobili – opowiadał Kit. – Ale w końcu nam się udało i ich plemię miało kogo opłakiwać.

Rankiem 14 czerwca 1847 roku Kit Carson i Jessie Frémont zostali wprowadzeni do gabinetu Jamesa K. Polka. Prezydent powitał ich najcieplej, jak było to możliwe przy jego niewesołym charakterze. Przez chwilę rozmawiali o podróżach Carsona po Zachodzie i o bitwach, których był świadkiem. Polk gładko kierował rozmową, zadając kluczowe pytania. Chciwie wsłuchiwał się w odpowiedzi Carsona, ale nie zdradzał żadnych emocji. Obmyślony przez niego plan działał. Stany Zjednoczone stały się *de facto* – choć na razie nie potwierdziły tego stosownym traktatem – mocarstwem kontynentalnym, państwem od oceanu do oceanu. Wszystko, czego James K. Polk oczekiwał po swojej prezydenturze, nabierało realnego kształtu. A jednak wydawało się, że nie sprawia mu to przyjemności.

W stosownej chwili Jessie Frémont poruszyła temat konfliktu o fotel gubernatorski w Kalifornii, jaki wybuchł pomiędzy jej mężem a generałem Kearnym. Chciała wiedzieć, co Polk o tym myśli. Prezydent zdawał sobie sprawę z tego „niefortunnego zderzenia”, jak określił sytuację. Chciał wysłuchać, co na ten temat ma do powiedzenia Carson, i przeczytać długi list, który w tej sprawie napisał do niego sam Frémont. Własnoręcznie podstemplował go i potwierdził jego przyjęcie, pisząc: „Otrzymany od Christophera Carsona”.

Prezydent nie wyraził jednak swojej opinii na temat konfliktu pomiędzy Kearnym a Frémontem. Jessie nie mogła nic wyczytać z jego zachowania. Tymczasem Polk miał już wyrobiony pogląd w tej sprawie. Uważał, że władzę w Kalifornii powinien sprawować generał Kearny, a Frémont popełnił „poważny błąd”, kwestionując jego autorytet. W pamiętniku zapisał potem:

„Nie było jednak konieczne, żebym mówił o tym żonie Frémonta. Dlatego uniknąłem odpowiedzi na jej pytanie”.

Prezydent miał jednak dla gości także dobre wieści. Na prośbę sekretarza wojny Williama Marcy’ego nadał Carsonowi stopień podporucznika w Pułku Strzelców Konnych. Kit miał otrzymać elegancki mundur i żołd. Polk chciał też, żeby Carson czym prędzej wracał do Kalifornii z listami z Waszyngtonu. Najpierw jednak zapraszał go na uroczystą kolację w Białym Domu, którą tego samego wieczoru na cześć gościa wydawała żona prezydenta Sarah Polk.

Carson przyjął zaproszenie. Kiedy jego i Jessie wyprowadzano z Białego Domu, prezydent wrócił do swojej prawdziwej pasji – pracy biurowej.

Przez dwa lata prezydentury Polk mocno się postarzał. Konflikt z Meksykiem okazał się o wiele bardziej ambitnym – i kontrowersyjnym – przedsięwzięciem, niż przewidywał. Pochłaniał on prezydenta tak mocno, że otaczający go ludzie zaczęli zauważać starcze zmiany na jego twarzy. Uczciwie mówiąc, Polk najbardziej obciążał pracą samego siebie. Był perfekcjonistą, więc nikt nie mógł go zadowolić. Nie wierzył w możliwości swoich ministrów i generałów. Nie ufał nikomu. W efekcie właściwie sam, w zaciszu gabinetu, prowadził wojnę z Meksykiem. Z dumą powtarzał o sobie, że jest „najciężej pracującym człowiekiem w Ameryce”[373], i prawdopodobnie tak było. Jak pisał jeden z biografów Polka, był on tak niespokojny o wynik starcia z Meksykiem, że „praktycznie wypalał się w Białym Domu”[374].

Prezydent miał jednak niewiele powodów do pesymizmu. Wichry wojny wiały dokładnie w tę stronę, w którą chciał. Zachary Taylor pokonał Santa Annę w Buena Vista. Doniphan zdobył Chihuahua. A Winfield Scott wysadził desant pod Veracruz i z armią dziesięciu tysięcy żołnierzy maszerował w stronę Mexico City. W meksykańskiej stolicy przebywał też prezydencki wysłannik Nicholas Trist, który namawiał swoich gospodarzy do podjęcia rokowań pokojowych. A jednak Polk, podobnie jak wtedy, gdy słuchał relacji Carsona, nie okazał zadowolenia z rozwoju wypadków. Taylora uważał za „całkowicie niekompetentnego”, „nadzwyczajnego ignoranta” i „zupełnie przeciętnego”. Scott, jego zdaniem, „nie nadawał się

na dowódcę” (obu dowódcom wysokie noty wystawili za to historycy wojskowości). Z kolei Nicholas Trist, jak uważał Polk, był „nieudolnym” negocjatorem „pozbawionym umiejętności”. Co prawda prezydent nie krytykował otwarcie Stephena Kearny’ego, ale nie obsypywał go pochwałami. Gdyby mógł, sam pojechałby do Meksyku i na miejscu objął bezpośrednie dowodzenie. Ze swojego niezadowolenia zwierzał się pamiętnikowi: „Czasem jestem bliski uznania, że na żadnym przedstawicielu rodzaju ludzkiego nie można polegać”.

Pierwsza obca interwencja przeprowadzona przez Stany Zjednoczone była w sumie dziełem tego jednego człowieka. Dlatego historia określiła ją jako „Wojnę Pana Polka”.

Pożegnalna kolacja wydana na cześć Carsona w Białym Domu przebiegła bez problemów. Sarah Polk, dowiedziawszy się, że tydzień wcześniej Kit był skrępowany podczas imprezy u sekretarza Marcy’ego, zadbała o luźną atmosferę. Pierwsza Dama była dystyngowaną i oddaną prezbiterianką, a umiejętnościami społecznymi nadrabiała braki swego męża. I ona, i prezydent pochodzili z Tennessee i znali się na domowym jedzeniu. Zamiast francuskich wyszukanych potraw podano więc soczystą pieczeń wołową, a prezydent własnoręcznie kroił mięso. Nalewano zaś nie wino, ale whisky, i Carson z przyjemnością wychylił szklaneczkę.

Pani Polk była zadowolona, że udało się jej rozluźnić gościa. Nie mogła się jednak powstrzymać przed analizą jego zachowania przy stole.

„Jego maniery znajduję nienagannymi – pisała następnego dnia w liście do matki mieszkającej w Nashville. – Porucznik Carson zachowuje się wytwornie, mówi powoli i z ujmującą skromnością odrzuca sugestie, jakoby jego czyny były bardziej śmiałe od czynów ludzi pomniejszych. Muszę też się przyznać, że obserwowałam, jak sobie radzi z widelcem, i posługiwał się nim zręcznie”[375].

Sarah Polk zauważyła też, że choć Carson czuł się swobodnie w towarzystwie Marcy’ego, Buchanana i innych mężczyzn, to był skrępowany – a nawet plątał mu się język – podczas nielicznych rozmów z kobietami obecnymi na kolacji. „W kontaktach z damami był niezwykle

nieśmiały. Na pytania odpowiadał […] tak pobieżnie, że dało się zauważyć, iż nasze zainteresowanie burzy jego spokój. Kiedy poprosiłam, żeby oświecił nas co do sposobu, w jaki oszukał Meksykanów, przekradając się do San Diego, zaczerwienił się i w ogóle nic nie powiedział”[376].

Na szczęście dla Carsona jego pobyt w Waszyngtonie dobiegał końca. Kilka dni później porucznik był już w pociągu do Baltimore. Miał na sobie pachnący nowością mundur i torbę pełną listów zaadresowanych do generała brygady Stephena Wattsa Kearny’ego. Znowu był w drodze do Kalifornii.

31

Złamana kraina

O brzasku blisko czterystu żołnierzy opuściło fort Marcy i przemaszerowało przez ulice drzemiącego jeszcze Santa Fe. Oddział kierował się na zachód, w stronę niebieskawego wybrzuszenia – masywu wulkanicznego gór Jemez. Był rześki letni poranek 1849 roku. Pustynne powietrze było czyste i chłodne. Nocny deszcz oczyścił je z kurzu. W linii prostej do Jemez było niewiele więcej niż trzydzieści kilometrów. Góry wznosiły się ostro z płaskowyżu rozciągającego się za Rio Grande. Powietrze było jednak tak przejrzyste, że szczyty wydawały się na wyciągnięcie ręki. Porastały je sosny i jałowce, a w wyższych partiach – sosny żółte i topole osikowe. Naznaczone erozją górskie zbocza poprzecinane były potężnymi soplami zastygłej lawy. Ślady pradawnej erupcji wulkanicznej poznaczyły urwiska. Dla żołnierzy opuszczających Santa Fe góry Jemez stanowiły zarówno piękny, jak i niepokojący widok. To stąd zwykle nadchodziły letnie burze. Popołudniami chmury zbierały się i czerniły niebo nad Jemez. Z pędzących na Santa Fe sinych chmur wyskakiwały grzebienie deszczu, które nie docierały do powierzchni ziemi, wyparowując w powietrzu. Niebo przecinały błyskawice.

Za wulkanem Jemez zaczynał się amerykański Kanaan, ziemia obiecana, dzika, czysta i mityczna, rozciągająca się na setki kilometrów. Kraina Nawahów. Tego ranka – 16 sierpnia 1849 roku – amerykańskie wojska po raz pierwszy w historii zamierzały wedrzeć się w samo serce terytorium Diné. To miał być pierwszy prawdziwy rekonesans przed zdobyciem krainy Nawahów. Od przemarszu armii Kearny’ego i traktatu podpisanego przez Doniphana minęły już trzy lata. Przez ten czas jednak zachowanie dzikich plemion indiańskich niewiele się zmieniło. Mimo obietnicy generała Kearny’ego, mimo wydawania przez USA trzech milionów dolarów rocznie na walkę z Indianami, Nowy Meksyk ciągle był przez nich terroryzowany. Nocami wojownicy napadali na osady i bezkarnie je rabowali – czasem tuż pod

nosem amerykańskich żołnierzy. Wśród rabusiów byli Apacze Jicarilla, Apacze Mescalero, Jutowie, Komancze, Kiowa – właściwie wszystkie dzikie plemiona, atakujące osobno albo w różnych, zmieniających się sojuszach.

Najbardziej dokuczliwi byli jednak Nawahowie. Wiosną rabunki i morderstwa sięgnęły szczytu. Wzdłuż Rio Grande zanotowano dziesiątki najazdów, Indianie porwali mieszkańcom Nowego Meksyku tysiące owiec. Choć wiele rajdów było dziełem Apaczów, Jutów czy innych plemion, o większość oskarżano Nawahów. Pochodzący z Georgii James Calhoun, nowy agent do spraw indiańskich, któremu podlegało Terytorium Nowego Meksyku, tak opisywał sytuację w liście do swojego przełożonego w Waszyngtonie: „Nawahowie popełniają przestępstwa z czystej miłości do gwałtu i rabunku”[377]. Dalej dodawał, że „nie ma dnia bez wieści o nowych potwornościach. Nawet największa czujność naszych sił zbrojnych nie jest w stanie przeciwdziałać licznym morderstwom i grabieżom. Niewielu odważa się oddalić na kilkanaście kilometrów od Santa Fe”.

Młodzi wojownicy Nawahów najwyraźniej uznali, że Narbona nie miał racji. „Nowi Ludzie” nie różnili się ani od Hiszpanów, ani od Meksykanów – a przynajmniej nie na tyle, by wpłynęło to na styl życia Nawahów. Zdobywcy Nowego Meksyku mieli większe działa i byli lepiej zorganizowani, to prawda. Ale Amerykanie – ubrani w komiczne mundury i wyposażeni w nieporęczny sprzęt – wyraźnie nie dawali sobie rady w powstrzymywaniu kolejnych indiańskich rajdów. Żołnierze nie mogli dogonić nawahijskich wojowników umykających do swoich górskich kryjówek. W większości przypadków Amerykanie nie potrafili nawet odnaleźć Nawahów, nie mówiąc już o ukaraniu ich za najazdy.

Nawahowie mieli za nic traktat pokojowy, który Alexander Doniphan podpisał z nimi w Bear Springs w 1846 roku. Agent Calhoun uważał, że Diné i inni „dzicy Indianie tak skutecznie łupią kraj, odkąd zdobył go generał Kearny, że nie wierzą, iż mamy wystarczająco siły, aby ich za to ukarać”. Calhoun zadawał też retoryczne pytanie: „A może nadszedł czas, żeby ich w tej sprawie oświecić?”[378].

Najwyraźniej właśnie taki czas nadszedł. Ambitnej ekspedycji w głąb krainy Nawahów przewodził sam dowódca wojskowy Nowego Meksyku,

oficer zawodowy noszący symbolicznie amerykańskie nazwisko Washington. Pułkownik John Washington przybył do Santa Fe w październiku roku poprzedniego z kalifornijskiego Monterey, w którym krótko stacjonował. Miał pięćdziesiąt trzy lata. Pochodził z Wirginii. Jego szczupła, pociągła twarz – o cienkich ustach, wąskich brwiach i wysokim czole – wyrażała powagę i zdecydowanie. Na jedynym olejnym portrecie, jaki się zachował, pułkownik Washington ma bardzo bladą cerę. Lodowate oczy nadają jego obliczu chłodną przenikliwość. Był absolwentem akademii w West Point, przeszedł też zaawansowane szkolenie artyleryjskie. Na Florydzie walczył z Seminolami. Brał udział w siłowym przesiedleniu Czirokezów do Oklahomy. Ostatnio odznaczył się odwagą w bitwie pod Buena Vistą, decydującym starciu wojny meksykańskiej. Krótko służył też jako amerykański dowódca w Saltillo. Mało wiadomo o cechach charakteru Johna Washingtona. Na pewno jednak był to bardzo doświadczony żołnierz potrafiący trzeźwo ocenić sytuację. W oficjalnych listach lubił wypowiadać się srogo i używać przesadnie dostojnej angielszczyzny, kreśląc staranne zdania swoją delikatną dłonią.

Główny cel ekspedycji na tereny Nawahów miał charakter wojskowy. Washington miał zrobić na Indianach wrażenie, pokazując im możliwości i potęgę amerykańskiej armii. Miał też ukarać ich za nieustające najazdy, a także odzyskać zagrabione stada i ludzi wziętych w niewolę. Gdyby się dało, powinien też zmusić Nawahów do podpisania nowego traktatu pokojowego. Pułkownik zauważył w jednym ze swoich listów, że Nawahowie mają „albo nauczyć się żyć godziwie, albo ulec zniszczeniu”. Chciał zmusić to półwędrowne plemię jeźdźców i hodowców owiec do życia osiadłego w wioskach i uprawy roli – podobnego do tego, które wiedli Indianie Pueblo. Zanim jednak ów cel mógł zostać osiągnięty, Nawahowie mieli „poznać siłę naszego narodu”.

Pułkownik był sfrustrowany i poirytowany wiosennymi najazdami Nawahów. W jego meldunkach do przełożonych widać rosnące zdenerwowanie. „W ciągu ostatnich trzech tygodni – pisał w lipcu – ludność była mordowana, a spora ilość zwierząt gospodarskich została porwana.

Biorąc pod uwagę liczbę i skalę tych najazdów, musimy mocno zwiększyć nasze wysiłki w celu ich odparcia". Agent James Calhoun pisał w liście do swoich przełożonych z Biura do spraw Indian, że pułkownik Washington jest zdecydowany nie „łagodzić konfliktu z plemionami, które sprawiały kłopoty na tym terytorium. Indianie, biorąc pod uwagę ich możliwości bezpiecznej ucieczki w góry i naszą całkowitą niewiedzę na temat ich szlaków ewakuacyjnych, powinni być nie tyle zatrzymani, ile porządnie ukarani"[379].

Nadszedł więc czas kary. Większość żołnierzy Washingtona pochodziła z Missouri – niektórzy z nich trzy lata wcześniej jako ochotnicy opuszczali Fort Leavenworth pod dowództwem Kearny'ego. Byli to zaprawieni w boju żołnierze, którzy mieli w nogach kilka tysięcy kilometrów i którzy zakosztowali krwi podczas starć w Meksyku, dokąd zostali wysłani po zdobyciu Santa Fe. Uczyli się walczyć nie na poligonach, ale na polach bitwy. I choć nosili zniszczone szare spodnie i miękkie niebieskie czapki, w których wyruszyli z Fort Leavenworth, i wyglądali jak armia obdartusów, bez wątpienia byli twardymi, zdyscyplinowanymi i wprawnymi żołnierzami. Chłopcy stali się mężczyznami – byli mądrzejsi, ostrożniejsi i trudniej było ich przestraszyć. Byli dumni ze swoich wędrówek i chętnie porównywali odbytą przez siebie podróż przez obce terytoria do słynnego wymarszu dziesięciu tysięcy greckich najemników z Persji opisanego przez Ksenofonta. W październiku pięciuset Missourczyków powróciło do Santa Fe z Meksyku, maszerując słynnym traktem królewskim Camino Real. Potem losy pognały ich do Kalifornii, skąd przez siedemdziesiąt siedem dni wracali do Nowego Meksyku pod dowództwem pułkownika Washingtona, dodając do swoich wędrówek kolejne tysiące kilometrów drogi. Kilka miesięcy później, kiedy pułkownik Washington zarządził wyprawę na terytorium Nawahów, musiała ona wydawać się tym zaprawionym w boju żołnierzom zwykłym spacerkiem.

Teraz, kiedy dym z palenisk w Santa Fe zaczynał wypełniać rześkie powietrze sierpniowego poranka, żołnierze maszerowali na zachód w stronę Jemez. Washington zabrał ze sobą cztery kompanie piechoty wyposażonej w większości w ładowane przez lufę i posiadające kapiszonowe zamki karabinki Model 1841[380]. Setki koni i mułów niosły na grzbietach drewniane skrzynki z amunicją i inny wojskowy ekwipunek – w tym lniane namioty,

dziesiątki lamp olejowych, wyposażenie medyczne i racje żywnościowe, które miały wystarczyć pięciuset żołnierzom na miesiąc. Dosiadający konia pułkownik Washington miał na sobie niebieską kurtkę wojskową przepasaną białym pasem spiętym błyszczącą mosiężną klamrą. Jego świeży mundur był ozdobiony pięknym złotym szamerunkiem. Razem z wojskiem podróżowało kilku wysokich urzędników cywilnych, w tym agent do spraw indiańskich James Calhoun, który wkrótce miał zostać gubernatorem Terytorium Nowego Meksyku. W ekspedycji brało też udział kilka kompanii meksykańskich ochotników i konnych milicjantów, a także pięćdziesięciu pięciu Indian Pueblo, którzy służyli za przewodników i zwiadowców. Artyleria wojsk pułkownika Washingtona składała się z trzech haubic górskich oraz jednego działa na sześciofuntowe pociski. Indianie nazywali te odlane z brązu i wyposażone w koła armaty piorunowozami.

Zza gór Sangre de Cristo wyszło już słońce i zaczęło grzać żołnierzy w plecy. Wojska Washingtona maszerowały wzdłuż rzeki Santa Fe, mijając przysiółek Agua Fria. Ciągnięte przez muły piorunowozy skrzypiały i pojękiwały.

Choć główne cele ekspedycji były wojskowe, Washington otrzymał też drugie i chyba ważniejsze zadanie – miał pomierzyć i nanieść na mapę terytorium Nawahów. W 1849 roku ich kraina była prawdziwą *terra incognita*. Amerykanie znali tylko niewielkie połacie tych ziem, przy granicy Dinétah. A właściwie znało je nieliczne grono starych handlarzy i traperów, którzy przemierzali je podczas swoich samotnych wędrówek i rzadko robili wtedy jakiekolwiek zapiski. Choć akcje odwetowe w głąb krainy Nawahów prowadzili już Hiszpanie, to nie stworzyli oni żadnych szczegółowych map. Indiańskie bezdroża zajmowały terytorium wielkości Nowej Anglii. Przecinały je pasma górskie i wielkie rzeki. Właściwie nic nie wiedziano o ich geologii. A ponieważ były ogromne i prawie nieznane, przez wieki narosło wokół nich wiele legend. Mówiono o zdradzieckich górach i ukrytych w nich wspaniałych świątyniach oraz niedostępnych cytadelach. Podobnie jak zamieszkujący ją lud, kraina Nawahów kryła tajemnice. Rząd

Stanów Zjednoczonych chciał wreszcie je poznać i zmazać znak zapytania z mapy, która nawet jeszcze nie powstała.

Dlatego do wojsk Washingtona przydzielono młodego absolwenta akademii w West Point i oficera Korpusu Topograficznego Jamesa Herveya Simpsona. Postawiono przed nim tytaniczne zadanie. Miał pomierzyć i nanieść na mapę każdy centymetr terytorium przebytego podczas trwającej miesiąc wyprawy. Simpson, wyposażony w barometry, sekstansy i drogomierze, miał nadać naukowy kształt światu, który przez wieki skrywała mgła; podzielić go na mile, zbadać jego temperatury, pobrać próbki gleby i poznać gatunki zwierząt; wypełnić białe plamy wiedzy na temat niezwykłego królestwa, które Amerykanie właśnie – przynajmniej na papierze – podbili. Simpson miał też prowadzić staranny dziennik, zapisując piórem i atramentem wszystko, co wyda mu się istotne. Dziennik ten, znany jako *Nawaho Expedition: Journal of a Military Reconnaissance* [„Ekspedycja do krainy Nawahów. Dziennik rekonesansu wojskowego”], miał przejść do klasyki literatury o zdobywaniu Dzikiego Zachodu.

Wyglądem porucznik James Simpson przypominał zarośniętego gnoma – był, jak to ujął jeden z historyków, „przerażająco myszowaty”[381]. Miał ledwie trzydzieści sześć lat, ale zachowywał się irytująco jak stary grzyb. Wychował się w New Jersey. Do West Point wstąpił jako cudowne dziecko, kiedy miał lat piętnaście. Ponieważ wykazywał się talentem inżynieryjnym, karierę wojskową zaczął od prowadzenia projektów hydrologicznych na mokradłach Everglades na Florydzie. Potem przeniesiono go w dalekie rejony Wielkich Jezior, gdzie pracował przy latarniach i umocnieniach portowych. Zanim przyjechał do Santa Fe, nigdy nie odwiedzał terenów położonych na zachód od rzeki Missouri. Na Wschodzie chciał też spędzić życie. Południowego Zachodu nienawidził. Brzydziły go „przyprawiające o mdłości” jedzenie, „nagość” brunatnych krajobrazów, nieporządek panujący w latynoskich wioskach i drobniutki pył, który wdzierał się w każdą szparkę. Jak pisał, „chore kolory” Nowego Meksyku przyprawiały go o „nienawistne uczucia”. Być może jego niechęć brała się stąd, że w Buffalo zostawił świeżo poślubioną małżonkę. Tak czy inaczej w obserwacjach, które zanotował w swoim dzienniku, pobrzmiewa niezadowolenie.

Ale jednak czytelnika zapisków porucznika Simpsona uderza jego rosnące stopniowo zainteresowanie, powoli rozkwitająca fascynacja obcą krainą i jej równie obcymi mieszkańcami. Simpsona zadziwia i zachwyca to, co go rzekomo odrzuca – spieczony krajobraz, pustynna fauna i flora, dziwne zwyczaje ludzi. Im bardziej niezwykła staje się kraina, którą odwiedza, tym bardziej zdaje się tęsknić za znajomym widokiem latarni błyskających nad Wielkimi Jeziorami. Jednocześnie jednak w jego zapiskach znać poruszenie. Po przygodach w Nowym Meksyku Simpson zrobi karierę jako wojskowy inżynier, w końcu awansując do stopnia honorowego generała. Jednak jego życie po wyprawie do krainy Nawahów to, jak określił je pewien życzliwy biograf, „tak naprawdę czysta nuda”[382]. Simpson nienawidził Nowego Meksyku, ale to tam latem 1849 roku pozostawił po sobie najtrwalszy ślad.

Realizację trudnego zadania, które postawiono przed Simpsonem, miało ułatwić mu dwóch doświadczonych eksploratorów, którzy – traf chciał – przebywali akurat w Santa Fe i z ochotą zaciągnęli się do ekspedycji Washingtona. Obdarzeni wieloma talentami bracia Richard i Edward Kernowie pochodzili z dużej i prominentnej rodziny mieszkającej w Filadelfii. Edward – czy też Ned, jak go zwano – pełnił podczas ekspedycji funkcję rysownika i topografa. Jego życie było mocno związane z ekspansją Stanów Zjednoczonych na zachód. Ned towarzyszył Johnowi Frémontowi i Kitowi Carsonowi podczas ich trzeciej wyprawy. Później, kiedy tymczasowo pełnił obowiązki dowódcy fortu niedaleko Sacramento, miał swój udział w uratowaniu ocalałych osadników z ekipy Donnerów, którzy zimą przełomu lat 1846 i 1847 utknęli w śniegach zalegających w górach Sierra Nevada.

Ned Kern był wysokim i chudym dwudziestopięciolatkiem o kręconych rudych włosach, który poddawał się zmiennym nastrojom. Na zdjęciach jego twarz wydaje się smutna i pełna melancholii, ale był on obdarzony szczególnym poczuciem humoru, które objawiało się w ciągłych żartach i figlach. Cierpiał na epilepsję i być może dlatego znajdował radość w podróżach, „daleko od cywilizacji i brandy”, jak to ujął. Wydaje się, że najszczęśliwszy był w dziczy, otoczony ołówkami i akwarelami,

instrumentami astronomicznymi i chronometrami, kiedy mógł dokumentować swoje obserwacje. W tamtych czasach fotografia ledwie raczkowała i rysownicy odgrywali ważną rolę podczas wypraw badawczych. Ilustracje wykonane przez Neda Kerna drukowano w raportach Frémonta oraz w gazetach. To dzięki niemu opinia publiczna mogła po raz pierwszy podziwiać krajobrazy Dzikiego Zachodu.

Richard Kern, starszy z dwóch braci, był także godnym uwagi artystą. Pozostawał pod wpływem malarzy z kręgu Hudson River School. Dick, jak zwykle na niego mówiono, uczył rysunku w prestiżowym Instytucie Franklina, a także niejednokrotnie wystawiał swoje prace. Był również badaczem amatorem. Interesował się botaniką i ornitologią, wykonał wiele ilustracji dla pism naukowych i technicznych. Dzięki temu został członkiem ekskluzywnej Filadelfijskiej Akademii Nauk Przyrodniczych. Dick Kern był mocniej zbudowany od Neda. Nosił długie, zaczesane do tyłu włosy, gęstą brodę i miał zawadiacki, zaraźliwy uśmiech. Nie przywiązywał też wielkiej wagi do higieny osobistej czy schludności. Przyjaciel z Filadelfii przysłał mu do Nowego Meksyku grzebień. Choć jak pisał w liście, zdawał sobie sprawę z tego, że Dick „niechętnie używa" grzebienia, to miał nadzieję, że dzięki prezentowi „señority spojrzą na ciebie bardziej przychylnie"[383]. Na wyprawy starszy Kern zawsze zabierał ze sobą flet i zapasy whisky. Kiedyś opisał swoje główne zainteresowania jako „biblioteki, bankiety, koncerty, badania terenowe, miłość do przyrody i galerie".

Jednym z dziwaczniejszych projektów, które Dick Kern zamierzał prowadzić na Dzikim Zachodzie, było zbieranie indiańskich czaszek. W Filadelfii przyjaźnił się z profesorem anatomii i znanym antropologiem Samuelem George'em Mortonem, który należał wtedy do czołówki amerykańskich uczonych[384]. W wydanej w 1839 roku książce *Crania Americana* Morton postawił tezę, że Indianie należeli do innej rasy ludzkiej, a ich „możliwości cywilizacyjne" stały „znacznie poniżej tych, które posiadały rasy kaukaska czy mongolska".

Chcąc udowodnić swoją tezę, przez lata zbierał i porównywał czaszki rdzennych Amerykanów – często rabując groby, by uzyskać materiał badawczy. Choć jednak uzbierał w sumie czterysta czaszek pochodzących od

plemion indiańskich ze wszystkich rejonów Ameryki, to jego kolekcja miała spore braki. Nie było w niej na przykład żadnych eksponatów z nowo podbitego Południowego Zachodu. Morton wspierał członkostwo Kerna w Filadelfijskiej Akademii Nauk Przyrodniczych. Często zapraszał też młodego artystę do siebie na niedzielne podwieczorki. Być może właśnie podczas jednego z tych spotkań Kern obiecał swojemu patronowi, że przywiezie mu z wyprawy brakujące eksponaty do jego kolekcji.

W przeciwieństwie do porucznika Simpsona Richard Kern uwielbiał Nowy Meksyk. Cieszył się, malując jego szeroki horyzont, wyjątkowo intensywne kolory, a także, jak sam mówił, jego „góry wysokie i zuchwałe". Ponieważ jednak pochodził z rodziny, która na Wschodzie dobrze sobie radziła, odrzucała go bieda panująca na Zachodzie. Malując nowomeksykańskie pejzaże – obojętnie czy farbami olejnymi, czy akwarelami, czy też kreśląc je ołówkiem – wolał nie widzieć rozpadających się wiosek. „We wszystkich miejscowościach Nowego Meksyku – pisał – najlepiej patrzeć w dal. Dzięki temu nie widzi się brudu i nędzy"[385].

Lato 1849 roku bracia Kern spędzili w Taos, gdzie lizali rany po górskich przygodach, podczas których prawie stracili życie. Wzięli udział w ekspedycji znanej jako Czwarta Wyprawa Frémonta. Jej uczestnicy eksplorowali zimą góry San Juan leżące na południu dzisiejszego stanu Kolorado. Wyprawa skończyła się klęską. Jak określił ją pewien historyk Południowego Zachodu, była „jedną z najdurniejszych ekspedycji badawczych przeprowadzonych w historii tego kraju"[386].

Frémont zdecydował się na nią częściowo po to, by na nowo nadać impet swojej nadszarpniętej karierze. Dwa lata wcześniej jego kłótnia z Kearnym o władzę w Kalifornii skończyła się skandalem. Frémont odmówił wykonania rozkazu generała i nie chciał przekazać mu urzędu gubernatora. A nawet wyzwał na pojedynek jednego z oficerów Kearny'ego! Generał w końcu stracił cierpliwość, zakuł Frémonta w kajdany i zaciągnął go do Waszyngtonu, gdzie postawił go przed sądem za „bunt, nieposłuszeństwo i zachowanie niegodne dyscypliny wojskowej". Proces był łakomym kąskiem dla mediów i zmienił się w polityczny melodramat pierwszej klasy. Senator

Benton publicznie wyrażał swoje niezadowolenie z obrotu sytuacji i bronił zięcia, twierdząc, że padł on ofiarą rywalizacji pomiędzy wojskami lądowymi a marynarką. Frémont został uznany za winnego wszystkich trzech zarzucanych mu czynów. Sąd zarekomendował jednak łagodny wyrok i prezydent Polk przywrócił Frémonta do służby w wojskach lądowych. Ten jednak odmówił! Upokorzony, w depresji, przepełniony goryczą i z nadwątlonym zdrowiem podał się do dymisji i chcąc zrehabilitować swoje dobre imię, przeszedł do ofensywy.

W tym samym czasie generał Kearny wrócił na front. Służył w Veracruz, a potem pełnił funkcję dowódcy amerykańskich wojsk w Mexico City, które Amerykanie okupowali przez kilka ostatnich miesięcy wojny z Meksykiem. Zakaził się jednak żółtą febrą – którą miejscowi obrazowo nazywali *vomito*[44] – i musiał wracać do Missouri na rekonwalescencję. Do zdrowia miał dojść u boku swojej ciężarnej żony Mary. Są dowody na to, że w St. Louis chorego generała odwiedził ciągle przepełniony gniewem Frémont, który chciał go wyzwać na pojedynek. Kearny był już jednak umierający. Nie wiemy, czy zabiła go sama żółta febra, czy komplikacje po chorobie. Jeśli umierał na żółtą febrę, jego ostatnie godziny musiały być straszne[387]. W tym wypadku wewnętrzny krwotok spowodowałby u niego krwawe wymioty. Oprócz torsji wstrząsających generałem, którego skóra przybrałaby dziwny złocisty blask, męczyłoby go też krwawienie z dziąseł i zażółconych oczu.

Kearny miał ledwie pięćdziesiąt cztery lata i niedługo przed śmiercią został awansowany do stopnia generała dywizji. Zmarł 31 października 1848 roku w wiejskim domu swojego przyjaciela Meriwethera Clarka. Kilka tygodni wcześniej Mary urodziła ich ostatnie dziecko, syna, któremu nadano imiona po ojcu – Stephen Watts.

Jego największy wróg nie żył, Frémont zaczął więc spokojnie planować swoją czwartą wyprawę. Wspierany jak zwykle przez senatora Bentona chciał wytyczyć drogę przez Góry Skaliste, którą w przyszłości przebiegałaby transkontynentalna linia kolejowa łącząca St. Louis z wybrzeżem Oceanu Spokojnego. Jedynym sposobem na dowiedzenie się, czy taki szlak rzeczywiście da się wytyczyć, było przetarcie go w środku zimy. Frémont nie miał wątpliwości, że uda mu się znaleźć odpowiednią

drogę i udowodnić tym samym, że Góry Skaliste nie stanowią dla kolei żelaznej przeszkody nie do pokonania.

Nowy projekt Odkrywcy od początku grzeszył pychą. Frémont chciał pójść wzdłuż trzydziestego dziewiątego równoleżnika i przedrzeć się przez góry San Juan, których ostre szczyty sięgały blisko pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza i zimą były często nawiedzane przez srogie śnieżyce. Jesienią, kiedy Frémont przygotowywał ekspedycję w forcie Bentów, rzeką Arkansas spływała potężna kra. W listopadzie licząca trzydziestu trzech mężczyzn ekipa ruszyła w stronę doliny San Luis i pokrytych śniegiem gór San Juan. Wszystkie znaki na niebie i ziemi – a także ostrzeżenia ze strony przyjaznych plemion indiańskich – wskazywały, że nadchodząca zima będzie wyjątkowo ostra. Frémont zupełnie tym się nie przejmował.

Jako przewodnika pierwotnie chciał mieć Carsona, ale zamiast niego zatrudnił doświadczonego trapera Billa Williamsa, sześćdziesięciodwuletniego weterana, który dochodził do siebie po starciu z Indianami i ranie postrzałowej w ramię. Williams był marudą, ale dał się lubić i miał ogromne doświadczenie w chodzeniu po Górach Skalistych. W przeszłości był wędrownym kaznodzieją metodystycznym. Słynął z zamiłowania do hazardu i alkoholu, a także dziwnych czy nawet obrzydliwych zwyczajów żywieniowych (za przysmak uważał surową golonkę cielęcego płodu). Chwalił się, że zna „każdy cal" gór San Juan, „lepiej niż Frémont zna swój ogródek". Przyjaźnił się też z Carsonem. Razem przejechali tysiące kilometrów, zastawiając pułapki na zwierzęta futerkowe. Według jednego z opisów Williams miał „twarz starego szopa – ostrą i chudą". Mówił „płaczliwym głosem i jego rozmówcy nie wiedzieli, czy się śmieje, czy płacze". Jego strzelba jednak, jak mówiono, „gadała wesoło i nigdy po próżnicy"[388]. Stary traper był też chudy jak rzemień, a jego ruda broda połyskiwała od tłuszczu. Kiedy był na szlaku, oddawał się dziwacznemu zwyczajowi mamrotania do siebie.

Choć Williams rzeczywiście wiedział wiele o górach – w końcu kilka szczytów i strumieni w Górach Skalistych nosi jego imię – niektórzy uważali, że brakowało mu umiejętności jasnej oceny sytuacji i podświadomej ostrożności, które cechowały Kita Carsona. Carson miał jakiś szósty zmysł

pomagający uniknąć najgorszego. Podczas tej wyprawy wszyscy mieli bardzo odczuć brak Kita.

Charyzma, jaką emanował Frémont, przyciągnęła Neda i Dicka Kernów. Pierwszy z nich miał podczas ekspedycji pełnić funkcję kartografa, a drugi rysownika. Kernowie wciągnęli nawet do wyprawy swojego brata Bena, lekarza cieszącego się szacunkiem w Filadelfii. Trzech braci ufało Frémontowi i przez kilka tygodni nie zdawało sobie sprawy, że zmierzają ku przepaści. W końcu jednak, już w górach, Kernowie zaczęli mieć wątpliwości. W swoich zapiskach Dick tak podsumował w pewnej chwili brawurę Frémonta: „Jakby sam sobie zasłonił oczy, tak był lekkomyślny, zarozumiały i pewny siebie. Ciągle parł do przodu". Listopad zmienił się w grudzień, a w górach zaczęły się śnieżyce. Wyprawa utknęła na tygodnie, nie mogąc przedrzeć się przez zaspy. „Zaczęliśmy przypominać Dziadka Mroza – pisał Dick Kern. – Na naszych wąsach i brodach wisiały sople lodu"[389]. Pewnej nocy skarpetki Neda przymarzły do stóp i musiał je zdejmować za pomocą noża.

Pod koniec grudnia wyprawa badawcza zmieniła się w walkę o życie. Wygłodniałe muły zaczęły zjadać sobie nawzajem grzywy i siodła, a w końcu padać w śnieg. Ludzie jedli zmarłe zwierzęta i bez powodzenia czekali na zmianę pogody. Ben Kern zapisał w swoim dzienniku, że 18 grudnia obudził się pod dwudziestocentymetrową śnieżną kołdrą. „Powiedziałem Dickowi, że już po wyprawie – zanotował – i będziemy mieć szczęście, jeśli wyjdziemy z niej żywi"[390]. W końcu nawet Frémont musiał przyznać, że ekspedycja się nie udała. Było już jednak prawie za późno. Ludzie byli bliscy śmierci. Zjedli już wszystkie muły i desperacko szukali czegokolwiek do jedzenia. „Byliśmy tak słabi, że ledwo się ruszaliśmy – napisał Dick Kern. – Szukaliśmy skorupiaków, ślimaków i dżdżownic. Nic nie znaleźliśmy". Jak wspominał potem Ned, „zapadałem powoli w sen. […] Czułem się szczęśliwy i rad, siedząc przez cały dzień przy ognisku, jakby w otępieniu […] obojętny na to, czy umrę. Spodziewałem się bowiem śmierci i w jej oczekiwaniu cały się zamknąłem"[391]. Zanim ekspedycja Frémonta została odnaleziona przez wyprawę ratunkową zorganizowaną przez Kita Carsona i innych mieszkańców Taos, z głodu i chłodu zmarło jedenastu

z trzydziestu trzech mężczyzn. Podobnie jak w przypadku tragedii, która spotkała Donnerów, ciała niektórych zmarłych prawie na pewno zostały zjedzone.

Dwudziestu dwóch ocaleńców, słabych i z licznymi odmrożeniami, zdołało dotrzeć do Taos. Niektórzy z nich znaleźli schronienie w domu Carsonów. Frémont był tak słaby, że trzeba go było wnieść do środka. Kit i Josefa opiekowali się nim, aż powrócił do zdrowia. Poili go gorącą czekoladą i słuchali mrożących krew w żyłach opowieści o tym, co zdarzyło się w górach. Zawsze lojalny Carson wydawał się z gruntu niezdolny do potępienia swojego byłego dowódcy. Nie był też chętny do podawania w wątpliwość decyzji podejmowanych przez swojego znajomka Billa Williamsa. Później jednak z typową dla siebie cierpką ironią przyznał, że - Williams, ze swoimi dziwnymi nawykami kulinarnymi, nie był kimś, kto wzdragałby się przed kanibalizmem.

– Kiedy głodowaliśmy – powiedział Kit – staraliśmy się schodzić z oczu Billowi Williamsowi[392].

Sam Frémont nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za fiasko wyprawy i za śmierć jedenastu mężczyzn, których poprowadził w góry. W jego listach z tego okresu nie widać śladu skruchy. Obwiniał natomiast Williamsa oraz oskarżał o tchórzostwo i niekompetencję swoich podwładnych. Kiedy zaś odzyskał siłę, a z nią swoją narcystyczną dumę, postanowił wyruszyć do Kalifornii wypróbowanym już szlakiem południowym – wzdłuż rzeki Gila do rzeki Kolorado – tym samym, którym w 1846 roku przeszli generał Kearny i Kit Carson. Trzeba było zapomnieć o linii kolejowej przez góry San Juan. Pociągi miały pojechać drogą południową.

Trzech braci Kern wymówiło się od udziału w tej ekspedycji. Mieli dosyć Johna Charlesa Frémonta i jego dążenia do chwały. W Taos doczekali roztopów. W marcu Ben Kern i Bill Williams poszli z powrotem w góry San Juan, żeby odzyskać sakwy z cennym sprzętem (medycznym, instrumentami topograficznymi, przyborami rysowniczymi), które zostały niedaleko pokrytej lodową skorupą Rio Grande. Udało im się znaleźć sakwy, ale kiedy wracali, ktoś na nich napadł. Nie wiadomo na pewno, kim byli napastnicy.

Prawdopodobnie jednak byli to Jutowie – wśród Indian z tego plemienia krążyło potem wyposażenie Czwartej Wyprawy Frémonta. Williamsa „znaleziono siedzącego prosto pod drzewem, zamarzniętego i na wpół przykrytego" śniegiem, z „kulą od Jutów w ciele". Po Benie Kernie wszelki ślad zaginął.

Pozostali Kernowie byli w szoku po śmierci brata. Jeszcze bardziej niż wcześniej mieli dość Frémonta. Odzyskiwali siły w Taos, kwaterując „w pokojach, które uznałabyś za świetnie nadające się na stajnię – pisał Ned do siostry pozostającej w Filadelfii. – A jednak – pisał dalej – jest to jedna z najlepszych kwater w mieście, a na dodatek buzuje w niej życie towarzyskie, bo od czasu do czasu odwiedzają nas osły"[393]. Na początku lata Ned i Dick powędrowali do odległego o przeszło sto kilometrów Santa Fe, w którym zaczęli szukać pracy. Ned opisał Santa Fe jako „rdzawe miasto zbudowane z suszonej cegły, z nielicznymi zielonymi drzewami, u podnóża wzgórz w kolorze karneolu. I tyle". Razem z Dickiem zaczęli jednak natychmiast szkicować domy i ulice Santa Fe, a także sześć stojących w mieście kościołów katolickich. Mieli też szczęście, bo prawie od razu natknęli się na porucznika Simpsona, który zatrudnił ich jako rysowników i ilustratorów. Wkrótce znowu wyruszyli na wyprawę w nieznane. Mieli nadzieję, że tym razem skończy się ona happy endem.

Pułkownik Washington i jego żołnierze kontynuowali marsz na zachód wzdłuż rzeki Santa Fe. Wreszcie skręcili ostro na południe i zeszli do szerokiej doliny Rio Grande. Juczne muły, jak zwykle na początku podróży, były narowiste i złośliwe. „Wiele mułów szaleje, będą z nimi problemy", zapisał w swoim dzienniku Dick Kern. Uczestnicy wyprawy przekroczyli suche, piaszczyste koryto Rio Galisteo i rozłożyli się z obozem w pobliżu puebla Santo Domingo, starej osady zamieszkiwanej przez około ośmiuset Indian.

Dick Kern był pod wrażeniem „piękna i żyzności" doliny Rio Grande w okolicach Santo Domingo. „Nadszedł czas żniw – zanotował – Indianie noszą na głowach snopki pszenicy, zrzucają je w miejscu młócki, śpiewając przy tym swoje pieśni". Mieszkańcy Santo Domingo zachowywali się

przyjaźnie wobec amerykańskich żołnierzy i chętnie udzielili im gościny. Porucznik Simpson obserwował jedną z Indianek. Robiła placki, coś w rodzaju tortilli, aż wreszcie poczęstowała go jednym. Simpsona obrzydzały „strumienie potu cieknące po jej twarzy". Ostrożnie skosztował świeżo upieczony chleb. „Choć umierałem z głodu – wspominał – poczęstunek wywołał u mnie uczucie mdłości"[394].

Wojska Washingtona opuściły Santo Domingo następnego dnia. Przekroczyły Rio Grande, w którego mulistym dnie utknęły dwa wozy z zapasami. Przez następne czterdzieści kilometrów żołnierze szli na północny zachód, mijając suchą krainę „zupełnie nienadającą się pod uprawę", jak podsumował Simpson. Wreszcie doszli do kolejnej indiańskiej osady – puebla Jemez. I ono nie zrobiło wrażenia na poruczniku Simpsonie. Odnotował „szpetotę" osady, w której wszędzie kręciły się „obszarpane kozy". Miejscowy katolicki kościółek zbudowany z suszonej cegły wyglądał rozpaczliwie i „rozpadał się pod wpływem zaniedbań i wilgoci". Jego omszałe wnętrze wypełniały stada jaskółek, które „czuły się chyba jak u siebie w domu". Obok ołtarza leżały ludzka czaszka i sterta kości. Wrażenie zrobił na Simpsonie jedynie ogromny obraz wiszący na tylnej ścianie prezbiterium i przedstawiający świętego Dydaka [hiszp. San Diego] trzymającego krzyż. „Obecnie mocno oszpecony, ale widać w nim rękę mistrza – zanotował porucznik. – Tylko prawdziwy syn Muzy mógł nadać mimice namalowanej przez siebie postaci wyraz pięknego smutku"[395].

Pueblo Jemez było otoczone przez morelowe i brzoskwiniowe sady. A wzdłuż rzeki Jemez rosły „porządna kukurydza i pszenica". Kilka kilometrów od osady Simpson zauważył wilka, który „bardzo ostrożnie odsuwał się od nas". Co ciekawe, niedaleko puebla, nad rzeką stało kilkadziesiąt pustych domów i zagród. Był nawet piec do wypalania miedzi. Przewodnicy powiedzieli Simpsonowi, że budynki te były „kiedyś zamieszkane przez Meksykanów, którzy opuścili je ze strachu przed Nawahami". Miesiąc wcześniej podczas najazdu zginął katolicki ksiądz Vicente Garcia.

Oczywiste było, że życie tutaj musi być naznaczone ciągłą niepewnością. Jemez leżało na linii frontu wojen z Nawahami. Przez stulecia to nieszczęsne

pueblo było wielokrotnie łupione przez najeźdźców. W drugiej połowie XVI wieku Nawahowie prawie wybili jego mieszkańców. W XVII wieku sporo z nich opuściło pueblo i zbudowało nową osadę w bezpiecznym miejscu, daleko od linii frontu. Pozostali Indianie z Jemez zostali wchłonięci przez Nawahów, a dzieci zrodzone z mieszanych związków stworzyły zalążek odrębnego nawahijskiego klanu – Ma-ii deeshgiizhnii[396].

Pułkownik Washington nakazał rozbicie obozu po północnej stronie puebla. Ponieważ rozpoczęły się właśnie żniwa, Indianie odprawiali Taniec Zielonej Kukurydzy. Wielu żołnierzy opuściło obóz, żeby obejrzeć uroczystości z dachu jednego z budynków. W swoim dzienniku Simpson szczegółowo opisał ruchy tancerzy – ich zrobione z piór nakrycia głowy, ich długie grzechotki, ich kostiumy wykonane z żółwich pancerzy, antylopich kopyt i lisiej skóry. Niemniej mimo niezwykłej energii wypełniającej uroczystość nawet tancerze z Jemez nie zrobili wielkiego wrażenia na poruczniku. „Ich taniec – narzekał Simpson – tylko nieznacznie różnił się od tego praktykowanego przez innych Indian".

Przywódca społeczności zamieszkującej Jemez, niejaki Hosta, oprowadził Simpsona po pueblu. Wpuścił go nawet do ceremonialnej *kiva* – ciemnego, owalnego pomieszczenia pozbawionego okien, do którego wchodziło się przez otwór na dym wycięty w dachu. Na ścianach namalowano postacie zwierząt – indyków, jeleni, lisów i wilków. Mężczyźni zaczęli rozmawiać o religii panującej w Jemez. Hosta jasno dał do zrozumienia, że jego lud nie porzucił dawnej wiary, nawet kiedy przyjął katolicyzm, „który – zanotował Simpson – został im jakoby narzucony i którego nie rozumieją".

Według Hosty mieszkańcy Jemez i Pecos wierzyli, że są bezpośrednimi potomkami Montezumy i Azteków oraz że pewnego dnia zostaną uwolnieni od swoich wrogów – Hiszpanów i Nawahów – i odzyskają dawną chwałę dzięki „ludziom, którzy nadejdą ze wschodu". Jak dodał Hosta, „Indianie z Jemez zaczynali wierzyć, że owi ludzie już nadeszli" – i że są nimi generał Kearny oraz wszyscy Amerykanie. Być może pomogły pochlebstwa, ale Hoście udało się zrobić wrażenie na Simpsonie i innych uczestnikach wyprawy Washingtona. Wódz puebla został nawet zaproszony do wzięcia udziału w ekspedycji. Był bardzo rad, że będzie mógł poznać serce krainy

Nawahów, którzy pozostawali wrogami jego ludu. Zanim razem wyjechali z Jemez, Dick Kern namówił Hostę, żeby włożył swój paradny strój, po czym namalował akwarelami jego portret. „Hosta – podsumował Simpson – jest jednym z najwspanialej wyglądających i najbardziej inteligentnych Indian Pueblo, jakich kiedykolwiek spotkałem. Z powodu swojej żywotności i bezceremonialnej uprzejmości bardzo go wszyscy polubiliśmy”[397].

Ekspedycja dowodzona przez Washingtona opuściła pueblo rankiem 22 sierpnia. Czterystu mężczyzn weszło w piękny i surowy krajobraz po drugiej stronie wulkanu Jemez. Wozy z zaopatrzeniem nie dawały sobie rady w trudnym terenie. Szlak zniknął w labiryncie górek, skał i łach soli, na których tu i ówdzie sterczały skalne monolity przypominające wyglądem zwierzęta i mityczne stwory. Amerykanie wkroczyli do świata fantazji i im dalej na zachód jechali, tym trudniej było im pojąć to, co napotykali po drodze.

Simpson męczył się w swoim dzienniku, szukając odpowiednich słów na opisanie dziwnych krajobrazów. Kilkakrotnie nazwał je „złamaną krainą”. Często wspomagał się żargonem geologicznym, z ulgą identyfikując „pokłady scorii”, „kruche piaskowce” i „skały ilaste o różnym stopniu zwapnienia”. Czasem nawiązywał do Biblii, cytując wersety z Księgi Izajasza i Księgi Psalmów dotyczące usychania Ziemi Świętej. W pewnym miejscu dziennika zasugerował, że „winą za przekleństwo tych pustkowi można obciążyć nikczemny lud, który je zamieszkuje”. Uważał, że większość terytorium, na którym się znajdowali, była „jałowym nieużytkiem”[398].

Ale nawet Simpson czasem dawał się ponieść urokowi tej krainy. Bardzo podobała mu się pogoda, bo sprzyjała podróży – w dzień było gorąco i sucho, noce były przejrzyste, pełne gwiazd i chłodne, a popołudniami czasem „padał deszczyk”, który oczyszczał powietrze z kurzu. Po drodze Simpson po raz pierwszy zobaczył też spetryfikowany las. „Czy te skamieniałości nie dowodzą, że niegdyś tę krainę drzewa porastały gęściej niż dziś?”, zastanawiał się. Pewnego ranka radość sprawił mu koliber, który wleciał do jego namiotu, „gdzie przez moment trzepotał skrzydłami o stopę albo dwie ode mnie, a potem odleciał i nigdy już nie wrócił”[399]. Czasem pozwalał sobie

nawet na moment oczarowania. Rankiem 25 sierpnia tuż po zwinięciu obozu spojrzał przez lunetę i dostrzegł majestatyczny Cabezon Peak, komin dawnego wulkanu, wznoszący się na blisko sześćset metrów licząc od dna doliny Puerco. „I kiedy poranne słońce oświetliło jego wschodnie zbocze, pozostawiając pozostałe ściany w miękkim cieniu, pomyślałem, że nigdy wcześniej nie widziałem niczego tak pięknego i wspaniałego".

Zainspirowany tym samym widokiem Dick Kern namalował akwarelę przedstawiającą Cabezon Peak, na której poranne światło muska jego karbowane ściany. Nawahowie, którzy przez stulecia mieszkali w sąsiedztwie, nazywali go Czarną Skałą, Która Schodzi. Wierzyli, że był skostniałą głową złego olbrzyma Yeitso. W ich mitologii Yeitso był wodzem Wrogich Bogów. Wspaniały wojownik nazywany Zabójcą Potworów pozbawił go głowy w bitwie, o której opowiadały historie o narodzinach Nawahów.

Ekspedycja doszła do Rio Puerco i Simpson zauważył, że słowo *río* było lekką przesadą, bo w rzece właściwie nie było wody. No może poza kilkoma kałużami „tu i ówdzie. Ciecz w korycie była chorobliwie zielonkawa i miała słonawy smak". Dno rzeki wypełniało kleiste błoto. Kiedy żołnierze ją przekraczali, jeden z mułów wiozących ciężką haubicę górską potknął się i przewrócił. Biedak leżał na grzbiecie i machał bezładnie kończynami niczym żuk, co „wyglądało jednocześnie i żałośnie, i zabawnie", zanotował - Simpson[400].

Po dwóch kolejnych dniach powolnego marszu wyprawa Washingtona przekroczyła wododział amerykański. 26 sierpnia żołnierze doszli do sezonowego strumienia Chaco Wash. W okolicy natknęli się na coś, co Simpson nazwał „okazałymi ruinami". Indianie Pueblo, którzy prowadzili wyprawę, nazywali je inaczej. Jeden z nich określił je jako pueblo Montezumy. Inny nazwał je pueblem Szczurów. Simpson zdecydował się w końcu na Pueblo Pintado – malowaną wioskę.

Pintado jest najbardziej wysuniętą na wschód z dziewięciu wielkich i pradawnych osad w kanionie Chaco – będących najwspanialszymi ruinami amerykańskiego Zachodu. Wydaje się, że wyprawa Washingtona trafiła tam

przypadkiem. Simpson i Kernowie skorzystali z okazji i zaczęli badać to niezwykłe miejsce. W ten sposób zostali pierwszymi Amerykanami, którzy opisali i pomierzyli te rozległe kamienne ruiny zaginionej cywilizacji Anasazi, która swój rozkwit przeżywała tutaj około roku 1000.

Pełni „wielkich nadziei” Simpson, Dick Kern i niewielka grupa Meksykanów, którzy mieli stanowić ich eskortę, zaczęli eksplorować ruiny. Dla tych doświadczonych badaczy była to życiowa szansa, miła odmiana w monotonnej rutynie wojskowej dyscypliny. Wiedzieli, że nie mają za dużo czasu. Pułkownik Washington parł naprzód i nie chciał czekać na Simpsona i jego ludzi. Znajdowali się na wrogim terytorium zamieszkiwanym przez Nawahów i nie mieli ochoty zostać daleko za oddziałem. A jednak nie mogli się powstrzymać. Ruiny upadłej cywilizacji były zbyt kuszące, żeby je tak po prostu minąć.

Dlatego Simpson i Kern uwijali się jak mrówki – dokonywali pomiarów, robili szkice, zbierali artefakty, badali naskalną sztukę, rozgrzebywali ziemię, odczytywali dane z kompasu i przyrządów astronomicznych. Pracowali w pośpiechu przez trzy długie dni, przenosząc się z jednego budynku do drugiego, z których każdy wydawał się większy i wspanialszy od poprzedniego. Obszerne kamienne i drewniane budowle wzniesiono na planie półkola. Były to wielopiętrowe puebla, złożone z setek pomieszczeń, z których niektóre „zachowały się w stanie prawie idealnym”. Większość tych *pueblos* stała po północnej stronie strumienia, opierając się o potężną piaskową ścianę kanionu. Największy z nich, Pueblo Bonito, liczył ponad siedemset pomieszczeń i trzy piętra[401]. Ulokowano go prawie idealnie na linii północ-południe, z odchyleniem piętnastu minut. Simpson nie krył podziwu dla badanych przez siebie obiektów, dla „wielkości projektu i najwyższej klasy wykonania”. Uważał, że są one przykładem „doskonałej architektury pozostającej poza zasięgiem dzisiejszych Indian czy Meksykanów”.

Dla Dicka Kerna był to moment, na który czekał całe życie. W szalonym tempie wykonywał kolejne akwarele i rysunki, kończąc dopiero wtedy, kiedy ostatni promień światła znikał z nieba. Cieszył się, że jest daleko od Washingtona i jego wojskowego drylu i że ma to odludne miejsce prawie wyłącznie dla siebie. Był zadowolony, że może obozować w ruinach.

Namalował akwarelami obraz, który, jak sądził, najlepiej pokaże, jak jeden z budynków mieszkalnych musiał wyglądać w czasach swojej świetności. „Dzisiaj zamieszkują go jedynie wilki, jaszczury i zające – napisał w swoim dzienniku – a w otwartych holach i salach rosną dzikie kwiaty o jaskrawych kolorach. Kto to wszystko zbudował? […] Nie może być wątpliwości, że musiała to być rasa żyjąca tu bardzo dawno temu. Styl tych budowli zupełnie nie przypomina architektury hiszpańskiej”[402]. I Dick Kern, i porucznik Simpson czuli się jak chłopcy buszujący po zaczarowanym lesie. Nanieśli na mapę plany prawie wszystkich największych budowli stojących w kanionie. A w jednej z komnat Pueblo Bonito wyryli na ścianie swoje nazwiska.

Simpson wiedział jednak, że nie zdołają nasycić się tym labiryntem. Bojąc się ataku Nawahów, w końcu rozkazał spakować przyrządy oraz księgi i dogonił główną grupę Washingtona. „Gdyby tylko czas nam pozwolił – zanotował – chętnie byśmy tam zostali i dłużej pogrzebali w przeszłości. Ale żołnierze oddalili się od nas o dobrych kilka mil i musieliśmy porzucić nasz skarb”. Okoliczności, podsumował porucznik, „nie pozwoliły nam zaspokoić naszych umysłów”[403].

W czasach ekspedycji Washingtona o kulturze Anasazi nie wiedziano prawie nic. Dlatego porucznik Simpson nie mógł znać tajemnicy wspaniałych ruin w kanionie Chaco. Wódz Hosta upierał się, że tamtejsze puebla zostały zbudowane przez jego przodka, władcę Azteków Montezumę. Był to powszechny wśród tamtejszych Indian mit i Simpson uznał go za wiarygodny. Tak naprawdę jednak mieszkańcy kanionu Chaco nie byli bezpośrednio spokrewnieni z Aztekami. Choć prawie na pewno handlowali z ich przodkami zamieszkującymi Mezoamerykę. Indianie z Chaco zaczęli budować swoje bogactwo około 950 roku, zanim jeszcze Aztekowie zapanowali w środkowym Meksyku. Sporą część potęgi czerpali prawdopodobnie z umiejętności obróbki turkusu, kamienia cenionego w regionie i wykorzystywanego w celach ceremonialnych. Mieszkańcy Chaco potrafili wytwarzać z turkusu – wydobywanego ze wzgórz Cerrillos niedaleko Santa Fe – prawdziwe cudeńka. Wydaje się, że wzbogacili się właśnie na handlu wyrobami z tego pięknego kamienia.

Przez krótki okres – niewiele ponad sto lat – przeżywali niezwykły rozwój cywilizacyjny, kulturowy boom, który nie miał sobie równych w prehistorii Ameryki Północnej. Archeolodzy nazwali go Fenomenem Chaco[404]. W krótkim czasie mieszkańcy kanionu scentralizowali strukturę władzy, zintensyfikowali rolnictwo i postawili wielkie puebla. Stworzyli skomplikowany system nawadniania pól oparty na kanałach irygacyjnych i tamach. Pobudowali proste jak strzała drogi, które promieniście rozchodziły się ze stolicy we wszystkie strony świata. Na dalekich płaskowyżach postawili latarnie, za pomocą których przekazywali sobie sygnały świetlne i utrzymywali komunikację z osiedlami oddalonymi o setki kilometrów. Ich wyroby i rytuały stawały się coraz bardziej złożone i piękne. W promieniu przeszło sześćdziesięciu kilometrów ścięli tysiące sosen, które ściągnęli do kanionu i wykorzystali do budowy potężnych kompleksów mieszkalnych. Szybko rozwinęli kastę duchownych, którzy dzięki sieci obserwatoriów astronomicznych z wielką precyzją śledzili ruch planet i gwiazd.

Nigdy wcześniej w Ameryce Północnej nie nastąpił tak wielki cywilizacyjny wybuch[405]. Aż nagle w połowie XII stulecia, równie gwałtownie jak powstała, kultura Anasazi z kanionu Chaco umarła. Wydaje się, że powody jej zagłady były dwa – potężne susze w latach 1085 i 1095 oraz zbyt gwałtowny wzrost populacji, która przecież zamieszkiwała pogranicze pustyni. Rozwój kultury Anasazi był uwarunkowany przez klimat. Pojawiła się ona i rozkwitła podczas trwającego sto lat okresu porządnych opadów atmosferycznych. Tyle wystarczyło, żeby lud zamieszkujący kanion Chaco zaczął rabunkowo eksploatować ziemie uprawne, wytrzebił okoliczną zwierzynę i wyciął drzewa. W ciągu ledwie kilku pokoleń pozbawiona osłony drzew gleba poddała się erozji i straciła żyzność, a kanały irygacyjne zostały zasypane przez sól i pył. Rzeka, od której zależały uprawy kukurydzy i fasoli, wyschła. Trzecia wielka susza nadeszła w okolicy roku 1129 i wbiła ostatni gwóźdź do trumny kultury Anasazi.

Wstrząsy środowiskowe doprowadziły, rzecz jasna, do wstrząsów społecznych. Umierające państwo kanionu Chaco przestało być przyjemnym miejscem do życia. Ludzie głodowali. Swoje wspaniałe domy zamienili

w fortece, budując mury i barykadując okna na parterze. W nocy przenosili się do wyższych kondygnacji i wciągali za sobą drabiny. Archeolodzy badający puebla rozsiane po kanionie znaleźli w nich ślady przemocy, czarnoksięstwa, a nawet rytualnego kanibalizmu. W końcu coraz więcej Anasazich zaczęło emigrować z kanionu Chaco. Często po prostu opuszczali swoje domy, zostawiając w nich wspaniałe wyroby ceramiczne, a nawet obuwie i ubrania oraz wielkie zapasy suszonego jedzenia zgromadzonego w spiżarniach.

Ale lud z Chaco tak naprawdę nie zniknął z powierzchni Ziemi. Przewędrował Południowy Zachód, osiedlając się wszędzie tam, gdzie była woda i gdzie było bezpiecznie. Bezpośrednimi potomkami kultury Anasazi byli Indianie Pueblo. W żyłach Hosty i innych mieszkańców puebla Jemez płynęła więc krew ludu z Chaco, a nie Azteków. Potomkami Anasazich byli też Indianie z dziesiątków innych plemion, których osady znajdowały się na całym Terytorium Nowego Meksyku – Zuni, Hopi, Acoma i Taos. Architektura dziewiętnastowiecznego puebla, choć nie była technicznie zaawansowana, uderzająco przypominała wielkie budowle, których ruiny znajdują się w kanionie Chaco. Spotykamy tam te same wielopiętrowe budynki mieszkalne z tarasami i podziemnymi *kiva*. Kultura Anasazi miała spadkobierców i było to widoczne w ich sztuce naskalnej, ceramice, a także ceremoniach religijnych. Indianie z Chaco przetrwali, choć w diasporze. Rozprzestrzenili się po Południowym Zachodzie i żyli w mniejszych osiedlach. Potomkowie Anasazich przerobili bolesną lekcję kanionu Chaco: zbytnie zagęszczenie ludzi żyjących w trudnym klimacie oznacza zagrożenie. W takich warunkach bezpieczniej jest żyć w rozproszeniu.

Co ciekawe, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Fenomen Chaco zapadał się pod własnym ciężarem, na terenach zajmowanych dotąd przez kulturę Anasazi pojawili się pierwsi Nawahowie. Przez stulecia powoli wędrowali na południe z Alaski i północno-zachodniej Kanady, idąc wzdłuż kręgosłupa Gór Skalistych. Ich nomadyczna kultura była uosobieniem życia w diasporze. Prężni, dostosowujący się do okoliczności, niezwiązani z żadnym miejscem czy stylem życia, przenosili się z miejsca na miejsca w zależności od pory roku, podążając za zwierzyną albo dla kaprysu.

Kiedy po raz pierwszy ujrzeli ruiny pozostawione przez Anasazich w kanionie Chaco, musieli być zdumieni. Wszystko, co tam zobaczyli, było antytezą ich własnego stylu życia. Musieli też od razu się zorientować, że kultura, która tam kiedyś panowała, przewyższała wszystko to, z czym mieli styczność do tej pory. Zrozumieli oczywiście, że w kanionie zdarzyło się coś strasznego, że tamtejsze puebla pełne duchów oznaczały zagładę. Bali się wchodzić do opustoszałych domów, wierząc, że są pełne zła i śmierci. Nie byliby w stanie tak żyć – w miastach, ściśnięci w solidnych budynkach, zamknięci jak w klatce. Oni zawsze musieli mieć wyjście awaryjne.

Nie wiemy, czy obie kultury spotkały się ze sobą, ale nie jest to wykluczone. Być może kiedy Nawahowie przybyli, Anasazi właśnie odchodzili i na chwilę w historii oba ludy nawiązały kontakt. Możliwe też, że to przybycie Nawahów przyspieszyło odejście mieszkańców kanionu Chaco – albo z powodu bezpośrednich starć wojennych, albo konkurencji o zasoby. Zresztą słowo *anasazi* pochodzi z języka Nawahów i oznacza „przodków naszych wrogów". Dlatego dzisiejsi Indianie Pueblo nie znoszą tego określenia. Wolą „naszych przodków". Jakakolwiek była jednak istota kontaktów pomiędzy Diné a kulturą Anasazi, to niewątpliwie Nawahowie wypełnili pustkę pozostawioną przez poprzednich mieszkańców kanionu Chaco. Na długo stali się panami otaczających go terenów i wiedli swoje wędrowne życie pośród ruin skalnych miast, włączając związane z nimi historie do własnej mitologii – ale zawsze zostawiając je w spokoju.

Kiedy porucznik Simpson i Dick Kern badali zniszczone puebla kanionu Chaco, już od co najmniej pięciuset lat znajdował się on w posiadaniu Nawahów. Gros wiedzy na temat tych ziem Amerykanie zaczerpnęli właśnie od Nawahów, przyjmując przy tym ich perspektywę. Słowo *chaco* to hiszpańska wersja nawahijskiego *tsekho* i oznacza „kanion" czy też dosłownie – „otwór w skale". Kiedy Simpson i jego podwładni badali ruiny, z oddali obserwowali ich zwiadowcy Nawahów. Indianie zastanawiali się pewnie, jakie są intencje tych dziwnych ludzi i czy ów kudłaty człowieczek jest czarownikiem[406].

32

Najwspanialsza głowa, jaką widziałem

Żołnierze pułkownika Washingtona obozowali w ponurej, pylistej okolicy, w pobliżu miejsca zwanego Badger Springs. Choć widoki mieli nieziemskie – patrząc na północ, widzieli wspaniały twardzielec Shiprock, który prawie dotykał chmur – to okolica nie nadawała się na obóz. W pobliżu nie było drewna na opał. Były tylko nieliczne kolczaste krzewy. Co prawda po wykopaniu głębokich studni znaleźli wodę, ale była ona mocno zasadowa i według Dicka Kerna miała „posmak zgniłego jaja". Ponieważ żołnierze nie mogli znaleźć trawy ani innej porządnej paszy dla koni i mułów, pułkownik Washington kazał im naścinać karłowatej zielonej kukurydzy, która rosła na pobliskim polu uprawianym przez Nawahów.

Trudno się dziwić, że jego właściciele uznali to za kradzież i przejaw wrogości. Wkrótce grupka Indian wjechała ze skargą do obozu Amerykanów. Nawahowie przywieźli ze sobą piętnaście koni i mułów, a także stado owiec. Wiedzieli, że pułkownik Washington poszukuje zwierząt uprowadzonych podczas ich rajdów. Nawahów przysłał Narbona, a spora część przyprowadzonych przez nich zwierząt pochodziła z jego prywatnych stad. Washington przyjął konie, muły i owce, ale odrzucił żądanie rekompensaty za zagarniętą kukurydzę. Wśród Indian, którzy weszli do amerykańskiego obozu, były także kobiety. Jak zanotował Simpson, „były one ubrane w koce, leginsy i mokasyny – koce wiązały sobie w talii". Porucznik był lekko zszokowany faktem, że nawahijskie kobiety „dosiadają koni *à la mode des hommes*[45]"[407]. Jedna z nich, jak zauważył, „karmiła piersią dziecko leżące w nosidle – jego górną część zasłaniała budka z wierzbowych gałęzi, które chroniły główkę dziecka od niepogody".

Następnego ranka – 30 sierpnia – żołnierze zwinęli obóz i ruszyli na zachód w trasę liczącą blisko dwadzieścia pięć kilometrów. Jak zapisał Kern, kiedy jechali, towarzyszyło im „mnóstwo Indian". Było jasne, że rozeźleni

Nawahowie tracą cierpliwość do intruzów. Większość wojowników była uzbrojona w lance, włócznie i wzmocnione ścięgnami łuki. Simpsonowi wydali się „imponującą grupą". Zanotował, że Indianie nosili „przypominające hełmy nakrycia głowy udekorowane orlimi piórami". Niektórzy z wojowników, jak zauważył, „byli prawie nadzy. A jeden z nich nosił tylko przepaskę biodrową – całe ciało miał pomalowane białą farbą, co robiło upiorne wrażenie".

Około południa grupa Nawahów urosła do kilkuset osób. Ci jadący przed kolumną wojska wzniecali ogromną chmurę kurzu, która denerwowała Amerykanów. Zaniepokojony obecnością tylu wojowników pułkownik Washington nakazał swoim artylerzystom zdjęcie haubic górskich z grzbietów mułów i przygotowanie ich do walki. Także porucznik Simpson miał złe przeczucia. Zauważył, że „czarna, złowieszcza chmura" przykryła jeden ze szczytów w odległych górach Chuska i „przecinały ją błyskawice"[408]. Niebo pociemniało od chmur burzowych. W końcu lunęło, a także zaczął padać grad. Pułkownik zatrzymał kolumnę.

Amerykanie rozbili obóz na północnym brzegu strumienia Tunicha, na terenie usianym fragmentami ceramiki Anasazich. Dolina pobliskiej rzeki Chuska tonęła w kukurydzy. Były tam „obszerne i bujne pola" kukurydziane, jak zanotował Simpson, „wspanialsze niż jakiekolwiek, które widziałem w tym kraju". Pól uprawnych nie poprzecinały kanały irygacyjne. Czerpały wodę gruntową, która sączyła się przez miękką glebę. Łodygi kukurydzy posadzono głęboko, nie w rzędach, ale w gęstych kępach – Nawahowie praktykowali ten sposób uprawy przez stulecia, bo dzięki niemu kukurydza lepiej gromadziła wodę.

Ciesząc oczy widokiem przyszłych zbiorów, pułkownik Washington znowu nakazał swoim żołnierzom nacięcie kukurydzy na paszę dla zwierząt. Kiedy stało się oczywiste, że Nawahowie stawią opór, wysłał więcej ludzi, żeby „wprowadzili jego rozkaz w życie". Zagarnięcie kukurydzy tłumaczył tym, że Nawahowie są rządowi USA winni zapłatę za organizację kosztownej ekspedycji, którą był on zmuszony wysłać przeciwko nim. Ta pokrętna logika rozjuszyła Indian. Nie byli oni jednak w stanie przeciwstawić się

żołnierzom. Z bólem patrzyli, jak Amerykanie rabują ich przeznaczone na zimę zbiory.

Wokół wojskowego obozu narastało napięcie. Żołnierzy otaczały teraz setki, może nawet tysiąc, zdenerwowanych Nawahów. Podekscytowani wojownicy galopowali na koniach we wszystkie strony, przypominając rozzłoszczony rój pszczół. Washington wpuścił do obozu na rozmowy kilku wysłanników Indian. Poprzez tłumacza mówiącego po hiszpańsku powiedział im, żeby zwołali jak najwięcej wodzów z rejonu Chuska. Przyznał, że jego wojska wtargnęły na ich ziemie, żeby ukarać ich za ciągłe rajdy i rabunki na Terytorium Nowego Meksyku. Utrzymywał jednak, że Stany Zjednoczone pozostaną przyjacielem Nawahów, jeśli tylko ci powrócą następnego dnia i podpiszą traktat pokojowy. Wodzowie zgodzili się spotkać z Amerykanami ponownie w samo południe dnia następnego. Poinformowali, że wśród nich będzie Narbona. Zanim Nawahowie odjechali, Richard Kern podsłuchał, jak jeden z nich pyta pułkownika Washingtona:

– Skoro jesteśmy przyjaciółmi, to czemu zagarnęliście naszą kukurydzę? To dla nas trudne, ale musimy się wam podporządkować[409].

W południe następnego dnia do amerykańskiego obozu przyjechało kilkuset Nawahów. Indianie byli, jak wspominał Simpson, „uroczo wystrojeni w czerwień, błękit i biel, a w dłoniach trzymali karabiny”[410]. Ten „spektakl robił wrażenie”. Z tłumu wyszli trzej starcy. Każdy z nich przedstawił się swoim hiszpańskim imieniem. Archuleta, Jose Largo i wreszcie Narbona.

Wzrok wszystkich obecnych skupił się na Narbonie, najsłynniejszym z Nawahów. Choć był on już po osiemdziesiątce, ciągle wyglądał imponująco. Simpson opisał go jako „dość już starego, ale o silnej budowie, mającego ponure i zamyślone oblicze całkiem podobne, jak zauważyło wielu oficerów (mam nadzieję, że to porównanie zostanie mi wybaczone), do oblicza samego prezydenta Waszyngtona”[411]. Narbona miał na sobie piękny wodzowski wełniany koc ozdobiony geometrycznymi wzorami typowymi dla rękodzieła Nawahów. Dick i Ned Kern wspólnie naszkicowali portret Narbony, nadając jego twarzy wyraz uroczystej godności.

Narbona tak jednak cierpiał z powodu artretyzmu, że nie mógł sam zsiąść z konia. Na miejsce narady został zaniesiony. Jako znak dobrej woli przyprowadził ze sobą i przekazał generałowi Washingtonowi kolejne stado zwierząt – liczące kilkaset sztuk. Powiedział, że wierzy w pokój pomiędzy jego plemieniem a Nowymi Ludźmi. Oświadczył też, że Nawahowie z regionu Chuska nigdy nie prowadzili wojny z Amerykanami – mimo że było prawdą, iż od dawien dawna toczyli wojnę z mieszkańcami Nowego Meksyku, a w jej trakcie obie strony dopuszczały się strasznych rzeczy. Przyznał, że choć sam opowiada się za pokojem, wśród jego ludu jest wiele młodych gorących głów i złodziei (*ladrones*, jak powiedział), których nie zawsze udaje się powstrzymać. Jasno dał też do zrozumienia, że nie może wypowiadać się w imieniu wszystkich Nawahów. Żaden człowiek nie ma takiego autorytetu i władzy, bo Diné składają się z bardzo wielu grup, a każda z nich cieszy się autonomią i swoim własnym terytorium.

Wśród Nawahów obecnych na rokowaniach był młody człowiek, którego z pewnością można było nazwać gorącą głową – a nawet złodziejem. Miał na imię Manuelito i był zięciem Narbony. Ten dumny i zapalczywy wojownik o posągowej sylwetce, ciemnej karnacji, zaciętym obliczu i rozpalonych oczach szybko piął się w górę drabiny społecznej Nawahów. Choć kochał i szanował swojego teścia, nie ufał jego pokojowej polityce. Przepełniał go młodzieńczy żar. Uważał, że Narbona posuwa się za daleko, starając się udobruchać blade twarze. Nie wierzył, że ci nowi najeźdźcy mogą się równać z Nawahami. Z grzbietu konia przypatrywał się i słuchał uważnie, jak siedzący obok pułkownika Washingtona James Calhoun, agent do spraw Indian, prowadził rozmowę.

Calhoun: Powiedz im, że teraz podlegają jurysdykcji Stanów Zjednoczonych i muszą przestrzegać prawa[412].

Tłumacz: Oni mówią, że rozumieją.

Calhoun: Powiedz im, że kiedy podpiszemy traktat, ich przyjaciele będą przyjaciółmi Stanów Zjednoczonych, a ich wrogowie – wrogami Stanów Zjednoczonych. Czy są gotowi zawrzeć pokój ze wszystkimi przyjaciółmi Stanów Zjednoczonych?

Tłumacz: Mówią, że są gotowi.

Narbona i inni wodzowie zgodzili się z prawie każdym punktem porozumienia zaproponowanego przez Calhouna i pułkownika Washingtona. Nie chcieli przyjąć tylko jednej propozycji. Washington upierał się, żeby Narbona pojechał z nim do twierdzy Nawahów znajdującej się w kanionie De Chelly. Chciał zwołać tam jeszcze liczniejszą naradę, w której wzięliby udział przedstawiciele całego plemienia. Narbona jednak odmówił. Odżegnywał się od związków z Nawahami „za górą". Tłumaczył też, że jest zbyt słaby, żeby odbyć tak długą podróż. Kiedy jednak pułkownik naciskał, Narbona zgodził się wreszcie wysłać z nim do kanionu De Chelly dwóch młodszych wodzów.

Narada była zakończona. Wszyscy wydawali się zadowoleni. Przez moment sprawy pomiędzy Nawahami a Stanami Zjednoczonymi Ameryki dawały nadzieję na dobry obrót. Wtedy jeden z członków nowomeksykańskiej milicji zauważył wśród zwierząt Nawahów konia, który – jak twierdził – należy do niego, ale został mu skradziony. Powiedział, że jest pewien, iż to jego koń. Indianie porwali go kilka miesięcy wcześniej. Teraz milicjant chciał go dostać z powrotem. Nawahowie nie zaprzeczali, że koń był kradziony. Tłumaczyli tylko, że od tego czasu tyle razy zmieniał właściciela, iż niemożnością jest znalezienie tego prawdziwego. W każdym razie sprawa z pewnością się przedawniła. Temperatura spotkania, które wydawało się już przecież zakończone, się podniosła. Obie strony zaczęły przerzucać się oskarżeniami.

Kiedy pułkownik Washington zorientował się, o co chodzi, wziął stronę nowomeksykańskiego milicjanta. Zażądał, żeby Nawahowie oddali konia. Do tego pomysłu Indianie „odnieśli się z niechęcią", jak zapisał porucznik Simpson. Wszystkim skoczyła adrenalina. Po abstrakcyjnych sformułowaniach podniesionych przez pułkownika Washingtona dyskusja wreszcie dotyczyła konkretu, który Nawahowie doskonale rozumieli – k o n i a[413]. Sytuacja stała się mocno napięta.

– Jeśli koń nie zostanie zwrócony – zagroził przez tłumacza Washington – zaczniemy do was strzelać!

W tym momencie wojownik dosiadający rzeczonego konia pędził już jednak w stronę wzgórz. Zaskoczony pułkownik nakazał jednemu z żołnierzy

swojej gwardii przybocznej – porucznikowi Torrezowi – by zabrał Nawahom jakiegoś innego konia, jakiegokolwiek. Kiedy Torrez ruszył w stronę tłumu, Indianie od razu zdali sobie sprawę, co się święci. W mgnieniu oka część Nawahów spięła konie, zawróciła i pognała w siną dal, „czmychając – jak zanotował Simpson – najszybciej jak mogli".

– Ognia! – rozkazał na to pułkownik Washington.

Amerykańscy strzelcy wyborowi rozmieszczeni wokół miejsca spotkania oddali salwę. Kule dosięgły tłumu Nawahów. W tej samej chwili artylerzyści zwrócili w stronę Indian potężną lufę swojej sześciofuntówki – wozogrzmotu – i zasypali Indian pociskami. Washington nakazał swoim jeźdźcom wszczęcie pogoni za uciekającymi Nawahami. Nie dało się jednak ich złapać, bo rozbiegli się we wszystkie strony i skryli w odległym parowie.

Kiedy opadł kurz bitewny, pułkownik Washington zauważył, że żaden z jego ludzi nie ucierpiał – choć Simpson zanotował z żalem, że w zamieszaniu życie straciło kilka mułów. Przedpole było puste. Na ziemi leżało jednak siedmiu Nawahów. Część z nich była ranna, część martwa.

Washington przyjrzał się Indianom i zorientował się, że jednym z rannych jest sam Narbona. Patriarcha Nawahów leżał w kałuży krwi. Odłamki z pocisku wystrzelonego z wozogrzmotu podziurawiły jego ciało jak sito. Miał kilka otwartych ran.

Kilka minut później Narbona zmarł.

Jeśli śmierć starego wodza nie była wystarczającą zniewagą dla Nawahów, to czarę goryczy przelało to, co zdarzyło się potem. Jeden z nowomeksykańskich ochotników chciał mieć pamiątkę. Podszedł do ciała Narbony i przyłożył do jego czoła ostry nóż[414].

W swoim dzienniku Dick Kern nie napisał niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że Narbona sprowokował Amerykanów do ataku. W jego zapiskach nie znajdziemy jednak śladu oburzenia tym, co się stało. A było to być może jedno z najbrzemienniejszych w skutki wydarzeń w historii kontaktów Nawahów z rządem USA. Kern zaznaczył jedynie, że ma do siebie żal, iż nie zadbał o zabezpieczenie głowy Narbony. Mógł ją przecież przywieźć swojemu przyjacielowi, kolekcjonerowi i badaczowi czaszek z Filadelfii, doktorowi Samuelowi George'owi Mortonowi.

„Był wodzem swojego Narodu, mądrym człowiekiem i wielkim wojownikiem – napisał rok później Kern w liście do Mortona. – Był potężnej budowy. Wydaje mi się, że miał blisko dwa metry wzrostu. Zbliżał się do dziewięćdziesiątki, kiedy zginął. Bardzo żałuję, że nie zabezpieczyłem jego czaszki. Myślę, że Narbona miał najwspanialszą głowę, jaką kiedykolwiek widziałem na szyi Indianina”[415].

33

Węzeł śmierci

Zginął najwspanialszy z przywódców Nawahów. Nikt nie planował jednak plemiennych uroczystości pogrzebowych. Nawahowie w nie po prostu nie wierzyli. Kiedy ktoś umierał, nawet ktoś tak wielki jak Narbona, najważniejszą rzeczą było zadbanie o to, żeby jego duch jak najszybciej udał się w podróż na tamten świat. Nikt nie czuł potrzeby czuwania przy zmarłym, by oddać mu hołd. Zrobieniem porządku z ciałem Narbony i podziałem jego imponującego majątku zajęła się najbliższa rodzina. Tysiące Nawahów, którzy znali Narbonę, i wiele tysięcy tych, którzy o nim słyszeli, opłakiwało zmarłego na własny sposób, nigdy publicznie.

Krótko po tym, jak amerykańscy żołnierze zabili Narbonę, jego ciało zostało przywiezione do rodzinnej wioski w górach Chuska (niektórzy Nawahowie twierdzą, że Narbona zmarł dopiero w domu; że choć odniósł straszne rany i został oskalpowany, był jeszcze żywy, kiedy go przywieziono, i wyzionął ducha dopiero, kiedy pożegnał się ze swoimi żonami, dziećmi i wnukami). Rodzina przygotowała ciało do pogrzebu na zewnątrz hoganów. Dla Nawahów było to odpychające zadanie, wykonali je więc szybko i ostrożnie, wypatrując wszelkich niepokojących sygnałów.

Choć nie znosili mieć do czynienia ze śmiercią, wiedzieli, jaką wagę ma odpowiednie przygotowanie ciała z zachowaniem wszystkich odwiecznych rytuałów. Gdyby ich nie dochowali, duch Narbony mógłby ujść śmierci, powrócić i straszyć ich do końca świata. W nocy pętałby się przy hoganach, pogwizdując w ciemności, obrzucając ludzi błotem i zsyłając im złe sny, a nawet szaleństwo czy śmiertelne choroby. Mógłby dmuchnąć na czyjąś głowę ludzkimi prochami, wywołując u tej osoby poważną chorobę objawiającą się tylko niewielkim guzkiem na głowie. Nawahowie nie wierzyli w dobre duchy. Nie było żadnych dobrych duchów, nawet jeśli za życia były miłymi i łagodnymi ludźmi.

Gdyby Narbona po prostu umarł ze starości i odszedł spokojnie podczas snu, jego rodzina nie musiałaby podejmować tylu środków ostrożności. Wierzono bowiem, że starcy, którzy umarli śmiercią naturalną, nie zostawiają po sobie duchów (podobnie martwo urodzone dzieci oraz noworodki, które zmarły, zanim zdążyły zapłakać). Ale Narbona został zabity – zamordowany, a potem oskalpowany. Nawahowie mieli więc pełne prawo obawiać się, że jego duch będzie rozzłoszczony i skłonny do zemsty. Jego gniew oczywiście zwróci się przeciw Amerykanom, ale jako że duchy rzadko oddalają się od hoganów i swojej ziemskiej rodziny, wściekłość ducha Narbony dotknęłaby i najbliższych. Rodzina postanowiła więc nadać szczególną oprawę pogrzebowi patriarchy.

Jedyna pociecha była w tym, że Narbona zginął poza wioską. Gdyby umarł w swoim hoganie, najbliżsi musieliby pochować go pod podłogą albo wyciąć specjalny otwór w północnej ścianie chaty i wynieść przezeń ciało. To jednak nie wszystko. Dom Narbony musiałby potem zostać spalony i zrównany z ziemią. Inaczej stałby się na wieczność *chindi* – nawiedzony[416].

Kiedy Narbona jeszcze żył, niektórzy Nawahowie zastanawiali się, czy aby nie jest czarnoksiężnikiem – takie przynajmniej plotki o nim krążyły[417]. Narbona znalazł się na językach nie z powodu tego, co powiedział albo zrobił w swoim długim życiu, ale dlatego że był jednym z najbogatszych ludzi zamieszkujących całą krainę Nawahów – miał ogromne stada zwierząt, jego pola dawały wspaniałe plony oraz posiadał sporo biżuterii i licznych niewolników. Niektórzy Nawahowie krzywo patrzyli na bogactwo, zazdroszcząc go innym. Szczególnie biedota często plotkowała, że wzbogacić się można tylko za pomocą czarnoksięstwa albo plądrując cudze groby.

Dlatego zamożni przedstawiciele Diné musieli ciągle udowadniać swoim ziomkom, że ich podejrzenia były niesłuszne. Nieustannie dzielili się dobrami, organizowali wymyślne i drogie uroczystości, karmili głodnych[418]. Publiczne oczekiwanie, że bogaci wezmą na siebie społeczne obowiązki, na przykład organizując biesiady i ceremonie uzdrawiające – to podczas tych rytualnych spotkań pulsowało życie polityczne Nawahów – wyrównywało odrobinę poziom życia w społeczeństwie i było czymś w rodzaju podatku.

Zwyczaje Diné zachęcały do szczodrości. Pomagała w tym potrzeba przekonania zazdrosnych sąsiadów, że nie jest się czarnoksiężnikiem.

Nawahowie mieli stare powiedzenie: „Nie staniesz się bogaty, jeśli będziesz dobrze traktował krewnych”[419]. Narbona przez całe życie starał się traktować swoją rozległą rodzinę, jak należało. Musiał też być świadomy, że stąpa po cienkim lodzie. Kiedy zginął, ostrożność musieli zachować jego najbliżsi. To na nich spoczęła społeczna odpowiedzialność za jego bogactwo. Musieli więc dochować wszelkich starań, żeby pochówek odbył się w sposób właściwy.

Ciałem Narbony prawdopodobnie zajęli się niewolnicy[420]. Musieli dokonać wstrętnych czynności, podczas których dotykali skóry zmarłego. Rozebrali go z zakrwawionych szat i spopielili je – wierzono bowiem, że nawet niewielka ilość ludzkiej krwi mogłaby zostać wykorzystana przez jakiegoś czarnoksiężnika do niecnych celów. Następnie umyli ciało i pokryli je pyłkiem kukurydzy.

Ubrali Narbonę w jego najlepsze szaty – te, które nosił podczas rytuału Błogosławieństwa, Yeibichei albo innych ceremonii. Na jego bezwładne ciało wciągnęli lśniące spodnie z jeleniej skóry i skórzaną koszulę. Na plecy i pierś narzucili mu wspaniały wełniany koc w pasy – czerwone jak krew i czarne jak noc. Ramiona Narbony ozdobili brzęczącymi srebrnymi bransoletami, a szyję – pięknym turkusowym naszyjnikiem. W tali przepasali go posrebrzaną szarfą i polerowanymi koralikami oraz muszelkami uchowca.

Potem starannie nakryli oskalpowaną głowę hełmem z piórami. Narbona wyglądał teraz jak pradawny wojownik. Ciało spoczęło na kilku warstwach wełnianych koców, a u jego boku krewni położyli długi łuk i kołczan pełen strzał. Prawdopodobnie obok ciała złożono też przedmioty osobiste Narbony – amulety, piękną ceramikę, fajkę. Następnie zostało ono szczelnie zawinięte w koce, a potem w bizonią skórę, której gęste futro zwrócono do wewnątrz. Tak przygotowany całun wzmocniono sznurem splecionym z końskiego włosia. Związano go na ciele w specjalny wzór, który Nawahowie zwali węzłem śmierci.

Późnym popołudniem obowiązki pogrzebowe przejęli dwaj synowie Narbony. Obaj mieli rozpuszczone włosy, a ciała pokryli szarą farbą z mokrego popiołu. Podnieśli owinięte w całun ciało i ułożyli je na przykrytych siodłami z owczej skóry grzbietach dwóch ulubionych koni Narbony – siwka i palomina. Jeden z synów powoli poprowadził orszak pogrzebowy, a drugi szedł z boku i pilnował, żeby ciało ojca nie zsunęło się na ziemię.

Kiedy doszli do miejsca znanego jako Mesa Rock, poszukali głębokiego pęknięcia w piaskowcu. Nawahowie rzadko chowali swoich zmarłych na sposób europejski. Być może dlatego, że w skalistej ziemi trudno wykopać grób. Nie uznawali też zwyczajów pogrzebowych stosowanych przez wiele plemion zamieszkujących Wielkie Równiny, które zostawiały ciała swoich zmarłych na wysokich drzewach albo platformach, gdzie rozdziobywały je ptaki – dzięki temu dusze zmarłych dosłownie ulatywały. Nawahowie chowali zmarłych dyskretnie, w głębokich jaskiniach i rozpadlinach, których było wiele w ich świecie zbudowanym z czerwonej skały. Ciasno owinięte ciała – jak teraz Narbony – spoczywały na wieczność w naturalnych górskich katakumbach, równie suchych i twardych jak zamieszkujące je szkielety.

Nawahowie nie oznaczali miejsc pochówku nagrobkami, kamiennymi kopczykami ani żadnymi innymi znakami. Nie chcieli, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie leżą ich bliscy. Bali się, że groby mogłyby zostać zbezczeszczone przez łowców skór albo przez wrogów z innych plemion. Diné chowali swoich zmarłych w sekrecie, który potem był zazdrośnie strzeżony.

Synowie Narbony ostrożnie opuścili na linach jego ciało do skalnej rozpadliny, aż zaległo na dnie. Wrzucili też do niej gałęzie jałowca, szałwii i innych krzewów, które następnie przysypali ziemią. Potem zamaskowali grób kamieniami i głazami, starając się, by wyglądał jak najbardziej naturalnie.

Zacierając tropy, poprowadzili palomina i siwka na północ, w kierunku, w którym wkrótce, po porzuceniu doczesnych szczątków, miał wyruszyć duch Narbony. Kiedy doszli do niewysokiego wzgórza, starannie spętali konie, pilnując, żeby ich pyski były zwrócone na północ.

Doczekali do zachodu słońca i zabili oba zwierzęta. Prawdopodobnie poderżnęli im gardła lub zatłukli je pałkami. Taki był pradawny obyczaj Nawahów. Krewni obarczeni pogrzebem musieli uśmiercić konie zmarłego niedaleko miejsca pochówku[421]. Chodziło nie tylko o to, żeby uczcić zmarłego, ale i o to, żeby miał wierzchowce, na których będzie mógł przejechać na tamten świat. Nie ma wątpliwości, że synowie Narbony chcieli, żeby ojciec odszedł w dobrym stylu.

Tyle żywi mogli zrobić dla umarłych. Mogli tylko zadbać o to, żeby ich podróż w zaświaty była łatwiejsza i wygodniejsza. Tamten świat nie był bowiem miejscem zachęcającym. Był samotnią. Dla Nawahów życie po życiu nie niosło żadnej obietnicy[422]. Nie spodziewali się radosnego spotkania ze Stwórcą. Nie oczekiwali wspaniałego białego światła. Nie znali też koncepcji piekła obowiązującej w tradycji judeochrześcijańskiej. Nie wierzyli, że na tamtym świecie czeka na nich piekielny ogień i tortury. Żaden rozgniewany Bóg nie miał sądzić ich czynów dokonanych na tym świecie[46].

Dla nich świat duchów był po prostu ponurym królestwem melancholii, do którego każda dusza musiała się w końcu udać i z którego nie było ucieczki. Nie wierzyli w reinkarnację, nie było szans na powrót. W zaświatach zostawało się na wieczność.

Tamten świat nie był też żadnym teologicznym konstruktem. Był konkretnym miejscem, które znajdowało się gdzieś daleko na Północy i, jak mówiono, głęboko pod ziemią. Wielu Nawahów wierzyło, że jest to królestwo, w którym ich lud niegdyś się narodził – jeden z czterech podziemnych światów, gdzie przyszli na świat i wiedli życie owadów.

Północ była też oczywiście miejscem, z którego Nawahowie naprawdę nadeszli. Choć nie wiedzieli, że ich wielka migracja na Południowy Zachód zaczęła się w Kanadzie (nawet dziś Nawahowie nie chcą uznać tego faktu, choć potwierdzają go badania kulturowe, językowe i genetyczne), opowiadali sobie ponure legendy dotyczące bliskich kuzynów z Północy, z którymi nie widzieli się od wieków. Choć Północ miała w kulturze Nawahów ogromne znaczenie, niepokojem napawała ich myśl, że mogliby mieć tam krewnych.

Niesamowita historia zdarzyła się w 1893 roku, kiedy mała delegacja Diné została zaproszona na Wystawę Światową w Chicago[423]. Nawahowie

spacerowali od stoiska do stoiska, aż natknęli się na intrygujący pawilon z Kanady, który im się spodobał. Jego obsługę stanowili Atapaskowie. Nawahowie byli zdumieni, bo rozumieli prawie każde słowo z rozmowy prowadzonej przez tych dziwnie znajomo wyglądających Kanadyjczyków. Zaczęli z nimi rozmawiać i okazało się, że Atapaskowie są niezadowoleni z ich obecności.

– Rozdzieliliśmy się dawno temu – ostrzegli. – I powiedziano, że jeśli ponownie się spotkamy, świat zostanie zniszczony.

Nawahowie byli równie podenerwowani jak Atapaskowie. I choć pozostali w Chicago przez kolejne trzy tygodnie, nigdy więcej nie odwiedzili atapaskańskiego pawilonu.

Jeśli nawet świat umarłych nie znajdował się w Kanadzie, to na pewno był jednak ulokowany gdzieś na złowieszczej Północy. Żeby do niego dotrzeć, duch Narbony musiał podążać długim, wąskim i krętym szlakiem górskim. Na końcu, w dole, napotkał piaszczystą wydmę. To tam czekali na niego dawno zmarli krewni, którzy wyglądali tak samo jak wtedy, kiedy byli żywi. Zabrali oni Narbonę w dalszą drogę – ich wspólna podróż trwała cztery dni. Kiedy dotarli razem do bramy zaświatów, czuwający w niej strażnicy poddali Narbonę serii prób, by upewnić się, czy rzeczywiście jest martwy.

Synowie Narbony wierzyli, że ich ojciec jest już na właściwej ścieżce.

– Odszedłeś od nas – śpiewali. – Odszedłeś i jesteś sam.

Po zabiciu koni bracia pocięli siodła i wodze[424]. Musieli być pewni, że żaden przypadkowy przechodzień ich nie zabierze i nie będzie używał. Możliwe też, że kierując się starym zwyczajem, zwinęli zniszczone rzędy końskie w kłębek i powiesili je wysoko na pobliskim drzewie.

Zniszczyli też i porozrzucali wśród skał wszystkie narzędzia, które zabrali ze sobą z wioski – siekierę, kije, łopatę. Nawahowie starannie niszczyli wszystko związane z pogrzebem, jakby chcieli o nim zapomnieć. Obowiązywało też ich przeciwne tabu: nie wolno im było niepotrzebnie łamać kijów czy niszczyć zbędnych już przedmiotów – mogłoby to bowiem zostać odebrane jako pozbawione szacunku naśladowanie rytuałów

pogrzebowych. Poza tym głośne dźwięki mogłyby rozdrażnić duchy, które przebywały w okolicy.

Potem synowie Narbony zaczęli biec. Skakali przez krzewy i biegli slalomem, żeby złe duchy nie mogły ich złapać. Przed zmierzchem rozbili obóz, rozpalili małe ognisko i zaczęli wpatrywać się w górski krajobraz. Zostali w jednym miejscu przez cztery noce, poszcząc i śpiewając[425]. W ciągu dnia podziwiali góry i rozmyślali o zmarłym ojcu. Nie wolno im było się odzywać, rozmawiali tylko za pomocą języka migowego.

Musiało im być trudno oddawać się czuwaniu. Wiedzieli przecież, że w tym samym czasie spora ekspedycja obcych – tych samych, którzy zabili ich ojca – przekrada się coraz dalej w głąb krainy Nawahów. Być może dwaj mężczyźni widzieli nawet kłęby pyłu wzniecane przez żołnierzy pułkownika Washingtona wspinających się w stronę gór Chuska. Musieli wręcz płonąć nienawiścią do Amerykanów i walczyć z chęcią chwycenia za broń. Ich ojczyznę najechano, a oni musieli w milczeniu patrzeć na góry.

Wiedzieli jednak, że ceremonii pogrzebowych nie można skracać. Nie rozdzielali się nawet na chwilę, nie chcieli bowiem, żeby jakaś zła siła weszła „pomiędzy nich”. Przed dopełnieniem rytuału byli, jak sądzili, w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ich duchy mogły zostać zakażone, musieli więc wspierać się wzajemnie. Nawet kiedy jeden z nich odchodził za potrzebą, drugi szedł z nim.

Po czterech nocach byli już jednak pewni, że duch ojca dotarł do tamtego świata. Wierzyli, że nie słyszy już ich śpiewów i modlitw. Następnego poranka ruszyli więc w drogę powrotną do domu.

Na północnym brzegu rzeki Tunicha, choć nadal byli daleko od wioski, natknęli się na kamienny kopiec, który musiał poprawić im humor. Zanim zajęli się pochówkiem ojca, poprosili żony, żeby właśnie w tym miejscu schowały im pod kamieniami świeże ubrania. Cieszyli się, że mogą wreszcie zdjąć z siebie te brudne, zbrukane śmiercią.

Obok kopca postawili szałas. Rozpalili też ognisko, w którym rozgrzali rzeczne kamienie. Następnie ułożyli je starannie w małym wgłębieniu w podłodze szałasu. Następnie zaczęli je polewać wodą. Szałas wypełnił się

parą. Bracia spędzili w łaźni dzień i noc. Musieli zmyć z siebie śmierć, musieli się oczyścić.

Rano zakopali stare ubrania i włożyli czyste spodnie oraz koszule, które zostawiły dla nich żony. Oczyszczeni, wypełniwszy nieprzyjemne, ale konieczne zadanie, przekroczyli rzekę i ruszyli w stronę dalekich hoganów, w których kobiety rozpaliły już ogniska i przyrządzały śniadanie. Mogli teraz jeść, pić i spać wśród ludzi. Ich serca, podobnie jak serca wszystkich Nawahów z gór Chuska, odwróciły się od żałoby i zwróciły ku zupełnie innemu uczuciu – ku zemście.

34

Ludzie bez oczu

Kiedy synowie Narbony chowali ojca, ekspedycja pułkownika Washingtona parła na północ i zachód, w stronę dosłownego i metaforycznego serca krainy Nawahów – wspaniałego labiryntu kanionu De Chelly.

Żadnemu Amerykaninowi nie udało się jeszcze spenetrować tej niezwykłej plątaniny skalnych korytarzy. Hiszpańscy eksploratorzy pozostawili po sobie niezbyt pomocne opisy kanionu. Określali go jako „napawającą strachem otchłań” albo „miejsce obłędnie wspaniałe”. Powszechnie wierzono, że Nawahowie wybudowali niegdyś w trzewiach kanionu potężną cytadelę, zamieniając tę naturalną fortecę w Gibraltar Południowego Zachodu. Mówiono, że ich twierdza miała czternaście pięter wysokości i że na górę można było się dostać wyłącznie po drabinach. Uważano, że podporządkowanie sobie Nawahów będzie możliwe jedynie po znalezieniu i zniszczeniu ich twierdzy. Nie udało się to dotąd żadnej armii, która wyruszyła z Santa Fe. Aura miejsca nie do zdobycia otaczająca kanion De Chelly była oczywiście pociągająca. Pułkownik Washington nie mógł jej się oprzeć.

Choć nazwa kanionu brzmi z francuska (wymawia się ją „deszeji”), nie pochodzi ani z tego języka, ani z hiszpańskiego. Wzięła się z nawahijskiego słowa *tsegi* oznaczającego „skalisty kanion” i dlatego przypominała „masło maślane” – kanion Skalistego Kanionu[426]. Przez wieki hiszpańscy eksploratorzy próbowali poradzić sobie z dziwnym brzmieniem nawahijskiego słowa i w różnych dokumentach zapisywali je między innymi jako Chelli, Chelle, Dechilli czy Chegui. W końcu przyjęła się transkrypcja Chelly.

Niezależnie od nazwy kanion – który w zasadzie był siecią przepaści wijących się na odcinku przeszło stu pięćdziesięciu kilometrów – stanowi

jeden z najwspanialszych widoków amerykańskiego Zachodu. Nie jest tak głęboki jak Wielki Kanion, ale w swojej skali i tak rzuca na kolana.

Co więcej, w tej skalistej dziczy żyli ludzie. Ponieważ pomiędzy ścianami kanionu De Chelly nie przelewała się potężna rzeka, a woda płynęła w nim głównie łagodnym podziemnym strumieniem, w otchłaniach kanionu od dawna mieszkali Indianie. Uprawiali ziemię, hodowali zwierzęta i pobudowali domy – bezpiecznie ukryte w tysiącach załamań i skalnych półek. Nawahowie zamieszkali tam około 1600 roku, ale wcześniej, przez przeszło dwa tysiące lat, w kanionie De Chelly żyły inne kultury – także, a może przede wszystkim, Anasazi. Dlatego ten skalny labirynt był pełen ruin ich domostw, z których wiele przezornie usadowiono na wysokich półkach skalnych. W niektórych miejscach pionowe i poryte załamaniami ściany kanionu wznosiły się na blisko trzysta metrów ponad jego osadowe dno. Połyskające na złoto skalne mury były dosłownie wszędzie, także bardzo wysoko, pokryte starannymi rysunkami i malowidłami wykonanymi przez pradawnych mistrzów.

James Simpson drżał z podniecenia na myśl, że będzie pierwszym Amerykaninem, który naniesie na mapę i opisze zakamarki kanionu De Chelly. Zamierzał dokładnie zbadać „to bajkowe *presidio*[47] Nawahów” i je zdemitologizować. Również bracia Kern byli podekscytowani. Wystarczająco długo przebywali w Nowym Meksyku, żeby nasłuchać się o De Chelly. Ponieważ żaden artysta – latynoski czy anglosaski – nie przeniósł jeszcze na płótno jego krajobrazów, nikt w Nowym Meksyku nie miał pojęcia, jak one wyglądają. Po eksploracji wspaniałych ruin w kanionie Chaco Richard Kern zdał sobie sprawę, że ledwie kilka tygodni później będzie mógł zobaczyć jeszcze jeden cud tego świata nietknięty ręką białego człowieka. Kernowie nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie zabiorą się do pracy i piórkiem i węglem oraz farbami olejnymi przeniosą świat kanionu na papier i płótno.

Z kolei pułkownik John Washington zamierzał odnaleźć fortecę Nawahów i – jeśli będzie to konieczne – oblegać ją. Chciał też podpisać traktat pokojowy z tymi wodzami Diné, którzy zgodzą się wziąć udział w zorganizowanej przez niego naradzie. Był bowiem, jak powtarzał,

wysłannikiem pokoju, a nie wojny. Wydaje się, że nie zdawał sobie przy tym sprawy, iż niedawne morderstwo Narbony mogło sprawić, iż Nawahowie nie będą chcieli przywitać Amerykanów z otwartymi ramionami. Najwyraźniej Washington nie zastanawiał się w ogóle nad tym, co się stało. Na pewno zaś nie przejawiał skruchy. W zwięzłym raporcie z ekspedycji, który napisał po powrocie do Santa Fe, nawet wyraził zadowolenie ze śmierci Narbony. Krzyżyk na drogę – zdawał się myśleć. „Wśród wrogów zabitych na polu bitwy – pisał – był Narbona, najważniejszy wódz Nawahów, który przez trzydzieści lat stanowił dopust boży dla mieszkańców Nowego Meksyku".

Pułkownik nie był w stanie pojąć błędu, jaki popełnił. Podczas pierwszego spotkania z Diné jego żołnierze zabili, a potem dopuścili się zbezczeszczenia zwłok najważniejszego z Nawahów, który być może był jedynym wodzem mogącym doprowadzić do pokoju ze Stanami Zjednoczonymi. Washington nie tylko przegapił świetną okazję, on jej nawet nie zauważył. I tak szansa na pokój przeminęła z wiatrem. Świetnie podsumował to pewien Nawaho, na którego ekspedycja pułkownika Washingtona natknęła się podczas marszu w stronę kanionu De Chelly. Przez tłumacza opowiedział on Amerykanom, jak wielkie wzburzenie wśród jego ludu wywołała śmierć Narbony. Utrzymywał, że od ran zadanych podczas tamtego starcia umierał też jego kuzyn.

– Jest godnym pożałowania – mówił ów Indianin – że tak wielkie straty spowodowano z tak błahego powodu jak koń. Straciliśmy naszego największego wojownika[427].

Wraz ze śmiercią Narbony wśród Nawahów do głosu doszli młodzi i pełni gniewu wojownicy – niecierpliwi mężczyźni jak Manuelito, którzy nie chcieli dogadać się z aroganckimi obcymi. Tym samym pokojowa misja Washingtona otworzyła nowy front w starej wojnie. Kolejne walki miały trwać przez dobre dwie dekady. Nawahowie rozszerzyli swoją wojnę z Meksykanami na nowych obcych – *bilagaana*.

Ekspedycja Washingtona, zupełnie nie zdając sobie sprawy z kłopotów, które spowodowała, beztrosko parła w stronę kanionu De Chelly. Jak można było przewidzieć, porucznik Simpson był zmęczony wypaloną i pokrytą suchymi korytami rzecznymi doliną Chuska. Czytając jego dziennik, można

niemal poczuć, jak marszczy z obrzydzeniem nos. „Ta kraina to jedno wielkie gołe, suche pustkowie”, pisał. Wszystko na nim było „martwe i pozbawione życia, a gleba miała przenudny, żółtawy, wypłowiały kolor”. Ta ziemia, uznał porucznik, była „przeklęta”[428].

Simpson nie był wyjątkiem wśród swoich rodaków. Nie tylko on nie potrafił docenić krajobrazu Południowego Zachodu. Pustynny świat był obcy i odrzucający dla wrażliwości Anglosasów. Mimo że brali udział w wyprawie wojskowej, w większości byli z natury rolnikami. Dla nich piękno krajobrazu wiązało się z jego użytecznością. A ta użyteczność z możliwością zagospodarowania. Amerykanie pochodzący ze Wschodu i wrażliwi na piękno krajobrazu czerpali jego ideę z wzorców przekazanych im przez europejskich romantyków i przetworzonych przez malarzy z Hudson River School. Cieszyły ich zielenie i błękity, górskie potoki, kaskady wodospadów, żaglowce, i pokryte kwieciem łąki, na których pasły się tłuste krowy.

W krainie Nawahów natknęli się jednak na krajobraz zupełnie im obcy, niemiłosiernie oślepiający, jakby wypalony w piekle, przeklęty. Jeśli Wielkie Równiny uważano za Wielką Amerykańską Pustynię – jak często oznaczano je na mapach – to królestwo, do którego weszli, było najprawdziwszym piekłem. Jego potęga przytłaczała każdego, nie tylko z uwagi na przestrzeń, ale i na nieskończoność. Wydawało się, że otchłań czasu naśmiewała się tu z maleńkości człowieka. Dobry anglikanin (i późniejszy diakon), jakim był Simpson, który bez cienia wątpliwości wierzył w to, że jego Stwórca powołał do życia świat w ledwie sześć dni i to nie tak dawno temu, nie mógł pojąć logiki tej krainy. Nie mówiąc już o uznaniu jej za piękną. To, co jednak rozumiał, prawdopodobnie napawało go niepokojem.

Nawet na szkicach i litografiach wykonanych przez braci Kern widać dziwaczną niepewność, z jaką Amerykanie przetwarzali widoki krainy Nawahów. Skala i proporcje rysunków były lekko nie na miejscu, perspektywa była zaburzona, a roślinność wyglądała na wschodnią. Choć artyści z Pensylwanii cieszyli się, że mogli utrwalić na papierze i płótnie tę zwariowaną krainę, i choć uważali ją za fascynującą, wcale nie wydawała się im ona wysublimowana. Minęło wiele lat, zanim Amerykanie – pisarze,

fotografowie i malarze – przyznali krainie Nawahów i w ogóle terenom Południowego Zachodu prawo do piękna. Najwyraźniej pokolenie Simpsona uważało, że „płowy” nie jest kolorem, na który zasługuje jakikolwiek kraj. Zupełnie jakby Amerykanom z tych czasów brakowało wrażliwości, by docenić prawdę o krainie Nawahów. Potrafili dostrzegać tylko to, czym ta ziemia nie chciała być – zieloną i malowniczą scenerię krajobrazu rolniczego dominującego w uładzonym świecie, z którego przybyli.

Potem jednak ekspedycja opuściła pustynię i wspięła się na zbocza gór Chuska. A tam, wśród ostrych i wysokich na blisko trzy tysiące metrów szczytów, na porośniętych trawą łąkach, pod pięknymi sosnami żółtymi, daglezjami i topolami osikowymi pasły się jelenie. W jednej chwili kilkuset Amerykanów znalazło się w zupełnie innym świecie, na który Simpson mógł już spojrzeć nieco łaskawszym okiem. Przekonał się, że na pustyni flora i fauna zmieniają się diametralnie wraz z nawet niewielkim wzrostem wysokości nad poziomem morza. Gęstniejąca wilgoć pozwala światu się zazielenić. (Wrażenie, jakie to zjawisko wywołuje, jest tak silne, że nawet dziś botanicy Południowego Zachodu nazywają ekosystemy podobne do tego z gór Chuska „podniebnymi wyspami”).

Członkowie wyprawy rozbili obóz w pobliżu przejrzystego, bystrego potoku, z którego pili „czystą, zdrową wodę”. Nagle zdumieni dostrzegli niedźwiedzia grizli. Porucznik Simpson drżał z zachwytu nad „kolumnami sosen i jodeł, dębami, osikami i wierzbami. Przy strumieniach piął się pełen owoców chmiel. Naszym oczom ukazują się ciągle pyszne kwiaty, wszystkich kolorów i wielkości – zerwaliśmy już ich przeszło dziewięćdziesiąt rodzajów, wśród nich dziką różę”. Simpson był zaskoczony i odetchnął z ulgą, wchodząc do tej „bogatej, pełnej drzew i dobrze nawodnionej krainy, pierwszej, na jaką trafiłem po przekroczeniu granic Stanów Zjednoczonych”[429].

Aby jednak przejść przez góry Chuska, Amerykanie musieli prześliznąć się przez tę samą wąską przełęcz, którą pokonywały w przeszłości wojska hiszpańskie i meksykańskie. Była to tak naprawdę jedyna droga, którą można było zdobyć te imponujące góry. Krętą ścieżkę przez stulecia wydeptywali Nawahowie. Pułkownik Washington określił ją jako „najgroźniejszy wąwóz,

jaki kiedykolwiek widział”. Jego artylerzyści i ich muły męczyli się, przeciskając się z haubicami górskimi przez wąskie przejście. Żołnierze wiedzieli, że w razie ataku będą bezbronni. Szli więc w strachu, wypatrując Nawahów na stromych zboczach. Richard Kern zanotował, że wszyscy „spodziewali się bitwy. […] Prawie w każdym miejscu na przechodniów ktoś mógł zrzucić głazy”[430]. Indianie Pueblo, którzy byli przewodnikami i zwiadowcami Washingtona, tak się bali zasadzki, że – jak zapisał Simpson – „sięgali po swoje leki i wcierali zioła wojownika w okolicę serca, żeby, jak mówili, dodać sobie wielkości i odwagi”. Niekiedy żołnierze rzeczywiście widzieli nawahijskich zwiadowców przypatrujących się im z góry. Ale atak, którego tak się obawiali, nie nastąpił.

Dla Nawahów to miejsce było mocno związane z Narboną, nazywali je w końcu Przełęczą Narbony. To tutaj w 1835 roku wojownicy wielkiego wodza przygotowali udaną zasadzkę na tysiąc meksykańskich najeźdźców.

Porucznik Simpson, choć nie znał nawahijskiej historii tego miejsca, miał wrażenie, że tak charakterystyczny punkt orientacyjny po prostu musi otrzymać jakieś imię. W dzienniku postanowił więc uhonorować swego dowódcę i nazwać wąwóz Przełęczą Washingtona. Starannie zaznaczył też ją na wojskowej mapie, którą rysował dla swoich przełożonych na Wschodzie.

Jeśli nadawanie nowych nazw miejscom jest pierwszym aktem każdego podboju, to Simpson zapisał się w historii. Wymyślona przez niego nazwa przyjęła się i dziś ów głęboki wąwóz w górach Chuska, miejsce, w którym Narbona odniósł jedno ze swoich znaczących zwycięstw, znany jest właśnie jako Washington Pass – Przełęcz Washingtona. Ironia tej nazwy nie uszła uwagi Nawahów.

Simpson nie poprzestał jednak na zmianie jednej nazwy geograficznej. Daleko na południu dostrzegł wspaniały majestatyczny szczyt, który Nawahowie nazywali Turkusową Górą. Przywiódł on Simpsonowi na myśl Zachary’ego Taylora, generała z wojny meksykańskiej, który jako bohater narodowy z łatwością wygrał wybory prezydenckie w 1848 roku i zastąpił w Białym Domu Jamesa Polka. Bez wiedzy „starego skurkowańca”, jak mówiono na generała i prezydenta, wojskowy topograf postanowił nazwać

jego nazwiskiem jeden ze szczytów Dzikiego Zachodu[431]. Od momentu pojawienia się na mapie Simpsona szczyt ten nazywa się więc Mount Taylor.

Już po drugiej stronie gór Chuska ekspedycja pułkownika Washingtona przez kilka dni nie napotkała żadnych Nawahów. Natknęła się jednak na świeże ślady ich obecności. Nawahowie byli prawdziwymi fachowcami w „znikaniu", a ich kraj był pełen świetnych kryjówek – jaskiń, wąwozów i płaskowyżów, na szczyt których można było się dostać, tylko wdrapując się tajemnymi ścieżkami wydeptanymi w piaskowcu. Było oczywiste, że Nawahowie wiedzieli o nadejściu amerykańskich wojsk. I to z tego powodu postanowili się ukryć. Niezwykłe było to, jak świetnie im to się udało. W okolicy nie było nie tylko Indian, ale i ich dobytku. Wojownicy, kobiety, dzieci, a nawet ich stada – wszyscy zniknęli, zostawiając za sobą puste hogany i owcze bobki.

„Po drodze widzieliśmy wiele tropów i innych śladów zwierząt hodowlanych, głównie owiec – zanotował porucznik Simpson. – Szlak był tak wydeptany, jakby był główną trasą przecinającą tę krainę"[432]. Porucznik odczuwał konfuzję. Nawahowie i ich umiejętność życia „w rozproszeniu i ciągłym ruchu" wprawiali go w zdumienie. Nie przyszło mu do głowy, że kiedy Diné dowiedzieli się o śmierci Narbony i nadchodzących Amerykanach, uznali po prostu, że bezpiecznie będzie rozpierzchnąć się po okolicy.

Tylko w nocy żołnierze Washingtona słyszeli albo po prostu wyczuwali obecność niewielkich grup Nawahów. Amerykanie zdawali sobie sprawę z tego, że są pod ciągłą obserwacją. Niektórym włosy stawały dęba na głowie. Kilka razy rano okazywało się, że brakuje jucznych mułów. Nawahowie nie mogli się powstrzymać przed uprowadzaniem zwierząt hodowlanych. A to przecież podobne kradzieże przywiodły do ich kraju amerykańskie wojska. Sam Narbona oddał życie za skradzionego konia. Mimo to pokusa była zbyt wielka. Nawahowie kradli, albo przynajmniej próbowali kraść, nawet tuż pod nosem wartowników.

Nie mieli zresztą z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Mieli za to sporo powodów, żeby czuć niechęć do uzbrojonych obcych, którzy wtargnęli

do ich kraju. Jednym z nich było to, że kiedy ekspedycja Washingtona natrafiała na uprawy i ogrody Nawahów, zawsze je plądrowała. Zwierzęta Amerykanów pasły się na polach kukurydzy, które miały zapewnić Indianom jedzenie na zimę. Simpson wspominał, że pewnej nocy wyprawa rozbiła obóz na środku pola uprawnego, dzięki czemu „zwierzęta miały w bród furażu, a ludzie kolb kukurydzy na ruszt". Z punktu widzenia Nawahów to Amerykanie byli złodziejami.

Po trzech kolejnych dniach marszu ekspedycja pułkownika Washingtona opuściła w końcu zalesione góry i doszła do pokrytego naniesionymi przez wodę osadami wejścia do kanionu De Chelly. Kamienne granice kanionu były tam niewiele wyższe od ludzi, za to jego piaszczyste dno było szerokie, płaskie i miękkie. Jednak patrząc w przód, żołnierze musieli czuć się klaustrofobicznie. Skalne ściany kanionu nieuchronnie zbliżały się do siebie i z każdym zakrętem rosły coraz wyżej.

Woda sączyła się po dnie kanionu. W większości płynęła jednak pod ziemią, przedzierając się przez pokrywające grunt drobne ziarenka piasku. Żołnierze musieli zachować ogromną ostrożność, bo mokry piach potrafił wciągnąć konia aż po kłąb. Zresztą i dziś kanion De Chelly słynie ze swoich ruchomych piasków. Konie, które w nie wpadną, trzeba często ratować wyciągarką – nierzadko przy tym łamiąc im nogi i skazując na śmierć.

W poszukiwaniu wody żołnierze kopali doły o głębokości nawet półtora metra. Czerpana z nich woda gruntowa była brudna i trzeba ją było filtrować przez wiele warstw lnianej tkaniny.

Wchodząc coraz głębiej w czeluścia kanionu, żołnierze zorientowali się, że Nawahowie obserwują ich, kryjąc się za załomami i na półkach skalnych. „Wróg jest wokół nas", zapisał Simpson, ale ten wróg nie chciał się ujawnić. Amerykanie napotykali hogany skupione wokół pól kukurydzy albo brzoskwiniowych sadów. Ich mieszkańców nie było jednak widać. Żeby ich wykurzyć, pułkownik Washington nakazał żołnierzom podpalanie chat napotykanych po drodze – dla Nawahów było to kolejny dowód na to, że rzekoma armia pokoju tak naprawdę kroczy wojenną ścieżką. Dla Simpsona widok płonących hoganów był z kolei podniecający. „Byłem podekscytowany – zanotował – patrząc, jak chaty wroga, jedną po drugiej,

obejmują płomienie i dym, a ich właściciele wypadają w strachu na zewnątrz”[433].

Taktyka ognia jednak spełniła chyba swoją funkcję. Następnego ranka dwóch Nawahów podeszło do obozu Amerykanów, żeby porozmawiać. Jeden z nich, o hiszpańskim imieniu Martinez, nosił ogromny błękitny płaszcz uszyty z koców i przedstawił się, co było dość absurdalne, jako „główny wódz Nawahów”. A przynajmniej nie zdementował tej tytulatury, kiedy przedstawili go tak tłumacze Washingtona. Pułkownik, w charakterystyczny dla siebie sposób, zachowywał się obcesowo.

Washington: Czy on i jego lud pragną pokoju?[434].

Tłumacz: Mówi, że tak.

Washington: Powiedz wodzowi, że jego lud musi oddać skradzione zwierzęta. Tysiąc siedemdziesiąt sztuk owiec, trzydzieści cztery muły, dziewiętnaście koni i siedemdziesiąt osiem sztuk bydła. Kiedy wszyscy wodzowie mogą zebrać się tu i podpisać ze mną traktat?

Tłumacz: Mówi, że pojutrze.

Washington: Powiedz im, że jeśli podpiszą traktat, zachowując złe intencje, zostaną zniszczeni.

Tłumacz: Jego lud wypełni wszystkie obietnice.

Wódz Martinez i jego towarzysz dość emocjonalnie pożegnali się z pułkownikiem, przysięgli, że wrócą za dwa dni, i zniknęli w trzewiach kanionu.

W amerykańskim obozie pojawił się też Meksykanin, braniec Nawahów. Miał trzydzieści lat i – jak wyjaśnił – został porwany siedemnaście lat wcześniej. Jako chłopiec wypasał owce na obrzeżach Santa Fe. Nawahowie nadeszli z zachodu i zagarnęli go razem ze stadem.

Pułkownik Washington spodziewał się, że Meksykanin przyszedł prosić, żeby Amerykanie zabrali go do domu; że cieszył się, iż jego niewola się skończyła. Kilku meksykańskich ochotników towarzyszących żołnierzom rozpoznało go i chcieli, żeby wrócił do rodziny w Santa Fe. Nie dowierzali, byli sfrustrowani, a nawet wściekli, kiedy okazało się, że ów syn Meksyku wcale nie chce wracać. Wolał pozostać dzikusem żyjącym w tej piekielnej krainie. Upierał się, że jego dom jest teraz tutaj. Był inteligentny i pełen

energii. Mówił, wyglądał i ubierał się jak rodzony Nawaho. Jego hiszpański był lekko zardzewiały.

„Nie chciał wracać do domu – pisał skonsternowany Simpson. – Nawet nie zapytał o swoich bliskich żyjących w Santa Fe”.

Odkąd Amerykanie weszli do kanionu, porucznik Simpson gorączkowo rozglądał się po okolicy. Wpatrywał się w odgałęzienia kanionu, pragnąc je zbadać. Negocjacje prowadzone przez pułkownika Washingtona go nie obchodziły. Simpson niespecjalnie interesował się ludźmi, zwłaszcza że otaczały go takie cuda geologii. 8 września, parę dni przed rozmowami pokojowymi z Nawahami, porucznik wyruszył więc na wschód, prowadząc pierwszy amerykański rekonesans kanionu De Chelly. Wziął ze sobą obu Kernów i eskortę złożoną z sześćdziesięciu ludzi.

Po kilku kilometrach ściany kanionu „przybrały niezwykle okazały wygląd – zanotował Simpson. – Prawie idealnie pionowe, wyglądały, jakby uformowała je ręka artysty. […] Były ułożone z taką precyzyjną elegancją jak budynki stojące w Nowym Jorku”[435]. Porucznik był oszołomiony, patrząc na „czerwony amorficzny piaskowiec”, którego ściany piętrzyły się nad jego głową. Bloki z piaskowca były popękane i poprzecinane „niedoskonałymi ściegami stratyfikacji”. Potężne skały za dnia gromadziły ciepło i oddawały je przez długie godziny po zachodzie słońca. Pola kukurydzy uprawianej przez Nawahów i ich brzoskwiniowe sady pławiły się jak w cieplarni. W wielu miejscach złotoróżowy piaskowiec przecinały biegnące w dół żyłki brązowej patyny niczym drapieżne dłonie wiedźmy.

Richard Kern natychmiast wziął się do roboty. Rysunek wykonany przez niego tego dnia, nawet jeśli nie jest urodziwy, to jest pierwszą ilustracją kanionu De Chelly, a także dość sugestywnie oddaje wielkość owego labiryntu zbudowanego przez siły przyrody. Kern był oszołomiony. Cieszył się, że może odkrywać wspaniałe sekrety kanionu i słuchać szeptów o jego strasznych czynach. Opowiadały o nich pogruchotane monolity skalne i stery rozłupanych skał. Przemoc, która uformowała kanion, miała na imię „erozja”. „Wspaniałe skały – zanotował Kern – za każdym zakrętem stawały się coraz bardziej dzikie”[436]. Równie poruszony był Simpson. Jak napisał, był „wielce

uradowany” tą „cudowną wystawą, jaką urządziła przyroda, wystawą, która zawsze będzie wywoływać podziw swoich miłośników i przyciągać uwagę geologów”.

Rekonesans dowodzony przez porucznika Simpsona wjechał na blisko piętnaście kilometrów w głąb kanionu, zbierając po drodze próbki skał, dokonując pomiarów i robiąc szkice. W końcu Simpson zdał sobie sprawę, że dalej jechać nie może, bo pułkownik Washington oczekuje jego powrotu razem z żołnierzami następnego dnia. Porucznik zaczynał podejrzewać, że „plotki o *presidio* Nawahów to zwykły mit”. I choć jego ocena mogła być przedwczesna – w końcu ekspedycja poznała tylko niewielki fragment kanionu mającego przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów długości – to dziś wiemy, że miał rację. „Tajemnica kanionu De Chelly została w końcu najprawdopodobniej rozwiązana – zapewniał. – Twierdzenie, że w kanionie stoi fort, nie ma żadnych podstaw”[437].

Jednocześnie jednak wszędzie naokoło widać było kamienne budowle – nie twierdze, ale robiące wrażenie domy mieszkalne postawione na skalnych klifach wznoszących się wysoko nad dnem kanionu. Wszystkie wydawały się opustoszałe. Rzeczywiście mieszkający w kanionie Nawahowie nigdy do nich nie zaglądali. Nie robili tego z szacunku do duchów tych, którzy kiedyś w owych skalnych domach mieszkali, a także obawiając się szczątków ludzkich, które prawdopodobnie były pochowane w pobliskich szczelinach czy jaskiniach. Porucznik właściwie ocenił, że opustoszałe budowle zostały postawione przez tę samą kulturę, która zbudowała wspaniałe puebla w kanionie Chaco – badane przez niego i Richarda Kerna dwa tygodnie wcześniej. „Na półce skalnej wiszącej pięćdziesiąt stóp ponad dnem kanionu leżały ruiny niewielkiego puebla, które stylem i konstrukcją przypominało te napotkane przez nas w Chaco”.

Simpson błędnie jednak uznał, że współcześni Nawahowie są bezpośrednimi potomkami budowniczych domostw na klifach. Nieuchronnie przywiodło go to do porównywania ruin puebli z prostymi nawahijskimi chatami stojącymi na dnie kanionu. Hogany wydawały się Simpsonowi podłym miejscem do mieszkania. „Jak to możliwe, że ich budownictwo mieszkalne cofnęło się w rozwoju, a jednocześnie ich rękodzieło pozostało na

tym samym poziomie? – zastanawiał się. – To niewiarygodne, że lud mieszkający w tak mizernych lepiankach potrafi wyrabiać najlepsze chyba koce na świecie!”[438].

„Starożytni” zostawili też inne ślady swojej obecności. W ścianach kanionu, obok niewielkich pęknięć i załamań, wykuto wiele wąziutkich przejść. Kilkaset lat wcześniej Indianie Anasazi wspinali się tędy, wykorzystując chwyty na dłonie i palce. Kiedy Nawahowie wprowadzili się do kanionu w XVII wieku, wykorzystali i rozbudowali te przyprawiające o zawrót głowy trasy. Nieprawdopodobne ścieżki pięły się nawet kilkaset metrów w górę aż na sam szczyt kanionu w jego licznych odnogach. W pewnym momencie Simpson dostrzegł parę Nawahów stojących na wysokiej półce skalnej i ze zdumieniem zobaczył ich „schodzących prawie pionową ścianą z gracją i elegancją tancerzy”[439]. Dla porucznika ludzie pnący się po skałach niczym pająki byli „jednym z najwspanialszych widoków w życiu”. Choć Nawahowie trzymali się z dala od Amerykanów, w pewnym momencie naprzeciw żołnierzom wyszła jakaś kobieta. Położyła na ziemi koce. Kiedy je rozwinęła, okazało się, że przyniosła brzoskwinie.

Ściany kanionu były pokryte tysiącami petroglifów i piktogramów, niekiedy w miejscach wręcz niewiarygodnych. Przez tysiąc lat tutejsze skały były wyzwaniem dla pradawnych mistrzów graffiti – pochodzących z kultur Robiących Kosze, Anasazi, Hopi i Nawaho. Ich sztuka była niezwykle różnorodna[440]. Przedstawiała węże, błyskawice, skomplikowane ornamenty, prostokątne i spiralne. Sufity jaskiń indiańscy artyści pokryli gwiazdozbiorami. Ściany oblepiała istna menażeria dziwnych stworzeń – bezgłowych ptaków w locie, garbatych istot grających na flecie, ludzi z owadzimi czułkami na głowach, antylop wyposażonych w szczypce zamiast kopyt, mężczyzn o ptasich głowach, ludzi-żab i ludzi-żółwi. Byli też ludzie naszpikowani strzałami, mężczyźni posiadający ogromne penisy i humanoidalne istoty, z których lewych uszu wychodziły niesamowite narośle. Nie zabrakło również kucających kobiet z nabrzmiałymi genitaliami i podczas porodu. Wszędzie też widniały odciski dłoni. Dawni artyści zostawili je na wszystkich ścianach kanionu. Niektóre miejsca były tak gęsto pokryte graffiti, że wydawało się, jakby ich autorzy toczyli ze sobą burzliwą

rozmowę. Jedno z takich miejsc nazwano później Newspaper Rock, skalną gazetą, bo archeologom wydawało się, że starożytni zbierali się przy niej, żeby dowiedzieć się, co słychać. Niektóre z obrazów zostały wyryte w skale, ale większość na ścianach kanionu namalowano, używając mineralnych barwników zmieszanych z utrwalaczami takimi jak krew, mocz czy białko indyczych jaj.

Gdyby członkowie wyprawy zawędrowali do odnogi znanej dziś jako kanion Del Muerto, czyli śmierci, na jednej z jego ścian natknęliby się na niezwykły obraz[441]. Widać go także dziś – dość realistycznie przedstawia długą kolumnę hiszpańskich kawalerzystów ubranych w szerokie kapelusze, niosących lance oraz muszkiety i jadących na srokatych koniach. Hiszpanie wyglądają złowrogo niczym jeźdźcy apokalipsy. Na pelerynach mają widoczny znak krzyża.

Artyści Diné wydrapali w skale to dzieło sztuki około czterdziestu lat przed przybyciem do kanionu Amerykanów. Uwiecznili w ten sposób bolesny epizod – jedyny w historii przypadek napadu Hiszpanów na ich siedzibę. W styczniu 1805 roku blisko pięciuset hiszpańskich żołnierzy nadjechało z Santa Fe, zabijając dziesiątki nawahijskich wojowników i biorąc jeńców. W kanionie Del Muerto, niedaleko miejsca, w którym potem Nawahowie wyryli naskalny obraz, Hiszpanie usłyszeli przenikliwy kobiecy głos wykrzykujący inwektywy pod ich adresem.

– Oto idą ludzie bez oczu! – krzyczała Indianka. – Musicie być ślepi!

Jeden z żołnierzy wdrapał się na półkę skalną i dostrzegł grupę ponad stu kobiet, dzieci i starców skulonych w niszy ukrytej wysoko w ścianie kanionu (wojownicy, w tym Narbona, walczyli w innym miejscu). Wdrapali się oni do tej kryjówki, korzystając ze starej ścieżki wyrytej w skale. Straszny głos, jak się okazało, należał do starej nawahijskiej kobiety, która kiedyś przebywała w hiszpańskiej niewoli. W ukryciu czuła się na tyle bezpiecznie, że straciła głowę i zaczęła obrzucać wyzwiskami znienawidzonych przez siebie wrogów.

Hiszpański zwiadowca zawołał swoich towarzyszy broni i poinformował ich, że Nawahowie znaleźli się w pułapce. Drugi żołnierz zaczął gramolić się w górę z zamiarem wzięcia jeńców. Kiedy dotarł do jaskini, jedna z kobiet

skoczyła na niego i trzymając go mocno w objęciach, rzuciła się z nim w przepaść. Splecione postaci Hiszpana i nawahijskiej kobiety przeleciały kilkadziesiąt metrów, roztrzaskując się o skały.

Hiszpańscy żołnierze, którzy z dna kanionu nie byli w stanie wypatrzyć Nawahów, ale wiedzieli dokładnie, gdzie się ukrywają, zaczęli ich ostrzeliwać z muszkietów. Kule odbijały się od sufitu jaskini i raniły ludzi. Hiszpanie ostrzeliwali Indian godzinami, zużywając przy tym tysiące kul. W efekcie prawie wszyscy Nawahowie zginęli. Kanonadę przeżył tylko pewien starzec, który potem zdał relację swoim współplemieńcom. Przeszło sto pięćdziesiąt lat później kości poległych wtedy Indian nadal spoczywają na dnie jaskini przykryte skrawkami odzieży i hiszpańskimi kulami.

Dzisiaj to miejsce jest znane jako Jaskinia Masakry. Nawahowie od dawna nazywają ją jednak Miejscem, Z Którego Dwoje Spadło.

Choć pułkownik Washington zdawał się nie mieć o tym pojęcia, traktat pokojowy, który zamierzał podpisać z Nawahami, był farsą. Martinez nie był naczelnym wodzem wszystkich Diné. Jedynie Narbona mógł aspirować do tego tytułu, ale nawet on nigdy na to by się nie zdobył. Nawahowie chcieli po prostu, żeby Amerykanie jak najszybciej opuścili ich ziemie. Jeśli miał im w tym pomóc krzyżyk na kartce papieru, to byli gotowi go na niej narysować.

Czym w końcu był papier? Większość Nawahów nigdy wcześniej go nie widziała. Nie używali atramentu, pióra ani pisma. Nie znali prywatnej własności gruntów, nie mieli konstytucji, spisanych praw, nie znali konceptu władzy delegowanej na polityków. Byli z tak innego świata, że nie mieli pojęcia, o czym ci Amerykanie mówili. Nic nie było w stanie zmienić ich uniwersum. *Bilagaana* w końcu odejdą i powrócą tam, skąd przyszli, a Nawahowie będą znowu najeżdżać nowomeksykańskie osady.

Umówionego dnia Martinez i drugi „wódz” przedstawiający się jako Chapitone przyszli do obozu Amerykanów. Usiedli z pułkownikiem Washingtonem, żeby wysłuchać treści traktatu. Z oddalenia rozmowom przypatrywało się czujnie przeszło stu nawahijskich wojowników. W pogotowiu trzymali zakończone metalowymi grotami lance i pokryte skórą tarcze. Martinez i Chapitone przyprowadzili ze sobą czwórkę młodych

jeńców i sto cztery owce, które, jak przyznali, zostały porwane z nowomeksykańskich osad. Obiecali, że później oddadzą więcej.

Traktat, który chciał im narzucić Washington, był dokumentem pełnym górnolotnych ideałów, pomiędzy które Amerykanie wpletli kilka twardych żądań pod adresem Nawahów. Nie wykraczały one ponad to, czego zwycięzcy mogli oczekiwać od przegranych. Wśród zapisów traktatu znalazły się między innymi te:

> Wszelkie wrogie działania pomiędzy stronami zostaną przerwane. Zapanują pomiędzy nimi wieczny pokój i przyjaźń. […] Rząd wymienionych Stanów [ma] wyłączne prawo do regulowania handlu i stosunków z wymienionymi Nawahami. […] Jeśli jakikolwiek obywatel Stanów Zjednoczonych zamorduje, obrabuje bądź w jakikolwiek inny sposób naruszy prawa Indian Nawaho, zostanie zatrzymany i postawiony przed sądem. […] Wszyscy amerykańscy i meksykańscy jeńcy pozostający w rękach Nawahów, a także skradzione dobra materialne, zostaną zwrócone przez Indian Nawaho najpóźniej do dziewiątego dnia października[442].

Choć traktat brał stronę Meksykanów w liczącym sobie stulecie konflikcie z Nawahami, był w sumie dość rozsądnym dokumentem – miejscami nawet szlachetnym, odnoszącym się do amerykańskiej wiary w republikańskie wartości i rządy prawa.

Niemniej jednak, podobnie jak traktat, który trzy lata wcześniej podpisał Doniphan, również i ten był bezużyteczny. Możemy sobie tylko wyobrazić, że omawiając po kolei każdy jego punkt, strony nie zaczynały się przez to lepiej rozumieć. Ziała bowiem między nimi kulturowa przepaść pogłębiana przez trzy języki, w których rozmawiano: angielski, hiszpański i nawahijski.

Amerykanom słowa Martineza i Chapitone musiały wydawać się frustrująco puste i brakowało im bezpośredniości. Nawahowie ostrożnie obchodzili najważniejsze kwestie, unikali wypowiadania na głos cudzych imion i – co jeszcze dziwniejsze – nie chcieli wskazywać nikogo palcem, wydymając tylko usta w kierunku różnych osób[443]. Ci cudaczni Indianie nie potrafili nawet uścisnąć dłoni swoim rozmówcom. Washington nie mógł wiedzieć dlaczego. Nawahowie bali się, że Amerykanie są czarnoksiężnikami i że jeśli pozwolić im zanadto się zbliżyć, mogliby dmuchnąć Nawahom w twarz trupim pyłem. Nawet dzisiaj wielu Nawahów unika podawania ręki.

Robią wyjątek, jeśli dobrze znają osobę, z którą się witają, ale nawet wtedy ich uścisk dłoni jest na tyle słaby, że dla większości Amerykanów pozostaje zupełnie niesatysfakcjonujący.

Z kolei Nawahom pułkownik Washington musiał wydawać się niesłychanie dziwny. Zaskakiwała jego uderzająca w wysokie tony mowa na temat zmiany zasad kierujących znanym im światem. Nawahowie nie cenili abstrakcji, byli ludźmi niezwykle praktycznymi i woleli zajmować się sprawami przyziemnymi. Takie podejście do świata wyrażało się zresztą w ich języku. Jest on niezwykle precyzyjny, kiedy rozmowa dotyczy przekazania informacji na temat ruchu i zmian w przestrzeni zachodzących pomiędzy fizycznymi obiektami[444]. Kiedy jednak dotyczy koncepcji zachodzących w czasie, nawahijski robi się niezwykle ogólnikowy. Nawaho potrafi w jednym zdaniu opowiedzieć o czymś, co zdarzyło się dzisiaj, by nagle przeskoczyć o tysiące lat w przeszłość do wydarzeń tonących we mgle plemiennej mitologii. Dlatego żądania dotyczące terminów i jurysdykcji, które podnosił pułkownik Washington, a także prawa, które odtąd miało wiązać obie strony, musiały przedstawicielom Diné wydawać się zupełnie obce.

A jednak zgodzili się podpisać traktat. Cóż innego mieli zrobić? Washington nie zostawił im pola do negocjacji. Stojąc pod połyskliwymi skałami w kolorze ochry, które tworzyły kanion De Chelly, nabazgrali swoje iksy na końcu dokumentu, tuż obok słów J.M. WASHINGTON.

James Simpson, który obserwował rozwój wydarzeń, wydawał się zadowolony, że „został zawarty pełnoprawny traktat, na mocy którego poddali się oni jurysdykcji rządu Stanów Zjednoczonych”. Porucznik pozostawał optymistą. Uważał, że Nawahowie rozumieją to, na co się godzą, i że wywiążą się ze swoich zobowiązań. Gdyby jednak tego nie zrobili, traktat również miał się przydać Amerykanom.

Jak cynicznie zauważył Simpson, posługując się przy tym dość znajomo brzmiącym językiem, istnienie traktatu podpisanego przez Nawahów pomogłoby „uspokoić opinię publiczną i stanowiłoby świadectwo dla całego świata, że w razie potrzeby jakiejkolwiek korekty polityki wobec Nawahów,

byłaby to tylko sprawiedliwa odpłata i – w pewnym sensie – ich własna wina”[445].

35

Krew i burza

W październiku 1849 roku, kilka tygodni po powrocie żołnierzy pułkownika Washingtona do koszar w forcie Marcy, handlarz James M. White podróżował z rodziną na zachód Szlakiem Santa Fe. White'owie wyruszyli z Missouri w towarzystwie znanego kupca Francisa Xaviera Aubry'ego. Aubry prowadził do Nowego Meksyku całą karawanę wozów wyładowanych wszelkimi dobrami. Dwieście trzydzieści kilometrów przed Santa Fe White postanowił odłączyć się od powolnego konwoju i razem ze swoją młodą żoną Ann i malutką córeczką pospieszyć naprzód. Wierząc, że minęli już tereny najgroźniejszych Indian, White'owie pożegnali się z Aubrym i resztą karawany niedaleko popularnego przystanku zwanego Point of Rocks. Mieli się ponownie z nimi zobaczyć tydzień później w Santa Fe.

Francis Aubry był na szlaku postacią legendarną[446]. Ten drobny francuskojęzyczny Kanadyjczyk, o wyrazistych czarnych oczach, z gęstą brodą, dorobił się fortuny na handlu z Santa Fe. Znał każdy cal wyboistej drogi prowadzącej do miasta. Nie widział przeciwskazań, żeby jego przyjaciel James White wyprzedził karawanę i samotnie dojechał do Santa Fe. White również był weteranem. Prowadził interesy zarówno w Santa Fe, jak i w El Paso. Z powodu niespodziewanego ataku zimy chciał szybko dowieźć żonę i córeczkę do ciepłego hotelu w Santa Fe. Z rodziną White'ów podróżowała czarna służąca. Aubry przydzielił im też do ochrony powóz z trzema uzbrojonymi mężczyznami.

Francis X. Aubry został amerykańską gwiazdą rok wcześniej, kiedy pobił rekord najszybszego przejazdu szlakiem. We wrześniu 1848 roku pokonał bez postojów blisko tysiąc trzysta kilometrów dzielące Santa Fe od Independence w Missouri. Podróż zajęła mu ledwie pięć dni i szesnaście godzin. W jej trakcie Aubry zajeździł na śmierć kilka koni, ale wygrał za to tysiąc dolarów. Założył się o to, czy uda mu się pobić swój stary rekord

liczący osiem dni. Aubry zdołał znacząco skrócić czas podróży Szlakiem Santa Fe, zmieniając konie co kilkaset kilometrów. Co prawda zdarzało mu się zdrzemnąć w siodle, galopując na wschód, ale przewidział to i przywiązywał się do konia, żeby nie spaść. O dziesiątej wieczorem 17 września 1848 roku wpadł na swoim ostatnim wierzchowcu do Independence. Rozpoznali go klienci pewnego hotelu i ściągnęli z siodła – siodła przesiąkniętego krwią po przeszło pięciu dniach ciągłego ocierania się o ciała człowieka i koni. Aubry był tak wyczerpany, że prawie się nie ruszał. Mówił jedynie szeptem. Zamówił jajka na szynce i zaniesiono go do łóżka[447].

Wieści o jego rekordowo szybkiej podróży znalazły się na pierwszych stronach gazet w całych Stanach Zjednoczonych. Były to ostatnie niewinne lata przed budową transkontynentalnej linii kolejowej. Właśnie ją planowano i wytyczano. Dzięki Aubry'emu Amerykanom zaczęło się jednak wydawać, że pokonanie konno i w karawanie Wielkich Równin jest bułką z masłem. Co prawda organizacja wielkich konwojów ciągle stanowiła ogromne wyzwanie logistyczne, karawany posuwały się niemiłosiernie powoli oraz nie było fizycznej możliwości, żeby woły ciągnące ciężkie powozy szły szybciej. Niemniej jednak galopada Aubry'ego poprawiła wizerunek Szlaku Santa Fe. Wielu romantyków, którzy od dawna marzyli o ruszeniu na Dziki Zachód, nabrało wiatru w żagle. Ledwie kilka lat po podbiciu Południowego Zachodu przez wojska generała Kearny'ego szlak wydawał się dobrze udeptany, a ulokowane wzdłuż niego punkty aprowizacyjne były lepiej zaopatrzone. Nazwy tych punktów i innych miejsc na szlaku zapadły w pamięć amerykańskiej opinii publicznej – Switzlow's Creek [strumień Switzlowa], Council Grove [gaj narad], Diamond Springs [diamentowe źródła], Pawnee Rock [skała Paunisów], Cottonwood Fork [topolowy widelec]. Nowy Meksyk nie zbliżył się fizycznie do Missouri, ale jeśli jeden człowiek był w stanie pokonać taki szmat drogi w niecałe sześć dni, to podróż Szlakiem Santa Fe nie była już tak fantastyczną wyprawą jak kiedyś.

Dzięki wyczynowi Aubry'ego zaczęła ona jednak sprawiać wrażenie łatwej. Zapominano, że szlak ciągle jest niebezpieczny, szczególnie na odcinku zachodnim, gdzie przebiegał przez wypalone słońcem pustkowia, na których brakowało źródeł wody, ale nie brakowało Indian. Co roku osadnicy

byli przez nich mordowani lub porywani i bezlitośnie torturowani. Szlak Santa Fe kipiał od opowieści o indiańskich okrucieństwach. Wiele z nich pachniało mocną przesadą i było częścią lokalnego kolorytu napędzanego przez ignorancję. Niektóre były kompletnie zmyślone. Niemniej jednak ćwiartowanie jeńców – oraz ich zwłok – rzeczywiście było częścią rytuałów wojennych praktykowanych przez liczne plemiona Wielkich Równin. Jak napisał pewien autorytet w tej dziedzinie, Indianie „ćwiartowali dla zasady, mszcząc się za poniesione straty albo przesądnie obawiając się, że potężny wojownik – taki, którego trudno było zabić – może powrócić do świata żywych". Potworności, których plemiona dopuszczały się na Wielkich Równinach, rzadko wynikały z jakiejś szczególnej nienawiści do białych pionierów. Tak naprawdę Indianie zwykle rezerwowali najgorsze tortury dla swoich najdawniejszych wrogów pochodzących z innych plemion.

Niemniej jednak nawet najbardziej inteligentni komentatorzy zabierający głos w tej sprawie zdawali się uważać, że Indianie zasadzają się właśnie na białych. William Davis, zdolny prawnik i sędzia okręgowy, który przez lata mieszkał i podróżował po Nowym Meksyku, porównywał plemiona Wielkich Równin do biblijnych Izmaelitów, „którzy zwracają się przeciwko wszystkim białym mężom, kobietom i dzieciom"[448]. Davis pisał, że „wśród Indian z Równin znajdują się setki jeńców, głównie kobiet i dzieci. Większość z nich spędza wśród plemion resztę życia, prowadząc niewyobrażalnie żałosną egzystencję".

Najbardziej diabelską reputację, jeśli szło o traktowanie jeńców, mieli Komancze. Według historyka Bernarda DeVoto Komancze byli „praktykującymi sadystami", którzy posiadali „wielkie umiejętności w zadawaniu bólu" i dla których „okrucieństwo stanowiło katharsis"[449]. Potwierdzone opisy ich zachowań „zapełniają tysiące stronic i niektóre są nie do przeczytania dla ludzi o normalnych nerwach". Powszechnie mówiono na przykład, że Komancze lubili zabierać swoich jeńców do dalekich zakątków Równin, gdzie przybijali ich palikami do ziemi. Potem rozcinali im brzuchy i metodycznie wybebeszali włóczniami, powoli studiując ich narządy wewnętrzne i znajdując rozkosz w krzykach swoich krwawiących ofiar. Czasem odkrawali kawałek wątroby jeńca i zjadali go na oczach

dotychczasowego właściciela. Lubowali się też w umieszczaniu patyczków pomiędzy powiekami swoich ofiar, przez co zamęczany na śmierć człowiek nie mógł zamknąć oczu. Następnie zostawiali go na pastwę palącego słońca i wilków.

To Komancze w 1841 roku zabili i oskalpowali dwudziestopięcioletniego Roberta Benta, najmłodszego z braci Bentów (jego ciało, odnalezione niedaleko rzeki Arkansas, zostało pochowane na zewnątrz murów fortu Bentów)[450]. Uważano też, że to Komancze zabili Jedediaha Smitha, prawdopodobnie największego eksploratora Dzikiego Zachodu, strzelając mu w plecy i dźgając jego ciało włóczniami. Smith został zamordowany w 1831 roku nad rzeką Cimarron, niedaleko tego właśnie odcinka Szlaku Santa Fe, którym podróżowała teraz rodzina White'ów.

Wszystkie te opowieści krążyły po szlaku i James White niewątpliwie musiał je znać. Mimo to zlekceważył zagrożenie, odłączył się od karawany Aubry'ego i popędził z rodziną w stronę Santa Fe.

W tym samym czasie Kit Carson oddawał się ciężkiej pracy na swoim nowym ranczu nad Rayado Creek, blisko osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Taos, niedaleko Szlaku Santa Fe. Był październik, więc zebrał już kukurydzę, ale na jego polu rosły jeszcze fasola, dynia i papryka nawadniane przez kanał czerpiący zimną górską wodę ze strumienia mającego źródło w górach Sangre de Cristo. Ich północne zbocza przyprószył już śnieg. Na odległych łąkach pasły się krowy, owce, konie i muły. Na terenie posiadłości rozrzucone też były chaotycznie różne szopy, budynki kuźni i rzeźni oraz zagrody z powiązanych cedrowych klepek chroniące nocą stada przed wilkami. W samym środku tego bałaganu stał dom – drewniana chata zbudowana ze słabo oheblowanych sosnowych bali, przypominająca te, które za pacholęcych czasów Carsona stawiano w Missouri. Całość otaczał mur z suszonych cegieł, który miał trzymać Indian na dystans.

W wieku trzydziestu dziewięciu lat Christopher Carson postanowił zostać farmerem. Był już za stary, żeby włóczyć się po szlaku i prowadzić nerwowe życie przewodnika amerykańskich wojsk. Okazało się też, że kocha dyscyplinę potrzebną do pracy na roli. O świcie wyruszał na pole i wracał

z niego o zmierzchu. Karczował, orał i siał. Doglądał kocących się owiec, a także je strzygł. Ciągle coś stawiał i naprawiał, budując od zera swoje nowe królestwo. Kosił trawę, a potem zbierał siano i sprzedawał je agentom rządowym na karmę dla koni. Przerabiał na deski sosnowe bale. Formował i suszył na słońcu gliniane cegły. Uprawiał warzywa i zarzynał zwierzęta. Garbował skóry, podkuwał muły i marynował mięso. Pracy jednak mu nie ubywało.

I choć kochał swój nowy dom, życie osiadłe nie leżało w jego naturze. Od zawsze był wędrowcem – najpierw nastoletnim uciekinierem, potem woźnicą, traperem, myśliwym, zwiadowcą i przewodnikiem, żołnierzem i kurierem transkontynentalnym. Każdy zakręt w jego życiu zawodowym był związany z nieustającą wędrówką przez ziemie Zachodu. Przez te wszystkie lata, odkąd wyjechał z Missouri, nigdzie nie zagrzał miejsca na dłużej.

Teoretycznie rzecz biorąc, posiadał w Taos dom, ale ciągle jakoś nie mógł do niego wrócić. Takie miał już życie – chciał się osiedlić i zajmować się uczciwą pracą, chciał być z żoną i mieć rodzinę, ale ciągle odciągały go od tego wydarzenia z wielkiego świata. Od sześciu lat byli z Josefą małżeństwem, ale przez ten cały czas Kit ledwie kilka miesięcy bez przerwy spędził w domu. Już wcześniej kilkakrotnie próbował założyć farmę niedaleko Taos, ale ciągle coś mu przeszkadzało. Zawsze znikąd pojawiała się jakaś misja o wadze państwowej.

Kiedy latem 1847 roku wyjechał z Waszyngtonu, popędził do Kalifornii, wioząc listy dla generała Kearny’ego. Tam otrzymał rozkaz powrotu do Waszyngtonu, dokąd musiał zawieźć kolejne ważne listy. Godził się ze swoimi rozkazami jak na żołnierza przystało. Niemniej wszystkie te podróże odbiły się na nim i jego życiu rodzinnym. Od wybuchu wojny meksykańskiej pokonał blisko dwadzieścia sześć tysięcy kilometrów – sporą część na grzbiecie muła.

Josefa bardzo źle znosiła jego nieobecność. Oczywiście tęskniła za nim, ale to nie wszystko. Prawdopodobnie tylko mgliście zdawała sobie sprawę z tego, czym się zajmował przez te wszystkie lata. A jako Meksykanka nie miała szczególnych powodów do podzielania jego amerykańskiego patriotyzmu. Jego sława niewiele dla niej znaczyła. W mieszkającej w Taos

rodzinie Jarmillo krążyły opowieści o tym, że Josefa, co było zupełnie zrozumiałe, miała żal do męża o to, że ciągle nie ma go w domu i że zarabia grosze, służąc armii, której głównym celem było wzięcie na smycz jej rodaków.

Dlatego Carson po raz kolejny próbował się ustatkować. Tym razem jednak chciał to zrobić na poważnie. Po raz kolejny został ojcem. Wiosną Josefa, w wieku dwudziestu dwóch lat, urodziła syna, ich pierwsze dziecko. Dali mu na imię Charles, po gubernatorze Charlesie Bencie, szwagrze Josefy, który został zamordowany dwa lata wcześniej. Mały Charles był wcześniakiem. Był słaby i chorowity, więc pierwszego lata Josefa postanowiła zostać z nim w Taos. Kit zabrał się natomiast za urządzanie rancza.

Farmę miał prowadzić na spółkę z innym słynnym traperem z Taos, Lucienem Bonapartem Maxwellem[451]. Pochodzący z Illinois Maxwell był potężnym i smagłym mężczyzną noszącym teatralnego wąsa. Brał udział w pierwszych trzech wyprawach Frémonta i świetnie znał Carsona. Wżenił się w grunty w północno-wschodnim rejonie Nowego Meksyku. Ziemie, którymi zarządzał i które miały wkrótce zostać jego własnością, były większe od stanu Delaware. Olbrzymia działka – o powierzchni blisko sześciuset osiemdziesięciu dziewięciu tysięcy hektarów – uczyniła go największym prywatnym posiadaczem ziemi w Stanach Zjednoczonych. Było to prawdziwe królestwo, jednak zupełnie niezagospodarowane. Obejmowało surowe wyżyny, a także bystre strumienie i rzeki spływające do rozległych, żyznych dolin. Na mapach tych terenów widać było ogromne połacie ziemi ograniczane przez rzeki Cimarron i Purgatory. Opisano je po prostu jako „znakomite pastwiska”. Maxwell był ich panem i władcą. To on zaprosił Carsona oraz kilku innych wybrańców, żeby zagospodarowali parcele znajdujące się w tej dziewiczej dziedzinie.

Ambitny, strojący sobie żarty z kamienną twarzą, bardzo hojny dla gości i ostry dla swoich peonów Maxwell był, wedle jednej z relacji, „panem na włościach”. „Sprawował nad wszystkim ścisłą kontrolę […], a Indianie i Meksykanie robili to, czego od nich wymagał”[452]. Pewien żołnierz, który dobrze znał Maxwella, wspominał jego „gościnność i żelazną wolę”. Był też

urodzonym ranczerem i wytrawnym hodowcą, który ciągle szukał lepszych zwierząt i dbał o jakość ich „krwi”. Pewien współczesny mu pisarz opowiadał, że konie Maxwella, a także jego bydło, drób, a nawet psy „były zawsze tej samej jakości – najlepszej, jakiej mogły być”.

Maxwell i Carson już od jakiegoś czasu planowali zacząć nowe życie na terenach należących do tego pierwszego. Wiosną 1849 roku Carson sięgnął do oszczędności z czasów traperskich i wojskowych. Wyjął z nich tysiąc dolarów, które zainwestował w rozkręcające się przedsięwzięcie Maxwella. Mówi się, że jako pierwsi Angloamerykanie zajęli się na dużą skalę hodowlą bydła na Dzikim Zachodzie. Carson i Maxwell zostali więc pierwszymi amerykańskimi kowbojami (bo latynoscy *vaqueros* od pokoleń przepędzali bydło na tych terenach). Trudno powiedzieć, czy tak było naprawdę, zapewne nie da się tego udowodnić. Nie ulega jednak wątpliwości, że Carson po raz kolejny – jak to zwykł czynić podczas swego długiego i pełnego zakrętów życia – wyprzedził swój czas.

„Wystarczająco długo pędziliśmy wędrowne życie – wspominał później w swoich memuarach. – Nadszedł wreszcie czas, żeby zbudować prawdziwy dom. Starzeliśmy się. Zaczęliśmy budować i doskonaliliśmy się jako rolnicy. Byliśmy na najlepszej drodze do wzbogacenia się”[453].

Dolina Rayado była oszałamiająco pięknym miejscem. Otwarta wyżynna kraina soczystych łąk i jasnego nieba, gdzie góry Sangre de Cristo ustępowały nieskończonym równinom. Po trawiastym pogórzu wędrowały jelenie. Czasem zabłąkał się także niedźwiedź grizli. Zimne strumienie były pełne pstrąga. *Rayado* po hiszpańsku oznacza „prążkowany”. Ponoć nazwa doliny pochodziła od kolorowych znaków, które lokalni Indianie tatuowali sobie na twarzach. Rayado było też imieniem pewnego potężnego wodza Komanczów żyjącego we wczesnych latach XIX wieku.

Ranczo Carsona znajdowało się niedaleko Szlaku Santa Fe, drogi, która przywiodła go na Zachód, kiedy był jeszcze chłopcem. Wcześniej farmerem był ojciec Kita. Uprawiał ziemię na drugim końcu szlaku, w oddalonej o przeszło półtora tysiąca kilometrów na wschód krainie, która wtedy była dopiero karczowana i uchodziła za pogranicze. Teraz syn szedł w ślady ojca.

Podobnie robiły zresztą niezliczone rzesze innych pionierów, którzy zasiedlali Amerykę, powoli migrując na zachód.

Częścią tradycji osadniczej były starcia z Indianami. Najstarsze wspomnienie Carsona z Missouri dotyczy uzbrojonych w muszkiety mężczyzn, którzy pełnili wartę wokół pól uprawnych. Od najmłodszych lat Kit żył w strachu. W tym sensie dolina Rayado niewiele różniła się od Missouri. Była krainą pełną niebezpieczeństw. Na okolicznych wyżynach żyło i polowało kilka plemion wrogich osadnikom. W pobliżu regularnie bywali Jutowie i Apacze, a także Komancze, Czejeni oraz Indianie Kiowa. Poprzedniego lata Maxwell został postrzelony w kark przez grupkę Jutów. Prawdopodobnie umarłby, gdyby nie został natychmiast przewieziony do Santa Fe, gdzie lekarz usunął kulę podczas „wyjątkowo trudnej i bolesnej operacji”[454].

Do podobnych ataków dochodziło regularnie. Dlatego Carson miał się na baczności. Dzień i noc musiał pilnować swoich stad.

Kilka dni po odłączeniu się od karawany Aubry’ego grupa Jamesa White’a obozowała w pobliżu szlaku. Nagle wśród wozów pojawili się wrogo nastawieni Indianie i zażądali „podarków”. White był dumnym i upartym człowiekiem. Poza tym uważał swoją grupę za dobrze uzbrojoną. Odmówił więc opłacenia się indiańskim rekieterom. Oprócz żony, córeczki i służącej towarzyszyło mu trzech mężczyzn – Niemiec noszący nazwisko Lawberger, Amerykanin, którego nazwiska nie znamy, oraz meksykański pomocnik. Indianie odjechali, ale chwilę później wrócili, tyle że w znacznie większej liczbie. Możliwe, że była ich blisko setka. White ponownie odmówił zapłacenia myta. Liczył na to, że Indianie nie będą chcieli walczyć z ludźmi uzbrojonymi w karabiny. W odpowiedzi Indianie zasypali ich strzałami, zabijając towarzyszącego White’om Meksykanina, który upadł prosto w ognisko. Podróżnicy próbowali uciec, ale nie ujechali daleko. Indianie zabili White’a i pozostałych dwóch mężczyzn. Ann White, jej córeczkę i służącą uprowadzili.

Część z napastników została jednak przy powozach. Zgodnie ze starą łupieską taktyką ukryli się w przydrożnych krzakach i czekali na kolejnych

podróżników. Wkrótce nadjechała grupa Meksykanów. Na widok ciał i poprzewracanych wozów zatrzymali się i zaczęli przetrząsać majątek White'ów. Wtedy zaatakowali ich Indianie. Po krótkiej walce Meksykanom jakoś udało się uciec. Na polu bitwy zostawili jednak trafionego strzałą chłopczyka. Myśląc, że dzieciak nie żyje, Indianie szybko pozbierali łupy i odjechali.

Kiedy jednak umilkł tętent koni, chłopiec wstał. Był przestraszony i zdezorientowany, ale trzymał się szlaku. Strzała wbiła mu się głęboko w ramię, ale mógł iść. Tego samego dnia natknął się na niego konwój Amerykanów i zabrał go do Santa Fe. W mieście chłopiec opowiedział władzom, co się stało na szlaku.

Na miejsce napadu pojechali żołnierze. Szybko odnaleźli ciała White'a i jego ochroniarzy. Ich powozy były kompletnie zniszczone. Wszystkie kufry były pootwierane, wokół walały się rzeczy należące do zabitych. Nie było jasne, z jakiego plemienia pochodzili rabusie. Ciała ofiar nie zostały ani oskalpowane, ani poćwiartowane, co było dość nietypowe jak na napad Indian z Wielkich Równin. Żołnierze pochowali zabitych przy drodze i przykryli groby kamieniami, żeby do ciał nie dobrały się wilki. Kiedy o masakrze dowiedział się Francis Aubry, natychmiast rozpuścił wici wśród znajomych przebywających w okolicy. Za odbicie Ann White oferował tysiąc dolarów.

Kit Carson już od jakiegoś czasu czuł, że nadchodzą zmiany. Dziki Zachód, kiedyś nieskończony, kurczył się na jego oczach. Populacja niedźwiedzi grizli żyjąca do niedawna spokojnie w górach nad Taos załamała się w ciągu ledwie kilku lat. Wielkie stada bizonów, które od zawsze wędrowały po Równinach, były dziesiątkowane przez nowych imigrantów – wielu zabijało bizony „dla sportu" i zostawiało na prerii ich gnijące truchła. Osadnicy zajmowali odwieczne tereny łowieckie Indian. Wiele plemion zostało zdziesiątkowanych przez ospę i inne europejskie choroby, na które Indianie nie byli uodpornieni. Nowe domy wyrastały jak grzyby po deszczu, a wąskie błotniste uliczki w Taos i Santa Fe nagle zrobiły się strasznie zatłoczone.

Carson obserwował, jak na Dziki Zachód wkrada się cywilizacja. Ameryka, którą lata temu zostawił za sobą, wreszcie go doganiała.

A właściwie już go dogoniła, także w sensie prawnym. Zachód, który Carson poznał po chłopięcej ucieczce z Missouri, był teraz częścią Stanów Zjednoczonych. Wojna meksykańska oficjalnie skończyła się w lutym 1848 roku wraz z podpisaniem w Guadalupe Hidalgo traktatu pokojowego. USA wchłonęły przeszło trzy miliony kilometrów kwadratowych nowych ziem, a ich terytorium powiększyło się aż o dwie trzecie. Płacąc ledwie piętnaście milionów dolarów, prezydent Polk osiągnął dokładnie to, czego pożądał – stworzył potężny kraj rozciągający się od oceanu do oceanu i zajmujący połowę Ameryki Północnej. Pierwsza wojna poza granicami USA kosztowała Waszyngton trzynaście tysięcy zabitych – i była to największa ofiara, jaką w przeliczeniu na liczbę walczących żołnierzy Amerykanie ponieśli w całej swojej historii[455]. Meksyk stracił o wiele więcej – być może nawet dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy. Ta kosztowna wiktoria była mocno krytykowana przez wielu amerykańskich przywódców, którzy nie mogli się pogodzić z imperialistycznym charakterem wojny z Meksykiem. Jednym z jej krytyków był Ulysses S. Grant, który zresztą w niej walczył. Jego zdaniem wojna z Meksykiem była „jedną z najbardziej niesprawiedliwych, jakie kiedykolwiek silniejszy wypowiedział słabszemu". Nawet reprezentujący Karolinę Południową senator John C. Calhoun, który na początku mocno popierał wojnę (jako sposób na rozszerzenie niewolnictwa), zaczynał mieć wątpliwości.

– Z czynu, który się dokonał, nasz kraj długo nie będzie w stanie się otrząsnąć – mówił na posiedzeniu senatu. – Jeśli w ogóle kiedykolwiek się otrząśnie. Przyszłość została odgrodzona od teraźniejszości grubą kreską, której, jak uważam, nie można zmazać[456].

Nicholas Trist, amerykański negocjator, który targował się w Mexico City w sprawie traktatu, wspominał później, że podczas rozmów z meksykańskimi oficjelami trudno było mu ukrywać poczucie winy z powodu tego, że Meksyk miał stracić prawie połowę terytorium. „Gdyby Meksykanie mogli wtedy zajrzeć w moje serce, ujrzeliby wstyd z powodu bycia Amerykaninem. […] Bo choć nie mogłem wtedy tego wypowiedzieć, każdy porządny

Amerykanin miał powody do wstydu. I ja też byłem zażenowany i szczerze zawstydzony”[457].

Jednocześnie jednak wyglądało na to, że potężna grabież cudzych ziem się opłaciła. Zanim jeszcze wysechł atrament, którym spisano traktat z Guadalupe Hidalgo, w Kalifornii odkryto złoto. Chwilę potem wybuchła prawdziwa gorączka. Jest nawet możliwe, że w jej rozpaleniu brał udział sam Kit Carson. Według niektórych doniesień w 1848 roku podczas swojej drugiej transkontynentalnej podróży do Waszyngtonu wiózł w jukach pierwsze dokumenty mówiące o odkryciu złota w górach Sierra Nevada. Kiedy wieść się rozeszła, Amerykanie (wraz ze swym dobytkiem) prawie natychmiast ruszyli na zachód. W 1849 roku Szlak Santa Fe, Szlak Oregoński, a także ich „dopływy” były zapchane spragnionymi złota emigrantami, którzy porzucili wszystko, żeby dotrzeć do Kalifornii.

Z punktu widzenia Carsona Zachód szybko zapełniał się ludźmi niegodnymi zaufania – wyjętymi spod prawa, szarlatanami, religijnymi fanatykami, oportunistami, intrygantami, ludźmi natchnionymi i marzącymi o budowie swoich imperiów. Jednocześnie jednak Kit nie chciał zauważyć, że katalizatorem najazdu owych hord były wyprawy Frémonta, w których on sam odegrał ważną rolę. W pewnym sensie Carson niezamierzenie pokalał własne gniazdo. Przetarł szlak na Zachód ludziom, którymi głęboko pogardzał.

Wydawało się, że wszystko, czego się dotknął, rozpadało się w pył. Bóbr, na którego zastawiał kiedyś pułapki, był na krawędzi wymarcia. Indian, wśród których tak długo żył, dziesiątkowały zarazy. Dziewicze ziemie, które kochał, zostały odczarowane i pomierzone przez topografów. Coroczne *rendezvous* ludzi gór odeszło w przeszłość. Nawet fort Bentów, który wydawał się wieczny, zniknął z tego świata. W sierpniu 1849 roku brat Charlesa Benta William postanowił zacząć wszystko od nowa. Nie chcąc sprzedać fortu władzom i bojąc się, że jeśli go opuści, zostanie splądrowany i zbezczeszczony przez Indian, wymyślił dlań spektakularny koniec. Porozmieszczał w budynkach beczki z prochem i wysadził w powietrze swój dziwny i wspaniały zamek[458]. Jeśli wcześniej ktokolwiek miał jakieś

wątpliwości, to głośna śmierć fortu Bentów była niczym herold ogłaszający kres pewnej epoki.

W tym nowym świecie Carson był jednak anachronizmem. Dziwadłem na pokaz, które choć uwielbiane, to nie odgrywało żadnej znaczącej roli. Carson rzeczywiście był uwielbiany. Każdy, kto go poznał, był nim oczarowany. Angielski pisarz George Ruxton, który przyjechał na Zachód krótko po zdobyciu go przez Amerykanów, był zaintrygowany pełną sprzeczności naturą Carsona – jego lakonicznym sposobem mówienia z jednej strony, i legendą, jaka go otaczała, z drugiej. Był „niewysokiego wzrostu, o szczupłej budowie ciała – pisał Ruxton – ale o mięśniach ze stali, jasnej karnacji i spokojnych, inteligentnych rysach. Patrząc na Kita, nikt nie mógł podejrzewać, że ten niepozorny człowiek jest diabłem wcielonym, kiedy przychodzi do walki z Indianami”[459].

William Tecumseh Sherman, wtedy młody porucznik, poznał Carsona w Kalifornii. Był podobnie zaskoczony niepozornym wyglądem słynnego przewodnika. „Nie wiem, jak opisać zdumienie, które poczułem na widok tego małego, przygarbionego człowieka o piegowatej twarzy i łagodnych niebieskich oczach. Nic w jego obliczu nie wskazywało na niezwykłą odwagę i śmiałość. Prawie się nie odzywał, a na pytania odpowiadał monosylabami”[460]. Dalej Sherman pisał: „Carson był człowiekiem z gruntu prawym. Indianie o tym wiedzieli i dlatego mu zaufali, zanim zaufali nam [żołnierzom] czy nawet prezydentowi!”.

„Ma głos miękki i łagodny jak kobieta”, pisał z kolei George Brewerton w swoim artykule, który opublikował w „Harper’s Monthly” po wspólnej z Carsonem podróży przez Amerykę. „To bohater, który odznaczył się w setce starć, który prawie stracił życie w dziczy właściwie nieznającej białego człowieka. Prawdziwy dżentelmen Matki Natury”[461]. Innym, szczególnie kobietom, pokora Carsona wydawała się niepokojąco dziwaczna. „Był taki nieokrzesany […], samotny – wspominała Marian Sloan, Amerykanka mieszkająca w Santa Fe. – Miał wielkie serce i był bardzo miły, ale nieśmiałość przesłaniała jego twarz niczym woal”[462].

A jednak większość opinii publicznej potrafiła przejrzeć ów woal. Sława Carsona sięgała daleko. Jego imieniem nazywano rzeki, jeziora, przełęcze, szlaki i górskie szczyty. Niewielki posterunek w Nevadzie, który miał potem zostać stolicą terytorium i stanu, został nazwany Carson City. Rok wcześniej zwodowano Kita Carsona, elegancki parowiec, który miał pływać po Missisipi i Missouri.

Carson przyjmował to całe zamieszanie wokół swojej osoby z obojętnością. Nawet jeśli przyszło mu do głowy, żeby rozmienić swoją sławę na gotówkę, to brakowało mu ku temu talentu. Nie potrafił zadbać o autopromocję. Co czyniło go jeszcze bardziej autentycznym. Zresztą Nowy Meksyk, w którym mieszkał, był strasznie daleko od stolicy. Co gorsza, do lata 1849 roku Carson pozostawał w ciągłym ruchu, więc niewielu dziennikarzy zdołało zamienić z nim słowo. Jego niedostępność tylko zaostrzała apetyt opinii publicznej. Nic tak nie pomaga budowie mitów jak niewiedza.

Powściągliwość Carsona sprawiała, że Amerykanie bez przerwy o nim plotkowali, wymyślając mu cechy, które, jak sądzili, powinien mieć bohater pogranicza. Większość dziennikarzy pracujących dla magazynów i gazet nie mogła się oprzeć chęci dodania mu wzrostu, siły, zuchwałości i elokwencji. Kit spotkał kiedyś na Szlaku Oregońskim mężczyznę z Arkansas, który słyszał, że w pobliżu przebywał słynny traper.

– Słuchaj no, jesteś może tym Kitem Carsonem? – zapytał obcy[463].

A kiedy Carson odpowiedział twierdząco, mężczyzna zlustrował go od stóp do głowy.

– E tam – wydusił wreszcie. – Nie takiego Kita Carsona szukam.

Wkrótce pisarze ówczesnych *pulp fiction*[48] zaczęli bezwstydnie żerować na postaci Carsona. W 1849 roku ukazała się opowieść pod tytułem *Kit Carson. The Prince of the Gold Hunters* [„Kit Carson. Książę poszukiwaczy złota”], pierwsza książeczka, w której Carson był kimś w rodzaju superbohatera. W tej godnej zapomnienia opowieści, którą napisał niejaki Charles Averill, Carson dokonuje rzezi Indian i ratuje dziewczynę porwaną przez dzikusów. Jest bohaterem, który nie przegrał nawet jednej bitwy, człowiekiem „o oczach rysia i niezwykle zimnej krwi”, którego „mało widzą,

ale bardzo dobrze znają”[464]. W opowieści Averilla drobna figura Carsona rozrosła się do ponadludzkich rozmiarów – Kit ma w niej „mocną budowę”, „wielkie ramiona”, „przysłowiową siłę” i pierś potężną jak „forteca”. Prócz innych zwrotów akcji znajdziemy w tej historii pożar prerii, jaskinię pełną skarbów, naiwnego studenta Harvardu, którego na Zachodzie ściga zły wuj, oraz pełną niebezpieczeństw ucieczkę z indiańskiej niewoli, podczas której Carson ratuje z opresji swoich towarzyszy, wcześniej namówiwszy jednego z nich do przepalenia pochodnią więzów na jego, Carsona, nadgarstkach.

Książeczka Averilla kosztowała dwadzieścia pięć centów i należała do gatunku znanego wtedy jako „krew i burza”. Był on prekursorem dzisiejszych westernów. Akcja w tego typu opowieściach toczyła się wartko, pełna była nagłych zwrotów i podnosiła ciśnienie czytelnikom. Choć Averill twierdził, że oparł swoją książeczkę na „faktach autentycznych”, to nie trudził się przecież poszukiwaniem prawdziwych informacji o Kicie Carsonie. Nie pytał go też o zgodę na wykorzystanie jego nazwiska. Jednym z owych „faktów autentycznych” było to, że Carson jakoby sam odkrył złoża złota w Kalifornii. Tak czy inaczej *The Prince of the Gold Hunters* świetnie się sprzedawał i stał się bestsellerem swoich czasów. Co więcej, inni autorzy szybko zaczęli kopiować bajania Averilla. On sam stał się więc prekursorem licznych thrillerów, książeczek dla dam i młodzieży. Przez lata opublikowano ich blisko siedemdziesiąt. Przedstawiały Kita Carsona jako mściciela, obrońcę, samotnego jeźdźca i zabójcę Indian. Wśród nich były takie tytuły jak *Nestor of the Rockies* [Nestor Gór Skalistych], *Happy Warrior* [Szczęśliwy wojownik], *Knight of the Prairie* [Rycerz prerii] czy *Captain of Adventure* [Kapitan Przygoda]. Carson stał się bohaterem książek przygodowych. Ciemna strona literatury zrobiła z niego celebrytę. Dała mu status, jakim mogło się cieszyć niewielu Amerykanów żyjących w XIX wieku.

Można bez przesady powiedzieć, że amerykańska opinia publiczna była spragniona herosa, który ucieleśniałby Boskie Przeznaczenie – ideę, która miała tak wielki wpływ na Stany Zjednoczone. Oczywiście, wielu Amerykanów rozumiało, że zagarnięcie terenów należących do sąsiada było sprzeczne z zasadami, na bazie których zbudowano USA – podobnie zresztą

jak zagarnięcie ziem Indian, którzy żyli na nich od tysiącleci i którzy mimo wszystko mogli być prawdziwymi ludźmi. Niewątpliwie narodową dumę mąciły czasem wątpliwości. Być może opinia publiczna pocieszała się tym, że ten nowy zachodni świat zamieszkują już zwykli Amerykanie. Być może wyolbrzymiała ich osiągnięcia, pomniejszając koszty związane z podbojem tych terenów.

Do tego obrazu świetnie pasował – chyba najlepiej ze wszystkich zdobywców Zachodu – Kit Carson. Szczery, bezpretensjonalny, lekko drwiący podczas rozmów przy ognisku, skrępowany przy damach, o czystych intencjach, bez wahania w działaniu, trochę samotnik. Kit świetnie nadawał się na protoplastę bohaterów Dzikiego Zachodu. Zanim jeszcze pojawiły się kapelusze Stetsona, płoty z drutu kolczastego, zanim opinia publiczna mogła zobaczyć cyrk Buffalo Billa, przed sześciostrzałowymi rewolwerami Colta, z których zrobiono użytek w O. K. Corral[49] – przed tym wszystkim był on. Dżentelmen Matki Natury i oryginalny jeździec znikąd.

Carson miał tego wszystkiego serdecznie dosyć. Bez swojej zgody, za darmo, stawał się karykaturą.

Pod koniec października, jakiś tydzień po znalezieniu ciał uczestników wyprawy White’ów, grupa Indian Pueblo opowiedziała o swojej wizycie w obozie Apaczów Jicarilla położonym na wschód od Szlaku Santa Fe. W obozowisku widzieli białą kobietę z dzieckiem – najwyraźniej jeńców. Kiedy wieści o tym dotarły do Santa Fe, na ratunek wyruszyła z Taos kompania z pierwszego pułku dragonów. Dowodził nią major William Grier. Dragoni mieli odnaleźć Indian i uratować Ann White oraz jej córeczkę. Żołnierze Griera pogalopowali na wschód przez kanion Taos w stronę rancza Carsona w dolinie Rayado. Tam major Grier naradził się z Kitem i namówił go do wzięcia udziału w wyprawie ratunkowej.

Carson świetnie znał Apaczów Jicarilla. Odkąd założył ranczo, miał z nimi kilkakrotnie do czynienia. Jicarilla byli niewielkim szczepem żyjącym w zwartych grupach w północnych rejonach Nowego Meksyku. Jak wszyscy Apacze posługiwali się dialektem języka atapaskańskiego i byli etnicznie oraz językowo spokrewnieni, choć nie zaprzyjaźnieni, z Nawahami. Jicarilla

mieli zresztą niewielu sojuszników. Zagrażały im większe, lepiej uzbrojone i bardziej spójne plemiona prerii – głównie Komancze – które stale urządzały rajdy na ich terytoria.

Apacze Jicarilla żyli więc w cieniu swoich potężnych sąsiadów i w ciągłym poczuciu zagrożenia. Były to dla nich bolesne czasy, które ze strachem wspominali jeszcze lata później.

– Wystarczył jeden niepokojący dźwięk, jeden krzyk, i wszyscy rzucali się do ucieczki – opowiadał jeden z nich. – A kiedy wyruszali na Równiny, bali się zostać na nich dłużej[465].

Hiszpańska nazwa szczepu wzięła się z jego biegłości w wyrobie mocnych słomianych koszy. Słowo *jicarilla* oznacza koszyczek[466]. Świetnie streszczało też wędrowny styl życia tej grupy Apaczów. Jicarilla byli ludem zbieracko-łowieckim. Kręcili się więc w pobliżu strumieni i rzek, szukając jagód, jadalnych korzeni, nasion, orzechów i roślin. Kosze, łatwe i świetnie nadające się do przenoszenia zebranych darów natury, były więc istotną częścią ich kultury. Indianie ci słynęli z wyplatania tak szczelnych koszy, że można było w nich przenosić płyny. W jednym z wojskowych raportów opisano rajd, podczas którego wojownicy Jicarilla porwali z rejonu Rayado stado mlecznych krów. Kiedy Indian dopadli wreszcie żołnierze, okazało się, że porywacze zdążyli krowy wydoić. Na okolicznych drzewach wisiały dziesiątki koszy pełnych mleka. „Najwyraźniej – napisał złośliwie w raporcie pewien oficer – zamierzali z impetem wkroczyć na rynek nabiału”. Jicarilla byli też wprawnymi łowcami. Polowali na jelenie, antylopy i górskie owce, a także na drobniejszą zwierzynę – króliki, wiewiórki i bobry. Czasem wyruszali na prerię, żeby zapolować na bizony. Robili to jednak bardzo ostrożnie, bo podczas każdej takiej wyprawy byli narażeni na atak Komanczów.

Ci ostatni też zresztą musieli przystosować się do nowych warunków życia. Rozbudowa amerykańskich osiedli w Teksasie, zagłada stad bizonów na Wielkich Równinach i powstanie na Terytorium Indiańskim w Oklahomie rezerwatów dla plemion przesiedlonych ze Wschodu wypychały ich stale na zachód. Dlatego w poprzednich latach ataki Komanczów na Apaczów Jicarilla się wzmogły. Dawne granice ulegały zatarciu, a plemiona nomadów,

które tradycyjnie wędrowały po ogromnych obszarach, mimowolnie ścierały się ze sobą jak nigdy przedtem. Ekspansja Stanów Zjednoczonych wywołała reakcję łańcuchową i przyczyniła się do wielkich migracji. Nawet na rozległym Południowym Zachodzie ziemia nie była nieskończona.

Z powodu amerykańskiej okupacji Nowego Meksyku i fali nowych osadników przybywających na jego terytorium tereny łowieckie Apaczów Jicarilla zaczęły się kurczyć. Można więc powiedzieć, że Indianie ci zostali w pewien sposób zmuszeni do podjęcia większej liczby wypraw łupieskich. Jicarilla słabo znali się na uprawie ziemi, a o dziką zwierzynę było coraz trudniej. Mieli więc powody do gniewu. Jednocześnie nowe osady, takie jak te zakładane przez Maxwella i jego wspólników w dolinie Rayado, przyciągały ich jak magnes. Wróg wszedł do ich domu, do miejsca, w którym żyli od wieków. Według opowieści o stworzeniu świata, które powtarzali sobie Jicarilla, ich przodkowie pojawili się na Ziemi niedaleko Rayado – w miejscu, które zwykle określano jako „bliskie środka Ziemi”. Na początku XVIII wieku hiszpańscy żołnierze przeprowadzili rekonesans w La Jicarilla, jak określali dzikie tereny za górami, i przez chwilę planowali budowę *presidio* w tym miejscu. Szybko jednak wycofali się z tego pomysłu, uznając go za niepraktyczny. Tereny te były zbyt oddalone od ich cywilizacji i pełne skorych do bójki Apaczów.

Teraz jednak, półtora wieku później, dumny niegdyś szczep Jicarilla mocno się skurczył. Tworzyło go ledwie około tysiąca osób, a być może nie więcej niż pięćset. Nawahów, ich kuzynów z rodziny atapaskańskiej, było przeszło dwudziestokrotnie więcej. Jicarilla znaleźli się w rozpaczliwym położeniu. W przeciwieństwie do Nawahów, którzy kradli zwierzęta hodowlane, żeby jeszcze bardziej się wzbogacić i podnieść swój status w ryzykownej grze społecznej, oni kradli, żeby przeżyć. Przez trzy lata amerykańskiej okupacji porwali tysiące owiec ranczerom mieszkającym w północno-wschodniej części Nowego Meksyku. Carson wcale się nie zdziwił, kiedy dowiedział się, że to Jicarilla stali za masakrą grupy Jamesa White’a, że porwali jego żonę, córkę i służącą. Przez ostatnie lata dużo się mówiło o zbrodniach popełnianych przez ten szczep Apaczów. Latem 1849 roku pewien amerykański porucznik stacjonujący w Taos donosił, że Jicarilla

„rabują w całych górach”. A pułkownik George A. McGill opisywał ich jako „sprawiających problemy” i „niereformowalnych”. Ponuro przewidywał, że „nie przestaną rabować i mordować naszych obywateli, dopóki nie znikną z powierzchni ziemi”.

Z kolei gubernator Charles Bent opisywał Apaczów Jicarilla jako „wielki kłopot” dla mieszkańców Nowego Meksyku. Byli oni bowiem „gnuśnymi i tchórzliwymi ludźmi”, którzy „żyją głównie z kradzieży popełnianych na Meksykanach, gdyż w zamieszkanej przez nich krainie brakuje zwierzyny, a na Równiny boją się wyruszać z uwagi na zagrożenie ze strony innych Indian”[467].

Pomijając pytanie, czy oceny dokonywane z dalekiej stolicy terytorium były słuszne, dla Kita Carsona Apacze Jicarilla stanowili zupełnie nieabstrakcyjny problem. Żeby przeżyć na swoim nowym ranczu, musiał dogadać się z nimi, a także z całym zmieniającym się gwiazdozbiorem innych plemion mieszkających w okolicy. Jicarilla często wpadali do Rayado na, jak to nazywał Carson i inni ranczerzy, „obiadki”. Przychodzili, oczekując jedzenia, tytoniu, podarków i zawsze było ich tylu, że za ich wizytami kryła się groźba przemocy.

Carson dawał sobie z nimi radę, korzystając z szorstkiej sztuki dyplomacji pogranicza, której nauczył się, jeszcze żyjąc w górach jako traper. Była to sztuka nad wyraz pragmatyczna. Rozumiał wagę ciągłych zebrań i rozmów o pokoju oraz odnawiania sojuszy z różnymi plemionami. Nie wahał się jednak brać brutalnego odwetu na atakujących go bandach. Hołdował kodeksowi błyskawicznej zemsty, którym zresztą posługiwali się prawie wszyscy Indianie. Brak odwetu, jak sądził, zostałby natychmiast zinterpretowany jako słabość i sprowokowałby kolejny, jeszcze bardziej zuchwały napad.

Kilka miesięcy przed opisywanymi zdarzeniami Carsona odwiedził niejaki Charles Pancoast, który wyruszył z Pensylwanii i Szlakiem Santa Fe podróżował na zachód, chcąc dotrzeć do złóż złota w Kalifornii. W swoim pamiętniku żywo sportretował pracę Carsona na ranczu i jego zmagania z Apaczami Jicarilla. Pancoast określił Carsona jako „myśliwego Gór Skalistych”[468] noszącego mokasyny, ubrania ze skóry, włosy do ramion

i chroniące przed ostrym słońcem sombrero. Kit gościnnie potraktował przybysza, ale ten był mimo wszystko zdumiony małomównością i skromnością „słynnego górala”. Pancoast musiał namawiać Carsona, żeby poopowiadał trochę o sobie, i wreszcie udało mu się przebić przez mur, który zbudował wokół siebie Kit. Obaj mężczyźni do później nocy siedzieli przy ognisku, opowiadając sobie historie z Dzikiego Zachodu. Pancoastowi udało się nawet namówić Carsona do pokazania mu kilku blizn.

Kit był bardzo zajęty pracą na ranczu, które, jak uważał Pancoast, „nie było w ogóle stylowe”. Carson opowiadał o trudnościach z upilnowaniem stad przed rajdami Apaczów. Wszystkich odwiedzających go Indian traktował gościnnie i dawał im podarki, ale przynajmniej raz musiał prosić amerykańskich żołnierzy o pomoc w pościgu za rabusiami. „A ponieważ świetnie znał się na indiańskich przesądach – zanotował Pancoast – ukarał ich tak dotkliwie, że uznali, iż w ich własnym interesie będzie utrzymywanie z nim pokojowych stosunków. Zapanowała więc pomiędzy nimi Przyjaźń, a Carson często obdarowywał ich mięsem. Dlatego przestali nachodzić jego stada, choć ciągle okradali sąsiadów”[469].

Pewnego razu Carson przywiózł na ranczo rodzinę, w tym mieszkającą wtedy u Carsonów Teresinę Bent, córkę zamordowanego podczas powstania w Taos gubernatora Charlesa Benta. Lata później wspominała ona przerażające spotkanie z Indianami, jakiego doświadczyła w dolinie Rayado. Carson musiał wyjechać w interesach i kiedy go nie było, na ranczu pojawiła się grupka Indian, prawdopodobnie Apaczów Jicarilla. Żądali żywności. „Wszystkie kobiety wzięły się do gotowania – wspominała Teresina – kawy, mięsa i wszystkiego, co miałyśmy”.

> Wódz Indian zobaczył mnie i chciał mnie kupić, żebym została jego żoną. Nie przestawał proponować za mnie koni – dziesięciu, piętnastu, dwudziestu. Zachowywałyśmy się przyjaźnie, żeby nie rozzłościć Indian. Ale ja byłam przerażona! Wynosiłam z kuchni naczynia z jedzeniem, a po moich policzkach ciekły łzy. Wódz zaczął się śmiać. Uparł się, żeby mnie kupić, a kiedy skończyli jeść, powiedział, że poczekają. Jeśli nie zostanę mu dostarczona do czasu, aż słońce dotknie wzgórza znajdującego się na zachodzie, weźmie mnie siłą. Potem on i jego wojownicy odjechali kawałek i rozbili niedaleko obóz, mając w zasięgu wzroku dom. Zaczęłyśmy robić pociski. Byłyśmy gotowe na oblężenie, ale kiedy słońce dotykało

> wzgórza na zachodzie, do doliny wjechali galopem pan Carson i żołnierze. Kiedy Indianie ich zobaczyli, odjechali. Popłakałem sobie jeszcze, taka byłam szczęśliwa. Nie chciałam odjeżdżać z tym brudnym wodzem.

Major William Grier, Kit Carson i kompania dragonów wyjechali z rancza w Rayado i ruszyli na wschód. Pognali do oddalonego o przeszło sześćdziesiąt kilometrów miejsca, w którym napadnięto na White'ów. Choć od masakry minęło już kilka tygodni, scena zbrodni wyglądała tak, jak ją zostawili Apacze Jicarilla. W swojej podyktowanej autobiografii Carson opowiadał, że zobaczyli „kufry z wyłamanymi wiekami, porozcinane uprzęże i zniszczone wszystko to, czego Indianie nie byli w stanie ze sobą zabrać".

Carson dokładnie zbadał miejsce zbrodni i obejrzał ślady zostawione na prerii, szukając drogi ucieczki napastników. Tropienie śladów było jego największym talentem. Wielu ludzi gór dorównywało mu, albo nawet przerastało go w innych umiejętnościach, ale nikt nie potrafił lepiej od Carsona „czytać znaków", jak mówiono o tropicielach. Ziemia opowiadała swoją historię i jeśli tylko potrafiło się ją przeczytać, można było znaleźć to albo tego, kogo się szukało. Oglądając słabo widoczne tropy odciśnięte w gruncie, badając pojedyncze źdźbła trawy i szukając kulek końskiego łajna zostawionego na drodze, wprawny tropiciel umiał poskładać historię wydarzeń z najmniej widocznych śladów. Szukał niewielkich zagłębień w ziemi, drobinek popiołu przywianych z odległego ogniska, przerwanych pajęczyn, które powinny rozciągać się pomiędzy drzewami. Zauważał odłamane fragmenty kaktusów i sączący się z ich ran sok. Na podstawie jego ilości i lepkości potrafił ocenić, jak dawno roślina została uszkodzona.

Był początek listopada. Niebo było sinoszare, powietrze pachniało nadchodzącą zimą. „Znaki" były prawie niemożliwe do odczytania. Jak oceniał Carson, „nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się tropić tak trudnego śladu". Tropy zostawiono kilka tygodni wcześniej, potem zawiała je lekka śnieżyca. Carson szybko zorientował się jednak, że Jicarilla starali się zmylić ewentualną pogoń, rozdzielając się na mniejsze grupki po zwinięciu obozu każdego ranka. Owe grupki ruszały w różne strony prerii, łącząc się ponownie wieczorem w umówionym miejscu. Poruszanie się w tym istnym labiryncie ścieżek było powolne i męczące. Kilka razy Kit prawie zgubił trop

i przerwał pościg. Pewnego dnia Amerykanie natknęli się na resztki indiańskiego obozu i Carson nabrał nadziei. W trawie leżał fragment kobiecego ubrania.

Kilka dni później pogoń natknęła się na kolejne obozowisko Apaczów, w którym ponownie znaleziono kobiece ubranie. Carson zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem Ann White nie zostawiała śladów celowo. Poprawił mu się humor. Wspominał tę chwilę w typowych dla siebie oszczędnych słowach: „Wstąpiła w nas nowa energia. Mieliśmy ku temu powody".

Przez dwanaście dni Carson i major Grier podążali na wschód z nosami w trawie. Dotarli prawie do granicy z Teksasem. Weszli nawet na przedpola Llano Estacado, wyżynnej krainy porośniętej przez jadłoszyny, jukki i kaktusy. Wtedy Carson wypatrzył na horyzoncie dym. Płonęły ogniska w obozie rozbitym nad brzegiem rzeki Canadian niedaleko szczytu Tucumcari i zamieszkałym przez kilkuset Apaczów Jicarilla, którymi dowodził znany wódz Biały Wilk. Podchodzący do obozu amerykańscy żołnierze rozciągnęli się w długą kolumnę, co spowodowało kłopoty z komunikacją. Carson dał znak do ataku i ruszył ostro w stronę obozu. Grier natomiast powstrzymał swoich ludzi. Uważał, że najlepiej będzie podjechać do Apaczów spokojniej, ugodowo, i zaprosić Białego Wilka do pertraktacji. Kiedy Carson zdał sobie sprawę, że szarżuje obóz Indian samotnie, zwolnił i zawrócił konia.

Ostro zakwestionował decyzję majora Griera. Jeśli Ann White żyła i znajdowała się w obozie, to nie było szans, żeby Jicarilla oddali ją bez walki. Kit uważał, że jedyną szansą na sukces jest uderzenie z zaskoczenia. Błyskawiczny atak miał nie pozwolić Apaczom na stawienie oporu. Teraz jednak mijały cenne minuty. Jicarilla zauważyli Amerykanów i zaczęli w pośpiechu zwijać obóz. Nie było już mowy o zaskoczeniu wroga. Mijały kolejne minuty, a dragoni ciągle nie ruszali z miejsca. Jeden z Indian chwycił karabin, wycelował, strzelił i z odległości kilkuset metrów trafił majora Griera prosto w pierś. Było to wyborowe trafienie, ale strzelec był na tyle daleko, że nie mógł zrobić majorowi wielkiej krzywdy. Kula przebiła ubranie

i pozbawiła Griera oddechu, ale zostawiła na jego ciele tylko niewielkiego siniaka.

Major szybko się otrząsnął i wydał rozkaz do szarży. Jak później narzekał jednak Carson, „rozkaz był spóźniony i atak nie mógł przynieść oczekiwanego rezultatu”[470]. Kiedy dragoni wpadli do obozu Apaczów, Jicarilla uciekali już we wszystkie strony świata. „W obozie został tylko jeden Indianin – relacjonował Carson. – Wskoczył do rzeki i zaczął ostro płynąć. Został zastrzelony”. Dragoni podjęli pościg za uciekającymi Apaczami. Jednego zabili, a kilku wzięli do niewoli.

Wtem Carson zauważył coś niepokojącego. Blisko dwieście metrów od obozu na wypalonej słońcem równinie leżało ciało. Kiedy żołnierze podjechali bliżej, okazało się, że to ciało białej kobiety. Ann White zginęła od jednej strzały, które przebiła jej serce. „Była ciągle ciepła – wspominał Carson. – Zginęła nie dalej jak pięć minut wcześniej”. Wyglądało na to, że zorientowała się, iż nadchodzi odsiecz, i próbowała uciec. Carson: „Najwyraźniej uciekała, kiedy została śmiertelnie trafiona”[471].

Kit uważnie obejrzał twarz zabitej. Było dla niego jasne, że Jicarilla traktowali ją w straszny sposób.

– Była wycieńczona – opowiadał potem znajomemu. – Padła ofiarą wstydliwej choroby i smutek związany z niekończącą się agonią odcisnął się na jej twarzy.

Prawdopodobnie Ann została wielokrotnie zgwałcona przez kolejnych wojowników. Stała się „prostytutką plemienną”, jak określił to Carson. Jeden z żołnierzy zanotował, że Ann White była „kruchą, delikatną i bardzo piękną kobietą, ale po tak wielkich cierpieniach przypominała wrak człowieka. Jej ciało było pokryte sińcami i skaleczeniami. Nawet po śmierci wyglądała żałośnie. Nad jej ciałem przysięgliśmy zemstę jej oprawcom”. Według Carsona Ann White była śmiertelnie chora i nawet gdyby ją uratowano, „nie pożyłaby długo”.

– Jej przyjaciele nie powinni żałować, że oddała życie – mówił Kit. – Jestem pewien, że jest szczęśliwsza w niebie, ze swoim Bogiem, niż byłaby wśród przyjaciół na tej ziemi.

Choć Carson trzymał język za zębami, był wściekły na majora Griera. Był pewien, że „gdyby Indianie zostali zaatakowani od razu”, Ann White mogłaby zostać uratowana. Amerykanie pochowali ją na prerii i zaczęli przetrząsać rzeczy zostawione przez Apaczów. Jeden z żołnierzy znalazł książkę, którą rodzina White’ów najwyraźniej zabrała z Missouri – paperback o przygodach samego… Kita Carsona. Prawie na pewno *Kit Carson: The Prince of the Gold Hunters*, książeczka z gatunku „krew i burza” napisana przez Charlesa Averilla. Carson nie potrafił jej oczywiście przeczytać, ale później, być może przy ognisku, jeden z żołnierzy drażnił go, czytając na głos jej fragmenty. „Kit Carson! Jego wargi, te dumne, zacięte wargi, ściągnęły się niczym skała pomiędzy zaciśniętymi zębami, kiedy trzymał swą oddaną dłoń w płomieniach, przepalając ją do kości”[472].

Po raz pierwszy Kit Carson musiał stawić czoła własnemu mitowi. „To była pierwsza książka tego typu, jaką widziałem. Byłem w nich przedstawiany jako superbohater, który zabijał Indian setkami”[473]. Najpierw musiało go to rozbawić, potem jednak przypomniała mu się Ann White. Wyobraził sobie ją czytającą tę książkę w strasznej niewoli u Jicarilla. W opowiastce Averilla Kit Carson odnajduje uwięzioną dziewczynę i ratuje ją, wypełniając przysięgę złożoną jej zamartwiającym się rodzicom mieszkającym w Bostonie. Obiecał im przecież, że przetrząśnie cały Dziki Zachód, żeby ją znaleźć. Niestety, prawdziwy Kit Carson nie zdołał zapobiec tragedii. Bał się, że jego awatar stworzony przez Averilla mógł dać Ann płonną nadzieję na ratunek. „Pewnie wiedziała, że mieszkam niedaleko. Dlatego wyobrażałem sobie, że kiedy czytała tę książkę, modliła się, żebym przybył i ją uratował”. Córeczki Ann i czarnej służącej nigdy nie odnaleziono.

Morderstwo popełnione na White’ach miało długo prześladować Carsona. „Ogromnie żałowałem, że nie udało się uratować życia takiej damy”, napisał dekadę później[474]. Martwiła go też jego własna legenda. Z naciskiem powtarzał, że książka Charlesa Averilla zawierała same kłamstwa. Kiedy przyjaciel chciał mu podarować swój egzemplarz, Carson zagroził, że „spali to cholerstwo”[475].

Informacja o tragicznym końcu sprawy White'ów została opublikowana w „Santa Fe New Mexican" 28 listopada 1849 roku. „Jak się dowiadujemy – napisała smutno gazeta – żona zmarłego pana J. M. White'a została w końcu uwolniona od cierpień i zastrzelona przez Indian". Redaktorzy gazety upierali się, że jej śmierć oraz „niedawne morderstwo pana White'a" wymagały „strasznego i szybkiego odwetu. Plemiona żyjące wokół tego Terytorium powinny być odseparowane nienaruszalnymi granicami, w ramach których powinny pozostać pod groźbą całkowitej anihilacji. Naiwne jest myślenie, że uda się osiągnąć pokój, podpisując traktaty z tymi Indianami. Trzeba ich zmusić do całkowitego poddania się".

KSIĘGA TRZECIA

Zabójca potworów

Był odważnym Indianinem i zasługiwał na lepszy los. Znalazł się jednak na niewłaściwej ścieżce.

Kit Carson

36

Straszne czasy

Oba konie były gotowe, ich jeźdźcy też. W pustynnym powietrzu wierzchowce rozdymały chrapy i podekscytowane dreptały w miejscu. Zakłady zostały obstawione. Blisko pięciuset Nawahów znalazło się przy zakurzonym torze na zewnątrz amerykańskiego fortu. Rozsiedli się na swoich pięknych kocach, ciesząc się karnawałową atmosferą, krzycząc w podnieceniu i od czasu do czasu obrzucając się inwektywami.

Atmosfera podniecenia narastała przez cały dzień. Od rano Nawahowie ściągali ze swojej kamienistej krainy. Były wśród nich kobiety, dzieci, byli wojownicy. Część przyjechała konno, część przyszła pieszo. Wszyscy byli odświętnie ubrani i przywieźli ze sobą poncza oraz biżuterię, żeby pohandlować z żołnierzami, których czasem nazywali „Ci, Którym Wystaje Coś Z Czoła”[476] – a to z powodu długich daszków sterczących z żołnierskich czapek. Od rana do południa trwał handel wymienny i rozgrywały się igrzyska. Po południu przyszedł czas na główny punkt programu – wyścigi. Nawahowie byli zauroczeni widokiem toru wyścigowego. Byli w końcu nie tylko urodzonymi hazardzistami, ale także należeli do plemienia o wielkich tradycjach jeździeckich. Ściganie się mieli we krwi.

Zbliżała się ostatnia gonitwa tego popołudnia, najważniejsza z nich wszystkich, w której miały wziąć udział najszybsze konie i w której obstawiano najwyższe zakłady. „O olbrzymie stawki, większe niż w poprzednich wyścigach, zakładano się po obu stronach – wspominał jeden ze świadków festynu. – Indianie, niektórzy dosiadający wspaniałych koni, byli ubrani w bogate stroje i wyglądało na to, że wszyscy zjawili się po to, żeby zobaczyć ten wyścig. Żaden nie miał wrogich zamiarów”[477].

Z powodu braku gotówki zakłady przyjmowano w towarach. Indianie zakładali się o swoje niezrównane koce i srebra. Z kolei żołnierze wykładali państwowe dobra wyniesione z wojskowego magazynu – beczki bekonu,

melasy i tym podobne. Żeby nie psuć zabawy, dowódca fortu przymykał na to oko. Większość żołnierzy oglądała wyścigi spod ścian twierdzy, niektórzy jednak zmieszali się z tłumem Indian. Przez cały dzień whisky lała się strumieniami (niektórzy Nawahowie nazywali beczki, które wypełniała, wydrążonymi drzewami[478]). Zarówno żołnierze, jak i Indianie byli pijaniutcy oraz zadowoleni z życia.

Był jasny i rześki dzień wczesną jesienią 1861 roku. Do krainy Indian zawitały już pierwsze ślady ochłodzenia. Krzewy już się zażółciły, a liście osik porastających Mount Taylor, którego potężne ramiona wznosiły się z położonego na wschodzie *malpais*, zaczęły zmieniać kolor. Suche jak papier liście topól szeleściły na wietrze, przywodząc na myśl operę i klaskanie tysiąca dłoni w rękawiczkach.

Fort Fauntleroy był jedną z kilku twierdz, które wojska Stanów Zjednoczonych postawiły w krainie Nawahów. Ich projektanci bazowali głównie na informacjach zebranych podczas ekspedycji Washingtona w 1849 roku i na mapach stworzonych dzięki niej przez wojskowego topografa Jamesa Simpsona. Fort wybudowano w pięknym miejscu zwanym Bear Springs – tym samym tradycyjnym miejscu narad w górach Zuni, w którym w 1846 roku Narbona spotkał się z pułkownikiem Doniphanem, żeby podpisać pierwszy traktat pokojowy pomiędzy Nawahami a Stanami Zjednoczonymi.

Pułkowy lekarz rezydujący w forcie, Irlandczyk F. E. Kavanaugh, posiadał rączego konia pełnej krwi, który – jak się upierał – był nie do pobicia. Wystawiał go do wyścigów całe lato i jego koń żadnego nie przegrał. Przed dzisiejszą gonitwą żołnierze stacjonujący w forcie rozpieszczali i trenowali wierzchowca, by był w jak najlepszej formie. Z wyboru Kavanaugha dosiadać miał go sprężysty i drobny nowomeksykański porucznik Rafael Ortiz, zajadły zawodnik, który w siodle czuł się jak w domu.

Nawahowie też mieli swojego czempiona – nerwowego małego gniadosza, który miał ponoć serce do toru wyścigowego. Plotka głosiła, że nawahijscy szamani odprawili skomplikowane rytuały, które miały zapewnić mu zwycięstwo, między innymi śpiewali nad figurką konia. Dosiadać gniadosza miał nawahijski chłopiec, lekki i obdarzony świetnym refleksem. Nie ma

pewności, do kogo należał wierzchowiec. Według jednej z wersji tej historii był on własnością potężnego Nawaha, którego Amerykanie nazywali Pociskiem. Według innej – gniadosz należał do samego Manuelita, zuchwałego i skłonnego do zaczepki zięcia Narbony, który przez ostatnie lata wyrósł na jednego z wielkich przywódców plemienia[479].

Manuelito był wybitnym koniarzem, starannym hodowcą i człowiekiem wystarczająco bogatym, żeby było go stać na najlepsze konie. Jeśli rzeczywiście tego dnia znalazł się w okolicach fortu i spokojnie oglądał wyścig, w którym brał udział jego koń, był to moment wyjątkowy. Prawdopodobnie Manuelito pragnął też zachować anonimowość. Był bowiem zaprzysiężonym wrogiem Amerykanów. Bez przerwy, w emocjach, kategorycznie, jako jedyny wśród swoich optował za wojną. Nawahowie mówili na niego Hastiin Ch'ilhaajinii – Czarne Zioło. Manuelito nienawidził wszystkiego co amerykańskie. Amerykanie wybili jego stada bydła. Zamordowali jego teścia. Pobudowali forty w kraju należącym do Nawahów. Na każde ich żądanie odpowiadał tą samą niepohamowaną wściekłością.

– Diné – krzyczał – muszą wygnać *bilagaana* ze swojej krainy!

Oczywiście sam próbował tego dokonać. Ostatnie lata – szczególnie 1858, 1859 i 1860 – były wyjątkowo krwawe. Manuelito był zawsze w wirze walki – także o sumienia, kiedy uparcie i nieprzejednanie namawiał współplemieńców, żeby nie cofali się nawet o krok. Traktat Doniphana, zawarty z takim optymizmem i ogromną dawką dobrej woli, okazał się prawie niewart papieru, na którym został spisany. Podobny los czekał zresztą podpisany trzy lata później traktat Washingtona. Stara wojna ciągle się tliła. Swoich zwyczajów nie zmienili ani porywający owce Nawahowie, ani mieszkańcy Nowego Meksyku, którzy ciągle organizowali wypady do krainy Diné, podczas których porywali dzieci i brali łupy.

Niemniej jednak w ciągu ostatnich lat przemoc eskalowała. Wydawało się, że zmieniła się w konflikt o innym stopniu natężenia. Diné mieli teraz wrogów wszędzie. Właściwie stale atakowali ich nie tylko Latynosi, ale także Jutowie, Komancze, Apacze i inni dawni wrogowie oraz nowy przeciwnik – amerykańscy żołnierze, którzy z rosnącym wigorem organizowali ekspedycje

karne na ich terytorium. Nawahom zdawało się, że zostali otoczeni przez wilki. Nawet przyroda zwracała się przeciwko nim. Przez kilka ostatnich lat krainę Nawahów wypalała okropna susza. Ludzie umierali z głodu; żeby przeżyć, sprzedawali dzieci, walczyli ze sobą. Społeczność Diné była przyparta do muru. Szamani stracili swą moc, ich ceremonie okazywały się bezużyteczne. Jako plemię Nawahowie sięgnęli dna. Przez całą dekadę cierpieli z powodu smuty, którą wspominają po dziś dzień. To były „straszne czasy" – *nahondzod*.

Amerykańscy dowódcy w Santa Fe, nawet ci dość ograniczeni, zdawali sobie sprawę z tego, że zadawniona wojna pomiędzy Nawahami a mieszkańcami Nowego Meksyku jest konfliktem zawinionym przez obie strony, w którym obie strony cierpią. Prawie zawsze jednak brali stronę Latynosów, potępiając Nawahów za łamanie traktatów i patrząc w drugą stronę, kiedy latynoskie milicje i rozwydrzone bojówki ruszały na zachód. Według Manuelita głównym problemem byli Amerykanie. Gdyby nie oni, jak sądził, Diné daliby sobie radę w wojnie przeciwko Nowemu Meksykowi. Ale Amerykanie nigdzie się nie wybierali, a rząd Stanów Zjednoczonych uparcie grał swoją rolę sędziego przymykającego oko na zbrodnie Latynosów.

Problem częściowo wynikał z niekonsekwencji. Przez lata Nawahowie nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Z ich punktu widzenia Wielki Biały Ojciec w Waszyngtonie był nieprzewidywalny i kapryśny, bo ciągle wysyłał im nowych emisariuszy. Od rozpoczęcia amerykańskiej okupacji Nowego Meksyku Waszyngton zmieniał wojskowych dowódców w Santa Fe jak rękawiczki – najpierw był Kearny, potem Doniphan, Price, Washington, Beall, Munroe, Sumner, Garland, Bonneville, Fauntleroy i w końcu pułkownik Edward Canby. Każdy z nich podchodził do „problemu nawahijskiego" na swój własny sposób, z mniejszą albo większą wprawą i agresją. Niestety, konflikt z Nawahami był jak starcie z rojem szerszeni, jak węzeł gordyjski. Głównie z tego powodu Dziewiąty Wojskowy Departament, jak nazywano Nowy Meksyk, był uważany za arcytrudną placówkę, za miejsce zesłania i prawdziwe bagno. Konflikty targające tym terytorium wykańczały każdego żołnierza. Wojskowi mieli Nowy Meksyk gdzieś. Tylko

niewielu z nich chciało w nim zostać na tyle długo, żeby mogli naprawdę zacząć rozumieć Nawahów i prawdziwą naturę nowomeksykańskiego konfliktu. Nie mówiąc już o jego rozwiązaniu.

Więc choć dowódcy w Santa Fe zmieniali się jak w kalejdoskopie, do znudzenia powtarzali tę samą śpiewkę. Nawahowie muszą skończyć z sezonowymi wędrówkami i osiąść w jednym miejscu. Muszą zostać prawdziwymi rolnikami. Każdy z nich powinien uprawiać własne poletko. Muszą zamieszkać w miastach, najlepiej przyjąć chrześcijaństwo i nie opuszczać granic swojego kraju. Muszą wybrać jednego wodza, który będzie wypowiadać się w imieniu całego plemienia i będzie odpowiadał za wszystkie jego zbrodnie. Mówiąc krótko, Diné mają przestać być tym, kim są – niejednorodnym związkiem półwędrownych ludów. Zamiast tego powinni stworzyć zwarty naród. Z czasem ton żądań wysuwanych przez amerykańskich dowódców stawał się coraz bardziej nieprzyjemny – Nawahowie mieli zrobić to, co do nich należało, albo wyginąć.

W połowie lat pięćdziesiątych XIX wieku amerykańsko-nawahijskie stosunki przeżyły tylko jeden jaśniejszy moment. Przez kilka lat agentem do spraw indiańskich zajmującym się Nawahami był niezwykle kompetentny Henry Linn Dodge, zdolny młodzieniec pochodzący z Wisconsin, który spędził dużo czasu w Nowym Meksyku[480]. Dodge po raz pierwszy spotkał Diné w 1849 roku podczas ekspedycji Washingtona. Większość agentów do spraw indiańskich uważała swoje posady za niezłe synekury i była do szczętu skorumpowana. Dodge jednak sprawował urząd z wielkim zapałem i był ciekaw indiańskiego świata. Wkrótce po otrzymaniu powołania na stanowisko w 1853 roku, przeniósł swoje biuro w głąb krainy Nawahów. Nauczył się mówić ich językiem. Podróżował bez eskorty wojskowej i zaprzyjaźnił się ze wszystkimi wodzami. Brał udział w nocnych śpiewach i innych ceremoniach. Sprowadził kowali, którzy mieli nauczyć Nawahów obróbki metalu. Kupił im całe wozy motyk i siekier, często płacąc za nie własnymi pieniędzmi. Prowadził do Santa Fe delegacje pokojowe, lobbował za budową szkół i młynów w krainie Diné. Wydaje się, że naprawdę pokochał Nawahów. Wieść głosi, że nawet poślubił jedną z ich kobiet. Nawahowie wołali na niego Czerwone Rękawy i uważali go za przyjaciela.

Był on prawdopodobnie pierwszym *bilagaana*, któremu chciało się ich zrozumieć.

Jego czteroletnia kadencja na stanowisku agenta do spraw indiańskich dowiodła, jak wiele dobrego może zdziałać jeden człowiek. Kiedy Dodge sprawował urząd, Nawahowie zachowywali się pokojowo i niezmiernie rzadko prowadzili rajdy na nowomeksykańskie osady. Przez chwilę zmienił się nawet ton rozmów na ich temat. William Davis, prawnik po Harvardzie i sędzia okręgowy, który próbował swoich sił w literaturze, w 1855 roku wybrał się w podróż z Dodge'em i innymi emisariuszami do krainy Nawahów. Po powrocie spekulował, że Diné mogli być potomkami jednego z zagubionych plemion Izraela (które były modnym tematem antropologicznym w tamtych czasach). „Z wielu względów Nawahowie są najciekawszym plemieniem Indian zamieszkującym nasz kraj – napisał Davis w swoim traktacie o Nowym Meksyku zatytułowanym *El Gringo* i opublikowanym w 1856 roku. – Nowoczesna doktryna »praw kobiet« obowiązuje wśród nich w swoim najbardziej liberalnym wymiarze. Ich kobiety mają prawo brać udział w naradach i czasem przewodzą rozmowom. Nawahowie zachowują się wobec siebie łagodnie i niezmiernie rzadko popełniają morderstwa". Według Davisa byli oni „najwyższą rasą Indian"[481].

Henry Dodge ciągle lobbował w ich sprawie i reputacja Nawahów, uważanych dotąd za niereformowalnych bandytów Południowego Zachodu, się poprawiała. Niemniej jednak w 1857 roku krótki czas przyjaźni gwałtownie się skończył. Czerwone Rękawy, który akurat polował w górach Zuni, został zamordowany przez Apaczów.

Cała praca Dodge'a szybko poszła na marne. Od tej pory stosunki pomiędzy Diné a Amerykanami znalazły się na równi pochyłej.

W 1858 roku iskra zapalna w nowej odsłonie konfliktu pomiędzy *bilagaana* a Nawahami padła na podatny grunt. Manuelito uparł się, żeby wypasać swoje stada bydła na pastwiskach należących do fortu Defiance, amerykańskiej placówki postawionej w głębi czerwonoskalistej krainy Nawahów, na granicy dzisiejszej Arizony i Nowego Meksyku. Od momentu jego budowy Amerykanie planowali, że fort Defiance będzie, jak sama jego

nazwa wskazywała[50], solą w oku Nawahów. Tak rzeczywiście się stało. Kiedy amerykańscy żołnierze polecili Manuelitowi, żeby usunął swoje stada z terenów należących do USA, ten odmówił.

– Ta woda jest moja, a nie wasza – miał powiedzieć. – Podobnie trawa. Nawet ziemia, na której ona rośnie, należy do mnie, a nie do was[482].

29 maja żołnierze wyszli na łąkę i wystrzelali wszystkie zwierzęta Manuelita – w sumie sześćdziesiąt sztuk. Ich truchła zostawili na miejscu.

Miesiąc po rzezi stada do fortu Defiance przyjechał na targ anonimowy Nawaho. Kiedy nikt na niego nie patrzył, postrzelił z łuku nastoletniego czarnego niewolnika należącego do dowódcy fortu majora Williama Brooksa. Nawaho zdołał uciec, a biedny chłopak, który miał na imię Jim, próbował wyciągnąć strzałę. Niestety, jej drzewce się ułamało, a grot został głęboko w ciele. Kilka dni później Jim umarł. Major Brooks wziął fakt jego śmierci do siebie, uznając postrzelenie swojego niewolnika za atak na własną szacowną osobę. Zagroził zagładą Nawahów, jeśli ci nie wydadzą mordercy[483]. Kilka tygodni później Nawahowie przywlekli do fortu ciało mężczyzny, który, jak twierdzili, był zabójcą. Niemniej wojskowy lekarz przeprowadził autopsję trupa i okazało się, że Diné chcieli nabrać majora Brooksa. Ciało należało do Meksykanina, który zresztą ani trochę nie przypominał poszukiwanego Nawaha.

Po tym wydarzeniu konflikt eskalował do pełnowymiarowej wojny. Amerykanie wielokrotnie wyprawiali się na poszukiwania Manuelita. Ten jednak, zupełnie jak słynny Rob Roy[51], umykał pogoni, zawsze wyprzedzając żołnierzy o kilka kroków. A w kwietniu 1860 roku zgromadził tysiąc wojowników i przeprowadził frontalny szturm na fort Defiance[484]. Uzbrojeni głównie w łuki Nawahowie uderzyli przed świtem i zdołali zająć kilka budynków. Zabili jednego żołnierza i spowodowali wiele ofiar cywilnych. Choć prawie udany atak na fort nie zmienił polityki indiańskiej USA, przyniósł Manuelitowi reputację najwybitniejszego wojownika Nawahów.

Wszystkie relacje świadków i fotografie Manuelita dowodzą, że zasługiwał na to miano. Czarne Zioła był wysokim mężczyzną o śniadej cerze i burzy włosów. Musiał swoim wyglądem wzbudzać niepokój, nawet Nawahów.

Miał szerokie ramiona i potężny tors. Jego lewą pierś przecinała blizna po postrzale, który odniósł podczas potyczki z Komanczami. Był bardzo pewny siebie, należał bowiem do prawdziwych *ricos* plemienia. Miał tysiące owiec, gromadę dzieci i co najmniej dwie żony – córkę Narbony i Meksykankę o imieniu Juanita, którą porwał podczas jednego z rajdów. Rzadki zarost na brodzie i rysy twarzy – pełne bruzd i lekko azjatyckie – nadawały mu wygląd tatarskiego chana. Prawie na każdej fotografii przedstawiającej Manuelita widać grymas gniewu. Jego biografia, której naucza się dziś w nawahijskich szkołach, tak przedstawia Czarne Zioła: „Płonął w nim ogień złości, a on nie chciał go ugasić”[485].

Urodził się w 1818 roku w klanie Bit’ahni, Złożonych Ramion. Dorastał w miejscu zwanym Bear’s Ears [Uszy Niedźwiedzia] w dzisiejszym Utah. Ponieważ wychowywał się w pobliżu gór, po których wędrowali Jutowie, był trójjęzyczny – władał biegle nie tylko nawahijskim, ale i językiem Jutów oraz hiszpańskim. Już jako dziecko słynął z beztroskiej i zwracającej uwagę arogancji. Koledzy drażnili go, mówiąc, że choć nie brał jeszcze udziału w żadnej wyprawie wojennej, to głowę nosił wysoko niczym wódz.

– Chodzę jak wódz – odpowiadał na to młody Manuelito – żeby wiedzieć, jak się zachować, kiedy nim zostanę[486].

W 1835 roku, w wieku siedemnastu lat, Czarne Zioła wziął udział w swojej pierwszej bitwie – zorganizowanej przez Narbonę zasadzce na meksykańską armię, która próbowała wedrzeć się na jego ziemie przez Przełęcz Miedzianą. Manuelito namalował na podeszwach mokasynów węże, włożył hełm bojowy i zabrał skórzaną tarczę. Groty strzał namoczył w truciźnie z krwi grzechotnika i soku wyciśniętego z liści jukki. Odznaczył się w bitwie, atakując i zabijając w walce wręcz Indianina Pueblo. Oskalpował swoją ofiarę i potem żuł krwawą skórę, żeby wyssać z niej moc i zostać „prawdziwym wojownikiem”[487]. Tego dnia nadano mu przydomek Hashkeh Naabaah – Gniewny Wojownik.

Ożenił się z córką Narbony i zaczął żyć pośród rodziny wielkiego przywódcy. Jeszcze jako młodzieniec razem z Narboną pojechał do Santa Fe i podpatrywał jego naradę z Meksykanami w Pałacu Gubernatorów. Według

książki *Navajo Biographies* [Biografie Nawahów] podczas pobytu w Santa Fe Manuelito znalazł sobie szczególną rozrywkę.

> Kiedy śmiało wyszedł na dwór, parsknął śmiechem, zauważając, jak płochliwie na jego widok reagują Meksykanie. Widząc młodego, imponującego Nawaha, mimowolnie podskakiwali oni ze strachu. Na twarzy zachowywał powagę i srogość, nigdy nie spoglądając na prawo czy lewo. Czuł, jaki szok wywołuje, i cieszył go strach widoczny w zachowaniu przechodniów. – Ci mali Meksykanie podskakują jak króliki – śmiał się później[488].

Z biegiem lat Manuelito upewniał się, że pokojowe zabiegi jego teścia były błędem, naiwnością i w rezultacie okazały się zabójcze dla plemienia. Był w Bear Springs, kiedy Narbona i Doniphan podpisywali pierwszy traktat. Widział też, jak żołnierze pułkownika Johna Washingtona zabijają Narbonę.

Manuelito nie wierzył, że dyplomacja uratuje Nawahów. Widział, że ich świat robi się coraz mniejszy. Obserwował, jak duma jego ludu kurczy się wraz z kolejnymi ustępstwami. Dlatego przekonywał swoich współplemieńców: koniec z tym.

Niemniej jednak choć Manuelito nie chciał iść na żadne kompromisy, inni Nawahowie zginali karki i próbowali się przystosować do nowych okoliczności. Odwiedzali amerykańskie forty, żeby się napić, pohandlować i zebrać resztki z pańskiego stołu. Niektóre nawahijskie kobiety prostytuowały się z żołnierzami. Mężczyźni z kolei zatrudniali się jako przewodnicy i szpiegowali swój własny lud albo prowadzili wojskowe ekspedycje w głąb swojej ojczyzny. Jeden z niech, wyjątkowo sprytny zdrajca o imieniu Sandoval, zyskał taką szpiegowską sławę, że jego grupa zdobyła przezwisko Diné Ana’aii – Wrodzy Nawahowie. Potomkowie Sandovala noszą je po dziś dzień.

Bez względu na to, co mówił o nich Manuelito, Amerykanie nie byli do szczętu źli. Kiedy panowała susza, dowódcy fortu prowadzili politykę miłosierdzia (czy choćby taką, która zapobiegała napadom), rozdając żywność tym Nawahom, którzy znaleźli się w najgorszym położeniu. Wśród Amerykanów pojawiło się nowe powiedzonko: łatwiej karmić Nawahów, niż z nimi walczyć. Żołnierze rozdawali paczki mięsa i mąki u bram fortu. Dzień

wydawania racji żywnościowych stawał się pretekstem do zabawy. Jeden z kapitanów stacjonujących w forcie Fauntleroy wyczuwał nawet „przyjazne nastawienie” wśród Nawahów. Było zupełnie naturalne, że Nawahowie i żołnierze wpadli w końcu na pomysł zorganizowania wyścigów konnych. Igrzyska były zresztą świetnym symbolem niejakiego odprężenia, które zapanowało we wzajemnych relacjach.

Wreszcie przyszedł moment wielkiego finału[489]. Rafael Ortiz i młody Nawaho ustawili swoje wierzchowce nozdrzami na wysokości linii startu. Zgodnie z tradycją zawodnicy nie startowali po wystrzale z pistoletu. Polegali za to na honorowym układzie, według którego każdy z nich mógł zażądać ponownego startu, jeśli tylko uznał, że jego konkurent ruszył za szybko. Młody Nawaho trzykrotnie wracał na linię startu. Za czwartym razem obaj zawodnicy pognali w końcu przez pylistą równinę. Rozpaleni alkoholem widzowie oszaleli.

Na początku oba konie szły łeb w łeb. Niemniej pod koniec pierwszego furlongu[52] coś dziwnego zaczęło się dziać z nawahijskim gniadoszem. Młody jeździec nie mógł sobie z nim poradzić. Wkrótce wierzchowiec zboczył z toru wyścigowego. Ortiz jechał za to dalej i jego koń bez trudu galopem przekroczył metę.

Nawahowie nie mogli uwierzyć w to, co się stało. Szybko wpadli w gniew. Obejrzeli konia i orzekli, że doszło do oszustwa. Twierdzili, że ktoś naciął wodze. Sabotaż! Zażądali powtórki biegu.

Żołnierze odmówili. Upierali się, że koń doktora Kavanaugha wygrał uczciwie. Zebrali wygrane z zakładów i wzięli wierzchowca na paradę, chełpiąc się sukcesem. „Zwycięska procesja krzyczała na wiwat – wspominał jeden ze świadków. – Biły bębny, grały piszczałki i skrzypce”[490].

Nadąsani Nawahowie wrócili do swojego obozu. Po raz kolejny od chwili przybycia Amerykanów czuli się przez nich oszukani. Zastanawiali się, co teraz. Większość opowiadała się za tym, żeby po prostu wracać do domu. Grupka wojowników o gorących głowach, pijanych podobnie jak amerykańscy żołnierze, miała jednak inny pomysł. Złapali za broń i ruszyli na fort. Zaczęli dobijać się do strażnicy, wykrzykując obelgi i groźby oraz żądając zwrotu zakładów.

Z bramy wyjrzały lufy karabinów i powietrze rozdarła salwa. Okolice fortu Fauntleroy opanował chaos.

Oficerem dowodzącym w twierdzy był pułkownik Manuel Chaves, legendarny zabójca Indian, którego podziwiano w całym Nowym Meksyku i który sławą ustępował tylko Kitowi Carsonowi[491]. Niski, krępy i porywczy Chaves miał pomarszczoną twarz i oliwkową cerę. Nosił gęstą brodę, a kruczoczarne włosy opadały mu na ramiona. Miał wówczas czterdzieści trzy lata. Pochodził z szacownej rodziny, która należała do pierwszej fali kolonizatorów Nowego Meksyku. Jego hiszpańscy i portugalscy przodkowie okryli się sławą podczas najważniejszych bitew rekonkwisty, które doprowadziły do wygnania Maurów z Półwyspu Iberyjskiego.

Manuel Antonio Chaves urodził się pod Albuquerque i dorastał w niewielkiej pogranicznej osadzie Cebolleta leżącej na skraju krainy Nawahów (tej samej, którą wojownicy Narbony prawie zrównali z ziemią podczas oblężenia w 1804 roku). W młodości Chaves dużo podróżował – do St. Louis, Nowego Orleanu, Nowego Jorku, a nawet na Kubę. Większość życia jednak spędził na nowomeksykańskim pograniczu. Hodował owce, od czasu do czasu wyprawiając się po indiańskich niewolników, a kiedy było trzeba, dowodził lokalną milicją. W okolicy go uwielbiano i uważano za wielkiego syna ojczyzny. Dzięki odwadze wykazywanej na polu walki zyskał sobie przydomek Mały Lew.

Mały Lew zdobył sławę głównie podczas walk z Nawahami. Prawie przez całe życie mieszkał w cieniu świata Diné. Wychował się wśród dokonywanych przez nich potworności, a potem ścigał ich i zabijał. Potrafił wymienić imiona przeszło dwustu krewnych (a byli pośród nich jego dwaj bracia), którzy zginęli z rąk Indian, głównie Nawahów.

Chaves sam cudem uszedł śmierci podczas starcia z Nawahami[492]. Miał ledwie szesnaście lat, a wytrwałość, którą się wtedy wykazał, rozsławiła jego nazwisko w całym Nowym Meksyku. Był rok 1834. Jego starszy brat Jose postanowił poprowadzić rajd po niewolników w głąb krainy Nawahów. Zabrał ze sobą młodego Manuela, żeby przeszedł coś w rodzaju inicjacji. Mężczyźni z Cebollety od dawna korzystali z bliskości krainy Nawahów

i wyspecjalizowali się w urządzaniu łowów na niewolników, ci bowiem przynosili lokalnej gospodarce sporo zysków. Po opuszczeniu Cebollety mała, ale dobrze uzbrojona wycieczka wdarła się głęboko na tereny Dinétah, wypatrując bezbronnych kobiet i dzieci. Ku swojemu zdziwieniu i zniechęceniu Meksykanie nie spotkali ani jednego Nawaha. Ich kraina była kompletnie pusta. Kiedy jednak Meksykanie doszli do krawędzi kanionu De Chelly i spojrzeli w dół, tajemnica się wyjaśniła. Na jego piaszczystym dnie zgromadziły się tysiące Indian. Wszyscy brali udział w ceremonialnym tańcu, a swoje konie zostawili w ciasnej odnodze wąwozu. Jose Chaves przestraszył się tak potężnego zgromadzenia Nawahów i postanowił nie kusić losu. Wydał rozkaz odwrotu.

Było już jednak za późno. Meksykanów dostrzegli nawahijscy zwiadowcy. Wkrótce Chaves i spółka mieli na karku setki wojowników. Ci zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z *Nakais*, jak nazywali mieszkańców Nowego Meksyku, którzy przybyli do ich kraju zapolować na niewolników. Wojownicy ruszyli więc na obcych z furią. Na grupkę Chavesa posypał się grad strzał. Młody Manuel walczył dzielnie, aż w końcu stracił przytomność. Nawahowie, zadowoleni z zabicia wszystkich Meksykanów, przerwali ogień. Pozbierali zdobyczną broń oraz zapasy i zjechali na dno kanionu.

Kilka godzin później Manuel się ocknął. Odniósł siedem ran od strzał. Był zdezorientowany i potwornie osłabiony z powodu upływu krwi. Wszyscy jego towarzysze, w tym starszy brat, nie żyli. Manuel rozważył swoje opcje. Znajdował się w odległości przeszło trzystu kilometrów od domu, na wrogim terytorium, którego nie znał. Miał ledwie szesnaście lat i był bez broni. Niedaleko obozowały tysiące Nawahów. Wykopał płytki grób, pochował brata i ruszył na południe i południowy wschód. Po dwóch dniach wędrówki dotarł do znanego sobie Bear Springs – miejsca, w którym potem Amerykanie wybudują fort Fauntleroy. W chłodnej wodzie obmył rany i zaspokoił głód, wysysając kwaśne liście opuncji. Cierpiał z powodu gorączki, jego rany spuchły i były rozpalone. Jakoś jednak zebrał siły i ruszył w dalszą drogę. Czasem tracił przytomność i miał halucynacje. Jednak kilka dni później dotarł do Cebollety. Był jedynym ocalałym uczestnikiem wyprawy.

W 1847 roku Manuel Chaves odznaczył się w walkach u boku Amerykanów podczas kontrofensywy przeciw powstańcom z Taos. Był ochotnikiem, nie zaciągnął się do regularnej armii. To, że w 1861 roku dowodził tak ważnym fortem należącym do USA, było czymś niezwykłym. Amerykańskie siły lądowe zwykle nie powierzały takich zadań miejscowym ochotnikom, nawet tym bardzo zasłużonym. Czasy były jednak szczególne. Na Wschodzie wybuchła wojna secesyjna. Wieści o bitwie o fort Sumter[53] dotarły do Nowego Meksyku i żołnierze ruszali falami na wschód. Ich miejsce zajmowali nowomeksykańscy ochotnicy. Tylko dzięki nim forty takie jak Fauntleroy mogły dalej pełnić swoją funkcję.

Choć latynoscy rekruci na jakiś czas rozwiązali problem niedoboru ludzi w amerykańskiej armii na Zachodzie, to jednak ich obecność w kraju Nawahów miała też niemiłe konsekwencje. Zawodowi amerykańscy żołnierze mogli przynajmniej powoływać się na swą neutralność w meksykańsko-indiańskich sporach. Latynosi neutralni nie byli na pewno. Ich nienawiść wobec Nawahów była czysto osobista, trwała od pokoleń i wydawała się niemożliwa do zagaszenia. Nawahowie, rzecz jasna, odwzajemniali te uczucia. Obie nacje zapiekły się w odwiecznej wrogości, podobnie jak Żydzi i Arabowie czy Turcy i Grecy. Meksykanie i Nawahowie rozlali wspólnie tyle krwi, że ich wzajemne stosunki zakrzepły w nienawiści.

Umundurowanie Latynosów w barwy amerykańskiej armii, uzbrojenie ich w porządne karabiny i rozmieszczenie ich w tak newralgicznych punktach jak fort Fauntleroy przypominało trochę stawianie lisa na straży kurnika. I musiało się skończyć źle. Szczególnie kiedy dowództwo powierzono tak nieustępliwemu bojownikowi, jakim był Manuel Chaves.

Salwa karabinowa odbiła się echem od fortu oraz od odległych ścian kanionu. Zaalarmowani żołnierze chwycili za broń i rozbiegli się po twierdzy. Tak sytuację opisywał jeden ze świadków: „Wszyscy rzucili się do broni. Nie było mowy o uformowaniu szyku. Każdy z żołnierzy ruszył tam, gdzie uznał za stosowne”. Po forcie rozeszła się wiadomość, że pijany Nawaho próbował wedrzeć się do środka i poszarpał się z wartownikiem. Ten miał zastrzelić Indianina.

Na polach wokół twierdzy setki Nawahów w pośpiechu szukały kryjówek. Nie ma pewności, kto wydał rozkaz, być może sprawy potoczyły się spontanicznie – żołnierze zaczęli strzelać w tłum, przeszywając kulami plecy uciekających Indian. Nawahowie padali martwi, po dwóch lub trzech. Żołnierze ruszyli za uciekinierami i tych, których dogonili, dźgali bagnetami – nie tylko uzbrojonych mężczyzn, ale również kobiety i dzieci.

Wydarzenie to opisał potem inny naoczny świadek kapitan Nicholas Hodt, który zeznawał przez komitetem śledczym powołanym przez Kongres USA:

> Zobaczyłem, że jeden z żołnierzy morduje dwójkę małych dzieci i kobietę. Natychmiast zawołałem, żeby przestał. Spojrzał na mnie, ale nie wykonał rozkazu. Pobiegłem tak szybko, jak mogłem, ale nie zdążyłem uratować dwójki niewinnych dzieci przed śmiercią, a *squaw* przed poważnym zranieniem[493].

Zbulwersowany Hodt zatrzymał żołnierza i zarekwirował jego ładownice.

W końcu pułkownik Manuel Chaves opanował chaos i narzucił wojsku swoje dowództwo. Zamiast jednak powstrzymać żołnierzy, podniósł ich agresję na wyższy poziom. Rozkazał sierżantowi artylerii wyprowadzić haubice górskie i otworzyć ogień do Nawahów. Jak zeznał kapitan Hodt, sierżant „udawał, że nie rozumie rozkazu, bo uznał go za bezprawny. Oficer dyżurny jednak zwymyślał go i zastraszył, więc żeby nie wpaść w kłopoty, sierżant musiał zrobić, co mu kazano”.

Pociski szrapnelowe pękały nad tłumem Indian, katapultując metalowe kulki we wszystkie strony. Nawahowie krzyczeli z bólu i przerażenia. Bezładnie biegali po dolinie rozciągającej się pod fortem. To była perfekcyjna rzeź. Na przedpolu twierdzy leżało we krwi przeszło dwudziestu martwych Indian – w tym wiele kobiet i dzieci. Dziesiątki odniosły rany. Do niewoli wzięto stu dwunastu Nawahów.

Kiedy zamilkły haubice, kapitan Hodt zaprowadził żołnierza, który zamordował nawahijskie dzieci, do porucznika Ortiza (prawdopodobnie tego samego, który ścigał się na koniu należącym do doktora Kavanaugha). Opisał to, co się stało, wyjaśniając, dlaczego zatrzymał i rozbroił żołnierza. Na to Ortiz wyciągnął swój własny pistolet i wycelował go w Hodta.

– Oddaj żołnierzowi broń, albo cię zastrzelę, do diabła[494]!

Hodt posłuchał, ale poszedł na skargę do pułkownika Chavesa. Mały Lew nie wziął jednak jego strony. Uznał, że porucznik Ortiz „zachował się perfekcyjnie”, a żołnierzowi, który zabił dwójkę dzieci, należy się „order”, a nie sąd. Sprawa została zamknięta.

Później Chaves, który prawdopodobnie zorientował się, że sytuacja nieco wymknęła się mu spod kontroli, zaczął zacierać ślady. W meldunku, który wysłał do przełożonych w Santa Fe, napisał „z wielkim żalem”, że niczym niesprowokowani Nawahowie „zaatakowali wartownika na służbie”, a jego ludzie po prostu działali w obronie własnej. Przez całe tygodnie Chaves nie pozwalał też mieszkańcom fortu wysyłać listów: próbował zatuszować wydarzenie, a przynajmniej nie dopuścić do szerzenia się pogłosek.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że doszło do masakry. Kiedy władze w Santa Fe dowiedziały się o niej, zawiesiły dowództwo Chavesa w forcie Fauntleroy. Przez chwilę pułkownik siedział nawet w areszcie domowym w Albuquerque, gdzie oczekiwał na proces przed sądem wojskowym. Wstępne śledztwo prowadził Kit Carson. Wydawało się jednak, że armia była mniej zaaferowana możliwym udziałem Chavesa w masowym morderstwie Nawahów, a bardziej interesowała się tym, że pozwolił swoim żołnierzom obstawiać wyścigi mieniem państwowym.

Do procesu nigdy nie doszło. Na horyzoncie zbierała się burza wojny secesyjnej. Szeregi wojsk lądowych USA się rozpadały. Wydarzenia w forcie Fauntleroy odeszły w zapomnienie. Armia wycofała zarzuty, a Mały Lew zdołał przypochlebić się opinii publicznej: przecież poczynił zdecydowane kroki przeciwko Nawahom, którzy „zaatakowali” amerykańskich żołnierzy.

W forcie Fauntleroy nie rozegrano więcej wyścigów. Chwiejne zawieszenie broni było skończone. Masakra mocno zaważyła na Diné, utwierdzając ich w poczuciu, że nadeszły „straszne czasy”. Od tej chwili plemię coraz chętniej zaczęło się poddawać głosowi Manuelita. Co gorsza, amerykańscy żołnierze porzucali swoje posterunki na pograniczu, żeby przygotować się do odparcia sił konfederackich, które podobno wyruszyły już z San Antonio. Amerykanie byli niewątpliwie rozdarci. Coś odciągało ich od krainy Nawahów. Manuelito i inni wojownicy dostrzegli światełko w tunelu.

– Teraz – nawoływali – musimy w nich uderzyć.

37

Ludzie spod samotnej gwiazdy

Był lodowaty niedzielny poranek w lutym 1862 roku. Dwie armie przyglądały się sobie z przeciwnych krańców przyszłego pola bitwy[495]. Silny wiatr dmuchał deszczem ze śniegiem. Brzegi Rio Grande pokryła mokra breja. Porastające je topole jęczały jak duchy.

Kawaleria konfederatów podeszła na odległość blisko trzech kilometrów od fortu Craig i stanęła. Jej dowódca, generał brygady Henry Hopkins Sibley, obserwował przedpole przez lornetkę. Widział pasiasto-gwiaździstą flagę USA powiewającą na wietrze, widział świeże okopy i wały obronne podziurawione furtkami. Patrzył na dym bijący ze stanowisk nowomeksykańskich ochotników, które rozpościerały się na brunatnej trawie wokół twierdzy niczym poszarpana tarcza. Fort Craig został wzniesiony w tym miejscu, żeby odpierać ataki Indian. Nazwano go imieniem amerykańskiego oficera, który z ginął w pościgu za dezerterami. Tworzyło go kilkadziesiąt budynków z suszonej cegły postawionych na zachodnim brzegu Rio Grande, około dwustu trzydziestu kilometrów na południe od Santa Fe. Wokół tej glinianej cytadeli okopało się blisko cztery tysiące żołnierzy. Wzdłuż grubych murów rozstawili potężne działa. Ich lufy spoglądały na południe, w stronę rebeliantów.

Zniesmaczony Sibley odłożył lornetkę. Generał źle się czuł tego dnia i ledwie siedział w siodle. Cierpiał na niezdiagnozowaną chorobę – „kolkę”, jak niektórzy spekulowali – którą na pewno wzmagała jego dobrze znaną słabość do kieliszka (żołnierze nazywali swojego generała Chodzącą Beczką Whisky). Jeden z oficerów konfederatów ponuro żartował, że generał Sibley „nie potrzebuje rozpoznania” przed bitwą. „Wystarcza mu, że wie, że czeka na niego spora ilość whisky”. Jeden z kolegów Sibleya napisał później, że jego „miłość do alkoholu przewyższała tę do ojczyzny, kraju i Boga”.

Generał spędzał dużo czasu w swoim powozie, niedysponowany i niezdolny do podejmowania żadnych decyzji.

Nie można go było jednak lekceważyć. Sibley potrafił dowodzić. Był ambitny, skłonny do romantycznego podejścia do życia i uroczo niefrasobliwy, kiedy akurat się nie upił. Ukończył West Point i był prawdziwym weteranem sił zbrojnych USA. Odznaczył się zarówno w wojnie meksykańskiej, jak w starciach na zachodnim pograniczu. Był również znanym wynalazcą. Opatentował projekt stożkowatego namiotu – zwanego namiotem polowym Sibleya – który oparł na budowie tipi używanych przez Indian Wielkich Równin. Z jego pomysłu korzystały zarówno wojska Unii, jak i Konfederacji. Być może Sibley, jak wielu wynalazców, trochę bujał w obłokach i nie radził sobie z różnymi drobiazgami związanymi ze szczegółowym planowaniem. Nie bez powodu jeden z jego podwładnych uważał, że generał „był zbyt skłonny do pozostawiania spraw swojemu biegowi”[496].

Sibley jednak świetnie znał Nowy Meksyk. Przed przyłączeniem się do konfederatów stacjonował w Taos, gdzie dowodził dragonami i prowadził kampanie przeciwko Nawahom. Dobrze znał też fort Craig – a przynajmniej jego przedwojenną wersję, tę sprzed wzmocnień (świeżych żołnierzy) i umocnień (okopów). Uważał, że nowy fort Craig jest zbyt silny, żeby można było próbować wziąć go szturmem.

Zdawał sobie też jednak sprawę, że jakoś musi tę twierdzę zdobyć. Inaczej kampania w Nowym Meksyku była skazana na klęskę. Wszystko albo nic – taki miał wybór. Jego linie zaopatrzeniowe sięgały El Paso, a żołnierze mieli za sobą przeszło półtora tysiąca kilometrów, które pokonali od chwili opuszczenia koszar w San Antonio. Jedynym sposobem parcia naprzód był rabunek. Sibley musiał korzystać z zapasów tych oddziałów USA, które po drodze pokonywał. Wiedział, że fort Craig jest pełen żywności, amunicji i leków, których jego wygłodniała armia bardzo potrzebuje.

Żeby je zdobyć, musiał jednak w jakiś sposób wywabić z twierdzy unionistów i pokonać ich na otwartym polu, poza zasięgiem ich potężnej artylerii. Generał nie był w stanie konkurować artylerią z wojskami Unii zgromadzonymi w forcie – miały one bowiem nie tylko dwunastofuntowe

działa napoleońskie i dwudziestoczterofuntowe haubice, ale i nowe, tajemnicze armaty. Na otwartym polu jednak, jak wierzył Sibley, dwa i pół tysiąca jego żołnierzy, z których większość siedziała w siodłach, miałyby poważną przewagę nad siłami zgromadzonymi w forcie – bo choć wojska unionistów były liczniejsze, byli to głównie żołnierze piechoty.

16 lutego, kiedy zimne słońce wschodziło nad pobliskim laskiem, Sibley długo wiercił się w siodle. W końcu zaczął naradzać się ze swoimi oficerami.

Około trzech kilometrów na północ od wojsk konfederatów pułkownik Edward Canby dosiadał swojego ulubionego konia, którego nazywał Old Chas, i miętolił w zębach niezapalone cygaro. Canby był wysokim i gładko wygolonym mężczyzną pochodzącym z Kentucky i słynął z wielkich mięsistych uszu. Był też opanowany i ostrożny. Zahartowany przez dekady starć z Indianami pielęgnował w sobie zdrową nienawiść wobec nowego wroga, z którym przyszło mu walczyć. Dla niego konfederaci byli „aroganckimi i zaborczymi najeźdźcami".

Canby świetnie też znał swojego głównego przeciwnika. Studiował na tym samym roku w West Point co Sibley. Był też drużbą Sibleya podczas jego ślubu. Co gorsza, ich żony były kuzynkami. Przez lata obaj oficerowie walczyli ramię w ramię przeciwko Indianom zamieszkującym Nowy Meksyk i narzekali na sytuację, w jakiej znalazło się to amerykańskie terytorium. Kiedy wieści spod fortu Sumter dotarły do Nowego Meksyku, Sibley odszedł z wojsk lądowych USA i wyjechał do El Paso. Zdążył jednak nastraszyć tych oficerów, którzy zachowali lojalność wobec Unii.

– Chłopcy, gdybyście tylko wiedzieli, że będę wam najgorszym wrogiem w życiu!

Choć więc wojna secesyjna na Wschodzie była bardzo daleko, Sibley i Canby stanęli naprzeciwko siebie. Mieli się zmierzyć w bitwie, którą jeszcze niedługo przedtem uznaliby za nieprawdopodobną.

Pułkownik Canby był tak małomówny i ostrożny – „nie radzi się nikogo", narzekał jeden z podwładnych – że jego ludzie nie mieli pojęcia, na czym będzie polegać jego strategia obrony. Nie wiedzieli nawet, czy jakąś ma. Jeden z żołnierzy Unii opisywał go jako „wysokiego, trzymającego się prosto i byle jak ubranego, o twardej i surowej twarzy, gryzącego cygaro, którego

nigdy nie zapalał. Niewątpliwie otacza go aura przywódcy, z którą zapewne już się urodził, ale która została wzmocniona przez lata sprawowania dowództwa". Choć Canby pochodził z rodziny kwakrów[54], widać było, że kariera wojskowa sprawiała mu przyjemność. Brał udział w wojnie z Seminolami na Florydzie, w wojnie meksykańskiej zbierał pochwały od generała Winfielda Scotta, a w kalifornijskim Monterey służył z Williamem Tecumsehem Shermanem. Choć nie był geniuszem – West Point ukończył z wynikiem trzydziestym wśród trzydziestu jeden absolwentów swojego rocznika – był konsekwentny i ciężko, z uporem żółwia parł do przodu. Wszystkie opisy charakteru Canby'ego podkreślają jego ostrożne, ciche i czasem posępne usposobienie. Pewien generał uznał później, że Canby był „zbyt skromny i wycofany, żeby zdobyć powszechny szacunek, na który zasługiwał". Niemniej „tam gdzie przebywał, zaprowadzał porządek, dobre samopoczucie i spokój".

Można śmiało powiedzieć, że pozbawiony środków pułkownik zdziałał cuda, przygotowując fort Craig do obrony. Miał niewiele ponad miesiąc na jego zaopatrzenie i wzmocnienie. Ledwie dwa dni przed nadejściem wojsk generała Sibleya do twierdzy przyjechało z Santa Fe siedemdziesiąt wozów amunicji, żywności i innych zapasów. Jego żołnierze byli dobrze okopani wokół fortu. Canby był gotowy na to, co mógł mu zgotować jego były przyjaciel Chodząca Beczka Whisky.

Prawdę mówiąc, twierdza nie była tak silna, na jaką wyglądała. Potężne działa, które poustawiano na wałach ziemnych, były zwykłymi makietami – sosnowymi pieńkami, które pomalowano na czarno, żeby z oddali wyglądały jak armaty. „Działa kwakrów", jak nazywali je żołnierze, być może podśmiewając się z pochodzenia swojego pułkownika[497].

Również cztery tysiące wojaków, których zgromadził Canby, tylko wyglądało groźnie. Ledwie tysiąc dwustu z nich było zawodowymi żołnierzami. Resztę stanowili ochotnicy i członkowie milicji, głównie Latynosi mieszkający w okolicy – miejscowi chłopcy, u których brak doświadczenia wojennego dorównywał tylko brakowi zapału do walki. Jakiż mogli mieć interes we wplątywaniu się w wojnę, którą *Americanos* rozpoczęli rok wcześniej w jakiejś tam Karolinie Południowej?

Canby spoglądał na swoich hiszpańskojęzycznych ochotników i nie miał wątpliwości, że są „mniej niż bezużyteczni”. Uważał, że każdy Latynos, który zdezerterowałby z jego wojsk, „tylko wzmocniłby, a nie osłabił ich wartość”. Kwestionował ich lojalność, wierząc – a miał ku temu powody – że „Meksykanie nie czują afektu do instytucji Stanów Zjednoczonych i czują silną, choć hamowaną, nienawiść wobec Amerykanów jako rasy”. Niewątpliwie ocenę umiejętności wojskowych Meksykanów zaburzały Canby’emu jego rasowe uprzedzenia. Podobnie jak wielu innych oficerów USA, którzy walczyli w wojnie meksykańskiej, uważał, że latynoscy żołnierze są właściwie niezdolni do zorganizowania porządnej obrony. Miał też jednak praktyczne powody do zmartwienia. Wiedział, że ci nowomeksykańscy *paisanos*[55] nie mają pojęcia o broni, nigdy nie mieli do czynienia z artylerią i oczywiście prawie nie mówią po angielsku. Dlatego w ogniu bitwy, kiedy amerykańscy oficerowie zaczną wykrzykiwać komendy, latynoscy ochotnicy mogą okazać się mało użyteczni oraz skorzy do popłochu i ucieczki. Dlatego Canby wolałby zatrzymać ich wewnątrz fortu, albo przynajmniej blisko jego bramy, żeby nie musieli prowadzić walki manewrowej pod ogniem nieprzyjaciela.

Obie armie stały teraz naprzeciwko siebie. Do akcji ruszyli już harcownicy, podjazdy macały wrogie wojska, chcąc przetestować ich możliwości i ducha walki. Konfederaci powoli zbliżyli się na blisko kilometr do wojsk Unii. Wiatr przynosił obu stronom odgłosy trąbek i wrzaski żołnierzy.

Podwładni generała Sibleya wydali rebeliancki okrzyk bojowy, a przynajmniej spróbowali to zrobić. Ponieważ szkolili się w Teksasie i nigdy nie walczyli na Wschodzie, niewielu z nich tak naprawdę słyszało owo słynne zawołanie. Na pewno jednak słyszeli o nim. Większość z nich była uzbrojona tylko w strzelby, broń na wiewiórki, pistolety i inną broń pogranicza. A jeden pododdział godny don Kichota miał tylko lance. Konfederaccy żołnierze nadrabiali za to młodością i chęcią walki. Wydawali się pewni, że szybko poradzą sobie z przeciwnikiem. Jeden z ich oficerów, niejaki major Lockbridge, zobaczył amerykańską flagę powiewającą nad fortem.

– Uszyję mojej żonie koszulę nocną z tej szmaty! – krzyknął[498].

Dowódcą Pierwszego Pułku Ochotników Nowomeksykańskich był nie kto inny jak Christopher Carson, który awansował na pułkownika wojsk lądowych USA. Kit i jego osiem kompanii szykowali się do bitwy w chłodnym cieniu okopów. Podobnie jak Canby Carson znał generała Sibleya. Przed wojną obaj spotykali się w Taos. Placówka Sibleya była oddalona ledwie o kilka kilometrów od domu Carsonów. Pewien żołnierz, który znał obu oficerów, opowiadał, że choć Sibley próbował przekabacić na stronę konfederatów wiele osób, nigdy nie próbował zwerbować Carsona. „Nie sądzę, żeby to robił, bo Carson miał swoje zdanie zarówno na temat Północy, jak i Południa".

Sam Carson, który nie cierpiał publicznych debat czy kłótni, trzymał język za zębami. Jeden z jego nowomeksykańskich znajomych, który podczas wojny secesyjnej również wziął stronę Unii, tak to podsumował: „Kit był człowiekiem lojalnym. Ale podobnie jak ja nie przekonywał innych do swojego stanowiska"[499].

Carson zgłosił się na ochotnika do Albuquerque, gdzie dano mu do szkolenia innych ochotników. Służba w regularnej armii była dla niego nowym i trudnym wyzwaniem. Na początku słabo sobie z nim radził. Wojskowe regulaminy, nomenklatura i noszenie munduru kłóciły się z jego naturą. Niejaki Edward Wynkoop, ochotnik z Kolorado, wspominał, że na Carsonie „mundur nie leżał najlepiej". Analfabetyzm Carsona stawiał go w niezręcznych sytuacjach. Kiedyś grupa podwładnych poprosiła go o podpisanie nakazu zarekwirowania kilku beczek melasy. Carson chętnie podpisał, a potem nakrył swoich ludzi na pijaństwie. Okazało się, że podpisał rozkaz zajęcia kilku beczek whisky. Kit poczuł się tak upokorzony, że przestał cokolwiek podpisywać, zanim nie przeczytał mu tego na głos jego adiutant.

Nie zachował się żaden dokument na temat tego, jak Carson ukarał swoich dowcipnych żołnierzy. Wiadomo jednak, że nie wahał się być surowym dowódcą. Według Wynkoopa „cechowała go prawdziwa stanowczość i jak najzdrowszy rozsądek […] oraz potrafił ostro ukarać winowajcę. Choć miał

piękne i łagodne błękitne oczy, niekiedy budziły one taki strach jak grzechotnik wychodzący na wiosenne słońce”[500].

Wynkoop opowiada też ciekawą anegdotę z czasów służby wojskowej Carsona w Albuquerque. W niedzielny poranek łódź pełna „elegancko ubranych panien” miała wyruszyć na drugi brzeg Rio Grande, żeby zawieźć señority na mszę. Nagle na pokład wskoczył „groźnie wyglądający meksykański *ranchero*”. Wioślarz grzecznie poprosił go, żeby poczekał, bo łódź była niebezpiecznie przeładowana i chybotała się na wszystkie strony. Mężczyzna odmówił. Jak wspomina Wynkoop, wtedy do akcji wkroczył Carson, który „łagodnie zwrócił [Meksykaninowi] uwagę, ale nie przyniosło to skutku”[501]. Carson zmienił więc ton na „stanowczy”, ale mężczyzna „upierał się przy swoim”. Tego było za wiele. „Kit jak błyskawica uniósł pochwę z szablą, którą trzymał w ręku, i mocno uderzył go nią w głowę. Człowiek wpadł w mętny nurt Rio Grande i poszedł na dno jak kamień”. Meksykanin na pewno by utonął, gdyby nie „Kit, który w okamgnieniu skoczył za nim i wyciągnął go z rzeki”.

Cały Carson. W jednej chwili zachował się po rycersku, po czym natychmiast uratował człowieka, który właśnie obraził damy.

Powierzono mu dowództwo nad latynoskimi ochotnikami, bo świetnie mówił po hiszpańsku i cieszył się estymą wśród starych rodów Nowego Meksyku. Od początku największą bolączką było dla niego przełamanie apatii, w której tkwili jego podwładni. Był w stanie rekrutować ich i podtrzymać ich zainteresowanie szkoleniem, tylko wykorzystując ich dawny strach i odrazę, które czuli wobec mieszkańców Teksasu. Co prawda generał Sibley pochodził z Luizjany, ale jego wojska – prawie do ostatniego żołnierza – były złożone z Teksańczyków. Teraz maszerowali oni z San Antonio i mieli tylko jeden cel – chcieli przyłączyć Nowy Meksyk do Konfederacji. Słowo „konfederata” niewiele mówiło ochotnikom Carsona. Niemniej strach przed inwazją z Południa podziałał na nich jak bicz boży. To dzięki niemu nie porzucili jeszcze broni.

Pułkownik Carson wpatrywał się w przyszłe pole walki, na którym Teksańczycy wzniecali chmury kurzu. Przez lornetkę obserwował ich poczynania. Przez całe miesiące słyszał o ich marszu i straszył nimi swoich

podwładnych. Teksańczycy byli niezwykle bezczelnym ludkiem, tak przynajmniej powtarzała zawsze rodzina jego żony mieszkająca w Taos. W Nowym Meksyku mieszkańców Teksasu uważano za złośliwe licho. Rodzice straszyli nimi dzieci. Jeśli nie będziecie grzeczne, to zabiorą was *Tejanos*!

W tych strachach było coś na rzeczy. „Ludzie spod samotnej gwiazdy" od dawna łypali łakomym okiem na Nowy Meksyk. Chcieli go posiąść i nim władać, mimo że żywili głęboką pogardę dla jego mieszkańców i uważali ich spalone słońcem ziemie za mało wartościowe. Pożądanie, które czuli wobec Nowego Meksyku, było równie dziwne, jak niereformowalne. Być może miało ono coś wspólnego z Rio Grande, która wydawała się im niepokalana. Odkąd Teksas zyskał niepodległość w latach trzydziestych XIX wieku, jego władze wysuwały nieuzasadnione roszczenia wobec sąsiadów, twierdząc, że granica Teksasu sięga źródeł Rio Grande w dzisiejszym Kolorado. Innymi słowy – większość Nowego Meksyku, w tym jego stolica Santa Fe, należała ich zdaniem do Teksasu. W 1841 roku Teksańczycy najechali Nowy Meksyk. Ta na poły awanturnicza wyprawa skończyła się jednak dla nich kiepsko. Najeźdźcy zostali schwytani i osadzeni w okrytym ponurą sławą więzieniu pod Mexico City. A kiedy w latach pięćdziesiątych Amerykanie utworzyli Terytorium Nowego Meksyku, teksaski parlament próbował jednostronnie zmienić granice niektórych hrabstw i w ten sposób „nadgryźć" ziemie należące do sąsiada. Porządek na granicy przywrócił dopiero rząd federalny.

Najwyraźniej jednak wśród Teksańczyków nie wygasło dawne pożądanie wobec Nowego Meksyku. Przypominało ono niespełnioną miłość, która gorzała tym mocniej, im mocniej była odrzucana. Armia Nowego Meksyku, jak optymistycznie nazwano wojska Sibleya, wymaszerowała na podbój z San Antonio. Zanim doszła do fortu Craig, straciła pięciuset żołnierzy, których pokonały ospa, zapalenie płuc, wyczerpanie i Apacze. Jeden z teksaskich kronikarzy zapisał rozpaczliwie, że „tutejsze góry pełne są Indian, których uważamy za gorszych nawet od wyznawców Lincolna"[502]. Teksańczycy zdołali zabić co najmniej jednego Indianina, który próbował ukraść im konie. Apacz był tak brudny, że wyglądał jak „żaba rogata"[503]. Jego ciało poddali sekcji wojskowi lekarze, ciekawi, czy różni się ono

budową od ciała białego człowieka. Podczas swojego powolnego marszu na zachód Teksańczycy rabowali to, czego nie mogli kupić, i zagarniali po drodze latynoskie wioski, czasem „zagospodarowując” miejscowe kobiety, jak to określił jeden z nich.

Teraz dotarli wreszcie do serca Nowego Meksyku, ponownie wysuwając swoje dawne roszczenia. Nieumiejętność wyczucia nowomeksykańskich nastrojów, jaką wykazał się Sibley, była wręcz niewiarygodna; generał chyba naprawdę liczył, iż mieszkańcy powitają jego wojska „szczerze i będą chętni do współpracy”. Roił sobie, że dzięki zdobyciu serc Latynosów, jego armia będzie mogła aprowizować się na miejscu, „żywiąc i broniąc”. Wydawało mu się, że połknie fort Craig, potem ruszy na Socorro i Albuquerque, a następnie zdobędzie Santa Fe.

Sibley miał też cele jeszcze bardziej ambitne. Po opanowaniu stolicy Nowego Meksyku zamierzał ruszyć na Denver i zająć złotodajne tereny Kolorado, których potrzebowała spragniona gotówki Konfederacja. Potem miał nadzieję przemaszerować przez Utah i dotrzeć na wybrzeże Oceanu Spokojnego. W Kalifornii przejąłby kopalnie kruszcu i otworzyłby ten złoty stan na niewolnictwo. Zapewne wyobrażał sobie bujne plantacje bawełny w dolinie Sacramento! Dzięki temu można by połączyć liniami kolejowymi konfederackie porty w Charleston, Nowym Orleanie i Houston z portem w San Diego. Po drodze Sibley zamierzał też podbić (albo kupić) meksykańskie stany Sonora, Chihuahua i Kalifornia Dolna.

Dzisiaj wszystkie te cele mogą wydawać się megalomańskie, ale wtedy miały błogosławieństwo najwyższego dowództwa konfederatów. Rok wcześniej Sibley pojechał do Richmond, gdzie spotkał się z prezydentem Jeffersonem Davisem i opowiedział mu o swoich planach podboju Zachodu. Optymizm i pycha Sibleya ogarnęły także jego wojska. „Nasi przywódcy poszaleli – pisał potem jeden z teksaskich ochotników – i już witali się z gąską. Żadne przedsięwzięcie nie wydawało im się zbyt pochopne. Wszyscy, od generała w dół, byli przekonani o rychłym zwycięstwie”[504].

Carsonowi te wszystkie żądania i roszczenia musiały wydawać się dziwnie znajome. Teksańczycy chcieli zająć ziemie, które on pomagał zająć ku chwale Stanów Zjednoczonych, chcieli przemierzyć szlaki, które on sam

przemierzał. Imperium kontratakowało. Boskie Przeznaczenie miało nowych wyznawców – konfederatów.

Teraz jednak na ich drodze stanęła pierwsza poważna przeszkoda – Canby, Carson i cztery tysiące żołnierzy zgromadzonych w forcie Craig. Cudaczna wyprawa Sibleya natrafiła na rafę.

Nie ma jasności co do powodów, dla których Carson stanął po stronie Jankesów. Pochodził z Missouri, stanu, który został brutalnie rozdarty przez wojnę secesyjną. Jego mieszkańcy, po wielu debatach i kłótniach, postanowili usiąść na płocie i opowiedzieli się zarówno za utrzymaniem niewolnictwa, jak i za pozostaniem w granicach Unii. Wielu jeśli nie większość krewnych Carsona mieszkających w Missouri sympatyzowało z Południem. Co najmniej jeden z jego braci walczył – i w końcu zginął – po stronie Konfederacji. Choć wypalona gleba i suchy klimat Nowego Meksyku nie nadawały się do intensywnego rozwoju rolnictwa w stylu Południa USA, to Carson przez całe życie przebywał wśród czarnych niewolników – zarówno w Missouri, jak w Nowym Meksyku. Nic też nie wiadomo o tym, żeby publicznie wypowiadał się przeciwko instytucji niewolnictwa. Z drugiej strony nie był też jej orędownikiem. W swoim wędrownym życiu trapera zaprzyjaźnił się z wieloma wyzwolonymi czarnymi oraz mulatami, w tym z legendarnym człowiekiem gór Jimem Beckwourthem.

Na pewno jednak nie był abolicjonistą. Sam przecież posiadał indiańskich niewolników. Razem z Josefą mieli troje nawahijskich służących – dwóch chłopców: Juana i Juana Bautistę, oraz nastoletnią dziewczynę Marię Dolores. Zasady i dokładne ustalenia, na jakich ta służba się odbywała, pozostają nieznane (krewni Carsona twierdzili, że adoptował on całą trójkę i uważał ją za członków rodziny)[505]. Wydaje się, że Kit kupił młodych Nawahów od Indian z innych plemion, którzy porwali ich podczas własnych rajdów na osady Diné. Wszyscy zostali ochrzczeni w wierze rzymsko-katolickiej – „według zwyczajów panujących w kraju”, jak potwierdzają lokalne księgi parafialne – i przez wiele lat żyli w domu Carsonów. Juan Carson wychował się prawdopodobnie wśród dzieci Kita i Josefy, a później ożenił się z Latynoską z Nowego Meksyku.

Niewolnictwo Indian było w Nowym Meksyku starą tradycją – podobnie jak peonaż, w ramach którego służbę pełnili biedni, najczęściej Latynosi, popadający w długi wobec bogatych właścicieli ziemskich. Peonaż był instytucją feudalną, która utrzymywała niewielką klasę latyfundystów, większość społeczeństwa skazując na biedę oraz analfabetyzm bez żadnych realnych perspektyw na polepszenie losu i ucieczkę od nędzy. William Davis, prokurator federalny na Terytorium Nowego Meksyku, przyjrzał się instytucji peonażu w latach pięćdziesiątych XIX wieku. Uważał, że jest on „po prawdzie tylko ładniejszą nazwą niewolnictwa równie podłego i opresyjnego, jak każdy inny panujący na kontynencie amerykańskim”[506].

Ani Carson, ani majętni Meksykanie, wśród których żył, nie mieli moralnych obiekcji wobec niewolnictwa. W 1861 roku mieszkańcy południowej części Terytorium Nowego Meksyku odłączyli swoje ziemie od Unii i utworzyli konfederacki stan, który nazwali Arizoną. Jego populacja koncentrowała się wokół miast Tuscon i Mesilla. Składała się głównie z latynoskich latyfundystów uprawiających ziemię wzdłuż Rio Grande oraz z białych emigrantów z Teksasu, którzy ruszyli na Zachód, żeby spróbować swych sił w wypasie bydła albo poszukiwaniu szlachetnych kruszców (Moses Carson, brat Kita, był osadnikiem żyjącym w Mesilli). Mieszkańcy Arizony ślubowali lojalność wobec Richmond[56] i mieli nadzieję, że ich nowomeksykańscy pobratymcy w końcu pójdą po rozum do głowy i przejdą na stronę Konfederacji. Arizona była zarządzana przez odważnego i bezwzględnego Johna Baylora, który chciał przeszczepić na jej ziemie instytucję niewolnictwa czarnych i prowadził politykę „eksterminacji Apaczów i innych wrogich Indian”. Jednym z plugawych czynów, których miał się dopuścić, było otrucie skażoną mąką sześćdziesięciu Indian.

Wielu zawodowych żołnierzy amerykańskich stacjonujących na Terytorium Nowego Meksyku pochodziło z Południa. Sibley nie był jedynym, który opuścił wojska lądowe USA na wieść o wybuchu wojny secesyjnej. Połowa oficerów służących w Nowym Meksyku uciekła do wojsk konfederackich. Oficerowie mieli prawo do dymisji, ale zwykli żołnierze ryzykowali oskarżenie o dezercję, którą czasem karano śmiercią. Dlatego szeregi wojsk Canby’ego, które miały powstrzymać marsz konfederatów,

pełne były żołnierzy pochodzących ze stanów południowych. Pułkownik miał powody, żeby im nie ufać.

Można sobie z łatwością wyobrazić, że Carson byłby jednym z nich – rebeliantem ubranym w granatowy mundur Stanów Zjednoczonych. Tak się jednak nie stało. Carson opowiedział się po stronie Unii, kierując się prostolinijnym patriotyzmem i lojalnością wobec swojego byłego pracodawcy – sił zbrojnych USA. Był też oddany byłemu dowódcy i przyjacielowi Johnowi C. Frémontowi. W latach pięćdziesiątych Frémont pełnił przez chwilę funkcję senatora reprezentującego Kalifornię. Wzbogacił się niemiłosiernie na wydobyciu kruszców i hodowli. Był także abolicjonistą i podobnie jak jego teść senator Benton (który umarł w 1858 roku) – zażartym unionistą. W 1856 roku Frémont kandydował na prezydenta USA z ramienia nowo powstałej Partii Republikańskiej. Jednym z motywów przewodnich jego kampanii było zniesienie niewolnictwa. Na początku wojny secesyjnej prezydent Lincoln awansował Frémonta do stopnia generała i mianował go głównodowodzącym Departamentu Zachodniego – olbrzymiego terytorium ze stolicą w St. Louis, w skład którego wchodził Nowy Meksyk. Dlatego Frémont w pewnym sensie ponownie został szefem Carsona.

Kit w przeciwieństwie do Frémonta nie zdobył w latach pięćdziesiątych ani bogactwa, ani wpływów politycznych. Jasno błyszczała za to jego gwiazda celebryty. Ku jego zmartwieniu różne podłe wydawnictwa nie przestawały publikować tandetnych historyjek typu „krew i burza", których był bohaterem. Były wśród nich między innymi *Rocky Mountain Kit's Last Scalp Hunt* [Kita z Gór Skalistych ostatnie łowy na skalp], *The Fighting Trapper: Kit Carson to the Rescue* [Traper na wojennej ścieżce: Kit Carson spieszy na ratunek] oraz *Kit Carson's Bride: The Flower of the Apaches* [Narzeczona Kita Carsona: Kwiat Apaczów]. W miastach na Wschodzie wystawiano sztukę opartą na rzekomych przygodach Carsona. Nawet Herman Melville wspomniał o Kicie w *Moby Dicku*, nazywając go „krzepkim sprawcą wesołych, dobrych uczynków"[57] i odważnie porównując do Perseusza, Heraklesa, świętego Jerzego i hinduistycznego boga Wisznu. Hrabstwa, miasta i rzeki nazywano ku pamięci Carsona. Smukły kliper Kit

Carson obsługiwał drogę morską łączącą Boston – przez przylądek Horn – z San Francisco (trochę to zabawne, jeśli wspomnimy, jak źle Carson przeżył jedyną podróż morską w swoim życiu).

Podczas podróży do północnej Kalifornii w 1853 roku Carson zdał sobie sprawę z rozmiarów swojej sławy. Kit kupił w Nowym Meksyku przeszło sześć tysięcy owiec, a potem zmagając się z wilkami i Indianami, przepędził swoje olbrzymie stado do Kalifornii, gdzie sprzedał je poszukiwaczom złota. Czytelnikom przyzwyczajonym do upamiętnionego w westernach przepędzania bydła tak daleka podróż ze stadem owiec może się wydawać dziwna, ale Kit zarobił na niej fortunę – jakieś siedem tysięcy dolarów na czysto.

Kiedy bawił w San Francisco, nie mógł się opędzić od fanów. Gazety obwieściły jego przyjazd. Ludzie czekali na niego na ulicach. Nawet jeśli go nie rozpoznawali, to Carson słyszał, jak o nim rozmawiają. Według jednej z relacji kiedy wpadał do restauracji albo tawerny, „mężczyźni siedzący w pobliżu zaczynali o nim rozmawiać, a Kit po cichu zjadał posiłek i wychodził, prosząc znajomych, żeby nie zdradzali, kim jest".

Być może chcąc zapanować nad „celebryctwem", w 1856 roku Carson podyktował swoje surowe wspomnienia człowiekowi, którego nazwiska nie znamy. Potem upoważnił znajomego z Missouri, żeby zabrał manuskrypt na Wschód i poszukał autora, który potrafiłby przerobić tekst na bardziej żywą opowieść. Wśród pisarzy rozważających przyjęcie zlecenia był nawet Washington Irving. W końcu zadania podjął się bujający w obłokach lekarz DeWitt Peters. W 1859 roku opublikował pierwszą poważną biografię Kita Carsona. Jego książka pod tytułem *The Life and Adventures of Kit Carson, the Nestor of the Rocky Mountains, From Facts Narrated by Himself* [Życie i przygody Kita Carsona, nestora Gór Skalistych, opowiedziane jego własnymi słowami] nie była tak zła jak te publikowane przez wydawców *pulp fiction*, ale czasem pan doktor po prostu nie potrafił się pohamować. Kiedy Carson dostał w końcu egzemplarz książki i znalazł kogoś, kto mu ją przeczytał, miał skomentować: „Peters trochę grubo to wyłożył".

Ale w końcu trudno się dziwić, bo życie Carsona nie przestawało obfitować w zawadiackie momenty. Weźmy choć wydarzenie, do którego doszło w 1853 roku. Carson przejechał wtedy sto sześćdziesiąt kilometrów na wschód Szlakiem Santa Fe tylko po to, żeby ostrzec dwóch obcych handlarzy – niejakich Weatherheada i Brevoorta – że członkowie ich własnej wyprawy zamierzają ich zamordować i obrabować z potężnej, przewożonej właśnie kwoty (jeden z konspiratorów odłączył się od ekspedycji tydzień wcześniej i wygadał się w tawernie w Taos). Carson przybył z ratunkiem dosłownie w ostatniej chwili. Co więcej, nie chciał za swoją pomoc żadnej zapłaty. Następnej wiosny Weatherhead i Brevoort podarowali mu jednak parę pięknych srebrnych pistoletów, którymi Carson chwalił się do końca życia.

Przez większość lat pięćdziesiątych XIX wieku Kit pełnił służbę agenta do spraw indiańskich w plemieniu Jutów. Biuro prowadził we własnym domu w Taos. Żeby poświęcić się obowiązkom, pozbył się prawie wszystkich udziałów w ranczu w dolinie Rayado. Pomagał też Josefie w wychowaniu coraz liczniejszej gromadki dzieci. Mieli już ich czwórkę. Oboje pomagali też Ignacii Bent w wychowaniu jej dzieci. Wydaje się, że Carson był kochającym ojcem, który o wiele lepiej czuł się wśród dzieci niż wśród dorosłych. Uwielbiał bawić się z nimi. Jeden z jego żołnierzy opowiadał, jak Carson „kładł się na indiańskim kocu, a kieszenie wypełniały mu cukierki i bryłki cukru. Dzieciaki wskakiwały wtedy na niego i wyciągały z jego kieszeni słodycze. Pułkownik Carson czerpał sporą radość z tych zabaw”.

W końcu Kit prowadził życie, o jakim marzył w latach czterdziestych. Stał się filarem lokalnej społeczności, członkiem elity, dobrym katolikiem, ojcem rodziny, dyplomatą dbającym o poprawne stosunki z Indianami. Został nawet masonem. Przystąpił do loży w Santa Fe, do której należeli wtedy prawie wszyscy znaczący obywatele Nowego Meksyku. Razem z nimi zakładał śmieszne nakrycie głowy i w ciemności recytował mantry.

Nie ulega też wątpliwości, że Carson nieco zwolnił. Miał już pięćdziesiąt jeden lat i jego dotychczasowy styl życia zaczął dawać się mu we znaki. W 1860 roku Kit uległ wypadkowi, który cudem przeżył. Polował na jelenie w górach San Juan w południowym Kolorado i zjeżdżał konno po stromym

zboczu pokrytym rumoszem skalnym. Jego koń potknął się, a Carson zaplątał się w wodze i razem ze zwierzęciem stoczył po zboczu. Nie jest do końca jasne, jakie rany wtedy odniósł, ale wiadomo, że nigdy do końca nie wydobrzał. Od tamtej pory wiecznie go kłuło w piersi. Poprzysiągł sobie wtedy, że skończy z życiem w siodle. Jak zwierzył się pewnemu dziennikarzowi ze Wschodu, po dożyciu pięćdziesięciu lat „postanowił unikać jazdy wierzchem i podróżować tylko powozami".

A jednak kiedy wybuchła wojna, nie marnował czasu. Gdy wieści o wydarzeniach w forcie Sumter dotarły do Taos, wziął udział w marszu, który zorganizowali mieszkańcy lojalni wobec Stanów Zjednoczonych. Razem z nimi szedł pod gwiaździstym sztandarem i ignorował gniewne okrzyki dobiegające z tłumu sympatyków Południa. Mężczyźni, którzy wtedy maszerowali, wystawili straż na rynku i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pilnowali powiewającej nad nim flagi USA. Nawet dziś łopocze ona na głównym placu Taos, upamiętniając to wydarzenie.

Najszybciej jak mógł, Carson zaoferował swoje usługi siłom zbrojnym Unii. I nigdy tego nie żałował.

Zbliżał się wieczór 16 lutego 1862 roku, a prawdziwa bitwa o fort Craig jeszcze się nie zaczęła. Obie strony próbowały nadgryźć linie przeciwnika, ale żadna z nich nie osiągnęła przewagi. Sibley zorientował się, że nie zdoła wywabić Canby'ego poza bezpieczne mury fortu. Canby przekonał się za to, że Sibley jest zbyt sprytny, żeby zdecydować się na frontalny atak. Bitwa skończyła się patem, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła. Po kilku utarczkach, w których ucierpiało trochę żołnierzy, Sibley uznał, że potrzebny był lepszy plan, a dzień decydującej bitwy jeszcze nie nadszedł. Dał swoim żołnierzom rozkaz odwrotu i konfederaci wycofali się do obozu rozłożonego nad Rio Grande o kilka kilometrów od fortu.

A potem z zachodu, od strony Chihuahua, nadeszła burza piaskowa. Przez prawie dwa dni wył lodowaty wicher, a z nieba leciały śnieg i piach. Widzialność spadła do pięćdziesięciu metrów. Na ludziach i zwierzętach osiadła warstwa pyłu. Razem z wiatrem ziarenka piasku wdzierały się do namiotów i pokrywały broń. Obie armie przyczaiły się i czekały na koniec

burzy. Jak wspominał jeden z Teksańczyków, pył, który nawiewała, „był tak ostry, że czuło się, jakby potrafił zetrzeć skórę z twarzy”[507].

To podczas burzy zastępca Sibleya pułkownik Tom Green wpadł na pomysł, jak dobrać się do przeciwnika. Zaproponował, żeby wojska konfederatów przeprawiły się na wschodni brzeg rzeki i pomaszerowały na północ, omijając z daleka fort Craig. Miały pozostać schowane za płaskowyżem, który zapewniłby im także ewentualną osłonę przed atakami dział dalekiego zasięgu. Potem, zaproponował Green, wojska konfederatów miały z powrotem przeprawić się na zachodni brzeg Rio Grande i zająć strategiczny bród w miejscowości Valverde. Bród ten, położony o kilka godzin marszu od fortu Craig, leżał na szlaku zaopatrzeniowym, z którego korzystały wojska Unii. Canby musiałby interweniować i opuścić bezpieczne mury. Dzięki temu rebelianci mogliby zetrzeć się z siłami Unii na otwartym polu, na własnych warunkach – z dala od potężnych dział przeciwnika i jego okopów.

Sibleyowi spodobał się ten pomysł i natychmiast nań się zgodził. Plan był obiecujący, choć łamał wojskowe zasady – omijając fort, Sibley ryzykował przecięcie swoich linii zaopatrzeniowych przez wrogie wojska. Rankiem 18 lutego, kiedy burza ustała, dwa i pół tysiąca Teksańczyków przeprawiło się przez lodowate wody Rio Grande i ruszyło na północ. Dzień później Konfederaci mijali już płaskowyż, powoli maszerując w piaszczystym terenie, w którym ich wozy zapadały się aż po osie.

Kiedy pułkownik Canby zorientował się w sytuacji, natychmiast posłał na wschodni brzeg Kita Carsona i kilka kompanii żołnierzy, którzy mieli śledzić ruchy konfederatów. Canby obawiał się, że wymarsz sił Sibleya jest blefem i że rebelianci planują nagły zwrot, przeprawę przez rzekę i atak na fort. Posłał Carsona, żeby w razie czego go ostrzegł.

Kit wykonał zadanie i z płaskowyżu obserwował marsz wojsk Sibleya na północ. Zorientował się już, że konfederaci obchodzą twierdzę i zmierzają w stronę brodu w Valverde. Taką też wiadomość przekazał – za pośrednictwem gońców i przy użyciu znaków świetlnych – pułkownikowi Canby’emu.

Carson wiedział też o jeszcze jednej rzeczy. Teksańczycy i ich konie przeszli przez Rio Grande 18 lutego, więc teraz musiało im brakować wody. Górzysty teren odciął ich od rzeki, a na trasie nie było żadnych studni. Teksańczycy, głównie kawalerzyści, byli szczególnie wrażliwi na brak wodopojów. Jeszcze jeden dzień, przewidywał Carson, i znajdą się w krytycznym położeniu. Konie i muły konfederatów dosłownie oszaleją z pragnienia. Będą rozdrażnione i nieprzewidywalne, a także będą się płoszyć z byle powodu.

Pułkownik Canby postanowił wykorzystać trudne położenie wojsk konfederackich. Zatwierdził śmiałą wycieczkę, którą miał poprowadzić barwny Irlandczyk – były właściciel saloonu – James „Paddy" Graydon. Przez ostatnie miesiące Graydon dowodził pododdziałem zwiadowczym nazywanym Samodzielną Kompanią Szpiegowską Graydona i zbierał w okolicy informacje mogące się przydać siłom Unii. Słynął z forteli i przebrań. Kiedyś dostał się do obozu konfederatów przebrany za handlarza jabłkami.

Graydon miał niewątpliwie talent do nieortodoksyjnych pomysłów. Jak napisał jeden z historyków wojny secesyjnej, miał też „reputację człowieka lubiącego spektakularne" akcje[508]. Tym razem wpadł na pomysł, żeby spłoszyć wierzchowce konfederatów. Wypełnił dwie skrzynie pociskami armatnimi i skręcił dwa lonty. Tak przygotowane bomby załadował na grzbiety dwóch mułów. Pod osłoną nocy przeszedł Rio Grande i podkradł się do obozu przeciwnika. Był ledwie kilkaset metrów od Teksańczyków i słyszał, jak rozmawiają i śmieją się przy ogniskach. Niedaleko obozowiska cicho parskały setki wojskowych mułów i koni – spętanych albo uwiązanych na noc do wbitych w ziemię palików.

Graydon wziął głęboki oddech i podpalił oba lonty.

– Aaaaaaaaa! – wrzasnął na swoje muły i uderzył je w zady.

Zwierzęta pognały po śmierć w stronę obozu konfederatów. Lonty nadal się paliły, ale kiedy muły były już blisko Teksańczyków, zwierzęta nagle się zatrzymały. Może poczuły obcy zapach i zdały sobie sprawę, że zbliżają się do obcego stada? Tak czy inaczej zawróciły i pognały z powrotem. Kiedy

Graydon zorientował się, co się stało, zaczął uciekać. Mało brakowało, a muły dopadłyby swojego właściciela. Lonty jednak w końcu się dopaliły.

Bum! Bum! Odgłosy wybuchów rozdarły noc. Konfederaci w panice zaczęli rozglądać się na wszystkie strony, a z nieba runęły skrawki mulego mięsa.

To zadziwiające, ale plan Graydona się udał. Wybuchy wywołały popłoch w stadzie konfederackich koni i mułów. Spragnione i wściekłe, parskając i łypiąc oczami, powyrywały paliki i pognały do przejścia między skałami prowadzącego w stronę rzeki. Nad Rio Grande czekali na nie żołnierze Unii.

Kiedy zwierzęta zaspokoiły pragnienie, żołnierze bez trudu je wyłapali i odprowadzili do fortu Craig. Dywersja Graydona pozbawiła Teksańczyków przeszło stu pięćdziesięciu cennych koni i mułów. Na takie straty przebywająca daleko od domu najeźdźcza armia nie mogła sobie pozwolić.

Na wysokości Valverde Rio Grande łagodnie zakręcała. Brzegi porośnięte były przez wierzby i topole. W minionych latach rzeka ze znanych tylko sobie powodów zmieniła bieg. Jej główny nurt odbił w bok, przelewając się w pobliżu pokrytego piachem dna starego koryta niczym wąż pełzający obok zrzuconej przez siebie skóry. Ponieważ brzegi Rio Grande były w tym miejscu łagodne, a jej wody rozlewały się płytko na dużej powierzchni, Valverde od wieków pozostawało ważnym brodem na Camino Real. Nad traktem górował nad płaskowyż zbudowany z czarnej wulkanicznej skały.

W epoce kolonialnej Valverde – po hiszpańsku „zielona dolina” – było dość ważną osadą na drodze królewskiej. Niemniej na początku XIX wieku mocno podupadła. Powtarzające się najazdy ze strony Nawahów i Apaczów zmusiły jej mieszkańców do porzucenia domów. W końcu Valverde stało się miasteczkiem zamieszkanym tylko przez duchy. Mury stojących tam domów powoli się kruszyły, a dachy się zapadały. Suszone na słońcu gliniane cegły nieuchronnie obracały się w pył, z którego je zlepiono.

Kit Carson świetnie znał Valverde i, jak możemy się domyślać, nie cierpiał go. To tam podczas wojny meksykańskiej poznał przecież generała Kearny’ego, który bezceremonialnie zawrócił go z drogi do Waszyngtonu i wysłał z powrotem do Kalifornii. A więc ta zrujnowana osada miała

ponownie odcisnąć piętno na jego życiu! Tym razem jednak Carson miał odegrać główną rolę w ważnej bitwie na najbardziej zachodnim froncie wojny secesyjnej.

Było zimno i pochmurno. Wczesnym rankiem 21 lutego Teksańczycy zwinęli obóz i omijając wulkaniczny płaskowyż, pomaszerowali w stronę Valverde. Generał Sibley właściwie zdał dowództwo. Cierpiał akurat z powodu jednego ze ataków swojej „kolki" czy też pijaństwa – a może z obu powodów. Po raz kolejny więc oddalił się do swojego powozu. Teksascy żołnierze byli na niego wściekli. Nazywali swojego generała „tchórzem bez wstydu i zniewagą dla Skonfederowanych Stanów".

Dowodzenie przejął zastępca Sibleya pułkownik Tom Green. Przed zbliżającą się bitwą zagrzewał swoich żołnierzy do walki.

– Zbyt daleko jesteście od domu, żeby teraz przegrać. Musicie wygrać albo zginąć[509]!

O ósmej rano awangarda Teksańczyków zajęła pozycje na wschodnim brzegu brodu. Wkrótce na jego zachodnim brzegu pojawiły się wojska Unii, które przybyły z fortu Craig. Wybuchła ostra strzelanina, w której górę zdawały się brać wojska federalne. Wśród żołnierzy Unii był między innymi kapitan Alexander McRae, rosły artylerzysta, który choć pochodził z Karoliny Północnej, „pozostał wierny swojemu krajowi, a nie stanowi" (jak twierdzi historyk John Taylor)[510]. Bateria sześciu haubic, którą dowodził McRae, zasypała pociskami pozycje Teksańczyków po drugiej stronie rzeki. Wokół stanowiska artyleryjskiego konfederatów zaczęła płonąć sucha jak pieprz zimowa trawa. Walki toczyły się przez cały ranek, aż w końcu wojska Unii przedarły się przez lodowaty bród i wyparły przeciwnika do lasku porastającego wschodni brzeg rzeki.

Topole wchłonęły tego dnia sporą ilość ołowiu. Teksańczycy odparli w końcu atak żołnierzy Unii, ale ponieśli poważne straty. Według jednego z żołnierzy sił federalnych „ich kawaleria została kompletnie zniszczona, konie i ludzie umierali na polu bitwy". Wojska Unii zdobyły też należące do konfederatów dwunastofuntowe działo. Żołnierze w kowbojskim stylu złapali je na lasso i pociągnęli do swojego obozu. Pewien Teksańczyk, postrzelony

w usta, własnoręcznie odciął sobie nożem kawałek języka „zwisającego mu spomiędzy warg”[511].

Kompania teksaskich lansjerów postanowiła przeprowadzić desperacką szarżę na pozycje wojsk Unii. Dzielni kawalerzyści byli uzbrojeni w trzymetrowe lance zakończone trzydziestocentymetrowymi grotami ozdobionymi czerwonymi proporczykami – które miały rzekomo „wypić krew” nadzianych na lance wrogów. Teksascy jeźdźcy zaczęli doskonalić się w sztuce władania lancą, gdy poznali ją na własnej skórze podczas wojny meksykańskiej. Teraz ukryli się ze swoimi końmi w wyschniętym starorzeczu i szykowali się do szarży. Trąbki dały sygnał do ataku i przeszło pięćdziesięciu „rycerzy” Teksasu wyjechało zza wydm i pognało w stronę piechoty przeciwnika oddalonej o blisko trzysta metrów.

Żołnierze wojsk federalnych cierpliwie czekali, aż wroga kawaleria znajdzie się o sto metrów od nich.

– To Teksańczycy, zgotujcie im piekło! – krzyknął wtedy jeden z oficerów.

W stronę szarżującej kawalerii poleciały pociski. Przedpole szybko pokryło się splątanymi ciałami lansjerów i ich koni. Jeden z żołnierzy Unii zanotował, że „zabawnie było oglądać, jak Teksańczycy padają. Ze swoimi wzniesionymi lancami wyglądali na groźnych, ale kiedy dojechali do nas, myśmy zdążyli ponownie załadować karabiny i przywitaliśmy ich kulami. Po drugiej salwie niewielu z nich siedziało jeszcze w siodłach. Jeden zdołał uciec. Reszta została zastrzelona i zakłuta bagnetami”.

Całe starcie trwało ledwie kilka minut. Szarża Teksańczyków – powszechnie uważana za jedyną szarżę lansjerów podczas wojny secesyjnej – zakończyła się ich perfekcyjną rzezią. Prawie każdy z pięćdziesięciu jeźdźców zginął albo został ranny. Teksańczycy próbowali potem zmitologizować swoją klęskę. Pułkownik Green nazwał ją „jedną z najbardziej wytwornych i wściekłych szarż, jakie widziała historia wojny”[512]. Lansjerzy, którzy wyszli z niej z życiem, zorientowali się jednak, że ich biała broń nie może się równać z nowoczesną bronią strzelecką. Wściekli i upokorzeni zebrali swoje lance w stos i podpalili je. A potem chwycili za karabiny.

Kiedy wieści o bitwie pod Valverde dotarły do pułkownika Carsona, razem ze swoimi ochotnikami szybko pokonał jedenaście kilometrów dzielących go od brodu, przedostał się na jego zachodni brzeg i czekał na rozkazy. Carson uważał, że jego niedoświadczeni żołnierze powinni najpierw spokojnie przypatrzyć się bitwie, a dopiero potem się włączyć. Dzięki temu w chwili próby nie powinni ulec panice. Pułkownik Canby zgodził się z tym argumentem. Dlatego przez godzinę Carson i jego żołnierze tylko oglądali walki.

Na wschodnim brzegu Rio Grande strzelanina trwała do południa. Wydawało się, że siły Unii straciły przewagę, którą zyskały rano. Bitwa się przeciągała, ale sytuacja była patowa. Canby wymyślił więc plan, który miał przeważyć szalę na korzyść Unii. Umieszczona na lewym skrzydle bateria haubic kapitana Alexandra McRae miała posłużyć za kowadło. Resztę swych wojsk Canby chciał natomiast popchnąć w prawo, gdzie niczym młot powinny one narazić konfederatów na ogień amfiladowy.

Żołnierze Carsona mieli posłużyć za prawą stronę tego „młota". Canby nakazał Kitowi przejście przez bród i włączenie się do walki. Wyglądało na to, że pomysł Carsona, który chciał zostawić swoich żołnierzy w rezerwie, opłacił się. Inaczej niż wielu innych ochotników i milicjantów biorących udział w bitwie jego ludzie mieli czas, żeby przyzwyczaić się do jej widoku i odgłosów. Teraz ruszyli naprzód bez wahania. Carson pokierował ich na prawe skrzydło i razem z nimi pokonał około pięciuset metrów. W pewnym momencie jego żołnierze odparli teksaski atak na należącą do wojsk Unii dwudziestoczterofuntową haubicę. „Kiedy czoło kolumny przeciwnika znalazło się w odległości osiemdziesięciu metrów po naszej prawej stronie – opisywał potem Carson – cała nasza kolumna oddała salwę w stronę wroga, co wywołało jego rozpierzchnięcie się na wszystkie strony. Prawie w tym samym czasie w jego szeregi uderzył z fatalnym skutkiem pocisk z dwudziestoczterofuntówki".

Podczas bitwy Carson zachowywał spokój, który „spływał" na jego żołnierzy. W późniejszym meldunku pułkownik Canby chwalił go za „zapał i energię".

– *Firme, muchachos, firme!* – pokrzykiwał Carson, kręcąc się przed swoimi żołnierzami. – Spokojnie, chłopcy, spokojnie!

Ochotnicy reagowali na jego rozkazy wspaniale. Kolumna, wspominał Kit, „ruszyła naprzód, żeby oczyścić las w pobliżu wzgórz". Tak jak planował Canby, żołnierze Kita przykryli wroga ogniem amfiladowym i razili go z flanki. Kapitan Rafael Chacon, który walczył razem z Carsonem, zanotował potem, że ochotnicy „walczyli z odwagą i prawie ogarnął ich bitewny szał, kiedy w ogniu i krwi wypierali przeciwnika […], który w końcu pierzchł na wzgórza"[513].

Na lewym skrzydle jednak linie wojsk Unii się załamały. Tom Green i jego Teksańczycy przeprowadzili atak na baterię kapitana Alexandra McRae. Przeszło tysiąc konfederatów wzięło udział w pieszej szarży i, jak później opisywano, ogarnął ich „dziki szał". Biegli co sił w nogach, spodziewając się, jak potem opowiadał jeden z nich, „że zginą co do jednego".

Pierwsza odpowiedź wojsk Unii była miażdżąca. Jak relacjonował jeden z oficerów konfederatów, jego ludzie nadziali się na „burzę pocisków i kul z muszkietów". Siły federalne jednak nie były przygotowane na furię, z jaką zaatakowali konfederaci. Wielu z nowomeksykańskich ochotników zaczęło „pękać" pod wpływem „nieapetycznej diety złożonej z pocisków" wystrzeliwanych w ich kierunku przez konfederacką artylerię ulokowaną w wyschniętym starorzeczu. Teksańczycy ruszyli do drugiego ataku. A potem do trzeciego. Linie obronne Unii się zachwiały. Wielu żołnierzy zaczęło uciekać w stronę rzeki. Jeden z obrońców reduty narzekał: „Rzucili się na nas, pędząc przez ogień, którym ich przywitaliśmy, z jakąś szaleńczą determinacją". Niektórzy z Teksańczyków mówili później, że ta „szaleńcza determinacja" wynikała z faktu, iż wielu z nich dosłownie umierało z pragnienia i byli gotowi na wszystko, byle tylko dotrzeć do rzeki.

Po stronie wojsk Unii przybywało ofiar. Pod Canbym, który obserwował pole bitwy, żując cygaro, zastrzelono jego ulubionego konia Old Chasa.

Podwładni McRae obsługujący baterię złożoną z sześciu dział długo ostrzeliwali atakujących, aż wreszcie Teksańczycy wdarli się pomiędzy armaty. Wywiązała się walka wręcz na noże, kolby i rewolwery. Konfederaci opanowali baterię. Kapitan McRae zginął podczas jej obrony. Według jednej

z relacji on i Teksańczyk, z którym walczył, polegli jednocześnie, a ich krew „zmieszała się, zalewając lufę haubicy", nad którą się zmagali. Kiedy było już jasne, że konfederaci przejmą baterię, jeden z działowych wysadził w powietrze zapas amunicji artyleryjskiej, przy okazji roznosząc na strzępy wszystkich w okolicy.

Canby stał koło swojego martwego konia i ponuro obserwował rozwój wypadków. Jego najlepsza bateria wpadła w ręce wroga. On sam ledwie uszedł z życiem. Pułkownik uznał, że nie ma co ryzykować. Jak na dowódcę polowego z ogromnym doświadczeniem wojennym okazywał też niezwykłą wrażliwość wobec własnych strat w ludziach. Ponoć po bitwie „odwiedził swoich rannych i płakał". Około piątej po południu Canby ogłosił odwrót. Wojska Unii otrzymały rozkaz przeprawienia się na zachodni brzeg Rio Grande i pilnego powrotu do fortu Craig.

Kit Carson i jego ochotnicy byli zdumieni. Na prawym skrzydle sił federalnych, gdzie walczyli, przewaga była po ich stronie. Wydawało się im, że wkrótce bitwa zostanie wygrana. Kapitan Rafael Chacon, który walczył ramię w ramię z Carsonem, napisał później, że „nie mógł pojąć sygnału do odwrotu. Przełamaliśmy linie przeciwnika i sądziliśmy, że nasza szarża doprowadziła do wygrania bitwy"[514].

Ale rozkaz to rozkaz. Carson odwołał swoich ludzi w stronę rzeki i dopilnował, żeby przeprawa przez nią odbyła się, jak należy. Kiedy ochotnicy przechodzili bród, Teksańczycy, jak wspominał Chacon, „ostrzeliwali nas z naszych własnych dział, ale ich pociski spadały za blisko i nie robiły nam krzywdy".

Jednak w innych miejscach odwrót wojsk Unii zmienił się w zwykłą ucieczkę. „Wyglądało to tak, jakby biegło stado przerażonych mustangów, a nie ludzie – opowiadał jeden z Teksańczyków. – Podbiegliśmy do rzeki i zalaliśmy ich śmiercionośnym ogniem. Śmiertelność wśród nich była straszna. Wkrótce do ostrzału dołączyły działa i dokonały na nich egzekucji". Podczas przeprawy przez rzekę zginęło tak wielu żołnierzy Unii, że, jak opisywał jeden z konfederatów, woda w „Rio Grande zabarwiła się jankeską krwią".

Mimo to kiedy zapadła noc, spragnieni Teksańczycy rzucili się do rzeki, żeby napoić siebie i swoje zwierzęta.

38

Synowie jakiejś matuli

Następnego ranka nad polem bitwy wzeszło surowe zimowe słońce. Oświetliło równinę pokrytą trupami poległych. Po obu stronach rzeki leżały splątane ciała ludzi i zwierząt. Ogłoszono zawieszenie broni, żeby obie strony mogły pozbierać i pogrzebać swoich zabitych. Ciszę poranka przerywały krzyki rannych, którymi w szpitalach polowych zajmowali się właśnie wojskowi chirurdzy.

Jednodniowa bitwa pod Valverde zakończyła się zwycięstwem konfederatów – przynajmniej z taktycznego punktu widzenia. Tak jak planowali, Teksańczycy wywabili wojska Canby'ego z fortu i starli się z nimi na swoich warunkach. A potem wyparli żołnierzy sił federalnych z pola walki i szaleńczą szarżą zdobyli sześć dział z baterii Alexandra McRae. No i ponieśli mniejsze straty w ludziach. Pułkownik Canby stracił dwustu sześćdziesięciu trzech żołnierzy: poległych, rannych i zaginionych. Generał Sibley – około dwustu.

Z drugiej jednak strony Sibley nie zdołał osiągnąć strategicznego celu, jakim miało być zdobycie fortu Craig. Wojska Unii ponownie skryły się za jego solidnymi murami obronnymi. Ich arsenał i inne składy były równie pełne jak przed bitwą. Żołnierze Canby'ego mogli jeszcze odegrać ważną rolę w wojnie secesyjnej. Mieli zapasy leków, paliwa i wystarczająco dużo jedzenia, żeby przetrwać miesiące.

Poprzedniej nocy wielu z nich nazwało Canby'ego zdrajcą – nawet prosto w twarz. Uważali, że przez niego haniebnie uciekli z pola bitwy. Rano jednak, kiedy emocje opadły, logika stojąca za rozkazem pułkownika stała się jasna. Gdyby Canby nie nakazał odwrotu, rozpaleni udaną szarżą na baterię artylerii konfederaci mogliby przełamać linie wojsk federalnych i zdobyć twierdzę. Konserwatyzm pułkownika, tak mocno przez niektórych krytykowany, jednak się opłacił. Wojska federalne poniosły mniejsze straty,

niż mogły, a fort Craig – jedyna potencjalna zdobycz, która naprawdę się liczyła – znajdował się ciągle w ich rękach.

„Zwycięscy" konfederaci rozbili obóz nad rzeką. Cierpieli głód, marzli i zaczynało brakować im amunicji. Stracili też ogromnie dużo koni. Po panice wywołanej w ich stadzie przez zamach bombowy zorganizowany przez Paddy'ego Graydona, po samobójczej szarży lansjerów i przez inne straty na polu walki siły Teksańczyków skurczyły się o trzysta pięćdziesiąt koni i mułów. Przed bitwą większą część ugrupowania konfederatów stanowili jeźdźcy – Teksańczycy szczycili się przecież swoim kawaleryjskim duchem. Niemniej w ciągu ledwie jednej doby kawaleria Sibleya tak naprawdę stała się piechotą.

Oczywiście Teksańczycy cieszyli się ze zwycięstwa pod Valverde i byli pełni optymizmu co do pomyślnych efektów ich kampanii. „Jeśli utrzymamy przy życiu naszych ludzi i konie, to nie ma wątpliwości, że zdobędziemy Nowy Meksyk i uda nam się narzucić południowe pryncypia temu Terytorium", uważał jeden z oficerów Sibleya[515].

Rano sam generał, który rzadko pokazywał się swym dzielnym żołnierzom, wyszedł z powozu i pogratulował im zwycięstwa. Ludzie, którymi miał przecież dowodzić, byli zażenowani jego oczywistym tchórzostwem i źli na niego za to, że nie brał udziału w bitwie. Poszeptywali, że powinien nimi dowodzić prawdziwy Teksańczyk, a nie Luizjańczyk jak Sibley. Niektórzy oskarżali generała o celowe zaniedbania i zmowę ze starym druhem Canbym. Sibley „był ostatnim człowiekiem, który powinien otrzymać to dowództwo – pisał jeden z żołnierzy – zanadto zbliżył się do Jasia Jęczmiennego Ziarna[58]"[516].

Sibley na tyle ocknął się z pijackiego stuporu, że przyszło mu do głowy dość śmieszne ostatecznie żądanie. Wysłał do pułkownika Canby'ego swoich oficerów, którzy pod białą flagą zażądali od niego „kapitulacji" fortu – choć jego murów broniło trzy i pół tysiąca dobrze uzbrojonych i sytych żołnierzy Unii. Sibley wspaniałomyślnie uznał, że skoro nie był w stanie zdobyć twierdzy w bitwie, to może jego stary druh Canby mógłby ją po prostu… poddać. Pułkownik grzecznie, ale stanowczo odmówił.

Pałający udawanym oburzeniem Sibley poprowadził swoich obszarpanych żołnierzy wzdłuż Rio Grande, w stronę Albuquerque – byle dalej od fortu Craig. Wlokąca się na północ armia musiała zbierać krowie placki, żeby rozpalać ogniska. Wygłodniali żołnierze zajmowali po drodze kolejne wioski i rekwirowali dobytek ich mieszkańców. W końcu rebelianci porzucili swój początkowy (i zupełnie naiwny) pomysł, że będą „żywili ich" przyjaźnie nastawieni miejscowi, i stali się zwykłą armią szabrowników.

Sibley wiedział jednak, że w Albuquerque wojska Unii mają magazyny, w których zgromadziły spore zapasy. Uważał, że jego żołnierze wkrótce zajmą „ziemię obiecaną" pełną amunicji i prowiantu. Kiedy jednak dotarł na przedmieścia Albuquerque, z przerażeniem dostrzegł trzy potężne kolumny czarnego dymu unoszące się nad miastem. Canby zdążył wysłać do niego posłańców na szybkich koniach, którzy ostrzegli dowództwo magazynów o zbliżających się wojskach konfederatów. Kwatermistrzowie Unii podpalili więc swoje zapasy, żeby nie wpadły w ręce wroga.

Albuquerque mocno się wyludniło. Wielu mieszkańców schroniło się wśród okolicznych wzgórz, obawiając się rzezi ze strony konfederatów. Josefa Carson, która przeprowadziła się do Albuquerque, kiedy Kit zaczął szkolić ochotników, razem z dziećmi i służbą wróciła do Taos. Po przybyciu do domu natychmiast zajęła się chowaniem rodzinnych precjozów – za kilka lat to samo miały robić damy w Georgiii w obawie przed zbliżającymi się wojskami generała Shermana. Syn Carsona Kit Junior wspominał potem, że jego matka „ukrywała drogocenne rzeczy wśród ubrań należących do wiernej nawahijskiej służącej, która wychowywała się z nami od dziecka" (prawdopodobnie chodziło o Marię Dolores).

Wojska generała Sibleya tryumfalnie wkroczyły do Albuquerque. Ponieważ magazyny sił federalnych spłonęły, konfederaci zaczęli nękać i rabować mieszkańców miasta. Wygłodniała armia terroryzowała więc tych samych ludzi, których serca i umysły miała zdobyć – przynajmniej jeśli chciała odnieść prawdziwy sukces. Nie przejmując się tym wszystkim, Sibley wydał proklamację do ludu Nowego Meksyku, w której zarazem obiecywał mu łaskę i straszył. „Ci z was, którzy zgłosili się na ochotnika do służby w wojskach federalnych, bez wątpienia zostali oszukani – twierdził[517]. –

Niemniej wspaniałe zwycięstwo, które odnieśliśmy pod Valverde 21 lutego, pokazuje […] nasze siłę i możliwości". Zadeklarował też „zupełną i absolutną amnestię dla tych obywateli, który już złożyli broń albo zrobią to w ciągu dziesięciu dni. Bez obaw powróćcie do swoich domów i zajęć".

Potem rebelianci ruszyli na stolicę Nowego Meksyku. 13 marca żołnierze Sibleya bez walki wkroczyli do zaśnieżonego Santa Fe. Na plazie wywiesili swoją flagę. Za Konfederację i Teksas! Podobnie jak Albuquerque Santa Fe było wyludnione. Latynosi wzdrygali się z obrzydzeniem na myśl o życiu wśród *Tejanos*. Z miasta ewakuowały się też lokalne władze, przenosząc się do położonego o sto dziesięć kilometrów na wschód Las Vegas (tej samej wioski, w której w 1846 roku generał Kearny wygłosił z dachu swą pierwszą mowę po wkroczeniu do Nowego Meksyku). Większość kobiet, których mężowie walczyli po stronie Unii – w tym żona pułkownika Canby'ego Louisa Hawkins Canby – została jednak w Santa Fe, żeby zająć się ewentualnymi rannymi.

Okupacja stolicy Nowego Meksyku podniosła morale konfederatów. W końcu była to perła w koronie, pożądana przez Teksańczyków od pokoleń. Tak naprawdę jednak okupanci znowu musieli obejść się smakiem. Okazało się bowiem, że żołnierze Unii zdążyli albo zniszczyć, albo ewakuować zapasy z fortu Marcy. Sporą część z nich przewieźli do fortu Union – twierdzy federalnej wybudowanej na skraju Wielkich Równin na Szlaku Santa Fe czterdzieści kilometrów za Las Vegas. Spodziewając się szturmu, obrońcy poważnie wzmocnili też mury obronne fortu. Jeden ze stacjonujących w nim oficerów uważał go za nie do zdobycia i twierdził, że nawet „cały Teksas by sobie z nim nie poradził!".

Tak więc armia Sibleya znalazła się pomiędzy dwoma wrogimi twierdzami – od południa zagrażał jej fort Craig, a od wschodu fort Union. Generał zdawał sobie sprawę, że trudno będzie mu utrzymać zdobyte terytorium – nie mówiąc już o dalszym marszu w stronę kopalni złota w Kolorado – bez zapasów zgromadzonych w obu fortach. Choć bowiem zrealizował swój plan podboju Nowego Meksyku – zdobywając jego stolicę i nie przegrywając żadnej bitwy – jego wojska słabły z każdym dniem.

Canby świetnie o tym wiedział. Pułkownik siedział bezpiecznie w forcie Craig, około dwustu czterdziestu kilometrów od Santa Fe. Z radością przeszedł od wojny obronnej do wojny na wyczerpanie. Jego plan – okrutny w swojej prostocie – zakładał nałożenie blokady na zaopatrzenie nadsyłane konfederatom z Teksasu. Rebelianci mogli więc siedzieć sobie w Santa Fe aż do śmierci głodowej. Od czasu do czasu Canby wysyłał podjazdy, które szarpały wojska Sibleya. Przede wszystkim jednak pułkownik spokojnie czekał i ze swoimi żołnierzami – włączając w to ochotników Carsona – nie wychylał nosa z fortu.

Jednocześnie jednak poprosił o posiłki z dalekiej Kalifornii i z bliższego Denver. W Kolorado Unia tworzyła ochotniczą armię złożoną z górników przybyłych tam w 1859 roku podczas gorączki złota, która wybuchła w okolicy Pikes Peak w Górach Skalistych. Canby spodziewał się, że oddział pikespeakerów przybędzie do fortu Union najdalej w połowie marca. Na wiosnę planował więc kontrofensywę. Chciał wyjść z większymi siłami z fortu Craig, połączyć się z ochotnikami z Kolorado i wyprzeć osłabioną armię Sibleya z Nowego Meksyku.

Wojska pikespeakerów szły z rekordową szybkością. Ich blisko sześćsetpięćdziesięciokilometrowy marsz z Denver, poprzez zaspy śnieżne i wiatr, wyżyny i górskie przełęcze, był jednym z najbardziej spektakularnych supermaratonów wojny secesyjnej.

Byli już w drodze – blisko tysiąc ludzi – kiedy otrzymali informację o porażce wojsk Unii pod Valverde. Zwiększyli więc tempo marszu, pokonując prawie sześćdziesiąt pięć kilometrów dziennie. Kolejnymi bodźcami były dla nich wieści o upadku Albuquerque i Santa Fe. Wiedzieli, że bez względu na wszystko muszą dotrzeć do fortu Union przed Teksańczykami. Dlatego szli dzień i noc, ścierając buty i zajeżdżając na śmierć swoje zwierzęta. Pod koniec marszu żołnierze porzucali wyposażenie, zostawiając sobie tylko to, co niezbędne. Chcieli, jak określił to jeden z szeregowców, „dodać sobie skrzydeł”. Tempo mieli iście niezwykłe – w trzydzieści sześć godzin udało im się pokonać blisko sto pięćdziesiąt kilometrów.

Jednym z oficerów dowodzących tymi maratończykami był major John Milton Chivington, budzący respekt mężczyzna, który wkrótce miał zostać jedną ze słynniejszych postaci Dzikiego Zachodu. Pochodził z Ohio i miał czterdzieści jeden lat. Był też metodystycznym kaznodzieją, z którego emanowały chrześcijańska siła i waleczność. Potężny jak tur, miał blisko dwa metry wzrostu i prawie sto dwadzieścia kilogramów wagi. Jeden z żołnierzy przyznał się, że jego zdaniem nikt nie wyglądał lepiej w mundurze niż obdarzony byczym karkiem i potężnym torsem Chivington. Jego mięsistą twarz przecinały wąskie kreski oczu, w których żarzyła się wiecznie niezaspokojona ambicja.

Chivingtona cechowały wielkie zdolności, inteligencja, upór i energia. Był zagorzałym abolicjonistą i czynnie wspierał zbiegłych niewolników, którzy chcieli uciec z Południa szlakami tak zwanej Kolei Podziemnej[59]. Ponoć był też niezwykle odważny. Jego biograf uważał, że Chivingtonowi „zupełnie obce było uczucie strachu”. Wydaje się, że był to człowiek „wyłączony” także z innych uczuć. Jak wielu fanatyków był prostoduszny, niezdolny do kompromisu i miał panaceum na wszystkie problemy świata. Dlatego wkurzał ludzi. Kiedy tylko przybył do Kolorado w 1860 roku – po zakończeniu pracy misyjnej wśród Indian w Kansas – natychmiast zabrał się do oczyszczania z grzechu osad górniczych. Kipiał gniewem i ciskał pioruny, wskazywał palcem i piętnował ludzi po nazwisku, nieprzychylnie patrzył na burdele i kasyna. Kiedy objeżdżał swoją trzódkę żyjącą na burzliwym i pełnym bezprawia Dzikim Zachodzie, zachowywał się tak, jakby uważał się nie tyle za pastora, ile za prawą rękę samego Boga.

Po przyjeździe do Nebraska City postanowił zniszczyć całe zapasy alkoholu zgromadzone w pewnym saloonie. Jego właściciel prowadził co prawda najzupełniej legalny interes, ale ulokował go w opuszczonym kościele. Zszokowany świadek wybuchu szału Chivingtona zapytał go, jakim prawem niszczy cudzą własność.

– Z polecenia Boga Wszechmogącego – odpowiedział pastor.

W jednej z osad na pograniczu tak rozwścieczył ludzi, że chcieli go wysmarować smołą i obsypać pierzem. Dlatego w niedzielę Chivington

przyszedł do kościoła z dwoma pistoletami. Położył je koło Biblii Króla Jakuba[60].

– Dzięki łasce Boga i tym dwóm rewolwerom wygłoszę tu dziś kazanie – zadeklarował[518].

Znając te wszystkie opowieści, mieszkańcy Kolorado obchodzili Chivingtona szerokim łukiem. Parzyło ich jego spojrzenie godne rozgniewanego Boga. Na pewno go nie kochali, ale równie pewne jest, że się go obawiali i czuli wobec niego szacunek. W okolicach Denver i w osadach górniczych w Górach Skalistych Chivington był stałym bywalcem. Głosząc kazania, pluł ogniem i siarką, a jego donośny głos słychać było kilka ulic dalej. Ponieważ obowiązki kaznodziei mu nie wystarczały, założył pierwszą w Denver szkółkę niedzielną.

Wszędzie, gdzie się pokazywał, ludzie nazywali go nie Wielebnym, ale Walecznym.

Kiedy w 1861 roku gubernator Terytorium Kolorado wezwał mężczyzn, by zgłaszali się na ochotnika do wojska, Chivington od razu się zgłosił. Gdy jednak gubernator zaproponował mu funkcję kapelana wojskowego, pastor się oburzył. Nie chciał w wojsku się modlić. Chciał walczyć.

Więc dostał to, czego chciał. Jako major w Pierwszym Pułku Ochotników z Kolorado prowadził do Nowego Meksyku oddział przeklinających i wybuchowych górników.

Dowódcą całego pułku był poważny i noszący gęstą brodę prawnik z Denver – John Potts Slough. Podobnie jak Chivington pochodził z Ohio. W 1857 roku bezskutecznie starał się o fotel gubernatora stanu Kansas. Potem przeniósł się do Kolorado, gdzie został sędzią. Pochodził z zasłużonej rodziny o głęboko zakorzenionych tradycjach wojskowych. Podczas wojny o niepodległość jeden z jego wujów był pułkownikiem u samego Jerzego Waszyngtona. Być może z powodu tego dziedzictwa, a także przez brak wyszkolenia i doświadczenia wojskowego, Slough zdawał się mieć pretensje do całego świata i gorączkowo starał się udowodnić, że nadaje się na dowódcę. Tak czy inaczej nie potrafił wypracować sobie dobrych stosunków z podwładnymi. Większość z nich uważała go za nieprzystępnego i mającego

dyktatorskie skłonności. Żołnierze tak go nie lubili, że podczas marszu do Nowego Meksyku, a także kilka razy później, planowali go zabić.

Mroźną nocą 11 marca, „waląc w bębny i powiewając sztandarami", Slough i Chivington wraz z tysiącem żołnierzy wesoło wmaszerowali do fortu Union. Niewielka grupa Latynosów, którzy stanowili załogę twierdzy, odetchnęła z ulgą. Niezwykły marsz ochotników z Kolorado, jak uznał słynny historyk Dzikiego Zachodu i wojny secesyjnej Alvin Josephy, „robił imponujące wrażenie"[519]. W ledwie trzynaście dni pokonali oni sześćset pięćdziesiąt kilometrów.

Slough nie marnował czasu i od razu przejął obowiązki dowódcy fortu od doświadczonego i wykształconego w West Point pułkownika, którego przewyższał rangą tylko przypadkiem. Nie okazując szacunku zdolnemu poprzednikowi, ogłosił też swój zamiar wyruszenia w stronę Santa Fe i podjęcia walki z siłami konfederatów. Nie przejął się przy tym rozkazami pułkownika Canby'ego stacjonującego w forcie Craig. Canby chciał, żeby ochotnicy zostali w forcie Union i czekali, aż on sam wyda im rozkaz wymarszu. Planował skomplikowany manewr, który wymagał świetnej komunikacji, zgrania w czasie i… uznania jego dowództwa.

Slough był jednak zbyt niecierpliwy, żeby odrzucić pokusę natychmiastowego wymarszu. Uważał, że to jemu powinna przypaść chwała za zwycięstwo nad rebeliantami – nawet za cenę niewypełnienia rozkazu Canby'ego i narażenia się na sąd wojenny. Dlatego 22 marca Slough, Chivington i ich żołnierze opuścili fort i Szlakiem Santa Fe podążyli na zachód.

Teksańczycy nudzili się w Santa Fe i również mieli ochotę na bitwę. Szpiedzy donieśli im, że wojska federalne wyszły z fortu Union. Konfederaci nie wiedzieli jednak, że te wojska składają się z nowo przybyłych ochotników z Kolorado. Spodziewali się więc łatwego zwycięstwa nad słabo uzbrojonymi Latynosami i szybkiego zdobycia opuszczonej twierdzy.

General Sibley znowu wykpił się od dowodzenia. Pozostał w swojej kwaterze w Albuquerque, a dowództwo nad siłami wyruszającymi na Jankesów powierzył majorowi Charlesowi Pyronowi – niezwykle

agresywnemu oficerowi pochodzącemu z Alabamy, który był weteranem wojny meksykańskiej. 24 marca Pyron wyprowadził z Santa Fe oddział złożony z czterystu Teksańczyków. Wkrótce konfederaci weszli do Kanionu Apaczów, potężnej naturalnej twierdzy, w której szesnaście lat wcześniej gubernator Manuel Armijo udawał, że stanie do walki z armią najeźdźczą generała Kearny'ego.

Po południu 26 marca maszerujący przez zwężenie kanionu oddział Pyrona natknął się na awangardę wojsk federalnych prowadzoną przez majora Chivingtona. Pastor miał pod sobą około czterystu żołnierzy piechoty i kawalerii.

Wybuchła gwałtowna strzelanina. Ochotnicy z Kolorado szybko zyskali przewagę. Chivington, z pistoletami w obu dłoniach, pogalopował naprzód. Zagrała artyleria, a spieszeni żołnierze zaczęli wdrapywać się na zbocza kanionu i zajmować pozycje strzeleckie za głazami i pniami sosen. Obie strony usiłowały zyskać przewagę wysokości nad przeciwnikiem. Żeby powstrzymać napływ unionistów, Teksańczycy zniszczyli drewniany most rozwieszony nad głębokim korytem wyschniętego strumienia. Niemniej jednak nacierający konno pikespeakerzy po prostu przeskakiwali jar.

Przed wieczorem żołnierze Chivingtona zdołali odeprzeć konfederatów o dwa kilometry na zachód. Na rozkaz majora ochotnicy z Kolorado dobyli szabel i ruszyli do kawaleryjskiej szarży, która jednemu z rebeliantów przywiodła na myśl szarżę „latających diabłów". Inny Teksańczyk pisał potem w liście do żony: „Jechali, jak się wydawało, na pewną śmierć, ale ani ołów, ani żelazo nie mogły ich zatrzymać, choć wylewaliśmy je na nich ze wszystkich stron niczym chmura burzowa sypiąca gradem"[520].

W końcu obie strony starły się w walce wręcz. Żołnierze Unii wzięli w niej do niewoli tak wielu Teksańczyków, że major Pyron uznał, iż bezpieczniej będzie się wycofać i poczekać na posiłki.

W kanionie zrobiło się cicho. Zapadał zmierzch i ostatnie promienie słońca przedzierały się przez sosnowe gałęzie. Major Chivington i jego żołnierze mogli napawać się wygraną. Było to tylko niewielkie starcie, lecz dzięki niemu siły Unii odniosły pierwsze zwycięstwo na zachodnim froncie wojny

secesyjnej. Ochotnicy z Kolorado wzięli przy tym aż siedemdziesięciu jeden teksaskich jeńców.

Potyczka w Kanionie Apaczów była ledwie harcem, nagłym i mocnym odkaszlnięciem przed nadchodzącą bitwą. Siły federalne ją wygrały, ale równie dobrze mogły przegrać. Ostrożny i kalkulujący pułkownik Canby nigdy nie wdałby się w podobną bójkę. Kiedy klika dni później dowiedział się o niej przez posłańca, wpadł w szał.

A jednak dzięki starciu w kanionie narodziła się legenda. Podczas swojej pierwszej bitwy Waleczny Chivington wykazał się odwagą i umiejętnościami przywódczymi. Jego podwładni zobaczyli w nim zdolności, których nie spodziewali się u nauczyciela ze szkółki niedzielnej. W jednej z relacji czytamy: „W boju wydawał się bogiem wojny. Najodważniejszy z odważnych, prawdziwy olbrzym, uderzał jak wicher. Miał też rzadkie cechy charakteru, dzięki którym żołnierze go pokochali i szli za nim w ogień”.

Siły Teksańczyków i ochotników z Kolorado przegrupowały się i dwa dni później starły ponownie. Miejsce bitwy znajdowało się o kilka kilometrów na wschód od miejsca poprzedniego starcia i po obu stronach wzięło w niej udział znacznie więcej żołnierzy. Niewielki oddział Pyrona połączył się z wojskami pułkownika Williama Scurry’ego – również weterana wojny meksykańskiej, który w cywilu został prawnikiem. Konfederaci dysponowali mniej więcej tysiącem żołnierzy. Zostawiając w tyle tabor złożony z około osiemdziesięciu wozów, Scurry ruszył na wschód, chcąc spotkać się z siłami Unii.

Natknął się na nie rankiem. Blisko tysiąc pięćset żołnierzy dowodzonych przez pułkownika Johna Slougha maszerowało na zachód. Do głównego starcia doszło na porośniętej sosnami i pięknej przełęczy zwanej Glorieta, niedaleko ruin Pecos. Zagrały trąbki, poznaczone licznymi głazami pole bitwy tonęło w błękitnym dymie, a pociski artyleryjskie zaczęły ścinać czubki drzew. Zaciekłe walki trwały przez cały dzień. Konfederatom udało się odeprzeć wojska federalne o kilka kilometrów i przyprzeć je do zabudowań rancza znajdującego się w kanionie.

Wieczorem jednak bitwa nadal nie była rozstrzygnięta. Co prawda Teksańczycy zdobyli trochę terenu, ale ochotnicy z Kolorado ciągle blokowali im drogę do fortu Union. Rebelianci stracili czterdziestu dwóch zabitych, sześćdziesięciu jeden rannych i dwudziestu żołnierzy wziętych do niewoli. Straty wojsk Unii były tylko odrobinę większe.

Najbardziej spektakularny moment bitwy dotyczył znienawidzonego pułkownika Slougha. W pewnym momencie jego żołnierze mieli tak dość tego, że krył się na tyłach, iż odwrócili w jego stronę haubicę i wystrzelili pocisk szrapnelowy we wzgórze, przy którym stał. Pułkownik ledwie ocalił skórę.

Żadna ze stron jeszcze o tym nie wiedziała, ale bitwa o Glorietę okazała się decydującym momentem w wojnie o Nowy Meksyk. Dowódcy obu wojsk przekonali się o tym późno w nocy, a armie konfederatów i unionistów zrozumiały to w pełni dopiero kilka dni później.

W centrum wydarzeń znowu znajdował się John Chivington.

Rankiem, zanim wybuchła bitwa, Waleczny zebrał czterystu dziewięćdziesięciu żołnierzy i odłączył się z nimi od głównych sił pułkownika Slougha. Przewodnikiem był Manuel Chaves, ten sam, który zasłynął z nienawiści do Nawahów i miał stanąć przed sądem za masakrę pod fortem Fauntleroy, ale w końcu otrzymał rozgrzeszenie od sił zbrojnych USA. Prowadzeni przezeń żołnierze mieli obejść górami główne siły konfederatów, zejść do Kanionu Apaczów i zaatakować je od tyłu. Wczesnym popołudniem Chivington dotarł do brzegu kanionu i ostrożnie zajrzał w dół. Przeszło dwieście metrów niżej rebelianci rozłożyli się z obozem wśród zabudowań starego rancza znajdującego się w jednej z odnóg kanionu.

– Jesteśmy tuż nad nimi, majorze – szepnął Chaves[521].

Chivington był zdziwiony, bo w obozie konfederatów panowała cisza. Wydawało się, że opuścili go prawie wszyscy żołnierze. Tak rzeczywiście było, bo wojska Scurry’ego zdążyły już ruszyć na wschód, żeby zetrzeć się z siłami Slougha.

Chivington oglądał obozowisko rebeliantów przez lornetkę i nagle zobaczył coś, co sprawiło, że skoczyło mu ciśnienie – osiemdziesiąt

powozów pełnych zaopatrzenia. Na dnie kanionu stały tabory wojsk konfederackich. Major nie mógł uwierzyć własnym oczom. Taborów pilnowało ledwie stu żołnierzy – w tym wielu chorych i rannych – wspieranych przez ledwie jedno działo. Niedaleko za prowizorycznym ogrodzeniem pasły się setki koni i mułów. W jednym miejscu ogrodzonym przez wysokie ściany kanionu konfederaci zostawili swoje nadzieje i marzenia – prawie wszystkie racje żywnościowe, zapasy amunicji, leki, koce i inne rzeczy niezbędne w marszu na fort Union i dalej.

Chivington natychmiast zmienił plany. Zamiast zejść do kanionu i ruszyć na wschód, żeby zaatakować tyły sił konfederackich nacierających na Slougha, postanowił zaszkodzić rebeliantom jeszcze bardziej i zniszczyć ich tabory.

Wspomagając się linami, żołnierze sił federalnych zaczęli jak najciszej schodzić do Kanionu Apaczów. Jeden z nich potrącił kamień, który stoczył się w dół, pociągając za sobą małą lawinę. Konfederaci podnieśli głowy, zobaczyli wroga i natychmiast zaczęli ostrzeliwać go ze swojego jedynego działa. Ich pociski nie wyrządziły jednak nikomu krzywdy. Żołnierze Chivingtona bez strat zeszli na dno kanionu, zdobyli działo, a potem ruszyli na zabudowania rancza, wśród których ukryła się reszta konfederatów.

Zaskoczeni i przestraszeni widokiem kilkuset wrogów Teksańczycy rzucili się do ucieczki. Siedemnastu z nich się poddało. Po kilku minutach ranczo było zdobyte.

Ze wschodu dobiegały odgłosy bitwy o Glorietę, ale Chivington nie potrafił stwierdzić, ani jaka odległość dzieli go od miejsca głównych walk, ani czy przesuwają się one w jego kierunku. Bojąc się zasadzki, major wydał brutalny rozkaz – gdyby niedaleko rancza pojawili się żołnierze Scurry’ego, wszyscy jeńcy mają zostać rozstrzelani.

Niektórzy z ochotników z Kolorado skrzywili się na ten rozkaz, ale Chivington był stanowczy.

– Macie zabić wszystkich!

Teksańczycy to usłyszeli. Większość z nich była ranna albo chora i nie miała siły uciekać. Jeden z konfederackich oficerów uznał, że Chivington „zatracił człowieczeństwo”[522]. Teksaski żołnierz Harvey Holcomb uznał

majora za „godnego potępienia tchórza”, który wydał rozkaz zabicia bezbronnych jeńców „niczym psów”.

Waleczny rozstawił warty, które miały zaalarmować go, gdyby zbliżała się odsiecz i zabrał się do roboty. Kazał swoim ludziom zgromadzić w jednym miejscu wszystkie powozy i je podpalić. Płomienie szybko zajęły plandeki i deski powozów. W niebo uniosły się czarne chmury dymu. Nagle wybuchła amunicja znajdująca się w taborach, raniąc jednego z ochotników Chivingtona. Spłonęły namioty, biblie, końskie rzędy, materace, przybory kuchenne, kawa, ubrania, narzędzia, whisky. Jeńcy ponuro patrzyli na to, jak płomienie trawią ich własność.

Chivington przyglądał się pożarowi płonącymi oczami. Żar bijący od ognia zaróżowił mu twarz. Przed sobą miał stos pogrzebowy, na którym w pył obracało się pożądanie, z jakim konfederaci zerkali na Zachód.

„Spuściliśmy z konfederatów całą krew”, napisał jeden z podwładnych Chivingtona[523].

Major zwrócił się w stronę konfederackich koni i mułów. Było ich może pięćset, może sześćset. Bez wahania rozkazał zabić wszystkie zwierzęta. Żeby oszczędzić amunicję, jego żołnierze mieli zakłuć konie i muły bagnetami. Przez następne pół godziny ściany kanionu wypełniało pełne przerażenia kwiczenie i charczenie zarzynanych zwierząt i być może nerwowe śmiechy mordujących je ludzi.

W swoich memuarach Chivington chwalił się, że tego dnia jego ludzie zabili tysiąc sto zwierząt. Prawie na pewno przesadzał. Teksańczycy upierali się, że koni i mułów było dwa razy mniej. Fakt, że zawyżył liczbę zarżniętych zwierząt, dowodzi jednak, iż musiał być dumny ze swojego okrucieństwa.

Teksascy jeńcy przyglądali się rzezi z przerażeniem. Uważali, że zaraz przyjdzie kolej na nich. Mieli szczęście, że ich towarzysze broni nie przybyli im z odsieczą. Chivington na pewno dotrzymałby słowa.

Konfederacki marsz na Zachód się załamał. Pozbawieni taborów rebelianci stracili całą wolę walki. Teksańczycy czmychnęli z Gloriety i uciekli do Santa Fe, żeby zastanowić się, co robić.

Do stolicy Nowego Meksyku zaczęły napływać transporty z rannymi. Louisa Canby, żona pułkownika Canby'ego, zamieniła własny dom w szpital. Niektórzy z jej znajomych sarkali, że pomaga wrogowi.

– Przyjaciele czy wrogowie – odcięła się – i tak musimy spróbować ocalić im życie. Każdy z nich jest synem jakiejś matuli.

Teksańczycy byli poruszeni jej dobrocią. „Ta prawdziwa chrześcijanka – napisał jeden z nich – podbiła więcej serc konfederackich żołnierzy, niż jej mąż ich zabił".

Po blisko tygodniu generał Sibley przyznał, że jego misja zakończyła się klęską. Choć w oficjalnych meldunkach wysyłanych na wschód robił dobrą minę do złej gry, ciesząc się z taktycznego sukcesu na przełęczy Glorieta. „Mam zaszczyt i przyjemność donieść o kolejnej wiktorii", pisał do przełożonych. „Potrzebuję wzmocnień", przyznał jednak rozpaczliwie na końcu listu.

W swojej korespondencji z gubernatorem Teksasu Sibley był dużo bardziej bezpośredni. „Zostaliśmy okaleczeni", przyznawał[524]. Choć duma nie pozwalała mu dopuścić do siebie, że tego okaleczenia dokonała armia Unii. „Pokonaliśmy przeciwnika wszędzie tam, gdzie z nim walczyliśmy – upierał się. – Sami zostaliśmy jednak pokonani przez tę głodującą krainę". Generał nienawidził Nowego Meksyku. Twierdził, że nie był on „wart ćwiartki krwi i pieniędzy, które wydaliśmy na jego podbój". Odczuwał „dogłębne i nieodparte obrzydzenie na myśli o tym kraju i jego mieszkańcach". Jego marzenia o przyłączeniu Dzikiego Zachodu do Skonfederowanych Stanów Ameryki prysły.

Sibley planował już zresztą odwrót z Nowego Meksyku. Nie, nie odwrót, upierał się. „Szybką ewakuację".

Z kolei pułkownik Canby postanowił działać. 1 kwietnia na czele tysiąca stu żołnierzy wyszedł z fortu Craig i pomaszerował na północ wzdłuż Rio Grande. Nie zdając sobie sprawy, że jego były przyjaciel i obecny przeciwnik postanowił czmychnąć z Nowego Meksyku, chciał połączyć się z pułkiem z Kolorado, razem z nim uderzyć na Teksańczyków i wyprzeć ich na wschód. W forcie Craig zostawił Kita Carsona i dziesięć kompanii

nowomeksykańskich ochotników. Carsonowi nakazał obronę twierdzy „za wszelką cenę”.

Pułkownik był kłębkiem nerwów. Wieści o bitwie o Glorietę ucieszyły go i rozsierdziły zarazem. To prawda, rajd majora Chivingtona podciął skrzydła konfederatom, ale pułkownik Slough zlekceważył wyraźny rozkaz i samowolnie opuścił fort Union. Jak Canby pisał do niego w kipiących od irytacji listach, obrona całego terytorium mogła z tego powodu lec w gruzach. Prawdę mówiąc, Canby miał twardy orzech do zgryzienia. Prawdopodobnie był wściekły na Slougha i jego pikepeakersów za sprzątnięcie mu sprzed nosa glorii zwycięstwa.

Tak czy inaczej Canby’emu udało się nastraszyć Slougha sądem wojennym. Żeby nie dopuścić do hańbiącego procesu, pułkownik podał się do dymisji i wrócił do Denver. Na czele Pierwszego Pułku Ochotników z Kolorado zastąpił go major Chivington. Slough miał też inny powód powrotu do cywila. Po tym, jak został ostrzelany przez własnych żołnierzy na przełęczy Glorieta, poważnie obawiał się o swoje życie. „Złożyłem dowództwo – pisał w liście – bo wydawało mi się, że moja dalsza służba mogłaby się skończyć zamachem na moje życie”[525].

9 kwietnia Canby dotarł na przedmieścia Albuquerque i na własne oczy przekonał się o żałosnym stanie, w jakim znajdowała się armia generała Sibleya. Chcąc wywabić konfederatów z Santa Fe, pułkownik przeprowadził pozorowany atak na Albuquerque. Podstęp się udał – Sibley zamierzał bronić ostatnich zapasów, które rebelianci trzymali właśnie w Albuquerque. Kiedy jego siły dotarły na miejsce, a Santa Fe pozostało bezbronne, Canby pod osłoną nocy pomaszerował na wschód i połączył się z ochotnikami z Kolorado.

Jednocześnie pułkownik celowo zostawił konfederatom drogę ucieczki. Sibley zrozumiał aluzję i 11 kwietnia poprowadził swoich żołnierzy na południe w stronę Teksasu.

Pułkownik Canby wiedział, że jego wzmocnione wojska mogą z łatwością dopaść Sibleya, stoczyć z nim ostateczną bitwę i go rozgromić. Nie miał jednak takiego zamiaru. Chciał, żeby konfederaci jak najszybciej opuścili Nowy Meksyk. Nie był w stanie zagwarantować opieki wszystkim rannym

i chorym, których przybyłoby po takiej bitwie. Półpustynnego Nowego Meksyku po prostu nie byłoby na to stać.

Zamiast więc walczyć, Canby popędził wojska Sibleya niczym stado owiec na południe wzdłuż Rio Grande. Troszkę je przy tym nękał podjazdami, upewniając się, że nie zawrócą i nie spróbują zaatakować fortu Craig. Sibley maszerował zachodnim brzegiem rzeki, a Canby przypatrywał mu się z brzegu wschodniego. Wojska rebelianckie i federalne szły tak ramię w ramię przez ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Co noc żołnierze obu stron rozbijali obozowiska na przeciwległych brzegach Rio Grande. Nocowali tak blisko siebie, że mogli słyszeć śpiewane przez siebie piosenki i czuć zapach gotowanej kolacji. Jeden z Teksańczyków uznał widok ognisk rozpalanych tak blisko przez wroga za „wspaniały i odstręczający zarazem".

Wielu żołnierzy Canby'ego wściekało się, że nie mogą powalczyć z konfederatami, a zamiast tego idą za nimi niczym owczarki. Jeden z ochotników z Kolorado wyśmiewał łagodne podejście Canby'ego: „Skorzystanie z przewagi, jaką mamy nad Teksańczykami, byłoby nieuczciwe i nierycerskie. Niech Bóg dopilnuje, żeby oni nigdy nie mieli takiej przewagi nad nami"[526].

Kiedy w połowie kwietnia armia Sibleya dotarła w pobliże fortu Craig, generał postanowił obejść twierdzę szerokim łukiem i odbił w spalone słońcem góry leżące na zachodzie. Bał się ewentualnego spotkania z Carsonem. W nocy Teksańczycy zniszczyli wszystkie niepotrzebne rzeczy i ruszyli na zachód.

Rano Canby rzucił okiem na drugą stronę rzeki i ze zdziwieniem zauważył, że Teksańczycy opuścili obozowisko. Ich ogniska ciągle dymiły. Pułkownik wysłał za konfederatami zwiadowców. Kiedy wrócili, mieli dla Canby'ego ponure wiadomości. Idący przez góry Teksańczycy umierali z pragnienia i chorób. Szlak, którym przeszli, pokryty był porzuconymi ubraniami, wozami, bronią i trupami zwierząt oraz ludzi. Ciała zostały już nadjedzone przez wilki. Haniebny marsz Teksańczyków stał się, jak napisał jeden z nich, „walką o przetrwanie". Siły konfederatów skurczyły się o blisko jedną trzecią. Kiedy Teksańczycy wyruszali z San Antonio rok wcześniej, było ich

trzy i pół tysiąca. Od tamtej pory przeszło pięciuset z nich zginęło w walce bądź umarło od chorób. Drugie tyle poddało się lub zdezerterowało.

Sibley podróżował w swoim powozie, znowu pijany, i zabawiał żony sympatyków Południa, które razem z nim uciekały z Nowego Meksyku. Generał przegrał wszystko. Stracił też poczucie wstydu. Jak napisała później gazeta ukazująca się w Austin, „gonił cień krążący po pustkowiu”[527]. Jego wyprawa skończyła się porażką, jego nazwisko okryło się hańbą, a jego przyszłość była mocno niepewna. Podwładni go nienawidzili.

Powracająca do domu armia Teksasu, która miała zdobyć Nowy Meksyk, przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpaczy. Jeden z ochotników z Kolorado zaczął się nad nią użalać.

> Biedacy! Klimat i chłopcy Wuja Sama dali im popalić. Uciekają przez góry. Z armii, która chciała zdobyć fort Craig, została nieco ponad jedna trzecia żołnierzy. Wielu z nich leży teraz pod ziemią i tam śni słodkie sny. Niech razem z nimi pogrzebane zostaną ich winy. Są w końcu naszymi braćmi i mimo ich błędów trzeba uronić łzę nad zabitymi bohaterami. Nie ma wątpliwości, że jeśli my tego nie zrobimy, to inni będą czcili ich pamięć. Sprawa, za którą oddali życie, pozostanie święta, przynajmniej dla nich[528].

39

Okrągły Las

Teksańczycy odeszli, ale wojna nie chciała opuścić Nowego Meksyku. Kiedy wojska federalne toczyły bitwy z konfederatami, mieszkańcy terytorium cierpieli z powodu najazdów Nawahów. Manuelito i inni wojownicy nie mieli pojęcia, czemu armie *bilagaana* zaczęły ze sobą walczyć. Zresztą i tak nie zrozumieliby idei secesji, praw należnych stanom czy instytucji niewolnictwa, z której w zielonej krainie położonej na dalekim wschodzie zyski czerpali wielcy plantatorzy.

Ale oczywiście Nawahowie potrafili dostrzec nadarzającą się okazję. Żołnierze opuścili wiele fortów, a wzdłuż Rio Grande ciągle pasły się stada zwierząt hodowlanych. Jakby czekały na zagarnięcie przez odważnych Diné. Żołnierze zniknęli, więc Nawahowie rzucili się na dobytek Amerykanów. Rozzuchwaleni nieoczekiwanymi możliwościami i cały czas pałający żądzą zemsty za masakrę pod fortem Fauntleroy nawahijscy wojownicy najeżdżali na nowomeksykańskie osady przez prawie cały, trawiony suszą rok 1862. William Arny, były agent do spraw indiańskich i sekretarz Terytorium Nowego Meksyku, oszacował straty zadane przez Nawahów w 1862 roku na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Indianie porwali przeszło trzydzieści tysięcy owiec. James Collins, inspektor do spraw indiańskich w Nowym Meksyku, zanotował, że liczba morderstw popełnionych przez Nawahów była „prawdziwie przerażająca. […] Na liście zabitych nie widnieje kilka, lecz blisko trzysta nazwisk. Wszyscy ci ludzie zginęli w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy”[529].

Jakoś trzeba było problem nawahijski rozwiązać. Mieszkańcy terytorium głośno jak nigdy wcześniej domagali się zadośćuczynienia. „Santa Fe Gazette” wzywała do wojny totalnej, przypominając swoim czytelnikom, że „przez wiele miesięcy dzwony waszych świątyń wzywały na uroczystości pogrzebowe zamordowanych obywateli”.

Sprawą zajął się więc – na swój własny powolny i metodyczny sposób – pułkownik Edward Canby. Późną wiosną 1862 roku zaczął opracowywać plany bezprecedensowej kampanii wojskowej. Chciał zapędzić Nawahów do rezerwatu wykrojonego z ich ziem na dalekim Zachodzie, najlepiej wzdłuż rzeki Małe Kolorado w dzisiejszej północno-wschodniej Arizonie. Zdaniem Canby'ego minął już czas półśrodków. Koniec zabawy! Nadszedł czas ostatecznego rozwiązania. Pułkownik pisał do swoich przełożonych w Waszyngtonie, że „albo kompletnie eksterminujemy Nawahów, albo usuniemy ich z naszego sąsiedztwa i zapędzimy w rejony odległe od naszych osad, gdzie będą zupełnie odizolowani od mieszkańców Terytorium"[530].

Plan Canby'ego nie został jednak zrealizowany – a przynajmniej nie tak, jak zakładał to pułkownik. Historia postanowiła rozegrać starcie z Nawahami zupełnie inaczej. Edward Canby był przede wszystkim człowiekiem praktycznym i choć chciał wydać Nawahom brutalną i bezwzględną wojnę, to gdyby on ją poprowadził, jej skutki byłyby o wiele lepsze zarówno dla Nawahów, jak i dla wszystkich innych. Niemniej latem 1862 roku Canby został mianowany generałem i odwołany na Wschód. Jego przyciężkawy, ale praktyczny umysł był potrzebny w ogarniętym wojną Waszyngtonie. Jesienią Canby'ego zastąpił w Nowym Meksyku inny zawodowy oficer, doświadczony w walkach na pograniczu i świetnie znany na Dzikim Zachodzie. Miał on własny pomysł na zakończenie konfliktu z Nawahami.

Jak by tu opisać prostolinijną osobowość generała brygady Jamesa-Henry'ego Carletona? Był pedantem, człowiekiem do bólu skromnym, który myślał o wszystkim i który dzięki swojemu perfekcjonizmowi rzadko musiał przepraszać. Był też wybitnym oficerem, obdarzonym żelazną etyką, o nienagannych manierach, kompetentnym nie tylko na polu walki. Miał umysł ciekawy świata, który jednak prawdopodobnie był zbyt uporządkowany. W innym miejscu i czasie, a być może także w innym fachu, James Carleton mógłby osiągnąć naprawdę wiele. Niestety, późnym latem 1862 roku pojawił się w Nowym Meksyku. Jego przybycie doprowadziło do jednego z najtragiczniejszych w skutkach starć w długiej i smutnej historii stosunków pomiędzy USA a rdzennymi Amerykanami.

Łatwo jest mówić o nim jako o czarnym charakterze, albo nawet diable wcielonym. Ale Carleton był człowiekiem znacznie bardziej skomplikowanym, niż zwykło się przyznawać. Dawał się nawet lubić – niektórzy uważali go za niezwykle uprzejmego i miłego. Przyjaciołom był wierny do bólu. Miał zróżnicowane zainteresowania i hobby. Wspinał się po górach, zbierał rzadkie nasiona, czytał jak szalony. Miał też talent do tańca. Choć nie skończył college'u, znał ważnych ludzi nauki i literatury, takich jak Audubon czy Longfellow. Dla Instytutu Smithsona pisał poważne teksty na temat zabytków archeologii, które były jedną z jego pasji. Napisał też pierwszą książkę o być może najważniejszym starciu wojny meksykańskiej – bitwie pod Buena Vista, w której walczył i odznaczył się chwałą pod dowództwem generała Zachary'ego Taylora.

Nie był absolwentem West Point i prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z braków w swoim wykształceniu. Dlatego przez całą karierę gonił lepiej ustosunkowanych kolegów, przewyższając ich w znajomości sztuki wojennej, historii przyrody i znając się na wielu innych sprawach, które w jego czasach czyniły oficerów dżentelmenami. Czymkolwiek się zajmował, robił to z nieskończoną pasją, a zajmował się czymś stale. Stał się na przykład największym amerykańskim znawcą taktyki kawaleryjskiej stosowanej przez rosyjskich Kozaków. W szkole kawalerii w Carlisle w Pensylwanii poddał ją intensywnym badaniom. Podczas swoich licznych podróży po Dzikim Zachodzie zbierał dla Uniwersytetu Harvarda rzadkie okazy minerałów oraz fauny i flory. Miał też małą stocznię, w której projektował i budował żaglówki. Jego największym hobby były chyba meteoryty. W Arizonie znalazł blisko trzystukilogramową bryłę kosmicznego metalu – „porzuconą przez samego Wulkana" – i zaciągnął ją aż do San Francisco. Do dziś jest ona znana jako Meteoryt Carletona.

Kiedy przybył do Nowego Meksyku, żeby zastąpić Canby'ego, liczył sobie czterdzieści osiem lat i miał posturę żurawia. Każdy jego ruch zdradzał pewność siebie, uporządkowanie i – jak na kalwinistę z Nowej Anglii przystało – zamiłowanie do ciężkiej pracy. Jego spalona słońcem twarz, okolona wspaniałymi bokobrodami, emanowała inteligencją godną Theodore'a Roosevelta. Pozując do zdjęć, Carleton często mocno zaciskał

szczęki, jakby zgrzytał zębami. A jego wilcze oczy intensywnie wpatrywały się w jakiś daleki punkt, jakby ich właściciel intensywnie rozmyślał o innym, lepszym świecie. Według wszystkich relacji Carleton lubił słuchać własnego głosu i zawsze miał wiele do powiedzenia, wyrażając się przy tym precyzyjnie aż do bólu i mówiąc z lekkim akcentem z rodzinnego Maine.

Nie pojawił się w Nowym Meksyku niczym królik w kapeluszu. Wręcz przeciwnie – był doskonale znanym i poważanym oficerem, jednym z najlepszych, jakiego Stany Zjednoczone miały na pograniczu. Sam znał tam też właściwie wszystkich ważnych ludzi – Ulyssesa S. Granta, Williama Shermana, Johna C. Frémonta, George'a McClellana i George'a Crooka. Jego żona, Sophia, była blisko spokrewniona z generałem Johnem Garlandem. W młodości Carleton szkolił się na dragona w Fort Leavenworth u samego Stephena Wattsa Kearny'ego. To właśnie generała Kearny'ego, tego pilnego ucznia prerii, Carleton próbował naśladować.

Podczas długiej kariery wojskowej zjeździł cały Zachód – od Oklahomy, przez Utah, aż po Kalifornię – i miał do czynienia z niezliczonymi plemionami indiańskimi. Jedynym rejonem, w którym zagrzał miejsce na nieco dłużej, był właśnie Nowy Meksyk. W latach pięćdziesiątych XIX wieku przez pięć lat stacjonował w fortach rozsianych po całym terytorium. Uganiał się za Indianami, chronił karawany imigrantów i zanurzał się w specyficznych problemach Południowego Zachodu. Wydaje się, że nienawidził wszystkiego, co wiązało się z tym rejonem – z wyjątkiem jego wspaniałych ruin. Kiedyś napisał z obrzydzeniem, że mieszkańców Nowego Meksyku „nie interesowało nic poza ich poletkami kukurydzy i *acequias*[61]". Jak zauważył, „wszyscy mieli oni za to skłonność do brudu i ubóstwa. A na ich twarzach mocno wyryte było ich narodowe powiedzonko – *quien sabe*, kto wie?"[531].

Carleton uważał, że główną przyczyną zasmucającego zacofania Nowego Meksyku był konflikt z Nawahami. Wojna pozbawiała mieszkańców terytorium ich bogactw, uniemożliwiała im rozwinięcie jakiegokolwiek biznesu, mocno utrudniała podróże, zapętlała ich w niewolnictwie. Ogólnie mówiąc, wojna z Nawahami czyniła życie w Nowym Meksyku rozpaczliwym. Carleton uważał, że problem niewolnictwa leżał u podstaw

nie tylko wojny secesyjnej, której bitwy toczono głównie na Wschodzie, ale i wojny na Dzikim Zachodzie. Jako zatwardziały kalwinista pochodzący z Maine, w którym niewolnictwa zakazano, nie potrafił pogodzić się z konceptem zakładającym, że człowiek mógł być traktowany jak ruchomość. Sądził, że przed Nowym Meksykiem nie było przyszłości, dopóki jego mieszkańcy nie zmierzą się z instytucją, którą nazywał „wielkim złem".

Do Nowego Meksyku wracał po pięcioletniej nieobecności. Przez ten czas rozmyślał nad rozwiązaniem „problemu nawahijskiego". Teraz miał wprowadzić swoje wnioski w czyn.

Przybył z Kalifornii, skąd zabrał ze sobą tysiąc pięciuset żołnierzy i ochotników – górników pracujących dotąd w kopalniach złota. Początkowo miał pomóc Canby'emu wygonić Teksańczyków. Kiedy jednak dotarł do Rio Grande, wojna na Zachodzie właściwie już się skończyła. Po drodze oczyścił południowe granice Nowego Meksyku ze zdeklarowanych konfederatów. Wszędzie, gdzie dotarł, ogłaszał stan wojenny. Odzyskał dla Unii Tuscon, Mesillę i inne ważne miasta na Południu. Mimo to zarówno on, jak i jego podwładni żałowali, że nie wzięli udziału w prawdziwej bitwie.

Aż we wrześniu 1862 roku Carleton otrzymał nominację na dowódcę Dziewiątego Departamentu Wojskowego. Pojechał więc do Santa Fe, żeby objąć swoje obowiązki.

Przez następne cztery lata miał władać Nowym Meksykiem niczym dyktator. Był jednak rzadkim okazem despoty – podobnym do purytańskiego nauczyciela z zacięciem do inżynierii społecznej, który formułką „to dla waszego własnego dobra" przymuszał swoich podopiecznych do łykania tranu. Był utopistą i chrześcijańskim idealistą. Wiedział, jak powinien wyglądać świat doskonały, ale nie potrafił dostrzec realnego piekła, przez które wieść będzie droga do tego świata. Jak napisał C. L. Sonnichsen, historyk zajmujący się wojnami indiańskimi na Południowym Zachodzie, gdyby Carleton „nie musiał odgrywać roli Boga w kraju rozdartym wojną i zniszczonym, jego upór i umiejętności organizatorskie mogłyby zostać wykorzystane w lepszy sposób. Był niewątpliwie inteligentny i przezorny oraz rozpierały go energia i ambicja czynienia dobra. Jego wadą było jednak to, że nie potrafił przyznać się do błędu i w porę z niego wycofać"[532].

Carletona przygnała na Dziki Zachód fascynacja Indianami, ich umierającą kulturą i znikającym światem.

Urodził się w 1814 roku w rodzinie marynarskiej[533]. Jego ojciec umarł w młodym wieku. James Henry dorastał w nadmorskiej wiosce Castine położonej w Zatoce Penobscotów w stanie Maine. Jego rodzice byli biedni, ale w ich żyłach płynęła błękitna jankeska krew. Matka Jamesa pochodziła z Phelpsów, porządnej purytańskiej rodziny. A Carletonowie mieszkali w Nowej Anglii od lat sześćdziesiątych XVII wieku. Jego przodkowie zarówno po kądzieli, jak i po mieczu mieli swoje rodowe motta i herby. Z dumą pielęgnowali też swoje drzewa genealogiczne.

Młodość Carletona przebiegała w czasach dla Maine szczególnych. Podczas wojny brytyjsko-amerykańskiej w latach 1812–1814 Brytyjczycy okupowali większą część Maine położoną na wschód od rzeki Penobscot i zaanektowały resztę terytorium stanu aż po kanadyjski Nowy Brunszwik. Większość tych ziem była wówczas jeszcze niezbadaną i dziką krainą. Od czasu wojny o niepodległość prawa rościli sobie do nich zarówno Amerykanie, jak i Brytyjczycy. Carletonowie, jak wiele innych rodzin, stali się uchodźcami wojennymi. Musieli opuścić dom stojący na zajętej przez Brytyjczyków wyspie Moose. Chłopięce lata Jamesa zostały więc naznaczone sporami granicznymi i ciągłym zagrożeniem wojennym (granica pomiędzy USA a Kanadą została wyznaczona w tym rejonie dopiero w 1842 roku). Jego rodzina znalazła się w centrum bolesnego sporu, na rozwiązanie którego nie miała żadnego wpływu. Niektórzy uważali, że to wspomnienia z dzieciństwa spędzonego na dzikim amerykańsko-brytyjskim pograniczu popchnęły go później do poszukiwań ostatecznego i ostrego rozwiązania konfliktu z Nawahami. Carleton – z powodu swojej konstrukcji psychicznej i nabytego doświadczenia – nienawidził bałaganu społecznego.

Pomijając jednak spory graniczne i wczesną śmierć ojca (umarł, kiedy James Henry miał piętnaście lat), dzieciństwo Carletona można uznać za szczęśliwe. Wychowywał się nad wodą, spędzając lata nad rzeką Penobscot i na skalistym wybrzeżu oceanu. Pływał, łowił małże i ryby. Jego przyjaciel David Barker (którego później nazywano Robertem Burnsem[62] z Maine)

napisał wiersz dedykowany Carletonowi i poświęcony ich wspólnemu dorastaniu.

> Kiedy życie wypełniało szczęście,
> Nogi niosły, a serca biły z radości,
> Nie znając zmęczenia.
> Kiedyśmy pływali, łowili i żeglowali
> W strumieniu naszej młodości[534].

Młody Carleton wcale nie tęsknił do Dzikiego Zachodu i nie uważał, żeby właśnie tam leżało jego przeznaczenie. Choć nie udało mu się zdobyć porządnego wykształcenia formalnego, chciał zostać powieściopisarzem. Jak wielu młodych z jego pokolenia, którzy aspirowali do miana literatów, fascynował się oczywiście twórczością Washingtona Irvinga, Jamesa Fenimore'a Coopera i innych amerykańskich autorów, dla których głównym tematem było pogranicze. Carleton uwielbiał pisać listy i miał w zwyczaju prosić w nich znanych pisarzy o rady. Kiedy miał dwadzieścia cztery lata, napisał do samego Charlesa Dickensa. Zwierzał się mu ze swoich planów pisania opowieści o „aborygenach" Dzikiego Zachodu. W liście dał też do zrozumienia, że jeśli nie powiedzie mu się jako pisarzowi w Ameryce, to mógłby pojechać do Anglii i tam spróbować swych sił. Dość impertynencko zapytał też Dickensa, czy kiedy przyjedzie do Londynu, będzie mógł uznać wielkiego pisarza za swego przyjaciela.

Musiał być zszokowany, kiedy Dickens mu odpisał.

List, datowany 27 marca 1838 roku, był dość długi. Dickens naciskał w nim, by Carleton pozostał w Stanach Zjednoczonych i po prostu pisał.

„Nie mogę się oprzeć myśli, że porządne opowieści – szczególnie te związane ze zwyczajami i historią amerykańskich ludów pierwotnych, które to ludy wydają się coraz bardziej interesujące, a ich liczba ciągle maleje – muszą znaleźć opiekunów i czytelników w wielkich miastach Ameryki". Dickens, ojcowskim tonem pełnym ciepła i irytacji zarazem, udzielił młodemu Carletonowi rozsądnej rady: „Musi pan się upewnić ponad wszelką wątpliwość, że jest pan zdolny do kariery, do której pan aspiruje […] i powinien pan spróbować osiągnąć coś w swojej własnej ojczyźnie, zanim wyruszy pan w podróż do cudzej". Dickens napisał też, że nie wie, czy

Carleton będzie mógł się doń zwrócić jako do przyjaciela, jeśli przyjedzie do Londynu. „Zobowiązując się do przyjaźni wobec człowieka, którego nigdy nie widziałem i którego myśli i uczucia pozostają mi obce – bo znam je tylko z jednego listu – sprostytuowałbym słowo »przyjaciel«”[535].

Kiedy odpowiedź Dickensa płynęła parowcem przez Atlantyk, Carleton przygotowywał się do wojny z ojczyzną słynnego pisarza. Podobnie jak tysiące młodych mężczyzn z Maine wstąpił do milicji, której celem było powstrzymanie wojsk kanadyjsko-brytyjskich w konflikcie, który przeszedł do historii jako wojna o Aroostook [1838–1839 – przyp. tłum.]. Wojna ta była najnowszą odsłoną pogranicznego konfliktu i skończyła się bezkrwawo, ale dała Carletonowi przedsmak późniejszej kariery wojskowej.

W tym samym roku James Henry wstąpił do regularnych sił zbrojnych USA i pojechał na szkolenie do szkoły kawalerii w Carlisle w Pensylwanii. W 1840 roku ożenił się z Henriettą Tracy Loring, piękną szatynką pochodzącą z porządnej rodziny z Bostonu. Ich małżeństwo trwało jednak przez ledwie rok. W 1841 roku, mieszkając z Carletonem w Fort Gibson nad rzeką Arkansas, Henrietta umarła. Prawdopodobnie na malarię. Jej ciało przewieziono na Wschód i pochowano w Cambridge w Massachusetts.

Pogrążony w żałobie Carleton poświęcił się karierze wojskowej. Z powodu przewrażliwienia na punkcie własnej osoby i przesady w dosłownym traktowaniu regulaminów wojskowych ciągle sprzeczał się jednak z innymi żołnierzami. Jedna z takich kłótni skończyła się dla niego krótkim zawieszeniem w obowiązkach i zmianą przydziału wojskowego. Carleton był człowiekiem trudnym w obejściu. Nigdy nie chciał oddać pola.

Pozostawał ciągle zafascynowany amerykańskimi Indianami i skrupulatnie dokumentował swoje spotkania z nimi. Jego dzienniki z tych czasów zostały potem opublikowane. Kiedy stacjonował w forcie Croghan w Teksasie, poznał plemię Indian Wielkich Równin, które miało w zwyczaju mielenie wysuszonych zwłok swoich wrogów i zamienianie ich w puder szczęścia noszony w woreczkach z lekami. Spotkał też wojownika z plemienia Potawatomi, który zjadł serce jednego ze swoich wrogów.

– Zrobić dużo mocy – miał powiedzieć Carletonowi. – Smakować dobrze. Wielki lek.

W październiku 1843 roku Carleton poznał nad rzeką Missouri Jamesa Audubona, który podróżował po Dzikim Zachodzie, badając i rysując zwierzęta. W swoim pamiętniku nazwał Carletona „świetnym kompanionem i znakomitym dżentelmenem”[536]. Sprezentował mu też podpisaną przez siebie planszę przedstawiającą assapana północnego, zwanego też latającą wiewiórką. Carleton odwdzięczył się skórą niedźwiedzia i porożem jelenia.

Wydaje się, że młody Carleton był szczęśliwy, pełniąc służbę na pograniczu. Wśród wielu przeżytych wtedy przygód był między innymi marsz z dragonami pułkownika Kearny’ego z Fort Leavenworth do Przełęczy Południowej w Górach Skalistych. Podróż, podczas której tylko w jedną stronę przebył przeszło trzy tysiące kilometrów, Carleton wspominał z radością. Jego dzienniki są pełne peanów na temat wojskowego życia na pograniczu. Egzaltował się „białymi namiotami stojącymi w długich rzędach na zielonej trawie, błękitnym dymem unoszącym się w powietrze, atletycznymi postaciami żołnierzy zajmujących się swoimi obowiązkami […] otoczonymi przez najczystszą przyrodę […] na polach nietkniętych przez żaden pług, w zagajnikach nieokaleczonych siekierą”. Po powrocie do Fort Leavenworth Carleton pisał, że nie może już się doczekać, kiedy ponownie znajdzie się na szlaku. Jego serce „niecierpliwiło się, żeby wskoczył na koń i znowu odjechał w siną dal” z grupą „pewnych i radosnych towarzyszy, jeść pieczone mięso bizona, gotowaną dziczyznę, pić kawę, palić fajkę i słuchać opowieści, żartów i pieśni”[537].

Jednak nietknięta stopą człowieka preria zaczęła właśnie się zmieniać. Na Szlaku Oregońskim pojawił się kurz wzniecany przez karawany powozów, w których pełni nadziei ludzie jechali na Zachód, „zmierzając na drugą stronę gór, spoza których nigdy nie wrócą i za którymi spoczną ich kości”. W dziennikach Carletona widać, że pękał z narodowej – a nawet rasowej – dumy, patrząc na te nieskończone rzeki ludzi. „Sądząc po tym, co tu widzę, kiedy pierwsza z tych kompanii dotrze do doliny rzeki Kolumbia, brzegi Atlantyku i Pacyfiku połączy rzeka Anglosasów, która ze stałą prędkością trzech węzłów będzie płynąć na zachód”[538].

Tę idyllę gwałtownie zakończyła wojna z Meksykiem. Carleton znalazł się w Monterey, gdzie walczył pod generałem Zacharym Taylorem. Przeciwnik był tu zupełnie inny. Lekka i subtelna taktyka, którą posługiwali się wyszkoleni przez Kearny'ego dragoni, okazała się bezużyteczna. W większości starć, w których brał udział Carleton, walczyło się w ciasnym szyku i sporą rolę odgrywała ciężka artyleria.

Jednym z punktów zwrotnych w tej wojnie, a być może najważniejszym z nich, była bitwa pod Buena Vista, w której Carleton brał udział i którą potem opisał. W lutym 1847 roku po dwóch dniach morderczej walki na przełęczy górskiej niedaleko Saltillo pięciotysięczne siły Taylora rozgromiły armię czternastu tysięcy Meksykanów dowodzonych przez Antonia Lópeza de Santa Annę, jednonogiego generała, który po każdej porażce odradzał się jak Feniks z popiołów.

Carleton wspomina, że poranek w dniu bitwy był „wyjątkowo jasny i przejrzysty", a słońce „wydawało się sypać diamenty na wypolerowaną broń Meksykanów […] i trzepoczące proporce, które okazały się lasem lanc"[539]. Przyszły generał żywo opisuje dziwną ciszę panującą na przełęczy i przenikliwy krzyk wybuchającej z furią bitwy. „Ostry grzechot muszkietów, ponura odpowiedź karabinów i komendy wygrywane przez trębaczy zmieszały się z okrzykami tych, którzy walczyli w górze […], ponaglający syk kul, które rozdzierały ziemię albo przelatywały nam ze świstem koło ucha – wszystko to będzie do nas powracać, nawet kiedy będziemy już starymi ludźmi".

Burkliwy generał Taylor podobno zachował tak zimną krew podczas bitwy, że – jak głosi legenda – kiedy dostrzegł niewielki pocisk armatni lecący wprost na niego, nonszalancko uniósł się w strzemionach, pozwalając kuli przelecieć pomiędzy jego pośladkami a siodłem. Ta opowieść jest bez wątpienia zmyślona. Ale generał zasłynął rozkazem, który wydał od niechcenia młodemu artylerzyście Braxtonowi Braggowi. Memlając pod nosem, Taylor powiedział działonowemu, żeby nabił haubice większą ilością ołowiu.

– Być może – zasugerował – powinniście dać im trochę więcej winogron, kapitanie Bragg.

Innym kapitanem artylerii, który odznaczył się podczas bitwy pod Buena Vista, był młody John M. Washington, który kilka lat później miał zrobić nie najlepszy użytek z artylerii, bez sensu ostrzeliwując starutkiego Narbonę i uciekających Nawahów.

Przegrana pod Buena Vista była początkiem klęski Meksyku. Nie gasząc nawet ognisk, upokorzona armia Santa Anny wycofała się do Mexico City i tam oczekiwała na nieuchronny atak Amerykanów. Ponoć Santa Anna wymachiwał nad głową sztuczną nogą, kiedy jego żołnierze kwestionowali oddanie swego dowódcy dla republiki.

Wielu amerykańskich oficerów, którzy walczyli pod Buena Vista – w tym John Wool, Jefferson Davis i wspomniany już Braxton Bragg – zrobiło potem w wojsku kariery. Okupione krwią doświadczenie zdobyte w wojnie meksykańskiej brutalnie wykorzystali podczas wojny secesyjnej. Po bitwie generał Zachary Taylor stał się w USA bohaterem narodowym i wygrał wybory prezydenckie. Hasłem jego kampanii stało się: „Trochę więcej winogron".

Bitwa bardzo pomogła karierze Jamesa Carletona. Zdolny młody porucznik został wyróżniony za waleczność i promowany od razu na majora. A ponieważ poważnie zachorował – prawdopodobnie na dyzenterię – odesłano go do Waszyngtonu. To podczas rekonwalescencji w stolicy i Bostonie zaczął spisywać wojenne opowieści, jednocześnie zalecając się do swojej przyszłej drugiej żony Sophii Garland Wolfe. Książka Carletona, zatytułowana *The Battle of Buena Vista* [Bitwa pod Buena Vista] i opublikowana przez wydawnictwo Harper Brothers w 1848 roku, została dobrze przyjęta w prasie i uważnie przeczytana zarówno przez urzędników Departamentu Wojny, jak i samego prezydenta Zachary'ego Taylora. Opowieść Carletona to głównie szczegółowy zapis działań bojowych, precyzyjny i zwięzły, być może troszkę kwiecisty, ale czasem major wyraźnie przesadza. „Kiedy weźmie się pod uwagę wszystkie czynniki – konkluduje Carleton – bitwa pod Buena Vista zostanie zapewne uznana za największą, jaką kiedykolwiek stoczono na tym kontynencie. Można też wątpić, czy znajdzie się jakaś inna – toczona w innym miejscu lub czasie – która przebije ją wielkością"[540].

Choć Carleton opisywał wojnę meksykańską tak podniośle, to jednak była ona dla niego ledwie przecinkiem w długiej karierze wojskowej, podczas której walczył z Indianami oraz ich nadzorował, jak również prowadził nad nimi badania. Z radością powrócił do służby na pograniczu, którą tak ukochał, i szybko dostał przydział w Nowym Meksyku. To tam na początku lat pięćdziesiątych XIX wieku nawiązał mocną, długą i dość niezwykłą przyjaźń z Kitem Carsonem.

Ich pierwsze spotkanie było związane z niebezpieczną przygodą, która spotkała Carsona na Szlaku Santa Fe latem 1851 roku. Kit wracał z Missouri, skąd zabrał swoją szesnastoletnią już córkę Adaline, którą chciał osiedlić w Nowym Meksyku. Podróżowali razem w niewielkiej grupie, liczącej tuzin osób, wśród których było kilku Meksykanów obeznanych ze szlakiem, bratanica Carsona Susan i jej świeżo poślubiony mąż Jesse Nelson.

Gdzieś w zachodnim Kansas wyprawa natknęła się na wrogo nastawionych Czejenów. Carson był pewien, że uda się uniknąć zatargu. W końcu świetnie znał południowych Czejenów, jego druga żona pochodziła z tego plemienia, a Czejeni byli mocno związani – więzami krwi i przyjaźni – z klanem Bentów. Carson nie wiedział jednak, że grupa, którą spotkał, niedługo przedtem została bardzo źle potraktowana przez amerykańskich żołnierzy. Nietrzeźwy oficer publicznie wychłostał jednego z wojowników, który popełnił jakieś drobne wykroczenie. Teraz cała wioska ukaranego szukała zemsty za tę niewybaczalną obelgę (Czejeni, podobnie jak wiele innych plemion Wielkich Równin, nie tolerowali podobnej przemocy poza działaniami wojennymi). Trochę później, kiedy Carson dowiedział się o chłoście, od razu zrozumiał całą sytuację. W swojej autobiografii sarkał na amerykańskiego oficera: „Podejrzewam, że miał tyle odwagi, że wystawała mu ona z butów. A ponieważ miał w zasięgu ręki Indian, postanowił na nich tę swoją odwagę wylać”[541].

Tak czy inaczej upokorzony Czejen i jego współplemieńcy szukali odwetu. Zadowoliliby się każdą bladą twarzą, która znalazłaby się w zasięgu ich wzroku. Akurat napatoczył im się Carson i jego kompania. Nieważne było, że Kit nie miał pojęcia o upokorzeniu zgotowanym Indianom przez żołnierzy. Tak działał plemienny kodeks etyczny. Carson go zresztą świetnie rozumiał

i sam stosował przez wiele lat, kiedy był jeszcze traperem i przewodnikiem Frémonta. Teraz miał pecha znaleźć się po drugiej stronie barykady.

Kit szybko wyczuł, że sprawa źle wygląda. Zachował więc spokój i zaprosił Indian do obozu na fajkę. Pykając ją, Czejeni zaczęli ze sobą rozmawiać, nie zdając sobie sprawy, że Carson doskonale ich rozumie. Kit opowiada w swojej autobiografii, że Indianie zastanawiali się, jak zabić jego i innych członków jego grupy – tych, których nie chcieli porwać. „Mówili, że kiedy palę i nie mam się na baczności, mogą łatwo zadźgać mnie nożem. Meksykanów, którzy byli ze mną, mieli zabić równie łatwo jak bizony”[542].

Carson natychmiast im przerwał.

– Nie mam pojęcia, dlaczego chcecie mojego skalpu – powiedział, wpatrując się im w oczy. – Nie zrobiłem wam nic złego i potraktowałem was jak przyjaciół. Teraz musicie odejść[543]!

Indianie popatrzyli po sobie. Nie wiedzieli, co zrobić. Według Jesse’ego Nelsona sytuacja stała się mocno napięta. Czejeni w końcu wyciągnęli strzały, Amerykanie wycelowali w nich karabiny, a jeden z wojowników zaczął grozić Carsonowi tomahawkiem. Potem Indianie odeszli od ogniska i poszli do swoich koni.

– Jeśli wrócicie, będziemy strzelać – krzyknął za nimi Carson.

Potem kazał zwinąć obóz i cała grupa ruszyła szlakiem na zachód, którym jechała aż do zmierzchu. Pod osłoną nocy Kit wysłał gońca, który na najszybszym koniu pognał po pomoc do niewielkiego garnizonu wojskowego ulokowanego w dolinie Rayado. Następnego ranka Carson zorientował się, że ich tropem idą setki czejeńskich wojowników. Indianie mieli wypisany mord na twarzach.

Kit znowu postanowił z nimi się rozmówić.

– Wysłałem naprzód jeźdźca – powiedział, mając pewność, że goniec był już poza zasięgiem ewentualnego pościgu. – Mam wśród żołnierzy wielu przyjaciół. Jeśli nas zabijecie, będą wiedzieli, że to wy. Znajdą was i pomszczą naszą śmierć[544].

Groźba najwyraźniej okazała się skuteczna. Czejeni odeszli, mimo że ciągle – choć w pewnej odległości – podążali tropem Amerykanów.

Kilka dni później do grupy Carsona przygalopował niewielki pododdział dragonów pod dowództwem majora Jamesa Henry’ego Carletona. Żołnierze przejechali przeszło sto sześćdziesiąt kilometrów, żeby przyjść z pomocą Kitowi i jego współpodróżnikom. To wtedy Carleton i Carson się poznali. Szorstki i arogancki oficer dragonów stanął naprzeciwko zwykłego człowieka, który stał się gwiazdą. Kit z ulgą witał swojego wybawcę, stojąc przy swojej przestraszonej córce półkrwi indiańskiej.

Bardzo możliwe, że Carleton uratował wtedy Carsonowi życie. A także życie Adaline i reszty grupy. Kit zaciągnął więc u Carletona potężny dług, o którym miał już nigdy nie zapomnieć.

Stanowili dziwaczną parę, nawet jak na Dziki Zachód – być może jeszcze bardziej niezwykłą niż Carson i Frémont. Mimo to w jednej chwili ich związek został przypieczętowany – stali się przyjaciółmi na całe życie.

Kilka miesięcy później major Carleton wybrał się na południe z zadaniem zbadania dolnego odcinka rzeki Pecos. Choć wydawało się ono prozaiczne, okazało się znamienne dla Carletona oraz dla… Nawahów.

W tamtych czasach bieg drugiej pod względem długości i znaczenia – po Rio Grande – rzeki Nowego Meksyku był słabo poznany. Pecos – która w swoim górnym odcinku była krystalicznym strumieniem pełnym pstrągów – wypływała z dzikich gór Sangre de Cristo za Santa Fe i wiła się na wschód, płynąc w pobliżu ruin puebla Pecos i kilku latynoskich wiosek, które czerpały z niej wodę. Potem zakręcała na południe, a jej wody robiły się coraz cieplejsze, spokojniejsze i bardziej zasadowe, wymywając czerwone piaskowce i porośnięte wierzbami piaszczyste równiny.

Wiadomo było, że rzeka płynęła co najmniej do miasteczka Anton Chico. Potem jednak rozpływała się niczym mgła – przynajmniej na mapach. Niektórzy zwali ją „zagubioną rzeką”, choć Pecos tak naprawdę płynęła po prostu spokojnie na południe, na jeszcze większe odludzie.

W lutym 1852 roku Carleton poprowadził więc swoich dragonów z zadaniem dokładnego zbadania przebiegu Pecos i dokonania rekonesansu jej dolnego odcinka. Być może w jego okolicy znajdowało się odpowiednie miejsce pod budowę fortu?

Carleton wędrował w dół rzeki przez blisko sto sześćdziesiąt kilometrów. Przedzierał się przez półpustynną krainę porośniętą kaktusami, czasem na dalekim wschodzie widząc pasące się na prerii bizony. Ziemię przykrywała warstwa żółtej gleby, a niebo nie dawało wytchnienia od gwałtownych zmian pogody – burz i wichur. Dragoni byli niedaleko granicy z Teksasem i surowego płaskowyżu zwanego po hiszpańsku Llano Estacado [ang. Staked Plains] – „palikowatą równiną". Była to tak nieprzyjazna, olbrzymia i monotonna kraina, że pierwsi eksploratorzy hiszpańscy musieli ponoć znaczyć swój szlak wbijanymi w ziemię co ligę palikami [ang. *stakes*], żeby podobnie jak Tezeusz w labiryncie Minotaura znaleźć drogę powrotną do domu.

W końcu jednak szczęście uśmiechnęło się do majora Carletona. Rzeka rozlewała się w szerokiej dolinie. Jej brzegi porastały wielokilometrowe szpalery topól. Pomiędzy drzewami pasły się jelenie, antylopy i dzikie indyki. W pewnym miejscu Pecos ostro zakręcała, tworząc zakole, w którym gleba miała zupełnie inny kolor niż gdzie indziej – barwą przypominała czekoladę. Po rzece pływały kaczki, okolica była też pełna bobrów. A liczne głębie na pewno obfitowały w ryby. W porównaniu z wypaloną krainą rozciągającą się naokoło ten odcinek Pecos był oazą.

W miejscu tym od dawien dawna spotykali się Indianie mieszkający na równinach Południa. Przybywali tu Komancze, Indianie Kiowa, Apacze Mescalero, a czasem nawet hiszpańscy myśliwi polujący na bizony. Można tu było pohandlować, a także posiedzieć, zapalić i pogadać. Potężne drzewa zapewniały znużonym wędrowcom cień i przyjemny chłodek. Topolowy zagajnik, zasilany przez nurt wijącej się rzeki, rozrósł się w gęstą kolistą kępę. Z tego powodu Hiszpanie nazwali to miejsce Bosque Redondo, Okrągłym Lasem.

Carleton był urzeczony. W swoim uporządkowanym umyśle widział już nawadniane sztucznie pola, domy, budynek przeznaczony na spotkania i obrady oraz być może nawet kościół z wieżą. Tak przecież wyglądała cywilizacja, którą znał ze Wschodu. Roztarł w dłoni grudkę gleby i uznał, że była najwyższej klasy, porównywalnej albo i lepszej niż czarnoziemy doliny rzeki Missouri. Zwrócił uwagę na rosnące w okolicy słoneczniki, których

wyschnięte już i pełne nasion głowy chwiały się na wietrze ponad głowami jego siedzących w siodłach żołnierzy. Trawa rosnąca naokoło była mocna i mięsista. Zapasy drewna wydawały się niewyczerpane. Jeden z dragonów zastrzelił indyka. Posilający się mięsem Carleton określił je jako „aromatyczne”.

W swoim raporcie major uznał Bosque Redondo za „znakomite miejsce na założenie solidnego posterunku kawaleryjskiego”. Jego wyobraźnia pracowała pełną parą. Był tak zadowolony ze swego odkrycia, że kazał ściąć jedną z topól i przerobić ją na maszt. Żołnierze wbili go w wybranym przez dowódcę punkcie, w którym, według Carletona, powinien kiedyś stanąć fort.

Okrągły Las. Carleton nigdy nie zapomniał o tym miejscu i nigdy nie porzucił swoich związanych z nim marzeń. Mówił o nich przez lata, choć nikt go nie słuchał. Bosque Redondo leżał na końcu świata, w samym sercu wrogiej krainy Komanczów, ale Carleton nie przestawał namawiać swoich przełożonych, żeby wykorzystali ten rajski ogród. Bez wątpienia miał wizję, w jego umyśle kiełkował pomysł na rozwiązanie choć części problemów świata. Okrągły Las czekała wielka przyszłość.

Przyjaźń łącząca Jamesa Carletona z Kitem Carsonem pogłębiła się podczas pięcioletniej służby majora w Nowym Meksyku. Obaj byli żonaci, a ich rodziny się rozrastały, więc nie dzielili ze sobą nałogów, takich jak alkohol czy hazard. Ale widywali się regularnie podczas masońskich spotkań w Santa Fe. Carson polubił Carletona, którego uważał za tryskającego energią. Podobnie jak u Frémonta imponowała mu erudycja Carletona, jego pozycja w wojsku i koneksje na Wschodzie.

Z kolei Carleton na początku uważał Carsona za odrobinę zbyt grubo ciosanego. Podejrzewał, że prasowe doniesienia o jego licznych talentach były mocno przesadzone. W końcu jednak zmienił zdanie. Wiosną 1854 roku był świadkiem jednej z najsłynniejszych przygód w życiu Carsona i od tej pory zaczął go głęboko podziwiać.

W końcu maja Carleton zatrudnił Kita jako przewodnika. Wyruszał z dragonami w pościg za Apaczami Jicarilla, którzy tej wiosny dawali się osadnikom wyjątkowo mocno we znaki. Dragoni mieli odzyskać zagarnięte

przez Indian konie. Carleton i Carson wyjechali z Taos z kilkoma kompaniami wojska. Ruszyli na północ do Kolorado, przekraczając surowe góry Sangre de Cristo. Kiedy zjechali na prerię, Carson wypatrzył słaby trop – podobny do tego, który śledził w 1849 roku, kiedy ścigał porywaczy Ann White i jej dziecka.

Carson miał złe przeczucia. Ślad był „zimny". Apaczów Jicarilla uważał zaś za najtrudniejszych do wytropienia ze wszystkich plemion Południowego Zachodu. Nie dawał jednak za wygraną, badał uważnie kolejne ślady i upewniał się, że jest na tropie Jicarilla. Po kilku dniach ich trop stał się „ciepły".

Pewnego ranka przy śniadaniu Carson powiedział majorowi Carletonowi, że tego dnia dogonią Apaczów. Potem dodał, że stanie się to dokładnie o drugiej po południu. Carleton był sceptyczny, nie wierzył, żeby czas spotkania ze ściganymi przez nich Indianami dało się tak dokładnie wyznaczyć i powiedział o tym Carsonowi. Ten jednak się uparł.

Carleton zaproponował więc zakład. Jeśli ścigani Indianie rzeczywiście okażą się Apaczami Jicarilla i jeśli uda się ich dogonić dokładnie o drugiej po południu, on, Carleton, kupi Carsonowi najwspanialszy kapelusz z futra bobrzego, jaki można dostać w Nowym Jorku. Carson się rozpromienił. Takie kapelusze były niezwykle cenne, a on, mimo że przez wiele lat był traperem polującym na bobry, nigdy nie miał na głowie końcowego dzieła swoich zimnych i mokrych łowów.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Po południu Amerykanie natknęli się na obozowisko Apaczów Jicarilla rozbite w trawie w górach Raton niedaleko Szlaku Santa Fe. Carleton rzucił okiem na zegarek i zaklął. Było siedem minut po drugiej.

Zdumiony major napisał potem, że „Kit Carson słusznie uważany jest za najlepszego białego tropiciela na świecie"[545]. Dragoni ruszyli do ataku i choć większość Apaczów uciekła, Carletonowi udało się odzyskać czterdzieści ukradzionych koni i inne indiańskie łupy.

Carson upierał się, że przegrał zakład o siedem minut, ale major uznał, że nie ma co się spierać o taki drobiazg. Pocztą zamówił kapelusz z bobrzego

futra wykonany przez znakomitego nowojorskiego kapelusznika. Kiedy kilka miesięcy później Carson włożył go na głowę, nie potrafił się nie uśmiechnąć.

Na podszewce złotymi literami wypisano dedykację: „O drugiej, dla Kita Carsona od majora Carletona”.

40

Obrócić w pył

Osobowość Jamesa Carletona ostro kontrastowała z charakterem Kita Carsona. W jednym jednak byli dziwnie do siebie podobni. Carson, tak jak Carleton, miał niezwykły talent do znajdowania się w zupełnie nieprawdopodobnych miejscach we właściwym czasie.

W 1859 roku odegrał główną rolę w jednym z najczarniejszych i najbardziej kontrowersyjnych epizodów historii podboju Dzikiego Zachodu. Choć poświęcił swoje życie zawodowe walce z Indianami pogranicza i badaniom ich kultury, tym razem zetknął się twarzą w twarz z innym plemieniem Zachodu – rosnącymi w siłę mormonami z Utah.

Była wiosna. Carleton stacjonował w południowej Kalifornii w forcie Tejon niedaleko Los Angeles. Otrzymał rozkaz, żeby z pododdziałem dragonów wyruszyć do południowo-zachodniej części Utah, gdzie miał przeprowadzić śledztwo w sprawie wypadków, które miały miejsce rok wcześniej. Potężna karawana emigrantów z Arkansas będąca w drodze do Kalifornii zaginęła po postoju w dzikim i pięknym miejscu znanym wielu wędrowcom jako Mountain Meadows. W karawanie – nazywanej Grupą Fanchera od nazwiska jednego z jej przywódców – jechało przeszło sto dwadzieścioro mężczyzn, kobiet i dzieci. Podejrzewano, że wszyscy zostali zabici – albo przez Pajutów, albo przez mormonów, albo przez jednych i drugich. Jednak nikt nie miał pojęcia, co tak naprawdę się wydarzyło. Nie przeprowadzono żadnego śledztwa w tej sprawie, nikogo nie ukarano za tę potencjalnie największą – przynajmniej w liczbach – zbrodnię popełnioną na amerykańskiej karawanie osadniczej.

Mountain Meadows były tak oddalone od cywilizacji, że Carleton i jego dragoni przedzierali się do nich przez tygodnie. Maszerując na wschód Starym Szlakiem Hiszpańskim musieli pokonać między innymi południowe rejony pasma Sierra Nevada i pustynię Mojave. Na miejsce dotarli pod

koniec maja. Po krótkim śledztwie stało się jasne, że doszło do najgorszego. Carleton nakazał swoim ludziom przeczesanie całego terenu. Żołnierze centymetr po centymetrze badali ślady zostawione na ziemi. Okazało się, że choć większość najmłodszych dzieci jadących w karawanie uszła z życiem – siedemnaścioro odnaleziono w domach mieszkających w okolicy mormonów – to wszyscy mężczyźni, kobiety i nastoletnie dzieci zginęli od strzałów w głowę z bliskiej odległości.

Mrożący krew w żyłach raport, który Carleton sporządził dla swoich przełożonych, był pierwszą wiarygodną wiadomością na temat tragedii, która stała się znana jako masakra w Mountain Meadows[546]. Do dziś raport ten pozostaje jednym z najważniejszych dokumentów dotyczących tej sprawy. James Carleton, choć musiał być już wtedy przyzwyczajony do widoku trupów, był zaszokowany tym, co zastał w miejscu zbrodni. Jak pisał, był to „potworny widok – kobiece włosy, odcięte loki i całe pukle włosów, wiszące na krzakach szałwii i leżące na ziemi w wielu miejscach. Fragmenty ubranek dziecięcych i kobiecych strojów pozwijane w różnych miejscach i rozwleczone po ziemi. A pomiędzy tym wszystkim tu i tam, wszędzie naokoło, co najmniej na odcinku mili […] leżały czaszki i inne kości tych, którzy tu cierpieli”[547].

Carleton zaczął przesłuchiwać pionierów mieszkających w okolicy. Praca detektywa mu odpowiadała, był w niej zresztą dobry. Mormoni żyjący niedaleko Mountain Meadows upierali się, że masakry dokonali wyłącznie Pajutowie. Carleton jednak, podobnie jak ówcześni czytelnicy gazet, miał poważne wątpliwości co do tej wersji wydarzeń. Grupa Fanchera była świetnie uzbrojona i prowadzili ją ludzie doświadczeni w walkach z Indianami. Z drugiej strony Pajutowie nie byli uważani za szczególnie groźnych wojowników. Co więcej, dzieci, które przeżyły masakrę, zeznały, że wśród napastników widziały białych mężczyzn przebranych za Indian.

Prowadząc krzyżowe przesłuchania i dokładnie badając miejsce zbrodni, Carleton ustalił, że rola Pajutów w tej tragedii była marginalna. Sprawcami zbrodni byli tak naprawdę miejscowi mormoni, którzy najwyraźniej dostali na nią przyzwolenie od wysokich dostojników kościelnych z Salt Lake City – być może nawet od samego Brighama Younga[63]. Przed masakrą sytuacja

w Utah była niezwykle napięta. Mormoni obawiali się, że amerykańska armia wyruszyła z fortu Laramie z zamiarem zajęcia Salt Lake City. Wojna wydawała się nieunikniona. Poligamiczni mormoni świetnie pamiętali prześladowania, jakich doznali w stanach Nowy Jork, Illinois i Missouri. Doświadczali więc najwyższego napięcia i byli gotowi zbrojnie przeciwstawić się nadchodzącym niewiernym.

Wtedy właśnie do Utah weszła karawana Fanchera. Dla mormonów jej członkowie nie byli po prostu niewiernymi. Osadnicy pochodzili z Arkansas, w którym ledwie rok wcześniej zamordowano jednego z apostołów mormonów Parleya Pratta. Według mormońskiej doktryny „odkupienia krwi" zabijanie niewiernych było dopuszczalne w sytuacji zagrożenia dla Kościoła. Nie można było jednak mordować „niewinnych" – za takich mormoni uważali dzieci do ósmego roku życia.

Być może, myślał Carleton, to dlatego z masakry ocalały tylko małe dzieci. W dniu rzezi łkające maluchy – których ubrania były mokre od krwi ich pomordowanych rodziców – rozdzielono pomiędzy okoliczne rodziny mormonów. Czyli, jak sądził major, dzieci miały mieszkać wśród ludzi, którzy uczynili je sierotami. Potem owi „rodzice zastępczy" zażądali od władz federalnych zwrotu blisko dwóch tysięcy dolarów, które, jak twierdzili, musieli wydać na „wykupienie" biednych sierot z niewoli Pajutów.

Kiedy Carleton zdał sobie z tego wszystkiego sprawę, wpadł w szał. „Mordercy rodziców i rabusie ich własności. Te niepohamowane diabły wcielone miały jeszcze czelność zażądać zapłaty za opiekę […] nad tymi bezbronnymi dziećmi. Czy ktokolwiek kiedykolwiek dopuścił się czynu, który równałby się temu pod względem diabelskiej bezczelności i tupetu?"[548].

Pobyt w Mountain Meadows napełnił Carletona obrzydzeniem. Mordercy nie mieli nawet na tyle przyzwoitości, żeby pochować swoje ofiary. „Szczątki – pisał major – zostały rozwleczone przez wilki, które zdarły z nich ciało".

Dragoni Carletona pochowali kości blisko czterdziestu członków wyprawy Fanchera, które znaleźli w Mountain Meadows. Następnie ścięli kilka cedrów

i zbili z nich krzyż, który wkopali w ziemię. Carleton kazał na nim wyryć inskrypcję: „Do Mnie należy pomsta – mówi Pan. Ja wymierzę zapłatę”[64].

Potem żołnierze przywlekli spory granitowy głaz i umieścili go obok krzyża. Na skale wyryli następujący napis: „W tym miejscu sto dwadzieścioro mężczyzn, kobiet i dzieci zostało zamordowanych z zimną krwią na początku września 1857 roku. Pochodzili z Arkansas”.

Misja, którą Carleton wypełnił w Mountain Meadows, prześladowała go do końca życia. W jego notatkach znać było gorączkę, jego słowa pełne były apokaliptycznych tonów. Na Zachodzie było o wiele więcej przemocy, niż sobie wyobrażał, Zachód był pełen zamętu i walki o przetrwanie, targany plemiennymi waśniami, których jego uporządkowana osobowość nie mogła znieść.

Obszerny raport, który Carleton napisał po zakończeniu śledztwa, został wydany przez Kongres USA i przedrukowany przez gazety w całych Stanach Zjednoczonych. Dokument był aktem oskarżenia przeciwko Kościołowi mormonów. „Są jak wrzód na ciele narodu – pisał major – wrzód, którego nie wystarczy wypalić, żeby się zagoił. Trzeba go całkowicie i starannie wyciąć”[549]. Kiedy Carleton powrócił do Kalifornii, w rozmowie z przyjacielem poszedł nawet dalej.

– Moglibyśmy wreszcie spojrzeć tym diabłom prosto w twarz – powiedział. – Powinniśmy dać mormonom rok, nie więcej. A gdyby potem nadal zatruwali naszą ziemię swoją obecnością, powinniśmy dosłownie roznieść ich w pył.

Pomnik ustawiony w Mountain Meadows przez Carletona i jego dragonów przetrwał dwa lata, stanowiąc surowe i mocne ostrzeżenie dla wędrowców. Niemniej w 1861 roku Brigham Young przyprowadził do Mountain Meadows swoich ludzi i kazał im zniszczyć zarówno krzyż, jak i kamień nagrobny. Kiedy jego podwładni niszczyli pomnik, mormoński apostoł powiedział:

– Do Mnie należy pomsta – mówi Pan. Zapłatę wymierzyłem.

Po powrocie z koszmarnej misji w Utah Carleton spędził w forcie Tejon kolejny rok, poświęcając się skomplikowanym i krwawym relacjom

pomiędzy osadnikami a Indianami mieszkającymi w Kalifornii. Od gorączki złota minęła ledwie dekada, ale wiele z plemion zaczęło już zanikać. Indianie umierali z powodu nowych dla nich chorób, wygnania z domów i mordowani przez białe milicje. Potop angloamerykańskich imigrantów, żądnych złota i ziemi, przyspieszył bieg rzeczy w Kalifornii – w tym bieg spraw związanych z tamtejszymi Indianami. Jak jeszcze nieraz w przyszłości Kalifornia znalazła się więc w awangardzie amerykańskiej historii. Raptowny upadek zamieszkujących ją plemion był przedsmakiem tego, co wkrótce miało spotkać rdzennych Amerykanów na całym Zachodzie. Los Indian w Kalifornii pogarszał się tak szybko, że część urzędników zaczęła wykazywać wobec nich niespotykaną wcześniej postawę, którą można by uznać za chrześcijańskie współczucie.

Pojawił się też pomysł na uratowanie Indian przed wyginięciem. Plemiona Kalifornii miały zostać fizycznie odseparowane od amerykańskiego społeczeństwa. Powinny zostać przeniesione na wydzielone dla nich ziemie, które byłyby dobrze nawodnione i nadawały się do uprawy. Tam trzeba będzie Indian nauczyć uprawy roli i hodowli zwierząt. Rząd nie powinien uciekać od odpowiedzialności. Musi zaopatrzyć Indian w nowoczesne maszyny, porządne stada i dobre nasiona, dzięki czemu przestaną oni w końcu wieść żywot wędrowców i osiedlą się na samowystarczalnych farmach, gdzie będą uczciwie zarabiać na życie, mieszkając we wspólnocie przypominającej późniejsze izraelskie kibuce. Każda z takich komun powinna być porządnie strzeżona przez żołnierzy stacjonujących w zbudowanym niedaleko forcie. Wojskowi będą nie tylko pilnować Indian, żeby nie zapędzali się na ziemie swoich białych sąsiadów, ale także nie pozwolą białym na sprowadzanie na tereny indiańskie alkoholu i innych używek.

Pomysł ów przypominał późniejszą politykę apartheidu, nie ma co do tego wątpliwości. Choć był oparty na uprzedzeniach rasowych, które rządziły ówczesną Ameryką, to jednak jego zwolennicy kierowali się zarazem humanitarną obawą, że całe plemiona indiańskie znalazły się na krawędzi apokalipsy i – parafrazując Carletona – zaraz obrócą się w pył.

Fort Tejon, gdzie stacjonował Carleton, został wybrany na pierwsze miejsce, w którym wprowadzono w życie pomysł ratowania Indian. Przeprowadzony w jego okolicy eksperyment stał się zarzewiem późniejszego systemu rezerwatów indiańskich w Ameryce Północnej. Komuna rolna, którą utworzono w pobliżu, była dzieckiem Edwarda Fitzgeralda Beale'a, barwnego oficera marynarki wojennej USA, który razem z Carsonem rozsławił swoje nazwisko podczas bitwy pod Pasqual i który później towarzyszył Kitowi podczas jego pierwszej transkontynentalnej wyprawy do Waszyngtonu (chodzi o tego samego człowieka, który bezskutecznie próbował wprowadzić wielbłądy do służby w amerykańskiej armii stacjonującej na pustynnym Dzikim Zachodzie). W latach pięćdziesiątych XIX wieku Beale został mianowany pierwszym kalifornijskim inspektorem do spraw indiańskich. Jak na swoje czasy był człowiekiem postępowym. Był też wstrząśnięty powolnym ludobójstwem, które rozgrywało się na jego oczach. Rozpaczał, że kalifornijscy Indianie są „wypierani ze swoich terenów rybackich i łowieckich, sami stając się zwierzyną łowną, która traciła domy na podstawie czyjegoś widzimisię"[550].

Beale wydzielił dla swoich podopiecznych dwadzieścia tysięcy hektarów porządnej ziemi leżącej wzdłuż rzeki, która płynęła w pobliżu fortu Tejon. Następnie namówił prawie trzy tysiące Indian (z plemienia Emigdiano i innych mniejszych grup zamieszkujących dolinę San Joaquin), żeby tam się osiedlili. Twierdził, że oparł swój pomysł na systemie hiszpańskich misji katolickich, w ramach którego kalifornijscy Indianie przez stulecia znajdowali zatrudnienie (byli niewolnikami – jak powiedzieliby inni) przy uprawie roli.

– Przecież – przekonywał Beale – jeśli udało się to kilku biednym księżom, to dlaczego nie miałoby się udać tak potężnej republice, jaką są Stany Zjednoczone[551].

Prasa w Kalifornii chwaliła wizjonerstwo Beale'a i proponowała, żeby stworzyć sieć podobnych komun indiańskich wzdłuż pasma Sierra Nevada. „Całą indiańską rasę w Kalifornii trzeba albo wytępić – pisała redakcja gazety „California Alta" – albo zebrać wszystkich Indian i zorganizować

w komuny, które będą w stanie wyżywić się pracą własnych rąk i które podniosą ich z upadku, w którym teraz się znajdują”[552].

Wiosną 1854 roku na farmie w pobliżu fortu Tejon pracowało codziennie czterdzieści pługów. Obsługiwali je indiańscy chłopcy, którzy po krótkim szkoleniu „wykazywali taką sprawność i umiejętności”, że Beale’owi wydawało się, iż „przez całe życie nie zajmowali się niczym innym”. Indianie obsiali dwieście hektarów gruntu jęczmieniem i blisko osiemdziesiąt hektarów kukurydzą. Wykopali też kanały nawadniające oraz pobudowali stodoły i domy. Marzenie Beale’a nabierało rumieńców, a farma Tejon przez wiele lat świetnie prosperowała.

Eksperyment prowadzony przez władze nie był jednak tani. Na początku Beale poprosił rząd federalny o pięćset tysięcy dolarów. Potem jednak chciał coraz więcej, aż w końcu urzędnicy w Waszyngtonie uznali, że przesadza. Kalifornijskie gazety jednak, choć narzekały na rosnące koszty utrzymania farm, zdecydowanie popierały projekt Beale’a. „Alta” argumentowała, że dzięki farmie Tejon i innym podobnym Indianie „mogli zostać wyniesieni ze stanu na pół barbarzyńskiego, indolencji, umysłowego upośledzenia oraz moralnego upadku i przekształceni w lud cywilizowany, chrześcijański, przedsiębiorczy, pełen zalet, oszczędny, radosny oraz społecznie przydatny”[553].

Ostatecznie jednak farma Tejon upadła. Stało się to między innymi dlatego, że inspektor Beale założył ją na terenach, do których prawa rościli sobie latynoscy osadnicy dzierżący wcześniejsze nadania ziemskie. Poza tym sam Beale został zwolniony z pracy (z powodów politycznych) w czasie rozruchu swego ulubionego projektu. Tak czy inaczej, Beale nie tylko próbował stworzyć coś nowego, ale także pokazał, że pomysł ulokowania Indian na samowystarczalnych farmach ma szansę się udać. Choćby na chwilę.

Idee wprowadzane w życie w forcie Tejon fascynowały Jamesa Carletona. Kiedy wczesną wiosną 1862 roku jako świeżo upieczony generał brygady przybył do Nowego Meksyku, od razu rozpoczął próby ich zastosowania wobec Nawahów. Postanowił też wykorzystać panujący na terytorium

niepokój związany z niedawną inwazją konfederatów i strach, że Teksańczycy powrócą. Skoro mieszkańcy Nowego Meksyku już znajdowali się „na wojennej ścieżce”, to dlaczego tego nie wykorzystać i nie skanalizować ich energii w jakimś użytecznym działaniu? Carleton natychmiast wprowadził stan wojenny – w tym godzinę policyjną i obowiązek uzyskania paszportu przed udaniem się w podróż. A potem wykorzystał swą pozycję, żeby rozwiązać „problem nawahijski”. Jego oddanie temu zadaniu graniczyło z obsesją. Generał postanowił poświęcić się wypełnieniu dawnej przysięgi Kearny’ego, który obiecał „wszystko naprawić”.

> Kiedy tu przybyłem – pisał Carleton – opracowanie planu, który z bożą pomocą położy kres wszystkim problemom, stało się nie tylko częścią mojej pracy, ale i moim obowiązkiem, który byłem winien mieszkańcom i rządowi. Nawahowie dawno temu przekroczyli punkt, w którym rozmowy mają jeszcze sens. Musimy ich solidnie ukarać, wzbudzając w nich strach przed nami. Tylko wtedy przestaną zabijać i rabować nasz lud[554].

Carleton cytował też szacunki Williama Arny’ego, z których wynikało, że tylko w 1862 roku Nawahowie porwali anglosaskim i latynoskim ranczerom ponad trzydzieści tysięcy owiec, a straty związane z ich najazdami wyniosły blisko dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. „Aby wyleczyć to terytorium z wielkiego zła, którego od tak dawna było ofiarą – pisał generał – musimy zastosować nową kurację”.

Carleton chciał powtórzyć indiański eksperyment, którego był świadkiem w forcie Tejon. Tym razem jego skala miała jednak być o wiele większa. Nawahowie mieli zostać przesiedleni do Bosque Redondo, miejsca, które oczarowało Carletona, kiedy „odkrył” je na początku lat pięćdziesiątych podczas badania biegu rzeki Pecos. Wydaje się, że pomysł ten wyskoczył z głowy generała w pełni ukształtowany, niczym Atena z głowy Zeusa. Tak jakby Carleton rozmyślał nad nim przez całe swoje dotychczasowe życie. Okrągły Las miał być jego „dziełem”. Nie marnując więc czasu, zabrał się do realizacji pomysłu. 31 października 1862 roku, ledwie kilka tygodni po przybyciu do Santa Fe, wydał rozkaz budowy posterunku wojskowego w lesie nad Pecos, który nazwał Fort Sumner.

Zespół oficerów wysłany na rekonesans donosił jednak, że Bosque Redondo nie nadaje się ani na fort, ani na rezerwat Indian. Ich zdaniem oaza, choć rzeczywiście niezwykła, to jednak była zbyt oddalona od świata i „od rejonów, z których można by do niej dostarczyć żywność". Co więcej, „materiały budowlane trzeba będzie sprowadzać z bardzo daleka. A spora część tamtejszej doliny jest zalewana przez wiosenne powodzie".

Najbardziej pesymistyczna jednak była część raportu dotycząca jakości wody. Oficerowie pisali, że woda w Okrągłym Lesie jest bardzo zasadowa i ma gorzki posmak, a na brzegach rzeki odkładają się osady białawego pyłu. „Woda w Pecos – donosił raport – zawiera sporo niezdrowych minerałów"[555].

Carleton dostał szału, kiedy to wszystko przeczytał. Postanowił po prostu nie przyjmować do wiadomości analizy autorstwa swoich oficerów i lekceważąc poważne zastrzeżenia, zaczął wprowadzać swój plan w życie. Budowa Fort Sumner miała się rozpocząć już w listopadzie. Generał zaczął też planować kampanię przeciwko Nawahom. Jej celem było przeniesienie całego plemienia do ukochanego przez Carletona Bosque Redondo.

„Jedyny pokój, który możemy z nimi zawrzeć – pisał do przełożonych z Departamentu Wojny w Waszyngtonie – musi opierać się na przeniesieniu ich do Bosque Redondo, gdzie jak Indianie Pueblo staną się oni ludem rolniczym i porzucą swój nomadyczny styl życia. Alternatywą jest […] albo całkowite podporządkowanie się, albo zniszczenie"[556]. Ultimatum, które Carleton chciał postawić Nawahom, brzmiało bardzo podobnie do tego, które jego zdaniem powinno było zostać postawione mormonom. Jak pisał w swoim raporcie ze śledztwa po masakrze w Mountain Meadows: „Są jak wrzód na ciele narodu, którego nie wystarczy wypalić, żeby się zagoił. Trzeba go całkowicie i starannie wyciąć".

Opisując w meldunku do przełożonych swój plan rozwiązania „problemu nawahijskiego", Carleton tryskał energią. Okrągły Las był jego zdaniem „najlepszym regionem pasterskim leżącym pomiędzy dwoma oceanami". Przyznawał, że siłowe przesiedlenie dwunastu tysięcy ludzi z ich ojczyzny mogło się wydawać okrutne, ale w końcu „srogość jest w tym przypadku najbardziej humanitarnym podejściem". A kiedy Diné zostaną już

przesiedleni nad Pecos, sprawy muszą potoczyć się w dobrą stronę. Pomysł, jak pisał Carleton, był taki, żeby zebrać Nawahów w miejscu „odległym od gór i kryjówek ich krainy oraz być dla nich dobrym – nauczyć ich dzieci czytać i pisać, nauczyć ich żyć w pokoju, nauczyć ich prawd chrześcijaństwa. Wkrótce przyjmą nowe zwyczaje, nowe idee i nowy styl życia. Starsi Indianie wymrą i zabiorą ze sobą do grobów wszystkie dotychczasowe przyzwyczajenia związane z mordowaniem i rabowaniem. Ich miejsce zajmą młodzi. I ziarnko do ziarnka, staną się szczęśliwym i zadowolonym z życia ludem, a wojny z Nawahami na zawsze odejdą do zamierzchłej przeszłości”[557]. Jak przewidywał Carleton, w ciągu dekady Nawahowie staną się „najlepiej żyjącymi Indianami w Nowym Meksyku, a być może i w całych Stanach Zjednoczonych”.

Naiwny optymizm Carletona okazał się zaraźliwy. Prawie wszystkie lokalne władze w Nowym Meksyku przyjęły jego pomysł entuzjastycznie. Mimo litrów wody wylanych w meldunku przez generała jego pomysł wprowadzał jednak do pradawnego konfliktu z Nawahami nową jakość. Zanim Carleton przybył do Nowego Meksyku, wojny z Nawahami opierały się na zbrodni i karze. Kara była zaś stosowana w starotestamentowym rozumieniu. Amerykańscy żołnierze mieli „chłostać” i „siać grozę”, tak żeby Indianie „czuli potęgę i bat”. Z kolei Carleton mówił o szlachetnym obowiązku, jaki Stany Zjednoczone i biali mają wobec Nawahów. Zamiast ich karać, chciał ich nauczać, głosząc wśród nich szorstką, ale jednak miłość, dzięki której mieli się stać „szczęśliwym i zadowolonym z życia ludem”.

Jego pomysł przeszczepienia społecznego eksperymentu z Tejon na grunt Nowego Meksyku i zakończenia w ten sposób konfliktu z Nawahami musiał jednak zostać wprowadzony w życie przemocą. Równie dobrze można by bowiem próbować wbić drewniany krawędziak do okrągłego otworu. Carleton nie przyjmował do wiadomości, że realia Kalifornii i Nowego Meksyku są zupełnie inne. A jeśli nawet to rozumiał, to tego nie uwzględnił. Indianie, którzy osiedlili się w Tejon, byli w większości niewojowniczymi ludami zbieracko-łowieckimi i sami chcieli zająć się uprawą roli w miejscu znajdującym się niedaleko ich dotychczasowej ojczyzny. Przez pokolenia mieszkali w pobliżu hiszpańskich misji, więc sposoby intensywnej

uprawy ziemi oraz życie w zwartej zabudowie nie były im zupełnie obce. Co więcej, stanowili miszmasz niewielkich i słabych plemionek, które nie miały ani wspólnej przeszłości, ani jasnej przyszłości, a liczba ich członków gwałtownie spadała. Nie mieli więc nic do stracenia, a wiele do zyskania, biorąc udział w eksperymencie Beale'a.

Nawahowie stanowili zupełnie inną wspólnotę. Należeli do potężnego ludu, który dysponował ogromnymi stadami zwierząt. Przez stulecia byli nieubłaganym wrogiem. Narodem, który co prawda przeszedł wiele przemian, ale tylko na własnych warunkach. To prawda, że uprawiali ziemię, ale pędzili półkoczownicze życie wśród swoich ukochanych owiec i nie chcieli przeprowadzać się do zwartej zabudowy przypominającej osiedle w Tejon. Wiedząc, co stało się z Anasazi zamieszkującymi kanion Chaco, byli niezwykle podejrzliwi wobec zbytniego zagęszczenia ludności.

Tym jednak, co najbardziej odróżniało Diné od Indian z Kalifornii, była ich potęga. Choć byli politycznie zróżnicowani, podobnie jak plemiona z okolicy Tejon, to Nawahów łączyła mocna i nieustępliwa kultura. Mówili tym samym językiem i wierzyli w te same mity. Mieli wspólną tożsamość. Dumni Diné nie byli ludźmi, których łatwo było przekonać do zrobienia czegokolwiek. Nie mówiąc już o przekonaniu ich do rozpoczęcia zupełnie nowego życia.

Co więcej, Bosque Redondo znajdował się blisko sześćset pięćdziesiąt kilometrów od krainy Nawahów. Otaczała go nieskończona preria, która była zupełnie inna niż pokryty czerwonym piaskowcem świat, który Diné znali i kochali. Plan Carletona wymagał więc siłowego przesiedlenia – exodusu o skali porównywalnej do Szlaku Łez[65], który w latach trzydziestych XIX stulecia przeszli Czirokezi, przenoszeni przez władze USA z południowo-wschodnich rejonów kraju do Oklahomy. Żeby zapędzić Nawahów do Bosque Redondo, Carleton musiał ich najpierw złamać. Diné nie zamierzali opuszczać swojej krainy dobrowolnie.

Historia walk z Nawahami pokazywała, że nie będzie to zadanie łatwe. Przez wieki wojny prowadzone z nimi przypominały pracę Syzyfa albo nawlekanie na sznurek koralików z rtęci. Hiszpanie, mimo wysiłków, które wkładali w „ostateczne rozwiązanie" problemów z Nawahami, nie poradzili

sobie z nimi. Podobnie Meksykanie. Po dwudziestu latach panowania równie niewydolni okazali się Amerykanie. Dlaczego uparty jak kozioł generał pochodzący z Maine wyobrażał sobie, że akurat jemu się uda?

Carleton spędził życie, uganiając się za Indianami, i miał pewne ponure pomysły na uczynienie walki z nimi bardziej skuteczną. Wiedział, jak zgiąć karki Nawahów i rzucić ich na kolana. Dokonanie tego wymagało zastosowania innej taktyki – takiej, która łączyłaby upartą walkę partyzancką z bezlitosną zasadą spalonej ziemi. Generał zamierzał brutalnie ścigać i głodzić Nawahów, palić ich zbiory i zabijać ich stada. Zamierzał wypowiedzieć im wojnę totalną, która ogarnie każdego nawahijskiego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko żyjące w każdym zakątku porytej kanionami krainy. Carleton rozumiał, że piękni, elegancko umundurowani dragoni z czasów generała Kearny'ego nigdy nie poradziliby sobie z Nawahami. „Te górskie wilki", jak nazywał Diné, potrafiły dostrzec amerykańskich kawalerzystów całe dni przed ich nadejściem.

Żołnierze generała Carletona mieli więc poruszać się w cieniu. „Indianin – pisał – jest zwierzęciem bardziej uważnym i ostrożnym od jelenia. Trzeba na niego polować niezwykle umiejętnie. Nie da się po prostu na niego naskoczyć. Nie pozwoli on swoim prześladowcom zaatakować się, chyba że będzie miał nad nimi przewagę"[558]. Carleton postanowił wyciągnąć lekcję ze swoich wieloletnich badań nad taktyką rosyjskich Kozaków. Uważał, że amerykańska kawaleria walcząca z Indianami na Dzikim Zachodzie powinna brać z nich przykład. Postanowił, że jego żołnierze będą lekką kawalerią jak Kozacy. Będą ścigać swoją zwierzynę dniem i nocą. Będę poruszać się „w niewielkich grupach, bez całego wojskowego hałasu i zamieszania, bez błysku broni w dzień i ognisk, pogawędek i wygodnego snu nocą. Będą polować w ciszy i albo cierpliwie czekać na nadejście swoich ofiar, albo nieustępliwie, dzień po dniu podążać ich tropem".

Celem wojny z Nawahami nie miała już być szybka kara, po której następował natychmiastowy powrót amerykańskich wojsk do domu. Teraz żołnierze mieli nękać Indian przez wszystkie pory roku. Wywierać na nich nieustającą presję. „Naszym celem – pisał Carleton – jest użycie ciągłej siły

wobec ludu, któremu nie można ufać bardziej, niż ufa się wilkom biegającym po górach”.

Była jeszcze jedna przyczyna, dla której Carleton uważał, że powinno się wygnać Nawahów z ich ojczyzny. Generał wyczuł zapach złota.

Być może w Kalifornii zbyt mocno napatrzył się na to, jak inni zdobywają fortuny. Albo uważał się za kompetentnego geologa, który potrafi wykryć obecność szlachetnego kruszcu dzięki jednemu spojrzeniu na ukształtowanie terenu. A może po prostu dał się ponieść wyobraźni. Jakkolwiek było, generał wbił sobie do głowy – bez żadnych specjalnych powodów – że kraina Nawahów okaże się żyłą złota.

Faktem jest, że James Carleton wstydził się Nowego Meksyku. Wstydził się jego biedy, tego, że nie błyszczy, jak należało, że w Waszyngtonie o nim zapominano i że nikomu nie zależy na tym, żeby podnieść jego status z terytorium do pełnoprawnego stanu. Na Kapitolu uważano Nowy Meksyk – z jego wszystkimi problemami i ciągłym wojnami z Indianami – za ogromne obciążenie dla budżetu federalnego. Przez lata kongresmeni poważnie zastanawiali się nad zwrotem terytorium Meksykowi. Po co rozlewać więcej krwi i wydawać więcej pieniędzy w tak beznadziejnym miejscu?

Co więcej, Carleton musiał nie tylko wstydzić się zacofania Nowego Meksyku, ale także zazdrościć swoim kolegom ze Wschodu splendoru i chwały, którymi okrywali się podczas bitew wojny secesyjnej. Zdawał sobie sprawę, że jeśli chce myśleć o dalszej karierze w wojsku, musi dokonać w Nowym Meksyku czegoś spektakularnego – czegoś, za co niewątpliwie przyjdzie zapłacić wysoką cenę. Musiał więc znaleźć solidne uzasadnienie dla swojego pomysłu. Inaczej nie przekonałby sceptyków z Waszyngtonu, już narzekających na rosnące lawinowo wydatki związane z wojną secesyjną, żeby ponieśli kolejne koszty na dalekim Zachodzie.

A jeśli Nowy Meksyk skrywał podziemne skarby? Swoje gorączki przeżyły i Kalifornia, i Kolorado, więc dlaczego nie miała ona się powtórzyć w okolicach Santa Fe? Pomysł Carletona wcale nie wydawał się szaleńczy. Wystarczyło spojrzeć na niezwykłe ukształtowanie terenu w Nowym Meksyku, na jego wygasłe wulkany i wyniosłe góry, żeby pomyśleć, że jego

trzewia mogą skrywać bogactwa. Przecież ludzie od wieków poszukiwali tu szlachetnych kruszców. Mityczne Siedem Miast, które przywabiły konkwistadora Coronado, nigdy nie istniało, ale plotkowano o żyłach srebra ukrytych w zlewni rzeki Gila, żyłach węgla i turkusu w górach Ortiz i potężnych pokładach miedzi zalegających pod pomarszczoną ziemią.

Carletona najbardziej interesowało jednak złoto i był pewien, że w Nowym Meksyku można je znaleźć. „Na północny zachód od Rio Grande aż po Nevadę – pisał do generała Henry'ego Hallecka – rozciąga się kraina równie bogata w minerały jak Kalifornia, a może i bogatsza". Kraina Nawahów. Zdaniem Carletona było to „prawdziwe królestwo […] cudowny kraj pełen minerałów. Opatrzność naprawdę nas nim pobłogosławiła, bo złoto leży tu właściwie pod nogami i wystarczy tylko się po nie schylić".

Trudno powiedzieć, skąd Carleton czerpał dowody na poparcie swoich słów. Wydaje się, że po prostu chciał mieć rację. W krainie Nawahów *może* być złoto. A żeby zapewnić bezpieczeństwo jego pokładom i górnikom, którzy po nie przyjadą, kiedy wieści się rozniosą, trzeba usunąć stamtąd Diné. Generał zwierzał się jednemu ze swoich przełożonych, że odkąd przyjechał do Nowego Meksyku, nie ustawał w wysiłkach, by „wymieść Indian. Chodzi mi nie tylko o to, żeby ludzie mogli spokojnie uprawiać tu ziemię, ale także o to, żeby, jeśli się da, znaleźć żyły i pokłady szlachetnych metali".

W kolejnym liście do generała Hallecka Carleton posunął się dalej. Upierał się, że na wybrzeżu rzeki Gila odkryto „jedno z najbogatszych złóż złota na świecie". Ich potencjalna wartość była rzekomo tak olbrzymia, że miała na zawsze odkupić w oczach całego narodu winy tej zapomnianej krainy. Być może bogactwa Nowego Meksyku mogły wspomóc kraj w jego wysiłku wojennym na Wschodzie? „Nie pogardzajcie Nowym Meksykiem jak finansową studnią bez dna – pisał. – Te pieniądze się zwrócą"[559].

Carleton zdawał sobie sprawę, że – zważywszy na piastowane stanowisko – nie może szukać złota na własną rękę. Zachęcał jednak do tego swoich znajomych i podwładnych. Radził, żeby wyruszali do krainy Nawahów i zabezpieczyli jej bogactwa, zanim zacznie się nowomeksykańska gorączka złota. „Pomoc innym w zdobyciu fortuny – napisał do kapitana J.

G. Walkera – nie dostarczy mi takiej radości, jakbym sam ją zdobył, to prawda, ale prawie tyle samo. Taki już mój los, że fortuna omija mnie z daleka”.

Carleton nie tylko uważał, że poważnemu generałowi takiemu jak on nie uchodziło uganianie się za bryłkami złota. Nie widział też powodów, dla których miałby osobiście dowodzić w polu kampanią przeciwko Nawahom. To było dla niego niezwykłe. W końcu był zapalonym mikromenadżerem, który sam zajmował się wszystkimi szczegółami. W swój nawahijski plan nie tylko zainwestował serce i duszę, ale i ryzykował, że jeśli się nie powiedzie, jego kariera legnie w gruzach. A jednak nie interesowało go osobiste doglądanie postępów amerykańskich wojsk, by zobaczyć na własne oczy, jak spełnia się jego marzenie. Wolał być nieobecnym zdobywcą i zarządzać wojną z bezpiecznej odległości w Santa Fe, pozostawiając jej prowadzenie swojemu dowódcy polowemu.

Nie miał też wątpliwości co do tego, kto powinien tym dowódcą zostać: Kit Carson. Obaj oficerowie się przyjaźnili, przeżyli też razem sporo przygód. Tak naprawdę jednak Carleton nie mógł się obyć bez Carsona, podobnie jak szesnaście lat wcześniej nie mógł sobie bez niego poradzić generał Kearny, a jeszcze wcześniej Frémont. Tylko Carson miał niezbędne umiejętności tropiciela, cieszył się popularnością wśród mieszkańców terytorium, świetnie znał krainę Nawahów i miał dobrą reputację wśród innych plemion żyjących w okolicy. Sukces, który Carson odniósł pod Valverde, pokazał, że Kit nie tylko jest dobrym zwiadowcą, lecz także potrafi dowodzić wojskiem na polu bitwy. Także jego sława mogła się przydać, nadając kampanii wymyślonej przez Carletona odpowiednią aurę i blask godny historii z prawdziwego zdarzenia.

Carleton uważał, że Carson ma kwalifikacje po temu, żeby poprowadzić żołnierzy do krainy Nawahów. Uważał go niemal za wysłannika niebios. I z ochotą powierzyłby mu bezpośrednie dowództwo. Choć Carleton nigdy nie został wielkim pisarzem, o czym marzył w młodości, to przewędrował Dziki Zachód, jak poradził mu Dickens. Osiągnął też wreszcie taką pozycję, że zamiast pisać historie, mógł napisać Historię, której głównym bohaterem

miał zostać sam wielki Kit Carson. „Światowa reputacja pułkownika Carsona – argumentował Carleton w jednym z listów – daje gwarancję, że wszystko, czego będziemy od niego żądać, a co wymaga wyjątkowych umiejętności i wielkiej odwagi, z których Carson słynie, zostanie porządnie wykonane”.

Na rozgrzewkę przed wojną z Nawahami generał rozkazał Carsonowi poprowadzić pięć kompanii Pierwszego Pułku Ochotników z Nowego Meksyku w kampanii przeciw niewielkiemu, ale uciążliwemu szczepowi Apaczów Mescalero. Indianie ci żyli w górach Sacramento i Sierra Blanco w południowej części Nowego Meksyku, zajmując się zbieractwem i łowiectwem. Było ich niewiele ponad pięciuset. Nazwa szczepu wywodziła się od *mezcal*, rodzaju mięsistej agawy będącej podstawą ich diety. Apacze Mescalero byli jednak nie tyle spokojnymi zjadaczami korzonków, co niezwykle walecznymi wojownikami, którzy słynęli z rajdów na nowomeksykańskie osady. Ostatnio wykorzystali zamieszanie wywołane najazdem Teksańczyków na południowe rejony terytorium i atakowali podróżnych oraz rancza z bezprecedensową zaciekłością, popełniając zbrodnie wręcz niewiarygodne, zważywszy na liczebność plemienia. Konflikt z Mescaleros był miniaturą tego z Nawahami.

Dlatego generał Carleton postanowił, że ta grupa Apaczów będzie pierwszą, którą zostanie przesiedlona do świeżo „wyświęconego” Bosque Redondo. Apacze Mescalero mieli być królikami doświadczalnymi, pierwszymi uczestnikami „wielkiego dzieła” Jamesa Henry’ego Carletona. Generał rozkazał Carsonowi nie dawać im pardonu, aż skapitulują. Mieli zostać przesiedleni do rezerwatu przed nadejściem zimy. Mescaleros dobrze znali Okrągły Las. Znajdował się niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów od serca ich ojczyzny i przez stulecia był miejscem, w którym urządzali letnie mityngi.

Carleton jasno dał do zrozumienia, że półśrodki nie wchodzą w grę. Nalegał, żeby Carson był bezwzględny w realizacji założonego celu. Zarządził, że Apaczów Mescalero „trzeba brutalnie zmusić do pójścia po rozum do głowy”. Rozkaz, który wydał Carsonowi, mroził krew w żyłach:

> Wszystkich mężczyzn należących do tego plemienia masz zabić, kiedykolwiek i gdziekolwiek na nich natrafisz. Kobiet i dzieci nie należy krzywdzić. Weźmiesz je do niewoli. Jeśli Indianie pojawią się pod białą flagą i będą chcieli rokować, powiedz im, że masz rozwiązane ręce i że zostałeś wysłany, żeby ukarać ich za zdradę i zbrodnie; że nie masz upoważnienia, żeby zawrzeć pokój; że przyjechałeś, żeby zabijać ich, gdziekolwiek ich znajdziesz[560].

Carson był oburzony tym poleceniem i odmówił wykonania go. Wziął do niewoli przeszło stu wojowników, którzy mu się poddali. Uwinął się szybko – kampania była skończona po blisko miesiącu. W listopadzie 1862 roku Kit wysłał pięciu wodzów Apaczów Mescalero do Santa Fe na rokowania z generałem Carletonem. Jeden z nich, niejaki Cadete, przemówił w imieniu swoich ziomków i zadeklarował bezwarunkową kapitulację.

– Jesteście silniejsi niż my – powiedział, w emocjach mieszając swój własny język z hiszpańskim. – Wasza broń jest lepsza od naszej. Jesteśmy zmęczeni. Nie mamy zapasów, nie mamy środków do życia. Wasze wojska są wszędzie. Nasze źródła i studnie zostały zajęte przez waszych ludzi. Wyparliście nas z naszej ostatniej i najlepszej twierdzy. Straciliśmy serce. Zróbcie z nami, co chcecie, ale nie zapominajcie, że jesteśmy ludźmi i wojownikami[561].

Carleton rozkazał przeniesienie całego szczepu do Bosque Redondo. Dla Apaczów Mescalero nie było to do końca wygnanie, bo Okrągły Las był jednym z ich ulubionych miejsc na świecie. Musieli jednak przełknąć inną gorzką pigułkę. Carleton oznajmił im, że ich wędrowne, zbieracko-łowieckie życie się skończyło. Mieli zostać rolnikami, co wydawało im się niewyobrażalne. W przeciwieństwie do Nawahów czuli wstręt do uprawy ziemi, uważając ją za formę niewolnictwa. Zajmowanie się wszystkimi drobiazgami związanymi z rolnictwem było poniżej godności wolnych ludzi gór.

Generał Carleton nie pozostawił im jednak wyboru. Pod koniec listopada pokonani Apacze Mescalero zaczęli schodzić z gór z niewielkim dobytkiem przytroczonym na grzbietach. Zmierzali ku nowemu życiu nad rzeką Pecos. Generał był w świetnym humorze po udanej akcji. Jego plany zostały zrealizowane błyskawicznie. Wysłał prawie radosny meldunek do swojego

przełożonego w Waszyngtonie generała Lorenzo Thomasa: „Z przyjemnością zawiadamiam, że to od dawna budzące grozę plemię morderców i rabusiów zyskało obiecującą przyszłość”.

Kiedy Carson wrócił z kampanii przeciwko Mescaleros, dowiedział się, że ma natychmiast rozpocząć wojnę z Nawahami. Wiedząc już, co oznacza taki rozkaz, jak bezwzględną kampanię musiałby prowadzić, nie chciał się podjąć jego wykonania. Choć udało mu się zagonić Apaczów tam, dokąd nakazał Carleton, nie sprawiło mu to żadnej przyjemności. Wstąpił do sił zbrojnych Unii po to, żeby walczyć z konfederatami, a nie z Indianami. Chciał wrócić do Taos, do Josefy i dzieci. Nie czuł się też na siłach – urazy odniesione podczas wypadku w górach San Juan ciągle dawały o sobie znać. W piersi czuł dziwny ból i z trudem siedział w siodle. Wiedział, że wojna z Nawahami będzie trudna, zimna i gorzka. To było o wiele, wiele bardziej ambitne zadanie niż zdławienie oporu Apaczów Mescalero. Nie chciał mieć z jego wykonaniem nic wspólnego.

3 lutego 1863 roku Carson napisał więc do Carletona list, w którym poinformował go o swojej dymisji. Jak twierdził, służąc w armii i walcząc przeciwko Teksańczykom pod Valverde, udowodnił swoje „oddanie wobec rządu, który został powołany do życia przez moich przodków”. Przysiągł też, że jeśli Teksańczycy kiedykolwiek wrócą do Nowego Meksyku, „z dumą i przyjemnością” podda się rozkazom generała Carletona. Ale, jak twierdził, „teraz czuję, że zarówno mój obowiązek, jak i moje szczęście kierują mnie do domu i rodziny, więc ufam, że Generał przyjmie moją dymisję. […] Żałuję, że jestem zmuszony rozwiązać nasze Oficjalne więzy, ale do końca życia będę dumny z tego, że miałem honor i szczęście służyć pod Generałem Brygady Carletonem”[562].

Nie chodziło nawet o to, że Carson nie zgadzał się z głównymi założeniami polityki indiańskiej Carletona. Wręcz przeciwnie, podczas pełnienia obowiązków agenta do spraw Jutów Kit nabrał pewności, że stworzenie rezerwatów dla plemion rdzennych Amerykanów jest mądrym pomysłem. Uważał, że fizyczne odseparowanie ich od białych jest konieczne dla ich własnego dobra.

Carson uważał, że większość kłopotów z Indianami Zachodu została spowodowana, jak to kiedyś wprost wyłożył, „przez agresję ze strony białych". Większość rajdów, których Jutowie i inne plemiona dokonywały na osady, była efektem desperacji – „wynikającej – jak przekonywał – z głodu". Biali osadnicy coraz głębiej zapuszczali się na tereny łowieckie Indian. Opisując w podyktowanym raporcie sytuację, w jakiej znaleźli się Jutowie oraz Apacze Jicarilla, Carson donosił, że „zwierzyny mają coraz mniej, większość z niej została zabita przez osadników, a spora część uciekła […], nie są więc w stanie utrzymać się dzięki polowaniom"[563].

Jednocześnie Carson uważał, że nie ma szans na zatrzymanie kolejnych fal angloamerykańskich osadników. Jak pisze historyk Tom Dunlay, Carson nawet przez moment nie kwestionował tego, że Stany Zjednoczone mają prawo przeć na Zachód – w czym zresztą sam, u boku Frémonta i innych, mocno dopomógł. Biali mieszkali na Dzikim Zachodzie – takie były niepodważalne fakty. A ich obecność naraziła na śmierć tradycyjny model życia Indian Zachodu. Carson uważał, że rdzenni Amerykanie albo się zmienią, albo wymrą. „Jeśli pozwoli się im zostać tym, kim są, nie minie wiele lat i wyginą".

Dlatego Carson przez całą szóstą dekadę XIX wieku lobbował za utworzeniem rezerwatów dla Jutów i innych plemion. Jego zdaniem powinny one się znaleźć daleko od osad latynoskich i anglosaskich. Podobnie jak w Tejon mieli uczyć się w nich uprawy ziemi i hodowli zwierząt, ale jednocześnie mogli zachować swoje tradycje. Jak tłumaczył Carson, Indianie muszą zostać „odseparowani i zostawieni sami sobie". Głęboko wierzył, że mieszanie się z białymi jest zabójcze dla ich kultury. „Nie powinno się ich wpuszczać do miast – nalegał – bo każda taka wizyta oznacza dla Indian płytsze albo głębsze rany". Ze swoich spotkań z białymi „Indianie wynoszą głównie nałogi zamiast cnót"[564] związanych z życiem osiadłym. Prawdopodobnie największy problem stanowił alkohol. Carson na własne oczy widział, jak alkoholizm wysysa duszę z całych wiosek dumnych niegdyś Indian. „Uzależniali się od mocnych trunków", tłumaczył, i szybko „ulegali degradacji".

Carson jednak w miarę możliwości chciał tworzyć rezerwaty na terenie albo w pobliżu pradawnych ziem plemiennych.

– Lokując rezerwaty – powiedział kiedyś – najlepiej byłoby uszanować życzenia plemion[565].

Euroamerykanie – szczególnie ci zasiedlający pełen energii Zachód – pozostawali w ciągłym ruchu. Potrafili się przenosić z najmniejszym podmuchem wiatru i bezustannie szukać lepszego losu. Górnicy, handlarze, traperzy, kupcy, misjonarze – niestraszne im były ogromne odległości i zaczynanie wszystkiego od nowa, kiedy pojawiały się nowe możliwości. Pragnienie ruchu (szczególnie na zachód) było atrybutem (białego) Amerykanina. Carson na tyle znał jednak kulturę Indian, że zdawał sobie sprawę z tego, iż nawet plemiona wędrowne mają święte miejsca, których uparcie się trzymają. Oddalanie się od nich napawało Indian strachem. Ojczyzna miała dla nich znaczenie nie tylko praktyczne, ale i ceremonialne oraz rytualne, określała ich wspólną tożsamość i rozumienie wszechświata.

Niewątpliwie tak właśnie żyli Nawahowie. Pozostawali w ciągłym ruchu, to prawda, ale ich nomadyczny świat był zamknięty w pewnych granicach. Rzadko zapuszczali się dalej. Istniały liczne tabu, które zniechęcały Diné do opuszczania terytorium wyznaczonego przez cztery święte góry. Carson rozumiał, że wyrwanie Nawahów z korzeniami z ich pradawnej ziemi i siłowe przeniesienie do rezerwatu oddalonego o setki kilometrów mogłoby obniżyć morale plemienia tak bardzo, że eksperyment Bosque Redondo zakończyłby się klęską.

Sam jednak miał wiele powodów do tego, żeby marzyć o pozbyciu się Nawahów z okolicy. Jako Anglosas, który szczęśliwie wżenił się w społeczność latynoską, niewątpliwie przejął jej lęki i uprzedzenia. Żył w rodzinie hiszpańskojęzycznej, goszcząc pod swym dachem wielu dalekich krewnych swojej żony, więc trudno, żeby nie nabrał latynoskiego spojrzenia na konflikt z Nawahami. Społeczność Nowego Meksyku uważała zaś Diné za wroga publicznego numer jeden. Konflikt z Nawahami był, jak twierdził Carson, „wojną dziedziczoną”, która „istniała od zawsze”[566].

Do tego kiedy Kit pracował jako agent do spraw indiańskich, zaprzyjaźnił się z Jutami i stał się ich obrońcą. A Jutowie zawsze uznawali Nawahów za

swoich największych wrogów. Carson zaprzyjaźnił się też z wieloma Indianami z Taos Pueblo, którzy również uważali Nawahów za przekleństwo tego świata. Najłatwiej więc byłoby stwierdzić, że to plemienne uprzedzenia nastawiały Kita przeciwko Diné. W końcu Carson przez całe życie pozostawał lojalnym i wiernym przyjacielem, sojusznikiem na dobre i na złe. Można więc sobie wyobrazić, że jakaś część jego osobowości musiała się cieszyć z okazji, którą dawał mu Carleton. Mógł w końcu pozbyć się przekleństwa swojego ludu i zniszczyć wrogów swoich przyjaciół.

A jednak Carson odmawiał. Był wyczerpany. Nie chciał już walczyć. Chciał wreszcie zaznać normalnego, domowego życia.

Ale James Henry Carleton – podobnie jak Stephen Watts Kearny – nie był człowiekiem, który łatwo dawał się zbyć. Odmówił przyjęcia dymisji Carsona i zaczął go urabiać, odwołując się do wszystkiego, co było Kitowi drogie. Jako patriota, żołnierz i przyjaciel Carson po prostu musiał przejrzeć na oczy. Miał szansę ukoronować swoją karierę. Mieszkańcy Nowego Meksyku na niego liczyli.

41

Rozkaz Numer Piętnaście

Wojna zaczynała się niewinnie. Żołnierze zbierali się w Santa Fe i dolinie Rio Grande. Powoli ruszali na zachód, w stronę krainy Nawahów. Nie było pośpiechu i podniecenia, okrzyków wojennych i wezwań do zemsty zwykle towarzyszących sezonowym wyprawom po łupy i niewolników do wiosek Diné. Żołnierze maszerowali równo i metodycznie, jakby już byli znużeni albo starali się oszczędzać energię. Zdawali sobie sprawę, że ta wyprawa nie będzie szybką wycieczką zakończoną błyskawicznym odwrotem i powrotem do domu. Tym razem wyruszali na długo. Nie wrócą, zanim nie złamią kręgosłupa całego narodu. Mieli wygnać z domów dwanaście tysięcy ludzi i zmusić ich do porzucenia prawie wszystkiego, co było im bliskie.

Był początek lipca 1863 roku. Słońce świeciło z oślepiającą jasnością. Na rosnących wzdłuż rzeki polach dojrzewały w upale fasola i kukurydza. Mulista woda pluskała w kanałach irygacyjnych i poiła spragnione łodygi roślin. Upalna pogoda wysysała energię z mieszkańców doliny Rio Grande. Żyli niczym jaszczurki, w południe chowając się w cieniu swoich *portales* i postękując pod drzewami razem ze stadkami owiec. Na dźwięk i widok nadchodzących wojsk ludzie podnosili jednak ociężałe powieki, a potem zrywali się na nogi i zaczynali wiwatować. Niektórzy salutowali żołnierzom idącym ospale na zachód.

Na czele kolumny jechał oczywiście pułkownik Kit Carson. Nie wiemy, jakimi słowami Carleton ostatecznie przekonał go do objęcia dowództwa polowego w wojnie przeciwko Nawahom. Wbrew swojej woli Carson podjął się najbardziej ambitnego zadania w karierze.

Pod komendą miał blisko tysiąc ludzi, w tym zawodowych oficerów, nowomeksykańskich ochotników, pomocników z różnych plemion Pueblo i przewodników zwerbowanych wśród Jutów. Carson był szczególnie dumny z wojowników Jutów, których wielu poznał osobiście, kiedy sprawował

jeszcze obowiązki agenta do spraw indiańskich. To on wpadł na pomysł, żeby zaciągnąć ich do tej ekspedycji. Słusznie założył, że głęboka nienawiść, jaką Jutowie żywią względem Diné, zadziała na nich motywująco. Obecność Jutów u boku *bilagaana* miała też osłabić morale Nawahów. „Jutowie – pisał Carson do Carletona – są niezwykle dzielni, świetnie strzelają i zachowują się na szlaku, a w walce wykazują niespożytą energię. Nawahowie od lat czują wobec nich respekt. Uważam, że setka Jutów przyda nam się o wiele bardziej niż dwie setki żołnierzy”[567]. Godząc się na pomysł Carsona, Carleton zasugerował, żeby Kit zaciągnął tylko najwaleczniejszych wojowników. „Musimy mieć najlepszych – upierał się. – Mamy poważną robotę do wykonania i musimy mieć do niej odpowiednich ludzi”.

Carson chętniej podróżował w towarzystwie Jutów niż wśród żołnierzy. 7 lipca, kiedy wyprowadzał swoich ludzi z doliny Rio Grande, kłusował ramię w ramię z wojownikami Jutów, wśród których był jeden z ich przywódców, niejaki Kaniache. Upał i niewygodna kurtka mundurowa uwierały Carsona. Powracający ból w piersi musiał przesłaniać mu myśli błądzące wokół postawionego przed nim zadania. Miał pięćdziesiąt trzy lata i wiek dawał o sobie znać. Trudno mu było porzucić dom w Taos. Podczas krótkiego odpoczynku po kampanii przeciwko Apaczom Mescalero cieszył się domowym życiem i delektował wiosną u podnóża swoich ukochanych gór i w pobliżu Rio Don Fernando spływającej wiosennym potokiem przez miasteczko. Rodzina mu się rozrastała. Josefa znowu była w ciąży, nosząc ich szóste dziecko.

Kolumna prowadzona przez Carsona minęła puebla Laguna oraz Acoma i wjechała na ziemie Diné. Żołnierze wtargnęli konno na pola kukurydzy i pszenicy, tratując to, czego nie zjadły zwierzęta. W końcu dojechali do fortu Defiance, opuszczonego posterunku położonego głęboko w krainie Nawahów. Amerykanie zabrali się do remontowania zrujnowanych budynków fortu, którego tak nienawidził Manuelito. Defiance i siostrzany fort Wingate miały być kwaterą główną Carsona. Stamtąd zamierzał poprowadzić długą kampanię przeciwko Nawahom i licznymi najazdami rzucić ich na kolana. Żołnierze długo odbudowywali twierdzę. Kiedy nadawała się już do zamieszkania, Carson przechrzcił ją na fort Canby, żeby

uczcić poprzednika generała Carletona, który nie tylko oparł się inwazji konfederatów, ale też położył fundamenty pod obecną wojnę z Nawahami.

20 lipca minął termin ultimatum wyznaczonego przez Carletona. Pół roku wcześniej generał zwołał spotkanie w Pałacu Gubernatorów w Santa Fe, na które zaprosił z osiemnastu wodzów Nawahów. Przywódcy Diné byli zaniepokojeni kampanią, którą Carson poprowadził przeciwko Apaczom Mescalero, i słusznie obawiali się, że w końcu przyjdzie pora także na nich. Podczas spotkania generał Carleton przemówił ostro. Zapowiedział, że wodzowie mają czas do 20 lipca. Do tego dnia powinni powrócić do Santa Fe i dać gwarancję, że całe plemię się podda i samo przeniesie się do Bosque Redondo. Gdyby wodzowie nie pojawili się na czas, Carleton miał wydać im wojnę na bezprecedensową skalę i przesiedlić ich siłą.

– Nie wierzymy w wasze obietnice – powiedział Carleton przez tłumacza. – Nie będzie pokoju, zanim nie dacie nam gwarancji większych niż słowa. Jeśli nie powrócicie do Santa Fe [do 20 lipca], będziemy wiedzieli, że wybraliście wojnę. Po tym dniu każdy Nawaho będzie traktowany jak wróg. Po tym dniu drzwi, które teraz są otwarte, zostaną zamknięte[568].

Termin minął, ale żaden z wodzów Nawahów nie pojawił się w Santa Fe. Tego właśnie potrzebował Carleton. Zaspokoiwszy swoje chrześcijańskie sumienie, zyskał pretekst do wypowiedzenia wojny totalnej – kampanii, która nie miała być wojną agresywną, ale dyplomatycznie usprawiedliwioną i właściwie jedyną odpowiedzią na zawód, jaki spotkał go ze strony Nawahów.

Los, który miał spotkać Diné był, inaczej mówiąc, zasłużony.

– Ponieśli konsekwencje swoich czynów – powiedział potem Carleton.

Generał przygotował szorstkie wypowiedzenie wojny, któremu nadał zimny wojskowy tytuł „Rozkaz ogólny numer piętnaście”. „Przez długie lata Indianie Nawaho mordowali i rabowali mieszkańców Nowego Meksyku – głosił rozkaz. – Niniejszym nakazuje się, żeby pułkownik Christopher Carson zebrał odpowiednie siły, bez zwłoki udał się do krainy Nawahów i tam […] zdecydowanie wydał wojnę mężczyznom tego plemienia”[569].

Carleton ufał „zasłużonemu dowódcy ekspedycji”, jak nazwał Carsona, i dał mu wolną rękę w kwestii zakupu zaopatrzenia, które miało „pokryć

fundamentalne potrzeby zdrowotne, żywnościowe, a także związane z mobilnością i siłą ognia" wojsk. Jednocześnie jednak generał chciał znać najdrobniejsze szczegóły planowanej kampanii, i to tak szybko, jak pozwalała ówczesna poczta. Kiedy tylko Carson opuścił dolinę Rio Grande i wjechał do krainy Nawahów, Carleton zaczął z niepokojem oczekiwać wieści do niego i nie potrafił opanować swojej chęci do szczegółowego zarządzania z tylnego siedzenia. Wysyłał więc Carsonowi całą rzekę listów, w których udzielał mu reprymend i dawał mądre rady. Były one napisane tak formalnym i uporządkowanym językiem, jakby wyszły spod ręki robota.

Zaniepokojony tym, że pułkownik Carson od jakiegoś czasu milczy, generał jeszcze na początku kampanii wysłał mu polecenie, w którym jasno dał do zrozumienia, że oczekuje regularnych i porządnych meldunków o sytuacji. „Zapamiętaj sobie – pisał Carleton – że masz mi przesyłać cotygodniowe, szczegółowe raporty o postępach operacji pod twoim dowództwem. Chcę wiedzieć o zniszczonych uprawach, ich wielkości i położeniu. Wszystko o zagarniętych zwierzętach – kiedy, gdzie, przez kogo, co i ile. Wszystko o zabitych Nawahach, dokładne liczby wziętych do niewoli kobiet i dzieci. Pamiętaj, żeby na czas wysyłać mi prośby o zaopatrzenie. Musimy liczyć się z czasem. Wszystko masz mieć zapięte na ostatni guzik"[570].

Tak jakby Carson nie czuł wystarczająco dużej presji, Carleton zakończył swój list następującymi słowy: „Pokładamy w tobie wielkie nadzieje – zarówno tu, jak i w Waszyngtonie"[571].

Wojna, którą poprowadził Carson, nie była wojną chwalebną. Brakowało w niej honorowych bitew i wielkich zwycięstw. Broniąc się przed amerykańską inwazją, Nawahowie zrobili to co zawsze – rozproszyli się i zniknęli w tysiącu kryjówek. Nie mając z kim walczyć, Carson siłą rzeczy zaczął siać zniszczenie. Latem i jesienią 1863 roku wywarł ogromną, brutalną i bezwzględną presję na Nawahów. Jej cel był prosty – Diné mieli poczuć głód, który miał ich skłonić do przyjęcia warunków, których wcześniej przyjąć nie chcieli. Sam Carson nigdy nie użył terminu „spalona ziemia", ale taką taktykę właśnie przyjął i był pierwszym, który to zrobił na Dzikim

Zachodzie – na blisko rok przed słynnym marszem generała Shermana przez Południe. Jeśli w wojnie są jakiekolwiek wielkość i chwała, to na pewno nie było ich w wojnie, którą Nawahom wypowiedział Kit Carson.

5 sierpnia pułkownik wyruszył z fortu Canby na pierwszą wycieczkę. Pod palącym słońcem jechał dwadzieścia siedem dni i przejechał blisko osiemset kilometrów, pokonując płaskowyże, na których przenikały się światy Diné i Indian Hopi. Po drodze schwytał tuzin Nawahów i tyle samo zabił. Mimo to Carson uważał, że nie udało się mu zadać „żadnych istotnych ran" Nawahom i z wojskowego punktu widzenia ekspedycja skończyła się marnie. Kit jeszcze dobitniej zdał sobie sprawę z tego, jak niemożliwego zadania się podjął.

Jak zmusić Nawahów do poddania się, kiedy prawie ich nie spotykał? Prowadził wojnę w krainie duchów. Wszędzie, dokąd pojechał, znajdował ślady niedawnej obecności ludzi – dymiące ogniska, świeże odchody zwierząt, ubrania i inne przybory codziennego użytku porozwieszane na drzewach. Samych ludzi nigdzie nie było. Przez długie tygodnie bawił się w wyczerpującą grę w chowanego. Długie wyprawy, na które wyruszał, były wyczerpujące, „temperatura przekraczała granice wytrzymałości", jak zapisał jeden z żołnierzy[572]. To była robota dla kogoś dużo młodszego. „Widziałem, jak chwiał się w siodle ze zmęczenia i niewyspania – wspominał jeden z sierżantów, który brał udział w długich i bezproduktywnych wycieczkach Carsona – ciągle naprzód w nadziei, że wreszcie ich znajdziemy".

Zwykle znajdowali jednak konia albo kilka kóz, albo jakieś inne zwierzęta należące do ciągle wymykających się im Nawahów. Prawie zawsze Carson zagarniał znalezione zwierzęta albo je zabijał. Jeden z żołnierzy uczestniczących w kampanii opisał pościg za samotnym siwym koniem, którego wypatrzono na dalekim płaskowyżu. Inny żołnierz wdrapał się po stromym zboczu, żeby złapać zwierzę. „Wytrzeszczając oczy, z zapartym tchem obserwowaliśmy jego wspinaczkę. W końcu dotarł do zwierzęcia, a my usłyszeliśmy wystrzał z pistoletu. Biedna stara nawahijska szkapa poszła do piachu, na spotkanie ze swoimi przodkami – *finis*"[573].

Carson był mocno sfrustrowany tym, że sami Nawahowie nie dawali mu się złapać. Podwoił więc starania, by jego wojska pozostawały

niezauważone. „Podczas marszu – pisał jeden z nowomeksykańskich ochotników – Carson nigdy nie rozpalał ognisk, jeśli chciał zaskoczyć wroga” i „ostrożnie się skradał. […] Żołnierze czasem oskarżali go o tchórzostwo, taki był ostrożny”[574]. Kit wyjeżdżał w pole z coraz mniejszymi grupami żołnierzy, chcąc wreszcie zaskoczyć Nawahów i wypłoszyć ich z kryjówek. Zwykle owe wycieczki zaczynały się przed świtem, a oprócz Carsona brali w nich udział wojownicy Jutów. Dowództwo nad resztą wojsk przejmował któryś z oficerów. Czasem Carson miał szczęście i udawało mu się związać Nawahów w krótkiej i nierozstrzygającej niczego bitwie. Najczęściej kończyła się ona, zanim włączyły się do niej główne siły Amerykanów.

Świetnie opisał to w swoim dzienniku kapitan Eben Everett. Rankiem 28 sierpnia „grupa złożona z mniej więcej trzydziestu ludzi została wysłana okrężną drogą w stronę indiańskiej wioski. Wróciła do obozu około trzeciej po południu, przywożąc ze sobą skalp Indianina, którego zastrzeliła. Oceniając po wyglądzie, jego posiadacz […] musiał być *hombre grande*[66]”[575].

Podczas jednej z wycieczek Carson poniósł pierwszą i, co niezwykłe, jedyną stratę w ludziach. Z nieznanych nam powodów major Joseph Cummings, odważny, ale arogancki młody oficer, oddalił się od czoła kolumny wojskowej idącej dnem kanionu. Kilka godzin i przeszło sześć kilometrów później znaleziono jego ciało. Major został postrzelony w brzuch, a kula prawdopodobnie przerwała mu rdzeń kręgowy. Meldując o tym wypadku Carletonowi, Carson nie okazał współczucia. Cummings wykazał się nieostrożnością, porywczością i bezsensownym zachowaniem, którymi Kit pogardzał. „Major Cummings – pisał sucho Kit – samotnie oddalił się od kolumny i pojechał naprzód”, po czym został zabity „przez ukrytego Indianina”. Carson narzekał, że major „zlekceważył rozkazy” i został zabity „wskutek nierozważnej brawury”[576]. Nie wiadomo dlaczego, ale kiedy Cummings poniósł śmierć, miał przy sobie potężną gotówkę – cztery tysiące dwieście dolarów. Taką kwotę przy nim znaleziono.

Z braku Nawahów Carson rzucił swoich ludzi na plemienne pola pszenicy i kukurydzy oraz melonów. Kit zabrał się za wandalizm równie porządnie,

jak wcześniej zajmował się wszystkim innym. Co prawda, największy talent miał do pościgów, ale kiedy wprowadził w życie taktykę „spalonej ziemi", objawił ciemną stronę swojej natury. Wydawało się, że nie zapominał o niczym. Kazał swoim ludziom rozbijać każdy garnek i łamać każdy koszyk, który znaleźli. Nawahowie mieli zostać pozbawieni możliwości przenoszenia i przechowywania pożywienia. Żołnierze rozkopywali i plądrowali składziki. Zagarniali albo zabijali na miejscu każde zwierzę hodowlane, które wpadło im w ręce. Wojownicy Jutów pilnowali wszystkich studni i żył solnych w krainie Nawahów. Raz Carson zmienił nawet bieg strumienia, zasypując jego koryto kamieniami.

Tygodniowe meldunki, które Carson z trudem dyktował swojemu adiutantowi i wysyłał generałowi Carletonowi, to księgowy zapis dokonanych zniszczeń. Ich suchość i rzeczowość każą nam podejrzewać, że Carson nie znajdował przyjemności w tym, co robił. Choć jednak były pozbawione radości, to jasno wynikało z nich, że Amerykanie niszczyli coraz więcej plonów i upraw należących do Nawahów.

Oto kilka zapisków Carsona z sierpnia.

„Zniszczyliśmy około siedemdziesięciu akrów[67] kukurydzy".

„Pszenicą (około piętnastu akrów) nakarmiliśmy zwierzęta, a kukurydza (około pięćdziesięciu akrów) została zniszczona".

„Krótko po wyjściu z obozu 9 [sierpnia] zniszczyliśmy około dwunastu akrów kukurydzy".

„Około dwunastu mil na zachód od Moqui nakarmiliśmy nasze zwierzęta akrem kukurydzy, który tam odkryliśmy".

„Szesnastego, będąc w drodze, zniszczyliśmy blisko pięćdziesiąt akrów kukurydzy".

„Około pięciu mil od obozu znaleźliśmy i zniszczyliśmy blisko dziesięć akrów dobrej kukurydzy. Kiedy zatrzymaliśmy się na noc jakieś dziesięć mil dalej, znaleźliśmy poletko kukurydzy, którą nakarmiliśmy zwierzęta".

„Całe ziarno, którego zwierzęta nie zjadły, albo zapakowaliśmy na ich grzbiety, albo zniszczyliśmy".

„Około dziesiątej rano dotarliśmy na dno [doliny?], gdzie rosło nie mniej niż sto akrów najlepszej kukurydzy, jaką kiedykolwiek widziałem.

Postanowiłem rozbić w tym miejscu obóz i później być może zniszczyć tę uprawę”.

Ludzie Carsona zadeptali i spalili w sumie tysiące hektarów pól uprawnych. Szacuje się, że był to blisko milion kilogramów żywności, w większości tuż przed żniwami. To był prawdziwy cios dla Nawahów, ale jego siła miała się ujawnić dopiero jesienią, kiedy Indianie znaleźli się na krawędzi śmierci głodowej.

Jedyne, co musiał zrobić Carson, to zachować cierpliwość. W jednym ze swoich sierpniowych raportów przewidywał marny los pewnej grupy Nawahów, których pola kukurydzy właśnie zniszczył ogniem i mieczem. „Nie mają zwierząt hodowlanych – pisał tonem pozbawionym emocji – i byli zależni od zbiorów kukurydzy, która z mojego rozkazu została zniszczona na polu dzień wcześniej”. Ta strata, przewidywał Kit, „wywoła głód i zmusi ich do zgody na emigrację do Bosque Redondo”[577].

Mała grupa Diné już zresztą pojawiła się pod bramą fortu Canby, godząc się na wygnanie, ale niestety Carsona akurat nie było wtedy w twierdzy. 26 sierpnia czterech nawahijskich wojowników stanęło pod murami fortu. Według jednego ze świadków, przyszli „pod białą flagą” i „dali do zrozumienia, że przybyli w pokoju, a ich szczep czy grupa, w sumie od siedemdziesięciu pięciu do stu dusz, czeka niedaleko i chce wejść do fortu jako przyjaciele”.

Dowodzący posterunkiem pod nieobecność Carsona apodyktyczny major Thomas J. Blakeney zmarnował jednak pierwszą świetną okazję do kapitulacji grupy Nawahów na warunkach generała Carletona. Zamiast przyjąć ich z otwartymi ramionami, Blakeney potraktował indiańskich emisariuszy bardzo źle. Najpierw wziął ich do niewoli i zapędził do pracy przy „zakopywaniu odpadków i zdechłych psów”. Potem co najmniej jeden z Nawahów został zastrzelony, a dwaj, bojąc się, że i na nich przyjdzie kolej, zdołali uciec.

Kiedy 31 sierpnia Carson wrócił z wyprawy, w forcie został tylko jednego z czwórki Nawahów. Indianin miał około siedemdziesięciu lat i nazywał się Mała Stopa. Kit go przesłuchał i mu uwierzył. Żałując starca, wypuścił go na

wolność i dał mu dwanaście dni na powrót do fortu z mieszkańcami wioski. Choć wiedząc, co stało się z innymi emisariuszami, wątpił, by Nawahowie oddali się w jego ręce. „Z tego, czego się dowiedziałem – raportował Carletonowi – wynika, że ci Indianie przybyli do fortu pod białą flagą. Bardzo żałuję, że nie zostali potraktowani lepiej i przetrzymani do mojego powrotu. […] Nie mogę obwiniać tych ludzi, jeśli nie uwierzą w zapewnienia wojska, skoro ich przedstawiciele zostali tutaj tak potraktowani. Boleję nad tym, gdyż teraz mogę z nimi rozmawiać tylko w jeden sposób – za pomocą kul karabinowych”[578].

Carson głęboko wierzył, że gdyby miał okazję porozmawiać z Nawahami, którzy sami do niego przyszli, potrafiłby wytłumaczyć im warunki oferowane przez Carletona i za pomocą żywności i innych podarków zachęcić ich do emigracji. Sądził, że sukces takiego działania mógłby zapoczątkować reakcję łańcuchową i doprowadzić do masowego poddawania się Nawahów. W efekcie przedłużająca się kampania wojenna byłaby niepotrzebna. Teraz jednak Carson mógł się spodziewać czegoś przeciwnego: Ci nawahijscy emisariusze, którym udało się uciec z niewoli, na pewno będą ostrzegać wszystkich ziomków, których spotkają, przed poddawaniem się Amerykanom. Bo jedyne, co Amerykanie mogli im zaoferować, to upokorzenia i kule. Bo tak naprawdę wojna, którą prowadzą oni przeciw Nawahom, ma doprowadzić do eksterminacji Diné.

Carson, choć miał wiele zalet, popełniał błędy w dowodzeniu. Nie znając dobrze regulaminów wojskowych, nie potrafił dyscyplinować swoich żołnierzy. A ponieważ nie trzymał ich twardą ręką, durne okrucieństwo, którym wykazał się Blakeney, było raczej regułą niż wyjątkiem. Prawdę mówiąc, większość oficerów, którymi dowodził, nie była zbyt lotna. Co chwila wykazywali się nieudolnością i samowolą. Byli przepracowani i marnie opłacani. Spora część z nich była też uzależniona od alkoholu. Wielu z nich dopiero co przypłynęło z Irlandii, Anglii czy Holandii i nienawidziło depresyjnej roboty, którą przyszło im wykonywać w półpustynnej krainie Nawahów. Woleliby szukać złota w Kalifornii albo walczyć z konfederatami na wschodzie. Nawet generał Carleton, który osobiście wybrał Carsonowi

większość żołnierzy wyższych stopniem, przyznawał, że „był głęboko zawstydzony brakiem dobrych oficerów”.

W książce *Navajo Roundup* [Obława na Nawahów] Lawrence Kelly dokonał porządnej analizy sposobu dowodzenia Kita Carsona w obławie na Nawahów. Zauważył, że blisko połowę oficerów biorących udział w tej kampanii albo postawiono przed sądem wojskowym, albo zmuszono do dymisji. Wśród zarzutów, które stawiano oficerom Carsona, były między innymi „morderstwo, alkoholizm, nadużycia finansowe, dewiacje seksualne, dezercja i niekompetencja”[579].

Porucznika Davida McAllistera nakryto w sytuacji intymnej z szeregowcem, kiedy pełnił służbę oficera dyżurnego w forcie Canby. Kapitan Eben Everett został postawiony przed sądem za to, że „był tak pijany, iż nie był w stanie wypełniać swoich obowiązków”. Poruczników Stephena Coyle’a i Williama Mortimera zmuszono do dymisji po tym, jak upuścili sobie krwi „w niehonorowej bójce” stoczonej na oczach szeregowców. John Caufield został oskarżony o zabójstwo szeregowca i do czasu wyroku skazującego przebywał w kajdanach. Asystenta chirurga Jamesa H. Prentissa oskarżono o kradzież większości „szpitalnej whisky i wina, które zużył na własne potrzeby”. Porucznika Nicholasa Hodta znaleziono w stanie „zwierzęcego upojenia alkoholowego”, a do tego „w łóżku z kobietą o złej reputacji”. Inny oficer oferował swoim podwładnym usługi prostytutek, chwaląc się, że jest „najlepszym cholernym alfonsem w Nowym Meksyku”.

Te barwne opisy pokazują, z jakimi problemami we własnych szeregach musiał się zmierzyć pułkownik Kit Carson.

Carson wszczął zresztą postępowanie dyscyplinarne przeciwko Blakeneyowi i wkrótce major stracił stanowisko. Do tego lekarz wojskowy, który go badał, stwierdził, że Blakeney cierpi na „załamanie nerwowe” i poważną niestrawność. Kiedy Carson opisał w meldunku wysłanym do Carletona to, czego dopuścił się Blakeney, generał wysłał do niego natychmiast list z odpowiedzią. „Masz rację, uważając, iż nie życzę śmierci Indianom, którzy nam się poddają. Nie możesz też pozwolić, żeby ginęli Indianie, którzy już są w naszej niewoli”. Carson miał jednak nie pozwolić,

żeby tak drobny incydent odwrócił jego uwagę od głównego zadania, które mu powierzono. Nawahowie powinni być traktowani z całą surowością. Carleton przypominał Carsonowi, żeby ilekroć ich spotka, mówił im: „Oszukaliście nas zbyt wiele razy, a także mordowaliście i rabowaliście nas zbyt długo, żebyśmy wam zaufali. […] Wojna, którą wam wydaliśmy, potrwa tak długo – nawet lata – aż znikniecie z powierzchni ziemi albo się przeniesiecie. Ta sprawa nie podlega dyskusji”[580].

Jesienią Carson wyjechał na dwie kolejne wycieczki, ale i one zakończyły się porażką. Coraz więcej mułów i koni należących do Amerykanów padało z wycieńczenia. Inne były porywane nocą przez poruszających się jak duchy Nawahów. Wojownicy Jutów porzucili Carsona, kiedy dowiedzieli się, że generał Carleton nie pozwoli im zatrzymać ani łupów, ani niewolników zdobytych podczas ekspedycji. W pewnym momencie Carsonowi prawie udało się pojmać samego Manuelita – a przynajmniej Nawaha, którego za Manuelita uważali Indianie Hopi – ale słynny wojownik jednak się wymknął z obławy, razem ze współplemieńcami korzystając z zapasów kukurydzy poukrywanych w przepastnej krainie Nawahów.

Pod koniec listopada po przeprowadzeniu kilku mniejszych i również nieudanych wycieczek Carson zaczął tracić cierpliwość i czuć zawstydzenie. Nie był przyzwyczajony do porażek, a na pewno nie do porażek na taką skalę. W jego listach do Carletona da się wyczuć narastającą frustrację. Skarżył się na przykład generałowi, że biorąc pod uwagę kondycję koni, na jakich jeżdżą jego żołnierze, raczej nie zdoła przeciągnąć kampanii do zimy. Uważał, że mądrzej będzie zaczekać, „aż pogoda wystarczająco się poprawi” i dopiero potem „wznowić działania”. Czasami jego listy wyglądały tak, jakby tracił nadzieję.

Na pewno Carson chciał odpocząć. Wysłał do Carletona formalną prośbę o dwumiesięczny urlop zaczynający się 15 grudnia. Chciał zobaczyć się z Josefą, która zbliżała się do rozwiązania. Podczas ekspedycji wysyłał jej dyktowane przez siebie listy. Jeden z nich zachował się do dziś.

> Ukochana Żono.
>
> Nie martw się o mnie, bo z bożą pomocą zobaczymy się ponownie. Przede wszystkim nie przemęczaj się zbytnio, troszcząc się o moje dzieci. Daj każdemu

z nich buziaka ode mnie. […] Nieustannie błagam Boga, by pozwolił mi wrócić do Ciebie w dobrym zdrowiu i pozostać u Twojego boku aż do śmierci.

Twój kochający mąż, który wolałby częściej Cię widzieć, niż do Ciebie pisać

We wniosku o urlop Carson nie wspomniał o swoich obawach związanych z ciążą Josefy. Napisał tylko, że musi zająć się „pewnymi prywatnymi i ważnymi sprawami". Tak czy inaczej Carleton odrzucił prośbę Carsona, pisząc: „Nie mam prawa dać ci urlopu"[581]. Zima nie była dobrym momentem, żeby poluźnić pętlę zaciskaną wokół Nawahów. „Teraz, kiedy śniegi mocno przysypały, przyszedł czas na to, żeby zrobić na tym plemieniu wrażenie", upierał się generał. Carleton zakończył swój list ugrzecznionym dopiskiem, zdradzającym jednak irytację: „Proszę, żebyś nie wysyłał mi kolejnych podań o urlop".

Carleton był jednak gotów pójść na ustępstwa i zawrzeć z Carsonem kompromis. Napisał, że pułkownik może udać się z krótką wizytą do domu, „jeśli tylko weźmie do niewoli setkę nawahijskich jeńców – mężczyzn, kobiet i dzieci"[582]. Ta oferta świetnie pokazywała irytującą wyższość, z jaką Carleton traktował innych: Zrób to, co do ciebie należy, a potem możesz pojechać do żonki.

Carleton miał też poważne zastrzeżenie do kampanii prowadzonej przez Carsona. Mimo wielu wyczerpujących wycieczek z fortu Carson trzymał się z dala od nawahijskiej twierdzy w kanionie De Chelly. We wrześniu dotarł nawet do jego zachodnich wrót, ale nie chciał ich przestąpić. Być może przerażały go potężne rozmiary kanionu – uważał go za „diabelski" i „niezdobyty". A może po prostu bał się wkroczyć do niego z całym swoim wojskiem, bo byłby pierwszym amerykańskim dowódcą, który to uczynił. Jeszcze w 1858 roku niejaki pułkownik Dixon S. Miles zrobił rekonesans części kanionu i złowieszczo zanotował: „Żaden dowódca nie powinien tu nigdy więcej prowadzić swoich wojsk". Jakkolwiek było, Carson bał się kanionu De Chelly.

Carleton jednak uważał, że nie można tego miejsca omijać. Carson miał więc nie tylko pojmać setkę jeńców, ale musiał tego dokonać, atakując kanion De Chelly zimą i przeczesując każdy kilometr tej nawahijskiej twierdzy.

42

Skalna Forteca

Nawahowie wiedzieli, że Carson wejdzie do kanionu De Chelly, nawet chyba jeszcze zanim on sam zdał sobie z tego sprawę. A przynajmniej zakładali, że musi doń wejść. W końcu przez wieki wszyscy ich wrogowie zapędzali się w to miejsce. I to właśnie w kanionie słabli, tracili orientację oraz poczucie celu i w końcu opuszczali ten skalny labirynt z podkulonym ogonem, zostawiając Diné w spokoju. Jatka, którą w 1805 roku Hiszpanie urządzili Nawahom w Miejscu, W Którym Dwoje Spadło, była wyjątkiem od reguły. Nawahowie rzadko o niej wspominali, tym bardziej że uważali, iż w tej tragedii maczały palce siły nieczyste. To wydarzenie było więc związane z silnym tabu.

W głębi duszy Diné zawsze uważali kanion De Chelly za swoją ostatnią twierdzę i najlepsze schronienie. Czuli się w nim naprawdę bezpiecznie. Zawsze tam uciekali, kiedy świat naokoło ogarniało szaleństwo albo kiedy wrogowie nie dawali im wytchnienia. Schronieni w niekończących się zakamarkach kanionu po prostu przeczekiwali złe czasy.

Na dnie kanionu De Chelly rosły trzy tysiące drzew brzoskwiniowych. Ich stare pnie były poryte przez szkodniki, a gałęzie kołysały się na zimowym wietrze niczym strachy na wróble, ale Nawahowie byli dumni ze swoich gajów. Ich brzoskwinie pochodziły od tych przywiezionych z Europy przez Hiszpanów. Niewielkie owoce, które rodziły drzewa rosnące w kanionie, zapewniały jedzenie setkom Nawahów zjeżdżających tam każdej jesieni na uroczyste spotkania. Dziewięć nocy z rzędu Nawahowie zgromadzeni w kanionie śpiewali i obserwowali, jak ich cienie rzucane przez ogniska tańczą na kilkusetmetrowych skalnych ścianach. Ich dłonie i usta kleiły się wtedy od brzoskwiniowego soku.

Kanion De Chelly nie był jednak zwykłą oazą na pustyni. Nawahowie głęboko wierzyli, że to miejsce chronią potężne nadprzyrodzone moce,

którym nie może zagrozić żadna blada twarz. W otchłaniach kanionu mieszkali czterej bogowie *yei*, a także Kobieta Pająk. Bogini ta była co prawda ponurą staruchą, ale była jednocześnie mądra i Nawahowie ją kochali. To ona obdarowała nawahijskie kobiety talentem tkackim. Stroiła też sobie z Nawahów ciągłe żarty, czasem dając im życiowe lekcje. Diné wierzyli, że Kobieta Pająk mieszka na szczycie trzystumetrowego pinakla wyrastającego z dna kanionu. Zresztą po dziś dzień ludzie mówią nań Spider Rock, Pajęcza Skała. Stamtąd bogini miała baczenie na Nawahów i broniła ich przed wszystkimi wrogami, którzy odważyli się wtargnąć do jej królestwa.

Jeszcze latem, kiedy Kit Carson i jego żołnierze po raz pierwszy pojawili się w krainie Nawahów, Diné mieszkający w pobliżu kanionu De Chelly zaczęli przygotowywać się do nadchodzącej wojny. Wiele kilometrów w głębi kanionu, tam, gdzie krzyżowały się jego dwa ważne języki, stała samotna skała przypominająca gigantyczne kowadło. Nawahowie nazywali ją Skalną Fortecą. Miała przeszło dwieście metrów wysokości, a z główną ścianą kanionu łączył ją tylko wąski skalny mostek, który jakoś obronił się przed siłami erozji. Skalna Forteca przypominała trochę słynny nowojorski budynek Flatiron – wąski monolit stojący na zbiegu trzech ważnych arterii. Na każdym mijającym ją obcym wędrowcu bez wątpienia zrobiłaby duże, a może nawet przytłaczające wrażenie. Żaden z nich nie potrafiłby jednak nawet sobie wyobrazić, że na szczyt tego skalnego drapacza chmur prowadzi sekretna ścieżka.

A jednak prowadziła. Stworzyli ją wieki temu Indianie z kultury Anasazi, wykuwając w piaskowcu niewielkie chwyty na palce stóp i dłoni. Na pierwszy rzut oka były one zupełnie niewidoczne. Na wierzchołku Skalnej Fortecy było zaś tyle miejsca, że mogło się tam zmieścić nawet kilkaset osób. Poryta erozją skała zapewniała im liczne jamy i kryjówki. We wgłębieniach zbierała się woda deszczowa. Jej strome ściany zapewniały zaś bezpieczeństwo ze wszystkich stron – z dna nie można było nawet dostrzec ukrytych na górze ludzi, a szczyt Skalnej Fortecy był zbyt oddalony od ścian kanionu, żeby dosięgła go strzała wystrzelona nawet przez najmocarniejszego łucznika.

Wydaje się, że już Anasazi wykorzystywali Skalną Fortecę jako kryjówkę. Teraz na jej szczycie ukrywali się Nawahowie.

Według opowieści, które Diné przekazują sobie z ust do ust, latem tamtego roku ich przodkowie zebrali się u stóp Skalnej Fortecy na naradę.

– Strach zagościł w sercach Nawahów, strach przed niebezpieczeństwem mogącym ich spotkać ze strony wrogów – opowiadał w 1973 roku Akinabh Burbank, jeden z kilkunastu nawahijskich bajarzy, których słowa spisano. – Ci wrogowie weszli na nasze ziemie. Szukali nas i chcieli nas zabić[583].

Kobiety zaczęły gromadzić zapasy – wędzoną baraninę, orzeszki pinii, dzikie ziemniaki, owoce jałowca, suszone ziarno i brzoskwinie, a także koce i wszystko, w czym dało się nosić wodę. Mężczyźni z kolei zaczęli remont pradawnej ścieżki wykutej przez Anasazich w ścianach Skalnej Fortecy. Pogłębiali chwyty w skale, żeby także dzieci czy starcy zdołali się wdrapać na górę. Jeden z trudniejszych fragmentów ścieżki wzmocnili solidnym drewnianym mostkiem. Według historyka Davida Robertsa Nawahowie wciągnęli też prawie na samą górę dwa sosnowe pnie, które – ustawione pod ostrym kątem i nacięte w schodki – miały ułatwić wspinaczkę. Oba drewniane bale mieli przetransportować z odległych o blisko czterdzieści pięć kilometrów gór Lukachukai.

Nawahowie przez całe tygodnie wspólnie przygotowywali się na nadejście wojsk Carsona. Strach przed Amerykanami zmusił ich do podjęcia niezwykle ambitnych „robót publicznych”. Skalna Forteca zawsze była miejscem budzącym respekt, ale teraz ta „rekinia płetwa”, jak opisuje Roberts, stała się „kryjówką wszystkich kryjówek, ostatnią deską ratunku”[584].

Kiedy droga na górę była już wystarczająco bezpieczna, Nawahowie zaczęli wnosić na szczyt Skalnej Fortecy zapasy, czyli wszystko, co – jak sądzili – przyda im się podczas długiego oblężenia. Potem, kiedy zbliżała się zima, przyszła kolej na ludzi.

– Możecie iść w bezpieczne miejsce i zostać tam, aż odejdą żołnierze. Ciągle jest czas – opowiadał Teddy Draper, inny nawahijski bajarz, który usłyszał tę historię od swojej babki. – Zabijcie większość zwierząt i przygotujcie mięso. Już się robi zimno, więc musimy zaczynać. Powinniśmy wdrapać się na szczyt, zanim spadnie pierwszy śnieg.

Mężczyźni przygotowali szlak. Postawili drabiny. Zachowajcie siły i przygotujcie się do obrony[585].

Pewnego grudniowego dnia, kiedy zaczął padać pierwszy śnieg, około trzystu mężczyzn, kobiet i dzieci – prawdopodobnie ostrzeżonych przez zwiadowców o zbliżającej się armii *bilagaana* – wdrapało się na szczyt Skalnej Fortecy i wciągnęło za sobą drabiny oraz mostki. Mieli nadzieję, że zło, które zaraz miało się rozlać u ich stóp, w końcu odejdzie. Planowali więc przeczekać w ciszy kilka miesięcy – a jeśli będzie trzeba, bronić się przed armią najeźdźców niczym żydowscy powstańcy, którzy opierali się Rzymianom na szczycie Masady.

Według niektórych przekazów w Skalnej Fortecy znajdował się sam Manuelito, choć jest to wątpliwe, ponieważ miał on przebywać wtedy także w Wielkim Kanionie oraz gdzieś w okolicy Góry Nawahów i niedaleko Doliny Pomników. Krótko mówiąc, Manuelito był wszędzie i nigdzie, wszechobecny jak duch – a to za sprawą swojej sławy i ogromnych stad owiec. To, że nie dawał się pojmać Amerykanom i ciągle zmieniał miejsca pobytu, dodawało Diné nadziei.

Grudzień przeszedł w styczeń. Trzystu Nawahów kuliło się na szczycie Skalnej Fortecy i owijało w grube wełniane koce, próbując się ogrzać bez rozpalania ognisk. Słyszeli, że zwiadowcy wypatrzyli już zbliżających się Amerykanów, że wróg jest u bram i może się pojawić w każdej chwili. Robili więc strzały i ostrzyli lance, nadstawiając ucha i próbując zorientować się, co dzieje się na dnie kanionu.

Czekali.

*

Był szary i zimny poranek 6 stycznia 1864 roku. Ziemię pokrywała kilkunastocentymetrowa warstwa śniegu. Pułkownik Kit Carson wyjeżdżał z fortu Canby. Blisko pięciuset żołnierzy, których prowadził, maszerowało powoli i ociężale. Woły sapały, ciągnąc ciężkie wozy. Większość żołnierzy była pieszo. Śnieg skrzypiał pod ich butami. Owinięci w koce albo poncza, w szarych szynelach zapiętych pod szyję, zmarznięte dłonie chowali

w kieszeniach. Amerykanie byli wściekli, że muszą powitać Nowy Rok w tej zapomnianej przez Boga i ludzi smutnej, dzikiej krainie, tak daleko od domu. Żeby jakoś zabić czas, sklecili bojową pieśń – rymowankę, która pomagała im rozproszyć ponure myśli w samotne zimowe dni.

Baczność! Do apelu stań, mój dzielny rubacho,
W drogę marsz, Kit Carson macha już papachą.
Nic że noc i śniegu moc,
Idziemy zmłócić,
A potem nawrócić
Groźnego Johnny'ego Nawaho[586].

Carson jeździł wzdłuż kolumny maszerujących żołnierzy. Zaciskał mocno szczęki i rozmyślał. Kilka dni wcześniej zapewnił Carletona, że „poczynił wszystkie niezbędne przygotowania do wyprawy do kanionu De Chelly" i sądzi, iż generał ucieszy się na wieść o tym, że ekspedycja, na którą nalegał od tak długiego czasu, wreszcie doszła do skutku. „W jednej sprawie może Generał być spokojny – przysięgał Carson. – Zanim powrócę, wszystko co związane z tym kanonem [kanionem] przestanie być tajemnicą. Zostanie on porządnie zbadany [– z] wytrwałością i zapałem"[587].

Carson podzielił oddział na dwie grupy. Trzystu siedemdziesięciu pięciu szeregowców i czternastu oficerów miało pod jego komendą udać się w stronę zachodniej bramy kanionu. Mniejszy pododdział złożony z około setki nowomeksykańskich ochotników pod dowództwem kapitana Alberta Pfeiffera miał ruszyć do wschodniego wejścia. Plan, w którego opracowaniu pomagał Carsonowi generał Carleton, zakładał manewr kleszczowy. Dwie grupy żołnierzy miały wkroczyć do kanionu z dwóch różnych stron i spotkać się gdzieś w środku. Chodziło o to, żeby z pułapki nie wydostał się żaden Nawaho. Carleton liczył, że dzięki temu Carsonowi uda się także zrobić wrażenie na Indianach. W końcu kanion De Chelly był dla Diné miejscem symbolicznym. Gdyby Carson przemaszerował przez całą jego długość, aura niepokonanej twierdzy ległaby w gruzach. Nawet gdyby ekspedycja nie spowodowała wielu ofiar u przeciwnika, mogłaby mocno obniżyć morale Nawahów. Wyprawa do kanionu De Chelly była więc nie tyle posunięciem ściśle wojskowym, ile zagraniem psychologicznym. Carleton chciał, żeby

Amerykanie, wdzierając się do serca krainy Nawahów, do ich duszy, odebrali im wolę walki.

Śnieżne zaspy dawały się mocno we znaki żołnierzom Carsona. Zamiast maszerować przez trzy dni, męczyli się przez dni sześć. Woły słabły w oczach i wreszcie zaczęły padać ze zmęczenia. Zdechło ich w sumie dwadzieścia siedem. Ich potężne cielska zapadały się w śnieg i szybko zamarzały na kość. Tylko gęste grzywy powiewały na wietrze.

Carson dotarł do wrót kanionu 12 stycznia. Znajdował się w okolicy dzisiejszego miasteczka Chinle w Arizonie. Natychmiast wysłał podjazdy na rekonesans – zarówno w stronę wysokich ścian kanionu, jak i do jego trzewi. Sierżant Andres Herrera dowodzący pięćdziesięcioma żołnierzami napotkał grupę Nawahów, którzy próbowali ujść boczną odnogą. Herrera ruszył do ataku i szalejące w kanionie echo szybko poniosło odgłosy strzelaniny. Amerykanie zabili jedenastu nawahijskich wojowników, schwytali dwie kobiety, dwoje dzieci oraz sto trzydzieści kóz i owiec. Bitwę o kanion De Chelly można było uznać za rozpoczętą.

Następnego ranka Carson wybrał się na rekonesans jego południowej krawędzi. Przygotowywał ofensywę, którą chciał rozpocząć kilka dni później. Maszerował przez wiele kilometrów, ciągle zaglądając w dół w otchłań, oceniając skomplikowaną budowę terenu i rozmyślając, że nawahijscy wojownicy być może gotują się do strzału albo szykują zasadzkę w tysiącach kryjówek. Cały jego traperski instynkt burzył się na myśl o wejściu do wnętrza kanionu. Co za nieostrożność! Przecież to musi być pułapka.

Carson zaczął się też zastanawiać, gdzie jest Albert Pfeiffer ze swoimi żołnierzami. Na pewno dotarł już do wschodniego wejścia i ruszył na zachód. Carson wypatrywał swoich podwładnych ze szczytu kanionu. Nie mógł ich jednak dostrzec.

Kapitan Albert Pfeiffer był postacią kolorową i nieco tragiczną. Choć ostro pociągał z butelki, był jednym z najzdolniejszych oficerów pod komendą Carsona. Miał łagodne niebieskie oczy i potężną budowę ciała. Przyjechał do Ameryki z Holandii, ale spędził trochę czasu w Nowym Meksyku i, podobnie

jak Carson, ożenił się z Latynoską. Z natury był spokojny. Jednak kiedy znajdował się w sytuacji podbramkowej, na przykład podczas walki, wpadał w szał. Zaczynał kląć po niderlandzku i zmieniał się, jak stwierdził jeden z jego towarzyszy broni, w „najbardziej desperacko odważnego wojownika na Zachodzie".

Pfeiffer ciągle dochodził do siebie po ranach, jakie odniósł kilka miesięcy wcześniej podczas kampanii przeciwko Apaczom Mescalero. Ponadto kapitan cierpiał z powodu problemów dermatologicznych – wzmaganych przez alkohol – które ciągle wypominał mu Carson. „Kiedy wreszcie pójdziesz po rozum do głowy? – pisał do niego w liście. – Nie możesz choć na chwilę przestać żłopać whisky – przynajmniej do czasu, aż zagoi się ci twarz? Jeśli nie będzie wygojona, kiedy zobaczę cię następnym razem, będziesz miał kłopoty"[588].

Żeby wyleczyć się z problemów skórnych, Pfeiffer brał regularne kąpiele w pełnym minerałów gorącym źródle znajdującym się niedaleko fortu, w którym stacjonował. Kiedy pewnego upalnego dnia kąpał się w nim razem z żoną, napadła ich grupka Apaczów. Pfeiffer został poważnie raniony strzałą, a jego żona zginęła. Półnagi oficer zdołał jakoś dotrzeć do fortu, ale doznał przy okazji poważnych oparzeń słonecznych. Według niektórych źródeł to wydarzenie na zawsze zmieniło Pfeiffera, który odtąd nienawidził wszystkich Indian.

11 stycznia Pfeiffer i setka żołnierzy bez przeszkód dotarli do wschodnich wrót kanionu De Chelly. Kapitan osiągnął więc swój cel o dzień wcześniej od pułkownika Carsona. Jego pododdział był jednak lżej wyposażony i składał się głównie z jeźdźców – stąd Pfeiffer zdołał utrzymać żwawe tempo marszu. Nie marnując czasu, od razu wtargnął do kanionu, podążając zalodzonym strumieniem, który wpływał do głębokiej rzeki. Potem ruszył na zachód.

Niestety, wszedł nie do tego kanionu, co trzeba. Przegapił główne wejście do De Chelly i zamiast w nim znalazł się w kanionie Del Muerto, mniejszej, choć nie mniej imponującej odnodze całego skalnego kompleksu.

Pfeiffer parł naprzód, a drogę przecierał mu zespół saperów wyposażonych w topory, którzy drążyli tunel w lodzie i zaspach śnieżnych. Szlak był niezwykle ciężki. Pod jednym z mułów, niosącym wyjątkowo ciężkie juki,

załamał się lód i zwierzę zniknęło pod wodą. Z każdym zakrętem rosły ściany kanionu, pogrążając żołnierzy w przytłaczającej ciszy. Niektórzy z nich ryli w ścianach z piaskowca własne nazwiska albo litery U.S.A. – po dziś dzień widać na nich powtarzające się nazwisko „Kilroy". Żołnierze gapili się na przytłaczające skały, ruiny puebli oraz rysunki pokrywające skalne ściany. Choć okolica była jak ze snu, szybko obudzili ich nawahijscy wojownicy, otaczający Amerykanów ze wszystkich stron – wyglądali ze szczytu kanionu, chowali się w szczelinach i obserwowali każdy krok Amerykanów. Niektórzy Indianie, jak zanotował Pfeiffer, „skakali z jednej półki skalnej na drugą niczym pumy, wrzeszcząc, przeklinając mnie i strasząc nas śmiercią w każdej odmianie hiszpańskiego, jaką władali"[589].

Po drodze żołnierze wzięli do niewoli osiem nawahijskich kobiet i dzieci, które wyglądały na zaskoczone pojawieniem się Amerykanów. Najwyraźniej spodziewały się, że nadejdą oni z drugiej strony. Pfeiffer zauważył, że Nawahowie byli przerażeni i wynędzniali – „głodujący, prawie umierający z głodu, i nadzy"[590]. W innym miejscu jego żołnierze znaleźli zamarznięte trupy kilku Nawahów, którzy najwyraźniej umarli z głodu. Wszystko wskazywało na to, że Indianie znaleźli się w naprawdę krytycznym położeniu, do którego doprowadziła ich prawdopodobnie taktyka spalonej ziemi stosowana przez Carsona. Najwyraźniej przyniosła ona lepsze efekty, niż oczekiwano.

Wchodząc coraz głębiej do kanionu Del Muerto, Pfeiffer spotykał się z masową demonstracją oporu ze strony Nawahów. Indianie pędzili wzdłuż krawędzi kanionu. Niektórzy pokazywali Amerykanom gołe tyłki. Kolejni próbowali zwabić najeźdźców do bocznych odgałęzień kanionów i w ślepe zaułki. Indianie, jak wspominał kapitan, „krzyczeli i przeklinali, a także strzelali i ciskali kamienie w mój pododdział".

Pfeiffer miał tego dosyć. Rozkazał swoim ludziom otworzyć ogień. „Kilka strzałów ze strony moich żołnierzy wyposażonych w wierne karabiny rozproszyło Czerwonoskórych i otworzyło mi drogę". Salwa zabiła „dwóch mężczyzn i jedną *squaw*, którzy uparcie ciskali w żołnierzy kamieniami i kawałkami drewna"[591].

Następnego dnia, czyli 12 stycznia, Pfeiffer i jego żołnierze minęli Skalną Fortecę, najwyraźniej nie mając pojęcia, że na jej szczycie schroniło się aż trzystu Nawahów – kapitan nie wspomina nic o tym w swoich meldunkach. Ustne opowieści przekazywane przez Nawahów nie pozostawiają jednak wątpliwości, że przemarsz Amerykanów zrobił na Diné ogromne wrażenie. Jak w spisanej przez historyków relacji wspomina Teddy Draper – opierając się na opowieści, którą usłyszał od swojej babki – Nawahowie mieli „zachować ciszę do czasu, aż żołnierze nas miną. Z miejsca, w którym byłam, wyglądali na malutkich, ale byli dobrze uzbrojeni i mieli porządne konie. Rozbili obóz na dole, na skrzyżowaniu dróg, ale nasi mężczyźni nie spróbowali ich zaatakować”[592].

Wojownicy musieli się powstrzymać, opowiada Draper, tylko dlatego, że ich wódz – bogaty Nawaho o imieniu Dahghaa’i – poinformował ich, że zauważono o wiele więcej *bilagaana* znajdujących się „u wejścia do kanionu. Dowodzi nimi Bi’ee’ Kichii’ii – Kit Carson – bardzo czysty Biały Człowiek”[593].

Kiedy blade zimowe słońce schowało się za ścianą kanionu, Amerykanie zburzyli stary hogan i wykorzystali drewno z jego konstrukcji na ogniska. Rozpalili je i okryli się szczelnie kocami i matami do spania. Nocą niektórzy Nawahowie ukryci na szczycie Skalnej Fortecy nie mogli się powstrzymać i straszyli Amerykanów okrzykami. „W miejscu, w którym obozowałem – wspomina Pfeiffer – dym z moich ognisk ulatywał w stronę dużej grupy Indian ukrytych nad moją głową. Byli jednak tak wysoko, że przypominali wielkością wrony. Byliśmy zbyt daleko od siebie, żeby zrobić sobie krzywdę. Nikt więc nie ucierpiał, no może trochę od obelg”[594].

Wczesnym rankiem żołnierze zwinęli obozowisko i ruszyli dalej. Za każdym zakrętem Pfeiffer spodziewał się ujrzeć żołnierzy Carsona – sądził, że powinien już natrafić na czujki tak dużego oddziału. Po drodze brał kolejnych nawahijskich jeńców i miał ich już w sumie dziewiętnaścioro. Cały czas poruszał się po kanionie Del Muerto. W końcu doszedł do miejsca, w którym uchodzi on do głównego korytarza De Chelly. Właśnie wtedy, kiedy spojrzał na jeszcze większe pęknięcie w ziemi, zaczął podejrzewać, że

popełnił błąd. Uznał jednak, że najlepiej będzie nie schodzić z drogi i ciągle podążał na zachód.

Trzystu Nawahów ukrytych na szczycie Skalnej Fortecy było tymczasowo bezpiecznych. Ich prześladowcy poszli dalej. Jednak kilka tygodni później mocny pododdział wysłany przez Carsona dotarł do cytadeli i rozpoczął jej oblężenie. Żołnierze zabili albo zranili około dwudziestu wojowników, którzy ciskali w nich kamieniami z niszy w ścianie twierdzy. Amerykanie rozbili obóz u stóp Skalnej Fortecy, nad brzegiem strumienia zwanego Tsaile Creek, i próbowali wziąć Nawahów głodem. Indianie ukrywający się na szczycie umierali jednak z pragnienia. Śnieg stopniał, a naturalne zbiorniki wody się wyczerpały.

Dlatego w księżycową jasną noc w lutym 1864 roku Nawahowie ukryci na dachu Skalnej Fortecy opracowali plan, o którym po dziś dzień dumnie opowiadają najstarsi Diné. Indianie stworzyli ludzki łańcuch, który po maleńkich skalnych stopniach zszedł w dół aż do Tsaile Creek, nad którym spało kilku amerykańskich wartowników. Grupa wojowników dotarła do półki skalnej położonej około sześciu metrów nad strumieniem. Na sznurach splecionych z włókien jukki opuścili do strumienia czerpaki i nabrali lodowatej wody. Pracowali całą noc, napełniając pojemnik za pojemnikiem pod nosem śpiących żołnierzy i podając je w górę z rąk do rąk aż na szczyt. Do rana odnowili w ten sposób swoje zapasy wody[595].

Dzięki temu – a Nawahowie żyjący w okolicy kanionu De Chelly upierają się, że to nie legenda, tylko prawda – trzystu uchodźców ukrytych na szczycie Skalnej Fortecy przetrwało amerykańskie oblężenie. Nigdy nie zostali schwytani przez Amerykanów.

13 stycznia Carson spędził cały dzień, rozpoznając topografię kanionu De Chelly z jego południowej krawędzi. Zignorował kilka ścieżek, które prowadziły na dno. Wydawał się w ogóle niezainteresowany tym, by zejść w głąb tego niesamowitego pęknięcia w skałach. Nie odczuwał potrzeby zaspokojenia ciekawości albo pochwalenia się – „byłem tu”. Być może był po prostu ostrożny – tak przynajmniej często się opisuje jego styl dowodzenia. Ale być może, jak niektórzy spekulują, miejsce to napawało go

niechęcią. W młodości Carson bywał przesądny, wierzył w złe omeny i miewał przeczucia. Był człowiekiem dzikich przestrzeni, który instynktownie unikał zatłoczonych sal i ciasnych miejsc. Może właśnie dlatego odkładał, jak mógł, wejście w otchłań kanionu. Odwlekał kampanię, którą większość wojskowych – a na pewno Carleton – uważała za nieuniknioną. Teraz, kiedy wreszcie dotarł na miejsce, utknął na krawędzi kanionu. Kanion De Chelly budził w nim grozę.

Carson zastanawiał się nad losem swojego drugiego pododdziału. „Obawiał się o bezpieczeństwo ludzi dowodzonych przez kapitana Pfeiffera". Ranek przeszedł w ołowianoszare popołudnie. Lęk Carsona się wzmógł. Kiedy jednak o zmierzchu powrócił do obozu rozbitego u zachodniej bramy kanionu, odetchnął z ulgą – czekał tam na niego Pfeiffer. Żołnierze z obu grup wymieszali się i rozsiedli wokół ognisk – popijając kawę i wymieniając się opowieściami. Choć spotkali się nie tam, gdzie zamierzali, to jednak się spotkali – wszyscy, cali i zdrowi.

Potem pojawiła się kolejna iskierka nadziei. Grupka Nawahów weszła do obozu pod białą flagą. Indianie się poddawali. Byli wycieńczeni, głodni i wyziębieni. Jak mówili, mieli dość wojny. Ich przedstawiciel powiedział Carsonowi, że cała grupa licząca przeszło pięćdziesiąt osób była gotowa pojechać do Bosque Redondo.

Nawahowie przypominali żywe trupy. Carson potraktował ich łagodnie, poczęstował jedzeniem i piciem. Kiedy jednak usiadł z nimi na naradę, postawił im ultimatum.

– Macie czas do jutra, do momentu, w którym słońce znajdzie się wysoko na niebie – zapowiedział. – Jeśli się nie poddacie, moi żołnierze was dopadną i pozabijają[596].

Następnego ranka, grubo przed czasem, w obozie Amerykanów pojawiło się sześćdziesięcioro Nawahów. Byli gotowi pójść tam, gdzie rozkaże im Carson.

Wszystkich nakarmiono i rozdano im koce. Potem Kit wysłuchał tego, co mieli do powiedzenia.

– Przez to, co zrobili wasi żołnierze – zaczął jeden z Indian – wszyscy głodujemy. Wiele kobiet i dzieci zmarło z głodu. Poddalibyśmy się dawno

temu, ale baliśmy się, że prowadzicie wojnę mającą zniszczyć nas wszystkich[597].

Kiedy Carson zapewnił ich, że to nieprawda, Nawahowie wydawali się „zdziwieni i uradowani". Pułkownik wyjaśnił im, czym jest rezerwat w Okrągłym Lesie i dlaczego rząd Stanów Zjednoczonych postanowił przenieść do niego Nawahów.

– Rząd chce, żebyście żyli lepiej niż dotychczas – zapewnił. – Nie chcemy was zniszczyć, tylko uratować. Jeśli, oczywiście, chcecie być uratowani.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, Nawahowie zdecydowali, że przekonają swoich pobratymców do wyjścia z ukrycia. Mieszkańcy całej krainy Diné cierpieli głód, byli rozbici i przerażeni. Chętnie poddaliby się Amerykanom, gdyby wiedzieli, że nie czeka ich potem śmierć.

Carson zdał sobie sprawę, że głód jest jego największym sprzymierzeńcem. Spoglądając na zrezygnowaną grupę sześćdziesięciu Nawahów, musiał wyobrażać sobie wynędzniałe twarze ośmiu, dziesięciu, dwunastu tysięcy ludzi. Kit wreszcie zrozumiał, czego dokonał. Do jakiego stanu doprowadził tych ludzi. Znaczenie słów „spalona ziemia" objawiło mu się z całą mocą.

Nie czuł z tego powodu dumy. Być może zaczynał odczuwać ulgę. Plemię Nawaho ciągle było dalekie od poddania się. Tego ranka jednak coś się skończyło i coś się zaczęło. Pierwsi Diné się poddali. W końcu Carson mógł porozmawiać z Nawahami twarzą w twarz, zamiast „komunikować się z nimi za pomocą kul karabinowych".

Zaufał Nawahom, kiedy obiecali, że będą namawiać swoich rodaków do poddania się. Jako emisariusze byli o wiele bardziej wiarygodni niż amerykańskie ekspedycje wojskowe. Mogli odwrócić bieg wojny. Carson zapowiedział Indianom, że w ciągu tygodnia mają pojawić się w forcie Canby, przyprowadzając ze sobą tylu współplemieńców, ilu zdołają. Obiecał, że powita ich osobiście i że żadnemu z nich nie spadnie włos z głowy.

Następnego dnia Carson szykował się do wymarszu w stronę fortu. Chciał wrócić doń na tyle wcześnie, żeby przygotować się na przyjęcie jeńców.

Rozumiał wagę porządnej dyplomacji. Nie mógł dopuścić do powtórzenia błędów popełnionych przez majora Blakeneya.

Kit zamierzał zabrać ze sobą niewielki pododdział żołnierzy, a resztę wojsk w kanionie De Chelly zostawić pod dowództwem kapitanów Alberta Pfeiffera i Asy Careya. Kazał im mocniej nacisnąć na Nawahów. Poddanie się sześćdziesięciu Indian mogło odwrócić bieg wojny. Zwycięstwo było w zasięgu ręki. Dlatego Carson chciał, żeby jego żołnierze byli jeszcze bardziej bezwzględni i wykorzystali każdą nadarzającą się okazję. Wydawało się, że wreszcie uwierzył w to, co robi. Przybierał ton podobny do tonu Carletona. „Teraz – zanotował – przyszedł czas na uderzenie z całą mocą".

Rozkazał więc Careyowi i Pfeifferowi przeczesanie głównych korytarzy kanionu De Chelly. Mieli niszczyć wszystko, co napotkają po drodze – każdy hogan, każdy krzaczek i drzewko, zabić każde zwierzę. Innymi słowy, nakazał jeszcze więcej spalonej ziemi – tym razem w samym sercu, w świętym miejscu krainy Nawahów. Każdy Diné, który się poddawał, miał być traktowany dobrodusznie. Ci, którzy się ukrywali albo próbowali uciec, mieli zostać zastrzeleni.

Wykonując to zadanie, Carey i Pfeiffer mogli też zbadać zakamarki kanionu, a nawet wziąć ze sobą rysownika, który porobiłby szkice i mapy. Dochodząc do wschodnich bram kanionu De Chelly, wypełniliby obietnicę, którą Carson złożył Carletonowi – „wszystko, co związane z tym kanionem, przestanie okrywać tajemnica".

Carson wydawał się zadowolony, że może powierzyć wykonanie tego zadania komuś innemu i nie będzie musiał osobiście wchodzić do skalnego labiryntu. Inni dowódcy byliby wniebowzięci, gdyby podczas wojny dano im szansę spenetrowania korytarzy kanionu De Chelly. Chcieliby osobiście poprowadzić wojska podczas takiej wielkiej, historycznej misji. Carson jednak miał inne pojęcie o szczęściu. Tak naprawdę, choć to jemu przypisuje się podbój De Chelly, Kit nigdy nie postawił w nim stopy.

Przed wyjazdem Carson wpadł na diabelski pomysł, który świetnie oddawał jego naturę. Prawdopodobnie zainspirował go generał Carleton. Ale to pułkownik Carson wydał rozkaz. Amerykańscy żołnierze mieli wykarczować wszystkie drzewa brzoskwiniowe rosnące w kanionie.

Okazało się, że zimą ten rozkaz jest trudny do wykonania, lecz żołnierze Carsona powrócili do kanionu latem. Pod piłami, toporami i od ognia padły tysiące brzoskwiniowych drzew. Wspaniałe sady Diné zostały zrównane z ziemią.

Trudno sobie nawet wyobrazić, jakie to musiało zrobić wrażenie na Nawahach. Zniszczenie prastarych sadów było ostatecznym ciosem. Jakby Carson mówił Nawahom: „Na wieki pohańbione zostało to, kim jesteście, i wszystko, co macie". Diné nigdy mu tego nie wybaczyli.

Carson raźnie pomaszerował w stronę fortu Canby. Pod koniec stycznia zaczęli do niego schodzić pierwsi Nawahowie. Najpierw dwójkami, trójkami, a potem tuzinami. Nawahijscy emisariusze, tak jak obiecali, zachęcali swoich rodaków do poddania się. Do fortu zmierzały tysiące Indian. „Przybywają właściwie co godzinę – pisał Carson do Carletona. – Wygląda na to, że będą nadal przybywać, aż ostatni Indianin z tego rejonu kraju wyruszy w drogę do Bosque Redondo"[598].

To Carson podyktował meldunek o kampanii w kanionie De Chelly, ale wydaje się, że został on podrasowany przez jego adiutanta. „Porządnie zbadaliśmy tę wcześniej nieznaną twierdzę – deklarował pułkownik. – Pokazaliśmy Indianom, że nie mogą się czuć bezpiecznie w żadnym miejscu, choćby było ono bardzo odległe i mało dostępne. Nasi żołnierze dopadną ich wszędzie. Przekonaliśmy też sporą ich część, że Rząd ma wobec nich humanitarne zamiary". Carson podyktował też istotne dane statystyczne dotyczące misji w kanionie De Chelly: „Zabitych – dwudziestu trzech. Jeńców – trzydziestu czterech. Dobrowolne poddało się dwieście dusz. Zagarnęliśmy dwieście owiec i kóz"[599].

Nawahowie zaczęli napływać do fortu Canby niczym fale powodziowe. W pierwszym tygodniu lutego 1864 roku przybyło ich przeszło ośmiuset. W ciągu kilku następnych tygodni ich liczba spuchła do dwóch i pół tysiąca. A wiele tysięcy było ciągle w drodze. Los Indian oczekujących na transfer do Okrągłego Lasu podsumował dziennikarz magazynu „Weekly New Mexican": „Nadchodzi świt. […] Carleton osiągnął wiele". „Santa Fe Gazette" pisała, że „w tym momencie iskry z setki ognisk strzelają w niebo

pomiędzy wzgórzami [wokół fortu Canby] i w promieniu pięciuset jardów od posterunku. Ogniska rozpalili pokojowo nastawieni Nawahowie, którzy codziennie przybywają w ogromnej liczbie. To dobry znak”[600].

Wojsko przestało sobie radzić z napływem Indian. W fortach Canby i Wingate nie było wystarczających zapasów jedzenia. Carson alarmował Carletona w listach, że Nawahów może czekać głód, bo wojskowe racje się kończyły. „Z całym szacunkiem sugeruję, żeby Indianie przebywający w okolicy fortu i będący w drodze do Bosque Redondo byli porządnie karmieni – pisał. – Musimy przekonać ich o dobrych intencjach Rządu wobec nich. Obawiam się, że w przeciwnym razie stracą do nas zaufanie i uciekną”.

Carson nie miał jednak pozostać w forcie Canby na tyle długo, żeby zobaczyć najgorsze. Teraz, kiedy udało mu się pojmać o wiele więcej Nawahów niż setkę, której żądał generał Carleton, mógł wziąć urlop i pojechać wreszcie do domu. Wyjechał z fortu w pierwszym tygodniu lutego, eskortując przy okazji dwustu pięćdziesięciu trzech jeńców. Był pogromcą Nawahów, a teraz także i obrońcą. Towarzyszył im aż do Rio Grande. Kiedy dotarł do rzeki, zakręcił na północ w stronę Santa Fe. Jego żołnierze poprowadzili zaś jeńców przez blisko pięćset kilometrów do założonego przez Carletona rezerwatu nad rzeką Pecos.

Santa Fe powitało Carsona niczym boga. Ludzie oddawali mu honory, obejmowali go na ulicach. Na plazie odbywała się fiesta. W ciągu ledwie pół roku Kit osiągnął tyle, ile nie udało się żadnemu dowódcy polowemu w ciągu trzystu lat.

Carleton nie ustawał w pochwałach. Tryumf Carsona był dla niego „ukoronowaniem długiego życia spędzonego na walce z dzikusami żyjącymi w Górach Skalistych”[601]. Generał wystosował też optymistyczny meldunek do swoich przełożonych w Waszyngtonie. Jak zaznaczył, kanion De Chelly był „fortecą Nawahów od niepamiętnych czasów. Pułkownik [John] Washington i wielu innych dowódców próbowało przezeń przejść i musiało się wycofać po własnych śladach. Pułkownikowi Carsonowi udało się to jako pierwszemu”.

Carleton był tak zadowolony z tego, jak wielu Nawahów przybywało do fortu Canby – były ich już cztery tysiące – że zadeklarował „zawieszenie

broni”. 27 lutego z pełnym przekonaniem pisał do Waszyngtonu: „Bez wątpienia była to ostatnia wojna z Nawahami”. Carson, jak zwykle, czuł się niezręcznie, przyjmując pochwały i będąc obiektem zbiorowej uwagi. Dlatego szybko sprostował, że tak naprawdę to Carey i Pfeiffer dokonali podboju kanionu De Chelly.

Prawdę mówiąc, Carson był w tak złym stanie, że nie mógł ani cieszyć się ze zwycięstwa, ani nawet przyjąć go do wiadomości. Był wyczerpany i coraz bardziej obolały. Jeszcze o tym nie wiedział, ale w jego piersi powoli rosło coś, co miało go w końcu zabić. Wypadek konny, który przytrafił mu się lata wcześniej w górach San Juan, najwyraźniej spowodował powstanie tętniaka aorty – fragment najważniejszej tętnicy pompującej krew w ciele Kita zmienił się w balonik, który coraz bardziej się rozrastał. Jego pęknięcie oznaczało śmierć. Carson wiedział, że sprawy źle się mają. Jak napisał Tom Dunlay, „na jego ścieżce pojawił się wróg, którego nie mógł ani przechytrzyć, ani pokonać”[602].

Carson miał już dość wojowania z Nawahami. „Stan mojego zdrowia przyjmuję jako ostrzeżenie – pisał – że nie mogę już porządnie służyć swojemu krajowi”[603]. Dlatego tak szybko jak mógł, uciekł z wychwalającego go pod niebiosa Santa Fe i pojechał do domu, do Josefy.

43

Długi Marsz

Jedyne, co ze sobą zabrali, to zniszczone ubrania, które mieli na sobie. Kolumna Nawahów ciągnęła się przez wiele kilometrów. Przedzierali się przez śnieżyce nawiedzające wczesną wiosną pustynne płaskowyże Nowego Meksyku. Za domem zaczęli tęsknić, zanim jeszcze opuścili swoją krainę. Na twarzach tak nawykłych do cierpienia pojawiły się ból i smutek. Na wielu innych jednak błyskała nikłym uśmiechem nadzieja. Część Nawahów ufała, że w nowym miejscu uda się im wieść życie lepsze niż to, którego zaznali w ostatnim roku nędzy i rozpaczy. Mieli niewielkie pojęcie o tym, dokąd idą, a także o tym, co zastaną na miejscu. Po prostu szli. Coraz dalej i dalej na wschód.

Wschód był w końcu kierunkiem, który dawał nadzieję. To na wschód otwierał się każdy nawahijski hogan, dzięki czemu jego mieszkańcy mogli witać wstające rano słońce. A jednak wschód był także kierunkiem, z którego przyszli *bilagaana*.

Były w tym życiowy paradoks oraz przestroga. Odkąd sięgali pamięcią, Diné bali się opuszczać świat, którego granice wyznaczały cztery święte góry. Tych, którzy to zrobili, przestawały chronić nawahijskie rytuały. Prastare pieśni stawały się bezużyteczne. Nawet najlepsi szamani tracili swą moc. Dlatego kiedy uchodźcy opuszczali krainę Nawahów i mijali puebla Acoma oraz Laguna, schodząc do doliny Rio Grande, zaczynali się bać. Lękali się tego, co ich czeka w kraju wschodzącego słońca.

Przez moment obracali głowy i sycili wzrok kojącym widokiem ukochanej Turkusowej Góry – Mount Taylor. Święty szczyt wznosił się nad równiną, jego szerokie ramiona ciągle przykrywał śnieg. Niemniej po kolejnym dniu, dwóch dniach marszu Turkusowa Góra zaczęła zacierać się za horyzontem. Jej niebieskawe zbocza rozpływały się w powietrzu, aż w końcu rozpłynęły się na dobre. Diné wspinali się na płaskowyże, schodzili zboczami

i wędrowali po prerii, a ich kraina zostawała coraz dalej za nimi. Szli na wschód.

Wina większości z nich polegała tylko na tym, że byli Nawahami. Wojowniczy młodzi mężczyźni, którzy odpowiadali za łupieskie najazdy dokonywane na mieszkańcach Nowego Meksyku, stanowili niewielki procent plemienia. Tak więc wielu płaciło za błędy niewielu. Wszyscy Diné mieli ponieść karę za zbrodnie popełnione przez niepoprawnych synów plemienia. Pierwsi poddali się najbiedniejsi Nawahowie – *ladrones*. To oni byli najsłabsi i najbardziej chorzy, to im brakowało siły, żeby stawiać opór. Teraz mieli mniej niż nic – ani zdrowia, ani zwierząt, ani nawet kraju.

Nie było wśród nich takich Nawahów jak Manuelito. On był jednym z *ricos* – bogaczy. Miał wystarczająco dużo owiec, żeby jego rodzina nie głodowała. Dzięki swoim stadom mógł okupić się mieszkańcom ziem, przez które wędrował. A Manuelito był w ciągłym ruchu. Stawiał opór.

– Pozostanę tutaj – powiedział pewnemu wojskowemu zwiadowcy, który wezwał go do poddania się. – Nie mam nic do stracenia poza życiem i krajem, do którego przyjdą obcy i wezmą z niego to, co będą chcieli[604].

Manuelito był silnym i krnąbrnym człowiekiem. Człowiekiem pełnym niepospolitej dumy. Miał jednak także coś, czego brakowało *ladrones*, kiedy zdecydowali się na akt rozpaczy i poddali się Amerykanom – miał pełny brzuch.

Teraz także *ladrones* mieli co jeść – jeśli za jedzenie uznać racje żywnościowe, które po drodze wydzielali im *bilagaana*. Wojskowy bekon był zjełczały i powodował u Nawahów odruch wymiotny. Dostawali kawę, ale nie mieli czym zemleć nasion. Codzienna porcja pszennej mąki nie nadawała się do niczego. Mąka była dobra, ale Nawahowie nie wiedzieli, co z nią zrobić. Większość z nich widziała ją pierwszy raz w życiu. Indianie jedli więc surową pszenną mąkę i chorowali.

Generał Carleton nakazał swoim podwładnym traktować Indian z „chrześcijańskim miłosierdziem”. Przypomniał im, że celem operacji było możliwie jak najszybsze i bezproblemowe przeniesienie Indian do Bosque Redondo. Dzięki temu żołnierze mieli mieć o jednego wroga mniej. Gdyby po drodze konwojenci źle traktowali Nawahów, Indianie uciekliby

i powrócili do swojej krainy. A wojna wybuchłaby z nową mocą. Diné, mówił Carleton, byli teraz „podopiecznymi Stanów Zjednoczonych – ludem, który oddał swój kraj i którego dobrostan zależał od potężnego i chrześcijańskiego narodu" amerykańskiego[605].

Polityka miłości musiała jednak stawić czoła zwykłemu zamieszaniu, o które zawsze łatwo podczas ewakuacji uchodźców. W końcu nawet piekło jest wybrukowane dobrymi intencjami. To, co miało być uporządkowanym i bezproblemowym marszem, zmieniło się w chaos. Żołnierze gwałcili nawahijskie kobiety i odmawiali swoim „podopiecznym" racji żywnościowych. Starcy umierali podczas marszu. Okrutni konwojenci od czasu do czasu zabijali tych, którzy nie nadążali za kolumną, a ich ciała zostawiali w miejscu, w którym upadły. Żołnierze udawali też, że nie widzą, jak starzy wrogowie Nawahów – Indianie Zuni, Jemez, a także latynoscy mieszkańcy Nowego Meksyku – nękają kolumny uchodźców, wykradając im kobiety i dzieci. Napaści na maszerujących Nawahów w celu wzięcia niewolników stały się tak częste, że pewien amerykański oficer wzywał podwładnych do „zachowania najwyższej czujności, inaczej indiańskie dzieci zostaną ukradzione i sprzedane".

Setki Nawahów dosięgły choroby, wyziębienie i wyczerpanie. Kapryśna wiosenna pogoda, z której Nowy Meksyk słynie, dawała się im we znaki. 21 marca kolumnę złożoną z blisko tysiąca uchodźców dopadła śnieżyca. Wojskowi kwatermistrzowie nie byli do niej przygotowani. Nie rozdali Nawahom wystarczającej liczby koców ani wystarczających ilości drewna opałowego. Wielu Indian było prawie nagich i uległo poważnym odmrożeniom. Zanim nieszczęsna kolumna dotarła do Bosque Redondo, zmniejszyła się o sto dziesięć osób.

Nie mamy żadnych informacji wskazujących na to, że sprawca tego nieszczęścia generał James Carleton na własne oczy widział, jak wyglądało przymusowe przesiedlenie Nawahów. Wolał siedzieć w Santa Fe i bez wytchnienia walczyć za pomocą pióra. Ale przecież otrzymywał nieustające meldunki na temat hidżry odbywającej się na ogromnym terytorium, którym zarządzał. Marsz Nawahów, jak sądził, był piękną metaforą wielkiej migracji

inspirowanej przez Boskie Przeznaczenie i ostatnim stadium jego wypełnienia: oto Diné maszerowali na wschód, a na zachód parła wielka migracja Anglosasów.

„Exodus całego narodu z krainy jego ojców jest wzruszającym widokiem – pisał Carleton. – Przez długie lata dzielnie przeciw nam walczyli. Heroicznie bronili swoich gór i swoich przepastnych kanionów. W końcu jednak dostrzegli, że także ich przeznaczeniem jest uległość wobec nienasyconego postępu naszej rasy”[606].

Carleton był tak zadowolony z postępów kampanii przeciwko Nawahom, że późnym latem pozwolił sobie na niespodziewane wakacje. Od dawna chciał wejść na Baldy Peak, potężną łysą górę wznoszącą się nad Santa Fe. Na wysokości blisko czterech tysięcy metrów nad poziomem morza spacerowały tylko kozice górskie i czasem niedźwiedzie. Wielu błędnie sądziło, że Baldy Peak to najwyższy szczyt Nowego Meksyku. Mimo niewątpliwego uroku tej góry żaden biały jeszcze jej nie zdobył. Tak przynajmniej powiedziano Carletonowi.

W sierpniu generał wraz z kilkoma przyjaciółmi wyruszył w drogę. Po kilku dniach dotarł na szczyt. Tuż pod nim lśniło w słońcu cudne jezioro – zimny, błękitny staw górski dzisiaj znany jako Lake Katherine. Z pokrytego porostami i łąkami kwiatów Baldy Peak Carleton spoglądał na krainę Nawahów. Jednym spojrzeniem objął swoje nowe królestwo. Widział zrośnięte ze sobą góry i szczerbate płaskowyże. Był pewien, że skrywają one żyły złota. Za kilka miesięcy miał dać zgodę biznesmenowi Albertowi Case’owi Benedictowi na przeczesanie „każdego kamienia w poszukiwaniu żył złota”.

Być może gdyby spojrzał przez lornetkę w odpowiednie miejsce, zobaczyłby także ów „wzruszający widok” – chmury kurzu wzbijane w niebo przez kolumny Nawahów wygnanych z ojczyzny i maszerujących w stronę swojego nowego leśnego domu. Carleton został jednak na smaganej wiatrem łysej górze tylko na tyle długo, żeby mógł zrobić to, co zrobiłby na jego miejscu każdy amerykański generał – zatknąć na szczycie flagę USA.

Przez chwilkę Carleton rzeczywiście mógł czuć, że znalazł się na szczycie świata. Obywatele Nowego Meksyku go uwielbiali – nazwali go nawet „wybawcą Południowego Zachodu”. Sam prezydent Lincoln chwalił go za sukcesy. Gubernator terytorium uhonorował go specjalnym świętem „modlitwy i dziękczynienia”. Gazety wychwalały go niczym rzymskiego boga.

„Spójrzcie tylko na niego! – napisał nieco żartobliwie pewien redaktor. – Jego wojenna peleryna leży na nim elegancko jak toga. Zęby ma zaciśnięte niczym Jowisz. Carleton włada tymi ziemiami”[607].

Generał z przyjemnością dowiedział się, że kolejne tysiące Nawahów przybyły do fortów Canby i Wingate, gdzie przygotowywały się do podróży na wschód. Poddało się mu – albo było tego bliskie – prawie całe plemię Diné. Większości Indian wędrówka do Okrągłego Lasu zajmowała trzy tygodnie – w zależności od pogody, warunków na szlaku i trasy przemarszu. Marsz Nawahów nie był pojedynczą ogromną wyprawą, ale szeregiem mniejszych migracji. Trwał przez wiele miesięcy. Ostatecznie jednak było to przymusowe przesiedlenie o rozmiarach biblijnych – jedno z największych w historii Ameryki, ustępujące tylko Szlakowi Łez. W latach 1864–1865 do rezerwatu Bosque Redondo przesiedlono łącznie blisko dziewięć tysięcy Nawahów. Po drodze zmarło około pięciuset.

Nawahowie nadali temu exodusowi własną nazwę, która jednak nie oddaje potworności przesiedlenia – nazwali go Długim Marszem.

Dla większości z uchodźców najtrudniejszy był finalny etap wędrówki. Na ostatnich kilometrach ziemia robiła się coraz bardziej płaska i uboga. Coraz mniej przypominała dom, w których Nawahowie mieszkali przez całe stulecia. Spalona słońcem ziemia zdawała się pękać pod stopami. Niegościnną krainę, położoną kilkaset metrów niżej niż tereny, na których dotąd mieszkali Nawahowie, porastały rzadkie cylindropuncje, drzewka mesquite i krzewy. Pozbawiona znaków orientacyjnych równina była właściwie niezamieszkana, choć w oddali można było od czasu do czasu dostrzec antylopy powoli poruszające się w drżącym od gorąca powietrzu. Wreszcie kolumny marszowe wchodziły do doliny rzeki Pecos, w której

ukazywało się im ich przeznaczenie – szumiąca zieleń lasku strzeżona przez wzniesione niedługo przedtem gliniane zabudowania Fort Sumner.

Z początku nic nie zapowiadało późniejszej tragedii. Bosque Redondo dawał przyzwoity cień i rósł nad życiodajną rzeką. Okolica obfitowała w drewno, a teren rezerwatu był dość duży. Nie przypominał więzienia, którym tak naprawdę był. Nie był ogrodzony płotem albo murem, nie strzegły go wieże wartownicze, a więźniowie nie brzęczeli kajdanami na nogach i rękach. Diné mieli być nadzorowani tylko przez „pikiety” – niewielkie posterunki wojskowe rozmieszczone luźno na obrzeżach rezerwatu, ale ustawione w jego strategicznych punktach. No i cóż to był za rezerwat! Bosque Redondo, jak wytłumaczono Nawahom, obejmował potężny kawałek ziemi i rozciągał się po obu brzegach rzeki – tak daleko, jak mogli okiem sięgnąć. Miał przeszło sto kilometrów kwadratowych powierzchni i wielkością prawie dorównywał stanowi Deleware. To obce Nawahom miejsce było przynajmniej równie rozległe jak ich ojczyzna, a przez to jakby znajome.

Kilka dni po dojściu na miejsce Nawahowie musieli wziąć się do pracy. Mieli wykopać na wschodnim brzegu Pecos jedenastokilometrowy akwedukt, od którego powinny odchodzić mniejsze kanały irygacyjne. Dzięki temu nawodniliby tysiące hektarów pól, na których Carleton planował uprawy. Część Indian pomagała amerykańskim saperom w budowie tamy w górze rzeki, dziesięć kilometrów od rezerwatu. Jej zadaniem było zapanowanie nad sezonowymi wylewami Pecos. Nawahowie pomagali też żołnierzom w stawianiu kolejnych glinianych budynków Fort Sumner – koszar, sklepu dla markietanów, kwater oficerskich, więzienia. Nawahowie na pewno rozumieli, że pomagając *bilagaana*, ułatwiają im kontrolę nad swoim plemieniem.

Carleton domagał się, żeby pierwsze żniwa odbyły się najbliższego lata. Dzięki temu Diné mogliby od razu zacząć żyć na swoim. Ku zdumieniu żołnierzy Nawahowie z ochotą zabrali się do pracy. Rozumieli, co robią i po co. Znali się świetnie na rolnictwie i je kochali. Posiali pszenicę, sorgo, ryż i rzepę – ich najważniejszą rośliną uprawną pozostała jednak kukurydza. Do lipca pola uprawne nad rzeką porosły mocne i wysokie kukurydziane łodygi,

które szumiały na letnim, preriowym wietrze. Carleton pękał z dumy, kiedy zameldowano mu o pomyślnych plonach. Od razu napisał do swoich zwierzchników, raportując, że po zbiorach „Nawahowie będą najlepiej sobie radzącym i najlepiej zaopatrzonym plemieniem Indian żyjących w Stanach Zjednoczonych”.

Kit Carson spędził krótki urlop w Taos. Zimą Josefa urodziła mu szóste dziecko – córkę, której rodzice dali na imię Rebecca. Po dwóch miesiącach spędzonych w domu, wiosną 1864 roku Carson powrócił do fortu Canby, gdzie miał nadzorować poddawanie się kolejnych Nawahów. W maju złożył podanie o posadę inspektora nadzorującego Indian w rezerwacie w Okrągłym Lesie.

Choć było to marne stanowisko administracyjne, które nijak nie przystawało do specyficznych umiejętności Carsona, Kit naprawdę mocno się o nie starał. W meldunku podsumowującym kampanię przeciw Nawahom napisał, że na czele ich rezerwatu powinien stanąć ktoś, kto „świetnie rozumie charakter Indian – kto ich zna, kogo oni znają i do kogo mają zaufanie”. Inspektor miał przecież „zabezpieczać ich potrzeby, rozsądzać spory, pośredniczyć w ograniczonych kontaktach pomiędzy nimi i obywatelami, a także zlecać im zadania i nadzorować ich wykonanie. Powinien być człowiekiem, do którego będą mogli się udać po poradę i pomoc w razie jakiegokolwiek nagłego zdarzenia”[608]. Carson uważał, że to stanowisko powinien objąć człowiek o ojcowskim charakterze, uprzejmy, ale jednocześnie stanowczy, który potrafiłby na nowo uformować Nawahów „tak, żeby się nie spostrzegli”. Diné, argumentował Carson, „nie powinni być przedwcześnie zmuszani do życia w cywilizacji”. Jednocześnie jednak nie mogło być „przyzwolenia na regres”. Inspektor rezerwatu musiał więc dawać im dobry przykład i „uczyć ich, jak zapomnieć o dawnym życiu, a jednocześnie wprowadzać ich w nowe”.

Kit dostał upragnioną pracę i został inspektorem rezerwatu Bosque Redondo podczas pierwszych, obiecujących miesięcy jego istnienia, kiedy Nawahowie obsiewali swoje nowe pola i zaczynali nowe życie. Był to czas naznaczony pewną nadzieją. Carson okazał się życzliwym i uczciwym

comandante. Nawahowie byli nim zachwyceni. Podobnie jak ich prastary bóg wojny Zabójca Potworów Kit Carson przeszedł do legendy. Dokonał czegoś, czego Nawahowie nie spodziewali się po żadnym śmiertelniku. Zdawało się im, jakby zarzucił na cały ich lud magiczne lasso, za pomocą którego przyciągnął ich do tego miejsca. Ze strachu i szacunku nadali mu więc nowe imię – Zarzucający Linę.

Latem 1864 roku kukurydza w okolicy Okrągłego Lasu obrodziła wspaniale. Carson nieustannie lobbował w imieniu Diné, prosząc o kolejne dostawy i leki, pilnując żołnierzy i wysłuchując skarg Indian. Rozumiał, jak łatwo cały pomysł z rezerwatem może się nie udać. Wiedział, że pierwsze miesiące jego istnienia są kluczowe i zdecydują o powodzeniu tego, było nie było, eksperymentu. Czuł również, że Nawahowie go obserwują i wychwyciliby nawet cień złej woli z jego strony. „Jest niebywale ważne – pisał do Carletona – żeby każdej, choćby błahej obietnicy dotrzymać w najdrobniejszych szczegółach. Inaczej naturalnie podejrzliwy umysł Indianina zacznie bić na alarm i szybo wkradnie się weń brak zaufania”[609].

Mimo dobrych intencji Zarzucający Linę okazał się mało efektywny na swoim nowym stanowisku. Carson miał wiele twarzy, ale żadna z nich nie była twarzą biurokraty. Szybko zniechęcił się do pracy inspektora, sarkał na wiążące go regulaminy, narzekał na nieudolność i korupcję, których doświadczał. No i strasznie tęsknił za Josefą – równie mocno jak podczas kampanii w krainie Nawahów. Dzielił ich szmat drogi – Okrągły Las rósł w odległości przeszło trzystu kilometrów od Taos. Carson spędzał dzień po dniu, siedząc za biurkiem i przerzucając dokumenty, których nie potrafił przeczytać. Prosił o dostawy żywności i sprzętu, których pogrążony w problemach finansowych i wojnie rząd federalny nie potrafił dostarczyć. Cierpiał tak przez trzy miesiące. Czuł się niewolnikiem swojej pracy – po raz pierwszy, odkąd był czeladnikiem u rymarza. Posada inspektora w rezerwacie Bosque Redondo, jak pisał, „nie sprawiała mi radości”.

Carson narzekał w listach do Carletona, że „nie ma prawdziwej władzy czy kontroli nad sprawami Indian, poza władzą moralną”. Jego praca wymagała delikatnych umiejętności dyplomatycznych oraz politycznych i najwyraźniej go przerastała. Ciągle był skonfliktowany z urzędnikami cywilnymi

i wojskowymi. Szczególnie kłócił się z dowódcą Fort Sumner. „Myślałem, że będę rozkazywał, a muszę prosić – żalił się. – Nie sądzę również, żeby to stanowisko odpowiadało mojej randze oficerskiej”[610]. Latem Carson kilkakrotnie próbował podać się do dymisji, ale Carleton nie chciał jej przyjąć. Zapewniał Kita, że „nie ma żadnej hańby w objęciu stanowiska poniżej stopnia oficerskiego”.

Część niechęci, jaką Carson czuł do swojej pracy, wynikała zapewne z jego wątpliwości co do sukcesu eksperymentu w Bosque Redondo. Zaczynał widzieć błędy, które wypaczały zamysł Carletona.

Przede wszystkim Nawahowie niezbyt dobrze dogadywali się z Apaczami Mescalero, z którymi dzielili rezerwat. Carleton umieścił oba plemiona po sąsiedzku, wychodząc z błędnego założenia. Sądził, że ponieważ należały one do rodziny atapaskańskiej i mówiły mniej więcej tym samym językiem, to będą w stanie bezproblemowo się wymieszać. Ale tak naprawdę Nawahowie i Mescaleros nienawidzili się od wieków! Dlatego wkrótce zaczęli ze sobą walczyć i musieli być stale rozdzielani przez uzbrojonych strażników. Plemienne niesnaski przyprawiały Carsona o wieczny ból głowy.

Apacze oskarżali Nawahów na przykład o to, że nocami rozkopują ich groby, zrywają trupom paznokcie u rąk i nóg oraz wyrywają włosy. Szamani Diné mieli je potem wykorzystywać do rzucania potężnych uroków. „Te nocne wycieczki – pisze badający historię rezerwatu Gerald Thompson – były powodem ciągłych skarg”[611].

Kolejnym problemem było to, gdzie Nawahowie mieli mieszkać. Generał Carleton nalegał, żeby pobudowali sobie piętrowe budynki mieszkalne przypominające puebla. Taka koncentracja siedzib Diné w kilku skupiskach była jednym z jego najważniejszych celów. Dzięki temu Indian można by łatwiej nadzorować, kontrolować, uczyć i chrystianizować. Carleton angażował się osobiście w najdrobniejsze szczegóły dotyczące funkcjonowania rezerwatu. Teraz więc nadzorował projekty wielorodzinnych domów, planował wśród nich kwietniki i szerokie podwórce. Chciał, żeby „żadna inna wioska indiańska na świecie nie dorównywała [tej] pięknem”.

Ale kiedy Carson zaczął przekonywać Nawahów, żeby zaczęli stawiać pierwszy z domów mieszkalnych, ci stanowczo odmówili. Nie mogli, nie

zamierzali mieszkać w ten sposób. Taki sposób życia stał w sprzeczności z ich naturą. Jeśli w jednym z pomieszczeń nowych domów ktoś umrze, będzie trzeba zrównać z ziemią cały budynek – bo będzie on *chindi*. Nawahowie chcieli pobudować sobie hogany, woleli mieszkać w prymitywnych ziemiankach rozrzuconych na setkach hektarów.

Odmowa zamieszkania w pueblach była tak stanowcza, że nawet uparty jak osioł Carleton musiał w końcu porzucić swój pomysł. Zgodził się, by Nawahowie mieszkali sobie w ziemiankach, ale mieli je pobudować blisko siebie w długich, uporządkowanych rzędach. Inspektor Carson zaproponował, że w razie śmierci któregoś z Nawahów we własnej chacie, jego krewni mogli ją porzucić i wybudować sobie nową na końcu rzędu. Taki system działał przez jakiś czas, ale Nawahowie tak naprawdę nie chcieli żyć w uporządkowanym urbanistycznie miasteczku hoganów. Woleli chaos i przypadkowość. Dlatego z czasem powrócili do swojego starego półwędrownego stylu życia i stale przemieszczali się po prerii w małych rodzinnych i matrylokalnych grupach. Wędrowali, jak się wydawało, dla samego wędrowania, bo przecież nie mieli już stad owiec, które musieli przepędzać z pastwiska na pastwisko. Wędrowali, bo żyli tak od zawsze.

Nawahowie równie zdecydowanie odrzucili też inne „cywilizacyjne” wymysły Carletona. Dzięki pomocy biskupa rzymskokatolickiego w Santa Fe Jeana Baptiste’a Lamy’ego generał zbudował w rezerwacie kościół i sprowadził do niego księdza. Postawił też szkołę, w której Nawahowie mieli uczyć się czytania, pisania i rachunków. Diné jednak nie rozumieli judeochrześcijańskiego porządku świata. Jego męski monoteizm nie dawał się pogodzić z plemiennymi wierzeniami, w których istniało tyle ważnych bogiń. Opowieść o narodzie wybranym z drugiego końca świata nie miała dla nich sensu. A chrześcijańskie rytuały takie jak komunia czy spowiedź wydawały się im więcej niż dziwaczne.

Szkoła podstawowa założona przez Amerykanów funkcjonowała sprawnie tylko na początku. Nawahijscy rodzice masowo wysyłali do niej dzieci – ale tylko dlatego że każde z nich za obecność w szkole dostawało kartkę na obiad. Kiedy kartek zabrakło, dzieci przestały przychodzić. Nawahowie uważali, że podejrzane symbole rysowane na papierze albo tablicy są

bezużyteczne. Mało tego, większość rodziców miała wątpliwości co do oddawania edukacji swoich dzieci w ręce bladych twarzy, które uczyły ich obcego Nawahom stylu życia.

Nieudany eksperyment szkolny mocno rozczarował Carletona. W końcu sukces jego planu miał się opierać na edukacji nawahijskich dzieci. Ich rodziców generał dawno sobie odpuścił. Tradycyjny sposób życia, którzy dorośli Nawahowie przynieśli ze swojej ojczyzny – „ich dzikie pragnienie wędrówki i prowadzenia jałowego żywota", jak to ujął generał – był wśród nich zbytnio zakorzeniony, żeby dało się go zmienić. Ale „reforma, której poddajemy całe plemię", miała uformować przyszłe pokolenia Nawahów. Dlatego na rządzie USA spoczywała szczególna odpowiedzialność za ich los. Carleton miał sentymentalne podejście do idei „cywilizowania" indiańskiej młodzieży. Był równie optymistyczny co do przyszłości młodych Indian, jak pesymistyczny i pełen potępienia wobec ich dysfunkcyjnych, jego zdaniem, rodziców.

Generał współczuł indiańskim dzieciom, szczególnie tym, które w wyniku brutalnej kampanii prowadzonej na jego rozkaz przez pułkownika Carsona straciły rodziców. Kiedy nowomeksykańskie loretanki z zakonu Sióstr z Loretto założyły nowy sierociniec, Carleton osobiście przywiózł do niego pierwsze nawahijskie dziecko. Siostry dały dziewczynce na imię i nazwisko… Mary Carleton[612].

W Bosque Redondo problem gonił problem. Inspektor Carson nie mógł narzekać na brak zajęcia. Setki Nawahów zachorowały na dyzenterię albo inne choroby układu pokarmowego. Przyczyną była mocno zasadowa woda z Pecos, którą pili. Nawahowie uznali rzekę za zatrutą i pełną złych duchów. Nie mieli jednak wyboru i musieli czerpać z niej wodę pitną.

Również amerykańscy żołnierze z obrzydzeniem pili lokalną wodę. „Rio Pecos – pisał jeden z nich w liście do żony – to strumień wijący się na przepastnej równinie. Płynąca w nim woda jest okropna, ale innej nie ma w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Jest mocno alkaliczna i działa na ludzi jak olej rycynowy. Jeśli podgrzejesz ją trochę i zaczniesz się nią myć z mydłem, to im dłużej będziesz się myć, tym brudniejsza będziesz".

Jeszcze większym problemem był brak opału. Wystarczyło kilka miesięcy, żeby ścięto potężne drzewa rosnące w Bosque Redondo – były wszak potrzebne do konstrukcji różnych budynków stawianych w Fort Sumner. Nawahowie musieli więc wyruszać na coraz dalsze eskapady w poszukiwaniu drewna na opał. Zwykle znajdowali tylko marnie się palące drzewka mesquite, które miały długie i mocno wczepione w ziemię korzenie. Indianie często musieli wyrywać je gołymi rękami. Później razem z żołnierzami wyprawiali się aż trzydzieści, pięćdziesiąt kilometrów w górę Pecos, żeby ściąć rosnące tam sosny, które potem spławiali rzeką.

Wojskowi próbowali kontrolować wydawanie jedzenia, tworząc dzienne kartki żywnościowe. Nawahowie nauczyli się jednak je podrabiać i w obiegu znalazły się tysiące fałszywek. Chcąc temu zaradzić, wojsko zaczęło bić metalowe znaczki. I na to Indianie znaleźli sposób – pomogli młodzi nawahijscy kowale, którzy dopiero co nauczyli się fachu od Amerykanów. W końcu władze rezerwatu poprosiły o pomoc Waszyngton. Przysłane ze stolicy „monety żywnościowe” okazały się nie do podrobienia dla Nawahów.

Spore żniwo zbierał w rezerwacie – a także wśród amerykańskich żołnierzy – syfilis. Jego epidemię rozpętali wojacy, którzy za talon na jedzenie albo miskę kukurydzianki kupowali usługi nawahijskich kobiet. Symptomy choroby – dziwne zmiany skórne, łysienie plackowate, ślepota, napady chorób umysłowych – były powszechne. Z powodu bolesnych zmian na błonie śluzowej wielu żołnierzy nie mogło jeździć konno. Pierwszy Pułk Kawalerii Kalifornijskiej, oddział, do którego należało wielu żołnierzy w Fort Sumner, miał najwyższy wskaźnik chorób wenerycznych ze wszystkich jednostek podczas wojny secesyjnej. Lekarze wojskowi co roku musieli leczyć połowę jego stanu osobowego.

Jeden z oficerów meldował, że nawahijskie kobiety „nie znają cnoty” i dlatego powinno się je trzymać „jak najdalej od fortu”. Jego rekomendacja jednak nie została wprowadzona w życie. Niektórzy z nawahijskich rodziców stręczyli swoje młode córki – nawet dwunasto- czy trzynastoletnie. Dzięki temu całe rodziny miały z czego żyć. Wiele nawahijskich kobiet, które chodziły do koszar, zaszło w ciążę. Według Geralda Thompsona część

z nich, odczuwając wstyd z powodu noszenia dzieci żołnierzy *bilagaana*, „zmarła w wyniku komplikacji poaborcyjnych”[613].

Innym powodem nieustannej troski były napady ze strony Komanczów. Bosque Redondo znajdował się na skraju ich terytorium. Dlatego kiedy tylko Komancze zorientowali się, w jak kiepskiej sytuacji znaleźli się ich odwieczni wrogowie, natychmiast wkroczyli na ścieżkę wojenną. Nadchodzili tuż przed brzaskiem i porywali owce, konie, kobiety i dzieci. A ponieważ Carleton nie godził się na to, żeby Nawahowie byli dobrze uzbrojeni, pozostawali oni praktycznie bezbronni w starciu z Komanczami.

Koło fortuny się odwróciło. Teraz to Nawahowie byli ofiarami pożogi, którą kiedyś nieśli mieszkańcom Nowego Meksyku. Amerykańscy żołnierze stacjonujący w Fort Sumner czasem udawali się w pogoń za rabusiami z krainy Komanczów, ale ich pościgi rzadko odnosiły skutek. Problem z Komanczami stawał się coraz poważniejszy i późnym latem Carleton zaczął przygotowywać plany wielkiej ekspedycji karnej na ich terytorium.

Wydawało się, że jedynym, co udało się w rezerwacie, były uprawy kukurydzy, która bujnie obrodziła pod piekącym słońcem. Tylko jej potężne pola – i nadzieja, którą dawały – utrzymywały rezerwat Bosque Redondo przy życiu. Kukurydza była jego dumą, jedyną szansą na przyszłość dla „wielkiego dzieła” generała Carletona.

Kilka tygodni przez zbiorami żołnierz dokonujący inspekcji pól dostrzegł na nich coś dziwnego. Po łodygach kukurydzy pełzały małe puchate gąsienice. Żołnierz obrał z łupin jedną z kolb i zobaczył, że jej ziarna są tak zdeformowane, że w ogóle nie przypominają kukurydzy. Na częściowo obumarłej kolbie pełno było jedwabnej nici. Żołnierz przeszedł się wzdłuż rzędów wysokich kukurydzianych łodyg i wszędzie było to samo. Żarłoczny szkodnik zniszczył całe pole uprawne. „Przeklęte owady pożarły chyba całe ziarno”, pisał w meldunku do generała Carletona jeden z oficerów[614].

Plaga była zaskoczeniem i okazała się zgubna, bo gąsienice niszczące ziarna ukrywały się pod kukurydzianymi łupinami. Nikt się nie zorientował w zagrożeniu, wszystkim się wydawało, że kukurydza w Bosque Redondo rośnie pięknie i zdrowo.

Szkody dokonane przez żarłoczne gąsienice zwiastowały klęskę. Wojskowi agronomowie nie mieli pojęcia, skąd przyszła plaga, podobnie Nawahowie. Jej rozmiary były iście biblijne. Larwy pewnego gatunku ćmy, które zniszczyły uprawy w Bosque Redondo, nie pojawiały się do tej pory na Zachodzie. To była prawdziwa inwazja – wydaje się, że po prostu skorzystały z pierwszej kukurydzianej monokultury na Dzikim Zachodzie.

Kiedy Carleton dowiedział się o pladze, wpadł w szał. Kazał żołnierzom ruszyć na pola i usunąć gąsienice ręcznie z każdej kolby kukurydzy. Pomysł, który narodził się w zdesperowanej głowie generała, wymagał tyle wysiłku, że był nie do zrealizowania. Carleton nakazał też żołnierzom porozstawiać na polach talerze z melasą, w nadziei, że lepki płyn przywabi składające jaja ćmy i stanie się dla nich śmiertelną pułapką.

Generał Carleton robił, co mógł, żeby powstrzymać ów „dopust boży”[615], jak mówił na plagę gąsienic. Na darmo. Zbiory kukurydzy na polach o powierzchni blisko półtora tysiąca hektarów trzeba było spisać na straty. Pierwszy etap eksperymentu się nie udał. Zbliżała się zima i wszystko wskazywało na to, że Nawahów czeka głód.

44

Adobe Walls

Kit Carson nie musiał się martwić problemami wywołanymi przez gąsienicową zarazę. W połowie września 1864 roku skończył swoje krótkie rządy na stanowisku inspektora rezerwatu w Bosque Redondo. Choć spędził za biurkiem ledwie trzy miesiące, generał Carleton miał dla niego o wiele ważniejsze zadanie, być może najważniejsze w jego wojskowej karierze. Kit miał ruszyć na wschód na półpustynne równiny Teksasu na czele dużej wojskowej ekspedycji i ukarać wojowniczych Komanczów.

Tego roku Komancze i ich sojusznicy z plemienia Kiowa dopuszczali się bezprecedensowych ataków. Nie tylko prawie bezustannie najeżdżali zapędzonych do rezerwatu Nawahów, ale i polowali na karawany z białymi osadnikami jadące Szlakiem Santa Fe. Jak twierdził kapitan George H. Pettis, ochotnik z Kalifornii służący w Nowym Meksyku, Komancze, ci „lordowie południowych równin […] bawili się jak nigdy. […] Nie było tygodnia, żeby nie popełnili jakiejś zbrodni”[616].

Komancze celowo zasadzali się na białych Amerykanów. W miejscu zwanym Walnut Creek w zachodnim Kansas wataha Indian napadła na kolumnę powozów i zabiła dziesięciu mężczyzn oraz oskalpowała żywcem dwóch chłopców. W sierpniu Komancze zamordowali pięciu białych jadących w karawanie przez południowo-zachodnią część Kansas. Kilku Latynosom, którzy ocaleli z rzezi, udało się wrócić do Nowego Meksyku. Mówili, że Komancze chwalili się, iż „zabiją każdą bladą twarz, która wyruszy na szlak”. Zagrozili nawet, że zabiją samego generała Carletona, jeśli wyśle za nimi pościg. Pewien pułkownik służący w Nowym Meksyku pisał, że „trudno wyobrazić sobie gorszy bieg spraw niż to, z czym mamy do czynienia na tej trasie”[617].

Wzmożenie agresywnej aktywności Komanczów mogło być dalekim echem wojny secesyjnej. Wojskowi sądzili, opierając się na wiarygodnych

informacjach, że to teksascy konfederaci zachęcili Indian do ataku na karawany wozów sunące Szlakiem Santa Fe. Ponoć chcieli w ten sposób przerwać linie zaopatrzeniowe wojsk Unii. Prawda to czy fałsz, późnym latem 1864 roku Komancze przerwali szlak komunikacyjny, którym Carleton utrzymywał łączność ze swoimi przełożonymi na Wschodzie. Generał się irytował. „To dla nas wstyd, że nie możemy otrzymywać dostaw ze Stanów”[618].

Carleton robił, co mógł, żeby w szczytowej fazie wojny secesyjnej sprawnie zarządzać potężnym okręgiem wojskowym. Wiedział, że musi przerwać ataki Komanczów. Kogo mógł wysłać przeciw nim, jeśli nie Carsona? W końcu Kit poradził sobie z Mescaleros i Nawahami. Czemu miał nie dać rady Komanczom?

Tak więc Carleton powierzył Carsonowi kolejne zadanie. Pochlebiał mu przy tym, pisząc: „to tobie zawdzięczam większość, a właściwie prawie wszystkie indiańskie sukcesy, które tu odniosłem”. Teraz, utrzymywał generał, Carson miał zająć się Komanczami i zrobić wszystko co w jego mocy, żeby „ukarać tych zdradzieckich dzikusów, zanim ostatecznie nadejdzie zima”.

Fizycznie rzecz biorąc, Carson nie miał sił, żeby wyruszyć znowu w podróż. Odczuwał nieustający ból. Ludzie, którzy go znali, opowiadali, że w jego obliczu i postawie zaszła wyraźna zmiana. Kit stracił sporo na wadze i pogorszył mu się wzrok. Kurczył się w sobie i marszczył jak rodzynek. Jeden z jego bliskich znajomych zanotował, że twarz Carsona „była wymizerowana i ściągnięta bólem”, tak jakby „wzięła go w swoje objęcia choroba”[619].

Kit zdawał sobie sprawę z tego, że wojna z Komanczami będzie wyczerpująca i ryzykowna. Wielokrotnie brał udział w potyczkach z wojownikami tego plemienia i miał ogromny szacunek dla ich umiejętności bojowych. Posługujący się językiem z rodziny szoszońskiej Komancze przybyli na Wielkie Równiny w XVIII wieku i stworzyli niezwykle wojownicze wspólnoty, które potrafiły się łączyć i walczyć razem, jeśli wymagała tego potrzeba. Byli zresztą ciągłym utrapieniem dla białych osadników, coraz większym po zdobyciu Nowego Meksyku przez USA

w 1846 roku. Od tego czasu siły zbrojne USA wysłały do krainy Komanczów tylko jedną ekspedycję karną, która wróciła z podkulonym ogonem.

Z dotychczasowych spotkań z tymi Indianami Kit Carson wyniósł chyba najbardziej barwną przygodę życia. W latach trzydziestych, podczas polowania na bizony na równinach rozciągających się na wschód od fortu Bentów, Carson został nagle otoczony przez sporą grupę konnych Komanczów. Siedzący w siodle Kit bez wahania sięgnął nożem do gardła swego muła i poderżnął je. Zwierzę padło na ziemię i oddało ducha. Carson wykorzystał jego ciało jako barykadę i chroniąc się za nim, ostrzeliwał atakujących go Komanczów. Oczywiście nie był w stanie zabić ich wszystkich i wojownicy coraz mocniej go dociskali. Kiedy jednak zbliżali się za bardzo, ich wierzchowce wyczuwały świeżego trupa muła i się płoszyły. Inne stawały w miejscu i za nic nie chciały biec dalej. W końcu Indianie byli tak wymęczeni przedłużającym się oblężeniem, że dali za wygraną i odjechali.

Być może ta historia jest zmyślona – Carson nie wspomina o niej w pamiętnikach – ale w swoim czasie była popularną opowieścią o przygodach Kita i wszyscy w nią wierzyli[620]. Ilustruje też pewną niezaprzeczalną prawdę: podobnie jak wielu białych i Latynosów mieszkających na Południowym Zachodzie Carson prawie stracił życie w walce z Komanczami. Uważał ich zresztą za najzacieklejszych wojowników pośród wszystkich rdzennych Amerykanów, jakich miał okazję spotkać na swojej ścieżce – no, może z wyjątkiem Czarnych Stóp. To Komancze zabili Jedediaha Smitha i Roberta Benta, najmłodszego z braci. Zabili też wielu innych ludzi, których Carson znał. Kit świetnie wiedział, że jeszcze gorsze od śmierci z rąk Komanczów jest wpadnięcie w ich ręce żywcem. Indianie ci słynęli z wymyślnych tortur, jakim poddawali swoich jeńców.

Mimo wszystko Carson nie wahał się, przyjmując misję, którą wyznaczył mu generał Carleton. W przypadku Kita historia lubiła się powtarzać – poczucie obowiązku zmuszało go do zaakceptowania rozkazu przełożonego prawie bez słowa sprzeciwu. Był też inny powód. Trzy miesiące spędzone w Bosque Redondo przekonały Carsona, że Komancze byli obecnie

największym zagrożeniem w okolicy. Ich ciągłe najazdy na zmagających się z życiem w rezerwacie Nawahów i Apaczów Mescalero mogły wywrócić do góry nogami cały projekt. A ich ataki na karawany ciągnące Szlakiem Santa Fe groziły dostawom, które miały zabezpieczyć pierwszy okres istnienia rezerwatu. Kit uważał, że nie ma wyboru. Musiał wyruszyć na wojnę przeciw Komanczom.

Wydaje się, że Carson wpadł w zaklęty krąg. Wojny z kolejnymi plemionami Indian prowokowały następne konflikty. Żeby zabezpieczyć interesy Diné i Mescaleros żyjących w rezerwacie, musiał wydać wojnę ich wspólnemu wrogowi. Żeby utrzymać swoje dwa poprzednie zwycięstwa, musiał odnieść kolejne.

12 listopada 1864 roku Carson opuścił Nowy Meksyk i wjechał na półpustynne równiny Teksasu. Pod komendą miał czterystu ludzi, w tym siedemdziesięciu pięciu zwiadowców z plemienia Jutów, dwie kompanie kawalerii, jedną – piechoty, i baterię artylerii złożoną z dwóch dwunastofuntowych haubic. Kit dosiadał swojego ulubionego konia wyścigowego i miał na sobie gruby wełniany płaszcz.

Inaczej niż podczas kampanii przeciwko Nawahom generał Carleton dał Carsonowi praktycznie wolną rękę. Zaznaczył tylko, że nie życzy sobie „celowego i niesprowokowanego” zabijania kobiet oraz dzieci. Poza tym Kit mógł działać według własnego rozeznania. Jeśli chodzi o strategię, Carleton udzielił Carsonowi następujących pisemnych wskazówek: „Wiesz, gdzie znaleźć Indian, wiesz, jakie zbrodnie popełnili, wiesz, jak ich ukarać”[621]. Generał nie oczekiwał pokoju, oczekiwał wojny. „Zdajesz sobie sprawę z tego, że nie widzę wielkiego sensu w paleniu fajki pokoju z Indianami – napisał. – Albo sprawimy, że będą się nas bać, albo nie zaznamy z ich strony spokoju”. Carleton oświadczył też, że wszelkie traktaty pokojowe podpisywane z Indianami to „teatralne gesty obliczone na efekt”.

Generał starannie wybrał czas ofensywy. Latem i wczesną jesienią Komancze żyli w rozproszeniu, przemierzając równiny w niewielkich watahach, polując na bizony i szukając jakiegokolwiek łupu, który mógł im wpaść w ręce. Niemniej jednak w listopadzie zaczynali zbierać się w większe

grupy i przygotowywać do zimy. Osiadali w szałasach i wioskach zbudowanych na brzegach strumieni i rzek. Carleton wiedział, że tylko wtedy nadarza się okazja, żeby dopaść ich wszystkich w jednym miejscu. W zimowych wioskach można Komanczów „łatwo pokonać", pisał Carleton, bo będą oni obciążeni „rodzinami i zapasami jedzenia". Innymi słowy – będzie można do nich strzelać jak do kaczek.

Carson i jego podwładni wędrowali na wschód przez prawie dwa tygodnie, zmagając się z przymrozkami. Pogoda na szczęście nie była jeszcze prawdziwie zimowa. Szli wzdłuż rzeki Canadian. Co wieczór, kiedy rozkładali się z obozem i przygotowywali się do snu, wojownicy Jutów rozpoczynali wojenne tańce. „Ich pochrząkiwania i zawodzenia stały się prawie nie do wytrzymania, tym bardziej, że zaczynali o zmierzchu, kończyli prawie o świcie", narzekał kapitan George Pettis[622]. Jego artykuł jest najlepszą relacją z wyprawy Carsona przeciw Komanczom.

Wojskowa kolumna szła powoli przez Llano Estacado. W pewnym momencie minęła miejsce, w którym w 1849 roku Carson znalazł jeszcze ciepłe ciało Ann White. Opowiedział tę historię oficerom, którzy jechali obok niego. Jak wspominał Pettis, Carson był przy tym „mocno obrazowy". Dosłownie i przenośnie rzecz biorąc, Kit stąpał po własnych śladach i wydaje się, że miał w związku z tym złe przeczucia. Pewnej nocy, kiedy Jutowie tańczyli i śpiewali swoje wojenne pieśni, Kitowi przyśniła się wielka i krwawa bitwa, w której pociski wystrzeliwane z górskich haubic rozdzierały niebo. Kiedy rano się obudził, zdało mu się, że bitwa jest coraz bliżej.

Miał rację. Był dzień 24 listopada, który prezydent Lincoln ogłosił właśnie narodowym Świętem Dziękczynienia. Pogoda była wspaniała, powietrze krystaliczne, a dzień jasny. Atmosfera była „rozrzedzona i naładowana elektrycznością", opowiadał Pettis. Rankiem Jutowie wypatrzyli chaty Komanczów – tipi zbudowane z bielonych skór bizonich, które połyskiwały wesoło na ponuroszarej równinie. Zwiadowcy powrócili po południu i donieśli o odnalezieniu dużej wioski przeciwnika – na południowym brzegu rzeki Canadian zgromadziło się kilkuset Komanczów i Indian Kiowa.

– Nie będziemy mieli problemu ze znalezieniem Indian, których poszukujemy – powiedział swoim oficerom Carson.

Nocą poprowadził swoich ludzi przy świetle księżyca. Żołnierze szli w ciemnościach kilka godzin. Kit nie zezwolił na rozmowy, palenie i robienie niepotrzebnego hałasu. Około północy oddział zszedł do wąwozu, którym płynęła Canadian. Znaleziono w nim świeży trop zostawiony przez konie należące do Komanczów i Kiowa. Amerykanie i Jutowie czekali, aż brzask trochę rozjaśni zimowe niebo. Carson zrzucił z siebie ciężki płaszcz i cisnął go w krzaki. Potem podjął marsz, prowadząc razem z Jutami – teraz wystrojonymi w pióra i barwy wojenne – kolumnę żołnierzy.

Gęsta trawa oraz kłody drewna dryfujące rzeką i osiadające na jej brzegach utrudniały artylerzystom marsz. Bateria haubic górskich została w tyle. Carson wysłał przodem majora Williama McCleave'a i kompanię kawalerii. Mieli zaatakować liczącą około dwustu tipi wioskę Indian Kiowa, która stanowiła przedmurze większej osady Komanczów. Kawalerzyści ruszyli naprzód, ale wojownicy Kiowa, którymi dowodził wódz Mała Góra, stawiali opór na tyle długo, że ich kobiety oraz dzieci rozpierzchły się i poznajdowały kryjówki wzdłuż rzeki.

W końcu żołnierze zniszczyli wioskę, a w porzuconych tipi znaleźli, jak opisywał Pettis, „pełno łupów, w tym setki wspaniale wygarbowanych skór bizonich". Jak się okazało, chaty nie były zupełnie puste. Wódz o imieniu Żelazna Koszula nie chciał opuścić swojego tipi i został zastrzelony u wejścia do niego. W innych tipi Jutowie znaleźli czworo starców i ochoczo rozłupali im głowy toporkami.

Okazało się też, że Indianie Kiowa trzymali w niewoli co najmniej trójkę Amerykanów – kobietę z Kolorado i dwójkę jej dzieci, które zostały porwane niedługo przedtem, podczas ataku na karawanę powozów jadącą przez Kansas. Samych jeńców nie udało się znaleźć, ale żołnierze przeczesujący wioskę natrafili na ich ubrania oraz na fotografie białej rodziny. Żołnierze spalili wszystko, czego nie zdołali zabrać ze sobą – w tym amerykański powóz wojskowy i drugi wóz zajęty podczas ataku na rządową karawanę. Wioskę szybko strawił ogień.

Wojownicy Kiowa pomknęli w dół rzeki, żeby zaalarmować Komanczów i razem z nimi uderzyć na Amerykanów. Równina szybko zapełniła się

pędzącymi we wszystkie strony jeźdźcami. Od czasu do czasu, jak opisywał McCleave, Indianie „wściekle szarżowali”. Pettis wspominał, że wojownicy pędzili „przewieszeni przez grzbiety koni i strzelali w pełnym biegu, czasem nawet spod końskiego brzucha”[623]. McCleave miał przeciwko sobie przeważające siły Komanczów i Kiowa. Uznał więc, że czas przejść do pozycji obronnej.

Niedaleko, ledwie kilkaset metrów od rzeki stał stary i opuszczony fort zwany Adobe Walls – ściany z suszonej cegły. Lata wcześniej postawili go bracia Bent i wykorzystywali go jako daleki posterunek swojego handlowego imperium. Z niego mogli prowadzić bezpieczny handel z Komanczami, którzy – z powodu wrogości utrzymującej się pomiędzy nimi a Indianami Arapaho oraz Czejenami – nie mogli podchodzić do fortu Bentów. Z czasem Adobe Walls popadł w ruinę, a jego rozsypujące się mury smutno przypominały o wielkiej przeszłości rodziny Bentów. Pełnił jednocześnie funkcję ważnego znaku orientacyjnego, których w pustynnej krainie Komanczów mocno brakowało.

Carson, który dołączył do podjazdu McCleave’a, postanowił urządzić stanowisko dowodzenia w ruinach starego bastionu. Znał to miejsce świetnie, w końcu spędził lata, pracując w młodym wieku dla Bentów jako myśliwy. Spieszeni kawalerzyści schronili konie pomiędzy murami, a wojskowy lekarz urządził wśród nich prowizoryczny lazaret. Carson kazał żołnierzom zająć pozycje obronne w wysokiej trawie osłaniającej Adobe Walls.

Sam wziął lornetkę i zaczął wpatrywać się w horyzont. Z przerażeniem dostrzegł, że za wojownikami Kiowa zebrała się większa grupa Indian. Wojowników było w sumie blisko półtora tysiąca, w większości Komancze. Wszyscy byli konno. Zbierali się do decydującej szarży.

Szczęśliwie do kompanii zdążyli dołączyć artylerzyści ze swoją baterią haubic górskich. Carson nakazał im rozstawić się na wzgórzu niedaleko Adobe Walls.

– Rzućcie w ten tłum kilka pocisków – pokazał na zbierających się wojowników[624].

– Numer jeden – ognia!

– Numer dwa – ognia!

Obie haubice posłały szrapnele w stronę Komanczów i Indian Kiowa. Zdumieni wojownicy aż unieśli się w siodłach. Czekali i nasłuchiwali, kiedy pierwsza para pocisków leciała w ich stronę. Wybuchły niezbyt daleko od celu. Wojownicy pośpiesznie zawrócili i pognali konie nazad. Po czwartej serii zaczęli się trzymać w bezpiecznej odległości od Adobe Walls.

Artylerzyści spisali się świetnie. Groźba zgubnej w skutkach szarży Indian została oddalona.

– Nie odważą się teraz zaatakować – zapewnił Carson Pettisa.

Na rozkaz Kita żołnierze z ulgą zgromadzili się wokół starego fortu i zabrali się za przygotowanie posiłku. Wreszcie mogli trochę odpocząć – nie mieli chwili wytchnienia przez bite dwadzieścia godzin.

Lunch był marny i zimny, żołnierze posilili się sucharami i suszonym mięsem. Ale, jak zauważył jeden z nich, „groźba głodu została odsunięta w czasie”. Po lunchu Carson chciał ruszyć w dół rzeki i jedna po drugiej zaatakować wioski Komanczów. Nagle włosy stanęły mu dęba na głowie. Pomylił się! Wojownicy Komanczów i Kiowa znowu zbierali się na burej równinie i szykowali się do szarży. Tym razem było ich o wiele więcej. Carson obserwował rozwój sytuacji spomiędzy ruin Adobe Walls i był coraz bardziej zaniepokojony. Miał przed sobą jakieś trzy tysiące konnych wojowników.

Kilka minut później Carson i jego garstka żołnierzy mieli stawić czoła jednej z największych indiańskich armii, z jakimi Amerykanie kiedykolwiek się zetknęli na Dzikim Zachodzie. Kit nigdy w życiu nie widział tylu wojowników w jednym miejscu. Było ich dziesięć razy więcej niż jego podwładnych.

Wojownicy byli pomalowani w barwy wojenne i dosiadali, jak oceniał Carson, „koni pierwszej klasy”. Większość z nich dzierżyła łuki i lance, choć sporo Indian było uzbrojonych w broń palną. Fala za falą atakowali amerykańskie pozycje obronne wokół Adobe Walls. Po szarży zawracali, a potem w pełnym biegu atakowali znowu. Zza szyi swoich wierzchowców zasypywali obrońców strzałami z łuków, ciągle zmieniając kierunek natarcia.

Bitwa trwała godzinami. Powietrze wokół Adobe Walls wypełniał przeszywający jazgot okrzyków wojennych.

– Uluululululululuu! – mieszały się głosy Komanczów, Kiowa i Jutów.

Pettis pisał, że Indianie „wrzeszczeli jak potępieńcy". Każda szarża spychała żołnierzy Carsona w stronę dających osłonę murów dawnego bastionu. Amerykanie bronili swoich pozycji wśród ogłuszającego klekotania karabinów i pohukujących jak puchacze haubic górskich.

Mimo zaciekłej obrony Indianie ciągle nacierali. Carson opisywał potem, że atakujący „z różnych stron powtarzali szarże na moje stanowisko mimo ponoszenia przy tym znacznych strat"[625]. Pocisk wystrzelony z haubicy przebił na wylot indiańskiego konia (zabijając zwierzę, ale nie jeźdźca), a potem poleciał blisko sto metrów dalej i dopiero wtedy wybuchł. Mała Góra, jeden z wodzów Kiowa, również stracił konia, którego zabiła kula karabinowa, ale nie przestawał zagrzewać swoich wojowników do walki. Kiedy Indianie znajdowali się w zasięgu haubic górskich, rozpraszali się na małe watahy, chcąc uniknąć dużych strat powodowanych przez szrapnele. Niektórzy z wojowników spieszali się i kryli w wysokiej trawie, skąd ostrzeliwali Amerykanów – „zgotowując nam piekło za sprawą swoich znakomitych umiejętności strzeleckim", wspominał Pettis.

Obserwujący bitwę, Carson coraz bardziej się niepokoił. Komancze i Kiowa bili się z furią godną szerszeni. Kit opowiadał potem, że wojownicy, którym musiał stawić czoła tego dnia, „walczyli z zapałem i brawurą, jakich nigdy wcześniej nie widziałem".

Jeden z młodych ochotników z Nowego Meksyku ostrzeliwujący się z ukrycia w trawie został ukąszony w rękę przez grzechotnika. Lekarz ratujący rannych w ruinach Adobe Walls oczyścił i opatrzył mu ranę, a potem dał do wypicia łyk whisky. Otumaniony mężczyzna powrócił na pole walki i zabił potem Komancza, który podjechał za blisko. Zanim towarzysze wojownika zdołali zabrać jego ciało, młody Latynos go dopadł i ściągnął z jego głowy skalp. Co znaczące, był to jedyny skalp wzięty tego dnia.

Na polu bitwy nie brakowało też komedii. Kilka miesięcy wcześniej jeden z wojowników Kiowa zdobył gdzieś trąbkę wojskową i nauczył się wygrywać na niej komendy. Kiedy tylko amerykański trębacz grał

„naprzód”, ten indiański, ukryty pomiędzy swoimi, zarządzał „odwrót”. Spowodowało to wiele zamieszania wśród kawalerzystów Carsona. W końcu jednak Amerykanie nauczyli się rozróżniać grę obu trębaczy.

Bitwa przeciągnęła się do popołudnia. Ofiar przybywało głównie wśród Indian, więc Carson mógł ja uznać za „perfekcyjną rzeź”. Sam miał ledwie niecały tuzin rannych. Choć może to się wydawać zadziwiające, to Amerykanie zajmowali wspaniałe pozycje obronne wokół i wśród ruin Adobe Walls. Co więcej, Carson z dużym spokojem i rozmysłem dowodził obroną. Dzięki niemu żołnierze walczyli spokojnie i pewnie, ignorując wojowników znajdujących się zbyt daleko i zajmując się tymi, których można było trafić. Gdyby Amerykanie okazali choć raz słabość, gdyby choć raz ich linie obronne się załamały, Komancze szybko by to wykorzystali i dosłownie zalali ich samą swoją liczbą.

Decydujące znaczenie miały jednak haubice górskie. Gdyby nie ich obecność na polu bitwy, jak twierdził Carson, „niewielu wyszłoby z niej życiem i opowiedziało o tym, co się stało”. Jak podsumował biograf Carsona Edwin Sabin, „gdyby nie pomoc artylerii w Dniu Dziękczynienia Josefa zostałaby wdową”[626].

Przez całe popołudnie wojownicy nacierali na obrońców ze wszystkich stron. Choć Carson dysponował przewagą ognia, to zdawał sobie sprawę z tego, że nie będzie mógł utrzymać się w Adobe Walls bez końca. Z drugiej strony – Komancze i Kiowa mogli.

*

Dlatego Kit zrobił coś bardzo inteligentnego – podjął decyzję o odwrocie. Niektórzy oficerowie namawiali go, żeby ruszył do zaplanowanego ataku na wioski Komanczów, ale według niego taki ruch byłby nierozsądny, a może nawet samobójczy. „Nie byłem w stanie dać się im bardziej we znaki”, napisał eufemistycznie w swoim meldunku[627].

O wiele bardziej szczery był potem wobec jednego ze swoich przyjaciół.

– Indianie dali mi nieźle popalić – powiedział.

Odwrót był dość skomplikowany. Amerykanie musieli opuścić pozycje wokół Adobe Walls, zejść do rzeki i niczym stonoga ruszyć na zachód, jakoś osłaniając swoją ucieczkę. Żołnierze uformowali długą kolumnę, w środku której umieścili konie. Boki osłaniali harcownicy, a gotowa do strzału bateria haubic – tyły.

Wojownicy Kiowa i Komanczów nie odpuszczali. Wręcz przeciwnie – jak podsumował potem Carson, dopiero teraz „zaczęła się najbardziej zaciekła bitwa". Kiedy późnym popołudniem kolumna Amerykanów pełzła wzdłuż rzeki Canadian, „Indianie ponawiali tak ostre ataki, że przez jakiś czas miałem wątpliwości, czy moje tyły zdołają je odeprzeć"[628]. Komancze wywołali też pożar preriowej trawy rosnącej wzdłuż rzeki. Ukryci za zasłoną dymną mogli bezkarnie szarpać kolumnę Carsona. Jeden z Amerykanów został postrzelony i przebity lancą. Wielu innych odniosło rany. Dym i buchający z pożaru żar były nie do zniesienia. Amerykanie musieli odstąpić od rzeki i przedzierać się przez skarpę, skąd przynajmniej widzieli atakujących ich Indian.

O zmierzchu do akcji wkroczyły znowu haubice. Pociski zaczęły przecinać powietrze i w końcu Komancze oraz Kiowa odpuścili. Zadowoleni, że dali nauczkę bladym twarzom, wrócili wzdłuż rzeki Canadian do swoich wiosek i rodzin.

Bitwa pod Adobe Walls była ostatnią, jaką Kit Carson stoczył w swoim życiu. Według zasad amerykańskiej sztuki wojennej został w niej pokonany. Sojusz Komanczów i Kiowa wyparł go z pola bitwy. Niewiele brakowało jednak, aby wypadki potoczyły się jeszcze gorzej i starcie skończyło się rzezią podwładnych Carsona. Byłaby to porażka, która swoją skalą przyćmiła nawet przegraną George'a Custera odniesioną dwanaście lat później pod Little Bighorn[68].

Na szczęście dla jego podwładnych Carson nie był zarozumiałym poszukiwaczem chwały. Był z natury ostrożny i potrafił świetnie ocenić sytuację. Jego zaprawiony w bojach umysł pracował zupełnie odmiennie od tego, którym posługiwał się George Armstrong Custer. Carson rozumiał, że aby zwyciężyć, trzeba przede wszystkim przeżyć. Czterysta kilometrów od

domu stanął oko w oko z przeciwnikiem, który dysponował siłami dziesięciokrotnie liczniejszymi od jego własnych. Szansa na pokonanie przeciwnika była żadna.

Straty, które Carson poniósł pod Adobe Walls, były zaskakująco małe – zginęło tylko trzech jego ludzi, a dwudziestu jeden odniosło rany. Kiowa i Komancze stracili z kolei przeszło stu wojowników. Rannych mieli prawdopodobnie dwukrotnie więcej. Wioska Małej Góry została zrównana z ziemią. Jeden z biografów Carsona uważał, że Kit bitwę wygrał – w sensie tradycyjnym, tak jak zwycięstwo rozumiano na Wielkich Równinach. Było to zwycięstwo „na warunkach indiańskich polegające na wtargnięciu na terytorium przeciwnika, zadanie mu bolesnych strat i wycofanie się z niewielkimi stratami własnymi”[629].

Kiedy o wyniku bitwy pod Adobe Walls dowiedział się generał Carleton, nazwał ją „znakomitą sprawą”. Komplementował Carsona także za „eleganckie starcie i pokonanie tak walecznego przeciwnika”. Generał uznał też, że kampania przeciw Komanczom była dla Carsona „kolejnym listkiem do wieńca laurowego, który tak szlachetnie zdobyłeś w służbie swojemu krajowi”[630].

Carleton wyraźnie przesadził. Jeśli jednak nawet uznać bitwę pod Adobe Walls za przegraną, Carson gotowy był żyć z taką porażką. Pod koniec zimowego już listopada maszerował powoli w stronę domu w Nowym Meksyku. W bitewnym zamieszaniu zupełnie zapomniał wrócić po płaszcz, który zostawił w krzakach nad rzeką Canadian. Jechał więc z wyprawy otulony bizonią skórą zdobytą w zniszczonej wiosce Indian Kiowa. Bojąc się, że Komancze i Kiowa będą go ścigać, nie przerwał marszu nawet nocą. Dopiero następnego dnia, kiedy na horyzoncie nie było widać przeciwnika, pozwolił swoim wymęczonym żołnierzom rozbić obozowisko. Sam siedział w siodle od czterech dni z rzędu. Jego wierzchowiec był wykończony. Kiedy zdjął siodło, razem z nim z końskiego grzbietu zeszła skóra.

Cztery dni później w innym odległym od świata miejscu na prerii inny pododdział amerykańskiej armii runął na indiańską wioskę. Grupa Czejenów prowadzona przez wodza zwanego Czarnym Kociołkiem rozbiła zimowy

obóz nad rzeczką Sand Creek w południowo-wschodnim Kolorado, niedaleko ruin fortu Bentów. Ponieważ Czarny Kociołek miał pokojowe zamiary i był gotów do negocjacji z Amerykanami, wojsko obiecało, że zapewni jego ludziom ochronę przez zimę. Czejeni dostali nawet od żołnierzy amerykańską flagę, którą wywiesili nad swoim obozem.

29 listopada na przykrytej zimą prerii pojawili się ochotnicy z Kolorado. Dowodził nimi pułkownik John Chivington, były kaznodzieja, który odznaczył się w bitwie o Glorietę. Bez żadnych powodów Chivington zaatakował wioskę[631]. Nie zwracał uwagi ani na amerykańską flagę, ani na płachty białego materiału, którymi machali przerażeni Indianie. Rzeź, której dokonali ochotnicy z Kolorado, była bardziej niż przerażająca. Z zimną krwią zamordowali przeszło stu pięćdziesięciu Czejenów – w większości kobiety i dzieci. Masakra uchodzi dziś za najstraszniejszą zbrodnię popełnioną podczas wojen z Indianami Ameryki Północnej.

– Gnidy wyrastają na wszy – wyjaśnił „Waleczny” Chivington, kiedy zapytano go, czemu zabijał dzieci.

Chivington tryumfalnie powrócił do Denver. W miejscowym teatrze jego podwładni pokazywali tłumowi trofea wojenne – skalpy, palce, woreczki na tytoń uszyte z moszny, torebki zrobione z rozciągniętych sromów czejeńskich kobiet. Gazety w Denver piały z zachwytu nad chwalebnym zwycięstwem ochotników z Kolorado. „Potomni będą mnie nazywać wielkim bojownikiem walczącym z Indianami – chwalił się Chivington. – Przyćmiłem Kita Carsona!”.

Kiedy po powrocie z Adobe Walls Carson dowiedział się o masakrze, był oburzony. Dobrze znał Czejenów, wielu spośród zabitych było jego znajomymi. Podczas rozmowy z pułkownikiem Jamesem Ruslingiem ostro potępił rzeź Czejenów. Rusling, wojskowy inspektor, nie żywił sentymentu do spraw indiańskich, ale wiernie oddał tyradę Carsona.

– Niech no pomyślę o tym psie Chivingtonie i jego parszywych brytanach znad Sand Creek – zaczął Kit[632].

> Jego ludzie strzelali do *squaw* i rozbijali głowy małych, niewinnych dzieci. Nazywasz takich żołnierzy chrześcijanami? A Indian dzikusami? A jak myślisz, co nasz Ojciec niebieski, który stworzył nas i ich, o tym wszystkim myśli? Powiem ci

coś: nie lubię wrogich czerwonoskórych, tak samo jak ty. I kiedy okazywali mi wrogość, walczyłem z nimi jak każdy. Ale nigdy nie zamierzyłem się ani na *squaw*, ani na indiańskie dziecko. Gardzę ludźmi, którzy to robią. Widziałem więcej Indian niż ktokolwiek inny na tym świecie i nic nie poradzę na to, że mi ich żal, mam rację czy nie. Kiedyś byli panami tego kraju, Równin i Gór, bizonów i wszystkiego. Teraz mają tyle co nic i niedługo znikną z tego świata.

45

Dobrostan plemion

Generał Carleton był zaniepokojony, a nawet przerażony klęską żywiołową, która latem 1864 roku spadła na uprawy w rezerwacie Bosque Redondo. Starał się, jak mógł, żeby dostarczyć Nawahom i Apaczom więcej żywności na zimę. Mimo wszystkich jego wad nie można powiedzieć, żeby brakowało mu sumienia. Carleton zdawał sobie sprawę, że jeśli nie podejmie nadzwyczajnych środków, to poniesie winę za śmierć głodową tysięcy ludzi. „Odpowiedzialność za tych Indian spoczywa w moich rękach – pisał. – Nie mogę pozwolić na to, żeby pomarli z zimna lub głodu". Dzięki uporowi i osobistym naciskom udało mu się zapewnić dostawy ton jedzenia do rezerwatu. Eksperyment tak drogi zdawał się Carletonowi skazany na klęskę, więc generał słał prośby o pomoc do generała Lorenzo Thomasa, który w sztabie wojsk lądowych USA w Waszyngtonie odpowiadał za sprawy administracyjne. Nawahowie, pisał Carleton, „potępią nas za odebranie im ziemi ojców i skazanie ich na powolną śmierć. Zbyt często postępowaliśmy tak z plemionami, odkąd Pielgrzymi zeszli na brzeg w Plymouth. Na miłość boską, jeśli nic was nie porusza, to przynajmniej choć raz potraktujcie Indian tak, jak na to zasługują"[633].

Carleton kazał dostarczyć do rezerwatu cztery tysiące owiec i dał swoim podwładnym szczegółowe instrukcje dotyczące przygotowania mięsa. „Należy wykorzystywać całe zwierzęta, w tym to, co rzeźnicy nazywają głową i podrobami" – pisał do dowódcy rezerwatu[634]. Baranina miała być przerobiona na gulasze, zupy i kaszanki. Kiedy generałowi powiedziano, że Nawahowie nie jadali zupy, uparł się, że powinni zacząć. Zupa miała być ich ratunkiem i powinna stać się ich codziennym rytuałem.

– Ma być traktowana jak religia – zakomenderował Carleton.

Jednocześnie generał apelował do oficerów stacjonujących w Bosque Redondo, żeby podnosili Indian na duchu. „Powiedzcie im – pisał – żeby

duma nie pozwalała im narzekać na to, czego nie da się poprawić. Powiedzcie im, żeby się nie zniechęcali i żeby sumiennie pracowali. Pracą na roli powinni się zająć wszyscy mężczyźni i kobiety. W następnym roku znowu zasieją pola, a jeśli Bóg popatrzy na ich wysiłek życzliwie, w końcu wszystkie ich potrzeby zostaną zaspokojone i staną się niezależni”[635].

Przebywający w Santa Fe Carleton, jak na człowieka czynu przystało, wszedł na wyższe obroty. Zarządził zasadzenie przeszło dwunastu tysięcy drzew. Nakazał, aby wykorzystywać najmniejsze skrawki bekonu. Zamówił blisko trzynaście tysięcy metrów tkanin, siedem tysięcy koców, dwadzieścia kołowrotków do wytwarzania przędzy, pięćdziesiąt młynów i tysiące igieł oraz motków nici. Usłyszawszy, że problemem stały się bezpańskie psy, zarządził, że „wszystkie psy złapane na wałęsaniu się mają zostać zastrzelone na miejscu”. Chcąc poprawić efektywność pracujących na roli Indian, zamówił potężny dzwon z brązu. Odlany w St. Louis ważył blisko pół tony. Dzwonił przez cały dzień, wyznaczając Nawahom w rezerwacie godziny pracy – podobnie jak parowe gwizdki używane w fabrykach na Północy albo rogi na plantacjach Południa, na których pracowali czarni niewolnicy.

Carleton nie mógł się powstrzymać, ciągle przychodziły mu do głowy różne poprawki i ulepszenia. „Musicie mi wybaczyć moje szczegółowe pomysły – pisał do jednego z oficerów, których zamęczał – ale nie mogę się powstrzymać. Prześlę wam każdy pomysł, który przyjdzie mi do głowy, i mam nadzieję, że wykorzystacie go dla dobra Indian”[636].

Carleton uparł się też, żeby znaleźć Manuelita i namówić – zmusić – go do poddania się. Gdyby dostał żywcem najsłynniejszego z Nawahów, ostatecznie stłumiłby ich opór, a idea rezerwatu w Bosque Redondo miałaby większe szanse na sukces. W lutym 1865 roku generał posłał do krainy Diné nawahijskich gońców, którzy mieli namówić Manuelita do opuszczenia ojczyzny. Zięć Narbony ukrywał się wraz z setką wojowników i szczuplejącymi stadami koni i owiec. Kiedy wysłannicy Carletona znaleźli go niedaleko placówki handlowej Indian Zuni, Manuelito ponownie odmówił udania się na emigrację.

– Mój Bóg i moja matka spoczywają tu, na zachodzie – powiedział. – Nie porzucę ich. Nigdy nie odejdę zbyt daleko od gór Chuska, w których przyszedłem na świat[637].

Usłyszawszy o jego odmowie, Carleton wysłał pilną depeszę do dowódcy fortu Wingate: „Spróbujcie dostać Manuelita – napisał. – Zakujcie go w kajdany. Pojmanie go albo zabicie na miejscu będzie miłosiernym czynem wobec tych, nad którymi sprawuje kontrolę. Wolę, żebyście go wzięli żywcem. Zabijcie go, jeśli będzie próbował uciekać”[638].

Kilka miesięcy później Manuelito złożył potajemną wizytę w Okrągłym Lesie. Chciał na własne oczy zobaczyć warunki, w których żyli jego rodacy. Z trudem ich rozpoznał. Mieszkający w rezerwacie Nawahowie byli przygaszeni, przytłoczeni melancholią i zbiorową depresją. Wśród Diné rezerwat Bosque Redondo był znany jako Hwelte – co było nawahijską wymową hiszpańskiego słowa *fuerte* oznaczającego fort. Odtąd *Hwelte* miało oznaczać też „miejsce cierpienia”. Pośród Indian zamieszkujących rezerwat szalały ospa prawdziwa i dyzenteria. Nawahowie wyraźnie sobie nie radzili z opanowaniem epidemii. Ich uzdrowiciele, którzy nie mogli znaleźć w okolicy znanych sobie leczniczych ziół, byli bezradni. Z kolei wojskowy szpital był dla Diné miejscem przerażającym.

– Ktokolwiek do niego wchodzi, nigdy z niego nie wychodzi – podsumował pewien Indianin.

Zbiory znowu nie dopisały, tym razem z powodu zniszczeń spowodowanych gradem i powodzią. Rzepa zgniła. Maszyny rolnicze zostawione na polach tonęły w błocie. Niektóre z racji żywnościowych dostarczanych do rezerwatu były zanieczyszczone gipsem i szczurzymi odchodami. Nawahijska dzieciarnia przeczesywała końskie zagrody i stajnie, grzebiąc w łajnie w poszukiwaniu niestrawionych przez zwierzęta ziaren kukurydzy.

Manuelito naradził się z innymi przywódcami plemienia. Rozmawiał między innymi z Barboncitem, niskim szamanem z kanionu De Chelly, który nosił rzadkie i długie wąsy. Barboncito powoli wyrastał na najważniejszego wodza Nawahów w rezerwacie. Był żywym przeciwieństwem Manuelita – spokojnym i refleksyjnym człowiekiem, drobnym i żylastym, obdarzonym

małymi, zręcznymi dłońmi. Był też urodzonym dyplomatą i dobrym mówcą. Od dawna przyjaźnili się z Manuelitem. Walczyli ramię w ramię pewnego kwietniowego ranka 1860 roku, kiedy Nawahowie prawie zdobyli fort Defiance. Barboncito nie miał złudzeń. Hwelte nie było miejscem dla Diné.

– Tutaj nie mam nic poza własnym ciałem – mówił Manuelitowi. – Nie mam stad, nie mam nic. W tym miejscu widzę, że Wielki Ojciec jest daleko stąd.

Manuelito z obrzydzeniem patrzył na kondycję, w jakiej znaleźli się jego rodacy. Pod osłoną nocy powrócił do krainy Nawahów, nie dając się zgładzić amerykańskim żołnierzom, którym generał Carleton przykazywał „zabijać wszystkich Indian płci męskiej dostrzeżonych poza Rezerwatem, którzy nie będą mieli paszportu”[639]. Manuelito zaszył się jeszcze głębiej w odludnym rejonie Dinétah i starał się nie wchodzić nikomu w drogę. Ukrywanie się przed *bilagaana* dawało się we znaki nie tylko jemu, ale także innym Nawahom, którzy mu towarzyszyli. Brakowało im żywności, a amerykańscy szpiedzy węszyli w okolicy. Manuelito wiedział, że prędzej czy później wpadnie w ręce wroga.

Tymczasem czterystu Apaczów Mescalero, którzy dzielili rezerwat w Okrągłym Lesie z Nawahami, miało dość. Diné dwudziestokrotnie przewyższali ich liczebnością. Mescaleros byli w szczególnie kiepskim położeniu. Odmawiali posyłania dzieci do szkoły założonej przez Carletona i porzucili próby uprawiania kukurydzy. W przeciwieństwie do Nawahów nie mieli żadnej tradycji rolniczej. Uprawę roli – choć na początku ich zaciekawiła – z czasem uznali za uwłaczającą ich godności. Zupełnie nie rozumieli życia, które z rozkazu generała Carletona mieli wieść. A to, co z niego rozumieli, napawało ich wstrętem.

Pewnego dnia Cadete, wielki wódz Mescaleros, wdał się w rezerwacie Bosque Redondo w dyskusję z kapitanem Johnem Cremonym. Starał się wyjaśnić mu podejście swoich współplemieńców do pracy. Z wielką elokwencją tłumaczył, że Apacze Mescalero gardzą stylem życia bladych twarzy.

– Chcecie, żeby nasze dzieci uczyły się z książek – zauważył. – I mówicie, że ponieważ wy tak robicie, to potraficie budować wielkie domy i żeglować po morzu, a także rozmawiać z innymi ludźmi na wielką odległość i robić inne wspaniałości.

Cremony zanotował to, co powiedział mu wtedy Cadete, i później zacytował jego słowa w artykule, który w 1868 roku opublikował magazyn „Overland Monthly”.

> Pozwól, że powiem ci, co o tym myślę. Kiedy jesteście jeszcze mali, zaczynacie ciężko pracować. A gdy stajecie się mężczyznami, budujecie wielkie domy, potężne miasta i wszystko inne tak, żeby zachować odpowiednie proporcje. A potem, kiedy już to wszystko macie, umieracie i zostawiacie to innym. My nazywamy takie życie niewolnictwem. Stajecie się niewolnikami, kiedy tylko nauczycie się mówić, i zostajecie niewolnikami aż do śmierci. Z kolei my jesteśmy wolni niczym wiatr. Meksykanie i inni pracują dla nas. Mamy niewiele pragnień i łatwo je zaspokajamy. Rzeka, las i równina dostarczają nam wszystkiego, czego potrzebujemy. Nie będziemy niewolnikami. Nie będziemy posyłać naszych dzieci do waszych szkół, żeby uczyły się tam żyć jak wy[640].

Kiedy Cremony próbował spierać się z Cadete, okazało się, że „nie jest w stanie przekonująco przedstawić drugiej strony tego medalu”. Nienawiść, jaką Mescaleros darzyli rezerwat, była ewidentna. Zdecydowanie odrzucali styl życia, który próbowano im narzucić w Bosque Redondo. Cremony uznał, że niczego nie można ich było nauczyć.

Pewnego ranka na początku listopada 1865 roku amerykańscy żołnierze z Fort Sumner zorientowali się, że z rezerwatu zniknęli wszyscy Apacze Mescalero. Indianie starannie zaplanowali nocną ucieczkę. Rozproszyli się we wszystkie strony świata i spotkali dopiero w górach swojej starej ojczyzny. Żeby ułatwić sobie podróż – a także żeby pokazać, co myślą o swoich dotychczasowych towarzyszach niedoli – uciekający Mescaleros porwali blisko dwieście nawahijskich koni. Żołnierzom pełniącym straż wokół rezerwatu nie chciało się ich ścigać. Nawet generał Carleton, choć palił się ze wstydu, nie naciskał na prowadzenie pościgu aż do skutku.

Apacze Mescalero nigdy już do Okrągłego Lasu nie wrócili.

Coraz więcej urzędników pracujących zarówno w Santa Fe, jak i Waszyngtonie uważało eksperyment prowadzony w Bosque Redondo za tragiczną i niezwykle kosztowną pomyłkę. Carleton przeznaczał na rezerwat blisko milion dolarów rocznie, a Nawahowie byli tak samo dalecy od samowystarczalności jak na początku jego istnienia. Okrągły Las wydawał się przeklęty. Ciągle nadchodziły stamtąd złe wiadomości. O szkorbucie, epidemii odry, powodziach, kolejnych najazdach Komanczów, ucieczkach, klęskach nieurodzaju. Jak donosił lekarz wojskowy z Fort Sumner, zasadowa woda płynąca w Pecos była „zalana zwierzęcymi i roślinnymi nieczystościami”[641]. Żołnierze stacjonujący w forcie nienawidzili Bosque Redondo i uważali go za zakazane miejsce na końcu świata.

Zaczęła przeważać opinia, że Nawahów trzeba przenieść w inne miejsce, być może na ich dawne terytoria, ale najlepiej do nowego rezerwatu w Oklahomie, do której od czasów prezydentury Andrew Jacksona przerzucano wszystkich Indian. Najwyraźniej Okrągły Las, otoczony przez jałowe pustkowia i zasilany przez rzekę, w której płynęła wstrętna woda, nie nadawał się na miejsce do życia dla Nawahów – dosłownie ich zabijał. Największym chyba zwolennikiem pomysłu ponownej relokacji Diné był doktor Michael Steck, inspektor do spraw indiańskich w Nowym Meksyku. Wcześniej mocno popierał eksperyment w Bosque Redondo, ale powoli przekonywał się, że Carleton prowadzi „potwornie błędną” politykę. W końcu publicznie zaczął krytykować generała, a nawet pojechał do Waszyngtonu, żeby przekonać do swoich racji urzędników i polityków. Wprost mówił, że jeśli Carleton nie wprowadzi radykalnych zmian, będzie odpowiedzialny za śmierć tysięcy Nawahów. Steck rozsądnie sugerował też, żeby zorganizować Nawahom rezerwat nad rzeką Małe Kolorado, czyli w granicach ich starej ojczyzny. Mniej więcej to samo proponował w 1860 roku generał Canby. Steck uważał, że gdyby plany Canby’ego „nie zostały zakłócone przez wojnę, to bez wątpienia Nawahowie żyliby dziś w pokoju i byliby w stanie zadbać o siebie, zamiast być potężnym obciążeniem dla skarbu państwa”.

Na początku 1865 roku mianowano nowego inspektora rezerwatu. Został nim A. Baldwin Norton. Po zlustrowaniu kondycji, w jakiej znajdowali się

mieszkańcy Bosque Redondo, wydał jednoznaczną opinię. „Jeśli zostaną oni w rezerwacie, będzie trzeba ich już zawsze trzymać w nim siłą, bo nie będą w nim żyli z własnego wyboru – meldował. – Im wcześniej go opuszczą i zostaną przeniesieni w inne miejsce, tym lepiej".

Oczywiście Carleton nie chciał o tym słyszeć. Jego ukochany projekt nie podlegał krytyce. Można powiedzieć, że miał coś w rodzaju obsesji na punkcie Okrągłego Lasu. Nawet generał William Sherman uznał, że zachowuje się on „w tej sprawie jak na poły szalony". Carleton upierał się, że przyszłość Nowego Meksyku zależy od sukcesu jego eksperymentu i od tego, czy rząd Stanów Zjednoczonych „będzie wystarczająco zdeterminowany i zdoła utrzymać w ryzach to potężne plemię". Generał miał w Nowym Meksyku pozycję iście dyktatorską. Utrzymując na terytorium stan wojenny – choć groźba ponownego najazdu Teksańczyków, pod pretekstem której go wprowadził, nigdy się nie zmaterializowała – dławił wszelki opór wobec swoich pomysłów. Był przy tym tak arogancki, że narobił sobie wielu wrogów. W końcu do gardła rzuciła mu się prasa. „Santa Fe Weekly" i „New Mexican" opisywały go jako „przekleństwo, zakałę tego terytorium".

Jeden z satyryków pracujących w „Santa Fe Gazette" napisał nawet zabawny wierszyk „na cześć" pełnego donkiszoterii generalskiego eksperymentu społecznego.

> Czysta Carletonia, pyszna w swej dumie,
> Tam gdzie wartka Pecos przepływa w tłumie
> Spętanych plemion czyniących pokutę,
> Radośnie pracujących, zwalczających smutek.
> Dziki niegdyś Indianin, dumny z wolności,
> Zgina kark ku chwale swoich nowych włości,
> Pochyla się z mozołem, aby mieć na życie,
> By z dziewiczej ziemi móc czerpać obficie.

W kwietniu 1865 roku w Appomattox w Wirginii reprezentujący Konfederację generał Robert Lee i dowodzący wojskami Unii generał Ulysses S. Grant podpisali rozejm. Wojna secesyjna była skończona. W Waszyngtonie nagle zmienił się klimat. Urzędnicy i politycy, którzy przez cztery lata skupiali swoją uwagę na nieszczęściach i zniszczeniach

wojennych, dostrzegli, że na Zachodzie zbierała się kolejna burza. Dwa miesiące później senator James R. Doolittle reprezentujący stan Wisconsin i przewodzący komisji badającej bagno amerykańskiej polityki wobec Indian zabrał członków Kongresu USA na Południowy Zachód. Do jego głównych celów należało zbadanie przyczyn masakry dokonanej przez Johna Chivingtona nad Sand Creek i zobaczenie na własne oczy sytuacji w Bosque Redondo.

Po drodze senator Doolittle odwiedził Kita Carsona w jego domu w Taos i dokładnie go o wszystko rozpytał. Po kolacji namówił też swojego gospodarza na kilka historii z czasów jego traperskiej młodości. Nie bez zachęt ze strony gości, ale Carson nie zawiódł. Opowieściami o walce z niedźwiedziami grizli i swoich innych mrożących krew w żyłach przygodach Kit przetrzymał gości przy stole „do wczesnych godzin porannych". Senator był pod dużym wrażeniem. „Wiedziałem, że to łowca niedźwiedzi i że walczył z Indianami – pisał później – dlatego trudno sobie nawet wyobrazić, jakie wrażenie na nas wszystkich zrobił ten niepozorny człowiek mówiący głosem prawie kobiecym"[642].

Podczas oficjalnych przesłuchań – zarejestrowanych przez zawodowych stenografów pracujących dla Kongresu USA, a potem wygładzonych w porządne zdania, których Kit nie używał – Carson opowiedział sporo o sytuacji Indian. Senator Doolittle chwytał się każdego słówka wypowiedzianego przez Kita i obficie zacytował jego poglądy w oficjalnym raporcie swojej komisji zatytułowanym *The Condition of the Tribes* [Dobrostan plemion], który jest dziś klasyczną pozycją naukową dotyczącą historii Dzikiego Zachodu. „Przybyłem do tej krainy w 1826 roku – zaczął skromnie Carson – i od tego czasu dość dobrze poznałem plemiona indiańskie, zarówno w czasie pokoju, jak i w czasie wojny"[643].

W ciągu ostatnich kilku lat jego poglądy na temat Indian ewoluowały. Uważał, że większość kłopotów z nimi związanych „miała swój początek w agresji białych". Carson ostro potępił Chivingtona i jego „zwycięstwo" nad Sand Creek, które nie tylko było zwykłym masowym mordem popełnionym z zimną krwią, ale nawet nie poprawiło bezpieczeństwa mieszkańców Kolorado. A właściwie nawet je pogorszyło, bo plemiona południowych

równin zareagowały na bestialstwo Chivingtona agresją, która groziła wojną całemu regionowi. Doolittle zgodził się ze zdaniem Carsona i niedługo potem klarował sekretarzowi spraw wewnętrznych, że najazd Chivingtona na wioskę Czejenów był „zdradziecką, brutalną i tchórzliwą rzezią, za którą całą winę ponosi nasza strona”.

Carson, który mocno podupadł na zdrowiu i nie mógł już pełnić służby wojskowej, wydawał się chętny do objęcia roli dyplomaty w narastającym konflikcie z Indianami południowych równin.

– Biorąc pod uwagę to, jak ich potraktowano – powiedział senatorowi Doolittle – byłoby sprawiedliwie, gdybyśmy podjęli wszelkie wysiłki, żeby doprowadzić do pokoju z Czejenami i Arapahami.

Jeśli zaś idzie o Bosque Redondo, to Kitowi niezbyt podobał się prowadzony tam eksperyment, ale nie miał pomysłu na inne rozwiązanie problemu Diné. Konflikt pomiędzy latynoskimi mieszkańcami Nowego Meksyku a Nawahami był „wojną przekazywaną z pokolenia na pokolenie”, która „toczyła się w zasadzie od zawsze”, a „ciągłych kradzieży dopuszczały się obie strony”[644]. Rezerwat w Okrągłym Lesie, którego pomysłodawcą był generał Carleton, przynajmniej przerwał błędne koło przemocy. „Gdybyśmy jutro odesłali ich do ojczyzny – uważał Carson – wzajemna wrogość powróciłaby w ciągu miesiąca”.

Carson podzielił się również z senatorem Doolittle’em swoją opinią na temat innych plemion – Komanczów, Apaczów Jicarilla i swoich ukochanych Jutów. Alarmował, że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że Indian czeka zagłada „głównie z powodu ich kontaktów z białymi”. Przestrzeń życiowa Pierwszych Amerykanów mocno się kurczyła, bo zewsząd napierali na nich biali osadnicy.

– Cywilizacja – podsumował Kit – wzięła ich w swoje kleszcze.

Doolittle pytał Carsona, dlaczego tak wielu mieszkańcom Nowego Meksyku nie podobało się przetrzymywanie Nawahów w Okrągłym Lesie. Skąd się brała ta cała krytyka Carletona? Odpowiedź Carsona musiała się wydać senatorowi odświeżająco szczera. Problemem było to, uważał Kit, że ponieważ Nawahowie byli zamknięci w rezerwacie, nowomeksykańskim handlarzom niewolników wyschło źródło dochodów. Rynek niewolników się

załamał, „bo oni [mieszkańcy Nowego Meksyku] nie mogą polować na nich tak jak dawniej”.

Doolittle zauważył jednak, że sam Carson miał w domu nawahijskich służących, którzy pomagali Josefie w prowadzeniu gospodarstwa. Być może dojrzał też małego Juana Carsona, nawahijskiego chłopca, który uganiał się po obejściu w towarzystwie innych dzieci. W ciągu kilku następnych tygodni senator dowiedział się, że kilka tysięcy Nawahów było niewolnikami albo peonami na Terytorium Nowego Meksyku – ich liczba sięgała blisko jednej trzeciej całego plemienia. Tylko w Santa Fe mieszkało przeszło pięciuset Diné służących zarówno w domach latynoskich, jak i anglosaskich. Brudny sekrecik Nowego Meksyku wychodził na jaw. Doolittle dotarł do niewygodnej prawdy o tym, że choć Stany Zjednoczone wygrały właśnie krwawą wojnę domową, której jednym z celów było uwolnienie czarnych niewolników, to na Zachodzie ludzie ciągle mogli być własnością innych ludzi.

W końcu wycieczka senatora Doolittle’a dotarła do Santa Fe, gdzie przesłuchano Jamesa Carletona. Generał z zadowoleniem wyłożył przedstawicielom Kongresu USA swoje hipotezy dotyczące Indian i przekazał im dokumenty oraz kopie swojej osobistej korespondencji. Uporczywie bronił też eksperymentu prowadzonego w Bosque Redondo. Upierał się, że Nawahowie są traktowani w rezerwacie „z wielką uprzejmością”. Uważał, że stały kontakt z rolnictwem i kulturą osiadłą w końcu pozwoli im zobaczyć „zło, do którego prowadziło ich stare życie”.

Zdaniem Carletona rezerwaty – funkcjonujące niczym „wyspy na morzu […] i nieczułe na nadejście białych” – były jedyną nadzieją na uratowanie Indian. Choć na razie nie udało mu się nawrócić Nawahów, uważał też, że chrześcijaństwo odegra poważną rolę w ich przemianie. „Remedium na naturalny rozpad charakterystyczny dla ich rasy musi być odnalezienie drogi do potęgi większej od zwykłych śmiertelników”, napisał w kwestionariuszu, który zostawił mu Doolittle.

Carleton pozostawał jednak pesymistą co do losu rdzennych Amerykanów. Rezerwaty mogły spowolnić ich upadek, ale ostatecznie byli skazani na

zagładę. W końcu w boskiej walce o przetrwanie wygrywali tylko ci najlepiej przystosowani do rzeczywistości. „W swoim czasie – pisał generał – zgodnie z wolą Boga ta rasa ludzka – podobnie jak dzieje się wśród ras zwierzęcych – zniknie z powierzchni Ziemi, żeby zrobić miejsce innej rasie. Taki już jest Wielki Cykl, którym On sam zarządza, i który choć dostrzegamy, to jego przyczyny są zbyt głębokie, abyśmy je pojęli. Swój ziemski czas miały rasy Mamutów i Mastodontów, a także wielkich Leniwców. Podobnie wyginie Czerwony Człowiek Ameryki”[645].

Carleton zrobił dobre wrażenie na Doolittle’u, być może nawet go oczarował. Niemniej jednak podczas podróży po Nowym Meksyku senator nasłuchał się tak dużo o problemach w Okrągłym Lesie, że zanim opuścił terytorium, złożył wizytę w rezerwacie. Panujące w nim warunki zaniepokoiły go na tyle, że zarekomendował Departamentowi Spraw Wewnętrznych własne śledztwo – które wkrótce rzeczywiście zostało przeprowadzone.

Zarówno w Nowym Meksyku, jak i w siłach zbrojnych USA narastała krytyka poczynań generała Carletona. Pojawiały się oskarżenia o nadużycia finansowe, polityczny nepotyzm, naruszanie praw obywatelskich. Carleton zmęczył ludzi swoim samowładztwem i nieznośnym pouczaniem. Najsilniejsza krytyka dotyczyła przede wszystkim ukochanego projektu generała w Okrągłym Lesie – jego rosnących lawinowo kosztów, nieudanych upraw, niepotrzebnych zgonów.

We wrześniu 1866 roku Carleton otrzymał wiadomość, że wczesną wiosną następnego roku zostanie odwołany ze stanowiska. Oczywiście zaprotestował i wniósł o rozpatrzenie swojej sprawy przed komisją odwoławczą. Generał Grant jednak odmówił jego prośbie. Nowy Meksyk nie posiadał się z radości. Tygodnik „Weekly New Mexican” z uciechą żegnał „tego człowieka, Carletona, który tak długo szarogęsił się wśród nas”[646]. Dwa miesiące później władza nad rezerwatem Bosque Redondo przeszła z rąk wojska w ręce urzędników z Biura do spraw Indian podlegającego Departamentowi Spraw Wewnętrznych.

Carleton miał dostać nowy przydział w Luizjanie. Nie przestawał jednak zapalczywie przekonywać do pozostawienia Nawahów w Okrągłym Lesie.

Zainwestował w ten eksperyment społeczny tak wiele czasu, energii i serca, że choć sam miał pożegnać się ze stanowiskiem, nie mógł go zostawić na pastwę losu. Bosque Redondo był na swój smutny sposób ukoronowaniem jego kariery. Aż do śmierci generał nie chciał dostrzec ludzkich tragedii, do których doprowadził. W „jego” rezerwacie zmarły w krótkim czasie aż trzy tysiące Nawahów – jedna trzecia tych, którzy się do niego wprowadzili.

Carleton nie przyznał się też do innego błędu: w krainie Nawahów nigdy nie znaleziono złota.

Architekt eksperymentu w Bosque Redondo odszedł, ale życie w rezerwacie toczyło się swoim żałosnym rytmem jeszcze przez rok. W tym samym tygodniu, w którym Carleton otrzymał rozkaz wyjazdu, ranny i prawie umierający z głodu Manuelito pojawił się u bram fortu Wingate. Poddał się razem z dwoma tuzinami równie wycieńczonych współplemieńców. Przez poprzednie tygodnie żywili się jagodami i korzonkami. Manuelito miał zakażenie w jednym z ramion, które rozwinęło się po ranie od kuli. Zainfekowana ręka zwisała bezwładnie. Ostatni z wielkich przywódców Nawahów został wkrótce wyekspediowany do Okrągłego Lasu.

Wiosną 1868 rok Diné odmówili obsiania pól w rezerwacie. Kanały irygacyjne były suche, pola zamieniły się w nieużytki. Nawahowie się poddali. Całe dnie spędzali wokół budynku, w którym wydawano racje żywnościowe. „Niczym stalowe opiłki lgnące do magnesu”[647] czekali na posiłki.

Pod koniec maja po rezerwacie krążyły pogłoski o przyjeździe ważnego *bilagaana*. Miał on przybyć z miejsca zwanego Waszyngtonem i znał samego Wielkiego Białego Ojca. Barboncito, szaman Nawahów, dowiedział się, że ów przywódca, kimkolwiek był, miał podjąć ważne decyzje dotyczące przyszłości Diné.

Ich los spoczywał w jego rękach.

46

Droga przez czyściec

W tym samym tygodniu, ale przeszło trzysta kilometrów na północ od Okrągłego Lasu, Kit Carson leżał na posłaniu z bizonich skór rozesłanym na klepisku gabinetu lekarskiego. A właściwie na pół siedział, podparty w dziwacznej pozycji, która ułatwiała mu oddychanie. Przez kilka ostatnich dni pluł krwią. Opiekujący się nim lekarz doktor Henry Tilton wyjaśnił mu, że krwawa plwocina oznacza, iż jego choroba zmierza ku końcowemu rozwiązaniu – krew z tętniaka przecieka do tchawicy. Po każdym odkaszlnięciu Carson nie mógł się oprzeć ciekawości i wpatrywał się we własną flegmę. Ponuro się zastanawiał, ile życia mu jeszcze zostało.

Był w posępnym miejscu zwanym fortem Lyon – posterunku wojskowym wybudowanym nad rzeką Arkansas w południowo-wschodniej części Terytorium Kolorado, niedaleko miejsca, w którym kiedyś stał fort Bentów. Doktor Tilton, młody lekarz wojskowy stacjonujący w twierdzy, postanowił ściągnąć Carsona do siebie, żeby mieć go ciągle na oku. Na zewnątrz rozkwitała wiosna. Topole rosnące wzdłuż rzeki wypuściły młode, soczyście zielone listki. Kilkaset metrów od kamiennego domku lekarza pieniła się Arkansas, spiętrzona po roztopach w Górach Skalistych.

Carson uciskał sobie dolną część szyi i pod palcami czuł powiększające się wybrzuszenie. Czuł też ucisk w piersi, a jego serce często przyspieszało i gnało przez chwilę jak szalone. Czasem miał wrażenie, że się dusi. Jego drogi oddechowe doznawały nieustannych skurczów. Na złagodzenie kaszlu przyjmował opium rozpuszczone w syropie z dzikiej wiśni[648]. Żeby wyregulować sobie tętno, pił rozkurczającą nalewkę z ciemiężycy. Kiedy ból stawał się nie do zniesienia, doktor Tilton nachylał się nad Kitem i ratował go chloroformem. Lekarz ostrzegł go, że chloroform może okazać się dla niego zabójczy, gdyż trudno było odmierzyć odpowiednią dawkę.

Carson nie przejmował się tym. „Błagał mnie, żebym nie pozwolił mu cierpieć tych tortur – pisał potem Tilton – a przypadkowa śmierć w stanie ulgi wydawała mu się lepsza niż śmierć przez uduszenie”[649].

– Cóż mam zrobić? – pytał Carson. – Nie dam sobie rady bez lekarza.

Tilton zapewnił go, że go nie opuści.

– Zajmę się tobą.

– Nie myśl, że długo pożyję – uśmiechnął się Kit. – Choć gdyby nie to – powiedział, bijąc się w pierś – mógłbym dożyć setki.

Przez ostatnie tygodnie, kiedy Carson czuł się lepiej, słuchał opowieści o własnym życiu. Tilton miał egzemplarz książki *The Life and Adventures of Kit Carson, the Nestor of the Rocky Mountains, From Facts Narrated by Himself* [Życie i przygody Kita Carsona, nestora Gór Skalistych, opowiedziane jego własnymi słowami]. Była to pierwsza biografia Carsona, opublikował ją DeWitt Peters w 1859 roku. Lekarz czytał, a Carson leżał cicho na swoim posłaniu z bizonich skór, czasem pykając fajeczkę, i myślał o dawnych dziejach. Książka była pełna przesady i barokowych zdań – Kit zawsze twierdził, że „Peters trochę grubo to wyłożył”. Teraz jednak mu to nie przeszkadzało. Lubił młodego lekarza, a ich wspólny codzienny rytuał czytelniczy sprawiał mu przyjemność.

> Mając za słuchacza samego bohatera – pisał doktor Tilton – czytałem książkę Petersa […], a on od czasu do czasu dorzucał komentarz na temat wydarzeń ze swojego bujnego życia. Wspaniale było czytać burzliwe sceny, opowieści o pełnych emocji ryzykownych ucieczkach, a potem patrzeć na tego skromnego, ale pełnego godności osobistej niepozornego człowieka, który osiągnął tak wiele[650].

Choć Carson żył pełnią życia, majątku się nie dorobił. Poprzedni tydzień spędził, spisując testament, w którym oszacował swoje finanse na dziewięć tysięcy dolarów. Większość z tego stanowiły długi, które winni mu byli różni ludzie. Kit był człowiekiem niezamożnym i martwił się teraz o rodzinę. Miał siedmioro dzieci – trzech chłopców i cztery dziewczynki. Najmłodsza Josefita miała ledwie jedenaście dni.

Pociechy Kita żyły szczęśliwie i były pełne radości, ale, co ze wstydem przyznawał, były dość nieokrzesane. Carson nigdy nie miał ciężkiej ręki, czego teraz żałował. Kilka lat wcześniej odwiedził go w domu dokonujący

inspekcji na Zachodzie generał Sherman. Dzieciarnia Kita, jak ocenił, była „dzika i nieujarzmiona jak pomiot meksykańskich mustangów […] ganiała po domu półnaga i szalona”[651]. Carson podzielił się z Shermanem wątpliwościami dotyczącymi wykształcenia swoich dzieci. Szkoły w Nowym Meksyku były marne, a on nie mógł sobie pozwolić na wysłanie je na Wschód.

– Martwię się, że nie dość o nie zadbałem – zwierzył się Shermanowi[652].

Teraz od dzieci dzieliło go ledwie osiem kilometrów, ale jego rodzinie trudno było przyjeżdżać z wizytą. Mieszkali w trzypokojowym domku, który Kit i Josefa wynajmowali przez ostatni rok w niewielkiej osadzie Boggsville wybudowanej niedaleko ujścia rzeki Purgatory[69] do Arkansas. Żeby dotrzeć do fortu Lyon, bliscy Kita musieli przekroczyć obie rzeki, których wartkie wody były tak zimne o tej porze roku, że ścinały kości. Taka podróż była nie tylko trudna, ale i niebezpieczna. Poza tym Carson niespecjalnie chciał się widzieć z rodziną. Nie chciał, żeby zapamiętali go w takim stanie.

Pewnego dnia odwiedziło go jednak dwóch synów – najstarszy William, który miał wtedy czternaście lat, i siedmioletni Charles. Chłopcy koniecznie pragnęli zobaczyć ojca.

Kit usiadł i starał się, jak mógł, ale szybko stracił siły. Chcąc zrobić chłopcom prezent, wysłał ich do garnizonowego sklepu, gdzie mieli sprawić sobie nowe kapelusze[653]. William i Charles niezręcznie się pożegnali i wyruszyli w drogę powrotną do Boggsville. Byli dumni ze swoich nowych kapeluszy – szczególnie mały Charles – i zawadiacko nałożyli je na głowy.

Kilka kilometrów na zachód od fortu dotarli do rzeki Purgatory. Kiedy przejeżdżali przez nią, siedząc na otwartym wozie, wiatr zerwał z głowy Charlesa nowiuśki kapelusz i cisnął nim do lodowatej wody. Ostatni prezent od ojca pomknął z prądem i wirując niczym liść, zniknął chłopcom z oczu.

Leżący na łożu śmierci Christopher Carson był prawdopodobnie jedynym w historii USA generałem analfabetą. Trzy lata wcześniej prezydent Lincoln zatwierdził jego awans na honorowego (brevetowego) generała brygady ochotników. Carson zasłużył na to jak mało kto, ale tak naprawdę jego nowy stopień wojskowy nie miał wielkiego znaczenia. Patent brevetowy nie dawał

mu ani wyższego żołdu, ani większej władzy. Oznaczał tylko tyle, że należało go tytułować generałem. Rozmówcy Carsona czynili to z radością, choć on sam przyjmował honory z lekkim zażenowaniem. Kiedy pewnego razu ktoś pomyłkowo nazwał go „pułkownikiem", Carson wypalił:

– Oj tam, mów mi Kit i dajmy już z tym spokój[654].

Carson uważał, że awans zawdzięczał swoim koneksjom i szczęśliwemu trafowi.

– Moje przeklęte szczęście, w nim cały problem – powiedział kiedyś. – Rzuca mnie w miejsca, do których pasuję jak pięść do nosa[655].

Generał Carson spędził trzy i pół roku, które minęły od bitwy pod Adobe Walls, w ciągłym biegu. Wiecznie zmieniał przydziały wojskowe, przenosząc się z jednego smutnego posterunku do drugiego. Służył w fortach Union i Garland, a w końcu dotarł do fortu Lyon. Prowadził rokowania z plemionami żyjącymi na Wielkich Równinach. Odbył podróż do St. Louis, żeby spotkać się na naradzie z generałami Johnem Pope'em i Williamem Tecumsehem Shermanem. W ostatnich latach życia stary wojownik wziął na siebie nowe zadanie – zaprowadzał pokój. Podczas licznych podróży zdrowie nie pozwalało mu jechać w siodle. Zwykle podróżował więc w wojskowym powozie. „Jestem już stary i zmęczony – napisał do jednego ze swoich krewnych – i trudno powiedzieć, żebym był panem samego siebie"[656].

Podczas swojej ostatniej podróży, późną zimą i wczesną wiosną 1868 roku, Carson pojechał do samego Waszyngtonu. Pomagał w stolicy wynegocjować traktat tworzący stały rezerwat dla Jutów. Ten wyjazd musiał być niezwykle męczący dla kogoś w jego stanie. Doktor Tilton ostrzegał Kita, że może go przypłacić śmiercią. Carson nie chciał jechać i martwił się o Josefę, która była w siódmym miesiącu ciąży. Wódz Ouray i inni przywódcy Jutów – którzy nazywali Carsona Ojcem Kitem – w końcu go jednak przekonali, że bez jego pomocy sobie nie poradzą. Carson chciał też skonsultować swoją chorobę u jakiegoś dobrego lekarza na Wschodzie i zasięgnąć jego opinii co do możliwej kuracji.

Wszedł więc do dyliżansu i przesiadając się kilkakrotnie, dotarł do Kansas, gdzie złapał pociąg do Waszyngtonu. Traktat został szybko podpisany i Carson mógł oprowadzić Jutów po stolicy Stanów Zjednoczonych. Poszli

do łaźni tureckich, odwiedzili w Białym Domu prezydenta Andrew Johnsona i obejrzeli przedłużającą się budowę pomnika Waszyngtona, która została przerwana podczas wojny secesyjnej. Dokądkolwiek poszli, ludzie szeptali o „generale". Tym razem jednak bardziej szanowali jego prywatność. Widzieli, że cierpi.

Sam Carson w końcu zaczął się cieszyć z tego, że ludzie zwracają na niego uwagę. Zaczął akceptować fakt, że stał się celebrytą, i nawet go ten status bawił. Od dawna przestał dementować treść czytadeł, których był bohaterem. Jego sława go przerosła – czemu miał się tym martwić? Kiedy zaoferowano mu egzemplarz jednej z ostatniej opowieści spod znaku „krwi i burzy", założył na nos okulary i przez minutę oglądał okładkę. Jej autor narysował Carsona obejmującego delikatną talię pięknej i dorodnej niewiasty. Oboje byli otoczeni przez świeże trupy dzikusów, z których rąk Kit właśnie uratował ową piękność.

Carson odłożył książkę.

– Panowie, tak mogło rzeczywiście być, choć zupełnie tego nie pamiętam – powiedział, puszczając oko[657].

W Departamencie Wojny Carson spotkał się z generałami Philem Sheridanem i Williamem Shermanem. Ten ostatni szykował się właśnie do wyjazdu na Zachód, gdzie chciał zawrzeć pokój z wieloma plemionami. Jednym z celów jego podróży, w której mieli wziąć udział także inni oficerowie, był Bosque Redondo. Generał rozważał zamknięcie rezerwatu. Jest prawie pewne, że podczas wizyty Carsona w Waszyngtonie Sherman rozmawiał z nim o tym, co zrobić z Nawahami. Byli w końcu starymi przyjaciółmi. No i obaj niedawno prowadzili wojny zgodnie z taktyką spalonej ziemi, na długo odciskając swój ślad w historii Stanów Zjednoczonych.

Istnieją pewne przesłanki, żeby sądzić, iż Carson zdał sobie w końcu sprawę z ogromnej porażki eksperymentu w Okrągłym Lesie. Ponieważ właśnie udało mu się zapewnić utworzenie rezerwatu Jutów na ich własnym terytorium, mógł też dojść do wniosku, że pozwolenie Nawahom na powrót do ich dawnej ojczyzny było mądrym posunięciem. Jeden z pisarzy, którzy towarzyszyli Shermanowi podczas podróży na Zachód, twierdził, że Carson

miał powiedzieć: „Generale, nie jestem pewien, czy Wielki Duch zaplanował, iż zabierzemy Indianom ich ziemie. Pozwól mi zaprowadzić ich z powrotem, póki jeszcze mają wolę życia”[658]. Myśl, że Carson kompletnie zmienił zdanie w sprawie Nawahów, jest kusząca. Niemniej wiarygodność tego cytatu wydaje się wątpliwa. Carson raczej by tak nie powiedział.

Podczas pobytu w Waszyngtonie Kit spędził chwilę w studiu słynnego fotografa z czasów wojny secesyjnej Mathew Brady’ego i dał sobie zrobić kilka portretów. Pozował do fotografii ubrany w elegancki czarny garnitur. Wygląda na nich jak pełen godności mąż stanu mający już swoje lata. W jego włosach i na wąsach widnieją siwie pasemka. Twarz ma jednak zgaszoną, a w jego oczach widać ból. Jest też dziwnie spięty, tak jakby zebrał wszystkie siły, żeby wystarczająco długo wytrzymać bez ruchu przed obiektywem.

W Waszyngtonie Carson spotkał się też ze swoim dawnym przełożonym Johnem C. Frémontem. Odkrywca miał ciągłe potężne wpływy w Partii Republikańskiej, choć był bankrutem, a jego reputację nadszarpnęły wątpliwe interesy. Frémont ucieszył się ze spotkania, choć dostrzegł, że jego były przewodnik „jest wielce zmieniony przez cierpienie”. Dał Kitowi kontakt do specjalisty z Nowego Jorku – doktora Lewisa Alberta Sayre’a – i kazał natychmiast umówić się na wizytę.

Carson wsiadł więc razem z kilkoma wodzami Jutów do pociągu na Manhattan i zatrzymał się z nimi w hotelu Metropolitan na Broadwayu. Doktor Sayre miał jednak dla niego złe wieści. Diagnoza, którą Tilton postawił jeszcze w Kolorado – czyli tętniak aorty – była prawidłowa. Carson mógł umrzeć w każdej chwili i w żaden sposób nie można go było uratować. Sayre zalecił tylko odpoczynek, unikanie emocji i wystrzeganie się alkoholu. Dzięki temu Carson mógł pożyć trochę dłużej.

Trudno powiedzieć, czy doktor Sayre rozmawiał z Carsonem o możliwych przyczynach swojej choroby. Jeśli tak, to lekarz musiał wiedzieć, że było bardzo mało prawdopodobne, iż Carson, jak ciągle wierzył, nabawił się tętniaka podczas konnego wypadku lata wcześniej. Bardziej prawdopodobną przyczyną było wysokie ciśnienie krwi. Choć tętniak aorty mógł także być objawem syfilisu[659]. Możliwe, że Kit złapał tę chorobę podczas lat spędzonych jako traper.

Po wizycie u lekarza wstrząśnięty Carson wrócił do hotelu. Pewnej nocy śniło mu się, że umiera. Czuł, jak opuszcza go oddech, a jego łóżko unosi się, zabierając go prosto do nieba. Obudził się mokry od potu. Jeden z Jutów trzymał go za głowę.

– Wzywałeś swojego Pana Jezusa – powiedział Kitowi[660].

Carson, który nigdy nie obnosił się ze swoją wiarą, nie miał o tym pojęcia.

– Teraz może pomóc mi tylko On – odpowiedział jednak.

Kit chciał już wracać do domu. Spieszył się nie tylko po to, żeby jeszcze raz zobaczyć Josefę, ale także po to, żeby wrócić przed narodzinami ich kolejnego dziecka. Zanim wyjechał z Waszyngtonu, spotkał się jeszcze z jedną osobą. W domu wspólnego znajomego na Madison Square na Manhattanie odwiedziła go Jessie Benton Frémont. Carson był tak słaby, że aby wstać i ją powitać, musiał wesprzeć się na czyimś ramieniu.

– Ciągle żyję – przywitał się z Jessie[661].

Objęli się, a potem zaczęli wspominać stare czasy. Po kilku minutach jednak Carsonowi zaczęło brakować tchu.

– Gdybym tu umarł, zabiłbym tym Josefę – powiedział. – Muszę wracać do domu, myślę, że dam radę.

W drodze powrotnej zahaczył o Boston, gdzie prawdopodobnie był na konsultacji u kolejnego lekarza. Tam wsiadł do pociągu, który nowiuśkim szlakiem kolejowym firmy Union Pacific Railroad zabrał go do Cheyenne w Wyoming. Stamtąd dyliżansem pojechał do Denver, gdzie zatrzymał się na odpoczynek. Codziennie pod jego hotelowym oknem gromadziły się tłumy życzących mu zdrowia i czuwających ludzi. Kiedy trzy dni później Carson poczuł się lepiej, zanim wyjechał, wdrapał się na pudło i podziękował mieszkańcom Denver za modlitwy. Większość pozostałej drogi do domu pokonał w odkrytym powozie, leżąc na jego podłodze owinięty kocami. Josefa wyjechała po niego bryczką do miasteczka La Junta w Kolorado. Spotkali się tam 11 kwietnia i pojechali do swojego małego domku w Boggsville.

Dwa dni później Josefa urodziła córeczkę. Carson dał jej na imię Josefita, po mamie.

Kit był tak słaby po swojej wyprawie do Waszyngtonu i z powrotem, że ledwie mógł utrzymać małą Josefitę. Przez następne dwa tygodnie leżał na podłodze, na stercie koców, i czasem „odlatywał" w opiumową podróż. Doktor Tilton uważał, że podróż do stolicy prawie Carsona zabiła. „Tętniak aorty mocno się poszerzył – pisał lekarz – i mocno uciskał nerw błędny oraz tchawicę, powodując skurcze oskrzeli, które były niezwykle męczące"[662].

Także Josefa nie czuła się dobrze. Cierpiała z powodu komplikacji poporodowych. Miała zakażenie i nie chciała jej spaść gorączka. Doktor Tilton opisał ją jako kobietę „kiedyś bez wątpienia bardzo przystojną", z której choroba wyssała piękno.

Wieczorem 27 kwietnia Josefa musiała poczuć się lepiej, bo jakoś podniosła się z łóżka i bawiła się z dziećmi. Teresina, która miała już trzynaście lat, podeszła do mamy. Josefa zaczęła czesać córce włosy. Nagle poczuła się znacznie gorzej.

– Cristóbal, chodź tu! – krzyknęła.

Carson z trudem podniósł się z legowiska w drugim pokoju i przyszedł, jak najszybciej mógł. Josefa patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Jestem bardzo chora – powiedziała i umarła w ramionach męża.

Pochowano ją w ogrodzie pięćset metrów od domu, nad brzegiem rzeki Purgatory. Kit był przybity.

– Życie zaczęło z niego uchodzić, kiedy mama umarła – wspominał lata później Charles Carson[663].

Kit podyktował list do mieszkającej ciągle w Taos Ignacii Bent i poprosił ją, żeby przyjechała i zajęła się jego dziećmi. Krótko po jej przyjeździe Carson znowu zaczął kaszleć krwią. Tilton namówił go, żeby przyjechał do fortu Lyon, zanim rzeki zanadto wzbiorą.

Po południu 23 maja Carson odzyskał siły. Powiedział doktorowi Tiltonowi, że jest głodny. Nie miał jednak ochoty na cienki bulion albo nędzny kleik, którymi się żywił w ostatnich dniach. Chciał wielki stek z bizona – taki, jakie jadał w dobrych czasach. Miał być krwisty i być może podany z czerwonym chilli, tak jak zawsze lubił. Poprosił jeszcze o dzbanek kawy. A potem o fajkę.

Tilton zabrał się do rzeczy i wkrótce podał generałowi zamówiony posiłek. Kit jadł i palił na podłodze, półleżąc na legowisku z bizonich skór. O 16:25 zaczął mocno kaszleć, a z ust poleciała mu krew. Tętniak aorty pękł.

– Doktorze, *compadre*, *adios*[70]! – zdążył jeszcze krzyknąć[664].

Tilton pognał do jego legowiska. „Podtrzymywałem mu czoło – wspominał – kiedy śmierć szybko go zabierała".

W pokoju pojawili się też inni znajomi Carsona.

– To koniec generała. – Tilton pokręcił głową[665].

Ciało Carsona zostało powiezione przez rzeki Arkansas oraz Purgatory i złożone u boku Josefy – ziemia w miejscu jej pochówku jeszcze nie stwardniała. Kit i Josefa żyli ze sobą dwadzieścia pięć lat i zmarli jedno po drugim w odstępie niecałego miesiąca. W forcie Lyon trębacz zagrał na pożegnanie capstrzyk. Flagę Stanów Zjednoczonych spuszczono do połowy masztu.

Cztery dni później wychodząca w Denver gazeta „Rocky Mountain News" wydrukowała informację o śmierci Kita Carsona. „Na niedających się ogarnąć wzrokiem równinach, na pokrytych śniegiem sierrach, nad jeziorami i morzami – czyż nie on wydeptał tam pierwsze ścieżki? Miał wrodzony instynkt przewodnika. Cechowała go osobista odwaga, która ujawniała się wtedy, kiedy było trzeba – jak błyskawica z ciemnego nieba"[666].

I wtedy Zabójca Potworów powiedział: – Niektóre rzeczy trzeba zostawić w spokoju. Być może w dłuższej perspektywie lepiej będzie dla nas, jeśli pozwolimy pewnym wrogom żyć.

fragment *Diné Bahane*, opowieści Nawahów o powstaniu świata

Epilog

W pięknie idziemy

Był rześki majowy poranek. W tym samym tygodniu, w którym zmarł Kit Carson, kilka tysięcy Diné zgromadziło się na równinie niedaleko Bosque Redondo, z dala od rzeki Pecos. Stali na twardej i oświetlanej porannym słońcem ziemi i każdy z nich świetnie widział resztę współplemieńców. W sercu zgromadzenia zaintonowano pieśń, która powoli rosła w siłę, kiedy przyłączały się do niej kolejne głosy. Nawahowie zaczęli też wybijać takt kamieniami trzymanymi w dłoniach. Przez tłum Indian przeszedł dreszcz wspólnego rytmu.

Dźwięk ten zaalarmował żołnierzy stacjonujących w forcie Sumner. Najpierw bali się, że wybuchło powstanie, więc wdrapali się na dach jednego z budynków, żeby zobaczyć w czym rzecz. Stamtąd oglądali dziwne zgromadzenie Nawahów.

Diné uformowali okrąg, którego średnica wynosiła kilka kilometrów. Był on tak wielki, że ludziom stojącym na jego obwodzie ci, którzy stali naprzeciwko, wydawali się maleńcy jak mrówki. Potem powoli, drobnymi krokami Nawahowie zaczęli zacieśniać pierścień. Szli, śpiewali i uderzali kamieniem o kamień. Krąg malał w oczach, zaciskając się jak ogromne ludzkie lasso.

W jego środku stał młody kojot. Przerażony zaczął biegać, szukając wyjścia z pułapki. Pętla jednak coraz mocniej się zaciskała i w końcu pojął, że ucieczki nie było. Został zamknięty w zagrodzie tworzonej przez ludzkie ciała.

Być może ze strachu, a być może instynktownie próbując uciec śmierci, kojot położył się na ziemi. Barboncito, drobny, zarośnięty szaman z kanionu De Chelly, wstąpił do środka kręgu i podszedł do drżącego z przerażenia zwierzęcia. Kilku Nawahów pomogło mu je przytrzymać. Barboncito rozsupłał swój woreczek na leki i wyjął z niego biały koralik zrobiony ze

skorupki morskiego ślimaka. Starannie włożył go do pyska kojota i zaczął się modlić.

Śpiewy i stukot kamieni ustały. Ludzie stojący w kręgu zaczęli w ciszy powoli się cofać. Pętla się rozluźniała.

Barboncito chciał zobaczyć, w którym kierunku pobiegnie kojot. Taki był cel ceremonii. W tym pradawnym rytuale, który nawahijscy szamani przeprowadzali tylko w wyjątkowych okolicznościach, poszukiwano znaków dotyczących przyszłości plemienia.

Barboncito i inni Indianie trzymający zwierzę nagle od niego odstąpili. Kojot zerwał się na nogi. Na początku był zdezorientowany. Ale potem zwrócił się w tę stronę świata, na którą liczył Barboncito. Przedzierając się przez krzewy i marne drzewka, uciekł z „lassa", które zarzucili na niego Diné.

Puścił się prosto na zachód[667].

Kilka dni później, 28 maja 1868 roku, do Bosque Redondo przybył ze swoją świtą z Komisji Pokojowej generał William Tecumseh Sherman. Generał wyszedł z powozu i żwawym krokiem obszedł rezerwat, dokładnie przyglądając się temu, jak był urządzony. Czterdziestoośmioletni Sherman miał rumianą, porytą zmarszczkami twarz. Poruszał się krokiem człowieka pewnego siebie, który w świecie ludzkiego nieszczęścia zobaczył już niemal wszystko. Niełatwo było na nim zrobić wrażenie.

Musiał wiedzieć, że pięć dni wcześniej zmarł jego przyjaciel Kit Carson. Wszyscy w Nowym Meksyku o tym słyszeli. W całym terytorium flagi opuszczono do połowy masztu. Sherman rozumiał, że śmierć Carsona kończyła pewną epokę. I zaczynała kolejną. „Kit Carson był dobrym przykładem klasy ludzi bardzo użytecznych w swoich czasach – pisał potem Sherman – ale teraz byli oni równie przestarzali jak Jazon i jego Argonauci, Odyseusz, Cavalier de La Salle[71] czy Daniel Boone z Kentucky. Wszyscy należeli do martwej przeszłości"[668].

Carson pomógł w przesiedleniu Nawahów do tego miejsca, a teraz generał Sherman miał pełnomocnictwa do odwrócenia biegu historii. Otrzymał ogromną władzę i nie wahał się jej używać. Nawahijskie kobiety chwytały go

za płaszcz, kiedy szedł przez rezerwat. Wszędzie gdzie się pojawił, Diné tłoczyli się, żeby zobaczyć tego wielkiego i potężnego człowieka.

Sherman nie był obdarzonym miękkim sercem orędownikiem sprawy indiańskiej. Ale dostrzegał, że rezerwat w Okrągłym Lesie jest w opłakanym stanie. Nawahowie byli przybici, a pola leżały odłogiem. „Bosque okazał się skrawkiem marnej łąki położonej w sercu dzikiej pustyni – napisał – a Nawahowie znaleźli się w stanie absolutnej nędzy i rozpaczy”[669].

Po rekonesansie generał dołączył do pozostałych członków komisji, którzy siedzieli w jednym z budynków na terenie rezerwatu. Spotkali się tam z niewielką grupą przywódców plemienia, wśród których prym wiedli Barboncito i Manuelito. Tłumacze przekładali z angielskiego na hiszpański i z powrotem, a wojskowi stenografowie starannie wszystko notowali.

Pierwszy powstał i przemówił generał Sherman[670].

– Komisarze zebrali się w tym miejscu, żeby dowiedzieć się wszystkiego o waszej sytuacji. Generał Carleton przesiedlił was tutaj po to, żebyście stali się rolnikami. Ale okazuje się, że nie macie ani pól, ani stad i jesteście tak samo biedni, jak byliście cztery lata temu. Chcemy wiedzieć, co tu się stało i co sądzicie o swoim rezerwacie.

W imieniu Nawahów przemówił Barboncito. Diné wreszcie zrozumieli, jaką wagę *bilagaana* przykładają do tego, żeby w imieniu plemienia przemawiał jeden człowiek. Uważali Barboncita za swojego najlepszego mówcę. Cechowały go wielka pewność siebie, wytworność, a także opanowanie, które wprost biły z tej drobnej postaci. Jego słowa i gesty były jednocześnie pełne ognia. Kiedy mówił, jego rzadkie i długie wąsy najeżały się, a dłonie wykonywały skomplikowany taniec. Przemawiał długo, a Sherman mu nie przerywał.

Barboncito zaczął od tego, że postrzegał generała nie jak człowieka, ale jak bóstwo.

– Wydaje mi się – powiedział – że generał dowodzi niczym bóg. Mówię więc do was, generale Sherman, jakbym mówił do ducha[671].

– Przeżyliśmy w tym miejscu już pięć zim – kontynuował szaman Nawahów. – W pierwszym roku posialiśmy kukurydzę. Urosła wspaniale, ale zaatakował ją robak i prawie całą zniszczył. W drugim roku stało się to samo.

W trzecim roku kukurydza urosła na dwie stopy, kiedy przyszła burza z gradem i kompletnie ją zniszczyła. Z tego powodu w tym roku nikt z nas już nie siał. Myślę dziś, że kiedy moi przodkowie ostrzegali mnie przed przekraczaniem granic mojej ojczyzny, to mówili prawdę. Wiemy, że ta ziemia nas nie chce. Wydaje się, że cokolwiek tu robimy, kończy się śmiercią.

Potem Barboncito zaczął tłumaczyć generałowi Shermanowi, dlaczego pomysł przenosin Diné do nowego rezerwatu w Oklahomie – który od jakiegoś czasu promowali wśród Nawahów urzędnicy federalni – mu się nie podoba.

– Nasi przodkowie nie chcieli mieszkać w innym kraju niż w swoim własnym i nie sądzę, żebyśmy my mogli żyć inaczej – powiedział szaman. – Zanim zachoruję albo się zestarzeję, chcę wrócić do miejsca, w którym się urodziłem. Mam nadzieję w Bogu, że nie każecie mi powędrować do innego kraju niż mój własny. Ta nadzieja spływa do moich stóp i wypływa z moich ust, kiedy do was mówię.

Generał Sherman był wyraźnie poruszony tym, co powiedział Barboncito.

– Wysłuchałem tego, co miałeś do powiedzenia w imieniu swojego ludu – zaczął. – I wierzę, że mówisz prawdę. Wszyscy ludzie kochają krainę, w której się urodzili i wychowali. Chcemy postąpić słusznie.

Potem Sherman powiedział coś, co przywróciło Barboncitowi nadzieję.

– Mamy tu mapę i jeśli Barboncito ją zrozumie, to chciałbym mu na niej coś pokazać.

Była to mapa Dinétah, krainy Nawahów. Widniały na niej cztery święte góry i inne punkty orientacyjne, które Barboncito natychmiast rozpoznał.

– Jeśli się dogadamy, wyznaczymy linię graniczną, poza którą nie będzie wam wolno wychodzić, chyba że w celach handlowych.

Generał powoli pokazał szamanowi granice, które miał na myśli i ostrzegł o poważnych konsekwencjach grożących za ich przekraczanie.

– Musicie dokładnie znać swoje miejsce. Koniec z wojną. To siły zbrojne USA będą za was walczyć. Wy musicie żyć w pokoju.

Barboncito próbował ukryć radość, ale nie był w stanie. Łzy pociekły mu po wąsach.

– Raduje mnie wielce to, co usłyszałem – powiedział. – Jesteśmy gotowi przestrzegać wszystkich rozkazów, jakie otrzymamy.

Przyznał się też, że uszył już sobie nową parę mokasynów, które miały go zabrać do domu.

– Nie chcemy iść w prawo ani w lewo – dodał. – Chcemy wyruszyć prosto do własnego kraju[672]!

1 czerwca zawarto pokój. Nawahowie zgodzili się zamieszkać w nowym rezerwacie, którego granice były dużo ciaśniejsze niż ich dawna ojczyzna. Poza nimi zostały wszystkie nawahskie święte góry. Tak czy inaczej była to ciągle ogromna kraina, mająca powierzchnię blisko sześćdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych[72] i prawie dorównująca wielkością stanowi Ohio. Kiedy Barboncito, Manuelito i inni wodzowie postawili swoje „X-y" pod treścią traktatu pokojowego, Sherman powiedział Nawahom, że mogą wracać do domu.

Mieli wyruszyć 18 czerwca, eskortowani, ochraniani i karmieni przez wojskowych konwojentów. Niektórzy z nich tak się niecierpliwili, że wyruszyli w noc przed oficjalnym wymarszem i dopiero po kilkunastu kilometrach wspinaczki zawrócili do rezerwatu. Byli tak podekscytowani perspektywą powrotu do domu, że nie mogli się powstrzymać.

Rano rozpoczęła się powrotna podróż Nawahów. W kolejnym exodusie, tym razem radosnym i szczęśliwym, całe plemię ruszyło w drogę liczącą blisko sześćset pięćdziesiąt kilometrów. Kolumna uchodźców miała kilkanaście kilometrów długości. Gdzieś w jej środku szedł ubrany w nowe mokasyny Barboncito.

Kiedy Diné dotarli do Rio Grande i po raz pierwszy od dawna ujrzeli Turkusową Górę, padli na kolana i załkali.

– Zastanawialiśmy się, czy to naprawdę nasza góra, i chcieliśmy mówić do ziemi, tak mocno ją kochaliśmy – tłumaczył Manuelito[673].

Potem ruszyli dalej w stronę, w którą pobiegł kojot. Wracali do krainy, o której tak dużo opowiadali swoim dzieciom. Idąc, zaczęli śpiewać.

Piękno przed nami
Piękno za nami

Piękno wokół nas
W pięknie idziemy
Wszystko kończy się pięknie

O źródłach

Kiedy na początku 2002 roku zaczynałem pracę nad tą książką, nie miałem pojęcia, jaki ogrom zadań mnie czeka. Tropienie niezwykłego Christophera Carsona w jego wędrówkach po amerykańskim Zachodzie to zajęcie wymagające wytrwałości i sił do podróżowania przez cały kontynent, które niekiedy dają mocno się we znaki, nawet kiedy nie trzeba ich odbywać, tłukąc się na grzbiecie muła. Przez cztery lata pokonałem w sumie blisko trzydzieści dwa tysiące kilometrów, zajeżdżając bez litości swoją jettę wyposażoną w silnik diesla. Sięgnąłem do około pięciuset źródeł – współczesnych Carsonowi dzienników i pamiętników, zbiorów prywatnej korespondencji, oficjalnych meldunków wojskowych, raportów z pogranicza, manuskryptów, monografii, a także publikacji akademickich i książek – które prawie wszystkie wymieniam w „Wybranej bibliografii".

Szczególny dług wdzięczności mam wobec kolekcji historycznych przechowywanych przez następujące instytucje: Huntington Library w San Marino w Kalifornii; Beinecke Rare Book and Manuscript Library na Uniwersytecie Yale; National Archives w College Park w Maryland; Bibliotekę Kongresu w Waszyngtonie; Bancroft Library na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley; Zimmerman's Library Center for Southwest Research na Uniwersytecie Nowego Meksyku w Albuquerque; Southwest Reading Room w Bibliotece w Santa Fe; oraz Fray Angelico Chavez History Library and Photographic Archive w Santa Fe. Bardzo ważnym źródłem były dla mnie obszerne dokumenty Franka McNitta przechowywane w Archiwum Stanowym w Santa Fe.

Książkę oparłem głównie na oryginalnych dokumentach i dawnych zapiskach. Muszę jednak wspomnieć także o kilku źródłach pośrednich, które mocno ukształtowały moją narrację. Najważniejszym z nich była praca *Kit Carson and the Indians* [Kit Carson i Indianie] autorstwa Toma Dunlaya, która po dziś dzień pozostaje publikacją naukową dotyczącą Kita Carsona

opartą na najbardziej wyczerpujących badaniach. Każdego, kto chciałby dogłębnie się zaznajomić z życiem Carsona, zachęcałbym, żeby zaczął od twórczości Dunlaya, bo to on wytyczył ścieżkę. Innym ważnym autorem w tej dziedzinie jest Marc Simmons, który przez dekady uporczywie tropił kolejne szczegóły dotyczące Carsona. Przydała mi się zwłaszcza jego książka pod tytułem *Kit Carson and His Three Wives* [Kit Carson i jego trzy żony], w której Simmons bada ciekawe i czasem tragiczne życie rodzinne Carsona.

Dług wdzięczności zaciągnąłem także u Dwighta Clarke'a, który napisał wspaniałą biografię Stephena Wattsa Kearny'ego pod tytułem *Soldier of the West* [Żołnierz Zachodu]. Kearny był jedną z kluczowych, choć mało znanych postaci amerykańskiego Zachodu. Książka Clarke'a sprawiła, że generał stał się tak słynny, jak na to zasługiwał.

Jeśli chodzi o kulturę Nawahów, szczególnie odkrywcze były dla mnie trzy pozycje: *The Navajo* autorstwa Kluckhohna i Leighton, *The Navajos* napisana przez Ruth Underhill i *The Book of the Navajo* [Księga Nawahów] Raymonda Fridaya Locke'a. Muszę też wspomnieć o innej książce, która jest klasą samą w sobie – to przedziwny i przepiękny (oraz uczciwy pod względem seksualnym!) klejnot, w którym zebrano ustną historię plemienia, pod tytułem *Son of Old Man Hat* [Syn Starego Kapelusznika]. W niezwykle precyzyjny sposób księga ta opisuje życie Nawahów przed pojawieniem się na ich ziemiach Amerykanów.

Tylko jeden człowiek pochylił się naukowo, a jednocześnie z uczuciem, nad ponurą tematyką wojen toczonych przez Nawahów. Tym człowiekiem jest Frank McNitt, autor między innymi obszernego dzieła zatytułowanego po prostu *Navajo Wars* [Wojny z Nawahami]. Jeśli ktoś chce zrozumieć podstawowe przyczyny i kulturowe niuanse pradawnego konfliktu nawahijskiego, powinien zajrzeć do dzieła McNitta.

Jeśli zaś chodzi o Johna C. Frémonta, to oprócz jego memuarów i raportów z ekspedycji często korzystałem z dwóch dzieł. Jednym z nich była książka *Pathfinder* [Odkrywca] Toma Chaffina, który dzięki swojemu naukowemu podejściu i czystemu pióru prześwietla melodramat Frémonta przez filtr współczesności. Drugą ważną pozycją była *A Newer World* [Nowszy świat]

Davida Robertsa, fascynujące studium dziwnego i ambiwalentnego związku łączącego Frémonta z Carsonem.

Chcę też na końcu oddać honor czterem książkom, które wyróżniają się spośród – w oczywisty sposób posępnej i czasem przesadnie ckliwej – literatury dotyczącej Długiego Marszu Nawahów. Są to: *The Army and the Navajo* [Armia i Nawahowie] autorstwa Geralda Thompsona, *Navajo Roundup* Lawrence'a Kelly'ego, *The Long Walk* [Długi Marsz] napisana przez Lynna Baileya oraz *Navajo Stories of the Long Walk Period* [Historie Nawahów z czasów Długiego Marszu], w której Ruth Roessel zebrała ustne opowieści Nawahów. Wszystkie te książki przybliżają nam tragiczny w skutkach eksperyment, który poważnie odcisnął się nie tylko na historii Nawahów, ale i w duszy całego narodu amerykańskiego.

Wybrana bibliografia

Abel Annie Heloise, *Official Correspondence of James S. Calhoun. While Indian Agent at Santa Fe and Superintendent of Indian Affairs in New Mexico*, Washington, DC: Government Printing Office, 1915

Acrey William P., *Navajo History. The Land and the People*, Shiprock, NM: Department of Curriculum Materials Development, 1994

Allie Stephen J., *All He Could Carry. US. Army Infantry Equipment, 1839–1910*, Leavenworth, KS: Leavenworth Historical Society, 1991

Altshuler Constance Wynn, *Cavalry Yellow & Infantry Blue. Army Officers in Arizona between 1851 and 1886*, Tucson: Arizona Historical Society, 1991

Alvord Lori Arviso, Elizabeth Cohen Van Pelt, *The Scalpel and the Silver Bear. The First Navajo Woman Surgeon Combines Western Medicine and Traditional Healing*, New York: Bantam Books, 1999

Armer Laura Adams, *In Navajo Land*, New York: David McKay Company, 1962

Armstrong Nancy M., *Navajo Long Walk*, Niwot, CO: Roberts Rinehart Publishers, in cooperation with the Council for Indian Education, 1994

Baars Donald L., *Navajo Country. A Geology and Natural History of the Four Corners Region*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1995

Bacon Melvin, Daniel Blegen, *Bent's Fort. Crossroads of Cultures on the Santa Fe Trail*, Palmer Lake, CO: Filter Press, 1995

Bagley Will, *Blood of the Prophets. Brigham Young and the Massacre at Mountain Meadows*, Norman: University of Oklahoma Press, 2002

Bahti Mark, *A Guide to Navajo Sandpaintings*, Tucson: Rio Nuevo Publishers, 2000

—, *Spirit in the Stone: A Handbook of Southwest Indian Animal Carvings and Beliefs*, Tucson: Rio Nuevo Publishers, 1999

Bailey Garrick, Roberta Glenn Bailey, *A History of the Navajos. The Reservation Years*, Santa Fe: School of American Research Press, 1986

Bailey Lynn R., *Bosque Redondo. An American Concentration Camp*, Pasadena: Socio-Technical Publications, 1970

—, *Basque Redondo. The Navajo Internment at Fort Sumner, New Mexico, 1863–1868*, Tucson: Westernlore Press, 1998

—, *The Captive Years. Slave Taking as a Source of the Navajo Wars, 1846–1868*, Los Angeles: Corral of Westerners, 1963

—, *If You Take My Sheep. The Evolution and Conflicts of Navajo Pastoralism, 1648–1668*, Pasadena: Westernlore Press, 1980

—, *Indian Slave Trade in the Southwest*, Los Angeles: Westernlore Press, 1966

—, *The Long Walk. A History of the Navajo Wars, 1846–1868*, Pasadena: Westernlore Press, 1964

Bass Florence, *Stories of Early Times in the Great West*, Indianapolis: Bobbs-Merrill, 1927

Basso Keith H., Morris E. Opler [eds], *Apachean Culture History and Ethnology*, Tucson: University of Arizona Press, 1971

Beasley Conger Jr., *Canyon de Chelly. The Timeless Fold*, Arcata, CA: Sweetlight Books, 1988

Beck Peggy V., Anna Lee Walters, Nia Francisco, *The Sacred Ways of Knowledge, Sources of Life*, Tsaile, AZ: Navajo Community College Press, 1996

Bell William A., *New Tracks in North America. A Journal of Travel and Adventure Whilst Engaged in the Survey for Southern Railroad to the Pacific Ocean During 1867–1868*, Albuquerque: Horn and Wallace, 1965

Benton Thomas H., *Thirty Years View. A History of the Working of the American Government, 1820 to 1850, Part Two*, New York: D. Appleton and Company, 1856

Bighorse Tiana, *Bighorse the Warrior*, Tucson: University of Arizona Press, 1990

Blake Michael, *The Holy Road*, New York: Random House, 2001

Bloomberg Nancy J., *Navajo Textiles. The William Randolph Hearst Collection*, Tucson: University of Arizona Press, 1988

Bodine John J., *Taos Pueblo. A Walk through Time*, Santa Fe: Lightning Tree, 1977

Bohrer Vorsila L., Margaret Bergseng, *An Annotated Catalogue of Plants from Window Rock, Arizona*, Window Rock, AZ: Navajoland Publications, 1963

Bowers Janice Emily, *100 Roadside Wildflowers of the Southwest Woodlands*, Tucson: Southwest Parks and Monuments Association, 1987

Brewerton George Douglas, *Overland with Kit Carson. A Narrative of the Old Spanish Trail in '48*, New York: Coward-McCann, 1930

Brown David E., *The Grizzly in the Southwest*, Norman: University of Oklahoma Press, 1985

Brown Dee, *Bury My Heart at Wounded Knee. An Indian History of the American West*, New York: Pocket Books, 1970. [Wydanie polskie: *Pochowaj me serce w Wounded*

Knee. Indiańska historia amerykańskiego Zachodu, przeł. James D. Brenner, Małgorzata Brenner, Ewa Jarzębska, Warszawa 1981]

Brown Kenneth A., *Four Corners. History, Land, and People of the Desert Southwest*, New York: HarperCollins, 1995

Bruchac Joseph, *Navajo Long Walk. The Tragic Story of a Proud People's Forced March from Their Homeland*, Washington, DC: National Geographic Society, 2002

Brugge David M., *The Navajo-Hopi Land Dispute. An American Tragedy*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1994

—, *Navajos in the Catholic Church Records of New Mexico, 1694–1875*, Window Rock, AZ: Research Section, Parks and Recreation Department, The Navajo Tribe, 1968

—, *Zarcillos Largos. Courageous Advocate of Peace*, Window Rock, AZ: Navajo Parks Publications, 1970

Brugge David M., J. Lee Correll, Editha L. Watson, *Navajo Bibliography*, Window Rock, AZ: Navajo Tribal Museum, 1967

Bulow Ernie, *Navajo Taboos*, Gallup, NM: Buffalo Medicine Books, 1991

Caperton Thomas J., LoRheda Fry, *Old West Army Cookbook, 1865–1900* (1974)

Carleton James Henry, *The Battle of Buena Vista*, New York: Harper and Brothers, 1848

Carmony Neil B. [ed.], *The Civil War in Apacheland. Sergeant George Hand's Diary: California, Arizona, West Texas, New Mexico, 1861–1864*, Silver City, NM: High-Lonesome Books, 1996

Carroll Charles, Lynne Sebastian [eds], *Fort Craig: The United States Fort on the Camino Real. Collected Papers of the First Fort Craig Conference*, Socorro, NM: New Mexico Bureau of Land Management, 2000

Carson Kit, *Kit Carson's Autobiography*, edited by Milo Milton Quaife, Lincoln: University of Nebraska Press, 1966

Carson Phil, *Fort Garland Museum. A Capsule History and Guide*, Denver: Colorado Historical Society, 2005

Carter Harvey Lewis, *Dear Old Kit. The Historical Christopher Carson, with a New Edition of the Carson Memoirs*, Norman: University of Oklahoma Press, 1968

Carter Jack L., *Trees and Shrubs of New Mexico*, Boulder, CO: Johnson Books, 1997

Cassidy James J. Jr., Bryce Walker, Jill Maynard, *Through Indian Eyes. The Untold Story of Native American Peoples*, Pleasantville, NY: Reader's Digest Association, 1995

Chaffin Tom, *Pathfinder. John Charles Frémont and the Course of American Empire*, New York: Hill and Wang, 2002

Chavez Fray Angelico, *But Time and Change. The Story of Padre Martinez of Taos, 1793–1867*, Santa Fe: Sunstone Press, 1981

Chronic Halka, *Roadside Geology of New Mexico*, Missoula, MT: Mountain Press, 1987

Clark Bonnie, *The Women of Boggsville*, Denver: Colorado Historical Society

Clark Laverne H., *They Sang for Horses. The Impact of the Horse on Navajo and Apache Folklore*, Tucson: University of Arizona Press, 1966

Clarke Dwight L. [ed.], *The Original Journals of Henry Smith Turner. With Stephen Watts Kearny to New Mexico and California, 1846–1847*, Norman: University of Oklahoma Press, 1966

—, *Stephen Watts Kearny. Soldier of the West*, Norman: University of Oklahoma Press, 1961

Cobos Rubén, *A Dictionary of New Mexico & Southern Colorado Spanish*, Santa Fe: Museum of New Mexico Press, 2003

Colton Ray C., *The Civil War in the Western Territories. Arizona, Colorado, New Mexico, and Utah*, Norman: University of Oklahoma Press, 1959

Connell Evan S., *Son of the Morning Star. Custer and the Little Bighorn*, New York: North Point Press, 1984

Cooke Philip St. George, *Conquest of New Mexico and California in 1846–1848*, Chicago: Rio Grande Press, 1964

Correll J. Lee, *Sandoval. Traitor or Patriot*, Window Rock, AZ: Navajo Nation, 1970

—, *Through White Man's Eyes. A Contribution to Navajo History – A Chronological Record of the Navajo People from the Earliest Times to the Treaty of June 1, 1868*, Window Rock, AZ: Navajo Heritage Center, 1979

Craig Reginald S., *The Fighting Person. A Biography of Col. John M. Chivington*, Tucson: Westernlore Press, 1959

Cremony John C., *Life among the Apaches*, San Francisco: A. Roman Company, 1868

Crosby Molly, *The American Plague. The Untold Story of Yellow Fever, the Epidemic that Shaped our History*, New York: Berkley Hardcover, 2006

Crutchfield James A., *Tragedy at Taos. The Revolt of 1847*, Plano: Republic of Texas Press, 1995

Cullum George W., comp., *Biographical Register of the Officers and Graduates of the United States Military Academy*, Boston: Houghton, Mifflin and Company, 1891

Cutler Bruce, *The Massacre at Sand Creek*, Norman: University of Oklahoma Press, 1995

Dale Edward Everett, *The Indians of the Southwest. A Century of Development under the United States*, Norman: University of Oklahoma Press, 1949

Dary David, *The Santa Fe Trail. Its History, Legends, and Lore*, New York: Penguin Books, 2000

Davis W. W. H., *El Gringo*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1982

Decker Peter R., *„The Utes Must Go!". American Expandon and the Removal of People*, Golden, CO: Fulcrum Publishing, 2004

Del Castillo Richard Griswold, *The Treaty of Guadalupe Hidalgo. A Legacy of Conflict*, Norman: University of Oklahoma Press, 1990

Denton Sally, *American Massacre. The Tragedy at Mountain Meadows, September 1857*, New York: Alfred A. Knopf, 2003

DeVoto Bernard, *The Year of Decision. 1846*, New York: Truman Talley Books, 1942

A Diary of Kit Carson's Navajo Campaign 1863–1864, edited by Raymond Lindgreen, San Marino, CA: Ritch Collection, Huntington Library, 1946

Dobyns Henry F., Robert C. Euler, *The Navajo Indians*, Albuquerque: Center for Anthropological Studies, 1977

Downs James F., *The Navajo*, Prospect Heights, IL: Waveland Press, 1972

Dunlay Tom, *Kit Carson and the Indians*, Lincoln: University of Nebraska Press, 2000

Dunn J. P., *Massacres of the Mountains. A History of the Indian Wars of the Far West*, New York: Harpers, 1886

Durand John, *The Taos Massacres*, Elkhorn, WI: Puzzlebox Press, 2004

Dutton Bertha P., *American Indians of the Southwest*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1983

Dyk Walter, *Son of Old Man Hat. A Navajo Biography*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1938

Edrington Thomas S., John Taylor, *The Battle of Glorieta Pass. A Gettysburg in the West March 26–28, 1862*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1998

Edwards Frank S., *A Campaign in New Mexico*, Readex Microprint, 1966

Eisenhower John S. D., *So Far from God. The U.S. War with Mexico, 1846–1848*, New York: Random House, 1989

Ellis Florence Hawley, *An Anthropological Study of the Navajo Indians*, New York–London: Garland Publishing, 1974

Emory William, *Lieutenant Emory Reports*, edited by Ross Calvin, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1951

Estabrook Emma Franklin, *Givers of Life. American Indians as Contributors to Civilization*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1931

Estergreen Marian Morgan, *Kit Carson. A Portrait in Courage*, Norman: University of Oklahoma Press 1962

Farb Peter, *Man's Rise to Civilization as Shown by the Indians of North America from Primeval Times to the Coming of the Industrial State*, New York: E. P. Dutton, 1968

Faris James C., *Navajo and Photography*, Salt Lake City: University of Utah Press, 2003

Faust Patricia L., *Historical Times Illustrated Encyclopaedia of the Civil War*, New York: Harper & Row, 1986

Fahrenlbach T. R., *Comanches. The History of a People*, New York: Random House, 1974

Fergusson Erna, *Dancing Gods. Indian Ceremonials of New Mexico & Arizona*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1931

Folsom Franklin, *Indian Uprising on the Rio Grande. The Pueblo Revolt of 1680*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1996

Forbes Jack, *Apache, Navaho, and Spaniard*, Norman: University of Oklahoma Press, 1960

Frazier Donald S. [ed.], *The United States and Mexico at War. Nineteenth-Century Expansionism and Conflict*, New York: Simon & Schuster Macmillan, 1998

Frazier Ian, *Great Plains*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 1989

—, *On the Rez*, New York: Ferrar, Straus and Giroux, 2000

Freiberger Harriet, *Lucien Maxwell. Villain or Visionary*, Santa Fe: Sunstone Press, 1999

Frémont Jessie Benton, *The Will and the Way Stories*, Boston: D. Lathrop Company, 1891

Frémont John C., *Memoirs of My Life*, New York: Cooper Square Press, 2001

—, *Report on the Exploring Expedition to the Rocky Mountains. In the Year 1842, and to Oregon and North California in the Years 1843–44*, Santa Barbara: Narrative Press, 2002

Frink Maurice, *Fort Defiance and the Navajos*, Boulder: Pruett Press, 1968

Fugate Francis L., Roberta B. Fugate, *Roadside History of New Mexico*, Missoula, MT: Mountain Press Publishing Company, 1989

Gardner Mark L., *Bent's Old Fort. National Historic Site*, Tucson: Southwest Parks and Monuments Association, 1998

Garrard Lewis H., *Wah-to-yah and the Taos Trail*, Norman: University of Oklahoma Press, 1955

George Isaac, *Heroes and Incidents of the Mexican War. Containing Doniphan's Expedition*, San Bernardino: Borgo Press, 1985

Gerow Peggy A., *Guardian of the Trail. Archaeological & Historical Investigations at Fort Craig*, Santa Fe: Bureau of Land Management 2004

Gerson Noel B., *Kit Carson. Folk Hero and Man*, Garden City: Doubleday, 1964

Gibson George Rutledge, *Journal of a Soldier under Kearny and Doniphan, 1846–1847*, Philadelphia: Porcupine Press, 1974

Gillmor Frances, Louisa Wade Wetherill, *Traders to the Navajos. The Story of the Wetherills of Tayenta*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1953

Gilpin Laura, *The Enduring Navaho*, Austin: University of Texas Press, 1974

Goodman James M., *The Navajo Atlas. Environments, Resources, People, and History of the Diné Bikeyah*, Norman: University of Oklahoma Press, 1986

Goodwin Grenville, *The Social Organization of the Western Apache*, Tucson: University of Arizona Press, 1969

Gordon-McCutchan R. C. [ed.], *Kit Carson. Indian Fighter or Indian Killer?*, Niwot: University Press of Colorado, 1996

Grant Campbell, *Canyon de Chelly: Its People and Rock Art*, Tucson: University of Arizona Press, 1977

Gregg Josiah, *Commerce of the Prairies*, Norman: University of Oklahoma Press, 1954

Guild Thelma S., Harvey L. Carter, *Kit Carson. A Pattern for Heroes*, University of Nebraska Press, 1984

Haile Berard, O. F. M., *Navajo Coyote Tales*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1984

Halaas David Fridtjof, Andrew E. Masich, *Halfbreed. The Remarkable True Story of George Bent*, Cambridge, MA: Da Capo Press, 2004

Haley J. Evetts, *Charles Goodnight Cowman and Plainsman*, Norman: University of Oklahoma Press, 1949

Hall Martin Hardwick, *Sibley's New Mexico Campaign*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 2000

Hané Hwéeldi Baa, *Oral Histories of the Long Walk*, Lake Valley, NM: Lake Valley Navajo School, 1989

Hardwick William, *Authentic Indian-Mexican Recipes*, Fort Stockton, 1993

Hart E. Richard, *Pedro Pino. Governer of Zuni Pueblo, 1830–1878*, Logan: Utah State University Press, 2003

Haynes Sam W., *James K. Polk and the Expansionist Impulse*, New York: Addison Wesley Longman, 2002

Hazen-Hammond Susan, *Timelines of Native American History through the Centuries with Mother Earth and Father Sky*, New York: Berkley Publishing Group, 1997

Heffernan William Joseph, *Edward M. Kern. The Travels of an Artist-Explorer*, Bakersfield, CA: Kern County Historical Society, 1953

Heitman Francis B., *Historical Register and Dictionary of the U.S. Army*, Washington, DC: Government Printing Office, 1965

Henderson Alice Corbin, *Brothers of Light. The Penitentes of the Southwest*, Santa Fe: William Gannon, 1977

Henry Jeanette [ed.], *The Indian Historian*, San Francisco: American Indian Historical Society 1976

Herr Pamela, *Jessie Benton Frémont*, Norman: University of Oklahoma Press, 1987

Herr Pamela, Mary Lee Spence [eds], *The Letters of Jessie Benton Frémont, 1824–1902*, Urbana–Chicago: University of Illinois Press, 1993

Heyman Max L., *Prudent Soldier. A Biography of Major General E. R. S. Canby, 1817–1873*, Glendale: Arthur H. Clark, 1959

Hillerman Tony, *Coyote Waits*, New York: HarperCollins, 1990

—, *Talking God*, New York: HarperCollins, 1989

Hine Robert V., *Edward Kern and the American Expansion*, New Haven, CT: Yale University Press, 1962

Hoffman Virginia, Broderick H. Johnson, *Navajo Biographies*, vols. 1 & 2, Rough Rock, AZ: Navajo Curriculum Center Press, 1974

Hoig Stan, *The Sand Creek Massacre*, Norman: University of Oklahoma Press, 1980

Hordes Stanley M., *To the End of the Earth. A History of the Crypto-Jews of New Mexico*, New York: Columbia University Press, 2005

Horgan Paul, *The Centuries of Santa Fe*, New York: E. P. Dutton, 1965

—, *Great River. The Rio Grande in North American History*, Hanover, NH: University Press of New England, 1984

Houk Rose, *Navajo of Canyon de Chelly*, Tucson: Southwest Parks and Monuments Association, 1995

Hughes John T., *Doniphan's Expedition. Containing an Account of the Conquest of New Mexico*, Chicago: Rio Grande Press, 1962

Hughes Patrick J., *Fort Leavenworth. Gateway to the West*, Newton, KS: Mennonite Press, 2000

Hunt Aurora, *Major General James H. Carleton, 1814–1873*, Glendale: Arthur H. Clark, 1958

Hyde George E., *Life of George Bent, Written from His Letters*, Norman: University of Oklahoma Press, 1968

Irving Washington, *The Adventures of Captain Bonneville. Digested from His Journals*, New York: Stackpole Books, 2001

Iverson Peter, *Diné. A History of the Navajos*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 2002

—, *The Navajo Nation*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1983

Jahoda Gloria, *The Trail of Tears. The Story of the American Indian Removals, 1813–1855*, New York: Wings Books, 1975

James Thomas, *Three Years among the Indians and Mexicans*, Chicago: Rio Grande Press, 1962

Jamison Bill, *Santa Fe. An Intimate View*, Santa Fe: Milagro Press, 1982

Johnson Broderick H. [ed.], *Stories of Traditional Navajo Life and Culture by Twenty-two Navajo Men and Women*, Tsaile AZ: Navajo Community College Press, 1977

Jones Charles [ed.], *Look to the Mountain Top. Contemporary Authors Reveal Our True Indian Heritage*, San Jose: Times Mirror Company, 1972

Josephy Alvin M. Jr., *The Civil War in the American West*, New York: Vintage Books, 1991

Judge James, *New Light on Chaco Canyon*, Santa Fe: School of American Research, 1984

Julyan Robert, *The Place Names of New Mexico*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1972

Kavanagh Thomas W., *The Comanches. A History, 1706–1875*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1996

Keleher William Aloysius, *Turmoil in New Mexico, 1846–1868*, Santa Fe: Rydal Press, 1952

Kelly Klara B., Francis Harris, *Navajo Sacred Places*, Bloomington: Indiana University Press, 1994

Kelly Lawrence C., *Navajo Roundup. Selected Correspondence of Kit Carson's Expedition against the Navajo, 1863–1865*, Boulder: Pruett Press, 1970

Kessell John L., *Kiva, Cross, and Crown. The Pecos Indians and New Mexico, 1540–1840*, Tucson: Southwest Parks and Monuments Association, 1987

Kluckhohn Clyde, Dorothea Leighton, *The Navajo*, Cambridge, MA: Harvard University Press, 1946

Kluckhohn Clyde, Limy Wales Kluckhohn, Willard Williams Hill, *Navajo Material Culture*, Cambridge, MA: Harvard University Press, 1971

Kosik Fran, *Native Roads. The Complete Motoring Guide to the Navajo and Hopi Nations*, Tucson: Rio Nuevo Publishers, 1996

Kupke William A., *The Indian and the Thunderwagon*, Fort Sumner, NM: Fort Sumner State Monument, 1989

La Farge Oliver, *Laughing Boy*, Boston: Houghton Mifflin, 1929

—, *Santa Fe. The Autobiography of a Southwestern Town*, Norman: University of Oklahoma Press, 1959

Lamar Howard R. [ed.], *The New Encyclopedia of the American West*, New Haven, CT: Yale University Press, 1998

Langellier John P., *Redlegs. The U.S. Artillery from the Civil War to the Spanish-American War, 1861–1898*, London: Greenhill Books, 1998

—, *Terrible Swift Sword. Union Artillery, Cavalry and Infantry, 1861–1865*, London: Greenhill Books, 2000

Launius Roger D., *Alexander William Doniphan. Portrait of a Missouri Moderate*, Columbia: University Press of Missouri, 1997

Lauritzen Jonreed, *The Battle of San Pasqual*, New York: G. P. Putnam's Sons, 1968

Lavender David, *Bent's Fort*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1954

—, *Climax at Buena Vista*, Philadelphia: University of Pennsylvania Press, 1966

—, *The Southwest*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1980

Leach Nicky J., *The Guide to National Parks of the Southwest*, Tucson: Southwest Parks and Monuments Association, 1992

Limerick Patricia Nelson, *The Legacy of Conquest. The Unbroken Past of the American West*, New York: W. W. Norton, 1987

Linford Laurance D., *Navajo Places. History, Legend and Landscape*, Salt Lake City: University of Utah Press, 2000

Link Martin A., *Hwelte*, Window Rock, AZ: Navajo Tribal Museum, 1971

Locke Raymond Friday, *The Book of the Navajo*, Los Angeles: Mankind Publishing, 1976

Mabery Marilyne, *El Malpais National Monument*, Tucson Southwest Parks and Monuments Association, 1990

MacCarter Jane Susan, *New Mexico Wildlife Viewing Guide*, 2nd ed., Helena: Falcon Press, n.d.

Magoffin Susan Shelby, *Down the Santa Fe Trail and into Mexico. The Diary of Susan Shelby Magoffin, 1846–1847*, edited by Stella M. Drumm, Lincoln: University of Nebraska Press, 1982

Makepeace Anne, *Edward S. Curtis: Coming to Light*, Washington, DC: National Geographic Society, 2002

Mansfield Joseph K., *Mansfield on the Condition of the Western Forts, 1853–1854*, Norman: University of Oklahoma Press, 1962

Marks Paula Mitchell, *In a Barren Land. American Indian Dispossession and Survival*, New York: William Morrow, 1998

Marszalek John F., *Leaders of the American Civil War. A Biographical and Historical Dictionary*, Westport, CT: Greenwood Press, 1998

Marti Werner H., *Messenger of Destiny. The California Adventures, 1846–1847, of Archibald H. Gillespie, U.S. Marine Corps*, San Francisco: John Howell-Books, 1960

Matthews Washington, *Navajo Legends*, Salt Lake City: University of Utah Press, 1994

Mayes Vernon O., Barbara Bayless Lacy, *Nanise'. A Navajo Herbal Guide. One Hundred Plants from the Navajo Reservation*, Tsaile, AZ: Navajo Community College Press, 1989

McCarthy Cormac, *Blood Meridian*, New York: Vintage Books, 1985

Mclean Kim, *Casa Rinconada*, Tucson: Southwest Parks and Monuments Association, 1995

—, *Chetro Ketl*, Tucson: Southwest Parks and Monuments Association, 1995

—, *Pueblo Bonito*, Tucson: Southwest Parks and Monuments Association, 1996

McMurtry Larry, *The Colonel and Little Missie. Buffalo Bill, Annie Oakley, and the Beginnings of Superstardom in America*, New York: Simon & Schuster, 2005

—, *Oh What a Slaughter. Massacres in the American West, 1846–1890*, New York: Simon & Schuster, 2005

McNeley James Kale, *Holy Wind in Navajo Philosophy*, Tucson: University of Arizona Press, 1981

McNierney Michael [ed.], *Taos 1847. The Revolt in Contemporary Accounts*, Boulder: Johnson Publishing, 1990

McNitt Frank [ed.], *Navaho Expedition. Journal of a Military Reconnaissance from Santa Fe, New Mexico, to the Navaho Country, Masie in 1849 by Lieutenant James H. Simpson*, Norman: University of Oklahoma Press, 1964

McNitt Frank, *The Indian Traders*, Norman: University of Oklahoma Press, 1962

—, *Navajo Wars. Military Campaigns, Slave Raids, and Reprisals*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1972

Maketa Jacqueline Dorgan, *Legacy of Honor. The Life of Rafael Chacón, a Nineteenth-Century New Mexican*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1986

Mendoza Patrick M. *Song of Sorrow. Massacre at Sand Creek*, Denver: Willow Wind Publishing, 1993

Miller Darlis A., *The California Column in New Mexico*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1982

Mindeleff Cosmos, „Navaho Houses”, w: *The Seventeenth Annual Report*, Washington, DC: Bureau of Ethnology, 1897

Mitchell James R., *Gem Trails of New Mexico*, Baldwin Park, CA: Gem Guides, 2001

Mitchell Marie, *The Navajo Peace Treaty of 1868*, New York: Macon and Lipscomb Publishers, 1973

Momaday N. Scott, *House Made of Dawn*, New York: HarperCollins, 1966. [Polskie wydanie: *Dom utkany ze świtu*, przeł. Jadwiga Milnikiel, Warszawa: Książka i Wiedza, 1976]

Moor Lucy, *Into the Canyon. Seven Years in Navajo Country*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 2004

Morand Sheila, *Santa Fe Then and Now*, Santa Fe: Sunstone Press, 1998

Morris Don P., *Early Navajo Sites in Cañon de Chelly*, unpublished manuscript, Tucson: Western Archaeological Center

Moulton Candy, *Everyday Life among the American Indians, 1800 to 1900*, Cincinnati: Writer’s Digest Books, 2001

Murphy Dan, *El Morro National Monument*, Western National Parks Association, 2003

Nabokov Peter, *Indian Running. Native American History & Tradition*, Santa Fe: Ancient City Press, 1981

—, *Native American Testimony*, New York: Penguin Books, 1978

Neihardt John G., *Black Elk Speaks*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1932

Newcomb Franc Johnson, *Hosteen Klah. Navajo Medicine Man and Sand Painter*, Norman: University of Oklahoma Press, 1964

Noble David Grant [ed.], *Houses Beneath the Rock. The Anasazi of Canyon de Chelly and Navajo National Monument*, Santa Fe: Ancient City Press, 1986

Noble David Grant, Richard B. Woodbury, *Zuni and El Morro Past & Present*, Santa Fe: School of American Research, 1993

O’Bryan Aileen, *Navaho Indian Myths*, New York: Dover Publications 1993

Ogle Ralph Hedrick, *Federal Control of the Western Apaches, 1848–1886*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1940

Parkman Francis Jr., *The Oregon Trail*, Oxford: Oxford University Press, 1996

Parsons Elsie Clews, *Taos Tales*, New York: Dover Publications, 1996

Pearce T. M. [ed.], *New Mexico Place Nantes. A Geographical Dictionary*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1965

Pettis capt. George H., *Personal Narratives of the Battles of the Rebellion. Kit Carson's Fight with the Comanche and Kiowa Indians*, Santa Fe: Historical Society of New Mexico, 1908

Pettit Jan, *Utes. The Mountain People*, Boulder: Johnson Books, 1990

Phillips Catharine Coffin, *Jessie Benton Frémont. A Woman Who Made History*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1995

Pike David, *Roadside New Mexico. A Guide to Historic Markers*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 2004

Pratt Boyd C., Dan Scurlock, *Llano, River, and Mountains. The Southeast New Mexico Regional Overview*, vol. 1: *Historic Overview*, Fort Sumner, NM: Fort Sumner State Monument, 1989

Preston Douglas, *Cities of Gold. A Journey across the American Southwest*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1992

—, *The Royal Road. El Camino Real from Mexico City to Santa Fe*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1998

—, *Taking to the Ground. One Family's Journey on Horseback across the Sacred Land of the Navajo*, New York: Simon & Schuster, 1995

Price Peter, *The Battle of San Pasqual Dec. 6, 1846 & the Struggle for California*, San Diego: Pembroke Publishers, 1990

Pritzker Barry M., *A Native American Encyclopedia. History, Culture, and Peoples*, New York: Oxford University Press, 2000

Reid Robert Leonard, *America, New Mexico*, Tucson: University of Arizona Press, 1998

Rittenhouse Jack D., *New Mexico Civil War Biography*, Houston: Stage Coach Press, 1961

Roberts David, *In Search of the Old Ones. Exploring the Anasazi World of the Southwest*, New York: Simon & Schuster, 1996

—, *A Newer World. Kit Carson, John C. Frémont, and the Claiming of the American West*, New York: Simon & Schuster, 2000

—, *Once They Moved Like the Wind. Cochise, Geronimo, and the Apache Wars*, New York: Simon & Schuster, 1993

Robinson Jacob, *Sketches of the Great West. A Journal of the Santa Fe Expedition*, Portsmouth, NH: Portsmouth Journal Press, 1848

Roessel Robert A. Jr., *Pictorial History of the Navajo. From 1860 to 1910*, Rough Rock, AZ: Navajo Curriculum Center, 1980

Roessel Ruth [ed.], *Navajo Stories of the Long Walk Period*, Tsaile, AZ: Navajo Community College Press, 1973

Roosevelt Theodore, *Thomas H. Benton*, New York: Houghton, Mifflin and Company, 1887

Royce Josiah, *California. A Study of the American Character*, Berkeley: Heyday Books, 2002

Rutledge Lee A., *Campaign Clothing. Field Uniforms of the Indian War Army, 1866–1871*, Tustin, CA: North Cape Publications, 1998

Ruxton George Frederick, *Life in the Old West*, edited by LeRoy R. Hafen, Norman: University of Oklahoma Press, 1951

Ryan John P., *Fort Stanton and Its Community*, Las Cruces, NM: Yucca Tree Press, 1998

Sabin Edwin LeGrand, *Kit Carson Days, 1809–1868. Adventures in the Path of Empire*, Chicago: A. C. McClurg, 1914

Salzmann Zdenek, Joy M. Salzmann, *Native Americans of the Southwest. The Serious Traveler's Introduction to Peoples and Places*, Boulder: Westview Press, 1997

Sando Joe S., *Pueblo Profiles. Cultural Identity through Centuries of Change*, Santa Fe: Clear Light Publishers

Sapir Edward, *Navajo Texts*, Iowa City: University of Iowa Press, 1942

Schroeder Albert H., *The Changing Way of Southwestern Indians. A Historic Perspective*, Glorieta, NM: Rio Grande Press, 1973

Scott Bob, *Blood at Sand Creek. The Massacre Revisited*, Caldwell, ID: Caxton Printers, 1994

Seigenthaler John, *James K. Polk*, New York: Henry Holt, 2003

Seymour E. L. D. [ed.], *The Garden Encyclopedia. A Complete, Practical and Convenient Guide to Every Detail of Gardening*, New York: W. H. Wise, 1936

Sherry John W., *Land, Wind, and Hard Words. A Story of Navajo Activism*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 2002

Shinkle James D., *Fifty Years of Roswell History, 1867–1917*, Roswell: Hall-Poorbaugh Press, 1965

—, *Fort Sumner and Basque Redondo Indian Reservation*, Roswell: Hall-Poorbaugh Press, 1965

Shoumatoff Alex, *Legends of the American Desert. Sojourns in the Greater Southwest*, New York: HarperCollins, 1997

Simmons Marc, *Kit Carson and His Three Wives*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 2003

—, *The Last Conquistador. Juan de Oñate and the Settling of the Far Southwest*, Norman: University of Oklahoma Press, 1991

—, *The Little Lion of the Southwest. A Life of Manuel Antonio Chaves*, Athens: University of Ohio Press, 1973

—, *New Mexico. An Interpretive History*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1988

—, *The Old Trail to Santa Fe. Collected Essays*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1996

Simmons Marc, R. C. Gordon-McCutchan, *The Short Truth about Kit Carson and the Indians*, Taos: Columbine Printing, 1993

Simmons Virginia McConnell, *The San Luis Valley. Land of the Six-Armed Cross*, 2nd ed., Niwot, CO: University Press of Colorado, 1999

Smith George Winston, Charles Judah [eds], *Chronicles of the Gringos. The U.S. Army in the Mexican War, 1846–1848. Accounts of Eyewitnesses and Combatants*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1962

Sonnichsen C. L., *The Mescalero Apaches*, Norman: University of Oklahoma Press, 1958

Spicer Edward H., *Cycles of Conquest. The Impact of Spain, Mexico, and the United States on the Indians of the Southwest, 1533–1960*, Tucson: University of Arizona Press, 1962

Stanley F., *E. V. Sumner*, Borger, TX: Jim Hess Printers, 1969

—, *The Jicarilla Apaches of North Mexico*, Pampa, TX: Pampa Print Shop, 1967

Starr Kevin, *Americans and the California Dream, 1850–1915*, New York: Oxford University Press, 1973

Steele Thomas J., Rowena A. Rivera, *Penitente Self-Government. Brotherhoods and Councils, 1797–1947*, Santa Fe: Ancient City Press, 1985

Stegner Page, *Winning the West. The Epic Saga of the American Frontier, 1800–1899*, Hong Kong: Free Press, 2002

Stern Theodore, *The Klamath Tribe. A People and Their Reservation*, Seattle: University of Washington Press, 1965

Stone Irving, *Immortal Wife. The Biographical Novel of Jessie Benton Frémont*, Chicago: Consolidated Book Publishers, 1954

Supplee Charles, Douglas Anderson, Barbara Anderson. *Canyon de Chelly. The Story behind the Scenery*, KC Publications, 1990

Taylor John, *Bloody Valverde. A Civil War Battle on the Rio Grande, February 21, 1862*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1965

Terrell John Upton, *The Navajos*, New York: Weybright and Talley, 1970

The Editors of „National Geographic", *The World of the American Indian*, Washington, DC: National Geographic Society, 1974

Theisen Gerald, *A Study Guide to New Mexico History*, Santa Fe: Museum of New Mexico Press

Thomas David Hurst, *Skull Wars. Kennewick Man, Archaeology, and the Battle for Native American Identity*, New York: Basic Books, 2000

Thompson Gerald E., *The Army and the Navajo. The Bosque Redondo Reservation Experiment, 1863–1868*, Tucson: University of Arizona Press, 1976

—, *Edward F. Beale & the American West*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1983

Thrapp Dan L., *The Conquest of Apacheria*, Norman: University of Oklahoma Press, 1967

Thybony Scott, *Canyon de Chelly National Monument*, Tucson: Western National Parks Association, 1997

—, *The Hogan. The Traditional Navajo Home*, Tucson: Western National Parks Association, 1999

Tiller Veronica E. Velarde, *The Jicarilla Apache Tribe*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1983

Tilton Henry R., *The Last Days of Kit Carson*, Grand Forks: Holt Printing Company, 1939

Trafzer Clifford E., *Anglo Expansionists and Navajo Raiders. A Conflict of Interests*, Tsaile, AZ: Navajo Community College Press, 1978

—, *Navajos and Spaniards*, Tsaile, AZ: Navajo Community College Press, 1978

Turner Frederick W., III. *The Portable North American Indian Reader*, New York: Viking Press, 1973

Twitchell Ralph Emerson, *The Story of the Conquest of Santa Fe, New Mexico, and the Building of Old Fort Marcy*, Santa Fe: Historical Society of New Mexico, 1929

Underhill Ruth M., *The Navajos*, Norman: University of Oklahoma Press, 1956

Utley Robert M., *Fort Union National Monument*, Washington, DC: National Park Service, 1962

—, *The Indian Frontier of the American West, 1846–1890*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1984

—, *A Life Wild and Perilous. Mountain Men and the Paths to the Pacific*, New York: Henry Holt, 1997

Utley Robert, Wilcomb E. Washburn, *Indian Wars*, Boston: Houghton Mifflin, 1977

Van Valkenburgh Richard, *Diné Bikéyah*, Window Rock, AZ: Department of the Interior, 1941

Vestal Stanley, *Kit Carson. The Happy Warrior of the Old West*, Boston: Houghton Mifflin, 1928

—, *The Old Santa Fe Trail*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1939

Waldman Carl, *The North American Indian*, New York: Checkmark Books, 1985

Wall Leon, William Morgan, *Navajo-English Dictionary*, New York: Hippocrene Books, 1958

Wallace Ernest, E. Adamson Hoebel, *The Comanches. Lords of the South Plains*, Norman: University of Oklahoma Press, 1952

Ward Geoffrey C., *The West. An Illustrated History*, Boston: Little, Brown, 1996

Waters Frank, *The Book of the Hopi*, New York: Ballantine Books, 1970

Weber David J., *On the Edge of Empire. The Taos Hacienda of Los Martinez*, Santa Fe: Museum of New Mexico Press, 1996

—, *Richard H. Kern. Expeditionary Artist in the Far Southwest, 1848–1853*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1985

Weigle Marta, *The Penitentes of the Southwest*, Santa Fe: Ancient City Press, 1970

Wenger Gilbert R., *The Story of Mesa Verde National Park*, Mesa Verde National Park, CO: Mesa Verde Museum Association, 1980

Werner Michael S., *Encyclopedia of Mexico. History, Society & Culture*, Chicago: Fitzroy Dearborn Publishers, 1997

White John Manchip, *Everyday Life of the American Indian*, New York: Holmes & Meier Publishers, 1979

White Lonnie T., *Chronicle of a Congressional Journey. The Doolittle Committee in the Southwest, 1865*, Boulder: Pruett Publishing, 1865

White William, *Encyclopedia of Civil War Biographies*, Armonk, NY: Sharpe Reference, 2000

Wilson Chris, *The Myth of Santa Fe. Creating a Modern Regional Tradition*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1997

Wilson John P., *Fort Sumner, New Mexico*, Portales: Museum of New Mexico Monuments Division

Wilson John Philip, *Military Campaigns in Navajo Country, Northwestern New Mexico, 1800–1846*, Santa Fe: Museum of New Mexico Press, 1973

Wissler Clark, *Indians of the United States*, New York: Doubleday, 1940

Zolbrod Paul G., *Diné Bahané. The Navajo Creation Story*, Albuquerque: University of New Mexico Press, 1984

Zollinger Norman, *Meridian. A Novel of Kit Carson's West*, New York: Forge Books, 1998

Artykuły monografie, listy i inne prace

Abel Annie Heloise, *Indian Affairs in New Mexico under the Administration of William Carr Lane. From the Journal of John Ward*, „New Mexico Historical Review" 16 (kwiecień 1941): 206–232.

Amsden Charles, *The Navajo Exile at Bosque Redondo*, „New Mexico Historical Review" 8 (styczeń 1933): 31–52

Bancroft Hubert H., *The Works of Hubert Howe Bancroft*, „History of Arizona and New Mexico" (1890): 17

Barbour Barton H., *Kit Carson and the "Americanization" of New Mexico*, „New Mexico Historical Review" 77 (2) (wiosna 2002): 115

Bender A. B., *Frontier Defense in the Territory of New Mexico, 1846–1853*, „New Mexico Historical Review" 9 (3) (lipiec 1934)

—, *Frontier Defense in the Territory of New Mexico, 1853–1861*, „New Mexico Historical Review" 9 (4) (październik 1934)

—, *Military Posts in the Southwest*, „New Mexico Historical Review" 16 (2) (kwiecień 1941)

Benton Thomas H., *Domestic Politics. The Tariff and Slavery*, „American Statesmen" (1972)

Brewer Sallie Pierce, *The Long Walk to Bosque Redondo as Told by Peshlakai Etsidi*, „Museum of Northern Arizona Museum Notes" 9 (11) (maj–czerwiec 1937): 55–62

Brown Sharon A., Josina Martinez, *Long Walk News*, „National Park Service Study News" (2003)

Brugge David M., *Documentary Reference to a Navajo Naach'id in 1840*, „Ethnohistory" 10 (2) (1963)

Carson Alvar W., *Hispanic Settlements on Indian Land*, „El Palacio" 85 (1) (1979)

Castel Albert, *The Life of a Rising Son, Pt. 1: The Failure*, „Civil War Times" 4 (lipiec 1979)

—, *The Life of a Rising Son, Pt. 2: The Subordinate*, „Civil War Times" 12 (sierpień 1979)

—, *The Life of a Rising Son, Pt. 3: The Conqueror*, „Civil War Times" 10 (wrzesień 1979)

Chaput Donald, *Generals, Indian Agents, Politicians. The Doolittle Survey of 1865*, „Western Historical Quarterly" 3 (lipiec 1972): 269–282

Commissioner of Indian Affairs, „Appropriation for the Navajo Indians", House Executive Document 1, 40th Cong., 2d sess.

—, „Annual Report of the Commissioner of Indian Affairs", Washington, DC: Government Printing Office, 1865

—, „Annual Report of the Commissioner of Indian Affairs", Washington, DC: Government Printing Office, 1866

—, „Annual Report of the Commissioner of Indian Affairs", Washington, DC: Government Printing Office, 1867

Correll J. Lee, *Ganado Mucho – Navajo Naat'aani*, „Navajo Times" (30 listopada 1967): 24–27

Danziger Edmund J., *The Steck-Carleton Controversy in Civil War New Mexico*, „Southwestern Historical Quarterly" 74 (2) (październik 1970): 189–203

Fort Canby, *Memorandum of Events at Fort Canby September 9–12 1863*, Records of United States Army Continental Commands (1821–1920)

Fort Defiance, *Reminiscences of Fort Defiance New Mexico, 1860*, „Journal of the Military Service Institution of the U.S." (1883): 14

Gardner Mark L., *Tragedy in Taos. Bloody Rebellion of 1847 Haunts New Mexico's History*, „New Mexico Magazine" (październik 2000): 32

Gregory Herbert E., *The Navajo Country a Geographic and Hydrogeographic Reconnaissance of Parts of Arizona, New Mexico, and Utah*, „U.S. Geological Survey Professional Paper" (1916): 93

Greiner John, *Private Letters of a Government Official in the Southwest*, „Journal of American History" 3 (1909): 551–554

Gwyther George A., *An Indian Reservation*, „Overland Monthly" (grudzień 1970): 10

Heib Louis A., *Alexander M. Stephen and the Navajos*, „New Mexico Historical Review" 79 (3) (lato 2004): 353

Heyman Max L., *On the Navajo Trail. The Campaign of 1860–1861*, „New Mexico Historical Review" 26 (styczeń 1951): 44–64

Hutton Paul, *Why Is This Man Forgotten?*, „True West: Celebrating the American West" (marzec 2006): 24

Jenkins Myra Ellen, Ward Allen Minge, *Record of Navajo Activities Affecting the Acoma–Laguna Area, 1746–1910*, New Mexico State Records Center and Archives (manuskrypt), 1974

Jett Stephen C., *The Destruction of the Navajo Orchards in 1864: Captain John Thompson's Report*, „Arizona and the West" 16 (zima 1974): 365–378

Kappler Charles J. [ed.], *Indian Laws and Treaties II*, Senate Executive Document 452, 57th Cong., 1st sess.

Kelly Lawrence C., *Where Was Fort Canby?*, „New Mexico Quarterly Review" 42 (styczeń 1967): 49–62

Kemrer Meade, Donald Graybill, *Navajo Warfare and Economy, 1750–1868*, „Western Canadian Journal of Anthropology" 2 (1) (1974)

Kessel John L., *General Sherman and the Navajo Treaty of 1868. A Basic Expedient Misunderstanding*, „Western Historical Quarterly" 12 (lipiec 1981): 251–272

Lindgren Raymond E. [ed.], *A Diary of Kit Carson's Navaho Campaign, 1863–1864*, „New Mexico Historical Review" (lipiec 1946): 226–246

Lyon William H., *History Comes to the Navajos. A Review Essay*, „American Indian Culture and Research Journal" 11 (3) (1987): 75–92

Magers Pamela C., *Settlement in Cañon del Muerto*, nieopublikowana rozprawa doktorska, Tucson: University of Arizona, 1976

Mangiante Rosal, *History of Fort Defiance, 1851–1900*, nieopublikowana praca magisterska, Tucson: University of Arizona, 1950

Mangum Neil C., *Old Fort Wingate in the Navajo War*, „New Mexico Historical Review" 66 (październik 1991): 393–412

Mann Charles C., *1491*, „Atlantic Monthly" 289 (3) (marzec 2002): 41

Marino C. C., *The Seboyetanos and the Navahos*, „New Mexico Historical Review", n.d.

Matson Daniel S., Albert H. Schroeder [eds], *Cordero's Description of the Apache. 1796*, „New Mexico Historical Review", n.d.

McNitt Frank, *Fort Sumner. A Study in Origins*, „New Mexico Historical Review" 45 (kwiecień 1970): 101–117

Miller Darlis A., *General James Henry Carleton in New Mexico*, praca magisterska, Las Cruces: New Mexico State University, 1970

—, Los Piños, *New Mexico: Civil War Post on the Rio Grande*, „New Mexico Historical Review" 62 (styczeń 1987): 1–32

Moody Marshall D., *Kit Carson, Agent to the Indians in New Mexico, 1853–1861*, „New Mexico Historical Review" 28 (styczeń 1953): 1–20

Morris Earl H., *Exploring the Canyon of Death*, „National Geographic" 48 (1925): 263–300

Murphy Lawrence R., *Master of the Cimarron: Lucien B. Maxwell*, „New Mexico Historical Review" 55 (1) (styczeń 1980)

—, *Rayado. Pioneer Settlement in Northeastern New Mexico, 1848–1857*, „New Mexico Historical Review", XLVI: 1

Navajo People, *Removal of the Navajo and Ute Indians*, House Executive Document 308, 40th Cong., 2d sess.

Neary John, *It's Hard to Believe One Man Held Sway over All This Land*, „Smithsonian" (lipiec 1995): 44

Niederman Sharon, *Ol' Max Evan. Writing the Western Wave*, „Crosswinds Weekly" (październik 2004): 12

Osburn Katherine Marie Birmingham, *The Navajo at Bosque Redondo. Cooperation, Resistance, and Initiative, 1864–1868*, „New Mexico Historical Review" 60 (październik 1985): 399–413

Reeve Frank D., *Albert Franklin Banta. Arizona Pioneer, Part II*, „New Mexico Historical Review" 17 (lipiec 1952): 200–252

—, *Early Navajo Geography*, „New Mexico Historical Review" 31 (październik 1956): 290–309

—, *Federal Indian Policy in New Mexico, 1858–1880*, „New Mexico Historical Review" 12, 13, 14 (lipiec 1937–lipiec 1938)

—, *The Government and the Navajos, 1846–1858*, „New Mexico Historical Review" 14 (lipiec 1939): 82–114

—, *Navajo Foreign Affairs, 1795–1846*, „New Mexico Historical Review" 46, 47 (kwiecień–czerwiec 1971): 101–132, 223–251

—, *Navajo–Spanish Wars, 1680–1720*, „New Mexico Historical Review" 33 (lipiec 1958): 205–232

—, *A Navajo Struggle for Land*, „New Mexico Historical Review" 21 (styczeń 1946): 1–21

Reminiscences of Early Days in New Mexico „Albuquerque Evening Herald", 11 czerwca 1922

Reynolds Gretchen, *No Bed, No Breakfast*, „Metropolis" (listopad 1999): 134

Rister Carl Coke, *Harmful Practices of Indian Traders of the Southwest, 1865–1876*, „New Mexico Historical Review" 6 (lipiec 1931): 231–248

Roberts David, *The Long Walk to Bosque Redondo*, „Smithsonian" (grudzień 1997): 46

Russell Inez, *Filling in the Blanks the Winners Left Empty*, „Taos Revistado" (2 lutego 2006)

—, *State's Collective Conscience Comes Clean about Long Walk*, „Santa Fe New Mexican", czerwiec 2005, B1, B4

Salmon Roberto M., *The Disease Complaint at Bosque Redondo*, „Indian Historian" 9 (3) (1976)

Schroeder Albert H., *Navajo and Apache Relationships West of the Rio Grande*, „El Palacio" 7 (3) (jesień 1963): 5–23

Secretary of War, *Letter from the Secretary of War Relative to the Unsuitableness of the Bosque Redondo Reservation*, House Executive Document 248, 40th Cong., 2d sess.

Simmons Marc, *A Good Deed by Carson Went Largely Unnoticed*, „Santa Fe New Mexican", C1, C5

—, *Horse Race at Fort Fauntleroy. An Incident of the Navajo Wars*, „La Gaceta" 5 (3) (1970)

—, *Navajos Have Long History of Rich Lore*, „Santa Fe New Mexican", 29 listopada 2003, B1, B5

—, *The Tragic, Controversial „Long Walk" of the Navajos*, „Santa Fe New Mexican", B1, B4

Smalling Wes, *The Long Walk*, „Santa Fe New Mexican", 25 września 2005, C1, C3

Spano Susan, *Trails of the Ancients. Navajos Weave Hues of Land into Famed Rugs*, „The Commercial Appeal", 16 czerwca 2002, P1, F4

Stewart Ronald D., *An Adobe Post on the Pecos*, „El Palacio" (1971): 4

Sunseri Alvin R., *Sheep Ricos. Sheep Fortunes in the Aftermath of the American Conquest, 1846–1861* (n.p.; 1977): 1

Taylor Morris, *Ka-ni-ache*, „Colorado Magazine" 43 (1966–1967): 275–302

Thompson Gerald E., *To the People of New Mexico, General Carleton Defends the Bosque Redondo*, „Arizona and the West" 14 (zima 1972): 347–366

Thompson John, *The Destruction of Navajo Orchards in 1864*, „Arizona and the West" 16 (4) (zima 1974): 365

Tietz Jeff, *Fine Disturbances. To Track Someone, You Have to Learn How to See*, „The New Yorker", 29 listopada 2004

Trafzer Clifford E., *Defeat of the Lords of New Mexico. The Navajo-Apache Wars*, „Military History of Texas and the Southwest" 9 (1971): 215–225

—, *Mr. Lincoln's Army Fights the Navajos, 1862–1864*, „Lincoln Herald" 77 (1975): 148–158

—, *Politicos and Navajos*, „Journal of the West" (1974): 13

United States, *Senate Report No. 64*, 31st Cong., 1st sess. Washington, DC: Government Printing Office, 1850

—, *Proceedings of the Great Peace Commission of 1867–1868*, Washington, DC: Institute for the Development of Indian Law, 1975

—, *Treaty Between the United States of America and the Navajo Tribe of Indians, With a Record of the Discussions That Led to Its Signing*, Las Vegas: KC Publications, 1868

—, Joint Special Committee, *Condition of the Indian Tribes. Report of the Joint Special Committee Appointed Under Joint Resolution of March 3, 1865 with an Appendix*, Washington, DC: Government Printing Office, 1867

Unrau William E., *The Civil War Career of Jesse Henry Leavenworth Montana*, „Magazine of Western History" 12 (kwiecień 1962): 74–83

Usher John P., *Report on the Navajo Indians*, House Executive Document 65, 38th Cong., 1st sess.

Van Valkenburgh Richard, *Captain Red Shirt*, „New Mexico Magazine" (lipiec 1940): 44–45

—, *Navajo Naataani*, „The Kiva" (styczeń 1948): 13

Waldrip William I., *New Mexico during the Civil War*, „New Mexico Historical Review" 28 (lipiec–październik 1953): 163–182, 251–290

Walker Henry P., *Soldier in the California Column. The Diary of John W. Teal*, „Arizona and the West" 13 (wiosna 1971): 33–82

Wallen Henry Davis, *Prisoners without Walls*, „El Palacio" 74 (1) (wiosna 1967)

Watkins T. H., *Hawk High over Four Corners*, „National Geographic" 190 (3) (1996): 80

Widdison Jerold Gwayn, *Historical Geography of the Middle Rio Puerco Valley, New Mexico*, „New Mexico Historical Review" 34 (październik 1959): 248–284

Witherspoon Gary, *Sheep in Navajo Culture and Social Organization*, „American Anthropologist" 75 (5) (1973)

Woodard Arthur, *Sidelight on Fifty Years of Apache Warfare*, „Arizoniana" (jesień 1960): 2

Worchester Donald E., *The Navajo during the Spanish Regime in New Mexico*, „New Mexico Historical Review" 26 (kwiecień 1951): 101–118

Zollinger Norman, *Ambushed. The Late 20th Century Attack on Kit Carson*, „Book Talk: New Mexico Book League" 27 (3) (lipiec 1998)

Podziękowania

Poniższe muzea i miejsca historyczne okazały się niezwykle pomocne w zbieraniu materiałów do mojej książki: Kit Carson Home and Museum w Taos w Nowym Meksyku; Hacienda de los Martinez w Taos; Bosque Redondo Memorial w Fort Sumner w Nowym Meksyku; Navajo Nation Museum and Library w Window Rock w Arizonie; Canyon de Chelly National Monument w Chinle w Arizonie; Bent's Old Fort National Historical Site w La Junta w Kolorado; Sutter's Fort State Historic Park w Sacramento w Kalifornii; Frontier Army Museum w Fort Leavenworth w Kansas; oraz Narodowe Muzeum Amerykańskich Indian w Waszyngtonie.

Odbyłem sześć podróży do niezwykłego rezerwatu Nawahów. Odwiedzając go, korzystałem z gościnności i pomocy naukowej zaoferowanej mi przez rodzinę Roesselów – Ruth, Boba i Mary – którzy, wśród wielu innych uprzejmości, zaprosili mnie na odbywaną chyba w najzimniejszych okolicznościach przyrody ceremonię *Yeibichei*. Chcę też podziękować wspaniałemu Adamowi Tellerowi, zawodowemu przewodnikowi i tłumaczowi, tradycyjnemu nawahijskiemu gawędziarzowi, który był tak miły, że oprowadził mnie konno, pieszo i samochodem terenowym po kanionie De Chelly.

Sporo zawdzięczam też badaczom amerykańskiego Zachodu (zarówno zawodowym naukowcom, jak i amatorom) i o kilku z nich chciałbym wspomnieć. Największym erudytą i najbardziej płodnym z tych zajmujących się Południowym Zachodem jest bez wątpienia Marc Simmons. Jestem też wdzięczny Howardowi Lamarowi, który pozostaje szarą eminencją wszystkich badań nad Zachodem i był dziekanem mojego college'u w Yale. Bezcennym źródłem informacji okazał się John Farr z Muzeum Kita Carsona. Podobnie Scott Smith z Muzeum Bosque Redondo, z którym nikt nie może się równać wiedzą na temat literatury dotyczącej Długiego Marszu. Jestem również wdzięczny Johnowi Carsonowi, prawnukowi Kita Carsona

i nieformalnemu stróżowi tradycji rodzinnej, który wygląda (jeśli mogę dodać) jak sobowtór samego Kita.

Dziękuję Dave’owi Byrnesowi i całej ekipie CD Café, dzięki którym przetrwałem wiele ponurych godzin i którzy zostawiali mnie w spokoju, kiedy siedziałem na swoim idealnie szkaradnym szczynowożółtym tanim krześle. Wielkie dzięki dla wszystkich w Yaddo za ratujące życie i pracowite stypendium. Jestem również wdzięczny wielkiemu, świętej pamięci Shelby’emu Foote’owi, pierwszemu pisarzowi, którego poznałem jako dzieciak dorastający w Memphis. Nauczył mnie, jak powinno się pisać popularną książkę historyczną.

Przez lata pozostawałem pod życzliwą opieką redaktorów magazynu „Outside”, którzy na wiele sposobów ułatwiali mi napisanie tej książki. Szczególnie dziękuję Halowi Espenowi, Mary Turner, Alexowi Heardowi i Jayowi Stowe’owi.

Dwoje moich przyjaciół i kolegów po fachu – Kevin Fedarko i Laura Hohnhold – starannie przeczytało wczesne wersje książki i udzieliło mi wielu wnikliwych rad. Wśród innych czytelników, którzy nie szczędzili mi krytycznych uwag, chciałbym wymienić Dennisa Romero, Davanta Lathama, Willa Hobbsa, Joe’ego i Mary Neihardtów oraz Macka i Marnie Goodwinów.

Miałem szczęście korzystać z pomocy nadzwyczajnej Alyssy Brandt, która była moją asystentką badawczą i *chargé d’affaires* we wczesnej fazie prac nad książką – bez niej bym sobie nie poradził. Wśród innych osób, które pomagały mi w różnych momentach pracy, byli: Grayson Schaffer, Kevin Kennedy, Jason Nyberg, Link Sides, Michael Gerber i Charles Bethea. Robin Wiener, Verena Schwarz i Munson Hunt pomogli mi w podtrzymywaniu ogniska domowego, za co jestem im wdzięczny. Dziękuję Christine Pride z wydawnictwa Doubleday, która wielokrotnie rzucała mi koło ratunkowe.

I wreszcie dziękuję Sloanowi Harrisowi, mojemu wielbiącemu krzykliwe koszule przyjacielowi, który był mi mądrym doradcą i druhem podczas męczących bólów porodowych; nieustraszonemu Billowi Thomasowi z Doubleday, który widzi to, czego inni nie dostrzegają; a także mojej wspaniałej rodzinie – Griffinowi, Grahamowi, McCallowi i Annie

Wszechmogącej, z którymi ciągle powtarzamy: Oby czasy były dobre, a dobroć na czas.

Przypisy końcowe

Prolog: Tętent koni

[1] Clarke, *Stephen Watts Kearny: Soldier of the West*, s. 144.

[2] Informacje dotyczące najazdu na Las Vegas znajdują się w kilku dziennikach pisanych przez żołnierzy Armii Zachodu, w tym w pamiętniku Emory'ego *Lieutenant Emory Reports*, s. 49.

[3] Opisy nawahijskich rajdów, broni oraz strojów wojennych znajdują się w książce Underhilla *The Navajos*, s. 76-78 oraz w książce Kluckhohna i Leighton *The Navajo*, s. 34–41.

[4] Bailey, *The Long Walk*, s. 3.

KSIĘGA PIERWSZA: LUDZIE PRZYSZŁOŚCI

1 Skok w bok

[5] Vestal, *Kit Carson. The Happy Warrior of the Old West*, s. 119.

[6] Brewerton, *Overland with Kit Carson*, s. 64–65.

[7] Garrard, *Wah-to-yah and the Taos Trail*, s. 181.

[8] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 21.

[9] Tamże, s. 341.

[10] Carson, *Kit Carson's Autobiography*, s. 52.

[11] Tamże, s. 101.

[12] Tamże, s. 95.

[13] „Kansas City Star", 13 września 1952.

[14] Guild i Carter, *Kit Carson. A Pattern for Heroes*, s. 10.

[15] Carson, *Autobiography*, s. 5.

[16] Tamże, s. 4.

[17] „Kansas City Star", 13 września 1952.

[18] Sabin, *Kit Carson Days*, t. 1, s. 12.

[19] Carson, *Autobiography*, s. 5.

[20] Lavender, *Bent's Fort*, s. 98.

[21] Vestal, *Kit Carson: The Happy Warrior of the Old West*, s. 49.

[22] Lavender, *Bent's Fort*, s. 81.

[23] Tamże, s. 46.

[24] Vestal, *Kit Carson*, s. 61.

[25] Irving, *Adventures of Captain Bonneville*, s. 69.

[26] Vestal, *Kit Carson*, s. 70.

[27] Carson, *Autobiography*, s. 10.

[28] Vestal, *Kit Carson*, s. 47.

2 Kraina światła

[29] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 164; Underhill, *The Navajos*, s. 4.

[30] McNitt, *Navajo Wars*, s. 6.

[31] Tamże, s. 15.

[32] Iverson, *Diné. A History of the Navajos*, s. 28.

[33] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 164; Underhill, *The Navajos*, s. 182.

[34] McNitt, *Navajo Wars*, s. 28.

[35] Tamże, s. 6

[36] Tamże, s. 90.

[37] Locke, *The Book of the Navajo*, s. xi.

[38] Preston, *Talking to the Ground*, s. 165-169.

[39] Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 313.

[40] Świetne kompendium informacji na temat tego, czego Nawahom wolno i nie wolno było robić, zawiera książka Ernie'ego Bulowa *Navajo Taboos*.

[41] Underhill, *The Navajos*, s. 60.

[42] Lavender, *Bent's Fort*, s. 156.

[43] Underhill, *The Navajos*, s. 38.

[44] Tamże, s. 23.

[45] Paul Zolbrod, *Diné Bahané: The Navajo Creation Story*.

[46] Preston, *Talking to the Ground*, s. 70.

[47] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 34; Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 201.

[48] Underhill, *The Navajos*, s. 79.

3 Armia Zachodu

[49] Clarke, *Stephen Watts Kearny. Soldier of the West*, s. 110.

[50] Hughes, *Doniphan's Expedition. Containing an Account of the Conquest of New Mexico*, s. 28.

[51] Tamże, s. 29.

[52] Robinson, *Sketches of the Great West. A Journal of the Santa Fe Expedition*, s. 15.

[53] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 30.

[54] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 81.

[55] Tamże, s. 66.

[56] Hunt, *Major General James H. Carleton, 1814–1873*, s. 93.

[57] Lavender, *Bent's Fort*, s. 166.

[58] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 38.

[59] Tamże, s. 73.

[60] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 102.

[61] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 391.

[62] Gibson, *Journal of a Soldier under Kearny and Doniphan*, s. 243.

[63] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 103.

[64] Tamże, s. 75.

[65] Tamże, s. 13.

[66] Tamże, s. 17.

4 Śpiewająca Trawa

[67] Sabin, *Kit Carson Days*, t. 1, s. 258.

[68] Carson, *Autobiography*, s. 42.

[69] Simmons, *Kit Carson and His Three Wives*, s. 14.

[70] Carson, *Autobiography*, s. 43.

[71] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 71.

[72] Carson, *Autobiography*, s. 43.

[73] Tamże, s. 44.

[74] „Washington Daily Union", 15 czerwca 1847.

[75] Simmons, *Kit Carson and His Three Wives*, s. 14.

[76] Lavender, *Bent's Fort*, s. 188; Vestal, *Kit Carson*, s. 128.

[77] Vestal, *Kit Carson*, s. 127.

[78] Tamże.

[79] Tilton, *The Last Days of Kit Carson*, s. 5.

[80] Lavender, *Bent's Fort*, s. 60.

[81] Carson, *Autobiography*, s. 65.

[82] Frémont, *Memoirs of My Life*, s. 74.

[83] Vestal, *Kit Carson*, s. 132.

[84] Carter, *Dear Old Kit*, s. 77.

[85] Lavender, *Bent's Fort*, s. 200–201.

[86] Vestal, *Kit Carson*, s. 179.

[87] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 76.

[88] Lavender, *Bent's Fort*, s. 220; Vestal, *Kit Carson*, s. 184.

[89] Simmons, *Kit Carson and His Three Wives*, s. 40.

[90] Tamże, s. 47.

[91] Tamże, s. 44.

5 Turkusowa Góra

[92] Mam ogromny dług wdzięczności wobec Virginii Hoffman, która wspaniale opisała życie Narbony w swoim dwutomowym dziele *Navajo Biographies*, t. 1, s. 17-35.

[93] Sapir, *Navajo Texts*, s. 279–281; Locke, *The Book of the Navajo*, s. 24.

[94] Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 203.

[95] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 18.

[96] Tamże; Dyk, *Son of Old Man Hat*.

[97] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 29; Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 96.

[98] Preston, *Talking to the Ground*, s. 74.

[99] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 20.

[100] Chronic, *Roadside Geology of New Mexico*; Julyan, *The Place Names of New Mexico*; Baars, *Navajo Country. A Geology and Natural History of the Four Corners Region*.

[101] Preston, *Talking to the Ground*, s. 37; Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 182.

[102] Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 311.

[103] Underhill, *The Navajos*, s. 83.

[104] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 20.

[105] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 161.

[106] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 20.

[107] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 23.

[108] Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 237.

[109] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 22; Underhill, *The Navajos*, s. 9.

[110] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 20.

[111] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 32.

[112] Simmons, *The Little Lion of the Southwest*, s. 31.

[113] Tamże.

6 Kim jest James K. Polk?

[114] Eisenhower, *So Far from God*; Frazier [ed.], *The United States and Mexico at War*; Smith i Judah [eds.], *Chronicles of the Gringos*.

[115] Seigenthaler, *James K. Polk*, s. 21.

[116] Tamże.

[117] Haynes, *James K. Polk and the Expansionist Impulse*, s. 19.

[118] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 131.

[119] Frazier, *The United States and Mexico at War*, s. 487.

[120] DeVoto, *The Year of Decision. 1846*, s. 26.

[121] Tamże, s. 38.

[122] Seigenthaler, *James K. Polk*, s. 131–132.

[123] Tamże, s. 214.

[124] Roosevelt, *Thomas H. Benton*, s. 319.

[125] Tamże, s. 47, 83, 221, 223, 235, 286.

[126] Tamże, s. 297.

[127] Chaffin, *Pathfinder: John Charles Frémont and the Course of American Empire*, s. 86.

7 Dzikość życia

[128] Vestal, *Kit Carson*, s. 104.

[129] Roberts, *A Newer World*, s. 114.

[130] Frémont, *Memoirs of My Life*, s. 74.

[131] Carson, *Autobiography*, s. 66.

[132] Chaffin, *Pathfinder*, s. 122.

[133] Tamże, s. 95.

8 Władcza ręka Opatrzności

[134] Robinson, *Sketches of the Great West. A Journal of the Santa Fe Expedition*, s. 11.

[135] Tamże.

[136] Clarke, s. 117.

[137] Robinson, *Sketches of the Great West*, s. 10.

[138] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 112.

[139] Robinson, *Sketches of the Great West*, s. 12.

[140] Magoffin, *Down the Santa Fe Trail and into Mexico, The Diary of Susan Magoffin*, s. 43.

[141] Lavender, *Bent's Fort*, s. 141.

[142] Tamże, s. 146-147, 171, 254.

[143] Magoffin, *Diary*, s. 66.

[144] Tamże.

[145] Tamże, s. 68.

[146] Tamże.

[147] Tamże, s. 69.

[148] Tamże.

9 Odkrywca

[149] Chaffin, *Pathfinder*, s. 168.

[150] Tamże, s. 180, 248.

[151] Tamże, s. 199.

[152] Carson, *Autobiography*, s. 79-81.

[153] Brewerton, *Overland with Kit Carson*, s. 66.

[154] Lavender, *Bent's Fort*, s. 55.

[155] Tamże, s. 118.

[156] Frémont, *Memoirs*, s. 427.

[157] Frémont, *The Exploring Expedition to the Rocky Mountains*, s. 15.

[158] Frémont, *Memoirs*, s. 374.

[159] Tamże.

[160] Tamże.

[161] Tamże.

[162] Carson, *Autobiography*, s. 126-127.

10 Kiedy ziemia choruje

[163] Rozdział oparłem głównie na opisie życia Narbony autorstwa Virginii Hoffman zawartym w książce *Navajo Biographies*, s. 17–35, oraz na dziele Franka McNitta *Navajo Wars*, s. 66–91.

[164] Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 155.

[165] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 7.

[166] Tamże, s. 189.

[167] James, *Three Years among the Indians and Mexicans*, s. 164–166.

11 Wcale nie Alamo

[168] Chaffin, *Pathfinder*, s. 254.

[169] Tamże, s. 283.

[170] Royce, *California. A Study of the American Character*, s. 44; DeVoto, *The Year of Decision*, s. 111–114.

[171] Tamże, s. 288.

[172] Frémont, *Memoirs*, s. 460.

[173] Marti, *Messenger of Destiny*, s. 1–49.

[174] Frémont, *Memoirs*, s. 488.

12 Wszystko naprawimy

[175] Opis wejścia Armii Zachodu do Las Vegas oparłem na pamiętnikach i źródłach z pierwszej ręki autorstwa głównie Emory'ego, Gibsona, Edwardsa, Robinsona i Hughesa.

[176] Magoffin, *Diary*, s. 92.

[177] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 49-51.

[178] Tamże, s. 51; Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 135.

13 Przełęcz Narbony

[179] Gregg, *Commerce of the Prairies*, s. 200.

[180] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 25.

[181] Gregg, *Commerce of the Prairies*, s. 200.

[182] McNitt, *Navajo Wars*, s. 74.

[183] Tamże.

[184] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 192.

14 Pierwotna cisza

[185] Frémont, *Memoirs*, s. 490.

[186] Carson, *Autobiography*, s. 98.

[187] Tamże, s. 78.

[188] Chaffin, *Pathfinder*, s. 313.

[189] Carson, *Autobiography*, s. 97.

[190] Tamże.

[191] Frémont, *Memoirs*, s. 492.

[192] Tamże.

[193] Tamże.

15 Na ołtarzu ojczyzny

[194] Opis ucieczki gubernatora Armijo z Kanionu Apaczów oparłem na opowieściach żołnierzy obecnych na miejscu oraz na dokumentach cytowanych w książce Williama Kelehera *Turmoil in New Mexico*, a także w *The Story of the Conquest of Santa Fe* Ralpha Emersona Twitchella.

[195] George Ruxton zacytowany przez DeVoto w *The Year of Decision*, s. 276.

[196] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 105.

[197] Horgan, *Great River. The Rio Grande in North American History*, s. 720.

[198] Tamże, s. 719.

[199] Keleher, *Turmoil in New Mexico*, s. 10.

[200] Horgan, *Great River*, s. 720.

16 Perfekcyjna rzeź

[201] Frémont, *Memoirs*, s. 492.

[202] Carson, *Autobiography*, s. 101.

[203] Tamże, s. 100.

[204] Roberts, *A Newer World*, s. 161-162.

[205] Carson, *Autobiography*, s. 102.

[206] Tamże, s. 104.

[207] Frémont, *Memoirs*, s. 495.

17 Ogień Montezumy

[208] DeVoto, *The Year of Decision*, s. 272.

[209] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 105.

[210] Simmons, *New Mexico. An Interpretive History*, s. 124.

18 Czyńcie swoją powinność, Carson

[211] Chaffin, *Pathfinder*, s. 331.

[212] Royce, *California*, s. 51–52.

[213] Tamże, s. 48.

[214] Frémont, *Memoirs*, s. 520.

[215] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 120.

[216] Tamże, s. 121.

[217] Chaffin, *Pathfinder*, s. 354.

[218] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 121–122.

[219] Roberts, *A Newer World*, s. 172.

[220] Chaffin, *Pathfinder*, s. 354.

[221] Carson, *Autobiography*, s. 108.

19 Oczy jak sztylety

[222] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 55.

[223] Tamże, s. 58.

[224] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 204.

[225] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 56.

[226] Edwards, *A Campaign in New Mexico*, s. 45.

[227] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 205.

[228] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 91.

[229] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 205.

[230] Horgan, *Great River*, s. 728.

[231] Keleher, *Turmoil in New Mexico*, s. 15.

[232] Tamże, s. 16.

[233] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 86.

[234] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 56.

[235] „Weekly Reveille" z 28 września 1846; cyt. w: Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 205.

20 Ludzie o uszach do kostek

[236] Sapir, *Navajo Texts*

[237] Tamże.

[238] Tamże.

[239] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 16-19; Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 109.

[240] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 49.

21 Kompletna ruina

[241] O dzwonach bijących ciągle w Santa Fe wspominają prawie wszystkie żołnierskie pamiętniki, m.in. Edwards, *Campaign in New Mexico*, s. 64; Horgan, *Great River*, s. 730; Magoffin, *Diary*, s. 103.

[242] Magoffin, *Diary*, s. 124.

[243] Tamże, s. 123.

[244] Tamże, s. 95.

[245] Tamże, s. 150.

[246] Tamże, s. 120.

[247] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 93.

[248] Cooke, *Conquest of New Mexico and California*, s. 49–50.

[249] Edwards, *Campaign in New Mexico*, s. 52.

[250] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 224.

[251] Edwards, *Campaign in New Mexico*, s. 52.

[252] Lavender, *Bent's Fort*, s. 131.

[253] Tamże, s. 136.

[254] DeVoto, *The Year of Decision*, s. 267.

[255] Edwards, *Campaign in New Mexico*, s. 76.

[256] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 94.

[257] Magoffin, *Diary*, s. 125.

[258] Tamże, s. 106.

[259] DeVoto, *The Year of Decision*, s. 330.

[260] Magoffin, *Diary*, s. 114.

[261] DeVoto, *The Year of Decision*, s. 332.

[262] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 98.

[263] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 210.

[264] Magoffin, *Diary*, s. 140.

[265] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 128.

[266] Magoffin, *Diary*, s. 110.

[267] Tamże, s. 111.

22 Nowi Ludzie

[268] Kupke, *The Indian and the Thunderwagon*.

[269] McNitt, *Navajo Wars*, s. 110.

KSIĘGA DRUGA: ZŁAMANY KRAJ

23 Ponury metronom

[270] Edwards, *Campaign in New Mexico*, s. 70.

[271] Tamże, s. 51.

[272] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 260.

[273] Tamże, s. 230.

[274] Magoffin, *Diary*, s. 115.

[275] Keleher, *Turmoil in New Mexico*, s. 71.

[276] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 182.

[277] Simmons, *The Little Lion of the Southwest*, s. 35.

[278] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 169.

[279] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 273.

[280] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 170.

[281] Carson, *Autobiography*, s. 109.

24 Władcy gór

[282] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 169.

[283] Robinson, *Sketches of the Great West*, s. 36.

[284] Tamże, s. 35.

[285] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 175.

[286] McNitt, *Navajo Wars*, s. 108.

[287] Robinson, *Sketches of the Great West*, s. 36–37.

[288] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 29; Locke, *The Book of the Navajo*, s. 205.

[289] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 170.

[290] Robinson, *Sketches of the Great West*, s. 38.

[291] Meldunek kapitana Reida zacytowany w: Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 170–172.

25 Droga do piekła

[292] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 114.

[293] Lavender, *Bent's Fort*, s. 289.

[294] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 522.

[295] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 98.

[296] Clarke, *The Original Journals*, s. 90–91.

[297] Clarke, *Soldier of the West*, s. 185.

[298] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 108.

[299] Clarke, *The Original Journals*, s. 106.

[300] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 155.

[301] Clarke, *The Original Journals*, s. 90.

[302] Tamże, s. 108.

[303] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 138.

[304] Tamże, s. 151.

[305] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 526.

[306] Clarke, *The Original Journals*, s. 96–97.

[307] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 189.

[308] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 148.

[309] Vestal, *Kit Carson*, s. 234.

[310] Carson, *Autobiography*, s. 111.

[311] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 200.

[312] Tamże, s. 202.

26 Czerwone dzieci

[313] Hughes, *Doniphan's Expedition*, s. 177.

[314] Tamże, s. 177.

[315] McNitt, *Navajo Wars*, s. 118.

[316] Tamże, s. 122.

27 Zimna stal

[317] Opis bitwy pod San Pasqual oparłem na następujących źródłach: *The Battle of San Pasqual* Jonreeda Lauritzena, *The Battle of San Pasqual Dec. 6, 1846 & the Struggle for California* Price'a, *Lieutenant Emory Reports* Emory'ego, *The Original Journals* Clarke'a, *Messenger of Destiny* Martiego, *Stephen Watts Kearny* Clarke'a oraz *Autobiography* Carsona.

[318] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 203.

[319] Carson, *Autobiography*, s. 112.

[320] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 208.

[321] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 153.

[322] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 208.

[323] Marti, *Messenger of Destiny*, s. 97.

[324] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 531.

[325] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 216.

[326] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 170.

[327] Carson, *Autobiography*, s. 115.

[328] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 171.

[329] Clarke, *The Original Journals*, s. 130.

[330] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 172.

[331] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 537.

[332] Tamże, s. 538.

[333] DeVoto, *The Year of Decision*, s. 370.

[334] Gerson, *Kit Carson: Folk Hero and Man*, s. 139–140.

[335] Carson, *Autobiography*, s. 116.

[336] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 173.

[337] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 228.

[338] Emory, *Lieutenant Emory Reports*, s. 175.

[339] Clarke, *Stephen Watts Kearny*, s. 235.

28 „El Crepusculo"

[340] Gibson, *Journal of a Soldier*, s. 242; Edwards, *Campaign in New Mexico*, s. 48.

[341] Weber, *On the Edge of Empire. The Taos Hacienda of Los Martinez*; Chavez, *But Time and Change. The Story of Padre Martinez of Taos, 1793–1897.*

[342] Hordes, *To the End of the Earth. A History of the Crypto-Jews of New Mexico*.

[343] Weigle, *The Penitentes of the Southwest*; Steele i Rivera, *Penitente Self-Government: Brotherhoods and Councils, 1797–1947*.

[344] Lavender, *Bent's Fort*, s. 107.

[345] Tamże, s. 298.

[346] Opis masakry w Taos oparłem na wielu źródłach. Wśród najlepszych są: Crutchfield, *Tragedy at Taos. The Revolt of 1847*; Durand, *The Taos Massacres*; McNierney, *Taos. 1847. The Revolt in Contemporary Accounts*.

[347] Niepublikowane wspomnienia Teresiny Bent, których egzemplarz zdobyłem w księgarni znajdującej się w domu Bentów w Taos.

[348] Tamże.

[349] Lavender, *Bent's Fort*, s. 64.

[350] McNierney, *Taos. 1847*, s. 58.

[351] Bodine, *Taos Pueblo: A Walk through Time*.

[352] McNierney, *Taos. 1847*, s. 50.

[353] Horgan, *Great River*, s. 767.

[354] McNierney, *Taos. 1847*, s. 67.

[355] Garrard, *Wah-to-yah and the Taos trail*, s. 187.

[356] Tamże, s. 194.

[357] Tamże, s. 197.

[358] Tamże, s. 198.

29 Amerykański Hermes

[359] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 557.

[360] Tamże, s. 567.

[361] Chaffin, *Pathfinder*, s. 139.

[362] Benton, *Thirty Years View. A History of the Working of the American Government, 1820 to 1850*, s. 718.

[363] Tamże.

[364] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 60–61; Simmons, *Kit Carson and His Three Wives*, s. 77.

30 Zemsty dopełnienie

[365] Herr i Spence, *The Letters of Jessie Benton Frémont*, s. xviii.

[366] Tamże, s. 25.

[367] Tamże, s. xxiii.

[368] Tamże, s. xviii.

[369] Gerson, *Kit Carson. Folk Hero and Man*, s. 143.

[370] Sylwetkę Beale'a zaczerpnąłem z dzieła Thompsona *Edward F. Beale and the American West*.

[371] Wydanie „Washington Union" z 15 czerwca 1847.

[372] Herr, *Jessie Benton Frémont*, s. 152–153; Frémont, *Will and the Way Stories*, s. 39-42.

[373] Seigenthaler, *James K. Polk*, s. 121.

[374] Tamże, s. 103.

[375] Gerson, *Kit Carson. Folk Hero and Man*, s. 144-145.

[376] Tamże.

31 Złamana kraina

[377] Keleher, *Turmoil in New Mexico*, s. 52.

[378] Tamże, s. 53.

[379] Tamże, s. 45.

[380] Opis wyposażenia i uzbrojenia ekspedycji Washingtona oparłem głównie na wstępie Fanka McNitta do *Navaho Expedition*, s. lxvi-lxix.

[381] McNitt, wstęp do *Navaho Expedition*, s. lx.

[382] Tamże.

[383] Weber, *Richard Kern. Expeditionary Artist in the Far Southwest*, s. 122.

[384] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 54; Weber, *Richard Kern*, s. 24.

[385] Weber, *Richard Kern*, s. 116.

[386] McNitt, wstęp do *Navaho Expedition*, s. xxxii.

[387] Więcej o cierpieniach osoby chorej na żółtą febrę można przeczytać w dziele *American Plague* Molly Crosby.

[388] Vestal, *Kit Carson. The Happy Warrior*, s. 150.

[389] Weber, *Richard Kern*, s. 39.

[390] Roberts, *A Newer World*, s. 213.

[391] Weber, *Richard Kern*, s. 45.

[392] DeVoto, *The Year of Decision*, s. 341.

[393] Weber, *Richard Kern*, s. 67.

[394] McNitt, *Navaho Expedition*, s. 10.

[395] Tamże, s. 18.

[396] Tamże, s. 15.

[397] Tamże, s. 24.

[398] Tamże, s. 70.

[399] Tamże, s. 25.

[400] Tamże, s. 29.

[401] Preston, *Talking to the Ground*, s. 56.

[402] Weber, *Richard Kern*, s. 88.

[403] McNitt, *Navaho Expedition*, s. 39, 47.

[404] Preston, *Talking to the Ground*, s. 56–58, 268–278.

[405] Opis powstania i upadku kultury Anasazi zaczerpnąłem głównie z: Judge, *New Light on Chaco Canyon*; Roberts, *In Search of the Old Ones*; Preston, *Talking to the Ground*.

[406] Preston, *Talking to the Ground*, s. 269.

32 Najwspanialsza głowa, jaką widziałem

[407] McNitt, *Navaho Expedition*, s. 62.

[408] Tamże, s. 63.

[409] McNitt, *Navajo Wars*, s. 143.

[410] McNitt, *Navaho Expedition*, s. 67.

[411] Tamże, s. 63.

[412] Tamże, s. 66.

[413] Underhill, *The Navajos*, s. 99.

[414] McNitt, *Navajo Wars*, s. 145.

[415] Weber, *Richard Kern*, s. 96.

33 Węzeł śmierci

[416] Sapir, *Navajo Texts*, s. 431; Locke, *The Book of the Navajo*, s. 15.

[417] Tamże, s. 118, 247.

[418] Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 227.

[419] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 32; Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 100.

[420] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 30; Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 34.

[421] Sapir, *Navajo Texts*, s. 431; Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 34.

[422] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 29.

[423] Tamże, s. 10.

[424] Po zniszczeniu przedmioty zmarłego nazywano własnością ducha – Sapir, *Navajo Texts*, s. 431.

[425] Tamże.

34 Ludzie bez oczu

[426] Grant, *Canyon de Chelly. Its People and Rock Art*, s. 3.

[427] McNitt, *Navaho Expedition*, s. 73.

[428] Tamże, s. 70.

[429] Tamże, s. 78.

[430] Weber, *Richard Kern*, s. 96.

[431] McNitt, *Navaho Expedition*, s. 75.

[432] Tamże, s. 86.

[433] Tamże, s. 86-87.

[434] Tamże, s. 88-89.

[435] Tamże, s. 93.

[436] Weber, *Richard Kern*, s. 102.

[437] McNitt, *Navaho Expedition*, s. 95.

[438] Tamże, s. 96.

[439] Tamże, s. 92.

[440] Grant, *Canyon de Chelly*, s. 153-268.

[441] Opis masakry z 1805 roku oparłem na następujących pozycjach: McNitt, *Navajo Wars*; Grant, *Canyon de Chelly*, s. 84–89; Underhill, *The Navajos*, s. 72–73.

[442] McNitt, *Navajo Wars*, s. 150-151.

[443] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 25.

[444] Kluckhohn i Leighton, *The Navajo*, s. 253–293.

[445] McNitt, *Navaho Expedition*, s. 100.

35 Krew i burza

[446] Dary, *The Santa Fe Trail. Its History, Legends, and Lore*, s. 201.

[447] Tamże, s. 207.

[448] William Davis, *El Gringo*, s. 251.

[449] DeVoto, *The Year of Decision*, s. 250.

[450] Lavender, *Bent's Fort*, s. 203.

[451] Freiberger, *Lucien Maxwell. Villain or Visionary*; Murphy, *Master of the Cimarron*.

[452] Tamże.

[453] Carson, *Autobiography*, s. 130.

[454] Murphy, *Rayado*.

[455] Eisenhower, *So Far from God*.

[456] DeVoto, *The Year of Decision*, s. 214.

[457] Drexter, *Guilty of Making Peace. A Biography of Nicholas P. Trist*, s. 139.

[458] Lavender, *Bent's Fort*, s. 338–339.

[459] Ruxton, *In the Old West*, s. 286–287.

[460] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 13.

[461] Brewerton, *Overland with Kit Carson*, s. 38.

[462] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 191.

[463] Tamże, s. 10.

[464] Averill, *Kit Carson: The Prince of the Gold Hunters*, s. 26.

[465] Tiller, *The Jicarilla Apache.*

[466] Tamże, s. 5.

[467] Keleher, *Turmoil in New Mexico*, s. 71.

[468] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 136–137.

[469] Tamże.

[470] Carson, *Autobiography*, s. 133.

[471] Tamże.

[472] Averill, *Kit Carson: The Prince of the Gold Hunters*, s. 98.

[473] Carson, *Autobiography*, s. 135.

[474] Tamże.

[475] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 140.

KSIĘGA TRZECIA: ZABÓJCA POTWORÓW

36 Straszne czasy

[476] Frink, *Fort Defiance and the Navajos*, s. 47.

[477] Zeznanie Nicholasa Hodta w *Condition of the Indian Tribes. Report of the Joint Special Committee*, s. 314.

[478] Lavender, *Bent's Fort*, s. 156.

[479] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 343.

[480] McNitt, *Navajo Wars*, s. 267; Underhill, *The Navajos*, s. 103–111.

[481] Davis, *El Gringo*, s. 411–412.

[482] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 99.

[483] McNitt, *Navajo Wars*, s. 325.

[484] Frink, *Fort Defiance and the Navajos*, s. 51; Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 100; McNitt, *Navajo Wars*, s. 380.

[485] Hoffman, *Navajo Biographies*, s. 93.

[486] Tamże, s. 90.

[487] Tamże, s. 91.

[488] Tamże, s. 88.

[489] Więcej o masakrze pod fortem Fauntleroy: McNitt, *Navajo Wars*, s. 422; Simmons, *The Little Lion of the Southwest*, s. 165; Simmons, *Horse Race at Fort Fauntleroy: An Incident of the Navajo War* w piśmie „La Gaceta" 5 (3) (1970).

[490] Zeznanie Nicholasa Hodta w *Condition of the Indian Tribes*, s. 314.

[491] Sylwetkę Manuela Chavesa stworzyłem na podstawie dzieła *The Little Lion of the Southwest* Marca Simmonsa.

[492] Tamże, s. 38-42.

[493] Zeznanie Nicholasa Hodta w *Condition of the Indian Tribes*, s. 314.

[494] Tamże.

37 Ludzie spod samotnej gwiazdy

[495] Opis bitwy pod Valverde oparłem głównie na następujących źródłach: Taylor, *Bloody Valverde. A Civil War Battle on the Rio Grande*; Heyman, *Prudent Soldier. A Biography of Major General E. R. S. Canby*; Josephy, *The Civil War in the American West*; Carroll i Sebastian [eds.], *Fort Craig. The United States Fort on the Camino Real*; Hall, *Sibley's New Mexico Campaign*.

[496] Hall, *Sibley's New Mexico Campaign*, s. 38.

[497] Taylor, *Bloody Valverde*, s. 105.

[498] Tamże, s. 25.

[499] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 229.

[500] Tamże, s. 232.

[501] Tamże, s. 233.

[502] Hall, *Sibley's New Mexico Campaign*, s. 40.

[503] Frazier, „Long Marches and Short Rations" w: Carroll i Sebastian, *Fort Craig*, s. 102.

[504] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 687.

[505] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 201.

[506] Davis, *El Gringo*, s. 232.

[507] Josephy, *The Civil War in the American West*, s. 60.

[508] Thompson, *Desert Tiger. Captain Paddy Graydon and the Civil War in the Far Southwest*.

[509] Taylor, *Bloody Valverde*, s. 39.

[510] Tamże, s. 50.

[511] Josephy, *The Civil War in the American West*, s. 69.

[512] Taylor, *Bloody Valverde*, s. 70.

[513] Meketa, *Legacy of Honor. The Life of Rafael Chacon*, s. 175.

[514] Tamże, s. 338.

38 Synowie jakiejś matuli

[515] Hall, *Sibley's New Mexico Campaign*, s. 74.

[516] Edrington i Taylor, *The Battle of Glorieta Pass*, s. 115.

[517] Hall, *Sibley's New Mexico Campaign*, s. 81.

[518] Craig, *The Fighting Parson*, s. 40.

[519] Josephy, *The Civil War in the American West*, s. 77.

[520] Tamże, s. 80.

[521] Simmons, *The Little Lion of the Southwest*, s. 184.

[522] Edrington i Taylor, *The Battle of Glorieta Pass*, s. 95.

[523] Tamże, s. 89.

[524] Josephy, *The Civil War in the American West*, s. 85.

[525] Edrington i Taylor, *The Battle of Glorieta Pass*, s. 107.

[526] Hall, *Sibley's New Mexico Campaign*, s. 132.

[527] Tamże, s. 150.

[528] Tamże, s. 135.

39 Okrągły Las

[529] Thompson, *The Army and the Navajo. The Bosque Redondo Reservation Experiment, 1863-1868*, s. 10.

[530] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 267.

[531] Hunt, *Major General James H. Carleton, 1814–1873*, s. 146.

[532] Sonnichsen, *The Mescalero Apaches*, s. 97.

[533] Sylwetkę Carletona zaczerpnąłem głównie z: Hunt, *James H. Carleton*.

[534] Tamże, s. 28.

[535] Tamże, s. 31.

[536] Tamże, s. 71.

[537] Tamże, s. 85.

[538] Tamże, s. 91.

[539] Carleton, *The Battle of Buean Vista*, s. 56.

[540] Tamże, s. 158.

[541] Carson, *Autobiography*, s. 142.

[542] Tamże, s. 143.

[543] Tamże.

[544] Tamże, s. 144.

[545] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 168.

40 Obrócić w pył

[546] Bagley, *Blood of the Prophets*; Denton, *American Massacre*; Dunn, *Massacres of the Mountains.*

[547] Carleton, *Special Report on the Massacre at Mountain Meadows*, s. 36.

[548] Tamże, s. 34.

[549] Tamże, s. 39.

[550] Thompson, *Edward F. Beale and the American West*, s. 56.

[551] Tamże.

[552] Tamże, s. 65.

[553] Tamże.

[554] Carleton, „To the People of New Mexico", 16 grudnia 1864.

[555] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 14.

[556] Tamże, s. 28.

[557] Tamże.

[558] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 237.

[559] Tamże, s. 262.

[560] Sonnichsen, *The Mescalero Apaches*, s. 110.

[561] Tamże, s. 113.

[562] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 247.

[563] Zeznania Carsona spisane w: *Condition of the Indian Tribes*, s. 96-98.

[564] Tamże.

[565] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 186.

[566] Tamże.

41 Rozkaz Numer Piętnaście

[567] Bailey, *Bosque Redondo*, s. 38.

[568] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 18.

[569] Pełna treść „Rozkazu ogólnego numer piętnaście": tamże, s. 22.

[570] Tamże, s. 35.

[571] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 279.

[572] Lindgren [ed.], *A Diary of Kit Carson's Navajo Campaign, 1863–1864*, „New Mexico Historical Review" (lipiec 1946): 226–246.

[573] Tamże, s. 229.

[574] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 278.

[575] Lindgren, „A Diary of Kit Carson's Navajo Campaign", s. 230.

[576] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 278.

[577] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 42.

[578] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 291.

[579] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 15.

[580] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 283.

[581] Tamże, s. 290.

[582] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 69-70.

42 Skalna Forteca

[583] Roessel [ed.], *Navajo Stories of the Long Walk Period*, s. 127.

[584] Roberts, *A Newer World*, s. 266.

[585] Roessel, *Navajo Stories of the Long Walk Period*, s. 45.

[586] Hunt, *James H. Carleton*, s. 284.

[587] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 95.

[588] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 294.

[589] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 104.

[590] Tamże.

[591] Tamże.

[592] Roessel, *Navajo Stories of the Long Walk Period*, s. 45.

[593] Tamże, s. 43-51.

[594] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 104.

[595] Odwiedzając kanion De Chelly, usłyszałem dwie, odrobinę różniące się od siebie wersje tej historii. Pisze o niej także Roberts w: *A Newer World*, s. 268.

[596] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 98.

[597] Tamże.

[598] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 297.

[599] Tamże, s. 296.

[600] Bailey, *Bosque Redondo*, s. 55.

[601] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 108.

[602] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 344.

[603] Tamże.

43 Długi Marsz

[604] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 369.

[605] Hunt, *James H. Carleton*, s. 282.

[606] Kelly, *Navajo Roundup*, s. 128.

[607] Hunt, *James H. Carleton*, s. 304.

[608] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 319.

[609] Tamże, s. 320.

[610] Tamże, s. 323.

[611] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 61.

[612] Hunt, *James H. Carleton*, s. 338.

[613] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 81.

[614] Tamże, s. 92.

[615] Tamże, s. 57.

44 Adobe Walls

[616] Pettis, *Kit Carson's Fight with the Comanche and Kiowa Indians*, „Historical Society of New Mexico" 12 (1908): 7.

[617] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 325.

[618] Tamże, s. 327.

[619] Tamże, s. 341.

[620] Lavender, *Bent's Fort*, s. 167; Vestal, *Kit Carson*, s. 108-111.

[621] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 329.

[622] Pettis, *Kit Carson's Fight*, s. 11.

[623] Tamże, s. 21.

[624] Tamże, s. 19.

[625] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 332.

[626] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 746.

[627] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 334.

[628] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 744.

[629] Guild i Carter, *Kit Carson: A Pattern for Heores*, s. 255.

[630] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 748.

[631] Hoig, *The Sand Creek Massacre*; Mendoza, *Song of Sorrow: Massacre at Sand Creek*; Bob Scott, *Blood at Sand Creek*; Cutler, *The Massacre at Sand Creek*.

[632] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 391.

45 Dobrostan plemion

[633] Hunt, *James H. Carleton*, s. 282.

[634] Tamże, s. 280.

[635] Tamże, s. 285.

[636] Tamże, s. 280.

[637] Locke, *The Book of the Navajo*, s. 369.

[638] Tamże.

[639] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 118.

[640] Sonnichsen, *The Mescalero Apaches*, s. 8.

[641] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 80.

[642] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 346.

[643] Zeznanie Carsona w: *Condition of the Indian Tribes*, s. 96–98.

[644] Tamże.

[645] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 158.

[646] Tamże, s. 122.

[647] Tamże, s. 131.

46 Droga przez czyściec

[648] Simmons, *Kit Carson and His Three Wives*, s. 140.

[649] Tilton, *The Last Days of Kit Carson*, s. 7.

[650] Tamże, s. 6.

[651] Simmons, *Kit Carson and His Three Wives*, s. 130.

[652] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 388.

[653] Simmons, *Kit Carson and His Three Wives*, s. 144.

[654] Tamże, s. 128.

[655] Tamże, s. 133.

[656] Tamże, s. 137.

[657] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 406.

[658] Tamże, s. 415.

[659] Tamże, s. 407.

[660] Frémont, *The Will and the Way Stories, s. 46-47.*

[661] Tamże.

[662] Tilton, *The Last Days of Kit Carson*, s. 5.

[663] Simmons, *Kit Carson and His Three Wives*, s. 142.

[664] Tilton, *The Last Days of Kit Carson*, s. 7.

[665] Tamże.

[666] Sabin, *Kit Carson Days*, s. 805.

Epilog: W pięknie idziemy

[667] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 152.

[668] Dunlay, *Kit Carson and the Indians*, s. 418.

[669] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 140.

[670] Opis rozmowy Shermana z Barboncitem oparłem na: *Proceedings of the Great Peace Commission of 1867–1868*, s. 121–124.

[671] Tamże.

[672] Tamże.

[673] Thompson, *The Army and the Navajo*, s. 140.

Przypisy

[1] Cyt. za: Henry David Thoreau, *Sztuka chodzenia, czyli o wolności i dzikości*, przeł. Piotr Madej, Kraków: Wydawnictwo Miniatura, 2001, s. 13 [o ile nie zaznaczono inaczej, przypisy dolne pochodzą od tłumacza].

[2] *Thar* (ang.) – zniekształcone *there* (tam); *har* – zniekształcone *hinge* (strona świata); *ain't* – zniekształcone *are not* (nie jestem, nie są, używane odpowiednio we wszystkich osobach; *yonder* – tam daleko; *thataway* – zbitka *that way* (tamtędy); *crick* – strzelić (w karku, plecach); *I reckon so* – jak sądzę.

[3] George Armstrong Custer – oficer kawalerii USA, zasłynął w walkach z Indianami. Razem z dowodzonymi przez siebie żołnierzami Siódmego Pułku Kawalerii zginął z rąk Dakotów w bitwie nad rzeką Little Bighorn w Montanie w 1876 roku.

Philip Sheridan – amerykański generał, dowodził pacyfikacjami Indian na Wielkich Równinach na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku. Przypisuje mu się autorstwo powiedzenia „dobry Indianin to martwy Indianin".

Andrew Jackson – prezydent USA w latach 1829–1837. Zaproponował, wspierał i podpisał Ustawę o przesiedleniu Indian [Indian Removal Act] z 1830 roku, zezwalając tym samym na przesiedlenie plemion zamieszkujących południowo-wschodnie rejony USA do rezerwatów w dzisiejszej Oklahomie.

[4] Daniel Boone – amerykański traper i podróżnik (1734–1820), człowiek pogranicza, przedarł się przez Appalachy i założył pierwszą białą osadę na terytorium dzisiejszego stanu Kentucky.

[5] W 1803 roku USA kupiły od Francji Terytorium Luizjany – ziemie położone w środkowej części Ameryki Północnej – dwukrotnie powiększając powierzchnię kraju.

[6] *Lick* (ang.) – lizać. Zwierzęta lubią lizać sól. Dostarczają sobie w ten sposób minerały.

[7] Włóki – konstrukcja zbudowana z kijów, na której – ciągniętej za koniem albo psami – można przewozić dobytek.

[8] James Knox Polk (1795–1849) – w latach 1845–1849 jedenasty prezydent USA, wygrał wybory pod hasłem przyłączenia Teksasu do Unii. Udało mu się to już w pierwszym roku prezydentury. Po wojnie z Meksykiem, rozpoczętej w 1846 roku i zakończonej dwa lata później podpisaniem traktatu w Guadalupe Hidalgo, terytorium USA spuchło o jedną trzecią, powiększając się o dzisiejszą Kalifornię, Nevadę, Utah, większość Arizony, Nowy Meksyk, a także sporą część Kolorado, Teksasu oraz fragment Wyoming.

[9] *E pluribus unum* (łac.) – z wielu jedno; hasło widniejące w godle USA.

[10] Henry Dodge (1782–1867) i Henry Leavenworth (1783–1834) – amerykańscy oficerowie i politycy, którzy zasłynęli podczas wojen z Indianami. Leavenworth założył Fort Leavenworth.

[11] William Clark (1770–1838) – w latach 1803–1806 razem z Meriwetherem Lewisem poprowadził słynną ekspedycję przez Terytorium Luizjany do wybrzeża Pacyfiku.

[12] South Pass – Przełęcz Południowa – to właściwie dwie przełęcze znajdujące się na wysokości 2259 i 2300 m n.p.m. w dzisiejszym stanie Wyoming. W XIX wieku były to główne „wrota", którymi amerykańscy osadnicy przedostawali się przez dział wodny Gór Skalistych.

[13] Oglalowie – jeden z siedmiu odłamów Lakotów, spokrewnionych z Nakotami i Dakotami. Te trzy sprzymierzone ze sobą plemiona były zbiorczo zwane przez białych Siuksami.

[14] Ulysses S. Grant (1822–1885) – amerykański generał, głównodowodzący wojskami Unii podczas wojny secesyjnej, osiemnasty prezydent USA.

[15] James Madison (1751–1836) – czwarty prezydent USA.

[16] Shiprock – „skała statek" – piękny twardzielec (formacja zbudowana ze skał twardszych niż otoczenie i dlatego odporniejszych na erozję) wznoszący się na blisko pięćset metrów ponad otaczającą go pustynną równinę w dzisiejszym rezerwacie Nawahów w Nowym Meksyku.

[17] Na fladze Teksasu widnieje jedna biała gwiazda.

[18] Partia Wigów – w dziewiętnastowiecznych Stanach Zjednoczonych partia opozycyjna wobec Demokratów. W połowie wieku zanikła i oddała pola nowo powstałej Partii Republikańskiej.

[19] John Quincy Adams (1767–1848) – szósty prezydent USA.

[20] Autor nawiązuje tutaj do hymnu amerykańskiej piechoty morskiej, który zaczyna się od słów „*From the Halls of Montezuma…*", odnoszących się do zwycięstwa amerykańskich wojsk nad Meksykanami broniącymi twierdzy Chapultepec w stolicy Meksyku we wrześniu 1847 roku.

[21] Transcendentalizm – stawiający na indywidualizm dziewiętnastowieczny nurt filozoficzny w USA.

[22] Kompromis Missouri podzielił USA na stany i terytoria nieuznające niewolnictwa i na takie, które mogły korzystać z pracy niewolników.

[23] Był to spis wszystkich procesów dotyczących zbrodni przeciwko państwu.

[24] Daniel Webster (1782–1852) – amerykański polityk, kongresmen i senator.

[25] Chodzi o Theodore'a Roosevelta (1858–1919), dwudziestego szóstego prezydenta USA.

[26] Szlak Oregoński – jeden z głównych szlaków osadniczych w historii USA. Osadnicy pokonywali nim w krytych wozach blisko trzy i pół tysiąca kilometrów. Biegł z St. Louis przez Przełęcz Południową w Górach Skalistych aż do wybrzeża Pacyfiku w dzisiejszym stanie Oregon.

[27] Teoria nullifikacji – według niej poszczególne stany miały prawo uznać federalne akty prawne za niebyłe, jeśli, zdaniem stanów, naruszały one konstytucję USA.

[28] Antonio Lopéz de Santa Anna (1794–1876) – generał i wieloletni prezydent Meksyku.

[29] Grupa Donnerów – podążająca na zachód wyprawa kilkudziesięciu osadników spędziła w Sierra Nevada zimę na przełomie 1846 i 1847 roku. Żeby przetrwać, jej członkowie musieli jeść ciała towarzyszy zmarłych z głodu i wycieńczenia.

[30] Wyd. pol. R. H. Dana *Dwa lata pod żaglami 1834–1836*, przeł. Tadeusz Meissner, Maria Boduszyńska, Kraków: Tomasz Wyczarski Wydawnictwo Sel, 2012. Książka jest relacją Dany

z podróży morskiej na trasie Massachusetts–Kalifornia–Massachusetts, podczas której mijał przylądek Horn.

[31] *Malpaís* (hiszp.) – dosł. zła kraina – termin używany w południowo-zachodnim rejonie USA na określenie jałowego pustkowia, pełnego wulkanicznych formacji skalnych.

[32] Bitwa o Alamo – w 1836 roku kilka tysięcy żołnierzy meksykańskich zdobyło misję Alamo w Teksasie bronioną przez kilkuset zbuntowanych Teksańczyków. Prawie wszyscy obrońcy zostali zabici. Wkrótce potem Teksas wywalczył niepodległość (dziesięć lat później USA wchłonęły go jako dwudziesty ósmy stan), a bitwa o Alamo stała się jednym z jej mitów założycielskich. Dzisiaj należy do fundamentów historii Stanów Zjednoczonych.

[33] *Rebozo* (hiszp.) – rodzaj szala używanego przez kobiety w Meksyku. Ma kształt prostokąta o długości od półtora do trzech metrów, wyciętego z jednego kawałka materiału, na przykład bawełny, wełny lub jedwabiu. Służy do okrywania ciała, noszenia dzieci, a nawet transportu niewielkich ilości towarów [przyp. red.].

[34] *Camera lucida* – przyrząd optyczny wyposażony w lustro, który na przykład na kartce papieru odwzorowuje przedmiot oglądany i rysowany przez artystę.

[35] W listopadzie 1620 roku na pokładzie statku Mayflower pierwsi kolonizatorzy z Anglii – w większości purytanie – dzisiaj zwani Pielgrzymami, przybyli do Ameryki.

[36] *Libertad* (hiszp.) – wolność [przyp. red.].

[37] Robert E. Lee – dowódca wojsk konfederackich w końcowej fazie wojny secesyjnej (1861–1865).

[38] *Abajo Los Americanos* (hiszp.) – precz z Amerykanami [przyp. red.].

[39] Szarża najeźdźców – angielskie słowo *forage* oznacza paszę i furaż, ale także rajd i najazd. *Charge as Foragers* to nazwa jednej z formacji przyjmowanej przez amerykańską kawalerię podczas ataku i sygnał do jej rozwinięcia.

[40] *Mi madre, mi padre* (hiszp.) – moja matka, mój ojciec [przyp. red.].

[41] *Carajo, los Americanos* (hiszp.) – pierdoleni Amerykanie [przyp. red.].

[42] Wyrok śmierci to *sentencia de muerte*, zatem w tym kontekście trafniejszą formą byłoby pewnie *muerte* – śmierć. *Muerto* – martwy, nieżywy [przyp. red.].

[43] Cyt. za: George G. Byron, *Mazepa*, przeł. Michał Chodźko, Halle: H. W. Schmidt, 1860, s. 19.

[44] *Vomito* (hiszp.) – wymioty [przyp. red.].

[45] *À la mode des hommes* (franc.) – na męską modłę [przyp. red.].

[46] Autor prawdopodobnie nawiązuje tutaj do słynnego kazania Jonathana Edwardsa *Grzesznicy w rękach rozgniewanego Boga* (1741), utrzymanego w duchu kalwinistycznego determinizmu [przyp. red.].

[47] *Presidio* (hiszp.) – forteca lub obronne miasto [przyp. red.].

[48] *Pulp fiction* – brukowe, tanie powieści.

[49] Nawiązanie do słynnej strzelaniny, do której doszło w 1881 roku w miasteczku Tombstone. Rewolwerowcy w służbie prawa (w tym bracia Earp i Doc Holliday) w trzydzieści sekund „zrobili porządek” z kilkoma rewolwerowcami z grupy tzw. Kowbojów.

[50] *Defiance* (ang.) – opór.

[51] Rob Roy – właśc. Robert MacGregor – szkocki rozbójnik żyjący na przełomie XVII i XVIII wieku.

[52] Furlong – jedna ósma mili, około dwustu metrów.

[53] Chodzi o pierwszą bitwę wojny secesyjnej, stoczoną w kwietniu 1861 roku

[54] Kwakrzy, czyli Religijne Towarzystwo Przyjaciół założone w 1646 roku w Anglii, są pacyfistami.

[55] *Paisano* (hiszp.) – wieśniak, tubylec, cywil [przyp. red.].

[56] Richmond – stolica stanu Wirginia, a podczas wojny secesyjnej – Skonfederowanych Stanów Ameryki.

[57] Cyt. za: Herman Melville, *Moby Dick czyli Biały wieloryb*, przeł. Bronisław Zieliński, Warszawa: Czytelnik, 1971.

[58] Chodzi o wywodzącą się z anglosaskiej kultury ludowej postać zwaną John Barleycorn, czyli właśnie Jaś Jęczmienne Ziarno, uosobienie alkoholu [przyp. red.].

[59] Underground Railroad – szlak, którym zbiegli niewolnicy wydostawali się z Południa dzięki pomocy przeciwników niewolnictwa.

[60] King James Version – Biblia po angielsku i dla anglikanów; zamówiona przez króla Jakuba I i wydana po raz pierwszy 1611 roku.

[61] *Acequia* (hiszp.) – kanał irygacyjny [przyp. red.].

[62] Robert Burns (1759–1796) – szkocki wieszcz narodowy.

[63] Brigham Young – następca Josepha Smitha, założyciela Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, czyli Kościoła mormonów.

[64] Rz 12,19; cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Poznań: Wydawnictwo Pallottinum, 2003.

[65] W latach 1831–1838 Szlak Łez prowadził z południowo-wschodnich rejonów USA do rezerwatów w Oklahomie. Najliczniejszym z przesiedlanych plemion indiańskich byli Czirokezi.

[66] *Hombre grande* (hiszp.) – człowiek ogromnej postury [przyp. red.].

[67] Akr to przeszło cztery dziesiąte hektara, czyli czterdzieści arów.

[68] Podczas bitwy stoczonej 25–26 czerwca 1876 roku nad rzeką Little Bighorn na południowo-wschodniej granicy Terytorium Montany Siódmy Pułk Kawalerii pod dowództwem podpułkownika Custera został zmieciony przez połączone siły Dakotów, Czejenów i Arapahów. Custer zginął. Bitwę stoczono podczas wojny o Góry Czarne, którą Indianie przegrali.

[69] *Purgatory* (ang.) – czyściec.

[70] *Compadre, adios* (hiszp.) – przyjacielu / towarzyszu, żegnaj [przyp. red.].

[71] René-Robert Cavelier de La Salle (1643–1687) – francuski eksplorator Ameryki Północnej.

[72] Blisko jedna piąta powierzchni dzisiejszej Polski.

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Motto

Prolog Tętent koni

KSIĘGA PIERWSZA Ludzie przyszłości

1 Skok w bok
2 Kraina światła
3 Armia Zachodu
4 Śpiewająca Trawa
5 Turkusowa Góra
6 Kim jest James K. Polk?
7 Dzikość życia
8 Władcza ręka Opatrzności
9 Odkrywca
10 Kiedy ziemia choruje
11 Wcale nie Alamo
12 Wszystko naprawimy
13 Przełęcz Narbony
14 Pierwotna cisza
15 Na ołtarzu ojczyzny194
16 Perfekcyjna rzeź
17 Ogień Montezumy
18 Czyńcie swoją powinność, Carson
19 Oczy jak sztylety
20 Ludzie o uszach do kostek
21 Kompletna ruina
22 Nowi Ludzie

KSIĘGA DRUGA Złamany kraj

23 Ponury metronom

24 Władcy gór
25 Droga do piekła
26 Czerwone dzieci
27 Zimna stal
28 „El Crepusculo”
29 Amerykański Hermes
30 Zemsty dopełnienie
31 Złamana kraina
32 Najwspanialsza głowa, jaką widziałem
33 Węzeł śmierci
34 Ludzie bez oczu
35 Krew i burza

KSIĘGA TRZECIA Zabójca potworów

36 Straszne czasy
37 Ludzie spod samotnej gwiazdy
38 Synowie jakiejś matuli
39 Okrągły Las
40 Obrócić w pył
41 Rozkaz Numer Piętnaście
42 Skalna Forteca
43 Długi Marsz
44 Adobe Walls
45 Dobrostan plemion
46 Droga przez czyściec

Epilog: W pięknie idziemy
O źródłach
Wybrana bibliografia
Podziękowania

Przypisy końcowe
Przypisy